

SANTA
MONTEFIORE

JASKÓŁKA I KOLIBER

Mojemu synowi Sashy Woolfowi

Chciałabym wyrazić moją najgłębszą wdzięczność następującym osobom, dzięki którym pomocy udało mi się napisać tę książkę, a więc: kapitanowi Denisowi Robinsonowi, który podzielił się ze mną swoimi przeżyciami z okresu bitwy o Anglię i z wielką cierpliwością oraz poczuciem humoru odpowiadał na moje niekończące się pytania; Eileen Brittle i Joan Laprell, których wojenne wspomnienia okazały się fascynujące, a czasami, o dziwo, wręcz zabawne; Hugh Kavanaghowi, pełnemu entuzjazmu obserwatorowi ptaków, który dostarczał mi cennych informacji w chwilach, gdy wszystkie inne źródła okazywały się zawodne; Ianowi Bondowi, który wprowadził mnie w niezwykły, cudowny świat drzew orzechowych, a nawet zdołał namówić do wstąpienia do Klubu Orzechów; Lii Rueda, która zaprosiła mnie na swoją przepiękną farmę w północnej części Argentyny i pokazała mi, czym może być uprawa ziemi; Annabel Elliot oraz mojemu wujowi, Jeremy'emu Palmer - Tomkinsonowi, którzy pamiętali, choć niezbyt dokładnie, jak wyglądało życie w latach sześćdziesiątych; i wreszcie mojemu ojcu, który nadal uczy mnie, jakie znaczenie ma rolnictwo oraz fauna i flora.

Z całego serca dziękuję mojej matce za ogromne poświęcenie, z jakim zredagowała pierwszy rękopis tej książki, i za wszystkie barwne historie, które zgromadziła w ciągu lat spędzonych w Ameryce Południowej, a które ja dokładnie zapamiętałam i w bezwzględny sposób podkradłam. Jestem bardzo wdzięczna mojej ciotce, Naomi Dawson, która pośpieszyła mi na pomoc w okresie po urodzeniu mojego synka, kiedy nie byłam w stanie siedzieć przy komputerze. Nigdy nie zdołam odwdziżyć się mojemu wydawcy, Susan Fletcher, za to, że poświęciła mi mnóstwo czasu i udzieliła wielu mądrych rad - brak mi słów, aby w odpowiedni sposób wyrazić jej wdzięczność za entuzjazm i zachętę.

Pragnę podziękować mojej agentce, Jo Frank, za wsparcie i poczucie niezachwianej pewności, jakie mi zapewniła, oraz mojej przyjaciółce, Kate Rock - bez nich w ogóle nie zabrałabym się do pisania.

Na koniec dziękuję mojemu mężowi, Sebagowi, który wpadł na pomysł tej książki, jadąc autostradą M - 3 o szóstej rano, po bezsennej nocy spędzonej przy naszej córeczce. Sebag jest motorem wszystkich moich działań, także pisarskich.

CZEŚĆ I

Rozdział pierwszy

Wiosna 1945 roku

Pani Megalith popatrzyła na zwłoki i ciężko westchnęła. Co za nieprzyjemny, odstręczający widok, i to z samego rana... Ciało było sztywne, zimne i wyglądało jak coś, co jedno z jej wnucząt mogło zrobić z papier mache na zajęciach plastycznych w szkole, ale nie był to głupi żart. Ze zniecierpliwieniem klasnęła językiem o podniebienie, włożyła szlafrok, chwyciła laskę i trąciła nią zwłoki. Miała przed sobą kawałek mięsa w początkowym stanie rozkładu, rozpięty na szkielecie i pokryty futrem, dość zmierzwionym. Patrząc na to, pomyślała, jak brzydkie, wręcz odrażające jest ciało, nawet kocie ciało, gdy duch już odejdzie. Widok truchła nie obudził w niej żadnych uczuć, no, może rozdrażnienie. Miała tyle kotów, że już dawno straciła rachubę. Wciąż pojawiały się nowe, chociaż poświęcała im niewiele uwagi i nie nadawała imion. Nie wiedziała, skąd i dlaczego przychodziły, nie ulegało jednak wątpliwości, że ściągała je do niej jakaś tajemnicza siła. Pani Megalith była uzdolnioną wróżką, więc obecność kotów w jej domu była w gruncie rzeczy pożądana.

Podniosła kota z podłogi, zastanawiając się, dlaczego rozstał się ze światem właśnie w jej sypialni, i pokuśtykała korytarzem w kierunku schodów. To był omen, zły znak, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. W kuchni znalazła Maksa, który przygotowywał sobie filiżankę ovaltyny.

- Co tu robisz o tej porze, drogi chłopcze? - zapytała ze zdziwieniem.

Była szósta rano, a Max rzadko zjawiał się na dole przed ósmą trzydzieści.

- W moim pokoju leży zdechły kot - odparł spokojnie. Nadal mówił z wiedeńskim akcentem. Gdyby Hitler nie wiedział o płynącej w żyłach chłopca żydowskiej krwi, z pewnością mógłby go uznać za idealnego Aryjczyka - Max miał gęste, jasne włosy, błękitne oczy i inteligentną, wrażliwą twarz o regularnych rysach. Mimo nonszalanckiego sposobu bycia był myślącym, mądrym młodym człowiekiem, o osobowości bardziej złożonej, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić, pełnej mrocznych zakątków i głębokich rozpadlin, w których wiecznie drzemały cienie. Max nie okazywał ukrytych w jego sercu emocji, ponieważ ojciec nie chciałby, aby obnosił się ze swoim

lękiem czy bólem. Chłopiec czuł, że ojciec wolałby, aby był silny jak Ruth, jego siostra, i uważał, że powinien do tego dążyć.

Zaśmiał się na widok martwego kota, którego pani Megalith trzymała czubkami palców. Przywykł do kotów i traktował je jak część umeblowania. Kiedy jako dziesięcioletni uchodźca w 1938 roku przyjechał do Elvestree House, trochę obawiał się tych niezależnych stworzeń, które koczowały w całym domu i podejrzliwie obserwowały go ze wszystkich parapetów i stołów, lecz zaraz potem pani Megalith ofiarowała jemu i Ruth kociaka. Max nie zdawał sobie sprawy, że nigdy więcej nie zobaczy rodziców, i bardzo tęsknił za znajomym zapachem domu, tak więc mały, spragniony pieszczot kot przyniósł mu pociechę.

- Ty także? A niechże to... - Pani Megalith potrząsnęła głową. - Jeden zdechły kot nie wróży nic dobrego, ale dwa to prawdziwe zmartwienie... Wyniknie z tego jakieś nieszczęście, jestem pewna... Ale co mają mi powiedzieć te znaki? Wygraliśmy już przecież wojnę, na miłość boską!

Zmrużyła oczy, tak samo jasnoszare jak kamień księżycowy, który zawsze nosiła na obfitym biuście, i znowu klasnęła językiem o podniebienie. Max wziął zdechłego kota z jej ręki i położył go za tylnymi drzwiami do domu, obok tego, którego znalazł w swojej sypialni. Kiedy wrócił, pani Megalith siedziała na fotelu przy blaszanym piecyku.

- Zawsze dopatrujesz się we wszystkim ukrytego znaczenia, Primrose - powiedział. - To najzwyczajniejszy zbieg okoliczności, nic więcej. Może pożarty trutkę na szczury.

Pani Megalith wyduła wargi.

- Wykluczone! To omen, jasny jak kryształ! - Wojna już się skończyła - rzekł Max. - Hitler nie wróci. I dzięki Bogu! Więc co z tymi kotami? Na pewno nie chodzi o mnie, bo raz już z trudem wywinęłam się śmierci - rzekła pani Megalith, przypominając sobie, jak w czasie pobytu u siostry w Londynie o mało nie padła ofiarą niemieckiego nalotu. Wtedy także znalazła zdechłego kota. Jednak Primrose Megalith była niepokonana - z trafionego bombą domu wyszła cało, jedynie z lekką kontuzją nogi i w fatalnym humorze, lecz poza tym jeszcze bardziej żywotna niż zwykle. - Nie, ten omen nie ma nic wspólnego z wojną, wróży jakieś domowe problemy... - ciągnęła, w zamyśleniu pocierając podbródek.

- George wraca dziś z Francji - zauważył Max.

Miał nadzieję, że zły znak nie dotyczy Rity, lecz George budził w nim zupełnie inne uczucia.

- Mój Boże, masz rację! Starość to taki upokarzający stan... Kiedyś miałam doskonałą pamięć, ale to pieśń przeszłości - prychnęła.

- No tak, młody George Bolton wraca do domu! To prawdziwy cud, że chłopak przeżył, latając w tych puszkach... Właśnie takim młodym ludziom zawdzięczamy, że nie musimy uczyć się niemieckiego, a ty ukrywać się na strychu do końca swoich dni. Nie jest tam zbyt wygodnie... Mimo wszystko i tak miałbyś nad nami pewną przewagę, bo płynnie mówisz po niemiecku, mój drogi. - Starsza pani zamilkła na chwilę. - Rita nie widziała George'a przez całe trzy lata...

- Długo, prawda? - zapytał Max z nadzieją. Beznadziejnie zakochał się w Ricie Fairweather w chwili, gdy po raz pierwszy ją zobaczył. Dziecięce zauroczenie stopniowo przeistoczyło się w poważniejsze uczucie, lecz Rita była o trzy lata starsza od Maksa, a jej serce od dawna należało do innego.

- W czasie pierwszej wojny nie widziałam Denzila przez cztery lata i w niczym nie zmieniło to moich uczuć - mruknęła pani Megalith.

- Ale ty masz niewiele wspólnego z normalnymi ludźmi - żartował Max. - Jesteś przecież czarownicą...

Twarz kobiety złagodził czuły uśmiech. Prawie nikt nie śmiał żartować z Wiedźmy z Elvestree, wszyscy wiedzieli też, że źle znosi ona towarzystwo większości ludzi, lecz Max był w jej oczach kimś wyjątkowym. Pani Megalith potrafiła zajrzeć do najciemniejszych zakątków jego serca, gdzie kryło się mnóstwo cierpienia. Nigdy nie zapomniała dnia, kiedy oddano jej pod opiekę dwoje małych wystraszonych cudzoziemców. Kochała Maksa i Ruth całym sercem, mocniej niż swoje własne, uprzywilejowane dzieci, które nigdy nie zaznały strachu. Stworzyła jednoosobową rodzinę dla dwojga wygnańców i troszczyła się o nich w zastępstwie rodziców, którzy nie mogli już dać im tego, co się należy każdemu dziecku.

- Może i jestem czarownicą, mój drogi, ale to nie znaczy, że pod każdym względem różnię się od innych kobiet - powiedziała. - Potwornie tęskniłam za Denzilem, chociaż naturalnie brałam sobie kochanków...

Max znacząco uniósł jedną brew.

- Śmieję się, śmieję! - Pogroziła mu palcem. - Możesz mi nie wierzyć, ale kiedyś byłam naprawdę atrakcyjną kobietą...

Chwilę oboje milczeli, ciesząc się wzajemną bliskością.

- Wracaj do łóżka, chłopcze - powiedziała w końcu pani Megalith, dźwigając się sztywno na nogi i wspierając na lasce. - Wyglądasz na zmęczonego.

- Już nie ma sensu się kłąć. - Max podniósł się i ruszył do drzwi. - Zrobiło się widno, więc równie dobrze mogę grzebać koty...

- Wrzuć je w krzaki, mój drogi. - Pani Megalith machnęła ręką, a jej pierścienie z kryształami zamigotały w promieniach słońca, przejrzyste jak landrynki. - Wyjdę trochę na dwór, żeby nacieszyć się rankiem.

Dom Primrose Megalith był dużym, białym budynkiem o doskonałych proporcjach i symetrii. Jedną część pokrywały różowe kwiaty klematisu, których płatki unosiły się na wietrze jak konfetti, drugą pnące róże oraz wistaria. Przez otwarte okna widać było zasłony w kwiaty, doniczki pelargonii i śpiące na parapetach lub wygrzewające się w słońcu koty. Pani Megalith trzymała też dwie mleczne krowy, kury nioski, kurczęta oraz pięć białych kaczek, te ostatnie wyłącznie ze względu na przyjemność, jaką dawał jej widok dorodnych ptaków, z gracją pływających po stawie. Ponieważ wielką słabość do pozbawionych przez naturę zdolności latania kaczek czuły też lisy, starsza pani zostawiała na całą noc włączoną mocną latarnię, której światło odstraszało drapieżniki. Była zapaloną ogrodniczką, rośliny hodowała bez żadnego planu czy pomysłu, zasiewając je wszędzie, gdzie znalazła choćby odrobinę przestrzeni. Z pomocą Nestora, starego ogrodnika, połowę trawnika obsiała makami, chabrami i najróżniejszymi gatunkami trawy, a zwarte szeregi róż otoczyła niezapominajkami. Te ostatnie rozsiewały się same, nie zważając na granice między czarnuszką, dzwonkami i wilczomleczem. Nasiona malw, przenoszone przez wiatr i ptaki, wpadały w przerwy między kamiennymi płytami tarasu, zapuszczały też korzonki nawet między cegłami w okalającym ogród murze. Powietrze przepełniał słodki zapach siana i kwitnącej topoli oraz głęboki aromat dzikich dzwonków, których o tej porze nie brakowało w lasach powyżej domu.

Elvestree położone było u ujścia rzeki, stanowiącego siedlisko wszelakiego ptactwa, od szarych mew po czarne kormorany. Ptasi

gwar niósł się przez rozległe mielizny i szerokie plaże, gdzie odpływ pozostawiał obfitość drobnych skorupiaków. Pani Megalith zapatrzyła się na morze i horyzont, rozważając znaczenie śmierci dwóch kotów, złego znaku, który rzucił niewyraźny cień na skądinąd bezchmurny poranek. Wiedziała, że Rita jest już na plaży i modli się o bezpieczny powrót George'a z Francji, bo to miało wywrzeć ogromny wpływ na jej przyszłość i stać się spełnieniem wszystkich marzeń.

Rita nie spała przez całą noc, gdyż oczekiwanie okazało się zbyt ekscytujące. W rękę trzymała list z Francji, w którym George określił datę i porę powrotu. Kartka była prawie przezroczysta, a słowa zatarte łagodną korozją miłości. Dziewczyna siedziała na szczycie klifu, patrząc na morze, pieniające się pod skrzydłami krążących tuż nad powierzchnią mew - to samo morze, które tak długo ich rozdzielało, a teraz miało sprowadzić George'a do domu.

Pomyślała, że tego dnia nawet blask słońca wydaje się piękniejszy i jaśniejszy, a niebo bardziej promienne i świetliste. Rita ponad wszystko uwielbiała obserwować morze, które miało nastroje i humory, zupełnie jak człowiek - w jednej chwili spokojne i niewzruszone, w następnej szalejące z wściekłości, chociaż te wody były głębsze niż czyjkolwiek charakter. Mimo zmiennej natury morze było stałe, godne zaufania i zdolne napełnić Ritę poczuciem lekkości ducha, z którą nic nie mogło się równać. Widok niezmiernego oceanu dotykał samego sedna jej osobowości. Czasami o zmierzchu, gdy zachodzące słońce malowało niebo w złociste i czerwone pasma, a morze leżało płaskie i prawie nieruchome, jakby zastygłe w podziwie dla rozgrywającej się nad nim niebiańskiej sceny, Rita była prawie pewna, że Bóg istnieje. Nie odległy Bóg, o którym uczyła się w szkole i w kościele, ale Bóg jej babki, Bóg stanowiący integralną część morza, chmur, drzew, kwiatów, zwierząt, ryb, a także jej samej. Czasami zamykała oczy i wyobrażała sobie, że jest ptakiem szybującym wysoko nad ziemią, pod wiatr, który łagodnie owiewa jej twarz i unosi włosy.

Rita kochała przyrodę. Gdy była dzieckiem, największą przyjemnością sprawiały jej lekcje botaniki - wszystkie inne uważała za trudne i pozbawione sensu. Kiedy większość jej rówieśników na boisku uganiała się za piłką lub bawiła skakanką, Rita układała się na trawie i obserwowała biedronki, krople rosy czy liście. Oswajała sikorki, karmiąc je orzechami z ogrodu ojca George'a. Potrafiła

godzinami szkicować insekty, z wielkim zaciekawieniem obserwując najdrobniejsze szczegóły ich budowy. Miała niewielu bliskich przyjaciół, ponieważ prawie nikt nie miał dość cierpliwości, aby towarzyszyć jej podczas tych zajęć. Ale dla swego uroku i łagodności była lubiana, chociaż powszechnie uważano ją za ekscentryczne dziecko.

Tego dnia myśli Rity zajęte były czym innym, nie zwracała uwagi na łagodne łuki, jakie zataczały nad jej głową mewy, czy na krzątanie się żuków, szukających pożywienia w trawie. George wracał do domu. Rita modliła się o bezpieczną podróż dla ukochanego, szepcząc słowa wiatrowi, podobnie jak robiła to przez całą wojnę, a szczególnie w tych bolesnych chwilach, gdy syn pastora Hammonda poniósł śmierć, a narzeczony Elsy Shelby zaginął w czasie powietrznej bitwy. Tamtych spotkało nieszczęście, ale jej George został oszczędzony... Rita wstydziła się głośno mówić o swojej wdzięczności, aby przypadkiem nie ściągnąć pecha na ukochanego, dziękowała więc Bogu szeptem, zagłuszonym przez grzmot fal i krzyki ptaków, niesionych przez silny wiatr. Rozpostarła ramiona i pobiegła po piasku, naśladując swoich skrzydlatych przyjaciół, z sercem wezbranym radością i nadzieją, tu, gdzie nikt nie mógł usłyszeć jej śmiechu i dziwić się jej dziecinnemu podnieceniu.

Rita знаła George'a od dziecka, ponieważ ich rodzice się przyjaźnili. George był o trzy lata starszy, więc chociaż chodzili do tej samej wiejskiej szkoły, nigdy nie uczyli się w jednej klasie. Zawsze czekał na nią na dziedzińcu pod koniec dnia, odprowadzał do domu, a potem wsiadał na rower i ruszał w dalszą drogę, ponieważ jego ojciec był farmerem i prowadził gospodarstwo położone kilka kilometrów od miasteczka. To George nauczył Ritę grać w bierki, pokazał jej, jak szukać krewetek i innych skorupiaków w kałużach wody na plaży, a któregoś lata zademonstrował, jak rozpalić ognisko za pomocą okularów. W dniu trzynastych urodzin Rity pocałował ją jako pierwszy, gdyż, jak oświadczył, nie chciał, aby uprzedził go inny chłopak. On wziął na siebie wielką odpowiedzialność, aby łagodnie i delikatnie wprowadzić Ritę w świat seksu, wiedział bowiem, że nieprzyjemne przeżycie mogłoby ją na zawsze zniechęcić. Trzymał ją w ramionach w ciemnej jaskini, która już wcześniej stała się ich szczególnym miejscem, i przyciskał usta do jej warg, słuchając, jak przyływ wkrada się do wnętrza, a następnie odchodzi, zabierając ze

sobą ich tajemnicę. Odkryli wtedy nowy wymiar swojej przyjaźni i z entuzjazmem dwojga dzieciaków, zachwyconych nową zabawką, starali się jak najczęściej odwiedzać jaskinię i godzinami wymieniać pocałunki i pieśczoły, bez obawy, że rozkoszne doznania zakłóci cokolwiek poza mewami, które czasami nieoczekiwanie wpadały do jaskini.

George zawsze pragnął latać. On także uwielbiał siedzieć na szczycie klifu i obserwować, jak ptaki zataczają koła ponad falami. Przyglądał się, jak zrywają się do lotu i osiadają na powierzchni wody, i przekonywał Ritę, że pewnego dnia wzbije się w górę tak jak one, tyle że w kabinie samolotu. Kiedy wybuchła wojna, natychmiast wykorzystał szansę na zrealizowanie tego marzenia, nie zważając na wiążące się z tym ryzyko utraty życia. Był wtedy bardzo młody i przekonany o nieśmiertelności. Nie wyobrażał sobie, by mógł zrezygnować z wielkiej przygody, a Rita była z niego dumna. Patrzyła na unoszące się wysoko ptaki i myślała o ukochanym. Ale gdy czasami jej spojrzenie zatrzymywało się na ustrzelonych przez ojca bażantach i kuropatwach, wtedy umierała ze strachu, że podobny los mógłby spotkać George'a.

Siadywała na skale w jaskini i wspominała gorące pocałunki. Przywoływała z pamięci korzenny zapach skóry George'a, jego włosów i ubrania; wyobrażała sobie, że George staje w progu jaskini, a jego obecność sprawia, że ukształtowane przez naturę pomieszczenie wydaje się małe i ciasne. Wyobrażała sobie ukochanego, zapalającego papierosa, przeczesującego palcami kręcone ciemne włosy, patrzącego na nią szarymi oczami i uśmiechającego się uniesieniem jednego kącika ust, w nieco ironiczny, zabawny sposób. Przypominała sobie jego mocno zarysowaną, wysuniętą dolną szczękę i zmarszczki, rozchodzące się promieniście ku skroniom. Zastanawiała się nad istotą łączącej ich więzi i z radością rozmyślała o przyszłości, która wydawała się pewna i bezpieczna, ponieważ miała źródło w przeszłości. Wyobrażała sobie, że zestarzeją się razem na tej plaży, w tej jaskini, w małej wiosce w Devonie, usianej niezatartymi śladami ich dziecinnych stóp.

Po powrocie do domu zastała matkę mieszącą na kuchni owsiankę. Jej ufarbowane na kasztanowy brąz włosy nawinięte były na wałki, a pulchną postać spowijały fałdy szlafroka w kolorze wędnącej róży.

- Nie mogę uwierzyć, że to już piątek, kochanie - powiedziała do Rity. - Myślałam, że nie doczekamy się tego dnia, po tych wszystkich latach... Jestem strasznie wzruszona... - Odłożyła drewnianą łyżkę i serdecznie uściśnęła córkę. - Niech ci Bóg błogosławi, moja droga - dodała poważnie, odsuwając się na odległość ramienia i patrząc na Ritę wilgotnymi ze wzruszenia oczami. - W niedzielę musisz pójść do kościoła z najszczerzą wdzięcznością w sercu... Tylu dziewczętom nie dane będzie zaznać tego szczęścia... Trees i Faye na pewno są nieprzytomni z radości. Pomyśleć tylko, że ich syn wreszcie wraca do domu... Ach, serce mi się ściska... - Odwróciła się do kuchni, otarła oczy i pociągnęła nosem.

Hanna Fairweather była bardzo sentymentalną kobietą. Miała szeroką, miłą twarz, jasne oczy, łatwo napełniające się łzami, zwłaszcza w sytuacjach związanych z jej dziećmi, oraz duże, miękkie piersi, którymi karmiła każdą z trzech córek przez ponad rok. Należała do kobiet stworzonych do macierzyństwa, których jedynym życiowym celem jest wychowanie dzieci z miłością i dumą. Hanna jak sroka zbierała i przechowywała mnóstwo pamiątkowych rzeczy - pierwsze buciki Rity, pierwszy rysunek Maddie, lok Eddie. Na gzymsach i parapetach tłoczyły się przedmioty, które osobie postronnej mogły wydać się pozbawione jakiegokolwiek znaczenia, lecz w oczach właścicielki zyskiwały niezwykłą wagę, tworząc najprawdziwsze muzeum jej przeszłości.

Duży dom rodziny Fairweather znajdował się w małej nadmorskiej wiosce Frogmal Point, ukryty za wysokimi żywopłotami z krzewów iglastych i za pięknymi modrzewiami, otoczony zadbanym ogrodem, w którym zawsze śpiewały ptaki. Najmłodsza córka Hanny skończyła już czternaście lat i całe dni spędzała w szkole, więc ptaki, które kobieta cierpliwie oswajała i karmiła, były dla niej jak dzieci. Samiczka słowika, która uwiła gniazdko w splątanych gałązkach tui, wesoła sikorka, która przyleciała jesienią i jadła okruszki prosto z ręki Hanny, oraz jej ulubione jaskółki, wracające z każdą wiosną, aby zbudować gniazdko pod daszkiem ganku... Łagodna i skromna jak szare, pospolite wróble, Hanna miała dobre, miękkie serce, jak to się często zdarza w przypadku dzieci dominujących matek.

- Ciekawe, z jakiego powodu nasza Rita tak promienieje dziś rano... - odezwał się Humphrey, którego do kuchni zwabił aromat owsianki i przypiekających się grzanek.

Niski i krępy Humphrey miał na sobie szare spodnie, białą koszulę i szkarłatne szelki; był prawie łysy - tylko nad uszami pieniało się kilka gęstych, siwych loczków. Pochylił się, pocałował córkę w skroń i poklepał ją ciepłą ręką po plecach.

- Była na plaży - odparła Hanna.

Humphrey zajął miejsce u szczytu stołu i nalał sobie filiżankę herbaty.

- Nie ma to więc nic wspólnego z powrotem George'a? - zaśmiał się i otworzył dziennik „Southern Gazette”, który od lat wydawał.

Chrząknął z aprobatą, ogarnawszy wzrokiem pierwszą stronę, ozdobioną dużą fotografią młodej kobiety, całującej powracającego z wojny żołnierza. Pomyślał, że jeżeli George będzie miał w zanadrzu jakieś interesujące opowieści o szaleńczej odwadze i zapierających dech w piersiach przygodach, on z radością je wydrukuje. Ludzie byli teraz spragnieni historii o bohaterskich czynach i zwycięstwie.

- Jestem okropnie podekscytowana, tato, ale równocześnie przestraszona...

Humphrey zerknął na córkę znad gazety.

- Nie masz powodu się bać, kochanie. George zostanie bezpiecznie dowieziony do domu.

- Nie, nie o to mi chodzi... - Rita przerwała, skubiąc palcami grzanekę. - Nie sądzisz chyba, że George się zmienił, co?

Hanna nałożyła porcję owsianki do miseczki męża.

- Oczywiście, że się zmienił - powiedziała. - Jest teraz mężczyzną, nie chłopcem.

Rita uśmiechnęła się i zarumieniła.

- Mam nadzieję, że go nie rozczaruję...

- Na pewno nie, kochanie! - Humphrey roześmiał się i znowu zniknął za płachtą gazety. - Kojarzysz mu się z powrotem do domu, podobnie jak mnie kiedyś twoja matka. Nie należy tego lekceważyć.

- Pamiętam, jak wasz ojciec wrócił z Dardaneli - odezwała się Hanna. - Był taki brązowy, że z trudem go poznałam, no i potwornie wychudzony. Musiałam go odkarmić, zupełnie jak kurczęta mojej mamy, ale bardzo szybko znowu do siebie przywykliśmy. Daj George'owi trochę czasu na adaptację i ciesz się, że będzie już w domu, blisko ciebie. Wojna uczy, że nie liczy się nic poza ludźmi, których kochamy. Przez wszystkie te lata byłaś dla niego jak koło ratunkowe, skarbie... - Głos Hanny się załamał. Zakasłała, aby to

ukryć, jednocześnie wracając myślami do okropności pierwszej wojny światowej i okaleczonych, znękanych duchowo żołnierzy, którym dane było z niej powrócić. - Gdzie jest Eddie? Spóźni się do szkoły, jeżeli zaraz nie wstanie!

Hanna wypadła z kuchni, aby obudzić najmłodszą córkę.

Kiedy Eddie zeszła na dół, na wpół przytomna, wymamrotała „dzień dobry” i dopiero po paru chwilach przypomniała sobie o powrocie George'a.

- Na pewno szalejesz z podniecenia, Rito! - powiedziała, budząc się. - Nie będziesz chyba protestowała, kiedy zechce się z tobą kochać, prawda?

Znad brzegu gazety ukazała się zaskoczona twarz Humphreya, Hanna zaś odwróciła się od kuchni i z przerażeniem spojrzała na swoją czternastoletnią córkę.

- Eddie! - jęknęła. - Humphrey, powiedz coś! Humphrey ściągnął brwi.

- Co ty wiesz o miłości fizycznej, Eddie? - zapytał, zastanawiając się, kto zatrul umysł jego córki.

- Narzeczony Elsy Shelby wrócił z wojny tydzień temu i jeszcze tego samego dnia kochali się, wiem o tym od Amy...

Młodsza siostra Elsy Shelby była równie niedyskretna jak Eddie.

- A co może wiedzieć mała Amy? - Hanna oparła ręce na biodrach, potrząsając głową tak mocno, że wałki o mało nie powypadały jej z włosów.

- Elsa powiedziała jej, że miłość przypomina kąpiel w wannie pełnej ciepłego miodu - Eddie uśmiechnęła się łobuzersko, widząc, że na twarzy ojca pojawia się lekki uśmiech.

- Moje drogie dziecko... - zaczęła surowo Hanna, ignorując wyraźne rozbawienie męża. - Celem miłości fizycznej jest płodzenie dzieci w ramach związku małżeńskiego...

- Przecież oni są zaręczeni! - Eddie uśmiechnęła się do siostry, która nagle zaczerwieniła się i odwróciła wzrok. - Poza tym Elsa myślała, że jej ukochany zginął...

- Tak czy inaczej, powinni byli poczekać! - prychnęła Hanna. - Czy parę miesięcy to tak długo?

- George i Rita także niedługo się zaręczą. - Eddie zwróciła się do Rity. - Powiesz mi, jak to jest, kiedy już to zrobisz, prawda?

Rita pozwoliła, aby długie, brunatne włosy opadły jej na twarz, i skrzywiła się z zażenowaniem.

- Edwino, jedz śniadanie, bo spóźnisz się do szkoły. - Hanna pośpiesznie zmieniła temat.

Przywykła już, że Eddie mówi, co myśli, i nie zastanawia się, czy postępuje właściwie. Dziewczyna odziedziczyła tę cechę po babce.

Eddie przez chwilę patrzyła, jak matka nakłada dla niej porcję owsianki, potem zaś zerknęła na ojca, który obserwował ją z pobłażliwym uśmiechem.

- Czy naprawdę musisz siadać do stołu z Harveyem? - westchnęła Hanna na widok małego czarnego nietoperza, uczeplonego rękawa wełnianego swetra Eddie.

- Mówiłam ci, mamó, że Harvey nie lubi zostawać sam. Bardzo się do mnie przywiązał.

Hanna sięgnęła po filiżankę i przełknęła łyk słabej herbaty.

- Wojna się skończyła, to prawda, ale upłynie jeszcze sporo czasu, zanim życie w tym kraju wróci do normy. Och, dałabym wszystko za filiżankę prawdziwej, mocnej herbaty z normalną porcją cukru!

Maddie była dziewiętnastoletnią młodą kobietą o niezależnym usposobieniu, nie widziała więc potrzeby, aby wstawać z łóżka o tak nieludzkiej porze. Rodzice zachęcali ją, aby znalazła sobie jakieś zajęcie, lecz jej bynajmniej nie śpieszyło się do pracy. Była pewna, że wkrótce znajdzie męża i wtedy nie będzie musiała pracować. Widziała, jak Rita codziennie rano wychodzi do pracy na farmie Treesa Boltona i wraca wieczorem, z brudnymi po łokcie rękami i potarganymi, zakurzonymi włosami, przesyconymi zapachem krów i nawozu, i dziękowała losowi, że udało jej się uniknąć takich przykrości. Mnóstwo ludzi ciężko pracowało, ale Maddie nie czuła się w obowiązku dołączyć do ich grona. Straszna szkoda, że robotnicy z farmy byli tacy starzy i nieatrakcyjni, bo gdyby byli młodzi i przystojni jak ci amerykańscy żołnierze, którzy stacjonowali w okolicy podczas wojny, Maddie zapewne poświęciłaby się podnoszeniu morale znękanym wojną przystojniaków, najlepiej na sianie...

Przewróciła się na plecy i pomyślała, że warto byłoby pomalować paznokcie i ułożyć sobie nową fryzurę. Nagle drgnęła,

uświadomiwszy sobie, że właśnie tego dnia George Bolton wraca do domu.

Narzuciła szlafrok i bez pośpiechu zeszła na dół, gdzie Rita i ojciec właśnie zbierali się do wyjścia.

- Powodzenia, siostró - rzuciła Maddie. - Będę o tobie myślała. George wraca o czwartej, tak? Nie zapomnij wyjść z pracy wcześniej, żebym mogła cię uczesać - dodała, krytycznie przyglądając się zaniedbanym włosom Rity. Cóż, Rita zawsze była tak samo naturalna jak morze, które kochała ponad wszystko, a jej loki opadały splątane niczym morskie wodorosty. - Pomogę ci. Musisz zrobić wrażenie na George'u. - Maddie odwróciła się do matki, przybierając wzruszony wyraz twarzy. - Jakie to romantyczne, mamo...

Rita odjechała na rowerze, Humphrey swoim samochodem marki Lee Francis, Eddie niechętnie ruszyła pieszo do szkoły w towarzystwie nieodłącznego Harveya, natomiast Maddie została w domu z matką i postanowiła zjeść resztki owsianki, teraz już zimnej i pokrytej grubym, mało apetycznym kożuchem.

Hanna nie miała serca powiedzieć Ricie, aby sprzątnęła swój pokój, i celowo nie zwróciła jej uwagi, że byle jak uczesała włosy. Rita może i nie była pedantką, ale przynajmniej nie leniła się tak jak Maddie... Hanna z westchnieniem odwróciła się do średniej córki.

- Co zamierzasz dziś robić? - zapytała, zastanawiając się, jak zachęcić dziewczynę do pożytecznego spędzenia czasu.

Maddie skrzywiła się lekko i odgarnęła do tyłu opadające na czoło loki.

- Zrobię sobie nową fryzurę - odparła, skubiąc kawałek grzanki, dokładnie tak samo jak starsza siostra.

- Czy to konieczne, moja droga?

- Ja także chcę ładnie wyglądać na przyjazd George'a! - oświadczyła Maddie, doskonale wiedząc, że George nie ma nic wspólnego z jej planami. - Pomyślałam, że mogłabym uczesać się tak jak Lauren Bacall... No, a w ogóle to jutro wieczorem Boltonowie wydają przyjęcie na cześć George'a i nie wiadomo, kto tam może się zjawić, prawda? Może spotkam mężczyznę, który jest mi pisany, więc chyba lepiej, żebym była przygotowana...

- Może pojechałabyś ze mną do Megababci? - zagadnęła Hanna.

Humphrey dość nieuprzejmie nadał pani Megalith ten przydomek wiele lat temu.

- W lesie kwitną już dzwonki i ogród babci wygląda naprawdę przepięknie - ciągnęła. - Mogłybyśmy zjeść z nią lunch, w ten sposób czas szybciej minie...

Maddie zmarszczyła nos. - Znowu będzie się upierała, żeby mi powróżyc - mruknęła. - I powie ci, żebyś wzięła się do jakiejś pracy. Maddie przewróciła oczami.

- Megababcia nigdy nie mówi mi tego, co chciałabym usłyszeć - poskarżyła się.

- To dlatego, że nie zniża się do kłamstw. - Hanna zaczęła sprzątać po śniadaniu. - Przecież wiesz, jaka jest babcia, traktuje karty z największą powagą.

- Oto narzędzie działania ducha... - wygłosiła Maddie, naśladowując głęboki głos babki. - Dobrze, pojedę, ale tylko dlatego, że nie mam nic lepszego do roboty...

Maddie serdecznie żałowała, że Amerykanie wrócili już do siebie. Uśmiechnęła się pod nosem na myśl, że większość z nich wyruszyła w drogę do żon i narzeczonych z jej zdjęciem w kieszonkach na piersi.

Hanna i Maddie pojechały do pani Megalith na rowerach, ponieważ o benzynę nadal było bardzo trudno. Wiosna zalała okolice falą barwnych kwiatów i pomalowała drzewa i krzewy świeżą zielenią. Wśród młodych liści i traw jaśniały różowe pąki głogu i białe kwiaty jabłoni. Lazur nieba usiany był małymi białymi chmurkami, podobnymi do zwiewnych kłaczek piany. Hanna z radością syciła oczy cudownymi widokami, czując obecność Boga w pięknie i sile natury.

- Czyż ten różowy kryształ nie jest wspaniały? - odezwała się pani Megalith, kiedy jej córka i wnuczka weszły do domu kuchennym wejściem.

Obrzuciła je uważnym spojrzeniem znad okularów i obdarzyła ciepłym uśmiechem. Maddie popatrzyła na kryształy wszystkich barw i wielkości, ułożone rzędami na kuchennym stole, i skrzywiła się, czując intensywny koci zapach.

- Po co ci te kamienie? - zapytała, jak zwykle nieprzyjemnie zaskoczona ekscentrycznością babki.

Odkąd pani Megalith w okresie międzywojennym odwiedziła Indie, obsesyjnie interesowała się wieloma dziwacznymi rzeczami.

- To, na przykład, jest kamień łagodnej miłości - odparła Megalith, unosząc różowy kryształ. - Emanuje miękką jak jedwab,

uspokajającą energią, przywraca uczuciom harmonię i klarowność, trzeba go tylko porządnie umyć... Oczyszczę go w wodzie z solą i na dwadzieścia cztery godziny zostawię w ogrodzie, żeby nasycił się siłami przyrody. Odzyska wtedy właściwą sobie moc... - Pieszczotliwie pogładziła przejrzysty kamień. - Nadal się obijasz, Madeleine?

Maddie przewróciła oczami.

- Zamierzam wyjść za bardzo bogatego mężczyznę, żebym nie musiała pracować - oznajmiła, prowokacyjnie unosząc brwi.

- Może się to okazać trudniejsze, niż sądzisz - odrzekła pani Megalith, opuszczając głowę i zgniatając swoje liczne podbródki w obfitą harmonijkę. - Mam nadzieję, że zauważyłaś, iż dopiero co skończyła się wojna... Jak tam Rita? - zwróciła się do Hanny.

- Chyba przydałby się jej różowy kryształ - mruknęła Maddie, z roztargnieniem obracając w palcach fulguryt.

- Jest bardzo przejęta - rzekła Hanna. - Wątpię, czy będzie dziś w stanie zrobić coś pożytecznego na farmie...

- Kochane dziecko... Mam nadzieję, że młody George ożeni się z nią tego lata, bo naprawdę okazała się wzorem cierpliwości. Podaj mi łaskę! - Przywołała wnuczkę machnięciem upierścienionej dłoni i z pewnym wysiłkiem dźwignęła się na nogi. Jej błękitna suknia opadła jak namiot z potężnych ramion i wielkich piersi. - Chodźmy do ogrodu, moje drogie. Jest tam jak w raju...

Poszły korytarzem, odprowadzane wzrokiem przez koty, wygrzewające się w słońcu na wszystkich okiennych parapetach. Maddie kichnęła. Nie przepadała za tymi zwierzętami.

Pani Megalith przypomniała sobie nagle o dwóch zdechłych kotach.

- Powiedzcie Ricie, żeby wpadła do mnie jutro, chcę jej powróżyć. Nie pytajcie, o co chodzi, bo sama nie wiem... Czuję tylko, że czeka ją jakaś zmiana. Myślę, że przyda jej się teraz parę wskazówek od starej czarownicy.

- Gdybyś żyła kilkaset lat temu, babciu, na pewno spaliliby cię na stosie.

- Wiem, skarbie, wiem... Spalono mnie w czasie działania hiszpańskiej inkwizycji i nie było to przyjemne, ale potem wróciłam i żyłam jeszcze wiele razy... Prawda przetrwa nawet w płomieniach, tak, tak... Pewnego dnia ludzie przestaną obawiać się siły, która

drzemie w nas wszystkich, nawet tacy sceptycy jak twój Humphrey, Hanno. Nawet tacy jak on...

Spacerowały po ogrodzie, podziwiając „sprytne maleństwa”, które wysiały się i wschodziły w tak trudnych miejscach jak pęknięcia w murze i pomiędzy płytami tarasu, potem karmiły kaczki, z wyraźną przyjemnością pływające pod topolami i płaczącymi wierzbami. Kiedy usiadły na tarasie, pani Megalith podała im nalewkę z czarnego bzu, który sama przygotowywała. Wydawało się, że wojna nie tknęła Elvestree House, gdzie nawet w najgorszych czasach nie brakowało jaj, mleka i sera. Pani Megalith wymieniała masło na mięso i ryby, czasami też udawało jej się bardzo tanio kupić na czarnym rynku kartki na produkty spożywcze. W swojej szklarni hodowała nawet banany, przypisując całą zasługę za to niezwykle osiągnięcie rozłożonym wśród drzewek kryształom. W Elvestree wszystkie rośliny dawały obfite plony, a ogród Megababci, ku irytacji Hanny, był ulubionym miejscem pobytu ptaków, nawet tak rzadkich jak maskonury i pliszki, które zasadniczo nie zatrzymywały się na terenie Anglii. Z jakiegoś powodu Elvestree było prawdziwym rajem dla wędrownych ptaków, choć niektóre musiały zbaczać o wiele kilometrów ze swoich tras, aby tam dotrzeć.

Trzy panie zjadły smakowity lunch, złożony z pieczonego, soczystego kurczaka i domowych warzyw, a potem Hanna i Maddie pomogły Megababci oczyścić kryształy. Zanim wyniosły je do ogrodu, powietrze stało się nieco ostrzejsze, a światło łagodniejsze, bardziej rozproszone. Wszystkie równocześnie spojrzały na zegarki. Była już trzecia trzydzieści, a one prawie nie zauważyły upływu czasu.

- Dobry Boże, Hanno! - jęknęła pani Megalith, nerwowo szarpiąc koraliki, do których przywiązała okulary, żeby ich nie zgubić. - George!

- Obiecałam, że ją uczeszę! - przeraziła się Maddie, nagle ogarnięta wyrzutami sumienia. Babka odwróciła się i ostro skarciła ją za płochość. - George nie będzie przecież przyglądał się jej włosom, moja droga! Kocha ją taką, jaka jest!

Rozdział drugi

Rita stała na przystanku autobusowym i ogryzała paznokcie. Chociaż otaczała ją rodzina George'a, czuła się bardzo samotna, wręcz odizolowana na wysepce strachu, podniecenia i nadziei. Patrzyła na Treesa i Faye Boltonów, i wiedziała, że oni odczuwają to samo. Zawsze istniała możliwość, że George'a nie będzie w autobusie, że w drodze z Francji spotkało go coś złego. Z ich napiętych twarzy i nerwowych uśmiechów można było wyczytać wielki niepokój. Obok rodziców stała siostra George'a, Alice, wraz z dwójką swoich dzieci.

George nie był jedynym młodym mężczyzną, który tego dnia miał wrócić z wojny, więc na przystanku czekały także inne rodziny. Wszyscy, pełni obaw, okazywali ostrożny optymizm. Powietrze wibrowało napięciem i podnieceniem, łączącym oczekujących.

- Czuję się jak na mękach - powiedziała Faye do Rity. - Jestem taka zdenerwowana, że nie wiem, co robić...

Rzuciła zatroskane spojrzenie na córkę, której mąż, Geoffrey, nie został jeszcze zdemobilizowany, i zrobiło jej się żal Alice, zawsze spokojnej, skromnej i gotowej w każdej chwili ustąpić niecierpliwemu i impulsywnemu George'owi, przyciągającemu uwagę całej rodziny. Faye nigdy nie musiała martwić się o Alice, która dzięki filozoficznemu podejściu do życia płynęła wraz z prądem, bez trudu omijając niebezpieczne skały i wiry. Przynęcała sobie, że już niedługo skupi uwagę na córce, ale jeszcze nie teraz. Ten dzień należał do George'a.

Faye miała piękną twarz, prawie nienaznaczoną wiekiem; jej skóra była delikatna jak świeżo wyczesana bawełna i zupełnie wolna od zmarszczek. Jasne włosy wiązała w luźny kok i ta fryzura podkreślała piękne linie policzków i podbródka. Oczy Faye, koloru nieba w mglisty poranek, często wzbierały łzami, gdy słuchała pięknej muzyki czy smutnych historii lub gdy oglądała przemawiające do jej wyobraźni obrazy. Faye uwielbiała Tolstoja, Puszkina i Oscara Wilde'a. Tylko jej dłonie zdradzały, czym się zajmowała były bowiem zniszczone i wiecznie spierzchnięte, potrafiły jednak wyrzeźbić z gliny dosłownie wszystko. Zawsze mówiła, że zamierza sprzedawać swoje rzeźby (Boltonowie nie narzekali na nadmiar pieniędzy), lecz zbyt szybko się do nich przywiązywała.

- Tworzę je z miłością, więc są teraz częścią mnie - mawiała, ustawiając dzieła swoich rąk wśród książek, zdjęć, nut utworów, które

grała na fortepianie, wciąż od nowa budując chaotyczny kalejdoskop, złożony ze wszystkiego, co było jej drogie.

Trees w milczeniu otoczył jej talię ramieniem. Wysoki i bardzo szczupły, o długich ramionach i nogach, otrzymał przydomek Trees, czyli Drzewa, z powodu drzew orzechowych, których hodowanie było jego wielką pasją. Całymi dniami doglądał inwentarza żywego i całego gospodarstwa, chodząc wszędzie razem ze swoim ulubionym psem pasterskim, suką Mildred. Trees miał szlachetną twarz o regularnych rysach, jakiej z pewnością nie powstydziliby się niejedno rzymskie popiersie, wąski nos i głęboko osadzone oczy w ciepłym odcieniu brązu. Faye instynktownie przytuliła się do niego. Kochała Treesa, lecz nigdy nie udało jej się trafić do jego serca. Trees zachowywał dystans w stosunku do ludzi i znacznie bardziej interesował się orzechami włoskimi niż swoimi bliskimi. Faye nie czuła najmniejszych wyrzutów sumienia, że ma kochanka. Każda kobieta potrzebuje miłości i Faye nie stanowiła pod tym względem wyjątku. Miłość była dla niej nieodłączną częścią muzyki i sztuki, a ponieważ wszystkie uczucia skupiała na tworzeniu rzeźb i graniu ulubionych utworów muzycznych, próżno oczekiwała wzajemności.

Lekko dotknęła ramienia Rity.

- Oczekiwanie szybko się skończy - powiedziała. - Pojedziesz z nami, prawda? Po podwieczorku George odwiezie cię do domu...

Rita skinęła głową i nagle wstrzymała oddech, ponieważ ponad ramieniem Faye ujrzała zbliżający się dostojnie autobus.

Wszyscy umilkli i odwrócili się. Wydawało się, że autobus porusza się w zwolnionym tempie; oczekujący na przystanku wyciągnęli szyje i pochylili się do przodu, żeby zajrzeć do środka, przed oczami mieli jednak tylko mgłę wzruszenia i przywołane z pamięci twarze młodych mężczyzn, których kochali i za którymi tęsknili. Wreszcie ciszę rozdarł zgrzytliwy pisk hamulców i głucho uderzenie otwieranych drzwi. Rodzina, której syn pojawił się na stopniach jako pierwszy, wybuchnęła radosnym gwarem; wszyscy rzucili się naprzód jak fala i zaraz się cofnęli, pociągając młodego żołnierza ze sobą. Po chwili podobne przyjęcie zgotowano drugiemu, potem trzeciemu i czwartemu, i w końcu, kiedy Rita już prawie uwierzyła, że jej przerażające sny się spełnią, u szczytu schodów pojawił się George, z twarzą rozjaśnioną szerokim uśmiechem.

Z ostatniego stopnia skoczył prosto w ramiona matki. Był dużo wyższy od Faye, musiał więc pochylić się, aby wtulić twarz w załomek jej szyi i napełnić nozdrza znajomym zapachem dzieciństwa. Ojciec poklepał go po plecach, trochę za mocno, nie wstydząc się błyszczących od łez oczu. Alice wzięła na ręce dwuletnią córeczkę i George objął je obie, potem zaś przykucnął, żeby ucałować małego chłopca, którego widział tylko jeden raz. Zachwycony i przejęty widokiem nieznanego w starannie wyprasowanym mundurze RAF, dzieciak mocno otoczył ramionami nogi matki.

George wyprostował się i potoczył wzrokiem po tłumie. Dopiero teraz ujrzał pobladałą twarz ukochanej. Jego gardło ścisnęło się mocno, boleśnie. Rita stała zupełnie nieruchomo, tylko wiatr poruszał jej włosami, podrzucając je wysoko i płacząc wokół szyi. Patrząc na nią w skupieniu, George przedarł się ku niej i z ogromną czułością, jakby podnosił dzikiego ptaka, wziął ją w ramiona i ostrożnie przytulił do piersi. Zamknął oczy i wtulił twarz we włosy ukochanej, raz po raz powtarzając szeptem jej imię. Po policzkach Rity popłynęły łzy, nie czuła jednak wstydu, lecz obezwładniającą ulgę. George odsunął się na odległość ramienia i delikatnie ujął jej podbródek, potem zaś złożył gorący pocałunek na wargach. Rita nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia - pieszczotliwy dotyk George'a, był inny, bardziej namiętny i czuły. Dolną część jego twarzy pokrywał kłujący zarost, dłonie były suche i stwardniałe, i nawet zapach skóry miał w sobie inną, jakby odrobinę zwierzęcą nutę. Rita zrozumiała nagle, że jej matka miała rację - George wyjechał jako chłopiec, lecz wrócił jako mężczyzna. Ta myśl sprawiła, że krew zaczęła szybciej krążyć jej w żyłach, a po całym ciele przebiegł dreszcz dziwnego, prymitywnego podniecenia.

Trees przyjechał do miasta półcieżarówką, więc on, Faye i Alice z dziećmi usiedli z przodu, zostawiając Ritę i George'a z tyłu, gdzie wiatr szarpał ich włosy i rzucał im je prosto w oczy. George oparł się plecami oabinę, nie wypuszczając Rity z objęć i opierając brodę o czubek jej głowy.

- Całymi latami marzyłem o tej chwili... - zamruczał.

- Uszczypnij mnie! - Roześmiała się cicho. - Nie wierzę, że to wszystko dzieje się naprawdę...

Uściskał ją mocno i pocałował w szyję.

- Nosilem twoje zdjęcie ze sobą i patrzyłem na nie, ilekroć ogarniało mnie przygnębienie. Ciagle za tobą tęskniłem, twoje listy

trzymały mnie przy życiu... - Przytulił ją mocniej i westchnął. - Tu jest jak w raju... Anglia wygląda piękniej, niż ją zapamiętałem... - Zawiesił głos. - I ty także...

Oboje zdawali sobie sprawę, że od jego najbliższych oddziela ich tylko szyba, zadowalali się więc skromnymi pocałunkami i cicho szeptanymi czułościami.

- Pachniesz fiołkami... - powiedział George, wachając jej skórę. - Chcę cię całować całą, wszędzie...

Zaśmiała się nerwowo, nie poznając dziwnych cieni w jego oczach. Przesunął palcami po jej ramieniu i po cienkim materiale sukienki, której spódnicę wydymał wiatr, odsłaniając smukłe dziewczęce łydki i kostki. Zauważył, że nieco przytyła, a jej piersi stały się pełniejsze, lecz otwarta twarz i złocistobrązowe oczy nadal promieniały dziecinną pogodą ducha. Rita nie zmieniła się, lecz on tak, i nagle poczuł się zmieszany i zawstydzony w obliczu takiej czystości i niewinności.

Co się z nim stało? Jak nisko upadł, jaki poziom zdeprawowania osiągnął? Ilu ludziom odebrał życie? Czuł się wewnętrznie zbrukany, miał wrażenie, że idąc na wojnę, powierzył duszę diabłu, a teraz upomina się o jej zwrot, nie rozumiejąc, iż jest to zwyczajnie niemożliwe, bo diabeł nie działa w taki sposób. George pojął nagle, że nie jest w stanie wymazać czynów, jakie popełnił. Wojna zmieniła go w nieodwracalny sposób i mógł jedynie tęsknić za chłopcem, którym kiedyś był.

Nie dość, że sam pozbawiał życia innych, patrzył też na brutalną śmierć ludzi, którzy stali się mu bliscy jak bracia. Zszedł na dno swojego prywatnego piekła, oplakując stratę przyjaciół, drżąc o własne życie i obawiając się nieuniknionej pustki unicestwienia. Zmieniła się także jego hierarchia wartości. Liczyły się tylko miłość i życie, no i sztuka zapominania... Jak jednak mógł się spodziewać, że Rita zrozumie przemianę, jaka w nim zaszła? Popatrzył w jej ufne oczy i postanowił, że ożeni się z nią i zapewni sobie nieśmiertelność, powołując do życia dużo dzieci. Jeszcze niedawno ryzykował życie, aby ratować ojczyznę przed nazistami. Czyniąc to, stracił chłopięcy sposób postrzegania świata i niewinne nadzieje młodości. Na farmie słodki zapach krów mieszał się z aromatem żywnych, budzących się do życia pól. George zeskoczył na ziemię, aby chwycić w ramiona Mildred, radośnie ujadającą przy bramie. Trees zaparkował wóz obok

krzaku różowego głogu i pomógł wysiąść żonie i wnukom. Rita patrzyła, jak Cyril, zarządca farmy, oraz inni robotnicy serdecznie witają George'a, którego znali od najwcześniejszego dzieciństwa. Mildred dyszała i skomlała z podniecenia. George pocałował psa w mokry nos i zwichrzył jego sierść, rozmawiając z Cyrilem, który mocno poklepał go po plecach. Rita poczuła, jak jej serce zalewa fala podziwu i dumy. George był taki przystojny w mundurze... Pomyślała o Elsie Shelby i zaczęła się zastanawiać, czy akt miłości fizycznej rzeczywiście przypomina kąpiel w ciepłym miodzie.

Faye i Alice weszły z dziećmi do zbudowanego z czerwonej cegły domu o małych oknach i niskich, belkowanych sklepieniach, typowych dla siedemnastowiecznej architektury. Trees bardzo niechętnie wydawał pieniądze na naprawy, ponieważ uważał, że większość rzeczy w domu będzie w stanie zrobić sam. W rezultacie zimą trzeba było rozstawiać wiadra, aby zbierać skapującą z dziurawego dachu wodę, i barwnymi chodnikami przykrywać plamy na dywanach, spowodowane przez wilgoć i mysie odchody. W domu często rozbrzmiewała muzyka klasyczna, gdyż Faye albo sama grała na fortepianie, albo puszczała płyty gramofonowe, a niezliczone wazony były pełne kwiatów, które miały złagodzić wrażenie ogólnego nieładu i wątpliwych pomysłów dekoracyjnych.

George wyciągnął ręce do Rity, zeskoczyła z półciężarówki prosto w jego ramiona. Oboje wyczuwali seksualne napięcie, wibrujące między nimi, i ich twarze płonęły rumieńcem podniecenia i oczekiwania.

- Chodź ze mną na plażę po podwieczorku - szepnął jej do ucha. - Chcę być tylko z tobą...

Rita bez wahania skinęła głową. Ciepły oddech George'a cudownie pieścił jej skórę.

George z radością przebrał się w cywilne rzeczy, rozglądając się po swoim pokoju, który wyglądał dokładnie tak, jak w dniu jego wyjazdu. Matka zadbała, aby panowały tu porządek i czystość - był to chyba jedyny pokój w domu, który ostał się jej skłonności do tworzenia chaosu. George powiesił mundur w szafie i nagle poczuł, jak ogarnia go wielki smutek. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że znajdujące się w pokoju sprzęty i przedmioty należą do kogoś innego, do naiwnego i niewinnego chłopca, który miał przebyć jeszcze długą drogę, nim stanie się mężczyzną. Potrząsnął głową, pragnąc pozbyć

się niewesołych myśli, i szybko włożył brązowe trzewiki, w których zwykle chodził na plażę.

Faye upiekła ciasto, aby uczcić powrót syna. Nie żałowała świeżego masła i jaj, a dzieci ozdobiły lukrową powłokę malutkimi ozdobami z cukru, który Trees zdobył na czarnym rynku w zamian za mięso z ubitej świni. Na stole czekał już dzbanek z gorącą herbatą i porcelanowe filiżanki z serwisu, który Faye i Trees dostali w prezencie ślubnym. Wszyscy usiedli w saloniku, otoczeni przytulnym chaosem artystycznego życia Faye. Mały Johnnie brzdąkał na fortepianie, dopóki Alice nie powiedziała mu, żeby wreszcie usiadł przy stole i wziął się do swoich kanapek.

- Chodź, kochanie - zachęciła syna. - Babcia chciałaby puścić ładną muzykę, ale nic nie będzie słychać, jeżeli nie przestaniesz bawić się klawiszami.

- Nauczę cię grać, kiedy trochę podrośniesz - obiecała Faye, patrząc, jak chłopczyk niechętnie schodzi z taboretu.

Mały usadowił się obok matki, nie spuszczając z George'a płonących ciekawością oczu.

- Wcale nie chcę uczyć się grać, chcę być żołnierzem, jak wujek George. - Johnnie zdecydowanym ruchem sięgnął po kanapkę.

- Możemy pobawić się w żołnierzy - zaproponował George.

- Masz pistolet? Dziadek ma wiatrówkę i strzela do królików, wiesz? Wczoraj jedliśmy królika, prawda, mamó?

Alice uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Tak, kochanie. Był pyszny, co?

- A ty strzelasz do królików, wujku?

- Czasami - odparł George.

- Nauczysz mnie? Dziadzio mówi, że jestem jeszcze za mały... - Może poszedłbyś po babcine pudełko z zabawkami? - odezwała się Alice, delikatnie popychając chłopca w kierunku kredensu. - Wiesz przecież, gdzie ono jest...

Mały Johnnie rzucił wujowi uśmiech i posłusznie pobiegł po zabawki.

Chwilę wszyscy milczeli, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Nieobecność George'a w domu i życiu rodziny trwała tak długo, że nie mieli pojęcia, od czego zacząć. Ricie miłość i uwielbienie odebrały głos, Faye zaś czuła ogromną radość, na której dnie czaił się lekki niepokój. Dostrzegła w twarzy syna coś dziwnego, mrocznego i

obcego. George zdawał sobie sprawę, że nigdy nie zdoła opowiedzieć najbliższemu, jak przerażające rzeczy przeżył na wojnie, ani podzielić się z nimi pewnymi doświadczeniami, ponieważ wykraczały one poza granice zrozumienia normalnego, porządnego człowieka. Być może tylko Trees byłby w stanie przynajmniej częściowo pojąć przemianę, jakiej uległ George, bo sam walczył w czasie pierwszej wojny światowej.

- Jak się czujesz w domu, synu? - zapytał Trees. Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem, gdyż Trees rzadko brał udział w rozmowie.

- Nic się nie zmieniło, tato - odrzekł George.

W jego głosie zabrzmiała nuta smutku. Siedział na długiej ławie przed kominkiem, z ramionami opartymi na udach. Porcelanowa filiżanka wydawała się zabawnie mała i krucha w jego dużych dłoniach. Pokręcił głową i utkwiał spojrzenie w fusach na dnie filiżanki.

- Nic się nie zmieniło - powtórzył. - Wszystko jest dokładnie takie, jak zapamiętałem...

Jak miał opisać dręczące go poczucie straty i winy? Przeżył, chociaż tylu innych zginęło. Jakimi słowami mógł wytłumaczyć sobie i rodzinie, że czuje się nie na miejscu w pełnym słońca saloniku matki, w miejscu nietkniętym przez wojnę, gdzie wciąż pije się herbatę z ładnych porcelanowych filiżanek? Dla jego najbliższych wojna była czymś niepojętym, więc nigdy go nie rozumieją.

- Zebraliśmy sporo ozimego owsa - podjął spokojnie Trees. Jego żona wodziła zaniepokojonym, czujnym spojrzeniem od niego do George'a.

- To dobrze - powiedział George. - A jak inwentarz?

- Nie najgorzej. Wszyscy potrzebują mleka, prawda?

- Jasne.

- Ray przeszedł na emeryturę, czego bardzo żałuję, ale wstawanie przed świtem za bardzo go już męczyło, zwłaszcza zimą.

- Kto zajmuje się teraz krowami?

- Barry. Ray wszystkiego go nauczył.

- Świetnie. - George pokiwał głową.

- Ray wcale nie był zadowolony, że przestaje pracować, chociaż było to dla jego własnego dobra... - Trees podniósł filiżankę do ust.

Znowu zapadła cisza. Rita chciała się odezwać, lecz nie potrafiła przemóc onieśmielenia. W końcu George odchrząknął.

- Doskonałe ciasto, mamó - powiedział z uznaniem.

Faye zamrugała, usiłując powstrzymać łzy. Wiedziała, dlaczego jej mąż podjął wysiłek, aby wciągnąć George'a w rozmowę - uczynił to z powodu dziwnych cieni w oczach syna, cieni, które tylko on potrafił zrozumieć.

- Faye piecze okropne ciasta - rzekł nagle Trees, odstawiając talerzyk. - Spójrzmy prawdzie w oczy, to także jest okropne.

Faye chwilę patrzyła na męża z lekko uchylonymi ustami, a potem zasłoniła je dłonią, tłumiąc nerwowy śmiech.

- Och, mój drogi, nie jesteś zbyt rozmowny, ale kiedy już zdecydujesz się przemówić, trafiasz w samo sedno... - powiedziała.

George odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Nagle atmosfera oczyściła się, jak powietrze po gwałtownej burzy.

- Macie rację, to okropne ciasto... - wykrztusił, wciąż się śmiejąc.

- Ale przecież jajka były świeże! - zaprotestowała Faye.

- Co jeszcze do niego dodałaś, mamó?

- - Nie jest takie złe - powiedziała lojalnie Alice, chociaż jej ramiona drżały, jakby starała się zapanować nad atakiem wesołości. - Co o nim myślisz, Rito?

- Nie pytaj, bo Rita zawsze jest bardzo uprzejma - wtrącił George.

Rita uśmiechnęła się i przygryzła dolną wargę, rumieniąc się na dźwięk jego głosu, wymawiającego jej imię.

George poczuł, że jednak może im coś opowiedzieć, przynajmniej o niektórych przeżyciach. Łzy Faye obeschły, Trees znowu wycofał się w milczenie, wszystko wróciło do normy. Kiedy zaczął już mówić, nie był w stanie przestać, a najbliżsi słuchali go z zainteresowaniem i przyjemnością, ponieważ był urodzonym gawędziarzem. Rita nie odrywała oczu od jego twarzy, co sprawiało mu radość, ponieważ jej skupione spojrzenie było jak ciepły, rozgrzewający serce promień słońca.

Po pewnym czasie uświadomił sobie, że czas mija, a on pragnie przecież jak najszybciej znaleźć się sam na sam z Ritą. W końcu odsunął filiżankę i podniósł się.

- Mógłbym tak gadać przez całą noc, ale robi się późno i muszę odwieźć Ritę do domu - rzekł.

Dłonie Rity zwilgotniały na myśl, że wkrótce zostanie sama z George'em. Nerwowo odgarnęła włosy za uszy i wstała.

- Dziękuję za podwieczorek. - Uśmiechnęła się do Faye.

- Nie ma za co, moja droga. Sądzę, że w czasie weekendu Trees nie będzie potrzebował pomocy na farmie.

- Teraz ma do pomocy George'a - odparła Rita, wyobrażając sobie, z jaką przyjemnością ojciec i syn będą wspólnie pracować. - Na pewno George zajmie ci cały wolny czas, więc na razie przerwiemy lekcje rzeźby - dodała Faye.

W czasie wojny zaczęła uczyć Ritę rzeźbiarstwa, ciesząc się, że może zapewnić jej interesujące zajęcie. Towarzystwo dziewczyny sprawiało jej radość, chociaż nie sądziła, by Rita miała szczególne zdolności artystyczne. Rita potrząsnęła głową.

- Nie, za nic na świecie! - zaprotestowała. - Uwielbiam rzeźbić i zawsze znajdę na to czas!

- Doskonale. - Faye serdecznie położyła rękę na jej ramieniu. - Do zobaczenia jutro wieczorem, na przyjęciu. I jeszcze raz dziękuję, że pomogłaś mojemu mężowi uprzątnąć stodołę. Mam nadzieję, że pogoda nie sprawi nam zawodu...

- Na pewno nie.

- Weź ciężarówkę - powiedział Trees do syna.

George kiwnął głową, objął Ritę i wyprowadził ją z pokoju.

Wreszcie byli sami. George zmienił bieg i po chwili, gdy wyjechali na główną drogę, splótł palce z palcami Rity.

- Jedźmy prosto na plażę - powiedział.

- Jest przypływ.

- W takim razie będziemy musieli zamoczyć nogi. - Oderwał wzrok od drogi i posłał Ricie szeroki uśmiech, który sprawił, że wokół jego ust i oczu zarysowały się zmarszczki. - Dobrze jest wrócić do domu...

- Twoja mama włożyła dużo serca w przygotowanie tego ciasta. - Rita roześmiała się lekko. - Nie było zresztą takie złe...

- Było okropnie niesmaczne! Od dawna marzę o orzechowym cieście twojej mamy. Moja jest beznadziejną kucharką, dużo lepiej radzi sobie z rzeźbą.

- Moja mama niczego by nie wyrzeźbiła, nawet gdyby zależało od tego jej życie - zauważyła Rita.

- Co u niej?

- Nic się nie zmieniło, tak jak powiedziałeś.

- Całe szczęście. Nie chciałbym, żeby dobra Hanna kiedykolwiek się zmieniła. Na pewno Megababcia nadal jest w świetnej formie, prawda?

- Jak zawsze! Oboje roześmiali się na myśl o pani Megalith.

- Wciąż stawia tarota?

- Niestety, tak...

- Obym tylko nie zapomniał natrzeć się czosnkiem przed spotkaniem z tą niezwykłą damą!

- Megababcia nie jest wampirem, na miłość boską! - oburzyła się Rita.

- Za to z całą pewnością jest czarownicą. Wiesz może, jak należy chronić się przed wiedźmami?

- Nie mam pojęcia, co odstrasza czarownice, ale babcia nie znosi psów, bo straszą jej koty.

- Wezmę ze sobą Mildred. - George się uśmiechnął.

- Chcesz, żeby rzuciła na ciebie urok? Nie chcę całować żaby...

- Dlaczego? Pocałowana żaba może zamienić się w księcia, nie wiesz o tym?

- Wiem, ale...

- Ale co?

- Nie chcę księcia. Chcę tylko ciebie. George zaparkował samochód w pobliżu klifów, ostro rysujących się na tle ciemniejszego nieba.

- Nie mogę spacerować w tych pantoflach - powiedziała Rita, wysiadając z samochodu.

Jeszcze ważniejsze od butów były jednak pończochy, prezent od amerykańskiego żołnierza, z którym się zaprzyjaźniła. Był to rzadko spotykany, luksusowy towar, którego nie zamierzała od razu zniszczyć.

George zapalił papierosa i w milczeniu patrzył, jak Rita schyla się, żeby odpiąć skórzany pasek na podbiciu stopy. Potem oparta się o ciężarówkę i nieśmiało uniosła spódniczkę, żeby zdjąć pończochy. Czuła na sobie jego spojrzenie i na jej twarz wypełził ciemny rumieniec. Świadomość, że George nie spuszcza z niej płonących oczu, sprawiła, że jej zeszywniałe palce nie poradziły sobie z podwiązkami.

Ach, te przeklęte zapinki! - wykrzyknęła. George wetknął papierosa między wargi, podszedł do niej, uklęknął i z zachwytem przesunął dłońmi po jej nogach, od kostek w górę. Rita znowu zaśmiała się nerwowo, próbując go odepchnąć.

- Poradzę sobie, naprawdę... - zaprotestowała słabo.

Ale jego palce już ściągały w dół pończochę. Czowała ciepłe dłonie na skórze i zdawała sobie sprawę, że cała operacja trwa dłużej, niż powinna. Przytrzymała sukienkę i szybko rozejrzała się dookoła, pełna obaw, że ktoś mógłby zobaczyć ją w tak kompromitującej sytuacji. Wyglądało na to, że George nie wyczuwa jej lęku albo po prostu ma go za nic. Sprawnie poradził sobie z podwiązkami, a potem powoli zsunął jedwabną pajęczynę po udzie, łydce i stopie, podziwiając widok, który miał przed oczami. Rita wzięła pończochę z jego rąk, udzielając mu milczącego przyzwolenia na odpięcie drugiej. George rozumiał, że jego dotyk sprawia jej przyjemność, ponieważ celowo długo gładził obnażoną skórę nad pończochą. Wreszcie rzucił papierosa na ziemię i pocałował Ritę w udo. Drgnęła niespokojnie, skromnie obciągając sukienkę.

- Trochę za późno na demonstrację nieśmiałości, nie wydaje ci się? - zażartował, zdejmując drugą pończochę z jej stopy.

Podniósł się z kolan. Twarz dziewczyny była tak mocno zaróżowiona, że uśmiechnął się z pełnym czułości rozbawieniem i musnął jej wargi pocałunkiem.

- Chodźmy do naszej jaskini - powiedział.

Wziąwszy się za ręce, zeszli ścieżką na plażę. Słońce wisiało nisko po zachodniej stronie nieboskłonu, nadając barwę miedzi wznoszącym się i opadającym falom. Kiedy stanęli na mokrym, zimnym piasku, Rita zamilkła, przejęta świadomością, że lada chwila znajdą się w zaciszu jaskini, zupełnie sami.

Dotarli do skał. George chwycił Ritę w ramiona, przenosząc ją nad małymi jeziorkami, pełnymi krabów i innych skorupiaków, i nad wąskim pasmem piasku, teraz zalany warstwą wody. Buty natychmiast mu przemokły, lecz nie zwracając na to najmniejszej uwagi, brnął dalej, rozpryskując słoną wodę, prosto do wejścia do jaskini, gdzie wysoki skalny próg chronił wnętrze przed atakami morskich fal. Tam postawił Ritę na ziemi i, zanim zdążyła się odezwać, poszukał jej ust, całując ją głęboko i namiętnie.

Dziewczyna odpowiedziała równie gorąco i otoczyła jego szyję ramionami. Jakże zmienili się od czasu pierwszych pocałunków... Wtedy dopiero zaczęli odkrywać świat uczuć, teraz George był mężczyzną... Jego twarz pokrywał zarost, ręce były silne i zdecydowane. Kiedy przytulił ją mocniej, poczuła twarde, napięty kształt pod naprężonym materiałem spodni.

- Boże, jak ja cię pragnę... - szepnął, przywierając wargami do jej szyi.

Była gotowa na wiele, żeby sprawić mu przyjemność, jednak nie potrafiła zapomnieć przestróg matki. Chociaż większość dziewcząt, które znała, bez zahamowań oddawało się swoim mężczyznom przed ich wyjazdem na wojnę, ona wciąż uważała, że powinna powstrzymać się aż do nocy poślubnej, a George rozumiał jej skrupuły i nigdy nie naciskał. Dopiero dzisiaj poczuła pożądanie znacznie silniejsze niż kiedykolwiek dotąd i nagle ogarnęło ją przerażenie.

Dłoń mężczyzny znalazła jej pierś, kciukiem pieścił sutek przez materiał sukienki. Wargi sunęły po jej szyi i ostry, drażniący dotyk zarostu w połączeniu z ciepłą wilgocią wnętrza ust i języka spowodował, że wstrząsnął nią gwałtowny dreszcz. Objęła jego biodra nogą i przyciągnęła do siebie kolanem, ale on cofnął się lekko, aby położyć dłoń na jej udzie. Spojrzał jej prosto w oczy i wtedy dostrzegła, że w tych źrenicach czai się dzika gorączka i coś, czego nie znała. George doskonale pamiętał młode Francuzki, z którymi sypiał po wyzwoleniu Paryża, lecz żadna z nich nie była ani tak słodka, ani tak niewinna jak jego Rita. Kiedy znowu odszukał jej usta, Rita na długą chwilę zatraciła się w pocałunku. Oprzytomniała, gdy palce George'a dotknęły wewnętrznej strony jej uda i majtek. Drgnęła i mocno zacisnęła nogi.

- Chcę się z tobą kochać, najdroższa... - jęknął. Jego czoło było mokre od potu, oddech parzył jej skórę.

- Ja też cię pragnę... - szepnęła, lecz w jej głosie brzmiało wahanie.

- Niedługo zostaniesz moją żoną - powiedział, rozumiejąc jej niepewność. Cofnął się i parsknął krótkim śmiechem. - Kochanie, nigdy nie myślałem o przyszłości z inną dziewczyną... W moim sercu już jesteś moja na zawsze.

- A ty jesteś dla mnie mężem - odparła, przypominając sobie przystojnych amerykańskich oficerów, którzy uparcie zabiegali o jej względy - Dla ciebie zachowałam czystość...

- Kiedy się pobierzemy, wycałuję cię całą, centymetr po centymetrze. - Z ciężkim westchnieniem musnął wargami jej czoło i znowu przywdział zbroję cierpliwości.

Rita objęła go i zbliżyła twarz do jego twarzy. Czuła, że należy do George'a w sposób równie naturalny, jak do tej wioski w Devonshire. Ogarnięta poczuciem bezpieczeństwa i pewności, że wszystko układa się, jak należy, pocałowała go gorąco, uszczęśliwiona jego powrotem.

Rozdział trzeci

Kiedy Rita wróciła do domu, rodzice i siostry czekali na nią w kuchni razem z Megababcią, ubraną w długą, ciemnofioletową suknię ze starannie udrapowanym turkusowym szalem. Zamilkli nagle, jakby coś odebrało im głos. Rita włożyła wprawdzie pończochy i buty, lecz jej włosy były potargane, a skóra mocno podrażniona i zaczerwieniona od kontaktu z zarostem George'a.

- No, moja droga, nie potrzebuję pytać, czy młody George bezpiecznie wrócił do domu! - prychnęła pani Megalith. - Twoja twarz mówi wszystko!

Eddie uśmiechnęła się łobuzersko, natychmiast dostrzegając, że jeden guzik sukienki siostry jest odpięty. Tak istotny detal nie uszedł również uwagi starszej pani.

- Dobry Boże, mężczyźni to prawdziwe zwierzaki! - mruknęła. - Szkoda, że nie pofolgował swojej żądzy z jakąś przypadkową dziewczuchą, zanim dobrał się do ciebie!

Rita szybko podążyła za spojrzeniem Megababci i jej dłoń poderwała się ku nieszczęsnemu guzikowi. Maddie siedziała w milczeniu, rozpoznając nieprzytomny wyraz w oczach siostry - widziała podobny w lustrze zaraz po tym, jak oddała się Hankowi Westonowi na tylnym siedzeniu jego dżipa. Na szczęście nawet jasnowidzące zdolności Megababci nie były w stanie wykryć tego sekretu.

- Jak on się czuje? - zapytała Hanna, ignorując matkę. - Zmarzłaś na kość, kochanie. Gdzie byliście, na miłość boską? - ujęła lodowate ręce Rity w swoje duże, ciepłe dłonie i poprowadziła ją do fotela na biegunach. - Usiądź i wszystko nam opowiedz.

- Poszliśmy na spacer po plaży - odparła Rita rozmarzonym głosem, unikając wzroku Eddie, która wpatrywała się w nią z zafascynowaniem.

Eddie nie miała cienia wątpliwości, że jej siostra kochała się z George'em.

- Ach, tak! - parsknęła pani Megalith. - To by tłumaczyło wygląd twoich włosów... Wyglądają tak, jakby mewa próbowała uwić sobie w nich gniazdo.

- Czy całował cię bez końca? - zagadnęła Eddie.

- Takich pytań nie zadaje się młodej kobiecie, skarbie - skarcił ją ojciec.

Jak zwykle siedział u szczytu stołu, trzymając w dłoni szklaneczkę szkockiej, i z rozbawieniem obserwował swoją rodzinę.

- Nie trzeba być wróżką, żeby na nie odpowiedzieć. - Twarz Megababci rozjaśnił uśmiech. - Nic nie służy zdrowiu tak jak pocałunki, to prawdziwy tonik! - Młasnęła wargami i pokuśtykała do stołu. - Weź to, Edwino - dorzuciła, podając swoją laskę najmłodszej wnuczce. - I nalej mi sherry, moja droga, bo całe to zamieszanie mocno mnie już zmęczyło.

- Przepraszam, że nie wróciłam na czas, żeby cię uczesać - powiedziała Maddie.

- Nie przejmuj się, i tak ledwo zdążyłam się przebrać.

- Powinnaś się cieszyć, że nie zmarnowałaś czasu, Madeleine - oznajmiła pani Megalith, z królewską godnością siadając na krześle. - Szkoda, że nie upinasz włosów tak jak ja, Rito, bo wtedy w ogóle nie musiałabyś ich czesać.

- Więc jak to było, kochanie? - ponagliła Ritę matka. - Opowiadaj od samego początku. Czekając na niego na przystanku autobusowym, tak?

- Tak, razem z Treesem, Faye, Alice i dziećmi. - Ale chyba oni wszyscy nie wybrali się z wami na plażę, prawda? - W oczach Megababci błysnął ironiczny uśmieszek.

- Pojechaliśmy na farmę na herbatę, a potem George odwiózł mnie do domu. Po drodze zatrzymaliśmy się na plaży...

- Zmienił się? - zapytała Hanna.

- Dorósł. Na pewno jest silniejszy fizycznie.

- Och, naturalnie... Teraz jest już mężczyzną.

- Będzie najlepiej, jeżeli zdecydujecie się na ślub w lecie - wtrąciła pani Megalith, biorąc kieliszek sherry z ręki Eddie. - Moglibyście urządzić wesele w moim ogrodzie.

Rita posłała babce promienny uśmiech. Nie potrafiła ukryć podniecenia. Starsza pani uniosła brwi.

- Widzę, że ci się oświadczył - zauważyła. - Najwyższy czas!

- Oświadczył się? - zapytał Humphrey.

- Naprawdę?! - wykrzyknęła Hanna.

- Nie wprost... - odparła Rita ostrożnie. - Powiedział tylko, że niedługo się pobierzemy.

- Słowa nic nie kosztują - mruknęła Megababcia, wychylając kieliszek do dna.

- Dajmy biedakowi trochę czasu, przecież dopiero wrócił do domu - wstawiła się za George'em Hanna.

- Myślę, że powinniśmy uczcić tę okazję - oświadczył Humphrey z radością. - Hanno, otwórzmy tę butelkę wina, którą zostawiliśmy na jakąś ważną uroczystość.

- Oczywiście! - Hanna szybko podeszła do kredensu. - Maddie, wyjmij kieliszki! Zaraz, zaraz, gdzie się podział korkociąg...

Hanna przygotowała dużą zapiekankę pasterską, którą podała z marchewką i pasternakiem z uprawianego przy domu warzywnego ogródka. Gorący posiłek rozgrzał Ritę, chociaż jej stopy do końca wieczoru pozostały zimne jak trzymane w lodzie ryby, co wciąż od nowa przypominało jej o spacerze z George'em po zalanej wodą plaży. Ciągle wracała też myślami do pocałunków i pieszczot, które wymienili w jaskini, i zupełnie nie potrafiła skupić się na rozmowie.

- Rito, wpadnij do mnie jutro na herbatę - poleciła pani Megalith, która od dłuższego czasu nie spuszczała z wnuczki nieco zaniepokojonego spojrzenia. - Chcę ci postawić karty.

Humphrey przewrócił oczami.

- Czy to naprawdę konieczne, Primrose? - zapytał, kręcąc głową i ze zniecierpliwieniem ściągając brwi. Nie chciał, aby jego teściowa przestraszyła czymś Ritę w tak szczęśliwym dla niej momencie.

- Absolutnie konieczne - oznajmiła Megababcia zdecydowanym tonem. Nikt nigdy nie sprzeciwił się pani Megalith. - Ja też chcę, żebyś mi postawiła karty! - wtrąciła Eddie. - Mnie nigdy nie wróżysz!

- Moje drogie dziecko, jesteś jeszcze za mała, żeby myśleć o czymkolwiek poza nauką. Nie muszę sięgać po tarota, żeby ci to uświadomić.

- A gdyby groziła mi śmierć? Chyba chciałabyś mnie uratować, prawda?

Pani Megalith spojrzała na dziewczynkę spod zmarszczonych brwi.

- Oczywiście, że tak, kochanie, ale w tarocie nie ma karty śmierci. Tego rodzaju rzeczy podpowiada mi wyłącznie intuicja. Muszę ci też z radością wyznać, że zaglądałam w twoją przyszłość i nie wątpię, że czeka cię długie i wyjątkowo interesujące życie...

- Mnie także bardzo to cieszy - rzucił sucho Humphrey. - W żadnym razie nie chcielibyśmy, aby ślub zbiegł się w czasie z pogrzebem, bo to nie wpłynęłoby dobrze na nastrój gości...

- Doprawdy, czasami twoje poczucie humoru przejawia się w całkowicie niestosowny sposób - mruknęła pani Megalith.

- Czy mogę przyjść z George'em? - zapytała Rita.

- Nie, przyjdź sama. Chcę z tobą spokojnie porozmawiać.

- Nie zobaczyłaś chyba nic strasznego? - Rita zacisnęła dłonie, ogarnięta nagłym lękiem.

- Sama widzisz, Primrose, że napełniasz jej głowę niepotrzebnymi bzdurami - warknął z irytacją Humphrey.

- Nie, nie, wcale się nie przestraszyłam - uspokoiła Rita ojca. - Babcia chce opowiedzieć Ricie o ptaszkach i pszczołkach! - Eddie parsknęła śmiechem.

Nie wydaje mi się, żebym musiała to robić - wymamrotała pani Megalith, pociągając łyk wina. - Trochę już na to za późno...

Rita zaczerwieniła się i rzuciła matce błagalne spojrzenie.

- Bardzo dobre wino, Humphrey - zauważyła Megababcia.

- Znakomite, prawda? - Podniósł kieliszek. - Jeszcze dziś rano było wodą...

Hanna gwałtownie odwróciła się do męża.

- Humphrey!

- Zyskuje na smaku, kiedy podaje się je do ślimaków i pajęczych nówek - zaśmiał się.

Kąciki ust pani Megalith uniosły się w lekkim uśmiechu.

- Możesz sobie kpić ze mnie do woli, mój drogi, ale uwierz, że to ja będę się śmiała ostatnia... - Przeniosła spojrzenie na Ritę. - Nie czerwień się tak, kochanie, nie trzeba. Kobieta powinna się cieszyć, że mężczyzna okazuje jej uwielbienie, nie ma w tym nic wstydlivego...

Hanna znacząco cmoknęła i pośpiesznie zmieniła temat. Znała opinie swojej matki i uważała, że należy w miarę możliwości jak najbardziej ograniczać jej wpływ na wychowanie dziewcząt. Megababcia z całą pewnością nie była odpowiednim wzorem do naśladowania. Hanna pragnęła, aby matka zachowała dla siebie uwagi na temat życia seksualnego i opowieści o własnych doświadczeniach w tej dziedzinie.

Rita leżała już w łóżku, kiedy Maddie zapukała do drzwi.

- Mogę wejść? - szepnęła, wsuwając głowę do pokoju.

Rita entuzjastycznie pokiwała głową, więc Maddie weszła i usadowiła się w nogach łóżka.

- No, jak, było cudownie? Rita uśmiechnęła się radośnie.

- Och, Maddie, jestem taka zakochana... - powiedziała, siadając. - Z trudem zdołałam nad sobą zapanować...

- Dlaczego mu nie pozwoliłaś?!

- Przecież wiesz... Nie jesteśmy jeszcze małżeństwem... Maddie parsknęła śmiechem.

- Na miłość boską, nie jesteś świętą dziewicą!

- Ale mogłabym zająć w ciążę... - Nie zajdziesz, jeżeli użyjecie prezerwatywy, czyli „gumy”, jak mówił Hank.

Po chwili zastanowienia Rita skrzywiła się na myśl o czymś tak mało romantycznym. Potem rzuciła siostrze rozmarzone spojrzenie.

- Tak bardzo go pragnę...

Maddie nagle spuściła oczy, ogarnięta poczuciem winy. - Muszę ci coś wyznać - powiedziała powoli. - Wcześniej nie chciałam, bo bałam się, że zaczniesz mną gardzić... Nigdy nie pomyślałabym o tobie nic złego! - Widzisz, ja oddałam się Hankowi. - Nie?! - Rita zasłoniła usta drżącą dłonią.

- Ależ tak! - Maddie zachichotała. - I było wspaniale! Cieszyła się, że wreszcie może o tym z kimś porozmawiać.

- Gdzie to zrobiliście? - W jego dziupie, na parkingu za gospodą w pobliżu Muddyhole. Akurat to nie było żadnym problemem...

- Nie bałaś się, że ktoś was przyłapie?

- Wcale nie! Zresztą i tak niczego bym nie żałowała! Oczy Rity były szeroko otwarte i lśniące.

- A babcia? Nie bałaś się babci? Przecież ona wszystko widzi!

- Najwyraźniej jednak nie wszystko. Słuchaj, inne dziewczyny ciągle to robią, naprawdę bardzo często, my po prostu mamy bardzo staroświecką matkę, dlatego wydaje nam się, że to coś niezwykłego. Nic nie jest tak seksowne jak wojna...

Maddie uśmiechnęła się od ucha do ucha. Uznała, że lepiej będzie, jeśli powstrzyma się od zwierzeń o innych mężczyznach. Rita byłaby mocno zgorzonna.

- George wspaniale wygląda w mundurze - westchnęła Rita. - Jest taki wysoki, dobrze zbudowany i męski... Mimo tego wolałabym chyba poczekać do nocy poślubnej... Właściwie jesteśmy zaręczeni, więc to nie potrwa długo.

- Nie bądź głupia, George przestanie się tobą interesować, jeżeli mu nie pozwolisz. Wszędzie kręci się mnóstwo dziewczyn, które

oddadzą mu się bez chwili wahania, a chyba nie chcesz, żeby uciekł z jakąś lafiryndą...

- Oczywiście, że nie! - Rita się przeraziła. Odgarnęła do tyłu opadające na twarz włosy i postanowiła zmienić temat. - Smutno ci, że Hank wrócił do Ameryki?

- Nie, niby dlaczego? Świetnie się bawiliśmy, no i sytuacja była bardzo romantyczna, ale jestem jeszcze za młoda, żeby skupić się na jednym mężczyźnie. Teraz chłopcy dopiero zaczynają wracać z wojny, więc nie chcę tracić szansy, że poznam kogoś naprawdę interesującego.

Maddie odkryła już zakazane przyjemności cielesne i była gotowa poświęcić im większość swojego czasu i całą energię.

Następnego dnia rano George podjechał pod dom Rity ciężarówką ojca.

Była sobota, więc Humphrey przeglądał przy stole gazety ubrany nie w szary garnitur, lecz w beżowe spodnie i zieloną kamizelkę, a Hanna siedziała w fotelu i robiła na drutach. W czasie wojny oddawała się temu zajęciu z takim zapalem, produkując niezliczone swetry, szaliki, czapki i szaliki dla żołnierzy, że przekształciło się to w coś w rodzaju nałogu. Nie mogła się już doczekać, kiedy zacznie robić wyprawkę dla pierwszego wnuka lub wnuczki. Eddie była jeszcze w łóżku, a Maddie rozkoszowała się długą kąpielą. Rita dostrzegła George'a z okna swojej sypialni i pośpiesznie włożyła starą letnią sukienkę i niebieski rozpinany sweter, bo chociaż na dworze było dość ciepło, nad morzem zawsze wiał wiatr. Nagle pożałowała, że nie ma żadnej nowej rzeczy, choćby bluzki. Sukienkę, którą miała na sobie, kupiła pięć lat wcześniej.

- Dzień dobry! - przywitał się George z uśmiechem, świadomy, że trochę zaskoczył rodziców Rity.

- Dobry Boże, przecież to nasz lokalny bohater, George Bolton! - wykrzyknęła Hanna, odkładając robótkę i wstając z fotela, aby go uściskać. - Kochany chłopcze, jaka miła niespodzianka! Doskonale wyglądasz!

- Cieszę się, że cię widzę - rzekł Humphrey, serdecznie poklepując George'a po plecach. - Siadaj do stołu, mój drogi, herbata jest jeszcze gorąca. Może spróbowałbyś chleba wypieku Hanny, co?

- Z przyjemnością. Pachnie wspaniale.

- Rita za chwilę zejdzie. - Hanna uprzedziła następne pytanie George'a.

Przyglądała się, kiedy zajmował miejsce za stołem, wyciągając długie nogi daleko przed siebie. Krzesło, na którym usiadł, wydało się nagle dziwnie małe. Doszła do wniosku, że George bardzo wyprzystojniał. Wojna uczyniła z niego mężczyznę, chociaż nieco potargane włosy, uśmiechnięte jasne oczy i pogodny wyraz twarzy przywodziły na myśl chłopca, który ma oto w zanadrzu ciekawą historię. George zawsze opowiadał w sposób przykuwający uwagę słuchaczy i potrafił pobudzić ich do śmiechu.

- Wybieramy się dziś na piknik na plaży, całą rodziną - rzekł George, biorąc kromkę chleba. - Przyłączycie się do nas?

Hanna oderwała oczy od gościa i wróciła na fotel.

- Świetny pomysł - odparła. - Dziewczęta będą zachwycone...

W tej chwili na progu kuchni stanęła promieniejąca radością Rita.

Humphrey patrzył, jak córka lekkim krokiem podchodzi do George'a i schyla się, aby pocałować go w policzek. Jej oczy lśniły jak sherry w kieliszku. Pomyślał, że jest bardzo podobna do młodej Hanny, jego smukłej i delikatnej Hanny. George uśmiechnął się nieśmiało, jak zwykle unosząc tylko jeden kącik ust, a kiedy spojrzał na dziewczynę, jego twarz złagodniała, przybierając wyraz czułości i dumy. Z uznaniem poklepał Ritę po plecach i szybko ogarnął wzrokiem jej długie loki i cienką letnią sukienkę. Humphrey usiadł wygodniej, nieświadomy, że także i na jego twarzy maluje się czuły uśmiech.

Kiedy Eddie w końcu zwlokła się z łóżka i zobaczyła zaparkowaną pod oknem ciężarówkę Treesa, zorientowała się, że George przyjechał z wizytą. Podekscytowana i uradowana, zbiegła na dół, pokonując po dwa schodki jednocześnie, wpadła do kuchni i rzuciła się George'owi w ramiona, przysiadając na jego kolanach. Młody człowiek roześmiał się serdecznie, kiedy dziewczynka przytuliła ciepłą twarz do jego twarzy i ucałowała go z entuzjazmem.

- Tak się cieszę, że wróciłeś do domu! - zawołała. - Okropnie za tobą tęskniłam, na pewno mocniej niż Rita!

- Mnie także brakowało widoku twojej małej buzi! - odparł George.

- Jesteś bohaterem. Zabiłeś wielu Niemców?

- Może być tak pozwoliła George'owi zjeść śniadanie - wtrąciła Hanna. - Spędzimy cały dzień razem na plaży, więc będziesz miała dość czasu, żeby zadrećcać go pytaniami.

Eddie niechętnie zeskoczyła z kolan gościa i przysunęła sobie krzesło. Rita żałowała, że nie może spędzić tego dnia tylko z ukochanym, i rzuciła mu porozumiewawcze spojrzenie. Gdy odpowiedział jej uśmiechem, zadrżała, ponieważ w jego oczach dojrzała fizyczne pożądanie, które sama czuła. Wspomnienie poprzedniego wieczoru wróciło nagle i jej policzki oblał gorący rumieniec.

Maddie wyszła z wanny, uchyliła drzwi łazienki i usłyszała dobiegający z kuchni męski głos, który z całą pewnością nie był głosem ojca. Ten głos był głęboki i chropowaty jak wilgotny piasek, i niewątpliwie należał do George'a. Pośpiesznie ubrała się i uczesała przed lustrem włosy, wcierając w policzki odrobinę różu. Zadowolona z efektu, uśmiechnęła się do ładnej jak u lalki buzi i zeszła na dół.

Zmiana, jaka zaszła w George'u, bardzo ją zaskoczyła. Mężczyzna emanował zwierzęcą, pierwotną energią, która zastąpiła chłopcę żywotność. Przez chwilę zazdrościła siostrze, wyobrażając sobie, jak by to było, gdyby poczuła na sobie ciężar jego ciała. Musiała odwrócić oczy i skoncentrować się na czymś innym, żeby pożądliwe spojrzenie nie zdradziło jej myśli. Zawsze lubiła George'a, ponieważ był dowcipny, zabawny i miał charyzmę, lecz nigdy nie patrzyła na niego jak na mężczyznę. Teraz, doświadczywszy miłości fizycznej, nie mogła myśleć o niczym innym. To, co przeżyła w ramionach Hanka i kilku innych mężczyzn, było tak rozkosznie przyjemne, że wciąż pragnęła nowych doznań tego rodzaju. Instynktownie, jak myśliwski pies węszący krew zranionego lisa, wyczuła napięcie seksualne, panujące między George'em i siostrą, i pożałowała, że Hank wyjechał i nie może zaspokoić jej żądz na tylnym siedzeniu swojego dżipa.

*

Hanna z przyjemnością zajęła się przygotowywaniem jedzenia na piknik. Zapakowała do kosza ugotowane na twardo jaja

Elvestree House, pieczonego kurczaka na zimno i sałatkę, kanapki z indykiem, twaróg i żółty ser. Wrzuciła do bagażnika samochodu kilka koców i wzięła dodatkowy sweter, ponieważ nad morzem pogoda zawsze była zmienna. Szykując się na wycieczkę co

jakiś czas wyglądała przez okno i obserwowała, jak Rita i George siedzą na huśtawce, pogrążeni w rozmowie, Eddie zaś leży na trawie i chłonie ich słowa jak gąbka. Maddie przeglądała na tarasie ilustrowany magazyn. Uwielbiała oglądać zdjęcia gwiazd Hollywoodu, szczególnie Lauren Bacall, Jane Russell i Rity Hayworth, i godzinami sterczała przed lustrem w łazience, za pomocą szminki i lokówek usiłując przeobrazić się w aktualny ideał.

O jedenastej George pojechał do domu, zabierając w szoferce Ritę oraz Eddie i Maddie na tylnej platformie. Dziewczęta ze śmiechem podnosiły ręce, chwytając liście pochylonych nad drogą drzew.

- Jak dobrze jest wrócić do domu - odezwał się George, kładąc dłoń na udzie Rity. - I jak dobrze, że znowu mogę cię dotknąć... - dodał z uśmiechem.

- Uważaj, bo z tyłu czają się mali szpiegzy - Rita odwróciła głowę i zerknęła przez okienko.

- Jest tam tylko jeden mały szpieg - odparł George. - Ten drugi z pewnością jest już uświadomiony i zupełnie dorosły, w każdym razie pod tym względem... Wydaje mi się, że w czasie wojny Maddie straciła coś więcej niż tylko niewinność...

- Skąd wiesz?

- Mężczyzna wyczuwa takie rzeczy.

- Więc ja wyglądam na naiwną i niewinną, tak?

- Tak, ale między innymi właśnie dlatego mi się podobasz... -

Lekko ścisnął jej udo.

- Maddie oddała się Amerykaninowi, który ma na imię Hank.

- No, jasne... - mruknął George.

- Słucham?

- To oczywiście, że Amerykanin ma na imię Hank! Oboje parsknęli głośnym śmiechem.

- Maddie zachowuje się okropnie, przecież ma dopiero dziewiętnaście lat! - podjęła Rita. - Dobrze wychowane, przyzwoite dziewczęta nie powinny tak postępować. Mama i tatuś byliby przerażeni...

- Seks i wojna zawsze idą ramię w ramię, kochanie. To nierozłączni towarzysze broni. Ludzie zdają sobie sprawę, że w każdej chwili mogą zginąć, więc zatracają się w drugiej osobie.

- To bardzo romantyczne - westchnęła.

- W czasie wojny mężczyzna musi kogoś kochać, potrzebne mu to, by czuć, że żyje, nawet w obliczu śmierci. Takie dziewczyny jak Maddie odgrywają bardzo ważną rolę, ale ty nie należysz do tej kategorii ani do żadnej innej, bo jesteś wyjątkowa...

Rita posłała mu czuły uśmiech, myśląc, jak bardzo myliła się Maddie w swoich radach.

- Przez cały czas miałem przy sobie twoje zdjęcie i codziennie wyobrażałem sobie, że Kocham się z tobą - ciągnął George. - Trzymałaś mnie przy życiu, Kochanie. Hank prawdopodobnie przeżywał to samo i Maddie pomogła mu przetrwać.

- Pragnęłam tylko ciebie - powiedziała cicho, zarumieniona z dumy. - Miałam mnóstwo propozycji, w okolicy stacjonowały tłumy Amerykanów, ale ja odrzucałam ich bez wahania. Myślałam tylko o tobie...

- Jesteś niezwykłą dziewczyną i za to cię Kocham - odparł czule, wyjmując z kieszonki na piersi paczkę papierosów. - Przypał mi papierosa, dobrze?

Rita lubiła zapach dymu. Przypominał jej dawne wieczory na klifach, kiedy oboje palili w drodze ze szkoły, i kojarzył się z ojcem, który zawsze palił w samochodzie, wracając z pracy do domu. Zapaliła papierosa, zaciągnęła się i podała George'owi. Przytrzymał papierosa kciukiem i palcem wskazującym, i włożył między wargi. Rita próbowała wsunąć paczkę papierosów z powrotem do kieszonki koszuli George'a, ale w środku tkwił kawałek sztywnego papieru, który bardzo utrudniał to zadanie. Gdy go wyjęła, ujrzała swoją fotografię, zrobioną parę lat temu, kiedy miała dziewiętnaście lat, tyle, ile Maddie teraz. Rogi czarnobiałego, trochę wyblakłego zdjęcia były wytarte, niewątpliwie w rezultacie częstego kontaktu z palcami o stwardniałej, szorstkiej skórze.

- Chyba trzeba ją zastąpić bardziej aktualną - zauważyła, wsuwając fotografię na poprzednie miejsce.

- Za nic na świecie! Będę ją nosił aż do śmierci.

- Wtedy nie będzie na nim nic widać - odparła ze śmiechem. - Już jest wyblakłe...

George nie mógł się zdobyć, by powiedzieć jej, że miał zwyczaj całować to zdjęcie po każdym locie. Taki sentymentalny rytuał wydał mu się nagle podejrzenie banalny.

Zatrzymali się na dziedzińcu farmy i kilkakrotnie nacisnęli klakson. Dzieci wybiegły z domu i uczepliły się furtki, piszcząc z radości, podekscytowane perspektywą pikniku na plaży. Alice i Faye wyszły razem, niosąc kosze z jedzeniem i ciepłe koce. Kiedy zapakowały wszystko do ciężarówki, ze stodoły wypadła pędem suka Mildred, poprzedzając Treesa, którego siwe włosy lśniły w słońcu, podobne do gęsiego puchu. George i Rita przesiedli się do dziewcząt i wciągnęli na platformę dzieci, natomiast Faye i Alice usadowiły się w szoferce obok Treesa. Gdy wyjechali na drogę, Eddie zaczęła śpiewać wesołą piosenkę i po chwili wszyscy przyłączyli się do niej. Mildred machała ogonem w rytm melodii, zachwycona, że jedzie razem ze wszystkimi.

Zaparkowali na klifie w pobliżu wozu Humphreya i wąską ścieżką zeszli na plażę. Powierzchnia morza usiana była drobnymi falami, po niebie szybko sunęły strzępiaste obłoki, szalały mewy, niesione zachodnim wiatrem. George i Treese nieśli kosze, a Rita prowadziła za rękę małego Johnniego. Słone powietrze łągodził cudowny zapach młodej trawy i dzikich kwiatów. Rita zerknęła w lewo, gdzie poprzedniego wieczoru brodziła z ukochanym po mokrym piasku, i jej myśli znowu uciekły w świeżą Przeszłość.

Humphrey i Hanna rozłożyli koce u stóp klifu, osłaniającego tę część plaży od dość ostrego wiatru, i podczas gdy on spokojnie palił papierosa, wpatrując się w ocean, ona starannie rozstawiała pojemniki z jedzeniem oraz termosy z herbatą i gorącym kakao. Na widok zbliżającej się grupy oboje podnieśli ręce w geście radosnego powitania.

- Miałaś doskonały pomysł, Faye - uśmiechnęła się Hanna. - Szkoda, że tak wieje, ale jest przynajmniej wspaniałe słońce.

- Pomyślałam, że miło byłoby spędzić razem ten dzień...

- Z kochanym George'em - dodała Hanna. - Wyrósł na bardzo przystojnego młodego człowieka, moja droga.

- Wiem i jestem z niego naprawdę dumna - odparła Faye, starając się, żeby syn nie usłyszał jej słów.

- Pomyśleć tylko, że może będziemy miały wspólne wnuki... ~ westchnęła Hanna. - Jeśli Bóg pozwoli - dorzuciła pośpiesznie.

- Och, to by było cudowne! Wnuczęta to wielkie błogosławieństwo. Johnnie i Jane dają nam tyle radości... Bardzo bym chciała, żeby George ustatkował się i założył rodzinę, tyle biedak

przeżył... - Przez twarz Faye przemknął nagle cień zaniepokojenia. - Cóż, na pewno z czasem otworzy się przed ojcem i wszystko mu opowie. Ostatecznie Trees brał udział w pierwszej wojnie światowej i rozumie takie doświadczenia...

- Dzielny chłopak z niego - powiedziała Hanna. - Nasi lotnicy to wielcy bohaterowie. Na pewno rozpiera cię duma.

- To prawda - odrzekła powoli Faye. Nie potrafiła wyjaśnić przyjaciółce, jak wielką wdzięcznością do Boga i losu napełnia ją fakt, że syn przeżył i cały wrócił do domu, nie śmiała też wspominać o swoich obawach, ani Hannie, ani nawet mężowi. - Pozwól, że ci pomogę. Zabrałam trochę potrawki z królika, na farmie aż się od nich roi. Trees jeździ z Johnniem do lasu i całymi wieczorami strzelają do królików. Johnnie jest w siódmym niebie, ubóstwia dziadka. Nie bardzo umiem gotować, ale potrawka z królika wychodzi mi całkiem nieźle, bo korzystam z przepisu twojej mamy. - Faye uśmiechnęła się na wspomnienie nieudanego ciasta, które upiekła na powitanie George'a. - Zaprosiłaś Primrose?

- Skądże znowu! Chcemy przecież mieć trochę spokoju, prawda?

Obie roześmiały się i spojrzały na Treesa, który siedział na kocu i rozmawiał z Humphreyem. Trees jako jedyny w pełni doceniał zalety pani Megalith i zawsze cieszył się jej towarzystwem, może dlatego, że miała równie entuzjastyczny stosunek do drzew orzechowych jak on. Z natury bardzo małomówny, z nią zawsze rozmawiał bardzo chętnie.

Po lunchu George zorganizował zabawę w poszukiwanie skarbu dla najmłodszych, rysując muszlą strzałki na piasku. „Skarbem” była torebka ze słodyczami, którą ukrył na samym końcu szlaku, usianego wprowadzającymi w błąd podpowiedziami i tak skomplikowanego, że jego wytyczanie wśród skał i jaskiń zajęło mu ponad pół godziny. W końcu Johnnie i Jane wyruszyli na poszukiwanie z pomocą Eddie, Maddie oraz Alice. Ich wybuchy śmiechu i radosne piski rozbrzmiewały raz z jednej, raz z drugiej strony, niesione wiatrem razem z krzykami mew i rykiem fal. Dorośli pili cydr, palili i rozmawiali, więc George i Rita mogli spokojnie przekraść się przez skałki i szerokie pasmo piasku do swojej jaskini.

Wewnątrz było ciepło, wilgotno i przytulnie. George chwycił Ritę w ramiona i pocałował.

- Ostrożnie, mogą nas tu znaleźć - powiedziała, wrywając się lekko.

- Tutaj na pewno nie. Wierz mi, znajdą skarb dopiero za parę godzin.

Uśmiechnął się triumfalnie i znowu ją pocałował. Jego usta pachniały tytoniem i cydrem, dłonie wędrowały po jej sukience, pieszcząc uda i pośladki. Rita poczuła, jak ogarnia ją ciepła fala podniecenia.

- Jeżeli odjadą bez nas, odprowadzę cię do domu pieszo... - wymamrotał, kryjąc twarz w zakątku między jej szyją i barkiem i zlizując sól ze skóry.

Nagle Rita przypomniała sobie o umówionej wizycie u babki.

- Muszę iść do Megababci na herbatę - wyznała z ciężkim westchnieniem.

- Nie możesz wpaść do niej jutro?

- Wiesz, jaka ona jest...

George odsunął się i ze zniecierpliwieniem zmarszczył brwi.

- Nic nie tłumi miłosnego zapału skuteczniej niż wzmianka o pani Megalith... - wymamrotał.

- Przepraszam... - powiedziała, przeczesując palcami włosy ukochanego.

- Nie ma sensu marnować czasu. - George schylił głowę, żeby znowu poszukać wargami jej ust.

Rozdział czwarty

- Ach, jesteś wreszcie! - powiedziała pani Megalith na widok Rity, wchodzącej do ogrodu przez łukowate wejście w kamiennym murze. - Pomóż mi z tymi kryształami, dobrze? - Wzięła do ręki duży ametyst i podała go wnuczce. - Ostrożnie, jest ciężki. Położymy go w salonie na stole, zaraz przy drzwiach. To mój ulubiony kamień, więc go nie upuść.

Rita posłusznie odniosła ametyst na wskazane miejsce i pomogła babce przenieść pozostałe minerały. Było ich dużo, wszystkich możliwych kształtów i barw, pani Megalith zaś z wielką przyjemnością opowiadała wnuczce o właściwościach każdego z nich.

- Spróbuj poczuć, jaką mają energię teraz, kiedy nasyciły się aurą sił przyrody. Nic nie robi im tak dobrze, jak porządne czyszczenie.

Starsza pani przystanęła na środku tarasu, przycisnęła do piersi duży błękitny sodalit i przymknęła powieki. Oddychała głęboko, a Rita stała obok w milczeniu, czekając, aż moment duchowej ekstazy przeminie. Rudy kot otarł się pieszczotliwie o osłonięte grubymi pończochami kostki nóg pani Megalith. Rita podniosła go i przytuliła w chwili, gdy babka w końcu otworzyła oczy.

- Magiczne, po prostu magiczne... - westchnęła z zachwytem. - Przyroda nigdy nie przestaje mnie cieszyć i zadziwiać...

Rita poszła za nią do kuchni, gdzie dostała dużą szklankę nalewki z czarnego bzu i herbatnika. Rudy kot wyswobodził się z jej ramion, dwa czarne wypadły spod stołu, a jeszcze cztery zeskoczyły z parapetów - wszystkie razem pognały do ogrodu, na poszukiwanie czegoś niemieszczącego się w ludzkiej świadomości.

- Koty zawsze doskonale się bawią - zauważyła pani Megalith, patrząc, jak ostatni, bardzo tłusty kocur leniwie znika za drzwiami. - Wygląda na to, że w jakiś sposób je przyciągam... Za każdym razem, gdy je liczę, okazuje się, że jest ich o kilka sztuk więcej niż poprzednio. Bóg wie, skąd się biorą...

- To chyba najmniej uczuciowe stworzenia na świecie - powiedziała Rita.

Pomyślała o Mildred i jej wielkim upodobaniu do pieszczot.

- Bardzo się mylisz, moja droga. One po prostu czują, że ich nie lubisz.

Pani Megalith nie miała racji. Rita kochała wszystkie zwierzęta, nawet aspołeczne koty, ale wiedziała, że nie należy podważać opinii

babki, ugryzła się więc w język, wyszła za nią na taras i usiadła przy stoliku. Ogród wyglądał wspaniale, pełen barw i zapachów wiosny.

- Wczoraj w nocy cholerny lis zaatakował moje kaczki, wyobrazasz sobie podobną bezczelność? Wiatr zdmuchnął latarnię i rano na trawniku znalazłam mnóstwo piór. Na szczęście wszystkie uciekły, choć bardzo się wystraszyły. Jednej wprawdzie brakuje, ale wydaje mi się, że wysiaduje jaja... - Utkwiła baczne spojrzenie w twarzy wnuczki. - Jak się czujesz, kochanie?

- Jestem szczęśliwa, babciu. - Rita pośpiesznie odwróciła wzrok, obawiając się, że babka odczyta jej najskrytsze myśli.

- Wyglądasz dobrze, ale mam wrażenie, że coś cię niepokoi. Co to takiego?

- Nic, naprawdę. Jestem po prostu szczęśliwa, że George już wrócił.

- Co tam u niego?

- Wszystko w porządku, też jest bardzo szczęśliwy. Chciał przyjść tu razem ze mną - skłamała, oblewając się zdradliwym rumieńcem.

- Na to będzie jeszcze czas, moja droga. Chciałam porozmawiać tylko z tobą, ponieważ wyczuwam niepokój, chaos i niepewność. Rita potrząsnęła głową. Oczywiście Megalith pociemniały. Często zmieniały kolor, co zawsze denerwowało ludzi, którzy jej nie znali.

- To niemożliwe, babciu. Jestem absolutnie pewna, że chcę zostać żoną George'a.

- Nie chodzi mi o ciebie, kochanie, ale o niego.

Rita ściągnęła brwi i utkwiła wzrok w kamiennych płytach. Żałowała, że w ogóle tu przyszła.

- Mamy zamiar się pobrać. Kochamy się.

- Wiem, zawsze byliście w sobie zakochani, lecz teraz George potrzebuje, żebyś kochała go bardziej niż kiedykolwiek...

- Co masz na myśli? - spytała Rita, zmieszana i trochę przestraszona.

Podniosła oczy i zobaczyła wielkiego, prawie tak dużego jak Mildred, czarnego kota który przyglądał się jej z dachu.

- Zapragnie, żebyś go wysłuchała, nie raz, ale wiele razy. Przeżył straszną wojnę i prędzej czy później będzie musiał z kimś o tym pomówić. George wiele przeszedł, kochanie. Widział, jak ginęli jego przyjaciele, i sam patrzył śmierci prosto w twarz. Teraz czuje, że z

nikim nie może znaleźć wspólnego języka, że nikomu nie będzie w stanie wytłumaczyć, co się z nim działo. Wydaje mu się, że znalazł się w samym środku koszmarnego snu. Musisz spróbować go zrozumieć. Wiem, jak to jest, ponieważ mój Denzil nigdy do końca nie przyszedł do siebie po pierwszej wojnie, po zagazowaniu okopów i wszystkich tych okropnościach. Ofiarą wojny padają też małżeństwa, ci młodzi ludzie, którzy zostają nagle rozdzieleni. Daj mu trochę czasu, ale później koniecznie z nim porozmawiaj. Nie zapominaj, że jedynym związkiem, na którym mógł polegać w ciągu ostatnich pięciu lat, był ten między nim i jego spitfire'em. Teraz musi od nowa nauczyć się ufać ludziom. Nie pozwól, żeby odsunął się od ciebie.

Rita uważnie słuchała babki. Ludzie mogli sobie gadać, że pani Megalith jest starą wiedźmą, ale to, co mówiła, zawsze wydawało się Ricie sensowne.

- Pragnę go zrozumieć, babciu, i chcę dać mu szczęście...

- Na pewno ci się to uda. - Babka uśmiechnęła się i jej szare oczy pojaśniały. - Zaraz, zaraz, gdzież to ja położyłam karty...

Podczas gdy Megababcia pakużyła do salonu w poszukiwaniu kart, Rita zaczęła przypatrywać się jaskółce, tańczącej na falach ciepłego powietrza. Opadające słońce podświetlało ptaka od tyłu, powlekając rdzawą pozłotą brzegi jego skrzydeł. Jaskółka była lekka i zwinna, i w pewnej chwili dziewczynie przyszło do głowy, że jest ona doskonałym symbolem jej własnego optymizmu oraz radości życia. Przypomniała sobie, jak dawno temu obserwowała jaskółki razem z George'em.

- Pewnego dnia wzbiję się w powietrze jak jaskółka - powiedział wtedy, a ona mu uwierzyła.

Jaskółki co roku wracały do Elvestree, budowały tu gniazda i wychowywały pisklęta pod dachem tuż nad oknem salonu. Pani Megalith darzyła je tak wielką sympatią, że nie przeszkadzały jej nawet odchody, które zostawiały na murze. Najdziwniejsze było to, że płochliwe ptaki przyzwyczyły się do rezydujących w domu kotów, a te wcale ich nie atakowały. Rita podniosła wzrok i zobaczyła, że olbrzymi czarny kocur zeskoczył z dachu i zniknął za węglem. Wszystkie koty w tym domu miały w sobie coś niesamowitego.

Megababcia wyłoniła się z ciemnego salonu w chwili, gdy jaskółka wylądowała na gnieździe. Starsza pani usiadła naprzeciwko Rity i starannie przetasowała dwadzieścia jeden kart tarota. Chciała,

żeby wnuczka wybrała tylko trzy karty, ponieważ zależało jej na odpowiedzi na konkretne pytanie. Poprawiła okulary na grzbiecie nosa i podała talię Ricie, patrząc na nią znad oprawek.

- Potasuj je przez chwilę - poleciała. - Widziałas jaskółkę? Rita kiwnęła głową.

- To przepiękne ptaki. Czuję się zaszczycona, że co roku mogę je gościć u siebie. Kiedy skończysz tasować, pomyśl o George'u, wybierz trzy karty i podaj mi je.

Rita wyobraziła sobie twarz George'a i przypomniała sobie, jaki był zły, że ich wspólne popołudnie zostało przerwane. Potem wybrała trzy karty z różnych części talii. Pani Megalith ujęła je w ozdobione pierścieniami palce, położyła na stole i odwróciła. Na kartach znajdowały się ilustracje, które Megabacia zawsze nazywała „narzędziami komunikacji duchowej”.

- Nie mają w sobie nic magicznego - tłumaczyła zwykle nowej klientce czy klientowi. - To siła duchowa pozwoli ci wybrać te, które udzielą odpowiedzi na twoje pytanie i pokierują twoimi krokami w przyszłości. Moje zadanie polega jedynie na tym, aby je zinterpretować. Zawsze idę za głosem intuicji, która nigdy mnie nie zawiodła.

Teraz minęła długa chwila, nim, przyjrząwszy się kartom, postukała w pierwszą zgiętym palcem.

- Umiarkowanie... - powiedziała. - Moja droga, ta karta mówi o tym, co dzieje się z tobą właśnie teraz. Oznacza stan emocjonalnego wahania. Widzisz tu kobietę w dziewiczo białej sukni i czerwonym płaszczu, symbolizującym prymitywne wibracje, oraz w płaszczu niebieskim, będącym obrazem wibracji wyższego rzędu, która przelewa wodę z jednego złotego kielicha do drugiego. Sugeruje to walkę między pociąganiem seksualnym a cnotą. Nie potrzebuję kart, aby odgadnąć, o co chodzi, bo ta walka jest wypisana na twojej twarzy. Poddaj się uczuciu, kochanie, i ciesz się swoim najdroższym. W miłości fizycznej nie ma nic złego, oczywiście pod warunkiem, że towarzyszy jej miłość duchowa...

Zanim Rita zdążyła się zaczerwienić, babka wskazała palcem drugą kartę.

- Błazen - oświadczyła ze znaczącym parsknięciem. Obrazek przedstawiał mężczyznę na rozdrożu, oglądającego się za siebie z

poważnym wyrazem twarzy. - Ta karta odsłania okoliczności, które ci w tej chwili towarzyszą...

Rita spojrzała na kartę, zastanawiając się, czy białe klify i morze przedstawiają Devon.

- Będziesz musiała dokonać pewnego wyboru - ciągnęła pani Megalith. - A to niełatwe. Szczerze mówiąc, ta decyzja odmieni twoje życie. Trudno ci będzie pożegnać się z przeszłością, ponieważ przeszłość dawała ci poczucie bezpieczeństwa. Powinnaś jednak zaufać instynktowi, bo on nigdy nie kłamie. Czuję, że obraz morza należy odczytać dosłownie... Jedna ścieżka prowadzi na morski brzeg i w kierunku horyzontu. Tą drogą powinnaś pójść. Widzisz psa, który towarzyszy mężczyźnie?

Rita skinęła głową i natychmiast pomyślała o Mildred.

- Nie będziesz sama. George zaopiekuje się tobą...

Dziewczynie przyszło do głowy, że George'owi raczej nie spodobałoby się porównanie z psem. Było to małe zwierzę o krótkiej, białej sierści, ani trochę niepodobne do dużej, kudłatej Mildred.

- Ach, a tu mamy księżyc... - Megababcia podniosła trzecią kartę i pokiwała głową. - Wpatrzony weń mężczyzna jest odwrócony plecami do kobiety, która siedzi na schodku i spogląda na niego z wielkim smutkiem... To karta złudzeń, moja droga. Mężczyzna chce dosięgnąć księżyca, ale nigdy mu się to nie uda. Nie pozwól, żeby George zostawił cię samą, z czarą miłości w ręku...

- Dziękuję, babciu - rzekła Rita.

Czuła ulgę, że seans dobiegł końca i pani Megalith nie powiedziała jej nic strasznego. Zapamiętała tylko, że toczy się w niej walka między cnotą i seksualnością. Jej matka byłaby przerażona i zgorszona, gdyby się dowiedziała, że Megababcia zachęca własną wnuczkę do uprawiania seksu przed ślubem... Rita przypadkiem usłyszała kiedyś, że jej babka miała dość barwną przeszłość i nie stroniła od doznań zmysłowych, zanim Denzil uczynił z niej przyzwoitą kobietę. Zerknęła na zegarek, niepewna, czy Megababcia nie poczuje się urażona, jeżeli zaraz wyjdzie. Musiała przecież jeszcze przygotować się na przyjęcie.

Pani Megalith doskonale zdawała sobie sprawę, że wnuczka nie słuchała jej zbyt uważnie. Widziała, z jakim roztargnieniem patrzyła na drugą i trzecią kartę. Niestety, pierwsza przykuła jej uwagę,

skłaniając do zlekceważenia następnych dwóch. Starsza pani zdjęła okulary i wstała.

- Na pewno chcesz jak najszybciej przebrać się w ładne szmatki na przyjęcie - prychnęła ze zniecierpliwieniem.

Rita skinęła głową.

- Chętnie zostałamby dłużej, ale robi się późno...

- Tak, tak, oczywiście w tej chwili nie ma dla ciebie nic ważniejszego... Nie lekceważ tych kart, moja droga. Jeżeli to zrobisz, popełnisz wielki błąd. - Zmarszczyła brwi. Czowała, że traci czas. - Nie ryzykuj, dziewczyno, i pamiętaj, że cię ostrzegałam...

- Będę o tym pamiętać, babciu. Spójrz, jeszcze jedna jaskółka!

Pani Megalith podniosła wzrok i skupiła uwagę na wdzięcznym ptaku. Idąc do głównych drzwi, przed którymi Rita zostawiła rower, rozmawiały już tylko o jaskółkach.

- Do zobaczenia wieczorem! - zawołała Rita, machając na pożegnanie. Mocniej nacisnęła na pedały, szczęśliwa, że wreszcie zdołała się wyrwać.

Trees wszedł do domu w tej samej chwili, gdy żona zeszła ze schodów i przystanęła na ostatnim stopniu, ubrana w ładną sukienkę, niebieską w drobne kaczęce. Ręce Treesa były brudne od dotykania klejących się liści jego ukochanych orzechów. Jednym z drzew, które darzył szczególną sympatią, był wielki Juglans negra, przed mniej więcej trzystu laty zasadzony przy domu po to, aby muchy przyklejały się do jego liści i nie wpadały przez otwarte okna do środka. Było to wysokie, majestatyczne drzewo, które jesienią dawało najśodsze, najbielsze orzechy ze wszystkich. Na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat Trees zasadził czterdzieści siedem rozmaitych odmian orzechów. Większość z nich zaczynała owocować dopiero po co najmniej dwudziestu pięciu latach, lecz niedawno Trees dowiedział się, że we Francji odkryto nową odmianę, która rodziła orzechy po zaledwie trzech latach, i był tym bardzo podekscytowany. Na nieszczęście wojna uniemożliwiła mu bliższe zbadanie tej sprawy i wystaranie się o sadzonkę.

- Zaraz przyjdą goście, a ty nawet się nie umyłeś - powiedziała Faye.

Ogarnęła wzrokiem panujący w holu bałagan i z ulgą pomyślała, że przyjęcie odbędzie się w stodole. Na blacie stołu piętrzyły się gazety, papiery, książki i uprana bielizna, którą zamierzała zanieść do

sypialni, lecz później zapomniała o tym, ponieważ jej uwagę odwrócił mały Johnnie. Chłopiec wszedł na krzesło i zaczął zdejmować z pokrywy fortepianu wszystkie jej nuty i oprawione w ramki fotografie.

Trees skinął głową i z roztargnieniem zatarł dłonie.

- Przygotowałeś wszystko w stodole? - zapytała.

- Tak. Pójdę się teraz umyć i przebrać.

- Rozpałiłeś ogień?

W odpowiedzi Trees powtórnie kiwnął głową.

- To dobrze. Nie będzie wielkiego tłumu, najwyżej trzydzieści parę osób. Wspominałam o przyjęciu w wiosce, więc kto wie, może zjawi się kilkoro dawnych przyjaciół George'a. Chcę, by poczuł, że wszyscy cieszą się z jego powrotu i doceniają to, co zrobił. Na szczęście mamy mnóstwo cydru i możemy wznieść toast za jego zdrowie i powodzenie.

Wieczór był wietrzny, słońce zakryły ciężkie, deszczowe chmury. Faye spojrzała na niebo i pomyślała, że może padać choćby przez kilka dni, byle tylko nie w czasie przyjęcia. Kątem oka zauważyła stado kaczek. Przeleciały po prawej stronie nieba, wykonując powietrzne ewolucje. Powoli ruszyła w stronę stodoły, stojącej na granicy zabudowań, wśród starych jabłoni. W okresie żniw przechowywano w niej siano. Kiedy George i Alice byli małymi dziećmi, wspinali się na pachnące bele jak na szczyty górskie, ukrywając się przed rodzicami. Jakie spokojne i niewinne było wtedy nasze życie, pomyślała.

W środku było ciepło i zacisznie, powietrze pachniało świeżo zżętą trawą i dymem z ogniska. Faye kazała rozstawić dwa długie stoły, naprędce zbite z surowych desek i poprzycinanych pni, przykryła je prześcieradłami i pożyczyła sztucce, talerze, szklanki i kieliszki od pani Megalith, która miała dość zastawy stołowej na wielki bankiet. Starsza pani zaproponowała, aby przyjęcie odbyło się w jej ogrodzie, co niewątpliwie stworzyłoby przyjemniejszą scenerię, lecz Faye odmówiła. Wydawała przyjęcie z okazji powrotu George'a do domu, więc powinno się odbyć właśnie w jego rodzinnym domu, nie gdzie indziej.

Wzięła świecę i zaczęła zapalać lampy na stołach. Była świadoma, że wojna dobiegła końca i George szczęśliwie wrócił do rodziny, ale wciąż wydawało jej się to dziwnie nierzeczywiste. Starła

się nie myśleć o niebezpieczeństwach, z jakimi się stykał. Nigdy nie przestała widzieć w nim małego synka i nie mogła znieść myśli o jego cierpieniach. Skończyła zapalać lampy i w myśli szybko odmówiła modlitwę dziękczynną, i drugą, za szczęśliwą przyszłość George'a. Czowała, że syn może potrzebować tego rodzaju wsparcia.

Gdy słońce skryło się za linią horyzontu, do stodoły zaczęli napływać goście, niosący jedzenie i napoje. Wielebny Elwyn Hammond z żoną i dwójką wnucząt przydźwigali ogromne torby, pełną świeżych bułeczek; stara June Hogmier, która prowadziła wiejski sklepik, jak zawsze chorobliwie skąpa, przyniosła ziemniaki do pieczenia, wygrzebane z kosza na odpadki; Cyril i jego przemiła żona Beryl dostarczyli warzywa i pieczone jabłka na pudding. Zatrudnieni na farmie robotnicy przynieśli kurczaki, a hałaśliwa grupa starych przyjaciół George'a piwo.

George serdecznie witał się ze wszystkimi pod wielkimi transparentami ze słowami „WITAJ W DOMU, GEORGE”, które dzieci namalowały z pomocą Alice. Był wzruszony, że rodzice zdobyli się na taki wysiłek, i trochę onieśmielony. Wcale nie uważał, że rzeczywiście zasłużył na to wszystko, i wciąż nie potrafił otrząsnąć się z poczucia winy, które dręczyło go od powrotu. Tylu ludzi nie dożyło zwycięstwa, myślał ze smutkiem.

Rozmawiał z wielebnym Hammondem, kiedy do stodoły weszła Rita wraz z całą rodziną. Uprzejmie przeprosił duchownego i przedarł się przez tłum, żeby ją przywitać.

- Jak tam Megababcia? - zapytał, kładąc dłoń na plecach dziewczyny i przyciągając ją do siebie.

- Nie powiedziała mi nic takiego, o czym bym nie wiedziała.

- Czyżby powoli traciła swoje niezwykle umiejętności?

- Nie sędzę, to raczej ja pracuję nad moimi. Babcia będzie tu lada chwila.

- Przyleci na miotle czy wyskoczy z tortu? - George się uśmiechnął.

- Mam nadzieję, że zjawi się w najzupełniej normalny sposób. Tak czy inaczej, nie wydaje mi się, aby twoja mama była w stanie zrobić aż tak wielki tort...

Oboje parsknęli śmiechem.

- Cześć, Eddie. - George odwrócił się do najmłodszej siostry Rity i lekko zwichrzył jej włosy. - Jak się czuje moja ulubiona dziewczyna?

- Nie kłam, wcale nie jestem twoją ulubioną dziewczyną. - W takim razie jesteś moją drugą ulubioną! Eddie westchnęła dramatycznie.

- Pewnego dnia zostanę czyjaś pierwszą i jedyką! - oznajmiła uroczyście i zniknęła w tłumie gości, przytrzymując uczepionego jej rękawa nietoperza Harveya.

Kiedy w progu stanęła pani Megalith, goście rozstąpili się jak fale morskie przed potężnym transatlantykiem. Nikt nie śmiał stanąć na drodze Wiedźmy z Elvestree, która na tę okazję przystroiła fryzurę pawimi piórami i narzuciła na ulubioną fioletową suknię podarowany jej kiedyś przez męża indyjski zielony szal z frędzlami. Jej dekolt zdobił ciężki kamień księżycowy, zawieszony na czarnym jedwabnym sznurku, a dłonie lśniły od kryształów.

- Witaj, George - odezwała się, kładąc rękę na jego ramieniu. - Pamiętasz mnie?

George odwrócił się szybko.

- Tak się cieszę, że pani przysłała. - Z uznaniem ogarnął wzrokiem jej ekscentryczny strój. - Wygląda pani cudownie!

- Nie mogę przecież zawieść tych dobrych ludzi, którzy spodziewają się, że będę wyglądała jak czarownica. - Mrugnęła do George'a.

- Czy czarownice nie powinny nosić wyłącznie czarnych szat?

Rita zakryła usta dłonią, tłumiąc nerwowy śmiech. Babka słynęła z nieprzewidywalnych zmian nastrojów i tylko Max mógł bezkarnie nazywać ją czarownicą. Ku zaskoczeniu Rity, pani Megalith uśmiechnęła się, lekko zmrużywszy oczy.

- Może i tak, ale nie dotyczy to tej czarownicy - rzekła. George uniósł brwi. Czyżby starsza pani próbowała z nim flirtować?

- Jest pani jasną gwiazdą, która świeci nad poranioną przez wojnę Wielką Brytanią - oznajmił uroczyście.

- Dziękuję ci, chłopcze. Najwyraźniej wiesz, jak pochlebić starej damie. Gdzie twój ojciec? Podobno zdobył jakieś nowe informacje o tej rzadkiej odmianie francuskiego orzecha...

- Co takiego niezwykłego może być we włoskim orzechu? - Rita wzruszyła ramionami, lecz kiedy Megababcia przystąpiła do

szczegółowego wyjaśniania tej kwestii, pożałowała, że zadała to pytanie.

- Orzechy włoskie to niezwykle drzewa o fascynującej historii, moja droga. Dziwię się, że George ci tego nie powiedział. Kiedyś wierzono, że orzechy te należą do bogów i są ich pożywieniem. Persowie nazywali je „królewskimi orzechami” i karali śmiałków, którzy próbowali ich dotknąć. W pierwszym wieku przed narodzeniem Chrystusa Grecy przywieźli pierwsze sadzonki do Rzymu, a z kolei Rzymianie zasadzili te drzewa w Anglii. Wykonywali z orzechowego drzewa najdroższe, najwspanialsze sprzęty. Dorosłe orzechy trzeba chronić i opiekować się nimi, tak jak robi to Trees. Ten orzech, który góruje nad waszym domem, to prawdziwy skarb, chłopcze. Twój ojciec nie jest wariatem, lecz geniuszem, wielkim, niezrozumianym geniuszem! Założę się, że ma jedną z największych kolekcji drzew orzechowych w kraju. Powiem wam coś jeszcze, orzechy to ulubiony przysmak wiewiórek, a my wszyscy uwielbiamy wiewiórki, prawda?

Rita skinęła głową, przypominając sobie, jak w dzieciństwie karmiła wiewiórki w ogrodzie Megababci.

- Szczególnie pieczone, z odrobiną bekonu - dodała starsza pani, mlaskając wargami.

- Tata jest tam. - George wskazał ojca, górującego o głowę nad grupą gości, których usiłował bawić rozmową.

Kiedy pani Megalith dostojnie oddaliła się w kierunku Treesa, Rita przewróciła oczami.

- Po co zapytałam ją o te orzechy, na miłość boską? - wymamrotała. - Chciałam tylko sprawić jej przyjemność...

- Nie należy sprawiać przyjemności czarownicy, bo każda więdźma sama sprawia sobie przyjemność - odparł George. - Ciekawe, jak to jest, żyć tak jak ona, wśród kotów, kart i kryształowych kul...

- Nie mam pojęcia. Może czuje się samotna, nawet z tymi wszystkimi kotami...

- Przecież mieszkają z nią Max i Ruth - zauważył George. - To święci młodzi ludzie, naprawdę...

- Nie mają wyboru, biedacy.

- Ale przynajmniej nigdy się z nią nie nudzą... Świat jest pełen nieciekawych ludzi, a twoja babcia jest jak barwna plama, rzucona na szare tło...

Twarz George'a posmutniała nagle. Rita dotknęła jego ramienia i przypomniała sobie rady babki.

- Mam ochotę na szklaneczkę cydru - powiedziała. - Chciałabym wypić za twój powrót do domu, bo przecież ja mam chyba największy powód do radości...

- Chodźmy! - uśmiechnął się.

Trzymając się za ręce, ruszyli w kierunku stołu pod przeciwległą ścianą stodoły, gdzie ustawiono szklanki i napoje.

Max i Ruth przyszedli razem z panią Megalith, ale zostali w tyle i przystanęli pod ścianą, gdzie znajdował się duży grill. Po chwili wahania Ruth przyłączyła się do Eddie, która specjalnie po nią przyszła, i do jej przyjaciół, zostawiając Maksa samego, ze szklaneczką cydru w ręku. Obserwował siostrę i widok jej uśmiechniętej, pogodnej twarzy podniósł go na duchu. Zdawał sobie sprawę, że chociaż pani Megalith stara się zastąpić im rodziców, w gruncie rzeczy są na świecie zupełnie sami, i pewnie dlatego czuł, że musi chronić siostrę przed wszelkimi zagrożeniami. Ruth była jeszcze dzieckiem, ale on miał już siedemnaście lat. Przeczesał palcami włosy i rozejrzał się dookoła. Jego wzrok natychmiast spoczął na Ricie, która przytulała się do George'a. Poczul ostre ukłucie zazdrości. Bardzo wstydzil się tak niskich uczuć, ale miał nadzieję, że George nie wróci z wojny. Patrząc na długie, tworzące starganą chmurę włosy dziewczyny i jej bladą, usianą piegami twarz, z całego serca pragnął, aby spojrzęła na niego z takim samym oddaniem jak na George'a. Oderwał od niej oczy, ponieważ ten widok sprawiał mu tylko ból, i z rozbawieniem zaczął przyglądać się, kto jest przedmiotem zainteresowania Wiedźmy z Elvestree.

Pani Megalith posiadała rzadką zdolność koncentrowania się na kilku rzeczach równocześnie. Uważnie słuchając opowieści Treesa o francuskich drzewach orzechowych, które miał nadzieję sprowadzić do Devonu, bacznie obserwowała Maddie, tkwiącą w samym środku grupy młodych mężczyzn w odległym kącie stodoły. O Maddie można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że zachowywała się jak młoda dama. Dziewczyna siedziała na kolanach jednego z przyjaciół George'a - ramionami oplotła jego szyję, nogi lekko rozsunała i

dosłownie ryczała ze śmiechu, szeroko otwierając usta. Hanna była zbyt zajęta rozmową z żoną wielebnego Hammonda, Verą, aby zwrócić uwagę na poczynania córki, Humphrey zaś dyskutował o wojnie z Japonią z Mikiem Purdie, swoim najbliższym sąsiadem. Eddie doskonale bawiła się z Ruth oraz innymi przyjaciółmi - cała grupka biegała po stodole, robiąc mnóstwo hałasu i zamieszania. Tylko pani Megalith nie spuszczała wzroku z Maddie. Nagle nieomylna intuicja podsunęła jej obraz wnuczki, leżącej w ramionach amerykańskiego żołnierza na tylnym siedzeniu dżipa. Z niesmakiem odepchnęła tę wizję, lecz dzięki niej wreszcie zrozumiała brak motywacji, który demonstrowała Maddie. Dziewczyna odkryła zakazane rozkosze cielesne, pomyślała pani Megalith, przypominając sobie, jak sama kilkadziesiąt lat temu wkroczyła na tę ścieżkę. Mogła już tylko mieć nadzieję, że Maddie nie pozwoli, aby pożądliwość zdominowała całe jej życie.

Przyjęcie toczyło się wesoło, atmosfera była beztraska, przepełniona radością z powrotu George'a i zwycięstwa aliantów. Wojenne lata zjednoczyły wszystkich w lęku i determinacji, a wyzwolenie od groźby nazizmu połączyło ludzi w chęci powrotu do normalnego życia. Nie zapomnieli jednak o tych, którzy oddali życie za kraj i wolność, i uczcili ich pamięć minutą ciszy. W tej szczególnej chwili Max myślał o rodzicach, z trudem tłumiąc tępy ból, który zawsze towarzyszył takim wspomnieniom. Wielebny Hammond mocno ścisnął dłoń żony, w milczeniu modląc się za duszę swojego syna Ruperta, który zginął pod Dunkierką. Potem Trees wzniósł toast za George'a, zbyt wzruszony, by długo mówić. Rita podniosła wzrok i napotkała smutne, zamyślane spojrzenie Maksa. Posłała mu uśmiech, ale on chyba jej nie widział. wkrótce zaczęły się tańce i cała stodoła zadygotała od rytmicznego przytupywania wielu stóp i dźwięków muzyki, płynących z gramofonu Faye.

Faye przyglądała się, jak syn chwyta Ritę za rękę i wyprowadza ją w panującą na zewnątrz głęboką ciemność.

Zaczął padać drobny, niesiony porywistym wiatrem deszcz. Cudownie świeże powietrze pachniało wilgotną ziemią i młodą zielenią. George i Rita szybko przebiegli przez dziedziniec farmy i wpadli do starej, niskiej obory, wspartej jednym węglem o rozłożysty kasztanowiec. W środku było sucho i ciepło, gdzieś w głębi cicho muczały krowy i cielęta, zaciekawione i nieco zaniepokojone

wtargnięciem intruzów. Wnętrze obory rozjaśniały jedynie smugi światła wpadające przez szpary między grubymi deskami. Rita z zachwytem i rozczeniem patrzyła na młodziutkie cielęta, które przysuwały mordki do szczebli boksów, aby przyrzyć się jej błyszczącymi oczami. Bez słowa przyklęła i zaczęła gładzić ich jedwabistą sierść i wilgotne nozdrza. Muczenie przybrało na sile, ponieważ wszystkie zwierzęta domagały się piezczot. George wziął Ritę za rękę i pociągnął ją w kierunku przystawionej do wejścia na stryszek drabiny.

Na dworze ostro świstał wiatr, lecz złożone na podłodze siano było miękkie i ciepłe. Krowy i cielęta uspokoiły się, i znowu posapywały cicho i rytmicznie.

George pocałował Ritę. W tej piezczocie nie było gorączki, jaka zwykle ogarniała ich w jaskini na brzegu morza, ale czułość i prośba o zrozumienie.

- Nie znoszę tłumu, chcę być tylko z tobą - powiedział, pokrywając pocałunkami jej wilgotną szyję.

Zmoczona deszczem sukienka Rity kleiła się do jej skóry jak rękawiczka. Dziewczyna pachniała fiołkami i niewinnością. George pomyślał o kobietach lekkich obyczajów, z którymi sypiał w czasie wojny, aby nie stracić kontaktu z rzeczywistością i zapomnieć o towarzyszącej mu dzień w dzień śmierci. Kochał Ritę, ale czuł się przy niej trochę dziwnie. Jej obecność dawała mu pociechę i ukojenie, lecz także budziła wątpliwości. Pomyślał, że wrócił do domu, spodziewając się, iż bez trudu dopasuje się do starych przyzwyczajzeń i odczuć, okazało się jednak, że zupełnie z nich wyrósł. Rita wydawała się nieświadoma zmiany, jaka w nim zaszła, co czyniło całą sytuację jeszcze trudniejszą i prawie uniemożliwiało porozumienie. George spojrział na jej zarumienioną, wciąż dziecinną twarz i zdał sobie sprawę, że chociaż bardzo jej pragnie, nie chce zbrukać jej niewinności i czystości. Wszystko, co wiązało się z wojną, było brudne, tylko Rita pozostała nietknięta i George'owi zależało, aby chociaż to się nie zmieniło, przynajmniej na razie.

Popatrzyła na niego pytająco, jakby jednak wyczuwała targające nim wątpliwości.

- Zapomnij o wojnie, kochany - szepnęła z nieśmiałym uśmiechem. - Tamto już się skończyło... Wróciłeś do domu, do mnie...

- Codziennie dziękuję za ciebie Bogu - zamruczał, znowu pieszcząc wargami jej szyję. - Dziękuję Bogu, że cię mam...

Rozdział piąty

Następnego dnia Rita siedziała w kościele obok matki i Maddie. Hanna włożyła prosty beżowy kapelusz, a jej ocieniona niewielkim rondem twarz przybrała wyraz głębokiego rozmodlenia, kiedy z powagą wodziła oczami po kartkach książeczki do nabożeństwa, choć z powodu słabego wzroku nie była w stanie przeczytać ani słowa. Gdyby wiedziała, że jedna z jej córek siedzi w świętym przybytku zbrukana i bynajmniej tym niezawstydzona, natomiast druga coraz częściej myśli o seksie, przerażenie powaliłoby ją na kolana, ale Maddie była ostrożna i starała się mówić jak najciszej.

- I jak było? - szepnęła siostrze do ucha.

Rita zaczerwieniła się i zsunęła kapelusz niżej, żeby ukryć się przed spojrzeniem matki.

- Cudownie... - odparła z pełnym satysfakcji westchnieniem.

- Dokąd poszliście? Wróciłaś dopiero o świcie...

- Wiem. - Stłumiła ziewnięcie. - Poszliśmy do obory pełnej cieląt. Były takie słodkie...

- Kochaliście się w oborze?! - Maddie otworzyła usta ze zdumienia.

- Nie, byliśmy na stryszku, nie w samej oborze. Poza tym wcale się nie kochaliśmy.

- Nie kochaliście się?

- Nie.

- Dlaczego, na miłość boską?!

- Ponieważ nie jesteśmy małżeństwem.

Maddie bezradnie potrząsnęła głową.

- Ty głupia! - syknęła. - Tylko później nie mów, że cię nie ostrzegałam!

- Ciiiiicho... - szepnęła Hanna. - Nie zapominajcie, że jesteście w świątyni, a ty, Rito, masz za co dziękować Bogu!

Rita kiwnęła głową i zerknęła na drugą stronę nawy, gdzie Faye i Trees siedzieli z Alice, jej dziećmi oraz George'em. Oni także mieli za co dziękować Bogu. Rita pochwyciła spojrzenie George'a i jego dyskretny uśmiech. W jego szarych oczach wciąż lśniło wspomnienie minionej nocy.

Po chwili pośrodku nawy stanął wielebny Hammond w czarnej sutannie z białą koloratką. Tylko jego długie szpakowate loczki stanowiły pewien dysonans z wystudowanym wizerunkiem idealnego

duchownego. Podobnie jak Hanna, także i wielebny Hammond przywdziewał w kościele inną maskę. W roli duchownego wydawał się wyższy i bardziej postawny niż Elwyn Hammond, mąż i dziadek, kupujący warzywa w sklepie panny Hogmier. W domu Bożym przeistaczał się w rzecznika Boga, człowieka, którego powołaniem i obowiązkiem jest prowadzenie trzódki wiernych i wskazywanie, że droga do Nieba wiedzie przez cierpienie oraz pokutę. Wielebny Hammond wiedział o cierpieniu więcej niż większość ludzi, ponieważ w czasie wojny stracił jedyne syna, dobrze znał także miłość i współczucie, gdyż jego synowa po śmierci męża zamieszkała z dziećmi we Frognał Point. Wielebny codziennie szukał syna w twarzach wnuków i codziennie go opłakiwał, pocieszając się myślą, że Rupert cieszy się już wiecznym spokojem w domu Ojca Niebieskiego.

Zgromadzenie uciszyło się, gdy głęboki głos wielebnego Hammonda wypełnił wnętrze kościoła niczym niski dźwięk basów. Duchowny mówił powoli, starannie i dobitnie artykułując słowa, aby słyszeli go nawet starzy i częściowo głusi. Rita spojrzała na

Eddie, która siedziała spokojnie, rysując coś w małym notesie. Szkicowała krucyfiksy na wypadek, gdyby matka oderwała wzrok od wielebnego Hammonda, aby sprawdzić, co robi jej najmłodsza córka. Humphrey siedział obok Eddie i przez małe okrągłe okulary wsparte na czubku nosa przeglądał śpiewnik z hymnami. Nie był szczególnie religijny i uważał wielebnego za pompatycznego, męczącego nudziarza, chętnie przychodził jednak do kościoła ze względu na Hannę, która nie opuszczała nabożeństw, nawet gdy była chora.

Nagle drzwi kościoła otworzyły się i wielebny Hammond umilkł ze zdumienia. Niewiele osób czy rzeczy było w stanie odebrać głos duchownemu, więc głowy wszystkich zgromadzonych odwróciły się, aby sprawdzić, jakież to demon stanął na progu świątyni. Rita wyciągnęła szyję i szybko trąciła Maddie łokciem w bok. Pani Megalith przystanąła na chwilę i właśnie wtedy wiatr wydał jej długą niebieską suknię niczym balon. Starsza pani pociągnęła nosem i potoczyła po kościele oczami koloru księżycowych kamieni. Minęło wiele lat od dnia, kiedy po raz ostatni tu była, ale tylko kilka tygodni od jej ostatniej sprzeczki z wielebnym Hammondem na temat przekręcania i wykoślawiania Słowa Bożego przez wszystkie formy zorganizowanej religii. Wielebny Hammond wycofał się z dyskusji w

połowie zdania, ponieważ odkrył, że w obecności pani Megalith czuje się jak wyrzucona na brzeg, zdychająca ryba.

Wiedźma z Elvestree spokojnie ruszyła środkiem nawy, dostojna niczym szacowna matrona, a postukiwanie jej laski odbijało się echem od kamiennych ścian. Wszyscy milczeli jak zaczarowani, tylko Eddie chichotała cichutko, zasłaniając usta dłonią, dopóki matka nie kazała jej przestać. Hanna była przerażona i wstrząśnięta. Megababcia słynęła z nienawiści do instytucji kościelnych, duchownych i wszelkich przejawów dogmatycznej religii. Twierdziła, że czuje obecność Boga w swoim ogrodzie i nie potrzebuje płacić za to, aby siedzieć w kościele i słuchać, jak wielebny Hammond mówi o Nim tak, jakby znał Go lepiej niż inni.

- Wszystko to oszustwo i kłamstwo - powtarzała. - Gdyby ludzie wiedzieli, że mogą rozmawiać z Bogiem we własnej kuchni, nie przychodziliby do kościoła i nie ziewali, słuchając wykładów tego starego nudziarza na temat cierpienia i wiary.

Hanna skuliła się, gdy matka zmusiła ich do stłoczenia się w ławce, aby miała gdzie usiąść. Wielebny Hammond wzrokiem zaszczutego zwierzęcia patrzył na błyszczące kryształki na szyi starszej pani i nerwowo obracał w palcach prosty krzyżyk, który sam nosił na piersi. Skulił się w sobie i jakby zmalał, a kiedy w końcu przemówił, jego głos przypominał skrzeczenie żaby.

- W domu Bożym wszyscy możemy czuć się u siebie - zaczął, usiłując zignorować ciche prychnięcie pani Megalith i wyzywający wyraz jej oczu.

Hanna łamała sobie głowę, co napadło jej matkę. Nie dość, że zupełnie nieoczekiwanie zjawiała się w kościele, to jeszcze przez nią tłoczyli się teraz w ławce jak sardynki w puszcze.

- Zaśpiewajmy hymn numer trzysta dwadzieścia pięć - skapitulował wielebny Hammond. - „Przysięgam ci, moja ojczyzno...”

Wierni wstali i z entuzjazmem zaśpiewali hymn, który doskonale znali i lubili. Wielebny Hammond z westchnieniem ulgi przekazał pałeczkę pannie Hogmier i jej rozstrojonym organom.

Minuty mijały i wielebny zaczął się powoli uspokajać. Starannie omijał wzrokiem panią Megalith, odzyskując panowanie i nad sobą, i nad nieoczekiwaną sytuacją. I właśnie wtedy, kiedy wydawało się, że wszystko wróciło do normy, ogromny czarny kot pojawił się znikąd na środku kościoła i jednym susem wylądował na ołtarzu. Wielebny

Hammond był jedyną osobą, która nie zobaczyła go od razu, ponieważ stał zwrócony twarzą do zgromadzonych. Podekscytowani Johnnie i Jane parsknęli śmiechem.

Jeden kot może nie wywołałby poruszenia, pojawienie się dwóch większość osób zbyłoby wzruszeniem ramion, ale pięciu, sześciu, siedmiu, ośmiu kotów nie dało się zignorować. Koty jeden po drugim wychodziły spod ławek, zbliżały się do ołtarza, wsuwały się pod biały obrus. Z uniesionymi ogonami wskakiwały potem na ołtarz i przechadzały się po nim, ostrożnie omijając świeczniki i srebrne przedmioty. Wielebny Hammond dostrzegł wreszcie, że oczy zgromadzonych utkwione są nie w nim, lecz w ołtarzu, chociaż z ogromnym przejęciem wygłaszał błyskotliwe, jak sądził, kazanie. Kiedy wreszcie pozwolił sobie ulec magnetycznej sile osobowości pani Megalith i spojrział na nią, odkrył, że imponująca dama wygląda na równie zdumioną jak wszyscy.

Nie panując nad zaciekawieniem, odwrócił się wreszcie, żeby zobaczyć, co tak zainteresowało wiernych.

Przy ołtarzu bawiły się koty rozmaitej wielkości i maści. Duchowny nie miał cienia wątpliwości, że pani Megalith ma coś wspólnego z tym niezwykłym widowiskiem, ponieważ wszyscy wiedzieli, że w jej domu mieszka kilkadziesiąt kotów. Z rezygnacją znowu zwrócił się twarzą do zebranych.

- Mówiłem już, że w domu Bożym wszystkie stworzenia mogą czuć się u siebie - zażartował niepewnie i na chwilę skupił uwagę na pani Megalith. - Zgodnie z wieloma legendami, koty przynoszą szczęście. Bóg pobłogosławił dzisiaj ten przybytek. Módlmy się...

Starsza pani nachyliła się ku Maddie.

- Legendy mówią także, że kobiecie, która trzyma w domu czarnego kota, nigdy nie zabraknie kochanków - syknęła głośno. - Założę się, że wielebny nic o tym nie wie!

Maddie miała ochotę odpowiedzieć, że gdyby była to prawda jej babka miałaby więcej kochanków niż włosów na głowie, lecz wykazała się rozwagą i oparła pokusie.

Kiedy nabożeństwo dobiegło końca, członkowie zgromadzenia zaczęli czekać, aż pani Megalith dokuśtyka do drzwi, wiodąc za sobą Maddie, Ritę, Eddie, Hanne, Humphreya i osiem kotów. Patrzyli, jak mija ich, wsparta na lasce, i z każdą chwilą coraz bardziej utwierdzali się w przekonaniu, że rzeczywiście jest wiedźmą.

Przed kościołem Hanna szybko podeszła do matki.

- Dlaczego przyszedłeś? - zapytała ostro.

Pani Megalith uśmiechnęła się niewinnie.

- Czy wielebny nie powiedział, że w kościele każdy może czuć się jak w domu? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Ale ty nie znosisz kościoła! - oburzyła się Hanna.

- Od czasu do czasu trzeba trochę poruszyć tego nudziarza, bo inaczej wpadnie w samouwielbienie! - Parsknęła śmiechem w odpowiedzi. - Jednak tym razem nie o to mi chodziło... Przyszedłam bo uznałam, że powinnam, ze względu na George'a i tak dalej...

- Naprawdę?

- Elwyn twierdzi, że droga do nieba prowadzi przez cierpienie. Cóż, po dzisiejszym nabożeństwie jestem o parę kroków bliżej nieba.... - Uśmiechnęła się triumfalnie. - Nieźle go podkreśliłam, co? Stary głupiec!

Wielebnemu Hammondowi lekko drżały ręce, kiedy stojąc przy drzwiach, przejmie rozmawiał z wychodzącymi.

- Znam legendę, która mówi, że po siedmiu latach życia każdy kot przeistacza się w czarownicę - oznajmiła ponuro panna Hogmier, wychodząc z kościoła. - Wyobraża pan sobie, ile będziemy tu mieli wiedźm, jeżeli to prawda?

- Doprawdy, panno Hogmier, chyba nie wierzy pani w podobne bzdury...

- Ależ wierzę! Pani Megalith to zła kobieta, proszę zapamiętać moje słowa!

Po południu George i Rita siedzieli na kocu na szczycie klifu i obserwowali ptaki. Sztorm minął, pozostawiając idealnie czyste niebo, i choć nadal było wietrznie, szczególnie na klifach, wiatr był miły i ciepły. Rita przyniosła termos z gorącą herbatą i kanapki z masą czekoladową, a matka włożyła jeszcze do kosza świeżo upieczone ciasteczka i kilka plastrów szynki dla George'a.

- Wszyscy mówią o twoim powrocie - odezwała się Rita z radością.

- Najwyraźniej brakuje im innych tematów. - George zapatrzył się w wyraźnie zarysowaną linię horyzontu, w jego oczach symbol fascynujących przygód i podróży.

- Uważają cię za bohatera.

- Naprawdę? - zapytał sucho. - Nie, kochanie, bohaterowie to chłopcy, którzy oddali życie dla kraju. Ja nie jestem bohaterem.

Spojrzała na niego niespokojnie.

- Nie chcę więcej latać - dodał niespodziewanie. Milczała, nie wiedząc, jak zareagować.

- I nie chcę pamiętać o wojnie. Chcę zapomnieć, że brałem w niej udział, i zatopić się w tobie.

Jednak George nie był w stanie zapomnieć o wojnie. Za dnia tłumił wspomnienia, ale nocą, kiedy siła woli nie mogła dojść do głosu, pamięć przywoływała straszne obrazy z niedawnej przeszłości. Dręczyły go sny tak podobne do rzeczywistości, że czuł zapach paliwa i rozgrzanego metalu, a także krople potu na czole i nosie, spływające pod maskę tlenową. Znowu siedział za sterami spitfire'a, doświadczając płomiennej intensywności życia i zimnego jak lód strachu...

Niebo było ciemne od niemieckich bombowców, głównie heinkli, podobnych do stada czarnych os, pędzących ku niemu z ogromną prędkością. Nagle był w samym środku piekielnego mrowia, wrogie samoloty nadlatywały ze wszystkich stron. Przeklęte Szwaby! Odgłos pokładowego karabinu maszynowego przypominał dźwięk rozdieranego kretonu. Syk pocisków, błysk, głośnie eksplozja... Czarny dym... Chyba nie mnie trafili, nie moją maszynę... Jeszcze nie tym razem, ale było blisko... Jakiś inny nieszczęśnik... Heinkel spada, coraz szybciej i szybciej, lotnik wyskakuje, lecz linki spadochronu dostają się między łopaty śmigła i człowiek leci w dół razem z trafioną maszyną. Co za straszna, przerażająca śmierć... George jest dobrym, świetnie wyszkolonym pilotem, więc potrafi się skoncentrować, przemienić paraliżujący lęk w skupienie. Albo oni, albo ja... Muszę żyć, mam po co żyć... Zwiększa prędkość. Uspokój się, na miłość boską, opanuj się... Nie trać głowy, głupcze! Rozwal tych drani!

Co noc George od nowa walczył o życie. Jak długo można to wytrzymać? Och, gdyby tak mógł bez końca siedzieć na klifach i obserwować ptaki... Gdyby tylko mógł...

Starając się raz na zawsze odepchnąć wojenne wspomnienia, George z zapalem pomagał ojcu i przy każdej możliwej okazji spotykał się z Ritą. Miłość stała się dla niego sposobem na zapomnienie, ponieważ własnym ogniem wypalała poczucie winy i

ból. Kiedy nie był zajęty, wspominał poległych przyjaciół - Jamiego Cordella, zestrzelonego podczas wypadu nad północną Francję, Rata Bridgesa, zabitego nad Dunkierką, Lorriego Hamptona, którego ciało spoczęło na dnie morza, i wielu, wielu innych. Czuł, że musi wyrzucić ich ze swego umysłu, inaczej oszaleje.

Rita była cierpliwa. Kochała George'a, okazywała, jak bardzo jest z niego dumna, trwała przy nim i starała się nie wspominać o ślubie. Była pewna, że George sam zacznie rozmowę o małżeństwie, kiedy w pełni wróci do siebie. Instynktownie wyczuwała, że po przeżyciach, które stały się jego udziałem, musi przejść aklimatyzację, na nowo przywyknąć do normalnej egzystencji. Faye rozmawiała z nią o przyszłości w czasie lekcji rzeźby. Dla obu kobiet było oczywiste, że wkrótce ich rodziny połączą się w jedną, szczęśliwą i liczną. Rozmawiały o przebudowie jednego z domów na farmie i o tym, jak chętnie Johnnie i Jane będą bawić się z młodszymi kuzynami. Faye wspominała dziecięce zabawy Alice i George'a, wspólne karmienie inwentarza i gonitwy po łąkach, i wyobrażała sobie, że następne pokolenie będzie oddawać się tym samym rozrywkom, lecz w głębi jej duszy czaiły się wątpliwości, które wciąż starała się ignorować. Uważnie obserwowała syna i widziała, że kiedy George nie jest zajęty, jego twarz przypomina oblicze znacznie starszego, rozczarowanego życiem, cynicznego człowieka.

Lato minęło. Do władzy doszedł nowy labourzystowski rząd, wojna z Japonią dobiegła końca. Żywność i wiele innych towarów nadal objętych było reglamentacją, ponieważ Wielka Brytania dopiero dźwigała się na nogi. George zatrudnił się w Ricie, pracy na farmie, spotkaniach z przyjaciółmi w gospodzie „Pod Białym Zającem”, nie mógł jednak bez końca ignorować głosu swojej niespokojnej duszy.

Faye obudziła się z uczuciem głębokiego lęku i przygnębienia. Odwróciła się na bok i chwilę leżała bez ruchu, wpatrzona w ciemność, myśląc o George'u i jego przyszłości, martwiąc się losem Rity i swoim własnym. Z ciężkim westchnieniem zamknęła oczy i spróbowała zasnąć, ale coś nie dawało jej spokoju. Wstała więc i zeszła do kuchni. Nie pierwszy raz budziła się w środku nocy z podobnym uczuciem. Kiedy dzieci były małe, wyczuwała, że któreś miało zły sen lub było chore, nieszczęśliwe albo po prostu zaniepokojone. Często wędrowała nocą korytarzem, po omacku znajdując drogę do ich pokojów.

Teraz powoli zeszła na dół i zapaliła światło w kuchni. Otworzyła spiżarnię, nalała sobie szklanek zimnego mleka i ukroiła kromkę chleba. Usiadła przy stole, zastanawiając się, czym mogłaby się zająć. Nagle zorientowała się, że na tarasie ktoś siedzi i pali papierosa. Kiedy stanęła w otwartych drzwiach, dostrzegła George'a. Wyglądał na zupełnie zagubionego i Faye poczuła, jak pulsujący w nim smutek ogarnia także i ją.

- Mogę się przysiąść? - zapytała cicho.

George podniósł wzrok, wcale niezaskoczony jej widokiem.

- Proszę bardzo - odparł, wydmuchując dym w świeże powietrze wczesnej jesieni.

Faye ciasniej otuliła się szlafrokiem i usiadła na ławce obok syna.

- Wszystko w porządku, kochanie? - zagadnęła.

- Tak, ale nie mogłem zasnąć - odpowiedział, z drżeniem przypominając sobie sen, który nawiedził go tej nocy.

- Ja także. Może to przez ten ser, który jedliśmy na kolację... George zaśmiał się cynicznie.

- Nie sędzę. To mój umysł nie daje mi spokoju.

- Nie poddawaj się zniechęceniu, synku.

Długą chwilę patrzył na nią bez słowa, z twardym wyrazem twarzy.

- Jestem zniechęcony i rozczarowany - powiedział w końcu, głosem podobnym do głębokiego jęku.

Łagodnie położyła rękę na jego ramieniu.

- Byłeś chłopcem, kiedy wyjechałeś z domu, kochanie, ale nie możesz stać się nim znowu, nie uda ci się odzyskać tamtego życia. Staraj się przystosować do nowych okoliczności, nowych warunków...

- Nie potrafię, w każdym razie nie tak szybko. Tu nic się nie zmieniło. Rita jest taka sama, ty i tata także, nawet wielebny Hammond... Morze jest takie samo, plaża, ptaki i niebo. Mamy kartki, puste sklepy i tak dalej, ale w gruncie rzeczy wszystko jest takie jak dawniej, tylko ja się zmieniłem... - Spuścił głowę i utkwiał wzrok w kamiennych płytach. - Nie wiesz, jak to jest, kiedy traci się tylu przyjaciół - podjął cicho. - Najlepszych, najinteligentniejszych przyjaciół, którzy byli mi bliscy jak bracia... Tęsknię za nimi. Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy widzisz białka oczu wroga i wiesz, że on po prostu wykonuje swoje zadanie i podobnie jak ty jest także młodym człowiekiem, właściwie jeszcze chłopcem; który zostawił w

domu matkę i dziewczynę... Strzelasz i patrzysz, jak jego samolot spada, wlokąc za sobą smugę czarnego dymu, i wiesz, że ten chłopak, może twój rówieśnik, cierpi jak potępieniec... nie możesz pozwolić sobie na litość, bo jeżeli ty nie zastrzelisz jego, on zestrzeli ciebie... Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, wzywając nas na płytę lotniska, do maszyn, zastanawiałem się, czy słyszę go po raz ostatni, ale jakoś udawało mi się przeżyć, dzień za dniem, lot za lotem... Kiedy w nocy zamykam oczy, wszystko to natychmiast do mnie wraca. Takie są moje sny - walka o życie, obezwładniający strach i strach przed tym strachem... Widzisz, mamó, w głębi duszy jestem zwyczajnym tchórzem...

- Nie jesteś tchórzem, kochanie, jesteś człowiekiem. - Faye zamrugła gwałtownie, aby powstrzymać łzy.

Nie chciała, aby jej syn widział, że płacze. George potrząsnął głową i znowu zaciągnął się dymem.

- To zabawne, ale czasami brakuje mi tego wszystkiego - powiedział. - Brakuje mi poczucia braterstwa, sensu istnienia, celu, zadań do wykonania... Czuję się jak puszczone wolno latawiec, który dryfuje bez sensu, skazany na samotność...

- Może chciałbyś zostać instruktorem pilotażu albo kimś takim? Na pewno w RAF - ie znajdą dla ciebie jakieś interesujące zajęcie...

Znowu zaśmiał się sucho, sarkastycznie.

- Na pewno - mruknął. - Ale ja nie mogę, nie umiałbym... Przerwał. Faye pogładziła go po dłoni.

- Chcę się ustatkować, pracować na roli jak ojciec, ożenić się z Ritą i wychować dzieci - podjął. - Naprawdę tego pragnę, lecz nie jestem w stanie tego zrobić, nie tak od razu... Czuję, że moje życie już osiągnęło szczyt, a przecież mam dopiero dwadzieścia trzy lata. Muszę znaleźć jakiś inny sposób na życie...

Chciał powiedzieć matce, jak bardzo brzydzi się tym, co zrobiła z nim wojna, jak nienawidzi zdeprawowania, w jakie popadł. Jak mógł dobrze czuć się w swojej skórze, skoro widział na niej plamy krwi młodych Niemców?

- Więc co chcesz zrobić? - zapytała Faye, z całego serca pragnąc przegnać nękające syna mroczne cienie.

- Nie wiem - jęknął.

- Nie martwisz się chyba, że zawiedziesz ojca i mnie, co? Przecież wiesz, iż zawsze będziemy cię wspierać, we wszystkim.

Jesteśmy z ciebie dumni, ale nie możemy decydować i wybierać za ciebie...

George zaciągnął się papierosem.

- Chcę wyjechać na jakiś czas - powiedział w końcu.
- Dokąd?
- Nie mam pojęcia. Do Ameryki, może do Argentyny.
- Z Ritą?

Bezradnie potrząsnął głową.

- Może, sam nie wiem... Duszę się we Frogmal Point, dławią mnie wspomnienia, nostalgia... Przestałem pasować do tego miejsca.

- Może odwiedziłbyś moją siostrę i Jose Antonia w Argentynie? - zagadnęła Faye. - Mógłbyś pracować na ich farmie w Cordobie, zdobyć trochę doświadczenia, a potem, kiedy poczujesz, że jesteś gotowy, wrócić do domu i razem z ojcem zająć się farmą. Wyjazd dobrze ci zrobi, jestem pewna. Co o tym myślisz?

Miała wrażenie, że smutek George'a rozwiewa się jak jesienna mgła pod wpływem słońca.

- Dobrze - rzekł z wyraźną ulgą i oparł głowę na ramieniu matki.

Faye ze wzruszeniem przytuliła dorosłego syna, przy którym czuła się jak krasnoludek.

- Jesteś jedyną osobą, która rzeczywiście mnie rozumie - dodał.
- A Rita? - zapytała Faye po chwili milczenia.

- Kocham Ritę - odparł George, prostując się. - Jest dla mnie częścią wszystkiego, co nazywam domem, ale w tej chwili nie chcę zostać w domu. Poproszę ją, żeby na mnie poczekała, a kiedy wrócę, pobierzemy się. Jestem pewny, że Rita nigdy mnie nie zawiedzie.

Rozdział szósty

- Gdzie byłaś, Eddie? - zapytała Maddie, kiedy jej młodsza siostra wpadła do domu, zaczerwieniona i rozchichotana.

Eddie przystanąła i rzuciła Maddie niepewne spojrzenie. Nie mogła powiedzieć, że przez całe letnie wakacje podglądała, jak Rita i George całują się w jaskini. Miłość, czy raczej jej fizyczny aspekt, fascynowała ją bez reszty. Wyznała swojej najlepszej przyjaciółce, Amy, że widziała, jak Maddie kochała się ze swoim Amerykaninem na tylnym siedzeniu jego dżipa. Ich rozpalone ciała tak podniosły temperaturę, że okna samochodu były prawie kompletnie zaparowane. Oczywiście o tym także nie mogła powiedzieć Maddie...

- Nigdzie, po prostu bawiłam się z Harveyem - odparła niewinnie.

- Więc gdzie on się podział?

- Wybrał się na polowanie. Nietoperz też musi jeść, nie wiedziałaś?

Maddie zmrużyła oczy.

- Byłaś na plaży - oznajmiła.

- Nie!

- Byłaś, nietrudno zgadnąć.

- No, może byłam. I co z tego?

- Znowu szpiegowałaś. - Maddie z dezaprobatą pokręciła głową.

- Któregoś dnia przyłapią cię na gorącym uczynku, zobaczysz.

Eddie parsknęła śmiechem.

- Są zbyt zajęci!

- Naprawdę? - Maddie nieudolnie starała się ukryć zainteresowanie.

- Robią to bez przerwy.

Maddie wyobraziła sobie George'a, kochającego się z Ritą. Nie miała wątpliwości, że jest dobrym kochankiem, namiętym, dominującym, ale czułym i wrażliwym. Zazdrościła Ricie, która najwyraźniej wygrała główny los na loterii życia.

Rita leżała w ramionach George'a, słuchając jego oddechu i dobiegającego z oddali huku fal. W jaskini było ciepło i zacisznie, ale atmosfera ich spotkań bardzo się zmieniła. Niewinność i radosna bez troska znikły bez śladu. George od paru tygodni był dziwnie roztargniony, zupełnie jakby powoli oddalał się od niej. Może Maddie miała jednak rację, myślała Rita. Może George znudził się mną,

ponieważ nie chcę się z nim przespać... Nie rozmawiała z nim na ten temat, wołała udawać, że wszystko jest w porządku. George całował ją i pieścił z czułością, lecz miała wrażenie, że robi to głównie, by ukryć coś przed nią i przed samym sobą. Patrzył na nią, ale jej nie widział, mówił, ale nie słuchał. Śmiali się mniej niż dawniej, albo raczej mniej serdecznie i szczerze. Rita wreszcie się przekonała, że wojna zmieniła George'a nie tylko pod względem fizycznym.

- Musimy porozmawiać - powiedział wreszcie.

Rita zeszywniała.

- Czy coś się stało, kochany? - zapytała, czując truchty do wytłumaczenia niepokój.

- Nie, najdroższa - odparł pośpiesznie. Objął ją, ale czuły gest wcale jej nie uspokoił.

- Chcę wyjechać.

- Dokąd? - zapytała, wstrząśnięta, że nosi się z zamiarem opuszczenia Frognał Point.

- Do Argentyny. Chciałbym, żebyś pojechała ze mną. Wargi Rity zdrzały. George zapalił papierosa, zaciągnął się i wypuścił kilka kółek z dymu.

- Nie mogę tu zostać - podjął, wpatrując się w wejście do jaskini - Widzisz, wojna naprawdę mnie zmieniła. Muszę otrząsnąć z siebie ostatnie pięć lat, a nigdy nie zdołam zrobić tego we Frognał Point. Dlatego postanowiłem pojechać na jakiś rok do Argentyny. Popracuję tam na farmie wuja, a potem wrócę. - Naprawdę chcesz, żebym z tobą pojechała?

Oczywiście - odparł, lecz zabrzmiało to dziwnie obojętnie. - Jako twoja żona?

Zapadło milczenie. George zaciągnął się papierosem, zastanawiając się, dlaczego jej pytanie wprowadziło go w zmieszanie. - Możemy pobrać się w Argentynie - odrzekł słabo. Usłyszał swoją odpowiedź i aż skulił się wewnętrznie, ponieważ wiedział, że nie ma w niej cienia entuzjazmu. Bez najmniejszego trudu wyczuł wielkie rozczarowanie Rity.

- Muszę to przemyśleć - powiedziała cicho.

- Oczywiście...

- Kiedy chcesz wyjechać?

- Nie wiem. Chyba jak najszybciej... Rita westchnęła i spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

- Czy ty mnie kochasz? - zapytała.

- Jak możesz pytać! - George próbował pocałować Ritę, ale ona odsunęła się.

- A może raczej kochasz swoje wyobrażenie o mnie?

- O co ci chodzi? - zdziwił się.

- Nieważne... Wracajmy już lepiej, bo trochę zmarzłam.

W milczeniu szli plażą. Rita patrzyła na morze, które kochała od najwcześniejszych lat, na mewy zataczające kręgi wysoko nad ich głowami i słuchała ptasich krzyków, bezradnych i żalonych jak jej własne myśli. Nie wiedziała, czy znajdzie w sobie dość odwagi, aby porzucić Frognał Point. Trzymała George'a za rękę, lecz miała wrażenie, że dzieli ich ogromna odległość. Oboje byli smutni i po raz pierwszy niepewni siebie nawzajem.

George pocałował ją na pożegnanie, wsiadł do ciężarówki, którą zaparkował przed domem, i wrzucił wsteczny bieg. Rita patrzyła, jak odjeżdża, a gdy zniknął, rozplakała się. Zanim ktokolwiek zdążył ją dostrzec, szybko poszła przez wioskę w stronę klifów gdzie siedziała aż do zmroku, przyglądając się, jak słońce przemienia morze w stopioną miedź, i czując, jak serce pęka jej na tysiąc kawałków.

Gdyby mogła być pewna George'a, zdobyłaby się na odwagę i wyjechała z Frognał Point. Kochała go dość mocno, aby pójść za nim na koniec świata i pokonywać przeszkody, jakie nastrecza życie w obcym kraju. Zrobiłaby to, odrzucając lęk przed nieznanym, ale nie mogła podjąć takiej decyzji bez absolutnej pewności co do jego intencji.

Kiedy wróciła do domu, na dworze było już ciemno. Przez kuchenne okno zobaczyła matkę i Eddie. Eddie siedziała przy stole i malowała, natomiast ubrana w niebieski fartuch Hanna zagniatła ciasto. Rita czuła, że musi z kimś porozmawiać, ale matka była wyraźnie zajęta. Nie zastanawiając się dłużej, chwyciła rower i szybko pojechała do Elvestree. Mała lampka tuż pod kierownicą roweru była zbyt słaba, aby oświetlić drogę, lecz na szczęście na niebie wisiał księżyc w pełni. Rita dotarła na miejsce drżąc z zimna i rozpacz, potargana, ze śladami łez na policzkach.

Wpadła do salonu, gdzie Max siedział na sofie, czytając wiersze. Na widok Rity gwałtownie zbladł.

- Jest babcia? - zapytała, drżącymi palcami ocierając oczy.

- Wyszła, ale niedługo wróci.

- O, Boże... - jęknęła Rita.

Nie tylko jej głos, ale i ciało wyrażało głębokie rozczarowanie.

- Może zrobić ci filiżankę herbaty albo ovaltyny? Chyba strasznie zmarzłaś...

- Tak, chętnie się napiję... - wykrztusiła, wchodząc za nim do kuchni. - Dokąd poszła babcia?

- Zabrała Ruth na podwieczorek do twojej ciotki Antoinette. Ja nie poszedłem, bo nie przepadam za nią. - Max wyjął ze spiżarni duży pojemnik z mlekiem i napełnił rondel, który postawił na kuchni. - Coś gorącego z odrobiną brandy na pewno dobrze ci zrobi.

- Ovaltina z brandy? Prawdziwy luksus...

- Primrose bardzo lubi ten napój. Rita zepchnęła z fotela kota i usiadła przy kuchence. Jej przygarbione ramiona drżały.

- Czy z George'em wszystko w porządku? - Max nie mógł zapanować nad niepokojem i ciekawością. Oczy Rity znowu napełniły się łzami.

- George chce jechać do Argentyny - powiedziała. Max utkwiał wzrok w rondelku z mlekiem. - Pojedziesz z nim? - zapytał, usiłując mówić zupełnie neutralnym tonem. - Poprosił mnie o to.

- Ale ty wcale nie chcesz wyjeżdżać z Frognał Point, prawda? Rita kiwnęła głową. Nagle zrobiło jej się bardzo głupio. Max musiał opuścić rodzinną Austrię i rozpocząć życie w obcym kraju, wśród obcych ludzi, więc jakże mogłaby rozmawiać z nim o swoich obawach...

Podał jej kubek gorącej, gęstej ovaltyny z pianką na wierzchu. Napój wyglądał i pachniał jak lek na wszelkie nieszczęśliwe przypadłości i już po pierwszym łyku poczuła się trochę lepiej. Przy kuchence było jej tak ciepło i wygodnie...

- Dobrze się czujesz we Frognał Point? - zapytała, zaskakując samą siebie.

Max usiadł na stołeczku i uśmiechnął się do niej. Dopiero w tej chwili zauważyła, jak bardzo urósł w ciągu ostatniego roku. Był teraz wysoki i mocno zbudowany, a spojrzenie jego poważnych, błękitnych oczu było zdumiewająco głębokie i pełne współczucia jak na chłopca w tym wieku. Wcześniej zawsze traktowała go jak dziecko, nieśmiałe, niezbyt towarzyskie dziecko, a nagle okazało się, że jego obecność podnosi ją na duchu.

- Tak, dobrze się tu czuję - odparł. - Dzięki Primrose odzyskałem poczucie bezpieczeństwa...

Rita lekko zmarszczyła brwi.

- Jak z nią wytrzymujesz na co dzień? Jest taka dziwna...

- Ponieważ jest czarownicą? - Max się zaśmiał, potrząsając głową.

- Bardzo miłą czarownicą, ale jednak...

- Primrose jest przede wszystkim dobrą kobietą o wielkim sercu. Wiem, że jej bezpośredniość często razi ludzi, lecz dla mnie liczą się inne jej cechy.

- Rozumiem, o co ci chodzi, ale nie wyobrażam sobie, żebym mogła z nią mieszkać. - Pociągnęła łyk owałtyny, czując, jak ciepło rozlewa się po całym jej ciele i przynosi ulgę.

Wtedy Max powiedział jej coś, czego nigdy nie mówił nikomu, nawet swojej siostrze.

- Kiedy tu przyjechałem, naprawdę się jej bałem - zaczął. - Pierwszej nocy leżałem skulony pod kołdrą i nagle usłyszałem, jak Primrose wchodzi do naszej sypialni. Było już późno i bardzo ciemno. Zamknąłem oczy, bo nie chciałem, by się zorientowała, że nie śpię. Długo stała nade mną bez ruchu. Nie wiem, co robiła, ale czułem ogarniającą mnie falę ciepła i miłości. Potem nachyliła się, ciaśniej otuliła mnie kołdrą i pocałowała w czoło. Podeszła do Ruth i zrobiła to samo. Gdy wyszła, rozplakałem się, nie ze strachu, lecz z wdzięczności. Moja własna matka nigdy nie okazała mi tak wielkiej czułości...

Rita zamrugła ze zdziwienia. Wreszcie dotarło do niej, jak wielki wpływ wywarła na Maksa utrata rodziny. Zawsze wiedziała, że on i Ruth nie mają nikogo i że Megababcia ich adoptowała, ale nigdy nie zastanawiała się nad tragicznymi wydarzeniami, jakie stały się ich udziałem.

- Och, to cudowna historia... - wyszeptała. - Mówiłeś o tym babci?

- Nie. Wiesz, jaka ona jest, na pewno by się obruszyła.

- Byłaby wzruszona i uszczęśliwiona, że miało to dla ciebie tak ogromne znaczenie!

- Nie wątpię, że Primrose i tak o tym wie.

Zamilkli. Rita uważnie obserwowała Maksa, który podniósł kubek do ust i pociągnął duży łyk gorącej owałtyny.

- Bardzo tęsknisz za rodziną? - zapytała cicho, świadoma, że dla niego jest to najprawdopodobniej jedna z niewielu chwil prawdziwej szczerości.

- Czasami - odparł ostrożnie. - Zastanawiam się wtedy, jak odmienne byłoby moje życie, gdybym został w Austrii i gdyby oni przeżyli...

- Ile strasznych rzeczy stało się przez tę wojnę! - wybuchnęła Rita myśląc o George'u. - Zniszczyła życie tylu ludzi! I wcale nie chodzi mi tylko o tych, którzy zginęli!

Max rzucił jej dziwne spojrzenie. - Ruth i ja możemy się uważać za szczęściarzy. - Nie do końca... To raczej ja powinnam powiedzieć coś takiego bo jednak mam rodzinę... - Utkwiła poważny wzrok w jego twarzy, lecz nagle jej wargi zadrżały. - Ale tracę George'a... - dorzuciła szeptem.

Max, który niezwykle rzadko okazywał uczucia, wstał z taboretu i przykucnął obok fotela, na którym siedziała. Ujął jej rękę i popatrzył na nią z czułością.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytał.

Jego współczucie i chęć zrozumienia sprawiły, że znowu się rozpląkała.

- Wojna go zmieniła... - zaszlochała. - Jest nieszczęśliwy i źle się tu czuje, więc chce zostawić dawne życie i rozpocząć nowe, najlepiej gdzie indziej. Ja jestem częścią jego przeszłości...

- George cię kocha. Zawsze cię kochał.

- Wydaje mi się, że teraz już nie - szepnęła, pozwalając mu się objąć. Oparła czoło o jego ramię i głośno pociągnęła nosem. - Byłam taka pewna swojej przyszłości, tymczasem teraz zupełnie nie wiem, co ze mną będzie...

Milczeli długo, pogrążeni w myślach. Kiedy trzasnęły drzwi, Max niechętnie wypuścił Ritę z ramion. Do kuchni weszły pani Megalith i Ruth.

- Postaw czajnik na ogniu, bo strasznie tu zimno - poleciała babka. Na widok siedzącej przy kuchence zapłakanej wnuczki stanęła jak wryta. - Och, te przeklęte zdechłe koty! - wymamrotała. - Wiedziałam, że wcześniej czy później stanie się coś złego!

- Chodź ze mną do salonu, kochanie - zwróciła się pani Megalith do Rity. - Ruth, przynieś mi filiżankę herbaty, dobrze?

Rita pochwyciła spojrzenie Maksa i uśmiechnęła się słabo. Odpowiedział jej serdecznym uśmiechem. Był podekscytowany i szczęśliwy, ponieważ trzymał ją w objęciach i stał się jej powiernikiem. Rita powoli poszła za babką.

- Wiedziałam, że tak będzie, czułam to w kościach! Może i są stare, ale wrażliwe i jeszcze nigdy mnie nie zawiodły! - Pani Megalith weszła do salonu i machnęła ręką, usiłując zgonić koty z kanapy, lecz one w ogóle nie zwróciły na nią uwagi. - Siądziemy sobie wygodnie i wszystko mi opowiesz, skarbie. Co się dzieje, do diabła?

Rita powtórzyła jej rozmowę z George'em, powiedziała także o radzie, której tak beztrudno udzieliła jej Maddie.

- Martwię się, że znudził się mną, ponieważ się z nim nie przespałam - wyznała.

Panią Megalith trudno było zgorszyć. Z irytacją ściągnęła brwi i potrząsnęła głową.

- Na pewno nie! Co za głupia dziewczucha z tej twojej siostry, Seks można uprawiać, pod warunkiem, że robi się to z miłością. Problem z Madeleine polega na tym, że daje każdemu, kto się koło niej zakręci. Obawiam się, że jeśli tak dalej pójdzie, to stanie się zwykłą lafiryndą, ale nie mówimy przecież o niej, tylko o tobie. Seks nie ma nic wspólnego z zachowaniem George'a, możesz mi wierzyć.

- Myślę, że on już nie chce się ze mną żenić, babciu.

Rita mówiła dość spokojnie, ponieważ rozmowa z Maksem pomogła jej odzyskać równowagę. Pani Megalith mlasnęła językiem o podniebienie.

- Ależ chce, kochanie, tylko czuje się zagubiony! Po roku w Argentynie odzyska zdrowy rozsądek, zobaczysz. Nie zapominaj, że ma za sobą straszne chwile, przez całą wojnę służył w RAF - ie. Myśl o zakotwiczeniu się tutaj, we Frogmal Point, na pewno nie budzi w nim entuzjazmu, więc trzeba to przeczekać. Jest jeszcze bardzo młody. Puść go, moja droga.

- Uważasz, że powinnam zostać w domu i zaczekać na niego?

- A masz inne wyjście?

Starsza pani miała rację. Rita czuła, że może wyjechać z George'em tylko jako jego żona, lecz on najwyraźniej nie chciał się teraz wiązać. Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że skoro czekała na niego trzy lata, wytrzyma jeszcze rok.

- Jeżeli dzięki temu wróci do Anglii jako ten George, z którym dorastałam, to może jechać nawet na parę lat - szepnęła.

- Słusznie, moja droga. - Babka z aprobatą pokiwała głową. - Mój Boże, jak długo może trwać zagotowanie wody w czajniku? - rzuciła ze zniecierpliwieniem, spoglądając w kierunku drzwi.

Wracając do domu, Rita czuła się już dużo lepiej, chociaż wciąż dręczyła ją niepewność, czy podjęła właściwą decyzję. Przyznawała rację Megababci, która twierdziła, że jeśli George na krótko wyjedzie z Europy, prawdopodobnie odzyska spokój ducha i zapragnie powrotu do normalnego, ustabilizowanego życia. Dziewczyna ogarniała myślą minione dziesięć lat i powtarzała sobie, że ich przyjaźń jest trwała i bardzo głęboka. Wspominała krótkie urlopy George'a na początku wojny, kiedy jeszcze jego dywizjon stacjonował w Biggin Hill. Często chodzili wtedy na długie spacery po plaży i rozmawiali o tym, jaki był ich świat w czasie pokoju. George nie chciał opowiadać o walkach, w których uczestniczył, i ciągle szukał poczucia bezpieczeństwa w przeszłości. To były cudowne dni. Rita pamiętała, jak oboje gorzko płakali tamtej nocy, tuż przed jego wyjazdem na Malte. Później wyznał jej, że to ona trzymała go przy życiu, że to jej fotografię zawsze nosił w kieszonce na piersi. Czyż nie powiedział, że chce nosić ją aż do śmierci? Chyba niełatwo zrywa się tak silną więź...

- Wyglądasz na trochę zmęczoną, kochanie - powiedziała matka, kiedy Rita weszła do kuchni. - Dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest - odparła dziewczyna. Eddie i Maddie rzuciły jej złośliwe uśmieszki.

- Dlaczego tak na mnie patrzycie? - zirytowała się.

- Jak tam George? - zapytała Eddie, z trudem tłumiąc chichot. Rita zmrużyła powieki.

- Szpiegowałeś nas? - rzuciła ostro.

- Nie! - skłamała Eddie pośpiesznie. Rita nagle straciła cierpliwość.

- To typowe! - warknęła. - Nie można mieć tu chwili spokoju! Nie dziwię się, że George chce wyjechać do Argentyny!

Hanna położyła na blacie kurczaka, którego przygotowywała do pieczenia, uśmiech znikł z twarzy Eddie, a Maddie z przerażonym wyrazem oczu poderwała dłoń do ust.

- Tak, George wyjeżdża do Argentyny - potwierdziła Rita. W kuchni zapadło milczenie.

- Jedziesz z nim? - zapytała w końcu Eddie.
- Niby jak?
- Na pewno ożeni się z tobą, kochanie!
- George nie chce się ze mną żenić... - odparła załamującym się głosem.
- Ależ, skarbie... - zaczęła Hanna, podchodząc do córki i próbując ją przytulić.
Rita zeszywniała.
- Nic mi nie jest, naprawdę - powiedziała. - Pójdę się wykąpać.
I szybko pobiegła na górę.
- Co się stało, na miłość boską?! - wybuchnęła Maddie, kiedy zostały same. - Jeszcze po południu wszystko było między nimi w porządku! Słowo daję, mam, zapytaj Eddie!
Hanna z nadzieją zerknęła na najmłodszą córkę.
- Całe popołudnie całowali się w jaskini na plaży - przytaknęła Eddie.
- W której?
- Tej na lewo od ścieżki, biegnącej w dół klifu.
- Znam ją - westchnęła Hanna. - To grotka jaskółek. Kiedy dorastałam, zawsze budowały tam gniazda, rok w rok. Ach, o czym ja gadam... - Bezradnie machnęła ręką. - Żeby tak Humphrey wreszcie wrócił... Mam nadzieję, że rzeczywiście nic jej nie jest. Myślicie, że powinnam z nią porozmawiać?
- Czy to możliwe, że George naprawdę nie chce się z nią ożenić?
- Maddie z niedowierzaniem potrząsnęła głową. - To okropne! Czekała na niego tyle lat, co za drań!
- Nie mów tak - skarciła ją matka łagodnie. - Pewnie się trochę posprzeczali, nic więcej. Nie sądzę, żeby to było coś poważnego.
- Ale dlaczego George chce tłuc się taki piekielny kawał drogi do Argentyny, skoro dopiero wrócił do domu? - Maddie przygryzła dolną wargę.
- Nie chcę, żeby Rita wyjechała... - szepnęła Eddie. - Nie mam pojęcia, co bym bez niej zrobiła...
- Kochanie, jeżeli Rita wyjedzie, to wszyscy będziemy za nią bardzo tęsknili, lecz musimy wesprzeć ją w takiej decyzji, jaką podejmie. - Hanna bez entuzjazmu sięgnęła po kurczaka. - Poza tym na pewno nie zostaną tam na zawsze... Dziewczęta, uważam, że na

razie nie powinniśmy jednak rozmawiać z Ritą o całej tej sprawie, chyba że sama tego zechce.

Gdy Humphrey wrócił do domu z redakcji, Hanna dyskretnie zaprowadziła go do jego gabinetu i wszystko mu opowiedziała. Twarz Humphreya natychmiast przybrała kolor dojrzałej śliwki.

- Ożeni się z nią, na Boga! - powiedział cicho, jednym haustem wychylając szklaneczkę szkockiej. - Rita nie pojedzie do Argentyny bez obrączki na palcu!

Hanna trochę się uspokoiła. Obecność Humphreya poprawiła jej nastrój. Wiedziała, że kiedy mąż mówi tak chłodnym, całkowicie opanowanym głosem, zamierza postawić na swoim. Gdy dziewczęta dorastały, nigdy nie podnosił na nie głosu - wystarczyło, że powiedział coś z tym lodowatym spokojem.

- Rozmawiałaś z nią? - zapytał.

- Nie, jeszcze nie...

- Cóż, na razie nie należy wpadać w panikę. Chłopak niedawno wrócił z wojny, trzeba dać mu trochę czasu, żeby przywykł do nowych warunków. - Otworzył drzwi i odwrócił się do Hanny. - Ale powiem ci jedno, nie pozwolę, żeby zwodził Ritę i traktował ją jak pierwszą lepszą.

Przy kolacji nikt nawet nie wspomniał o George'u Boltonie. Rita zdawała sobie sprawę, że Eddie i Maddie palą się do rozmowy, ale nie miała ochoty dzielić się z nimi swoimi przemyśleniami. Nie powiedziała im nawet, że widziała się z Megababcia. Kiedy sytuacja była zła, Rita wolała lizać swoje rany w ciemnym kącie.

Nie mogła zasnąć, więc usiadła na parapecie i utkwiała wzrok w tarczy księżyca. Zastanawiała się, czy George także patrzy na srebrzystą kulę i myśli o niej, dziewczynie, która czekała na niego przez całą wojnę.

Max szedł przez ogród w kierunku rozlewiska rzeki ścieżką oświetloną jasnym, migotliwym blaskiem księżyca. W rękę trzymał podniszczony tomik wierszy, który kiedyś należał do jego matki. Nie mógł przestać myśleć o rozmowie z Ritą. W takich chwilach bardzo brakowało mu obecności i rady matki. Z wielką radością opowiedziałby jej o Ricie... Max wyobrażał sobie, że na pewno zaakceptowałyby jego wybór, mimo że Rita nie była Żydówką.

Matka Maksa i Ruth była aktorką, natchnioną artystką, która chętnie nosiła długie, powiewne suknie i miękkie futra, a ojciec

bogatym bankierem, uszlachconym przez ostatniego cesarza Karola za udzielenie cesarskiemu domowi ostatniej pożyczki. Max doskonale pamiętał Teatr Cesarski, w którym jako dziecko spędzał dość dużo czasu. Ojciec zbudował go specjalnie dla matki, którą pierwszy raz ujrzał na scenie jako bardzo młodą dziewczynę. Często z uśmiechem opowiadał, jak stracił dla niej serce i głowę w chwili, gdy lekkim krokiem wbiegła na scenę. Olśniła go bez reszty, sprawiając, że tylko ją widział i natychmiast zapragnął poślubić. Wybudował więc niewielki teatr z kurtyną z purpurowego aksamitu i błyszczącymi kandelabrami, najlepszym wiedeńskim rzemieślnikom zlecił wykonanie plafonu malowanego w złote róże i łabędzie, a następnie padł przed ukochaną na kolana i poprosił ją o rękę. Niedługo potem ojciec Maksa stracił majątek, kiedy w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku imperium rozpadło się, a jego kopalnie znalazły się na terenie niepodległego państwa czeskiego. Jako mały chłopiec Max z wielką przyjemnością słuchał opowieści o sławie matki. Podobno kiedyś najwybitniejsi i najbogatsi ludzie w Austrii zasiadali w połączonych łóżach, aby podziwiać jej aktorski kunszt, lecz jej największą radość sprawiała świadomość, że mąż co wieczór oklaskuje ją z małej, prywatnej łoży z boku sceny. Nie liczyło się dla niej nic innego, nawet wizyta księcia Walii, który koniecznie chciał na własne oczy ujrzeć najpiękniejszy klejnot Wiednia.

Max otulił się marynarką i spojrzał w kierunku plaży. Płytkie kałuże wody lśniły srebrem w świetle księżyca. Był odpływ, morskie ptaki zapadły już w sen. Wiał mocny wiatr, niosący z sobą zapach bagnisk. Chłopiec podniósł wzrok na niebo, na ogromną, błyszczącą kulę, zawieszoną wśród mrugających gwiazd, i nagle pomyślał, że jako dziecko z uwagą obserwował te same cuda natury. Zażęł za Ritą. Nie mógł powierzyć swojej tajemnicy ani Primrose, ani nawet Ruth, mógł tylko czytać wiersze, które kiedyś budziły wzruszenie jego matki, i czerpać pociechę ze słów innych ludzi, którzy także cierpieli z powodu nieodwzajemnionej miłości.

Trees spał mocno, nieświadomy niepokoju, który nie pozwalał jego żonie udać się na spoczynek. Faye siedziała w swojej małej pracowni i rzeźbiła, słuchając podnoszących na duchu dźwięków Symfonii alpejskiej Straussa. Jej dłonie ugniatały i wygładzały glinę, a umysł wciąż pracował. Martwiła się o syna, nie mogła znieść myśli, że znowu ją opuści. Miała za złe mężowi, że potrafi z dystansem

odnosić się do wszystkich problemów, że zachowuje się tak, jakby interesowały go wyłącznie drzewa orzechowe. Pomyślała o Tadeuszu Waliszewskim i uśmiechnęła się lekko.

Ludzie w wiosce uważali go za ekscentryka. Nie szukał towarzystwa, zajmował się własnymi sprawami i nigdy nie mówił o sobie. Kiedyś zaprosił Faye do swojego świata i pozwolił jej poznać się jako wykształcony, pełen godności mężczyzna o nienaganych manierach i wielkiej kulturze. Grał na skrzypcach z wrażliwością człowieka, który kochał, przeżył stratę i zostawił za sobą przerażające doświadczenia. Czytał Woltera, erotyczne powieści hrabiego Mirabeau i płakał nad wierszami swojego rodaka, wielkiego polskiego poety, Adama Mickiewicza.

Tadeusz uciekł do Anglii w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku, kiedy Sowietci zagarnęli jego rodzinny majątek. Po roku spędzonym w Londynie los zaprowadził go do tego sennego zakątka Devonu. Przysiągł sobie, że któregoś dnia odzyska rodową siedzibę, ale miał już sześćdziesiąt dwa lata i był steranym ciężkimi przejściami, zmęczonym człowiekiem. W Faye odnalazł pokrewną duszę, kobietę, która doskonale go rozumiała. Powoli rozkwitła między nimi miłość. Tadeusz podbił serce Faye spojrzeniem jasnych, mądrych oczu, pełnym wyrozumiałości dla świata i niegasnącą pasją życia. Razem grali rozmaite utwory muzyczne czytali książki i rozmawiali. W przeciwieństwie do Treesa, Tadeusz zawsze chętnie słuchał, nie tylko uszami, ale całym ciałem, co jakiś czas dotykając ręki Faye, aby wyrazić swoje współczucie i zrozumienie. Śmiał się często i głośno, zaraźliwie. Początkowo połączyło ich porozumienie umysłów i dusz. Faye nawet nie przyszło do głowy, że mogłaby się z nim przespać, lecz kiedy pewnego popołudnia opowiedział jej, jak strasznych rzeczy doznała jego rodzina od Rosjan, oddała mu się, aby choć trochę go pocieszyć. Kochali się czule i namiętnie. Dzięki pieczytom Faye Tadeusz mógł czasami odgrodzić się od przeszłości, ona zaś na parę chwil przestawała myśleć o wojnie i niebezpieczeństwie stale grożącym jej synowi. Od powrotu George'a ani razu nie odwiedziła Tadeusza.

Teraz, pracując nad rzeźbą, zastanawiała się, jakiej rady by jej udzielił. Jeśli nawet nie podpowiedziałyby jej żadnego rozwiązania, to przynajmniej wziąłby ją w ramiona i w skupieniu wysłuchał, a to już by wystarczyło, aby poczuła się lepiej. Nie mogąc ani chwili dłużej

znieść bolesnej samotności, spojrzała w okno, na wielki, świetlisty księżyc, który zachęcał ją, aby odrzuciła skrupuły i poszła za głosem serca.

George stał przy oknie w swoim pokoju. Wiedział, że zranił Ritę, i czuł do siebie nienawiść. Powinien się z nią ożenić, ale nie był na to gotowy, tymczasem do Argentyny mógł zabrać ją tylko jako swoją żonę... Matka napisała już do swojej siostry, mieszkającej w Cordobie. George zdawał sobie sprawę, że ucieka, ucieka od smutku, wspomnień o poległych przyjaciółach z dywizjonu, od ech przeszłości i od chłopca, który kiedyś mieszkał we Frognał Point i wyruszył stąd na wojnę.

Jego wzrok przykuł nagle jakiś ruch w mrocznym ogrodzie. Ktoś wyszedł z domu kuchennymi drzwiami, tuż pod jego oknem. Bez trudu rozpoznał sylwetkę matki. Na moment znikła z pola widzenia, lecz zaraz wróciła, ostrożnie prowadząc rower. Zaintrygowany, patrzył, jak wyjeżdża na drogę i rusza w stronę wioski.

Rozdział siódmy

Następnego dnia rano Rita zjawiała się na farmie z czerwonymi odłez oczami i napiętą twarzą. Zastanawiała się, jak długo będzie jeszcze potrzebna teraz, gdy wojna się skończyła i zdemobilizowani żołnierze powoli wracali do domu. Lubiła pracę na świeżym powietrzu, ze zwierzętami, zwłaszcza dogłądanie cieląt i jagniąt.

Słońce świeciło mocno, lecz powietrze było rześkie i pachniało jesienią. Słowiki odfrunęły do cieplejszych krajów, podobnie jak jaskółki, zabierając ze sobą dźwięczne piosenki i radość, przyleciały jednak gile. Rita widziała, jak beztriosko huśtały się na sznurze do suszenia bielizny. Jej matka oswajała je, karmiąc orzechami włoskimi, i Rita nie miała wątpliwości, że niedługo będą jadły jej z ręki.

Kiedy podeszła do drzwi warsztatu, Cyril i inni stali tam już, rozmawiając z George'em i Treesem. Przyłączyła się do nich z nieco sztucznym uśmiechem, starannie unikając wzroku George'a, który wyglądał na równie zmęczonego i niespokojnego jak ona. Czuła panujące między nimi napięcie i nie rozumiała ani słowa z tego, co mówił Cyril. Mildred leżała u stóp Treesa, niepewnie mrugając oczami, zupełnie jakby i ona była świadoma, że coś jest nie tak.

- No, dobrze, Rito, chodź ze mną - powiedział Cyril, kiedy skończył zlecać robotnikom zadania na ten dzień.

Zanim odeszła, George zdążył chwycić ją za ramię.

- Muszę z tobą porozmawiać - szepnął.

- Później... - odparła.

W jej głosie zabrzmiała nieprzyjazna nuta.

- Chyba łatwiej jest poradzić sobie z myśliwcem niż z kobietą - zażartował Trees, spoglądając na syna.

- Niewątpliwie... - George się uśmiechnął, chociaż wcale nie było mu wesoło.

Czuł się całkowicie wypalony w środku, pusty, przygnieciony własną niepewnością i wyrzutami sumienia.

Rita zaczęła zamiatać oborę. Próbowwała skoncentrować się na rytmicznym poruszaniu miotłą i skupić spojrzenie na źdźbłach słomy, które musiała usunąć, nie była jednak w stanie przestać myśleć o George'u. Lęk przed przyszłością aż do bólu napinał mięśnie jej karku i ramion. Pochłonięta pracą, nic zauważyła George'a, który oderwał się od swoich zajęć, aby ją odszukać, i podskoczyła nerwowo, kiedy lekko dotknął jej ręki.

- Czemu tak się podkradasz? - skarciła go i znowu zaczęła zamiatać, tym razem z większą energią.

- Zrób sobie krótką przerwę, na miłość boską! Porozmawiajmy, dobrze?

- O czym? - Wyprostowała się, rzucając mu chłodne spojrzenie.

- O nas. Przepraszam, że wczoraj wieczorem zbyłem cię kilkoma słowami.

Natychmiast ogarnęło ją poczucie winy, że zachowała się tak nieprzyjaźnie.

- Nic nie szkodzi. Wiem, że w tej chwili jest ci ciężko...

- Usiądźmy gdzieś na chwilę - zaproponował, ujmując jej dłoń.

Usiedli na trawie przed stodołą, w łagodnych promieniach jesiennego słońca. Lekki wiatr tańczył z suchymi liśćmi, wśród których skakał ciemnobrązowy drozd.

- Mam nadzieję, że Cyril nie przyłapie mnie na lenistwie - odezwała się Rita.

- Jako syn szefa mogę robić, co chcę, a teraz chcę porozmawiać z moją przyszłą żoną...

Prawy kącik jego ust uniósł się w lekkim uśmiechu i serce Rity zabiło szybciej z radości. George mocno ścisnął jej dłoń między swoimi.

- Kocham cię i nie pragnę nikogo poza tobą, ale tego chyba nie muszę ci mówić - podjął. - Dorastaliśmy razem, jesteśmy dla siebie stworzeni... - Długą chwilę wpatrywał się w jej twarz, za nic na świecie nie chcąc jej urazić. - Nie jestem jednak gotowy, aby już teraz cię poślubić. Mam dopiero dwadzieścia trzy lata, świat widziałem tylko z kabiny myśliwca. Nie mogę zostać we Frognał Point ze świadomością, że nigdy nie wychylę stąd czubka nosa... Rozumiesz mnie, prawda? Jakaś część serca czuję, że już osiągnąłem szczytowy moment życia, że nigdy więcej nie stanę przed tak wielkim wyzwaniem jak w czasie wojny i nigdy nie będę tak wyraźnie widział celu, do którego zmierzam... Inny głos wewnętrzny podpowiada mi, że zostałem czegoś pozbawiony... Obrabowany z młodości, niewinności, wiary, ufności i nie wiem, czego jeszcze... Czasami mam wrażenie, że ktoś połamał mnie na kawałki, a potem źle je złożył...

Mówił spokojnie, ale w głosie brzmiał ton rozpaczony i desperacji. Serce Rity ścisnęło się z bólu i współczucia.

- Rozumiem cię - rzekła, podnosząc jego dłoń do ust i muskając ją wargami. - Będę na ciebie czekać tak długo, jak zechcesz, kochany. Jedź do Argentyny, odkryj świat, rozłóż skrzydła i daj się ponieść wiatrowi...

Kiedy odwrócił ku niej głowę, na jego twarzy malowała się tak wielka czułość, że dziewczyna wstrzymała oddech i zaczerwieniła się gwałtownie.

- Nie zasługuję na ciebie, najdroższa... - wykrztusił. - Przez całą wojnę wspierałaś mnie swoją miłością i listami, a teraz jesteś gotowa zawiesić swoje życie na rok, żeby okazać mi zrozumienie... Jesteś jedyna w swoim rodzaju...

Jego słowa napełniły ją dumą i radością.

- Kiedy wrócę, natychmiast się pobierzemy i założymy rodzinę - ciągnął. - Będziemy mieli piękne, wspaniałe dzieci, zobaczysz...

Roześmiała się głośno i pozwoliła, aby przyciągnął ją do siebie i pocałował w skroń, tuż pod linią włosów.

- Megababcia zawsze straszyla mnie, że pożyczysz mi swoją suknię ślubną...

George parsknął śmiechem, zadowolony, że odzyskała dobry humor.

- W jej suknię zmieściłoby się dziesięć takich jak ty - powiedział.

- Babcia mówi, że kiedyś była szczupła jak brzoza i bezlitośnie łamała serca!

- Dziwne, ale nawet z największym wysiłkiem nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić...

- Wszystko mi jedno, co włożę na siebie w dzień naszego ślubu - westchnęła Rita. - Chcę tylko zostać twoją żoną i dać ci szczęście. Na razie męczy mnie poczucie bezradności, bo wiem, że cierpisz, a ja nie bardzo potrafię ci pomóc...

- To nieprawda! - zaprzeczył gorąco. - Sama twoja obecność sprawia, że czuję się lepiej.

- Cieszę się, że przyjechałaś do mnie wczoraj wieczorem, chociaż wolałbym, żebyś została do rana - powiedział Tadeusz, głaszcząc włosy Faye.

Rzadko nosiła je rozpuszczone, ale Tadeusz zawsze nalegał, aby w jego domu miała taką fryzurę. Mówił, że w koku wygląda zbyt surowo.

- Ja także - odparła. - Tęskniłam za tobą.

- W nocy wszystko wydaje się dużo gorsze i bardziej skomplikowane niż za dnia. Promienie słońca topią nasze obawy i lęki, natomiast światło księżyca sprawia, że wydają się niemożliwe do przezwyciężenia...

Przytuliła się do jego boku. W ogrodzie jak na tę porę roku było ciepło. Faye czuła, że spokojem napełnia ją nie tylko obecność Tadeusza, lecz także atmosfera ogrodu. Założony na planie owalu, otoczony był drzewami, krzewami rododendronu i wysokim żywopłotem z tui. W tym promieniującym spokojnym życiem zielonym raju Faye nieodmiennie ogarniało poczucie bezpieczeństwa, nabierała dystansu do świata oraz własnego życia. Dom Tadeusza znajdował się w ustronnej części wioski, przy końcu niewielkiej alejki, nie musieli więc obawiać się, że oczy nieproszonych gości odkryją ich związek. Tadeusz nie miał tu bliskich przyjaciół. Był wysokim, mocno zbudowanym, nieco niedźwiedziowatym mężczyzną o długich, wiecznie potarganych szpakowatych włosach, bezładnie opadających na pociągłą, opaloną twarz. Nosił niewielką brodę, w której można było znaleźć jeszcze złociste nitki - była to jedyna wskazówka, że kiedyś miał jasne włosy - i okrągłe okulary. Faye uwielbiała przytulać twarz do jego miękkiej brody. Było to dla niej zupełnie nowe doświadczenie, bo wcześniej nigdy nie całowała się z brodatym mężczyzną.

- Matka nieustannie martwi się o swoje dzieci, to prawdziwe przekleństwo... - powiedziała z ciężkim westchnieniem.

- Możemy tylko starać się dbać o ich dobro. Powołujemy je na świat, wychowujemy i puszczamy wolno... George musi sam odnaleźć swoją drogę. Przeznaczenie to potężna rzeka, nad którą nikt nie zdoła zapanować. Gna przez skały, tworzy grzmiące wodospady, potem spokojne akweny... Nie popłyniesz nią za swoimi dziećmi, musisz więc oddać się w ręce kogoś silniejszego od ciebie, złożyć ufność w Bogu...

- Ale jak ja sobie dam radę bez niego? - zapytała żałośnie. • Tadeusz przyciągnął ją bliżej.

- Tak samo, jak radziłaś sobie, kiedy pilotował samoloty i walczył z Niemcami.

- Może nigdy tu nie wróci...

- Nawet jeżeli tak się stanie, będziesz musiała zmierzyć się z tym, kiedy przyjdzie właściwy czas. Nie bój się rzeczy, które może nigdy się nie wydarzą.

- To takie trudne... - szepnęła.

- Żyj chwilą, kochanie. Cierpienie bierze się stąd, że wciąż stawiamy czemuś opór. Pozwól, aby rzeka życia uniosła cię, nie pływaj pod prąd. Co będzie, to będzie, życie nie trwa długo.

Ujęła jego twarz między dłonie i pocałowała go.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła, kochany? - zapytała. - Jesteś taki silny i mądry...

- Wiesz, co jest źródłem mojej mądrości? - Tadeusz utkwiał w niej poważne spojrzenie jasnych, wrażliwych oczu. - To, że zawsze chciałem czerpać naukę z każdego życiowego doświadczenia. Żadne nie jest bezwartościowe i nieistotne, nawet to najdrobniejsze. Wszystko, co się nam zdarza, służy naszemu wyższemu dobru, pamiętaj o tym. Uczymy się poprzez ból, a poprzez szczęście cieszymy się, że nauka nie poszła na marne...

- Postaram się pożegnać George'a z radością w sercu. - Faye uśmiechnęła się niepewnie. - Wiem, że on nie należy do mnie, nie zapominam o tym... Tak czy inaczej, nie będzie to łatwe...

- Jeżeli coś przychodzi ci bez trudu, to znaczy, że zostałeś na drugi rok w kolejnej klasie życia. Uczymy się wyłącznie dzięki trudnościom, nie pieszczotom losu. - Wstał i podał jej rękę. - Chodź, zagrajmy coś razem. Nic nie koi duszy tak skutecznie jak muzyka...

Poszła za nim do salonu i patrzyła, jak wyjmuje skrzypce z futerału. Oparł instrument pod brodą i unióśł smyczek, delikatnie muskając struny.

- Na początek zagram jakiś utwór Szopena, dobrze? Jego muzyka pomaga mi wracać do lat dzieciństwa, nawet Rosjanie nie zdołali mnie tego pozbawić.

Faye z uśmiechem skinęła głową. Usiadła i zasłuchiwała się bez reszty, z podbródkiem opartym na splecionych dłoniach i oczami pełnymi podziwu dla grającego.

Kiedy Faye wróciła do domu na lunch, Trees właśnie mył ręce, a Mildred z wyraźną przyjemnością obwąchiwała jego buty, których zapach przypominał jej spacer po lasach i pikniki na plaży.

- Jak tam George? - zapytała, przystając w drzwiach. Włosy znowu miała ściągnięte w porządną, ciasną kok i nic w jej wyglądzie

nie zdradzało, jak spędziła ostatnie godziny, nic poza rumieńcem na policzkach i lekkim krokiem, lecz Trees jak zwykle nie zwrócił na to uwagi. Podniósł wzrok i z namysłem kiwnął głową.

- Wydaje mi się, że jego przyszłość z Ritą u boku jest znowu pewna i bezpieczna - odparł.

Faye uśmiechnęła się z ulgą.

- Och, tak się cieszę, Bogu niech będą dzięki... Zabierze ją do Argentyny? Mówił ci coś?

- Nic.

- Przyjdą na lunch?

- O, to na pewno oni! - Trees zakręcił wodę. Z dziedzińca dobiegły ich radosne, beztroskie głosy. Faye zostawiła męża przy umywalce i poszła przywitać młodych. Z wielkim zadowoleniem zauważyła, że policzki Rity znowu są zaróżowione, że oboje zachowują się normalnie, przekomarzają się i śmieją.

- Co dostaniemy na lunch, mamó? - zapytał George, zdejmując buty.

- Pieczeń na zimno.

- Po kilku godzinach ciężkiej pracy na roli mężczyzna powinien zjeść porządny lunch.

- Kobieta także! - Rita się roześmiała, opierając dłoń o jego plecy, aby zrzucić kalosze.

Faye nakrywała do stołu i przygotowywała jedzenie, słuchając, jak George opowiada o swoich planach.

- Pobierzemy się zaraz po moim powrocie. Zaopiekujesz się Ritą, kiedy mnie tu nie będzie, prawda, mamó?

Faye rzuciła Ricie pełen podziwu uśmiech.

- Dobra z ciebie dziewczyna - powiedziała. - George ma ogromne szczęście, że na ciebie trafił...

- Zaczekam na niego, jak długo zechce - odparła Rita, podświadomie rozkoszując się rolą kobiety zdolnej do największego poświęcenia dla ukochanego.

- Macie przed sobą całe życie - rzekła Faye, przypominając sobie mądre słowa Tadeusza. - Na pewno jeszcze zdążycie się sobą nacieszyć.

Dopiero w czasie lunchu, gdy Faye nagle stłumiła ziewnięcie, George przypomniał sobie o nocnej eskapadzie matki. Zastanawiał się, kto czekał na nią u celu tajemniczej wyprawy, lecz natychmiast

wyczuł, że nie powinien o to pytać. Przez chwilę przyglądał się, jak ojciec spokojnie pochłania jeden plaster pieczeni za drugim, jak zwykle zamyślony i nieobecny, i pomyślał, że jeżeli nawet Faye ma romans, to Trees jest ostatnim człowiekiem, który się o tym dowie. Przeniósł spojrzenie na Faye - jej oczy lśniły policzki promieniały, lecz wyraz twarzy był niewinny jak u anioła. Pośpiesznie odepchnął myśl, że Faye może mieć kochanka i zawstydził się, że coś takiego w ogóle przyszło mu do głowy. Jego matka była oddaną, kochającą żoną i matką, a także przykładną chrześcijanką. Ujął Ritę za rękę i przestał się zastanawiać nad nocnym życiem Faye.

Wieczorem odwiózł Ritę do domu. Po drodze zatrzymali się, aby chwilę posiedzieć na szczycie klifu i popatrzeć na zachód słońca. Było chłodno, wiał ostry północny wiatr, który sygnalizował początek jesieni. Oboje długo wpatrywali się w morze i w złotym blasku umierającego dnia żegnali się z cudownym, czarownym latem.

- Rita i George znowu się kochają! - zapiszczała Eddie, pędem wbiegając do domu, aby jak najszybciej przekazać matce dobrą wiadomość. - Siedzą na klifie i się całują!

Hanna spokojnie robiła na drutach i nawet nie podniosła wzroku. Nie chciała zachęcać najmłodszej córki, aby wtykała nos w sprawy innych ludzi, chociaż przyniesiona przez nią nowina niewątpliwie była pocieszająca.

- Co tam robiłaś? - zapytała chłodno.

- Zbierałam muszelki razem z Amy, wcale ich nie szpiegowałam, słowo daję! - Eddie bez tchu padła na fotel. - Czy to znaczy, że Rita jednak nas opuści?

- Nie wiem, musimy poczekać, aż przyjdzie do domu.

- Och, ale ona potrafi tak siedzieć i siedzieć na plaży bez końca! Powinna była przyjść na świat jako mewa!

- A ty? - Hanna zaśmiała się i odłożyła druty, aby skupić całą uwagę na swojej najzabawniejszej córce.

- Jako nietoperz, jak Harvey.

- Nietoperze to paskudne stworzenia...

- Ale nie Harvey! Harvey jest piękny. Tata zawsze mówi, że kwestia urody jest względna i zależy od oka i nastawienia obserwatora. Ja uważam, że mój Harvey jest cudny... - Eddie oderwała zwierzątko od rękawa swojego swetra i podniosła go w obu dłoniach.

- Popatrz tylko na ten jego malutki nosek i błyszczące oczka! Czasami wydaje mi się, że Harvey się do mnie uśmiecha!

- Wydawało mi się, że nietoperze są ślepe.

- Ale on wyczuwa moją obecność. Jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi.

- Cóż, ty z pewnością nie jesteś nietoperzem, bo zawsze widzisz więcej, niż powinnaś, kochanie - mruknęła Hanna.

Rita wróciła do domu z dobrą wiadomością. Humphrey nalał sobie whisky, a Hanna zadzwoniła do matki.

Po krótkiej rozmowie z córką pani Megalith odłożyła słuchawkę i z ponurą miną potrząsnęła głową.

- To Hanna - powiedziała do Maksa i Ruth. - George wybiera się do Argentyny, a Rita zamierza czekać na niego tutaj. Nic dobrego z tego nie wyniknie, czuję to w kościach...

- Na jak długo George jedzie? - zapytał Max, odkładając książkę.

- Nie ma żadnych planów, po prostu zobaczy, jak sprawy się ułożą. Moim zdaniem to wszystko wygląda trochę dziwnie...

Pani Megalith usiadła przy stoliku do kart i zanurzyła rękę w misie z drobnymi kryształami. Wzięła głęboki oddech, próbując poprzez naturalną energię minerałów rozluźnić napięte mięśnie ramion i barków. Kiedy otworzyła oczy, u jej stóp pięć kotów czyściło sobie futerka.

- Rita powinna z nim pojechać - oznajmiła, nie zwracając najmniejszej uwagi na koty.

- Postąpiłaby bardzo niewłaściwie - rzekł Max, który nie chciał, żeby ktokolwiek zachęcał Ritę do wyjazdu z Frognał Point. - Nie jest jeszcze jego żoną.

- Te zasady w tym przypadku nie służą niczemu dobremu! Powinna wyjechać z nim, nie przejmując się żadnymi głupstwami, bo inaczej go straci.

- George może zakochać się w kimś innym - zauważyła Ruth, która mówiła niewiele, ale wszystko zapamiętywała i miała niezwykle dar obserwacji.

- Otóż to, moja droga - przytaknęła pani Megalith. Max potarł podbródek.

- Biedna Rita... - wymamrotał.

- Jest młoda, a młodzi ludzie szybko dochodzą do siebie. Złamane serce zwykle tylko czeka, żeby je posklejać. Zapewniam cię,

że Ricie nie brak odporności... - W zamyśleniu dotknęła spoczywającego na jej piersi księżycowego kamienia.

Max przypomniał sobie, jak poprzedniego wieczoru Rita płakała w jego ramionach. Teraz na pewno nawet by go nie zauważyła bo przecież znowu była szczęśliwa... Wyminął koty i wyszedł do ogrodu. Zapalił papierosa, trzymając go między kciukiem i palcem wskazującym, tak jak George. Z całego serca żałował, że z racji zbyt młodego wieku nie mógł walczyć w czasie wojny i nosić eleganckiego, ciemnoniebieskiego munduru RAF - u. George był odważnym mężczyzną. Bohaterem. Max często słyszał, że to właśnie dzięki ludziom takim jak George naziści nie zajęli Wielkiej Brytanii. Gdzie byłby teraz on, Max, gdyby Hitler odniósł zwycięstwo? Na tamtym świecie, jak jego rodzice? Wielka szkoda, że ominęła go okazja, aby zabić przynajmniej kilku Niemców... Cóż, był jeszcze chłopcem, a chłopcy nie imponują takim dziewczętom jak Rita. Długo spacerował po ogrodzie, oświetlonym blaskiem palących się w domu lamp. Dookoła panował spokój, tylko czasami gdzieś w gałęziach zagruchał gołąb, a z zarośli odezwał się bażant. Gdyby wojna nadal trwała, Max wstąpiłby do lotnictwa, ale w tej sytuacji nie ma szans zostać bohaterem... Postanowił, że zrobi coś rozsądnego ze swoim życiem, postara się osiągnąć jakiś ważny cel, ze względu na rodziców i Ritę. A później, kiedy zarobi mnóstwo pieniędzy, odkupi Teatr Cesarski, który wybudował jego ojciec, i przywróci go do pełnej chwały.

Jesień minęła i zaczęła się zima. Dzień wyjazdu George'a zbliżał się wielkimi krokami. Rita wciąż wracała myślami do dnia, kiedy opuścił Frogmal Point, gdy wraz z całym swoim dywizjonem udawał się na Malte. Czuła tę samą pustkę w środku, te same bolesne skurcze żołądka, ten sam lęk przed pozostaniem bez jakiegokolwiek kontaktu z ukochanym mężczyzną poza listami. Powtarzała sobie, że im szybciej wyjedzie, tym szybciej powróci i polubi ją, lecz w gruncie rzeczy stanowiło to niewielką pociechę.

Przez cały ranek lało jak z cebra. George przyjechał po nią ciężarówką i po raz ostatni pojechali na plażę. Pośpiesznie zbiegli ścieżką w dół na plażę, do jaskini. Morze było wzburzone, niebo zaciągnięte ciemnoszarymi chmurami. Na brzegu kręciło się najwyżej kilkanaście ptaków, głównie mew o czarnych główkach, których jazgotliwe głosy wiatr niósł daleko wraz ze słonymi kroplami

morskiej wody. Plaża wyglądała wyjątkowo ponuro i Rita miała wrażenie, że wiosna nigdy nie zawita ponownie na ten brzeg.

W jaskini było zimno i wilgotno. Tuląc się do siebie, usiedli w odległym kącie, tam, gdzie morze nie zdążyło jeszcze do końca zmyć śladów ich miłości. George przesunął dłonią po twarzy Rity, ocierając palcami jej łzy. Pocałował ją, czując na jej wargach smak soli i smutku, i obiecał sobie, że postara się jak najszybciej wrócić do Frogal Point.

- Kiedyś przyjdziemy tutaj, gdy nasze dzieci będą w szkole, i przypomnimy sobie dzisiejszy dzień... - powiedział.

Rita wtuliła twarz w jego kurtkę i rozplakała się cicho i bezradnie.

- Myślę, że powinnaś wyjąć z szafy tę suknię Megababci i zabrać się do jej zwięzania. Chcę, żeby była gotowa, gdy wrócę, a jestem pewny, że będziesz z nią miała wiele pracy. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął małe czarne pudełeczko. - Zależy mi, żebyś zawsze to nosiła - dodał, kładąc pudełeczko na jej dłoni.

Rita wyprostowała się i wytarła mokłą twarz rękawem.

- Co to takiego? - zapytała.

Gdy podniosła wieczko, ze środka błysnął ku niej pierścionek z niewielkim brylantem.

- Zamierzałem podarować ci go już po powrocie, ale daję teraz, to cię upewni, że nasze zaręczyny są faktem. - Wziął pierścionek i powoli wsunął go na serdeczny palec lewej ręki dziewczyny. - Pasuje jak ulał...

- Jest piękny! - Z piersi Rity wyrwało się westchnienie ulgi i radości. - Naprawdę piękny...

- Za każdym razem, gdy na niego spojrzysz, przypomnisz sobie, jak bardzo cię kocham - powiedział poważnie.

Rita zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go.

- A ja chcę, żebyś myślał o mojej miłości do ciebie zawsze, gdy popatrzysz na ten księżyc... - szepnęła.

Siedzieli w jaskini prawie do wieczora, wreszcie powoli ruszyli do samochodu. Rita nie mogła oderwać wzroku od pierścionka i co jakiś czas poruszała dłonią, żeby brylant błyszczał. Trzymali się za ręce przez całą drogę na farmę, gdzie czekali na nich Trees i Faye oraz Alice z dziećmi. Było to smutne pożegnanie. Faye powstrzymywała łzy, pamiętając o mądrych radach Tadeusza, natomiast Alice, zasmucona decyzją brata o ponownym wyjeździe, trzymała Jane w

ramionach i raz po raz ze współczuciem zerknęła na Ritę. Jej mąż, Geoffrey, szczęśliwie przeżył wojnę, podobnie jak George. Alice pomyślała, że gdyby zaraz po przyjeździe oświadczył, że zamierza ponownie ją opuścić, by udać się na drugi koniec świata, nie zniosłaby tego zbyt dobrze. Podejrzywała poza tym, że stanie się to, czego nikt z jej bliskich nie ma odwagi po - wiedzieć na głos - George wyjedzie i już nie wróci.

George ucałował rodzinę, a następnie po raz ostatni objął Ritę, wdychając zapach jej skóry i czując jej łyzy na swojej twarzy. Nie umiał w pełni wyrazić swoich uczuć, więc tylko popatrzył na nią z bezmierną czułością. Następnie wsiadł do ciężarówki razem z ojcem, który miał odwieźć go na dworzec. Kiedy uchylił okno i pomachał ręką, wszyscy odpowiedzieli mu tym samym gestem, lecz on do ostatniej chwili patrzył tylko na Ritę. Wreszcie ciężarówka wyjechała przez bramę na drogę i wzięła pierwszy zakręt. Dopiero wtedy George utkwiał wzrok w przedniej szybie.

Późnym wieczorem Faye siedziała w studiu i usiłowała za wszelką cenę oderwać się od smutnych myśli. Powtarzała sobie to, co usłyszała od Tadeusza - że George nie należy do niej, że tylko wydała go na świat, a teraz powinna okazać swoją miłość, pozwalając mu popełniać własne błędy i czerpać naukę z rozmaitych przeżyć. Była to pocieszająca filozofia, lecz Faye wcale nie czuła się lepiej.

Alice poszła na wieczorny spacer z dziećmi i wróciła do swojego domku, pochłonięta niewesołymi rozważaniami. Doszła do wniosku, że kiedy Geoffrey wreszcie wróci z Francji, nie puści go od siebie na krok.

Rita ukryła się w swojej sypialni i patrzyła, jak krople deszczu spływają po szybie. Od powrotu do domu z trudem powstrzymywała łyzy. Bawiła się pierścionkiem i wciąż od nowa wracała do najbliższych jej sercu, najintymniejszych wspomnień. W pewnej chwili zauważyła gila, który przysiadł na parapecie i zaczął natarczywie stukać małym dziobem w szybę. Wszystko wskazywało na to że ptak próbuje nawiązać z nią kontakt. Rita powoli podniosła się z krzesła i bardzo ostrożnie otworzyła okno, starając się nie wystraszyć niecodziennego gościa. Ku jej zdumieniu, gil wleciał do pokoju, okrążył pokój i wylądował na półce z książkami. Przeskakiwał z książki na książkę, wreszcie przysiadł na brzegu glinianej miski, którą Eddie ulepiła dla Rity na zajęciach szkolnych.

Chwilę siedział, poćwierkując rezolutnie, a potem wyfrunął na zewnątrz w poszukiwaniu materiałów, którymi mógłby umościć gniazdo.

Rozdział ósmy

George siedział na pokładzie liniowca „Fortuna”. Port spowijała wilgotna, szara mgła, dźwigi statków towarowych wyłaniały się z niej jak potężne dinozaury sprzed wielu tysięcy lat. Dookoła panował gwar, głosy rozbrzmiewały w mżawce na tle głębokiego pomruku silników i odległego buczenia wychodzącej z portu jednostki. George, obezwładniony smutkiem, czuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek. Kołująca mewa przemknęła mu nad głową, a jej melancholijny krzyk był jak echo jego własnych wewnętrznych niepokojów i wspomnień o jaskini, Ricie i młodości, którą stracił gdzieś na niebie. Wydawało mu się, że jest już starym, steranym życiem człowiekiem, który nie ma siły dłużej dźwigać brzemienia winy, wyrzutów sumienia i żalu. Zapragnął wyprostować swoje uczucia, wyjąć je, jedno po drugim, i uporządkować według barw i odcieni.

Wypuścił z ust kóleczek dymu i patrzył, jak szybko rozwiewa się we mgle. Nawyk palenia był dla niego pewnego rodzaju pocieszeniem, ponieważ przetrwał wraz z nim cały okres wojny. Dzięki papierosom rozluźniał się po każdym wypadzie, po każdej podniebnej potyczce z wrogiem. Mając dookoła siebie swój dywizjon, doznawał wyjątkowego poczucia przynależności do grupy, wspólnego dążenia do celu. Po pewnym czasie udało mu się przyzwyczaić nawet do strachu przed śmiercią, nigdy jednak nie pogodził się ze śmiercią przyjaciół, Jamiego Cordella, Rata Bridgesa i Lorriego Hamptona, i wiedział, że nigdy o nich nie zapomni. Pokonawszy wszechobecny lęk przed śmiercią, zmagał się teraz z lękiem przed życiem. Nie miał celu, motywacji ani poczucia przynależności. Dryfował, bezwolnie unosił się na falach.

Statek zadygotał i zaczął powoli odsuwać się od pomostu. George utkwiał wzrok w morzu, pokrytym szarawą pianą, a potem ostatni raz spojrział na pozostający w tyle ponury brzeg. Do widzenia, Anglio, żegnaj, wojno, pomyślał. Kiedy wrócę, będę innym człowiekiem.

Przez pierwsze dwa tygodnie wolał być sam. Prawie nie zauważał kręcących się w pobliżu ludzi i szybko kończył rozmowy z nieznanymi, bo i tak nie miał najmniejszej ochoty nawiązywać znajomości. Najczęściej siedział na pokładzie, palił i myślał o przeszłości. Nad przyszłością starał się nie zastanawiać. Nigdy nie był w Ameryce Południowej, więc nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Na statku było wielu pasażerów, którzy z chęcią podzieliliby się z nim

swoją wiedzą o Argentynie, lecz on rozmyślnie nie szukał z nimi kontaktu. Inni grali w warcaby, szachy i brydża, wystawiali sztuki dla dzieci, tańczyli do białego rana i spotykali się w barze. Byli zbyt zajęci, by nawiązać z nim bliższy kontakt, a widząc ponury wyraz jego twarzy, woleli trzymać się od niego z daleka.

Statek zatrzymywał się w Lizbonie, na Maderze, w Rio oraz Santos. George spędzał te dni, rozprostowując nogi i zwiedzając okolicę. Z przyjemnością schodził na ląd, choćby na kilka godzin, aby poczuć zapach ziemi i przyrody. W czasie postojów w portach do „Fortuny” podpływały łódki i na pokład wchodził handlarze, aby rozłożyć swoje towary. Patrząc na srebrne bransolety i ozdoby z taniego brazylijskiego złota, George myślał o Ricie. Chciał kupić jej coś i przynajmniej w ten sposób okazać, że wciąż jest przy niej. Coś atrakcyjnego, jakiś wyjątkowy drobiazg. Przerzucając broszki, pierścionki i kolczyki, niektóre ładne, inne wykonane tak marnie, że na pewno nie przetrwałyby drogi pocztą do Anglii, zauważył w końcu śliczny wisiołek - srebrnego ptaka z szeroko rozłożonymi skrzydłami i oczami z turkusów. W chwili, gdy go zobaczył, zrozumiał, że musi go kupić. Chudy, czarnowłosy handlarz o brunatnej twarzy uśmiechnął się krzywo, kiedy George zapytał o cenę, w myśli szybko podwoił sumę, którą początkowo zamierzał podać, i schował do kieszeni pieniądze. Owinął wisiołek w brązowy papier i podał naiwnemu klientowi.

- Ptak, na szczęście! - powiedział kulawą angielszczyzną, wskazując zawiniątko. - Na szczęście...

- Chodzi mu o to, że ptak to symbol powodzenia - odezwał się inny pasażer, który także oglądał biżuterię. - W czasach starożytnych uważano je za stworzenia czarodziejskie, ponieważ umiały fruwać. Każdemu gatunkowi przypisuje się inne znaczenie. Co to za ptak?

George rozwinął papier i pokazał starszemu panu swój zakup. Tamten przyjrzał mu się uważnie, ku przerażeniu handlarza, który był pewny, że klienci szukają ukrytych wad ozdoby.

- To chyba gołąb... - powiedział znawca historii ptaków. - Symbolizuje miłość, powodzenie i szczęście w małżeństwie. Pojawia się w babilońskich, hebrajskich i greckich mitach o potopie jako znak pokoju, pojednania, zawarcia przymierza. Gołąb, który wrócił do Noego z gałązką oliwną w dziobie, stał się uniwersalnym, międzynarodowym symbolem.

George szczerze podziękował rozmówcy. Najwyraźniej sam los pomógł mu znaleźć tak wyjątkowo odpowiedni podarunek dla ukochanej,

Dopiero na początku trzeciego tygodnia rejsu, kiedy „Fortuna” znajdowała się niedaleko wybrzeża Brazylii, George poczuł lekkie ukłucie zainteresowania tym, co działo się wokół niego. Był wczesny wieczór. Siedział na pokładzie, obserwując zachodzące słońce i wspominając, jak razem z Ritą jeszcze w dzieciństwie wspinali się na klify, żeby popatrzeć na tonące w morzu słońce. Tamto morze bardzo różniło się od oceanu, na którym teraz się znajdował. Jego wzrok padł nagle na stojącą przy burcie kobietę, która także wpatrywała się w horyzont. Stała zupełnie nieruchomo, tylko wiatr muskał spódnicę jej jasnej sukni, odsłaniając smukłe kostki i kształtne łydki. Jasne, prawie białe włosy nieznajomej były upięte w kok, co podkreślało urodę długiej szyi i piękne linie profilu wyraźnie rysującego się na tle ciemniejącego nieba. Miała prosty nos, wysokie kości policzkowe, podbródek świadczący o silnej woli i zdecydowaniu, wyglądała na osobę pewną siebie i nieco wyniosłą. George zaczął się zastanawiać, kto towarzyszy jej na statku, czy jest mężatką, a jeżeli tak, to jakiego rodzaju człowiekiem jest jej mąż. Była bardzo piękna i pełna godności. George z uśmiechem pomyślał, że na pewno nie należy do ustępliwych ani łagodnych. Chyba nie czuła na sobie jego spojrzenia, bo wciąż spokojnie wpatrywała się w dal. George uświadomił sobie, że w jej postawie jest coś dziwnie smutnego, może dlatego, że w ogóle się nie poruszała. Szczęśliwa osoba rozglądałaby się dookoła, uśmiechała, choćby tylko do siebie, tymczasem ona patrzyła przed siebie w taki sposób, jakby przyglądała się nie morzu, ale obrazom, które podsuwał jej umysł.

Stała tak dość długo. George wypalił papierosa, a słońce zaszło, pozostawiając pasmo różowego blasku na styku morza i nieba. W końcu zdjęła dłonie z poręczy i odwróciła się, żeby odejść. Wtedy George z przerażeniem ujrzał długą, paskudną bliznę, przecinającą jej lewy policzek. Na moment wstrzymał oddech, głęboko wstrząśnięty, że ta piękna, dystyngowana kobieta została tak okrutnie oszpecona. Spojrzała na niego, lecz zaraz odwróciła wzrok i zanim George zdążył podnieść się z leżaka, zniknęła. Teraz jego ciekawość była naprawdę mocno pobudzona. Kim ona jest, pomyślał. Co się jej przydarzyło?

Przeszedł się po ogólnie dostępnych salach, szukając jej wzrokiem. W jakich okolicznościach los naznaczył ją tą straszną bliźną? Na twarzy mężczyzny byłby to znak męskości i odwagi, lecz dla kobiety to przekleństwo, potworna skaza.

Współczucie obudziło George'a i nieoczekiwanie przywróciło mu pragnienie powrotu do normalnego życia. Po kolacji, podczas której tajemnicza kobieta nie pokazała się w jadalni, poszedł do baru. Usiadł na wysokim taborecie i zamówił szkocką. Ledwo zdążył podnieść szklaneczkę do ust, kiedy siedzący dwa stołki dalej starszy mężczyzna przechylił się w jego stronę.

- Pan także ucieka przed wojną? - zagadnął.

- Wojna już się skończyła - odparł George.

- Brygadier Bullingdon. - Mężczyzna wyciągnął rękę. George uściskał ją i natychmiast zwrócił uwagę na brwi nowego znajomego, tak obfite i krzaczaste, jakby szykowały się do zajęcia całej twarzy.

- Rzeczywiście się skończyła, młody człowieku, ale nad naszym krajem wciąż wisi ciężka chmura - podjął brygadier. - Walczyłem na zachodnim froncie w pierwszej wojnie. Zostałem ranny, dlatego utykam. Byłem gotowy nadstawić karku i w tej, ale nie chcieli mnie z powodu wieku. Przekłęci Niemcy... - Potrząsnął głową i wypił swoją whisky, bez lodu i wody, tak jak lubił. - Widzę po twoich oczach, że zrobiłeś, co do ciebie należało, młodzieńcze. Wojna zmienia ludzi raz na zawsze... - Obrzucił George'a baczny spojrzeniem spod gęstych brwi.

- Porucznik lotnictwa George Bolton - odparł George machinalnie.

Brygadier z aprobatą skinął głową.

- Gratuluję odwagi - powiedział głosem zachrypłym z podziwu. - Co sprowadza cię do tej części świata, mój drogi?

- Nadzieja na ciekawe przeżycia, nic więcej.

- Twoje oczekiwania na pewno się spełnią. - Staruszek się roześmiał. - Dokąd płyniesz?

- Do Argentyny, do Cordoby.

Bullingdon z namysłem wydał wargi, pulchne i gładkie, jak u młodego mężczyzny.

- Moja żona i ja byliśmy tam przed wojną - rzekł. - Bardzo zielony kraj, górzysty i naprawdę piękny. Podróżujesz samotnie?

- Tak - odparł George.

Pomyślał o Ricie, zastanawiając się, jak poradziłaby sobie na obcym kontynencie. Lekko podchmielony brygadier niepewnie nachylił się ku niemu.

- Szczerze mówiąc, ja też wolałbym podróżować samotnie - zwierzył się. - Argentynki są wyjątkowo ogniste, ale w obecności mojej pani nawet nie ośmielę się na żadną spojrzeć. Żona strzeże mnie jak skarbu... - zakasłał. - Zauważyłem, że na statku jest niewiele ładnych młodych kobietek...

George przypomniał sobie tajemniczą kobietę. Był ciekawy, czy brygadier coś o niej wie, ale zanim zdążył otworzyć usta, za plecami starszego pana pojawiła się drobniutka, wysuszona i pomarszczona kobieta, i zgiętym palcem postukała go w ramię -

- Wydaje mi się, że dosyć już wypiełeś, kochanie.

- Ach, urocza pani Bullingdon... - mruknął brygadier. - Esther, pozwól, że przedstawię ci mojego młodego przyjaciela - porucznik RAF - u, George Bolton...

Esther Bullingdon podała George'owi rękę, bezwładną, suchą i pokrytą wątrobowymi plamami.

- Widzę, że poznałeś jedno z dwojga naszych morskich samotników - powiedziała wysokim, drżącym głosem. - To drugie widziałam przed chwilą na pokładzie... Ładna dziewczyna, ale tak fatalnie zeszpecona... Straszna szkoda... Nie dziwię się, że woli trzymać się z dala od ludzi, biedne dziecko...

- Wie pani, kim ona jest? - George zadał to pytanie, zanim zdążył się dobrze zastanowić.

- To Amerykanka, nazywa się Susan Robertson. Na początku rejsu pozwoliłam sobie przedstawić się tej młodej damie, ale okazała się dość wyniosła. Naturalnie, nie miałam jej tego za złe, trudno spodziewać się pogodnego usposobienia po osobie w takiej sytuacji życiowej... Jest niezamężna. - Starsza pani uniosła dłoń, na palcu błysnęła złota obrączka z malutkim szafirem. - Kobiety instynktownie zwracają uwagę na takie rzeczy...

- Szkoda, że przystojna dziewczyna tak się marnuje - skomentował brygadier.

- Z tą blizną nikt jej nie zechce, a przecież każda kobieta zasługuje na męża i dzieci - podjęła pani Bullingdon. - Ostatecznie, czymże jeszcze mogłybyśmy się zajmować, prawda? Rola żony i matki to główny sens naszego życia...

George'owi nie bardzo podobał się jej ton. Odniósł wrażenie, że żonę brygadiera cieszy nieszczęście tamtej młodej kobiety.

- Miło było mi państwa poznać - powiedział, podnosząc się. - Przepraszam bardzo, ale na mnie już czas...

- Moja pani i tak zaraz zawlecze mnie do łóżka - prychnął brygadier i mrugnął do George'a. - Małżeństwo z Esther pod wieloma względami przypomina pobyt w szkole z internatem.

- Jeżeli rano obudzisz się z kacem, będziesz mógł winić za to wyłącznie siebie, mój drogi - oświadczyła małżonka. - Cieszę się, że nie jest pan z natury nieżyczliwy i wrogo nastawiony do ludzi - dodała, odwracając się do George'a. - Może jutro wieczorem miałby pan ochotę zjeść kolację przy naszym stoliku?

George niechętnie skinął głową. Miał nadzieję, że do rana państwo Bullingdon zapomną o jego istnienia. Uprzejmie pożegnał się raz jeszcze i wyszedł na pokład.

Wieczór był cudownie pogodny, wysoką kopułę nieboskłonu rozjaśniały gwiazdy i duży, złocisty księżyc. Ciszę zakłócał tylko cichy warkot silników i szum, z jakim dziób statku rozcinał powierzchnię wody. Powietrze było balsamicznie łagodne, ciepły wiatr niósł świeży zapach morza. George wyszedł na pokład. Kobieta stała w tym samym miejscu, wpatrzona w ciemność. Wahał się chwilę, niepewny, jak zacząć rozmowę, nie chciał bowiem, aby doszła do wniosku, że powoduje nim litość. Z kieszeni na piersi wyjął paczkę papierosów i lekko postukał nią o dłoń. Podczas gdy on grał na czas, kobieta najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z jego obecności. Otoczył papieros dłońią, żeby zapalić, zaciągnął się i wypuścił dym z ust. Wydawało mu się, że zauważyła go, ponieważ podniosła rękę, aby wsunąć lok za ucho, i lekko zwróciła głowę w jego kierunku, ale chyba jednak go nie widziała. Jasne pasmo włosów nieposłusznie zatańczyło tuż przy policzku, nie dając się poskromić.

Przeszedł przez pokład i oparł się obok niej o burzę.

- Mogę się przyłączyć? - zapytał, spoglądając na nią. Wyprostowała się i zmierzyła go wyniosłym wzrokiem.

- Och, to pan... - powiedziała z lekkim amerykańskim akcentem. - Zauważyłam, że już wcześniej mnie pan obserwował - dodała w odpowiedzi na jego uniesienie brwi.

- Przepraszam za natręctwo... Wzruszyła ramionami.

- Nie ma za co - odparła. - Byłam pogrążona w myślach.

- Wyglądała pani na zasmuconą.

Nuta współczucia, brzmiąca w jego głosie, chyba ją zirytowała.

- Co pan może wiedzieć o smutku? - rzuciła lekceważąco. - Jest pan jeszcze chłopcem...

George poczuł się urażony. Tajemnicza Susan Robertson z pewnością nie była dużo starsza od niego.

- Chłopcem, który przeżył więcej niż niejeden mężczyzna - odpowiedział, przybierając równie arogancki ton.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się lekko, trochę zaintrygowana. - Podsycił pan moją ciekawość, podobnie jak wcześniej ja pańską... Bo przyszedł pan porozmawiać ze mną z ciekawości, prawda?

George'owi nagle zabrakło słów. Nie miał pojęcia, co powiedzieć.

- Nie szkodzi! - zaśmiała się gorzko. - Nie pan pierwszy! Wywieram dziwne wrażenie na mężczyznach... Najpierw patrzą na moją twarz z podziwem, bo widziana z tej strony rzeczywiście jest piękna. - Dotknęła gładkiego policzka. - Ale gdy odwracam się do nich en face, ich zachwyty zmienia się w przerażenie... Bardzo mnie to bawi.

- Bawi?

- Och, proszę oszczędzić mi litości, jestem dorosłą kobietą - rzuciła.

W normalnych okolicznościach George nie zmuszałby się do rozmowy z tak nieuprzejmą osobą, lecz instynkt podpowiadał mu, że złość Susan nie jest wymierzona w niego osobiście. Był to raczej protest przeciwko temu, jak potraktowało ją życie.

- Podróżuje pani samotnie? - zapytał.

- Powinien pan wiedzieć, przecież mnie pan obserwuje, czyż nie?

- Tylko dzisiaj wieczorem. Wcześniej nie widziałem pani.

- Zabawne... Ja dostrzegłam pana już pierwszego dnia, był pan wtedy pograżony w myślach. Jeżeli ktokolwiek wyglądał na zasmuconego, to właśnie pan...

- Jeśli mam być szczery, to czuję się trochę zagubiony. Zaczynam nowe życie w Argentynie.

- Wojna zbyt ciężko pana doświadczyła?

- Coś w tym rodzaju.

- Wiem, co pan czuje... - westchnęła. - Ze mną jest podobnie...

Pod jego spojrzeniem jej twarz złagodniała.

- Ja także uciekam - wyznała.

- Od czego? - zapytał, zadowolony, że zdołał ją trochę rozruszać.
- Cóż, chyba od życia... - Czubkami palców lekko musnęła bliznę. - Tak, od dawnego życia. Szkoda, że nie mogę uciec od tej blizny... Noszę ją jak świadectwo czegoś, o czym wolałabym zapomnieć.

- Chce pani o tym porozmawiać? Nie zna mnie pani, a to czasami ułatwia sprawę. W czasie wojny zdarzało mi się, że otwierałem się przed ludźmi, ponieważ wiedziałem, że nigdy więcej ich nie spotkam, i powierzałem im swoje najgłębiej skrywane tajemnice. Większość z nich nie żyje...

- Więc pana sekrety są bezpieczne? - Uśmiechnęła się ciepło.

- Niektóre.

- Nie jest pan jeszcze w wieku, kiedy ma się dużo tajemnic.

- Pani także nie.

- Och, byłby pan zaskoczony... Tak czy inaczej, gdybym ja powierzyła panu swoje sekrety, musiałabym wypchnąć pana później za burtę. Wygląda pan na dobrego pływaka, więc zachowam je dla siebie, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Co pani robiła w Anglii?

- Nie mogę tego panu powiedzieć, bo to jedna z moich tajemnic.

- W jej oczach błysnął łobuzerski ogień, poprzednia sztywność w zachowaniu zniknęła bez śladu. - Nie chce pan chyba umrzeć, prawda?

- Dokąd pani płynie? Przynajmniej tyle może mi pani chyba powiedzieć...

- Lepiej pomówmy teraz o panu. Kobiety lubią mieć tajemnice.

- Co chciałaby pani wiedzieć?

- Ma pan ukochaną?

- Nie - odparł bez wahania.

Cóż złego mogło wyniknąć z tego, że okłamał kobietę, której po zejściu ze statku nigdy więcej nie zobaczy... Wyrzucił niedopałek za burtę.

- Więc dlaczego jest pan taki smutny?

- Straciłem na wojnie wielu przyjaciół. Bliskich przyjaciół, do których byłem bardzo przywiązany. Oni zginęli, ja przeżyłem. Dlaczego właśnie ja? - Wzruszył ramionami.

- Rozumiem... - rzekła łagodnie. - Gdzie pan walczył?

- W powietrzu.

- Ach, lotnik... Chyba pan wie, jak bardzo to teraz imponuje ludziom...

- Nie ma w tym nic imponującego, gdy człowiek znajduje się w samym środku krwawej bitwy.

- Nie, na pewno nie. Skoro pan przeżył, to musi pan być dobrym pilotem, prawda?

- Może po prostu miałem szczęście... - Więc teraz zostawia pan to wszystko za sobą... Nie chcę pana straszyć, ale wspomnienia są pod pewnym względem podobne do mojej blizny, nie da się od nich uciec.

- Warto jednak spróbować.

- Podejrzewam, że gdyby nawet nam się to udało, szybko byśmy odkryli, że szczęście można osiągnąć tylko, stając twarzą w twarz z naszymi demonami - powiedziała. - Jednak ja nie jestem jeszcze na to gotowa.

- Ja również nie.

- Kto by przypuszczał, że mamy ze sobą tyle wspólnego...

- Nie wiem nawet, jak się pani nazywa - skłamał.

Nie chciał, aby dowiedziała się, że rozmawiał o niej z niesympatyczną panią Bullingdon.

- Susan Robertson.

- George Bolton.

- Pozwoli pan, że ukradnę mu papierosa?

- Proszę bardzo. - Wyjął paczkę z kieszonki na piersi.

- O, lucky strike... - Uśmiechnęła się, biorąc papierosa. - Jesteśmy starymi przyjaciółmi...

Miała smukłe, białe dłonie o długich paznokciach, pomalowanych czerwonym lakierem. Wetknęła papierosa między wargi i utkwiała w George'u spojrzenie lśniących, jasnych oczu, chyba błękitnych, choć w ciemności nie widział dość wyraźnie. Podsunął jej zapalniczkę, lecz wiatr natychmiast zdmuchnął płomyk. Susan otoczyła zapalniczkę dłońmi, lekko muskając jego rękę palcami. Tym razem płomień utrzymał się i młoda kobieta zdołała zapalić papierosa.

- Z której części Ameryki pani pochodzi? - zapytał, pragnąc dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

- Nigdy się pan nie poddaje, prawda?

Roześmiał się.

- Po prostu jestem ciekawy...

- Zupełnie jak dziecko, które domaga się upragnionej zabawki!

- Albo jak mężczyzna w obecności uderzająco pięknej kobiety. Czy to nie naturalne, że staram się lepiej panią poznać?

- Flirtuje pan ze mną, czy tak mi się tylko wydaje?

- Nigdy bym się nie ośmielił... - Uśmiechnął się, jak zwykle unosząc jeden kącik ust.

Susan westchnęła z rozbawieniem.

- No, dobrze... - powiedziała. - Trudno mi określić, skąd właściwie pochodzę, bo mój ojciec był dyplomata, ale wychowałam się w Waszyngtonie. Potem przez pewien czas mieszkaliśmy w Buenos Aires i moje najmilsze wspomnienia pochodzą właśnie z tamtego okresu. Później wyjechaliśmy do Europy. Byliśmy na placówkach w Paryżu, Londynie, Rzymie... Uważam się za dziecko całego świata, nie jestem przywiązana do żadnego konkretnego miejsca...

- Ale uważa się pani za Amerykankę?

- Oczywiście, ale to co innego, tam się urodziłam, moi rodzice są Amerykanami. Czy już zaspokoiliam pana ciekawość?

- Tylko w niewielkim stopniu.

- Lepsze to niż nic...

- Mamy jednak jeszcze całe trzy dni, zanim przybijemy do Buenos Aires...

- I sądzi pan, że w ciągu tych trzech dni wszystko pan ze mnie wydobędzie? Nie jestem naiwną panienczką i nie mam ochoty na flirt, panie Bolton. Wykorzystał pan już swoją szansę. Na szczęście potrafił mnie pan zaciekawić i teraz czuję się dużo mniej przygnębiona... - Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Ja także jestem pani wdzięczny za rozmowę.

- Dobranoc, George... - Poklepała go po dłoni i odeszła. George dość długo stał jeszcze na pokładzie. Zirytowało go, że

Susan potraktowała go jak niedorosłego chłopca. George chciał, żeby spojrzała na niego jak na mężczyznę. Pomyślał, że sama ma najwyżej dwadzieścia osiem, może dziewięć lat, więc nie powinna odnosić się do niego w tak pobłaźliwy sposób.

Wróciwszy do kajuty, postanowił napisać do Rity. Przypomniawszy sobie listy, które pisywał do niej w czasie wojny. Nigdy nie wspominał w nich o swoich przeżyciach z powietrznego pola bitwy, bo wydawały mu się zbyt drastyczne dla łagodnej, wrażliwej dziewczyny. Nie chciał też, aby Rita wiedziała, że prawie codziennie

staje twarzą w twarz ze śmiercią, pisał więc o przeszłości, o klifach i plaży, o ich jaskini i farmie jego rodziców. Wspominał wspólne niewinne zabawy, nie zdając sobie sprawy, że kiedy wróci z wojny tamto życie będzie już tylko snem... Tym razem opowiedział jej tylko, co robi na pokładzie statku, i napisał, że bardzo za nią tęskni.

Zanim zasnął, przez chwilę myślał o Susan. Kiedy w jego wyobraźni jej twarz przesłoniła twarz Rity, ogarnęły go wyrzuty sumienia. Wciąż wracał myślą do rozmowy z Susan, widział, jak jej surowa na początku twarz stopniowo łagodnieje i rozjaśnia się uśmiechem. Była szorstka i zdecydowana, inteligentna i sarkastyczna. W pełni panowała nad swoimi emocjami, lecz odcinała się od ludzi w odruchu samoobrony. Była nieufna, cyniczna, lecz mimo to George czuł, że jest zdolna do wielkiej czułości. Zastanawiał się, czy po zejściu na ląd jeszcze kiedyś się spotkają. On wyruszy do Cordoby pociągami Rayo del Sol, ona zaś pozostanie w gwarnym Buenos Aires i zagubi się wśród milionów mieszkańców wielkiego miasta.

Rozdział dziewiąty

Następnego dnia rano George obudził się w świetnym nastroju. Czuł się jak nowo narodzony. Uświadomił sobie, że po raz pierwszy od początku podróży nie dręczyły go koszmarne sny o wojnie, i po raz pierwszy chętnie podniósł się z łóżka. Z uśmiechem pomyślał, że wkrótce zacznie nowe życie w nowym kraju, chociaż nie miał pojęcia, co było przyczyną tak gruntownej zmiany nastawienia do rzeczywistości.

Szybko ochlapał twarz chłodną wodą i umył zęby. Nie myślał ani o Frogmal Point, ani o liście do Rity, który leżał na nocnej szafce, napisany pod wpływem poczucia winy i obowiązku. Chwilę się zastanawiał, którą koszulę powinien włożyć, wreszcie zdecydował się i przeczesał włosy grzebieniem. Nie ogolił się, ponieważ uznał, że cień zarostu uczyni go bardziej męskim. Spojrzał w lustro i wyszedł na korytarz, w pełni zadowolony ze swojego wyglądu.

Ku jego wielkiemu rozczarowaniu, w jadalni nie było Susan, czekali tam natomiast na niego brygadier Bullingdon i jego małżonka. Na widok George'a pani Bullingdon pomachała do niego i gorączkowo zaszepotała coś do siedzących przy tym samym stole znajomych. George podszedł i przywitał się uprzejmie.

- Och, George, chciałabym przedstawić pana państwu Linton - Harleigh oraz ich córce Mirandzie! - zawołała pani Bullingdon. - Oto porucznik RAF - u George Bolton, jeden z naszych młodych bohaterów... Proszę, proszę, niechże pan siada... George omiół spojrzeniem zaciekawione, uśmiechnięte twarze, uścisnął wyciągnięte ku niemu dłonie, przyjął zaproszenie pani Bullingdon i natychmiast dostrzegł seksualny głód w oczach panny Mirandy Linton - Harleigh. Dziewczyna przypominała drapieżnika; który od kilku tygodni nic nie jadł.

- Miranda na pewno podbije Buenos Aires! - zaśmiała się pani Linton - Harleigh, nerwowo bawiąc się łyżeczką do herbaty. - Zamierzamy zatrzymać się u naszych kuzynostwa w Hurlingham, musi nas tam pan koniecznie odwiedzić... Czeka nas tyle przyjęć i bankietów... Zaraz po przyjeździe wybieramy się na zakupy, bo przecież w Londynie nie ma teraz żadnych ładnych sukienek, wszystko jest na te okropne kartki... Anglicy mieszkający w Argentynie to najsympatyczniejsi ludzie pod słońcem, słowo daję...

- Odwiedzi nas pan, prawda? - zagadnęła Miranda.

George skrzywił się wewnątrz, słysząc twardą nutę w jej głosie.

- Niestety, jadę daleko, aż do Cordoby - odparł.

- A to pech... - prychnęła pogardliwie. - Buenos Aires to centrum życia towarzyskiego! Na prowincji można zanudzić się na śmierć!

- Jakoś sobie z tym poradzę - obojętnie rzucił George. Miranda popatrzyła na niego z niedowierzaniem, niepewna, co ma o nim myśleć.

- W przyszłym tygodniu ambasador wydaje przyjęcie - oznajmiła pani Linton - Harleigh, unosząc wyskubane brwi. - To taki czarujący człowiek... Zna pan ambasadora?

- Nie - odparł George. - Nigdy nie byłem w Argentynie. Zastanawiał się, dlaczego spędza czas z tymi nieznośnymi, okropnymi ludźmi. Ramiona Mirandy opadły - teraz, kiedy dowiedziała się, że będzie to jego pierwsza wizyta w Argentynie, mogła mu wybaczyć ignorancję.

- Na pana miejscu zatrzymałabym się w mieście, choćby na krótko... Buenos Aires jest cudowne, poza tym pozna pan tam odpowiednie towarzystwo - powiedziała, kładąc nacisk na słowo „odpowiednie”.

- Ci, którzy walczyli na wojnie, mają za nic ambicje towarzyskie, moja droga - odezwał się brygadier pobłażliwym tonem. - Ambasadorowie, książęta, wielcy tego świata, nie ma znaczenia, jaką pozycję zajmujemy... Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi, prawda?

- Być może... - wycedził pan Linton - Harleigh. - Jednak aby odnieść sukces, trzeba znać odpowiednich ludzi... Naturalnie, możemy udawać, że jesteśmy ponad takie przyziemne sprawy, ale liczy się nie to, co wiemy, tylko kogo znamy...

- To bardzo niesprawiedliwe, lecz takie jest życie - dodała niedbale jego małżonka. - Pod tym względem wojna nic nie zmieniła.

George przyglądał się, jak dystygowana dama subtelnie skubie grzanekę, i myślał, że oto ma przed sobą Anglików, którzy nigdy nie powinni reprezentować swego kraju za granicą. Zrobiło mu się zimno na myśl, jaką opinię mogą mieć Argentyńczycy o Brytyjczykach, jeżeli oceniają ich na podstawie zachowania i stylu bycia ludzi takich jak Linton - Harleighowie czy Bullingdonowie.

- Popatrz, mamo, to ta biedna Amerykanka! - Miranda spojrzała ponad ramieniem George'a na Susan Robertson, która właśnie siedziała przy osobnym stoliku.

Twarz pani Linton - Harleigh przybrała wyraz fałszywego współczucia.

- Biedaczka... - powiedziała, kręcąc głową. - Kiedyś musiała być prawdziwą pięknoscią, ale teraz...

- Nazywa się Susan Robertson - oznajmiła pani Bullingdon. - Rozmawiałam z nią na początku rejsu.

- Jaka ona jest? - Miranda oblizwała wargi. George'owi zrobiło się niedobrze.

- Potraktowała mnie w dość arogancki sposób, chociaż z tą twarzą powinna nieco bardziej uważać! - prychnęła pani Bullingdon. - Powiem jedno, ma język ostry jak brzytwa i nie waha się nim posługiwać...

- Na pewno ma okropne życie - uzaliła się nieszczerze Miranda. - Los okazał się dla niej strasznie niesprawiedliwy...

Zimny błysk w oczach dziewczyny powiedział George'owi, że widok oszpeconej twarzy Susan sprawia jej sporą przyjemność.

- Uroda zawsze będzie się liczyć, podobnie jak właściwe pochodzenie - oświadczył pan Linton - Harleigh. - Każdy, kto twierdzi, że te sprawy nie mają znaczenia, najzwyczajniej w świecie nie wie, o czym mówi... Jego żona z entuzjazmem pokiwała głową.

- Jakie to szczęście, że nasza Miranda jest taka ładna i czarująca! - powiedziała ze słodkim uśmiechem.

Kiedy George poczuł ucisk tuż nad kostką, w pierwszej chwili pomyślał, że pod stołem na pewno siedzi jakiś pies, lecz nieprzyjemne wrażenie nie znikło i wtedy zorientował się, że to Miranda trąca go stopą. Podniósł wzrok i zobaczył, że nadal rozmawia o Susan z panią Bullingdon, z zapartym tchem pochłaniając wszystkie szczegóły, jakie przekazywała jej wścibska staruszka. Przez głowę przemknęła mu myśl, że chyba się pomylił, ponieważ Miranda wydawała się całkowicie zajęta rozmową, ale przecież z całą pewnością nie napastuje go pani Linton - Harleigh ani tym bardziej żona brygadiera Bullingdona. Stopa przesunęła się wyżej i zaczęła ocierać się o jego łydkę. George udał, że upuścił serwetkę, schylił się i wetknął głowę pod obrus. Miał rację - była to stopa Mirandy. Z rozbawieniem pomyślał, że jej rodzicie niewątpliwie uważają ją za wzór wszelkich

cnót, i pośpiesznie owinał jej kostkę serwetką, przywiązując ją do nogi stołu. Po krótkiej chwili odsunął krzesło i wstał.

- Chyba nie zamierza nas pan opuścić! - wykrzyknęła pani Bullingdon, nie kryjąc zawodu. - Nie zjadł pan jeszcze śniadania!

- Niestety, muszę już państwa pożegnać...

- Spiesz się pan na spotkanie z jakąś piękną damą? - zapytał brygadier, unosząc wysoko jedną krzaczastą brew.

George się uśmiechnął.

- Ma pan doskonałe wycucie - rzekł. - Tak, śpieszę się na spotkanie z bardzo piękną, wytworną damą...

- Umiesz korzystać z życia, młody człowieku! - zaśmiał się pan Linton - Harleigh.

Miranda wydeła wargi.

- Może przyjdzie pan z nią na kolację? - zaproponowała pani Bullingdon i odwróciła się do przyjaciół. - Zanim znalazłam George'a, był trochę samotny...

George odwrócił się na pięcie i podszedł do stolika Susan. Podniosła wzrok i rzuciła mu porozumiewawczy uśmiech.

- Potrzebuje pan ratunku? - zagadnęła. Bezradnie pokiwał głową.

- Mogę się przysiąc?

- Proszę bardzo.

George przysunął sobie krzesło i usiadł tyłem do stołu państwa Bullingdon.

- Wygląda na to, że rozczarował pan swoich znajomych, decydując się zjeść śniadanie ze mną... - odezwała się Susan.

- To dobrze. Trudno byłoby znaleźć mniej sympatycznych ludzi.

- Trzeba było trzymać się od nich z daleka...

- Staralem się, ale zaskoczyli mnie w barze.

- Znam ten gatunek, to prawdziwe pijawki. Natychmiast po zawarciu znajomości próbują wyssać krew z ofiary.

- Co za szczęście, że wycofałem się, zanim do tego doszło. Jak się pani dziś czuje?

Susan pociągnęła łyk kawy. Miała piękną spódnicę i bluzkę w kolorze kości słoniowej, pojedynczy sznur pereł na szyi, idealnie zadbane paznokcie, staranny makijaż, włosy błyszcząły zdrowiem i witalnością, tylko w oczach widać było cień duchowego znużenia.

- Wczoraj wieczorem naprawdę dobrze się bawiłam - wyznała, ku zaskoczeniu George'a. - Och, niechże pan zamknie usta, zanim coś tam panu wpadnie... Nasza rozmowa sprawiła mi przyjemność.

- Mnie także. Szkoda, że nie poznaliśmy się wcześniej.

Spuściła oczy. Przez moment wyglądała jak młodziutka dziewczyna i George pomyślał, że potrzebuje czułości i opieki. Nappełnił filiżankę kawą, przywołał kelnera i zamówił kilka grzanek.

- Dwa śniadania? - zaśmiała się Susan. - Czy to nie za dużo, nawet jak na dorastającego chłopca? - zakpiła.

- Towarzystwo tamtych państwa pozbawiło mnie apetytu - odparł, smarując masłem grzanek. - Teraz wreszcie zgłodniałem...

- Mam wrażenie, że zdenerwował pan tamtą skwaśniałą panienkę - powiedziała Susan, zerkając na Mirandę. - Nie mogła oderwać od pana wzroku.

- Znacznie bardziej interesowała ją pani.

- Tak pan sądzi?

- Tak mi się wydawało...

- Na pewno zachodzi w głowę, dlaczego taki przystojny młody człowiek woli zjeść śniadanie z oszpeconą starą panną niż z nią - rzuciła.

- Uroda szybko przemija.

- Tak mówią...

- To prawda. Dlaczego mówi pani, że jest starą panną?

Uśmiechnęła się z wyraźnym zadowoleniem. Jej policzki zarumieniły się gwałtownie.

- Jest pan bardzo uprzejmy - powiedziała. - Co zamierza pan dzisiaj robić?

- Spędzić jak największą część dnia z panią. Chyba nie przypuszcza pani, że zostawię ją samą, co?

- Najwyraźniej pan uważa, że nie potrafię sama się obronić.

- Wręcz przeciwnie, to ja nie potrafię bronić się przed tak zdecydowanymi damami, jak panie Bullingdon i Linton - Harleigh. Jeżeli zostawi mnie pani własnemu losowi, na pewno znowu mnie dopadną.

- W takim razie muszę otoczyć pana opieką, nie mam wyboru... Ale ostrzegam pana, że zabrałam ze sobą dużo książek do przeczytania, więc nie będę szczególnie rozmowna.

- Uwielbiam książki, zwłaszcza klasyków, Dickensa, Austen i Thackeraya - rzekł George. - Moja matka nauczyła mnie cenić ich powieści...

Susan uniosła brwi, wyraźnie zaskoczona.

- Kiedy byłem dzieckiem, czytała mi Kubusia Puchatka i Chatkę Puchatka - ciągnął. - Na pewno pani wie, że czytane w późniejszym wieku, smakują jeszcze lepiej...

- Podobnie jak Alicja w krainie czarów i Czarnoksiężnik z krainy Oz - uzupełniła.

- Właśnie! Bardzo lubię książki, które można interpretować na dwóch poziomach.

Nagle przy stole za ich plecami rozległ się przeraźliwy krzyk - to Miranda próbowała wstać, lecz zaraz znów opadła na krzesło spętana płócienną serwetką, którą George przywiązał jej nogę do krzesła. Rodzice patrzyli na nią w osłupieniu, natomiast twarz pani Bullingdon powlokła się krwawym rumieńcem zakłopotania, ponieważ krzyk dziewczyny zwrócił uwagę wszystkich na ich małą grupkę.

- Dobry Boże, co się stało, moje dziecko?! - zawołał pan Linton - Harleigh z irytacją w głosie.

Miranda odęła wargi i zanurkowała pod stół. Uwolnwszy nogę, wyłoniła się spod blatu czerwona jak burak i zagniewana.

- Nic się nie stało! - odburknęła. - I nie patrz tak na mnie, mamo, nie jestem dzieckiem!

Mijając George'a, zadarła nos wysoko do góry i rzuciła mu obrażone spojrzenie.

- Nic nie rozumiem... - powiedziała Susan, kiedy państwo Linton - Harleigh i Bullingdon opuścili jadalnię.

- To naprawdę nic ważnego. - George się uśmiechnął. - Gdyby nie pewna zbyt śmiała stopa, która zabłądziła, gdzie jej nie proszono, nie byłoby całego tego zamieszania... Na szczęście jesteśmy na dużym statku, więc chyba zdołam bez większego trudu uniknąć spotkania z tą panienką i wyrzucenia za burtę...

Cały dzień spędził z Susan. Spacerowali po pokładzie, ciesząc się słońcem, odpoczywali na leżakach, popijali lemoniadę i spokojnie czytali, co jakiś czas komentując coś, co szczególnie ich rozbawiło lub zainteresowało. Razem zjedli lunch, obgadując brygadiera Bullingdona, jego żonę oraz ich okropnych przyjaciół, którzy teraz traktowali George'a jak zdrajcę. Wieczorem poszli popływać w

basenie, potem sączyli koktajle, obserwując, jak słońce pogrąża się w morzu, aby oświetlić kontynent leżący na drugiej półkuli.

Kilka dni później, kiedy statek zakotwiczył u wybrzeży Urugwaju, małą łódką popłynęli do portu, by pochodzić po sklepach i z bliska przyjrzeć się plaży. Piasek był tu delikatny i drobny, zupełnie niepodobny do tego na plażach Devonu.

- Pięknie, prawda? - odezwał się George, patrząc na szafirowe niebo, jaśniejące słońcem. - Powoli zapominam, jak wyglądają angielskie szare chmury i wieczna zimowa mżawka...

- Najcudowniejszy jest zapach morza - zauważyła Susan. - Gęsty i słodki jak miód...

- Wychowałem się nad morzem i zawsze lubiłem ten aromat. - Aż chce się nim oddychać - powiedziała, kładąc dłoń na sercu. - Nad morzem zawsze czuję, że moja dusza naprawdę jest nieśmiertelna, i zaczynam się zastanawiać, jak wygląda tamten świat. - Wydaje mi się, że śmierć przypomina morze, a horyzont to tylko granica, której dosięga wzrok. Trzeba mieć wiarę... Lubię myśleć, że niebo jest tam, za granicą naszych zmysłów.

- Spotkamy się jeszcze? - zapytał nagle George. Roześmiała się z nutką pobłażania.

- Och, mój drogi... - westchnęła lekko.

- Jutro będziemy w Buenos Aires.

- Więc najpierw dożyjemy do jutra, dobrze?

- Zapewniam cię, że dożyjemy - odparł, nie potrafiąc ukryć napięcia.

- Wiem, że tak uważasz, bo przeżyłeś wojnę. - Ujęła jego dłoń i pogłaskała ją pieszczotliwie.

- Nie traktuj mnie jak dziecko - rzucił gniewnie. Uśmiechnęła się, co rozdrażniło go jeszcze bardziej.

- Nie traktuję cię jak dziecko - powiedziała. - Po prostu zadajesz mi pytanie, na które nie znam odpowiedzi... Łatwiej jest nie myśleć o tych sprawach, unikać ich...

- Jesteś mężatką?

- Nie.

- Czeka na ciebie ukochany? - Nie.

- Nie chcesz mnie więcej widzieć? - Zatrzymał się i cofnął rękę, obronnym gestem wkładając ją do kieszeni.

Susan przechyliła głowę na bok i zmierzyła go poważnym spojrzeniem.

- Nie wiem. Może naszym przeznaczeniem było spotkać się na tym statku i więcej się nie zobaczyć...

Podniosła dłoń i w zamyśleniu przesunęła palcami po przecinającej policzek bliznie. George głośno przełknął ślinę.

- Czy to dlatego, że uważasz mnie za niedorosłego chłopca?

- Niewątpliwie jesteś młodszy ode mnie.

- Przeszkadza ci to?

- Z wiekiem jest jak z urodą, jedno i drugie to kwestie niewymierne, nieistotne...

- Więc w czym problem?

- Nie jestem gotowa - powiedziała ze smutkiem i potrzęsła głową. - Przykro mi...

Zamiast się dąsać, co z pewnością zrobiłby niedorosły chłopiec George postarał się zachować jak mężczyzna. Spokojnie przyjął odmowę Susan do wiadomości, świadomy, że jeśli zechce, może roztrząsać ją do końca życia, i zrobił wysiłek, aby nie okazać rozczarowania. Przy kolacji długo rozmawiali o historii Urugwaju i Argentyny, a po posiłku wyszli na pokład i przystanęli w miejscu, gdzie się poznali. Oparli się o burtę i zapatrzyli w ciemność. George czuł, że brakuje mu powietrza, zupełnie jakby noc pochłonęła cały tlen. Nagle z przerażeniem pomyślał, że niedługo Susan zniknie z jego życia.

- O czym myślisz? - zapytała.

- Patrzę w pustkę - odparł, niezdolny odeprzeć znajomego poczucia straty. - Nie umiem pogodzić się z tym, że nigdy więcej cię nie zobaczę...

- Kto wie, co jest nam pisane...

Ogarnięty pożądaniem i desperacją, gwałtownie odwrócił ją ku sobie i pocałował. Ciało Susan napięło się i zeszywniało, odepchnęła go z wyraźnym lękiem.

- Nie mogę... - powiedziała drżącym głosem, podnosząc dłonie do rozpalonych policzków. - Nie mogę... Nic nie rozumiesz...

Jednak George dojrzał w jej oczach tęsknotę i mimo tej reakcji pocałował ją znowu. W jego ramionach poczuła się krucha i delikatna, i po raz pierwszy przestała się bronić. Napięcie powoli ustąpiło, pozwoliła, aby przytulił ją do siebie. Trzymał ją mocno, jak najbliżej,

wiedząc, że rano muszą się rozstać. Całował namiętnie, głęboko. Pachniała morzem, konwaliami i czymś słodkim, niepowtarzalnym i niemożliwym do zapomnienia. W końcu cofnęła się i spojrzała na niego z żalem. - To nie był pocałunek chłopca - zakpiła niepewnie. - Muszę już iść...

- Spędzisz ze mną noc? - zapytał, czując, jak świat wali mu się na głowę. - Nie, Wracam do własnego łóżka.

- Więc to koniec?

- Nie smuć się, mój drogi. Jesteś młody, masz przed sobą całe życie... Można powiedzieć, że dopiero zaczynasz żyć...

- Nie mów tak! Mam wrażenie, że wszystko się kończy...

- Dobranoc. - Przycisnęła wargi do jego ust i pocałowała go czule.

Potem znikła.

George pragnął pobiec za nią, lecz wiedział, że wszelkie błagania okażą się bezskuteczne i upokarzające. Gdyby tak postąpił, Susan straciłaby do niego szacunek. Zapalił papierosa i zaciągnął się, chociaż gardło miał ściśnięte. Chciało mu się płakać. Co się ze mną dzieje, do diaska, pomyślał. Zaledwie trzy tygodnie temu pożegnałem się z Ritą...

Ukrył twarz w dłoniach i spróbował się uspokoić, słuchając własnego oddechu i usiłując uporządkować rozbiegane myśli.

Kiedy wreszcie zapadł w niespokojny sen, koszmary wróciły, aby znowu go dręczyć.

Ciemność rozstępuje się jak mgła i George uświadamia sobie, że leci wysoko, a dookoła rozpościera się bezchmurne niebo. Wibracje samolotu wstrząsają jego ciałem, ryk silnika przypomina nagły bitewny okrzyk. Maski tlenowej jest rozgrzana, więc trudno mu oddychać, ale nawet na moment nie spuszcza wzroku ze złowroziej chmury zdążających ku niemu niemieckich messerschmittów 109. Na szczęście nie jest sam, po prawej stronie ma Lorriego, tylko gdzie podział się Tony... George odwraca się i widzi, że Tony trzyma się nieco z tyłu, po lewej. Sama świadomość ich obecności dodaje mu odwagi. Pokażemy wam, dranie... Messerschmitty wydają się ogromne i groźne, i nagle George znajduje się w samym środku wrogiego obłoku. Niemieckich maszyn jest tyle, że nie wie, w którą stronę się obrócić. Ogarnia go strach lodowate przerażenie, które zmusza do koncentracji i wbrew wszelkiej logice uspokaja. Czasami

strach działa jak orzeźwiający prysznic, myśli George. Czekają go ciężka, krwawa bitwa. Skup się, George, nie trać głowy... Dobiegający przez radio głos ostrzega przed samolotami nieprzyjaciela, które są wszędzie. Uważaj ostrzega radiotelegrafista, masz osiem maszyn na szóstej, uważaj schodzą ku tobie, uciekaj, na miłość boską! George opiera palec na spuście, zwiększa szybkość, jest skupiony, całkowicie spokojny, jak nigdy. Wzrokiem szuka celu. Pod sobą ma kilka dornierów. Rozgląda się. Wokół niego szaleje walka, spitfire'y giną w chmurze niemieckich maszyn. George schodzi niżej, ani na chwilę nie traci z oczu jednego z dornierów. Dookoła gwizdzą pociski, lecz nic nie jest w stanie go zdekoncentrować. Dostanę cię, bandyto, jeszcze pożałujesz... Naciska spust i strzela. Mam cię... Dornier pikuje, ciągnąc za sobą gęstą smugę czarnego dymu. George nie ma czasu patrzeć, jak maszyna wali się prosto w morze, ani zastanawiać się, kto będzie opłakiwał jego wroga. Dostrzega heinkla i grzmi w niego krótkimi seriami, ale wróg odwraca się i ucieka w stronę morza. George siedzi mu na ogonie, świadomy, że oddalają się z pola bitwy, tylko we dwóch, co znaczy, że jeden z pewnością zginie. Pot spływa mu po czole i dostaje się do oczu, jest mu gorąco, serce wali jak oszalałe. Morze połyskuje w świetle wczesnego wieczoru. Wygląda tak cudownie, że George przez długą chwilę nie może oderwać od niego oczu. Miejsce wiecznego spoczynku tylu dzielnych, pełnych poświęcenia ludzi... Heinkel jest pod nim, więc George ma nad nim przewagę i szybko schodzi w dół, gotowy do ataku. Zwalnia, podchodzi Niemca od prawej, uderza w niego jedną serią po drugiej. Heinkel dostał, spod prawego skrzydła wydobywa się czarny dym. Jestem w tym naprawdę dobry, triumfalnie myśli George, lecz w tej samej chwili wyczuwa, że reaguje zbyt wolno, że nie zdąży uniknąć kontrataku, i w tej samej sekundzie słyszy stukot kul o metal. Trafił mnie, do cholery! Natychmiast orientuje się, że na szczęście dostał tylko w skrzydło. Ogarnia go uczucie ulgi. Było blisko... Podciąga drugie skrzydło do góry i strzela, tym razem długimi seriami, pełen determinacji i zimnej furii, ani na moment nie zdejmując oczu z celu. Niemiec odsuwa się, wymyka, podobny do śliskiego węgorza George nie ma pojęcia, jakim cudem uciekł przed kulami. Nade traci wroga z pola widzenia. Rozgląda się nerwowo, z uczuciem dziwnego napięcia i oczekiwania. Widzi, że tuż za nim leci messerschmitt. Skąd on się tam wziął? George zwiększa prędkość, rzuca się do ucieczki. Zatacza

pętla, raz w jedną, raz w drugą stronę, wszystko, byle tylko nie lecieć prosto przed siebie. Wie, że stanowi trudny cel. Nagle widzi, jak za boczną szybą przemyka pasmo czerwieni. Strzały, wybuch, zapach rozgrzanego metalu i własnego przerażenia... Wreszcie uświadamia sobie, że został trafiony. Mruga gwałtownie, żeby oczyścić oczy z powodującego ostre szczypanie potu. W skroniach pulsuje tępy ból. Weź się w garść, na miłość boską, myśli. Nie jesteś jeszcze gotowy na spotkanie ze Stwórcą... Messerschmitt zostaje w tyle, może pewny, że George lada chwila runie w dół, lecz on, ku własnemu zdumieniu, wciąż leci. Najwyraźniej Niemiec trafił w bak z paliwem... George wykonuje pętlę i teraz znajduje się nad wrogiem, teraz to on ściga ofiarę. Przeklęty, arogancki drań! George przyśpiesza, bierze Niemca na cel i strzela, zużywając resztę amunicji. Zginiesz, nawet gdybym ja miał umrzeć razem z tobą, krzyczy. Strzela jak oszalały, nie zdejmuje palca ze spustu. Szary dym bucha spod pokrywy niemieckiej maszyny, śmigło zwalnia, samolot obniża lot, spada... George widzi, jak morze pożera go z jednym liźnięciem wielkiego jęzora białej piany. Wreszcie spokój... George rozgląda się dookoła. Jest zupełnie sam. Serce powoli przestaje galopować, więc George rozluźnia zaciski tlenowej maski. Trafili go, ale jakoś dotrze do domu, chociaż mało brakowało... Niespodziewanie ogarnia go wielka fala osamotnienia. Gdzie się wszyscy podzieli? Daleko przed sobą widzi poszarpaną linię brzegową. Szuka wzrokiem samolotów, ale w pobliżu nie ma żadnego. Gdzie są Lorrie i Tony? George wie, że nie przeżyli, czuje to. Został sam. Zupełnie sam.

Rozdział dziesiąty

Obudził się zlany potem. Serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi, całe ciało drżało ze strachu. Dopiero po dłuższej chwili otrząsnął się z pełnego przerażenia snu i przypomniał sobie, że znajduje się na pokładzie „Fortuny” i płynie do Argentyny. Zaraz potem pomyślał o Susan i poczuł się jeszcze bardziej samotny niż kiedykolwiek.

Kiedy ubierał się, czuł cichnące wibracje silników. Statek wchodził do portu w Buenos Aires. George wypadł na korytarz i popędził na pokład, mając nadzieję, że zdarzy się jakiś cud, dzięki któremu zobaczy schodzącą z pokładu Susan. Oparty o burtę patrzył, jak strumień pasażerów niespiesznie spływa na ląd. Wzrokiem wciąż szukał jasnych jak promień księżycy włosów, związanych w elegancki kok. W porcie kręciło się mnóstwo urzędników w służbowych uniformach, lecz w przeciwieństwie do Anglii tu panowała atmosfera ogólnego rozluźnienia i spokoju. Było jeszcze wczesnie, ale słońce mocno grzało.

W końcu zdał sobie sprawę, że wszyscy wysiadający w Buenos Aires zeszli ze statku, i z rezygnacją pomyślał, że Susan także jest już w porcie, a może nawet w mieście. Wrócił do kabiny i wrzucił rzeczy do torby. Gdy znalazł list, który napisał do Rity, i srebrny wisiołek, zawahał się. Z namysłem obracał w palcach ozdobę, wreszcie położył ją na samym wierzchu i zamknął torbę. Schodząc ze statku, uświadomił sobie, że nie ma nawet żadnej pamiątki po Susan - żadnego zdjęcia, listu czy jakiegokolwiek drobiazgu, który pozwoliłby mu lepiej zapamiętać ich spotkanie i rozstanie. Po prostu nic, jakby dni, które spędzili razem, tylko mu się przyśniły.

Buenos Aires okazało się pachnącym, romantycznym miastem. George wyobrażał sobie Susan siedzącą w małych kafejkach, pod fioletowymi drzewami jacarandy, które rozkwitały tak samo gwałtownie jak jego kruche serce, spacerującą szerokimi alejami, wracającą do jakiegoś hotelu, mieszczącego się w jednej z niezliczonych pięknych kamienic w paryskim stylu, o wysokich, spadzistych dachach i bogato zdobionych fasadach. Miał sporo czasu do odjazdu pociągu do Cordoby, poszedł więc na plac, wysadzany kwitnącymi drzewami, gdzie powietrze przesycone było uderzającym do głowy zapachem gardenii, a ptaki zanosiły się śpiewem.

Przy pięknej fontannie nie było nikogo. Delikatny szmer wody koił skolataną duszę George'a, który dopiero teraz mógł zacząć cieszyć się zmianą scenerii i obietnicą nowości, jaką kusił go ten kraj. Zjadł lunch w restauracji La Recoleta, przy stoliku pod żyłastymi gałęziami kauczukowców. Po drugiej stronie ulicy ciągnął się cmentarny mur; przy bramie stał stragan z kwiatami i zapach wiosny mieszał się z aromatem pieczonego mięsa i oparami benzyny. George zamówił argentyńską wołowinę, stek, który ledwo mieścił się na wielkim talerzu, niezwykle soczysty i smaczny. Napił się wina, pozwalając, aby stępiło poczucie odrzucenia, które wciąż kąsało jego serce, i z rozleniwieniem przyglądał się toczącemu się wokół życia.

Przybył do nietkniętego przez wojnę kraju. Ludzie przesiadywali w słońcu, sącząc koktajle, rozmawiając i jedząc przysmaki, które w Wielkiej Brytanii od dawna były rzadkością. Nagle ogarnęło go uczucie miłego zadowolenia, że stanowi część tego wolnego, beztroskiego świata. Zrozumiał, że tutaj będzie mu łatwiej zapomnieć, strząsnąć z siebie pęta zimy i wpuścić do serca wiosnę. Starał się myśleć o Ricie, ale zamiast jej twarzy wyobraźnia wciąż podsuwała mu twarz Susan. Był zbyt rozgrzany winem, aby z tym walczyć, więc wspominał ją z tęsknotą i żalem. Wstrząsnął nim dreszcz, kiedy niespodziewanie uświadomił sobie, że gdyby naprawdę kochał Ritę, ożeniłby się z nią i zabrał ze sobą do Argentyny. Pomyślał, że Rita jest nieodłącznie związana z Frognał Point i jego przeszłością, i właśnie dlatego od niej ucieka.

Ta myśl głęboko go zaniepokoiła. Kochał przecież Ritę od wielu, wielu lat, poza tym Susan odeszła na zawsze... Zapłacił za posiłek i taksówką pojechał na dworzec Retiro. Taksówkarz, wesoły mężczyzna z wielkim brzuchem, okazał się pełnym zapału patriotą - wnętrze wozu ozdobiły malutkie białe - niebieskie argentyńskie flagi, powtykane we wszystkie możliwe miejsca. Fakt, że George nie zna hiszpańskiego, trochę go rozczarował, ale i tak gadał bez przerwy, pewny, że młody cudzoziemiec zrozumie, o co mu chodzi. George pozwolił mu mówić. Kiwał głową i co jakiś czas, w zależności od tonu głosu mężczyzny, odpowiadał si albo no. Po przybyciu na dworzec z rozbawieniem spostrzegł, że budynek jest wierną kopią londyńskiej stacji Waterloo; nawet ozdobne kraty przy kasach były takie same. Ogarnęła go fala nostalgii, gdy przypomniał sobie pociągi, którymi na początku wojny często jeździł do domu na przepustkę.

Bez trudu znalazł miejsce w jadącym do Cordoby pociągu Rayo del Sol. Czuł się trochę dziwnie - wyglądał przez niezastłonięte zaciemniającą tkaniną okna, siedział wygodnie w prawie pustym przedziale... Poza nim była tu tylko kobieta o opalonej na brąz twarzy, na której ramieniu drzemała kolorowa papuga. Dość długo obserwował miasto - w miarę oddalania się od centrum domy stawały się coraz uboższe i bardziej zaniedbane - potem zaś zapadł w drzemkę. Kiedy się obudził, za oknami w miejsce betonowej miejskiej pustyni pojawiły się rozległe pola.

Jechali przez pampę. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozciągała się płaska, porośnięta trawą równina, z rzadka urozmaicona kępami drzew. Tu i ówdzie pyszniły się potężne drzewa ombu, przysadziście, lecz majestatyczne i dostojne jak władcy pampy. W pobliżu domostw pasły się stada kuców o lśniącej sierści koloru ciemnego miodu. Koniki leniwie podrzucały łbami, zbyt zmęczone upałem, aby kłusować po łące. Pociąg mijał niewielkie miasta i ogromne pola, obsiane kukurydzą, pszenicą i słonecznikami. Niebo tworzyło nieogarnioną kopułę nad polami i chwilami można było odnieść wrażenie, że ziemia usunęła się gdzieś w głąb, odsłaniając niebieską bramę, a pierzaste obłoki przypominały anielskie rydwany. Zatrzymywali się na staroświeckich stacyjkach, które George'owi przywodziły na myśl ojczyznę. Siedząca naprzeciwko niego dama zasnęła, nieświadoma, że jej papuga, która pod czujnym okiem swej pani zachowywała się idealnie, teraz, korzystając z okazji, zaczęła skakać po całym przedziale. Czepiała się pazurami obicia siedzeń, dreptała po półkach i złaźła z nich. George przyglądał się jej z zainteresowaniem, żałując, że nie ma jej czym poczęstować.

Kolację zjadł sam, wspominając ostatni wieczór, spędzony z Susan na pokładzie „Fortuny”, sposób, w jaki się uśmiechała, straszną bliznę na policzku, która jemu wydawała się tak droga, i chłodne niebieskie oczy, łagodniejące na jego widok. Z trudem przypominał sobie, o czym rozmawiali, lecz dokładnie pamiętał twarz, sylwetkę i zapach, słodki zapach konwalii połączony z jej własnym, niepowtarzalnym aromatem. Nie pragnął towarzystwa, wołał być sam na sam ze swoimi myślami. Po kolacji poszedł do przedziału sypialnego, który miał tylko dla siebie. Chciało mu się spać, lecz pasażer w sąsiedniej kabynie chrapał tak głośno, że nie mógł zasnąć.

Wczesnym rankiem, po niespokojnej nocy odkrył, że sprawczynią jego udręki była właścicielka papugi.

Krajobraz za oknem wreszcie się zmienił - na równinie pojawiły się wzgórza, podobne do gigantycznych fal, uderzających o plażę. George przypomniał sobie, jak Susan opowiadała mu, że w tych górach mieszkają kondory, węże i pумы, roślinność jest tu bogata, a w okolicy nie brak historycznych pamiątek, ponieważ liczne kolonialne klasztory i kościoły stanowią dziedzictwo niegdyś kwitnącej jezuickiej kultury.

W końcu pociąg zatrzymał się na dworcu w Cordobie. George z przyjemnością wysiadł, rozprostował nogi i schronił się w cieniu pod ozdobnym daszkiem.

- George, czy to ty?

Odwrócił się i ujrzał zmierzającą ku niemu tęgawą kobietę o zdecydowanym wyrazie twarzy.

- Ależ tak, na Boga! Trudno mi przyjąć do wiadomości, że jesteś dorosłym mężczyzną!

Twarz ciotki Agathy była poorana zmarszczkami i brązowa jak stara skórzana podeszwa. Wyciągnęła ramiona i mocno przytuliła George'a do siebie, otaczając go chmurą mocnych perfum.

- Carlos, traiga el equipaje, por favor - poleciła chuderlawemu wyrostkowi, który niepewnie szedł parę kroków za nią.

Nawet George, który prawie zupełnie nie znał hiszpańskiego, zorientował się, że ciotka mówi z fatalnym akcentem.

- Tak się cieszę, że wreszcie znowu się spotykamy! Cóż, kiedy wyszłam za Jose Antonia, byłeś małym chłopcem... Pewno mnie nie pamiętasz, ale ja doskonale pamiętam ciebie. Och, tak, dorosłeś, lecz wciąż masz ten sam łobuzerski wyraz twarzy! - Agatha wsunęła dłoń pod ramię George'a i wyprowadziła go na słońce. - Gorąco, prawda? Cudownie! Założę się, że nigdy w życiu nie miałeś okazji wygrzewać się w takim słońcu! A Faye nie może zrozumieć, dlaczego przez piętnaście lat moja noga nie powstała w Anglii... Teraz sam jej to wytłumaczysz, co? Jak się czuje Faye?

George rzeczywiście nie pamiętał ciotki Agathy, a kiedy matka mówiła o niej, zwykle po prostu się wyłączał. Przez jedną straszną chwilę zastanawiał się, czy dobrze zrobił, przyjeżdżając do niej. Może byłoby lepiej, gdyby został w Buenos Aires i poszukał Susan...

- Mama czuje się doskonale. Rzeźbi, zajmuje się ojcem i domem
- odparł, nagle bardzo zmęczony.

- Świetnie! Trees na pewno żywi całą okolicę, prawda? A jak tam Alice? Nie wątpię, że cierpliwie czeka na powrót Geoffreya z Francji... To nie powinno długo potrwać, wojna na szczęście już się skończyła, Bogu niech będą dzięki... Wszyscy mamy za sobą straszne chwile, ale wy, Europejczycy, ucierpieliście szczególnie... Faye pisała do mnie wspaniałe listy, stąd wiem, że jesteś prawdziwym bohaterem. Jestem z ciebie bardzo dumna, mój drogi, opowiadam o tobie wszystkim przyjaciółom i znajomym. Dzielny lotnik, obrońca naszego kraju... Musiałeś się świetnie bawić, co?

George nie miał dość energii, aby zaprzeczyć.

Agatha zajęła miejsce z przodu osłoniętego płóciennym dachem forda, a towarzyszący jej chłopak załadował bagaż i wskoczył na tylne siedzenie.

- Od Jesus Maria dzieli nas tylko godzina drogi, to naprawdę blisko - rzuciła, z zadowoleniem poklepując George'a po udzie. - A teraz opowiesz mi o Ricie. Kiedy do nas przyjedzie?

- Nie przyjedzie, ciociu. Nie jesteśmy małżeństwem, to nie byłoby stosowne...

- Och, co za bzdury! - Poza tym jestem jeszcze za młody, żeby założyć rodzinę.

- Jose Antonio był w twoim wieku, kiedy się pobraliśmy, ja jestem trochę starsza od niego. Zawsze lubił starsze kobiety.

George spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- O ile jesteś starsza?

- Chyba o pięć lat... Jose nadal wygląda jak młodzik, a ja jak stara wiedźma. Argentyńskie słońce niszczy i wysusza skórę, ale mówi się trudno, mnie to nie przeszkadza. Faye od początku była tą ładniejszą, natomiast ja mogę się poszczycić silną osobowością...

Patrząc na jej zdecydowany zarysowany profil, George nie miał co do tego cienia wątpliwości. Ciotka Agatha była niska, krępa i mocno zbudowana, podobna do małego czołgu. Miała solidne przeguby dłoni, równie solidne kostki nóg i sporą nadwagę.

- Więc zostawiłeś tę biedną dziewczynę w Anglii, gdzie na pewno usycha z tęsknoty za tobą! - Agatha parsknęła gardłowym śmiechem. - Brutal z ciebie, mój drogi!

- Prosiłem ją, żeby jechała ze mną, ale nie chciała. Rita kocha Frognał Point i nie wyobrażam sobie, aby kiedykolwiek zdecydowała się opuścić to miejsce. Za rok wrócę do Anglii i wtedy weźmiemy ślub.

Agatha chrząknęła znacząco.

- Nie bądź śmieszny! Nie ożenisz się z Ritą, dla mnie to oczywiste. Trafiliście na niewłaściwy moment, rozumiesz? Gdybyś był trochę starszy, powiedziałabym, że macie jakąś szansę, ale ty rzeczywiście jesteś bardzo młody. Zakochasz się tutaj, zobaczysz, Argentynki słyną z urody i kobiecego wdzięku. Nie mam zielonego Pojęcia, dlaczego Jose Antonio wybrał właśnie mnie, kiedy mógł mieć każdą z pięknych dziewczyn, które kręciły się koło niego... - Na chwilę zawiesiła głos. - Nie wyobrażaj sobie, że żyjemy tu jak na odludziu - podjęła. - Często jeżdżę do Buenos Aires, nasi przyjaciele lubią nas odwiedzać, niektórzy zatrzymują się na dłużej, nawet na parę miesięcy. Jesus Maria cieszy się dużą popularnością, mieszka tam mnóstwo miłych ludzi. Musisz się nauczyć hiszpańskiego, wiesz? Postaram się, żeby ktoś z miasta dawał ci lekcje. Wieczorem Jose Antonio pokaże ci całą farmę. Mam nadzieję, że jeździsz konno?

George kiwnął głową.

- Doskonale, bo tutaj prawie nie schodzi się z końskiego grzbietu. Polne drogi są nieprzejezdne, trudno jest dotrzeć samochodem, ponieważ w okresie opadów ziemia rozmięka, staje się podobna do gąbki. Latem pada tu prawie codziennie, dlatego jest tak zielono. Podobno klimat w Argentynie jest mniej więcej taki jak w Hiszpanii, ale ja nigdy tam nie byłam. Dzieci od razu cię polubią, jestem tego pewna. Będiesz dla nich bohaterem, który w czasie wojny walczył z Niemcami w powietrzu. Mówiłam im o tobie...

George tylko jednym uchem słuchał gadaniny ciotki Agathy. Opowiadała mu o swoich dzieciach, o szkołach w Jesus Maria, o możliwościach wykształcenia w Buenos Aires i planach na przyszłość dzieci, jakie snuła razem z mężem. George z poczucia obowiązku zaczął myśleć o Ricie - dręczyły go wyrzuty sumienia, że w czasie podróży tak rzadko ją wspominał. Obiecał sobie, że jak najszybciej wyśle list i wisiorek. Nagle wyobraził sobie ukochaną dziewczynę, stojącą na szczycie klifu i z tęsknotą czekającą na jego powrót, i jego serce ścisnęło współczucie.

Samochód zjechał w końcu z szosy i potoczył się polną drogą, która wydawała się ciągnąć bez końca. Ford podskakiwał na wybojach, wzbijając chmury kurzu, a słońce paliło coraz mocniej. W przeciwieństwie do pampy Cordoba zachwycała bujną, zieloną roślinnością i łagodnymi wzgórzami. George'owi wciąż burczało w brzuchu, ponieważ nie zjadł śniadania. Po półgodzinnej podróży skręcili wreszcie na podjazd obsadzony drzewami.

- No, jesteśmy - powiedziała Agatha. - Witaj na ranchu Las Dos Vizcachas, czyli Dwa Zające, mój drogi...

George wyprostował się i z zainteresowaniem popatrzył dookoła. Agatha zwolniła, żeby siostrzeniec mógł spokojnie przyjrzeć się pięknemu domowi. Była bardzo dumna z Las Dos Vizcachas i prowadziła gospodarstwo z wojskową dokładnością i sprawnością. Oczywiście, George nie był w stanie w pełni docenić pracy, jaką włożyła w dom i całe rancho od czasu, gdy przybyła do Argentyny jako żona Jose Antonia, ale i tak był pod dużym wrażeniem.

Dom stał na końcu cienistego podjazdu, solidny i mocno zbudowany jak jego pani. Pomalowany na biało, obejmował dziedziniec dwoma skrzydłami, zakończonymi dwiema wieżami. Okna przesłaniały zielone kraty, mające odstraszyć niepożądanych gości, i przymknięte o tej porze dnia okiennice, które chroniły wnętrze przed upałem. Z tyłu znajdowała się duża weranda, z której rozciągał się piękny widok na ozdobny staw i faliste wzgórze. Na kwietnikach pyszniły się olśniewające gardenie i bugenwille, drzewa eukaliptusowe szeleściły na lekkim wietrze i nasycaly powietrze zapachem kamfory, co natychmiast przypomniało George'owi Malte.

Carlos wniósł jego torbę do środka, po drodze bezlitośnie zbesztany przez kobietę o ostrym, wrzaskliwym głosie. Wyrzucała z siebie słowa jak pociski, unosząc ręce do góry i wymachując nimi z zapalem.

- To Dolores - wyjaśniła Agatha. - Jak widzisz, nie jest w stanie opanować wybuchów złości. Zastałam ją tutaj, kiedy przyjechałam do Argentyny, i nie udało mi się jej pozbyć. Trzeba ją tolerować tak, jak toleruje się starą krewną.

- Czym się zajmuje? - zapytał George, wchodząc za ciotką do domu.

- Jest służącą. Gotuje, ale ma zbyt wysokie pojęcie o sobie, aby sprzątać, więc to zadanie zleciłam Agustinie. Agustina jest młodsza,

sprawniejsza, a przy tym łagodna i posłuszna jak krowa, Bogu dzięki...

Kolonialny wystrój domu zdradzał pochodzenie Agathy, głównie poprzez wiszące na ścianach obrazy i obecność dwóch dużych psów, wylegujących się na chłodnych kaflach podłogi w holu. Ledwo otworzyły oczy, chociaż George musiał przejść nad nimi, co świadczyło, że ich zadaniem nie jest bynajmniej obrona domu przed obcymi.

- Skundlone dogi, pożałuj Boże - powiedziała ciotka Agatha. - Nazywają się Bertie i Wooster.

Na dźwięk swoich imion psy radośnie uderzyły ogonami o podłogę.

George poszedł za Agathą ciemnym korytarzem, na którego końcu znajdowała się jego sypialnia.

- Pomyślałam, że ten pokój ci się spodoba, bo okna wychodzą na park. Poza tym my zajmujemy przeciwległe skrzydło, więc nikt nie będzie ci tu przeszkadzał w odpoczynku.

George nie krył zachwyty dużym, chłodnym pokojem z podłogą z dębowych desek, białymi ścianami i wielkim metalowym łóżkiem, niewątpliwie sprowadzonym z Anglii. Światło wpadało do środka przez wysokie, szeroko otwarte okno, okiennice były odsunięte, lniane zasłony poruszały się na wietrze. Długą chwilę podziwiał widok, czując, jak świeże, przesycone słodkim zapachem powietrze i dźwięczny śpiew ptaków powoli przywracają mu siły.

- Kiedy będziesz gotowy, przyjdź do mnie na taras - uśmiechnęła się Agatha. - Na pewno jesteś głodny i spragniony, więc każę coś przygotować...

Zanim wyszła z pokoju, George rozpiął torbę.

- Mam list do wysłania - powiedział, wyjmując kopertę i mały pakunek. - Do Rity...

Agatha lekko uniosła brwi.

- Dopilnuję, żeby przesyłka jutro dotarła na pocztę - oznajmiła tonem, który wskazywał, że bez trudu radzi sobie z wszelkimi problemami, własnymi i cudzymi. - Brudne rzeczy wrzucaj do tego kosza, dobrze? Agustina wypierze je, wyprasuje i przyniesie ci następnego dnia rano.

George rozpakował torbę, wykapał się, ogolił i ubrał w cienkie spodnie i koszulę z krótkim rękawem. Spryskał twarz i szyję wodą

kolońską, a potem poszedł na taras. Agatha stała pod daszkiem, zajęta rozmową z jednym z ogrodników, z rękami opartymi na biodrach, na lekko rozstawionych nogach. Jej sylwetka i postawa natychmiast skojarzyły się George'owi z portretem króla Henryka VIII - ani przez chwilę nie wątpił, że ciotka potrafi wzbudzić w ludziach nie mniejszy respekt niż ten sławny władca. Ogródnik słuchał jej z pochyloną z szacunkiem głową. Na widok George'a Agatha odprawiła mężczyznę krótkim gestem, nie siląc się na uprzejmości, i odwróciła się do niego plecami. Służący odszedł, szurając znoszonymi sandałami i ocierając pot z czoła brudną chusteczką do nosa.

- To Gonzalo - powiedziała Agatha, siadając przy okrągłym stole. - Silny i głupi jak wół. Napijesz się lemoniady?

Napełniła szklanek napojem, który George z przyjemnością wypił do dna. Agatha mówiła dalej, wymawiając słowa z arystokratyczną manierą, prawie bez otwierania ust. George pomyślał, że byłaby doskonałym oficerem.

- Kiedy tu przyjechałam, w ogóle nie mówiłam po hiszpańsku, a ten majątek był ruiną. Jose Antonio wychował się tutaj. Dom zbudował jego dziadek. Jose Antonio mieszkał kiedyś w Las Dos Vizcachas ze swoimi rodzicami, dziadkami i dwiema siostrami. Potem dziadkowie i jego ojciec umarli, a siostry wyjechały. Jedna wyszła za Meksykanina, druga mieszka na południu kraju...

- Co stało się z matką? - zapytał George, chociaż nie był szczególnie zainteresowany historią rodziny Jose Antonia.

- Mieszka w Buenos Aires, jest kompletną wariatką. Nigdy do nas nie przyjeżdża, bo twierdzi, że źle znosi podróże. Nie mogę powiedzieć, żeby było mi z tego powodu bardzo przykro, bo naprawdę trudno się z nią dogadać.

- Zrobiłaś prawdziwy raj z tego rancza - zauważył George. Agatha uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Nie było to łatwe. Uważali mnie za obcą, nie znałam języka, Jose Antonio był bez grosza, bo jego głupia rodzina straciła dosłownie wszystko. Miałam trochę pieniędzy i to wystarczyło, by wyrwać ranczo ze stanu stagnacji i zaniedbania. Niewiele wiedziałam o uprawie ziemi i hodowli zwierząt, wszystkiego musiałam uczyć się na własnych błędach. Teraz powodzi nam się nie najgorzej. Żyjemy z ziemi, a siła robocza jest tu tania, sam się zorientujesz. Jesteśmy

samowystarczalni, mamy własne mięso, nabiał i warzywa. Chodź, oprowadzę cię dookoła domu. Weź ze sobą szklanę z lemoniadą...

Powoli poszli nad staw, gdzie w trzcinach gnieździły się ptaki.

Po drugiej stronie, za idealnie utrzymanym parkiem, rozciągało się puesto, teren, gdzie gauczowie zajmowali się końmi. W cieniu rozłożystych gałęzi drzewa ombu odpoczywało kilka brązowych kucyków. Ciemnoskóry chłopak, ubrany tylko w spodnie, siedział oparty o pień, czyszcząc siodło i uzdę, a drugi, znacznie starszy mężczyzna, stał przy płocie, przez bogato zdobioną srebrną rurkę sącząc z tykwy mate, tradycyjną południowoamerykańską herbatę ziołową. Parę chudych jak szkielety psów obwąchiwało ziemię przy stanowisku z wielkich bel, gdzie poprzedniego wieczoru pieczono mięso na barbecue. Nikt nie zwracał na nie uwagi. Na widok pani gauczowie stanęli w postawie pełnej szacunku i pochyłili głowy. George zaczął się zastanawiać, jaki jest Jose Antonio i czy przypadkiem to nie ciotka Agatha nosi spodnie w tym stadle. Nie ulegało wątpliwości, że wszystkie dobre rzeczy, dziejące się na ranchu, Agatha przypisuje wyłącznie sobie.

- Po południu Jose Antonio zabierze cię na przejażdżkę - powiedziała. - Na pewno zechce pokazać ci farmę. Myślę, że powinieneś odpocząć jakieś dwa, trzy dni, przywyknąć do Las Dos Vizcachas i dopiero po weekendzie zabrać się do pracy. Jose Antonio z radością przyjmie twoją pomoc, ale najpierw odetchnij trochę mój drogi.

W towarzystwie ciotki Agathy George nie miał czasu ani możliwości, żeby myśleć o Susan czy Ricie. Agatha mówiła bez przerwy, często kończąc zdania krótkimi pytaniami, nie mógł więc pozwolić sobie na roztargnienie. Szybko doszedł do wniosku, że właściwie powinien się z tego cieszyć. Dobrze mu zrobi, jeżeli na jakiś czas zapomni o obu kobietach i skoncentruje się na życiu w nowym kraju.

Po krótkiej przechadzce znowu usiedli przy nakrytym do lunchu stole na werandzie. Z kuchni płynął zapach pieczonego mięsa. George'owi zaczęło burczeć w brzuchu z głodu, z trudem powstrzymywał się, aby nie złapać jednej z leżących w koszyku świeżych bułeczek. W końcu, kiedy miał już wrażenie, że zaraz straci przytomność, w holu rozległ się grzmiący głos Jose Antonia.

- Gorda, czuję zapach jedzenia! Siadajmy do stołu!

Rozdział jedenasty

Jose Antonio był bardzo wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną o wydatnym brzuchu i gęstych, kręconych czarnych włosach. Kiedy zobaczył George'a, jego twarz rozjaśnił serdeczny uśmiech.

- Witaj w Las Dos Vizcachas, George! - zawołał.

Mówił po angielsku płynnie, chociaż z wyraźnym argentyńskim akcentem. Mocno poklepał George'a po plecach i zaśmiał się głośno.

- Agatha na pewno pokazała ci już dom - powiedział. - Jest z niego bardzo dumna.

- Tak, to naprawdę piękne miejsce. - George z podziwem patrzył na emanującego magnetyzmem mężczyznę.

- Cieszę się, że podoba ci się u nas, i mam nadzieję, że będziesz się tu czuł jak w domu. - Jose Antonio przeniósł spojrzenie ciemnobrązowych oczu na żonę. - Bierzmy się do jedzenia, moi drodzy!

Agatha potrząsnęła małym srebrnym dzwoneczkiem, umieszczonym na stole obok jej nakrycia, i po chwili na werandę wyszła Agustina, niosąc duży półmisek z pieczenią, ziemniakami i sałatą. Z kuchni dobiegł ostry, jazgotliwy głos. Jose Antonio zaśmiał się cicho i pokręcił głową, nalewając sobie czerwonego wina.

- Widzę, że Dolores znowu wkroczyła na ścieżkę wojenną - powiedział, podnosząc kieliszek w geście toastu. - A ty myślałeś że wojna już się skończyła...

- Dolores jest dzisiaj w wyjątkowo paskudnym nastroju - rzekła Agatha. - Muszę przyznać, że w ciągu kilkunastu lat, które tu spędziłam, tylko raz widziałam jej uśmiech...

George nałożył sobie na talerz sporą porcję i ukroił kawałek mięsa. Było pyszne, podobnie jak sałata i ziemniaki.

- Podobno ludzie upodabniają się do swoich imion - zauważył Jose Antonio. - Dolores znaczy „ból”, „cierpienie”.

- Przecież nasza Dolores nie doznaje cierpienia! - oburzyła się Agatha.

- Nie, Gorda, nie doznaje cierpienia, za to obdarza cierpieniem wszystkich dookoła! - Jose Antonio ryknął gromkim śmiechem.

- Chyba masz rację, jeśli chodzi o upodabnianie się do imion, bo odkąd zacząłeś nazywać mnie Gorda, ciągle tyję - Agatha uśmiechnęła się i odwróciła do George'a. - Gorda to znaczy tłusta.

George chciał zapewnić ciotkę, że nie jest gruba, ale obawiał się, że wypadnie to głupio.

- Jesteś postawną, dobrze zbudowaną kobietą, ciociu - powiedział.

- I dobrze się składa, bo trzeba niemałej siły, aby prowadzić to gospodarstwo - Agatha się roześmiała. - Jose Antonio żyje jak król.

Była to absolutna prawda - Jose Antonio był obsługiwany przez służbę, żonę i nawet Dolores, która znała go od dziecka. George ze zdziwieniem dostrzegł, że w obecności męża Agatha stara się panować nad swoją wrodzoną porywcznością i skłonnością do dominacji. Przy Jose Antonio gadała dużo mniej i śmiała się ze wszystkich jego dowcipów, niezależnie od tego, jak bardzo były kulawe. Nie ulegało wątpliwości, że pod względem inteligencji i sprytu znacznie przewyższa męża. Była też niezwykle pracowita i energiczna, natomiast Jose Antonio nie miał pojęcia, jak wielkiego wysiłku wymaga prowadzenie domu i gospodarstwa. Wszystko było tak, jak chciał i lubił. Posiłki podawano punktualnie, jedzenie było zawsze świeże i smaczne, konie przygotowane i zadbane przez świetnie zorganizowanych gauczów. Wszyscy pracowali spokojnie i sprawnie, dokładając starań, aby Jose Antonio widział tylko doskonałe rezultaty, a nie spływający po ich czołach pot. Na gości zawsze czekały pachnące czystością pokoje, świeża pościel, kwiaty w wazonach i wysprzątane łazienki. Jose Antonio przyjmował ich serdecznie i ciepło, nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, aby podziękować żonie za to, że tak wspaniale zajmuje się domem. Tylko Dolores wrzeszczała i narzekała, nie zwracając na nikogo uwagi, lecz Jose Antonio tolerował jej zachowanie, ponieważ stanowiła nieodłączną część jego codzienności. Krzyczała zresztą na niego i innych od lat, więc zdażył do tego przywyknąć. Po lunchu Jose Antonio urządzał sobie sjęstę. Czasami zapadał w drzemkę, kiedy indziej jechał do miasta i składał wizytę swojej kochance, Molinie. Zwykle parę chwil figlował z nią w łóżku, a potem zasypiał na jej dużych, miękkich piersiach. W przeciwieństwie do Agathy Molina była młoda i szczupła, o skórze koloru jasnego karmelu. Jose Antonio miał szczególną słabość do jej pupy, pulchnej i kragłej jak wielka brzoskwinia. W dniu przyjazdu George'a czuł się jednak zbyt zmęczony na igraszki z kochanką - popisywanie się przed gościem wymagało spożycia sporej ilości wina, a po winie Jose Antonio robił

się śpiący, więc padł na łóżko i przespał dwie godziny, śniąc o jędrnych poślądkach Moliny. George zdrzemnął się w należącym do dzieci hamaku. Było bardzo gorąco, poprzedniej nocy prawie w ogóle nie spał. Na szczęście sypialnia Jose Antonia znajdowała się w wieży po drugiej stronie domu, dzięki czemu George nie słyszał jego donośnego chrapania.

Po południu George pojechał z wujem na zwiedzanie farmy. Słońce nadal paliło, chociaż już trochę mniej dokuczliwie. Mimo nieco obcesowego sposobu bycia wuja George dobrze czuł się w jego towarzystwie. Jechali przez równinę, gdzie pszenica i kukurydza pokrywały pola złotem, a słoneczniki odwracały kwiaty ku niebu. Stada brązowych krów o lśniącej zdrowiem sierści chodziły po porośniętych wysoką trawą łąkach. Jose Antonio miał całą armię pracowników, którzy większość zadań wykonywali, siedząc w siodle. Wszyscy nosili tradycyjne stroje gauczów - kapelusze o szerokich rondach, błyszczące ostrogi oraz szerokie spodnie, wetknięte w skórzane buty i obwiązane w pasie ręcznie tkanymi szarfami, na które nakładali ozdobne pasy, nabijane srebrnymi monetami. Jose Antonio z zainteresowaniem rozmawiał z George'em.

- La Gorda mówi, że masz w Anglii kobietę - zaczął. - Ale po co komu kobieta, z którą nie można się kochać, co? - Roześmiał się głośno. - Gdybyś miał ochotę na dziwkę, to znam przyzwoite, czyste miejsce w mieście. Mężczyzna musi się pieprzyć, tak samo jak jeść i srać, nie?

George zaniemówił, lecz Jose Antonio nawet tego nie zauważył.

- Żona jest potrzebna, żeby spłodzić z nią dzieci - ciągnął. - Organizuje mężczyźnie życie i opiekuje się nim. Dziwkę bierze się dla przyjemności. Gdybym miał do końca życia kochać się wyłącznie z żoną, poślubiłbym Molinę, chociaż ona zupełnie się do tego nie nadaje. Każdy mężczyzna powinien mieć kobietę, którą kocha, i drugą, której pożąda, nie?

George często bez wahania wdawał się w podobne rozmowy w oficerskiej stołówce, lecz dyskusja o takich sprawach z mężem ciotki wydała mu się co najmniej niestosowna. Jose Antonio utkwiał w nim nieco ironiczne spojrzenie ciemnobrązowych oczu.

- Widzę, że jesteś zakochany - rzucił.

- Zamierzam ożenić się z Ritą - odpowiedział. Czuł się nieswojo, więc wyjął papierosa i zapalił.

- W takim razie tym bardziej potrzebujesz kobiety, żeby zajęła ci czas. - Jose Antonio uważał się za niepodważalny autorytet w tej dziedzinie. - Rok to długo, a ty jesteś młody. Kiedy byłem w twoim wieku, wykorzystywałem każdą okazję, żeby kochać się z kobietami, bo przecież im jesteś starszy, tym mniej masz energii i czasu, by to robić. Kiedyś sam się przekonasz, że tak właśnie jest...

George milczał, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Rita musi być bardzo piękną kobietą - dodał Jose Antonio w zamyśleniu.

- Wyjątkowo piękną - przytaknął George.

Przywołał z pamięci twarz Rity i zaczął się zastanawiać, co pomyślałaby o mężu jego ciotki. Obiecał sobie, że opowie o nim w następnym liście.

- Zawsze lubiłem kobiety - podjął Jose Antonio. - Młodym dziewczynom brak doświadczenia, przypominają zielone, niedojrzałe owoce, wystarczy jednak wystawić je na działanie sił przyrody, a dojrzewają i stają się o wiele lepsze...

George z żalem pomyślał o Susan. Powinien był przynajmniej poprosić ją o adres... Świadomość, że zapewne nigdy więcej jej nie zobaczy, czyniła ją jeszcze bardziej zagadkową i intrygującą w jego oczach.

- Kobieta, która poznała świat, zwykle rzeczywiście jest bardzo atrakcyjna - zgodził się.

- Taka, która poznała świat i posmakowała zakazanego owocu - przytaknął Jose Antonio. - Młode dziewczęta są naiwne, ufne, pełne podziwu dla mężczyzn, lecz brak im osobowości. Zwróciłem uwagę na twoją ciotkę, ponieważ wiedziała, o co jej w życiu chodzi. Jest silną kobietą, która potrafi poradzić sobie z każdą sprawą, i nie ma najmniejszego znaczenia, że mówi po hiszpańsku jak turystka.

- Za to ty mówisz po angielsku doskonale - zauważył George ze szczerym podziwem, zastanawiając się, kiedy i jak nauczy się hiszpańskiego.

- Miałem angielską nianię, która wyjechała stąd, gdy skończyłem dwadzieścia lat. Nie, nie! - dodał szybko Jose Antonio i znowu parsknął śmiechem. - Już wcześniej nauczyłem się nie siusiać w majtki, możesz być pewien!

Po powrocie do puesto zobaczyli dwoje opalonych na ciemny brąz dzieci, siedzących na płocie. Na ich widok dzieciaki zeskoczyły

na ziemię i podbiegły do kuców. Pia miała osiem lat, a Jose Antonio, dla uniknięcia nieporozumień zwany Tonito, dziesięć. Ich ojciec zeskoczył z siodła i chwycił oboje w ramiona. Dzieci śmiały się z zachwyty, a Pia położyła drobne dłonie na pokrytych zarostem policzkach ojca i pocałowała go.

- Poznajcie swojego kuzyna George'a - powiedział Jose Antonio.

Pia i Tonito przywarli do niego, wyraźnie onieśmieleni, patrząc na George'a ciemnymi oczami ojca. Żadne nie było podobne do matki. Pia zapowiadała się na olśniewającą piękność, Tonito na prawdziwego olbrzyma. Należeli do Argentyny w taki sam sposób, w jaki drzewo ombu należy do pampy. George ze zdziwieniem odkrył, że ani jedno, ani drugie nie zna dobrze angielskiego. Nie ulegało wątpliwości, że rodzice rozmawiają z nimi po hiszpańsku, raczej z lenistwa niż w sposób zamierzony.

- Vamos a casa a tomar el te - odezwał się Tonito. Odwrócił się do George'a i przetłumaczył na nieco kulejący angielski. - Czas na herbatę...

Podwieczorek podano na werandzie. Na nakrytym białym obrusem stole leżały już talerzyki i sztucce. Dzieci popijały mleko opowiadając rodzicom, jak upłynął im dzień w szkole. Jose Antonio był pobłażliwy, natomiast Agatha karciała rodzeństwo za uchybienia w zachowaniu.

- Mamy gościa z Anglii, więc musimy mówić po angielsku - powiedział Jose Antonio, dużą dłonią mierzwiąc włosy syna. - Powinniście pokazać George'owi, czego nauczyliście się w szkole.

- Poniedziałek, wtorek, środa, czwartek! - wyliczył ze śmiechem Tonito.

- Mam nadzieję, że stać was na trochę więcej! - zawołała Agatha.

- Nie chcę! - nadała się Pia, zerkając na ojca spod gęstej firanki czarnych rzęs.

George pomyślał, że mała wcale nie najgorzej opanowała sztukę flirtu.

- George jest lotnikiem. - Agatha starała się zainteresować dzieci osobą siostrzeńca. - W czasie wojny walczył z Niemcami...

- Fruwał jak ptak. - Pia wskazała palcem niebo.

- Fruwałem jak ptak - przytaknął George z uśmiechem. - Ale raz spadłem na ziemię, wcale nie jak ptak!

Dzieci zachichotały, wyraźnie rozumiejąc więcej, niż chciały pokazać.

- Naprawdę? - Oczy Agathy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Tak, o mało nie zginąłem. Uratowałem się, ale wyłącznie dzięki boskiej interwencji...

Nagle dźwięk rozbijanych naczyń i wysoki wrzask Dolores uświadomiły im, że w kuchni dzieje się coś złego. Wszyscy zeszywnieli i nadstawili uszu, wymieniając zaskoczone spojrzenia. Pia zachichotała nerwowo, zasłaniając usta dłonią. Jose Antonio podniósł się, przełknął kawałek sera i membrillo, i niespiesznie ruszył w stronę drzwi. Kiedy wszedł do kuchni, stara kobieta stała na środku pomieszczenia, grożąc nożem niewidzialnemu wrogowi. Ubrana w czarną suknię i czarne pantofle na niskim obcasie, z włosami ściągniętymi w surowy kok przypominała rozwścieczoną wronę.

- Wynoś się stąd! Wynoś się! - krzyczała, nieprzytomna ze złości. Na widok Jose Antonia zacisnęła usta w wąską linijkę. - Jeżeli przyszedł mnie pan zabrać, to proszę Boga, aby wybaczył mi moje czyny!

- Dlaczego miałbym cię gdzieś zabierać? - zapytał spokojnie Jose Antonio. - Nikt nie robi takich pysznych empanadas jak ty... - W moim brzuchu rośnie melon - oznajmiła Dolores. - To dlatego po mnie przyszli!

Jose Antonio zmierzył ją badawczym spojrzeniem. Był dużo wyższy i silniejszy niż Dolores, więc bez trudu mógłby wyrwać jej nóż, zorientował się jednak, że jej oczy błyszczą nie tyle wściekłością, co przerażeniem.

- Kto po ciebie przyszedł? - zapytał cierpliwie. - Nikogo tu nie widzę...

Stara służąca wysunęła brodę do przodu i ruchem głowy wskazała ścianę.

- Duchy - powiedziała. - Przychodzą wtedy, gdy nasz czas się kończy, i zabierają nas na tamten świat, ale ja wciąż im powtarzam, że jeszcze nie jestem gotowa. Wynoście się!

Twarz Jose Antonia zachmurzyła się. Dolores nie bredziła - Jose Antonio wierzył w duchy i parę razy widział je na własne oczy.

- Kogo widzisz? - zapytał cicho, prawie szeptem.

- Mamę i Ernesta.

- Odłóż nóż. Dobrze wiesz, że ducha nie można zranić... - Zrobił kilka kroków w jej kierunku.

Dolores podniosła na niego oczy, załzawione i nabiegłe krwią, przygryzła dolną wargę i oddała mu nóż.

- Powiedz im, żeby odeszli, ale zrób to uprzejmie. - Jose Antonio położył nóż na blacie stołu.

Uśluchała go. Patrzył, jak mówi coś bardzo cicho, ledwo poruszając wargami, i macha ręką, jakby odganiała natrętnego psa. Potem odwróciła się, przyglądała szpakowate włosy i poważnie skinęła głową.

- Zostało mi niewiele czasu, senior... - wychrypiała.

Jose Antonio oparł dłonie na biodrach i ciężko westchnął.

- Nóż i obraźliwe słowa nie mogą opóźnić spotkania ze Stwórcą - rzekł. - Nie, twoi bliscy przyszli cię ostrzec, nie zabrać na tamtą stronę. Zaraz zawołam panią...

Kiedy wrócił do stołu, Agatha opowiadała George'owi o Dolores, o tym, jak kiedyś o mały włos nie stratowała ją dzika świnia jak wdała się w bójkę z prostytutką w Jesus Maria i jak odkryła że jej mąż, Ernesto, wiezie podwójne życie z drugą rodziną w La Cumbre.

- Wkrótce potem umarł. - Agatha pokiwała głową. - Jego życie stało się katorgą, Dolores postarała się o to...

Na widok męża umilkła i pytająco uniosła brwi.

- O co chodzi tym razem, do diabła?

- Gorda, idź z nią porozmawiać. Mówi, że ma w brzuchu rosnący melon, ale to chyba coś innego... - Jose Antonio spojrzał na George'a.

- Mam wrażenie, że to jakieś kobiece sprawy...

- Czy Dolores umrze? - zapytała Pia, patrząc, jak matka starannie składa serwetkę.

Jose Antonio poklepał małą po ramieniu.

- Skądże znowu, mi amor! - zaprzeczył.

- Que pena! - mruknęła Pia.

George drgnął, całkowicie zaskoczony. Znał niewiele hiszpańskich zwrotów, lecz nie miał cienia wątpliwości, że dziewczynka powiedziała: „Jaka szkoda!”

- Dolores jest stara i należy jej się szacunek! - rzuciła Agatha z irytacją.

Nienawidziła wtrącać się w prywatne sprawy służby. Wyobraziła sobie melon, rosnący w brzuchu starej kobiety, i nagle zrobiło jej się

niedobrze. Nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę z Dolores, ale bez słowa spełniła prośbę męża.

Znalazła Dolores siedzącą na krześle i popijającą mate. Służąca wyglądała teraz jak pogodna, dobrze usposobiona do świata staruszka - wydawało się wręcz niemożliwe, że jest to ta sama wiedźma, która przez ostatnie czterdzieści lat sprawowała twarde rządy w kuchni.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Agatha po hiszpańsku.

Starła się, aby jej głos brzmiał łagodnie, lecz zdawała sobie sprawę, że tak nie jest. - Jakie to ma znaczenie? - jęknęła Dolores. - Niedługo stąd odejdę.

- Nie opowiadaj bzdur - odparła Agatha. Miała szczerą ochotę dodać, że bezskutecznie usiłuje pozbyć się Dolores już od dwudziestu lat. - Senior Jose Antonio mówi, że masz coś w brzuchu...

Nie wspomniała o melonie, ponieważ wydało jej się to zbyt absurdalne.

- Nie powinien wtykać nosa w nie swoje sprawy! - warknęła Dolores.

Agatha wzruszyła ramionami.

- Bueno, w takim razie nikt z nas nie będzie wtykać nosa w nie swoje sprawy - odparła obojętnie i wyszła z kuchni.

Czuła ulgę, że nie musi dalej zajmować się problemami nieznośnej Dolores.

George wiedział, że będzie szczęśliwy w nowym domu. Wieczorem długo pływał w basenie, a potem siedział na nagrzanych przez słońce kamiennych płytach, obserwując, jak komary i muchy tańczą nad gładką powierzchnią wody, w powietrzu przesyconym zapachami eukaliptusa i gardenii. Czuł się cudownie oddalony od Anglii, zarówno pod względem fizycznym, jak i emocjonalnym, i po raz pierwszy od początku wojny delectował się całkowitym spokojem. Łagodne porykiwanie krów łączyło się w dziwnie harmonijny chór z graniem cykad i przyciszonym świergotem ptaków, a zachodzące słońce malowało równinę i wzgórze bursztynową barwą.

Wieczorem zjedli kolację na dziedzińcu, pod rozłożystym drzewem, którego duże pąki co jakiś czas głośnie pyknięciem rozwijały się w czerwone kwiaty. Dolores najwyraźniej otrząsnęła się z wcześniejszych przeżyć i rześko pokrzykiwała na biedną Agustinę oraz Carlosa. Dzieci popijały wino i rozmawiały z dorosłymi. Zmęczony podróżą George udał się na spoczynek wcześniej od nich i

szybko zapadł w głęboki sen, ukojony cudownie pachnącym powietrzem i cichym parsaniem kucyków.

Kilka dni później zabrał się do pracy. Z przyjemnością jeździł konno i uczył się, jak najlepiej pomagać w pracy wujowi i jego gauczom. Widok bezchmurnego nieba nappełniał go uczuciem zadowolenia i wolności. Z wiatrem we włosach i słońcem na twarzy towarzyszył gauczom, zaganiając stada bydła, doglądając dojrzewającej kukurydzy i pszenicy. Towarzystwo ludzi sprawiało mu teraz prawdziwą przyjemność. Uważnie obserwował pracowników wuja i starał się naśladować ich niedbały sposób trzymania się w siodle - gauczowie jeździli nieco przygarbieni, z cuglami w jednej ręce i rondem kapelusza zsuniętym na jedno oko. Mówili tylko po hiszpańsku i George szczerze żałował, że na razie może się z nimi porozumiewać wyłącznie gestami, lecz oni uśmiechali się do niego z sympatią, wyczuwając w nim dobrego towarzysza i uczciwego człowieka. Czasami podśmiewali się z jego entuzjazmu, skłonności do ryzykownej jazdy i ciągłego sięgania po papierosy. Kiedy zaproponowali mu, aby spróbował mate, zakrztusił się i skrzywił, zniechęcony cierpkim, ostrym smakiem, którego nie łagodził nawet dodawany do naparu miód. W końcu George zaczął napęlić manierkę pomarańczową brandy i popijać ją w ciągu dnia. Jose Antonio powiedział gauczom, że George był w czasie wojny dzielnym pilotem, tak więc nazwali go El Gringo Volante, „Latającym Cudzoziemcem”. George tylko z jednego powodu cieszył się, że nie jest w stanie porozumieć się z gauczami - nieznajomość hiszpańskiego zwalniała go od konieczności opowiadania im o wojnie.

Ciotka Agatha załatwiła mu w Jesus Maria lekcje hiszpańskiego u spokojnej młodej kobiety imieniem Josefa. Josefa miała kruczoczarne włosy, wilgotną, brązową skórę, była pulchna, zawsze pachnąca i powolna jak rozleniwione wylegiwaniem się w słońcu zwierzę. Miała komplet podręczników, który zachowała po ukończeniu szkoły, upodobanie do odmieniania czasowników oraz pogodną naturę i nieograniczoną cierpliwość. Bez cienia irytacji poprawiała błędy George'a i z uśmiechem słuchała jego pierwszych nieporadnych prób układania zdań. Nie było też cienia wątpliwości, że darzyła ucznia wielką sympatią. Starannie splatała włosy, perfumowała się dobrą wodą toaletową, robiła makijaż, nacierała ciało balsamami i ozdabiała je biżuterią. Z powodu nieustannych upałów wkładała skąpe stroje, z

każdą wizytą George'a coraz odważniej odsłaniając dekolt, on jednak był zbyt zajęty, aby zwrócić na to uwagę. Jego serce nie reagowało na rytmiczne wznoszenie się i opadanie pięknego biustu Josefy, poruszanego ciężkimi westchnieniami. Josefa wyczuła obecność innej kobiety w życiu George'a i z rezygnacją przyjęła do wiadomości, że może tylko marzyć o młodym cudzoziemcu.

Listopad minął szybko, zakłócany wybuchami gniewu Dolores i coraz ostrzejszymi reakcjami Agathy, której brakowało cierpliwości do znoszenia humorów starej służącej. George potrafił już porozumiewać się po hiszpańsku i jeździł konno równie dobrze jak gauczowie, chociaż nie opanował jeszcze umiejętności rzucania lassem, zwłaszcza lewą ręką. Wieczorami siadywał z gauczami wokół ogniska i nawet śpiewał z nimi piosenki przy akompaniamencie gitary, na której po mistrzowsku grał kościsty chłopak o przydomku El Flaco. George wciąż twierdził, że nigdy nie polubił mate, ale z zabijaniem i oprawianiem zwierząt nie miał już żadnych problemów. Pedro, siwowłosy gauczo, który trzymał w tajemnicy nie tylko swój wiek, ale także imiona swoich kochanek z Jesus Maria, podarował George'owi srebrny nóż i powiedział mu, że powinien go użyć, kastrując pierwszego byka.

Na dodatek wkrótce wichur losu, tak często wiejący ludziom prosto w oczy, zmienił kierunek. Wszystko zaczęło się od melona, który jakoby rósł w brzuchu Dolores. Agatha odrzuciła ten pomysł, przypisując go charakterystycznej dla starej służącej skłonności do dramatyzowania. Dolores prawie bez przerwy wrzeszczała na biednego Carlosa i znieważała go z byle powodu, niewiele lepiej zachowywała się w stosunku do Agustiny, która odchodziła od zmysłów ze zdenerwowania i często płakała. George przywykł do ciągłych krzyków i podobnie jak Jose Antonio, starał się je ignorować, zwłaszcza że Dolores nadal doskonale gotowała.

Pewnego dnia, na początku grudnia, Pia wpadła na taras w czasie podwieczorku.

- Papa, Papa, Dolores esta muerta! - krzyknęła do ojca.

George mówił już po hiszpańsku dość dobrze, aby zorientować się, że dziewczynka powiadomiła właśnie ojca, iż Dolores nie żyje. Agatha gwałtownie odepchnęła krzesło do tyłu i zerwała się na równe nogi - ktoś mógłby pomyśleć, że nie może się już doczekać, by na własne oczy zobaczyć martwą wiedźmę, która przez tyle lat zatruwała

jej życie. Jose Antonio z równym pośpiechem ruszył w stronę kuchni i nawet George, którzy rzadko zaglądał do królestwa Dolores, poszedł za nimi.

Dolores leżała nieruchomo na podłodze, ale ku rozczarowaniu Agathy serce starej kobiety ciągle biło, a jej płuca wciąż wciągały i wydychały powietrze. Jose Antonio wezwał lekarza i zaniósł staruszkę do salonu z taką łatwością, jakby nie ważyła więcej niż kupka szmat. Kiedy położył ją na sofie, George natychmiast zauważył jej wzdęty brzuch. Pomyślał o melonie i poczuł, jak jego własny żołądek ściska się boleśnie. Dolores nie wyglądała ładnie, była stara i pomarszczona jak pień jednego z drzew orzechowych Treesa. Uśmiechnął się lekko na wspomnienie ojca.

Lekarz oświadczył, że Dolores rzeczywiście ma w brzuchu coś dużego, co bardzo jej przeszkadza. Nie melon, powiedział pośpiesznie, kiedy jedno z dzieci wspomniało o obawach Dolores, lecz guz, który należy jak najszybciej usunąć. Agatha zrozumiała, że będzie musiała odwieźć staruszkę do Buenos Aires na operację. Myśl o spędzeniu kilku godzin w samochodzie z osobą, której nie darzyła cieniem sympatii, w dodatku mającą w sobie guz, nappełniła ją obrzydzeniem, wiedziała jednak, że nie ma wyjścia. Jose Antonio nie zamierzał zdobyć się na poświęcenie, jakiego wymagała ta wyprawa. Agatha szybko dała wyraz swemu niezadowoleniu i otwarcie poskarżyła się siostrzeńcowi.

- Dobry Boże, co za koszmar! - wykrzyknęła, wrzucając ubrania do walizki. - Przez wszystkie lata małżeństwa stawałam na głowie, żeby trzymać się z daleka od tego okropnego stworzenia, które niektórzy nazywają kobietą... Ja uważam ją za prawdziwego potwora, pozbawionego wszelkich ludzkich cech! I proszę bardzo, teraz okazuje się, że ma guza! Naprawdę nie rozumiem, dlaczego Bóg nie zabrał jej, kiedy miał szansę to zrobić!

- Jak długo będziesz musiała zostać w mieście? - zapytał George. Agatha prychnęła z wściekłością.

- Znacznie dłużej, niżbym chciała, tego jestem absolutnie pewna! Nie wiem, może dziesięć dni, może dwa tygodnie... Och, jestem po prostu wściekła!

- Gdzie się zatrzymasz?

- To nie problem, mamy w Buenos Aires mnóstwo przyjaciół. Oczywiście, Jose Antonio nawet nie pomyśli, żeby podziękować mi za

to, co robię dla tej wiedzmy! Nigdy się nie kwapił, żeby dziękować za cokolwiek! Nie narzekam, bo ogólnie rzecz biorąc, dobry z niego człowiek, tyle że niezbyt wrażliwy. Wydaje mu się, że sprawy domowe są wyłącznie moją domeną. Rozumiem go i nawet mi to nie przeszkadza, nie mogę tylko znieść, że w tej domenie mieści się też Dolores.

- Może ja zawiózłbym ją do Buenos? - zaproponował George nieco pochopnie. - Albo przynajmniej pojechałbym z wami...

- Nie, nie, nie trzeba! Tak czy inaczej, bardzo ci dziękuję, kochanie. Masz złote serce, mój drogi, naprawdę jestem ci wdzięczna...

George poczuł się zażenowany, ponieważ w jego propozycji nie było cienia altruizmu. Miał nadzieję, że jeżeli pojedzie do Buenos Aires, to jego ścieżka jakimś cudem skrzyżuje się z drogą Susan, i raczej nie myślał o tym, by rzeczywiście pomóc ciotce.

Następnego dnia rano patrzył, jak Agatha i Dolores odjeżdżają do miasta. Był przygnębiony i dziwnie bezradny, pocieszał się tylko myślą, że naiwnością byłoby sądzić, iż natknąłby się na Susan w wielomilionowym mieście.

Minęło dwanaście dni. George nie mógł się doczekać powrotu Agathy i Dolores, ponieważ wbrew zdrowemu rozsądkowi wyobrażał sobie, że Susan znajdowała się gdzieś niedaleko jego ciotki, chociaż żadna z nich nie miała o tym pojęcia. Może piły herbatę w tej samej kawiarni albo stały obok siebie w tym samym sklepie... Wciąż myślał, że gdyby pojechał, miałby szansę zobaczyć Susan. Świadomość, że może Agatha jest blisko kobiety, na której mu zależało, budziła w nim jeszcze głębszą frustrację, bo przecież gdyby nawet ciotka zwróciła uwagę na kobietę z twarzą przeciętą straszną blizną, nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że George wciąż o niej myśli.

Wreszcie Agatha wróciła wraz z Dolores na ranczo. George był wtedy w polu, lecz Jose Antonio, nie zwlekając, przywiózł mu dobrą nowinę.

- Dolores jest wyleczona - oznajmił z uśmiechem, wyrażając radość szerokimi gestami dużych dłoni.

George uśmiechnął się w odpowiedzi, chociaż nie był do końca pewny, czy ozdrowienie Dolores cieszy również Agathę.

- Ten guz zawierał szkodliwe substancje, które zatruwały cały jej organizm, nawet charakter - ciągnął Jose Antonio. - Jest zupełnie odmieniona, uśmiecha się!

- A ciotka Agatha? - zagadnął George.

- La Gorda nie potrafi nie wrócić z miasta z jakąś ludzką biedą... Zawsze przywozi na ranczo nieszczęśliwe ofiary losu.

- Chyba zasłużyła sobie na nagrodę po tej podróży z Dolores - podsunął dyplomatycznie George.

- Jedna kobieta wyleczona, druga z blizną, czyli po prostu z deszczu pod rynnę. - Jose Antonio z jowialnym uśmiechem wzruszył ramionami.

Serce George'a przestało na chwilę bić.

- Agatha zaprosiła jakąś kobietę, żeby dotrzymywała ci towarzystwa, gringo, ale oczywiście ty nie widzisz świata poza Ritą - zażartował Jose Antonio, poklepując George'a po udzie.

- Co takiego?

- Moja żona prowadzi teraz przytułek dla rekonwalescentek. Równie dobrze mógłbym wyprowadzić się do Moliny... Nie przejmuj się, gringo, ta kobieta i tak nie jest dla ciebie. Bóg przeklął jej urodę i przeciął jej twarz blizną. - Jose Antonio przeciągnął palcem po policzku. - No, lepiej bierzmy się do roboty!

Rozdział dwunasty

Rita w szlafroku i kapciach, jak każdego dnia wybiegła na spotkanie listonosza, z nadzieją w sercu i cichą modlitwą na ustach. Dzisiaj na pewno będzie do niej list, nie miała co do tego cienia wątpliwości. Był mroźny listopadowy ranek. Wkrótce nadejdzie Boże Narodzenie, pomyślała ze smutkiem, kolejne Boże Narodzenie bez George'a...

Pan Toppit, listonosz, uśmiechnął się do niej szeroko i pomachał w powietrzu grubą brązową kopertą. Rozpoznał charakter pisma George'a Boltona, ponieważ w czasie wojny co tydzień dostarczał Ricie listy od ukochanego. Nie miał pojęcia, dlaczego młody człowiek postanowił znowu wyjechać, uważał jednak, że zrobił bardzo głupio, zostawiając tak ładną dziewczynę jak Rita Fairweather samą.

- List miłosny zza morza! - zawołał, patrząc, jak wydobywający się z jego ust oddech zamienia się w biały obłoczek pod wpływem zimna.

Rita chwyciła kopertę i przycisnęła ją do ust. Wydawało się, że za chwilę oderwie się od ziemi i uniesie wysoko w powietrze. Pan Toppit poczuł się dziwnie dumny, zupełnie jakby to on był przyczyną jej radości.

- Och, tak panu dziękuję! Teraz już wiem, że mam przed sobą cudowny dzień! - Rita roześmiała się głośno.

Przesunęła palcami po kopercie, wyczuwając zgrubienia i zastanawiając się, co takiego może znajdować się w środku. Listonosz zauważył, że jej oczy błyszczą jak w gorączce, i pomyślał, że szczęście naprawdę dodaje dziewczynom urody. Gdyby nie był żonaty, gdyby znowu mógł być młodym, wolnym mężczyzną, gdyby artretyzm nie zaczął skręcać jego stawów w niekształtne supły, gdyby miał pewność siebie George'a Boltona, bez wahania oddałby serce Ricie Fairweather. Szczęściarz z tego George'a... Rita miała w sobie coś, co czyniło ją nieco inną od jej rówieśnic, coś, co przywoływało skojarzenia z gibkimi pięknymi syrenami. Tak, tak, George miał cholerne szczęście...

- Czy będziesz tak miła i oddasz te listy matce? - zapytał pan Toppit, z wysiłkiem wracając do rzeczywistości.

- Oczywiście! - Wzięła przesyłki z jego rąk. - Swój list otworzę dopiero wtedy, gdy będę całkiem sama, na szczycie klifu. To zawsze było nasze specjalne miejsce, wie pan? Szczyt klifu...

- Uważaj, żebyś nie spadła - zażartował.

- Nie spadnę, bo życie jest zbyt piękne!

Z tymi słowami pobiegła do domu, gdzie cała zgromadzona w kuchni rodzina natychmiast wyczytała z jej twarzy, że wreszcie dostała list od George'a.

- No, najwyższy czas! - zawołał Humphrey, który od początku był całkowicie przeciwny decyzji George'a, aby na następny rok zostawić Ritę samą.

Gdyby nie pierścionek zaręczynowy, na pewno wzięłby młodego człowieka na stronę i powiedział mu parę słów, ale i mimo pierścionka miał poważne wątpliwości, czy George wróci. Zdaniem Humphreya, ukochany córki był jednym wielkim zlepkiem przeciwności, obciążonym bagażem potwornych doświadczeń żołnierzem w ciele chłopca, człowiekiem emocjonalnie niedojrzałym, a jednocześnie mądrym i rozczarowanym, może nawet cynicznym, spragnionym nowości i przygód, lecz przede wszystkim wolności. Dlaczego ktoś taki miałby chcieć rozpocząć spokojne życie we Frogmal Point? Wojna zmieniła George'a, było to oczywiste i nieuniknione, ale nie zmieniła Rity.

- No i co? - zagadnęła Hanna.

Eddie zerwała się z krzesła, wyrzucając z siebie pytania, które trudno było zrozumieć, ponieważ miała pełne usta.

- Otwórz list! - ponagliła Maddie, popijając herbatę. - Pośpiesz się!

Maddie od rana nosiła pełny makijaż, w którym najbardziej rzucały się w oczy umalowane szkarłatną szminką wargi i starannie wytuszowane rzęsy, czesała się w stylu Lauren Bacall i sama wyglądała jak gwiazda filmowa.

Hanna usiłowała odwieść córkę od takiego stylu życia i tłumaczyła jej, że nie powinna robić z siebie widowiska, lecz Maddie miała już prawie dwadzieścia lat i żelazną siłę woli. Dziewczyna nie pracowała, nie chciała nawet o tym słyszeć i zdecydowanie za dużo czasu spędzała w towarzystwie chłopców w lokalnym pubie. Hanna nie miała wyjścia - musiała przemykać oczy na poczynania Maddie i przyjąć do wiadomości, że jej dziecko stało się dorosłą osobą.

Tylko Eddie nadal chodziła do szkoły i była dość posłuszna. Hanna często snuła się po domu, oglądając pamiątki z dzieciństwa córek i z radością przywołując związane z nimi wspomnienia. Czas

pędzi jak szalony, a dzieci dorastają w mgnieniu oka i coraz bardziej oddalają się od rodziców, myślała ze smutkiem. Dobrze chociaż, że miała swoje ptaki. Niektóre migrowały, ale zawsze wracały i wydawały się zadowolone, że znowu ją widzą.

- Otworzę list na klifach, w samotności - oświadczyła Rita ku wielkiemu rozczarowaniu wszystkich obecnych.

Zanim zdążyli zaprotestować, pognała na górę, żeby się przebrać.

- Co tam jest? - Eddie zwróciła się do Hanny. - Jak myślisz, mammo?

- Ciekawe... - mruknęła Maddie z zazdrością. - Przecież dał jej już pierścionek z brylantem...

- Na pewno jakaś pamiątka z Buenos Aires - odparła Hanna. - Myślę, że nie ma wielkiego znaczenia, co to jest, ważne, że George o niej myśli...

Przyłapała spojrzenie męża i triumfalnie skinęła głową. Dobrze знаła jego wątpliwości, ale ten list stanowił widomy dowód, że Rita dokonała właściwego wyboru.

- Rozstanie dodaje smaku miłości - dodała znacząco. Humphrey chrząknął i zasłonił się płachtą gazety.

- Nie zapomnij tylko, że idziemy do Megababci na lunch, Rito! - krzyknęła Hanna. - Będzie tam ciocia Antoinette z Emily i Williamem!

Była sobota, a soboty Rita bardzo często spędzała na plaży. Hanna nie miała pojęcia, co córka tam robi, podejrzewała jednak, że głównie śni na jawie. Całe szczęście, że Rita dostała pracę w bibliotece w miasteczku, bo inaczej najprawdopodobniej do końca zatraciłaby się w swoich marzeniach, dobrze też, że przestała pracować na farmie Treesa i zajmować się rzeczami zupełnie nieodpowiednimi dla młodej kobiety.

Hanna zerknęła na wystrojoną niczym na przyjęcie Maddie ciekawa, jak dziewczyna zamierza spędzić dzień. Nie śmiała zapytać, bo z doświadczenia wiedziała, że Maddie tylko odburknie coś niewyraźnie. Z każdym dniem coraz bardziej upodabniała się do Antoinette, co bynajmniej nie było komplementem.

Rita szybkim krokiem ruszyła przez wioskę w kierunku wybrzeża, mocno przyciskając do piersi brązową kopertę. Nie była w stanie powstrzymać uśmiechu i nie podskakiwać co parę metrów. Na widok wielebnego Hammonda, który stał przy oknie sklepu,

pograżony w rozmowie z panną Hogmier, przyspieszyła, pragnąc uniknąć zaproszenia do pogawędki. Nie przepadała za panną Hogmier, wiecznie kwaśną starą damą o wąskich wargach i sterczących z nosa włosach, i chętnie wymigiwała się od robienia zakupów w jej sklepie.

Gdy dotarła na szczyt klifu, usiadła, zwieszając nogi z krawędzi, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie zwykle siadywała z George'em, i rozdarła grubą kopertę.

Wiał ostry, przejmująco zimny wiatr. Mocniej otuliła się starym kożuchem ojca i nasunęła wełnianą czapkę głęboko na czoło. Musiała zdjąć rękawiczki, żeby otworzyć list, okazało się jednak, że warto było narazić się na chwilę dyskomfortu, ponieważ po chwili z radością wyjęła z koperty srebrny wisiołek, który George kupił dla niej na pokładzie „Fortuny”. Trzymała ozdobę w ręku, rozkładając kartkę. List nie był długi. George nigdy nie pisywał długich listów, w przeciwieństwie do niej, ale nie miała cienia wątpliwości, że znajdzie tam słowa, które bardzo chciała usłyszeć. Nie zwracając uwagi na nasilający się wiatr i szalejące w dole morze, z uczuciem wewnętrznego głodu zabrała się do czytania.

Moja najdroższa Rito,

Piszę do Ciebie z pokładu „Fortuny”, która teraz znajduje się blisko wybrzeża Brazylii. Jest noc, a ja jak zwykle myślę o Tobie. Mam nadzieję, że wisiołek Ci się spodoba - kupiłem go od pomarszczonego staruszka, który zjawił się na pokładzie ze swoimi towarami. Jestem pewny że co najmniej potroił cenę, ale zapłaciłbym nawet dziesięć razy tyle, ponieważ Ty jesteś tego warta. Gołębica symbolizuje miłość, radość i małżeńskie szczęście. Posyłam Ci ją jako talizman, z nadzieją, że przyniesie ci to wszystko i jeszcze więcej. Tęsknię za Tobą, kochanie, i czasami zastanawiam się, dlaczego w ogóle wyjechałem, czy dokonałem mądrego wyboru. Pocieszam się tylko, że w tej podróży odnajdę wewnętrzny spokój, dzięki któremu obojgu nam łatwiej będzie rozpocząć wspólne życie. Liczę, że to doświadczenie uczyni mnie lepszym mężem i ojcem. Tylko taka cudowna dziewczyna jak Ty mogła pozwolić mi na zrealizowanie tego planu. Wiem, że Twoje serce należy do mnie, ale możesz być pewna, że moje także należy do Ciebie, na zawsze. Kocham Cię, moja słodka Rito.

George

Przeczytała list kilka razy. W przeciwieństwie do poprzednich tu nie znalazła żadnego odwołania do przeszłości. George nie wspominał lata, jaskini ani pikników na klifach. Cóż, list naprawdę był bardzo krótki, ale nie miała powodu narzekać. Kochał ją, tęsknił i nic poza tym nie miało znaczenia. Rozchyliła palce i uważnie przyjrzała się wisiorkowi. Był bardzo ładny, postanowiła, że zawsze będzie go nosiła. Chcąc założyć go od razu, zaczęła zmagać się z zameczkiem łańcuszka, wciąż trzymając w ręku list, lecz zdrętwiałe na zimnie palce okazały się zupełnie sztywne i mocny podmuch wiatru nagle wyrwał jej kartkę z dłoni. Krzyknęła cicho, przerażona i zrozpaczona. List tańczył w powietrzu, podobny do jesiennego liścia. Zerwała się na nogi, ale mogła tylko bezradnie obserwować, jak kartka spada coraz niżej i niżej.

Zbiegła ścieżką na plażę i podniosła głowę, szukając listu wzrokiem, pewna, że zaraz go złapie. Żaden ptak nie ośmielił się opuścić schronienia przy takiej pogodzie i tylko list George'a kołysał się w powietrzu jak mewa. Przez chwilę miała wrażenie, że kartka spadnie na suchy piasek niedaleko miejsca, gdzie stała, lecz niespodziewany podmuch uniósł ją dalej i wreszcie rzucił prosto we wzburzone fale.

Rita była niepoczyszona. Rozpląkała się ze złości i żalu. Cały miesiąc czekała na ten list i teraz straciła go na zawsze... Z uczuciem wdzięczności dotknęła srebrnego wisiorka, pocieszając się że przynajmniej tego nic i nikt jej nie zabierze. Powoli zawróciła w stronę klifów. Szła z pochyloną głową, aby osłonić twarz przed gwałtownymi uderzeniami lodowatego wichru. Raz po raz ze smutkiem pociągała nosem, starając się przypomnieć sobie napisane przez George'a słowa. Postanowiła zapisać wszystko po powrocie do domu, żeby nie zapomnieć, co jej powiedział.

Kiedy szła przez wioskę, z oczami utkwionymi gdzieś w przestrzeni, wpadła na tego zwariowanego Polaka, Tadeusza Waliszewskiego, który oczywiście także zapatrzony był w coś, czego nie widział nikt poza nim. Waliszewski rzadko patrzył ludziom w oczy, ponieważ nie czuł potrzeby zawierania znajomości.

- Przepraszam... - wymamrotała.

Polak od razu zauważył ślady łez na jej twarzy i zsiniałe z zimna wargi. Ogarnęła go fala szczerzego współczucia.

- Nic pani nie jest? - zapytał.

Drgnęła, zaskoczona pytaniem zadany głębokim, łagodnym głosem. Gardło ścisnęło jej się ze smutku.

- Nic... - odparła bez przekonania.

- Chyba strasznie pani zmarzła, prawda? Proszę pójść ze mną... - Ujął Ritę za łokieć i poprowadził wąską alejką, a następnie przez furtkę, prawie zupełnie ukrytą w gęstym żywopłocie. - Zrobię pani coś gorącego do picia... Nie powinna pani spacerować w taką pogodę, ledwo trzyma się pani na nogach...

Przez chwilę, kiedy patrzyła na niego wielkimi, smutnymi oczami, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ma przed sobą swoją córkę. Jego serce ścisnęło się z bólu, lecz szybko odepchnął straszne wspomnienia. Wiedział, że nie powinien wracać do czasu wypełnionego przerażeniem i rozpaczą, czasu, który należał do przeszłości i ożywał tylko wtedy, kiedy on mu na to pozwalał.

Dom Tadeusza był ciepły i pełen dziwnego spokoju; Rita miała wrażenie, że kiedyś już tu była, nawet zapach był znajomy, podobanie jak widok leżących tu i ówdzie stosów książek i manuskryptów. Nagle uświadomiła sobie, skąd wzięło się to wrażenie - podobnie przytulny bałagan panował w domu Boltonów, powietrze miało tam ten sam zapach palącego się w kominku drewna, dobroci i gościnności. Poczula, że może spokojnie zrzucić buty i zwinąć się w kłębek na sofie, bo Tadeusz nie będzie miał nic przeciwko temu, chociaż nigdy dotąd nie zamieniła z nim ani słowa. Gdyby nie była tak zasmucona stratą listu, nie przyjęłaby jego zaproszenia, ale on sprawiał wrażenie, że rozumie jej żal, a na dworze było naprawdę potwornie zimno. Zdjęła kozuch i usiadła w fotelu przy kominku, wciągając w nozdrza kojący zapach drzewnego dymu.

Tadeusz wszedł do pokoju, niosąc tacę z herbatą. Filiżanki i spodeczki nie pasowały do siebie, a dzbanek był wyszczerbiony. Gospodarz w milczeniu podszedł do gramofonu i nastawił płytę z Symfonią alpejską Straussa. Dźwięki muzyki wypełniły pokój, przywracając Ricie pogodę ducha, którą utraciła na klifie.

- Jeżeli muzyka jest pokarmem miłości, to grajcie dalej... - powiedział Tadeusz, siadając w fotelu naprzeciwko dziewczyny.

- Szekspir, Wieczór Trzech Króli - odparła z uśmiechem.

- Ach, już czuje się pani lepiej. - Z powagą pokiwał głową. - Tylko miłość jest w stanie przyprawić kobietę o taką rozpacz...

Rita nalała sobie herbaty.

- Ma pan piękny dom - rzekła, sięgając po mleko.
- Jestem tu bardzo szczęśliwy. Rita Fairweather, prawda?
- Tak, to ja - roześmiała się.

Nagle wydało jej się absurdalne, że jest gościem w domu człowieka, któremu nawet się nie przedstawiła.

Tadeusz przyglądał jej się chwilę w zamyśleniu, potem jego wzrok spoczął na srebrnym wisiorku na jej swetrze.

- Śliczny naszyjnik - zauważył z podziwem. - Czy dostała go Pani od George'a?

- Tak, właśnie dzisiaj. Byłam na klifie i wiatr wyrwał mi z ręki jego list...

- Nie zdążyła go pani przeczytać?

- Na szczęście zdążyłam, nawet kilka razy.

- Ale jako sentymentalna młoda kobieta lubi pani przechowywać wszystkie jego listy i czytać je od czasu do czasu, czy tak? - Tadeusz roześmiał się cicho. - Tak myślałem... Nie odzyskała pani tego listu?

- Nie - odparła ze smutkiem. - Leży na dnie morza.

- Niech pani pomyśli, co by było, gdyby nie zdążyła go pani przeczytać. To by dopiero było przykre, prawda? Poza tym jestem pewny, że dostanie pani jeszcze wiele listów.

- Strasznie mi głupio... - Rita westchnęła i napiła się herbaty.

- Ten wisiorek jest znacznie cenniejszy i trwalszy - ciągnął Tadeusz. - Słowa szybko blakną, a srebrna synogarlica zostanie z panią na zawsze. Chyba wie pani, że synogarlice mówią własnym językiem, trzeba je tylko uważnie słuchać...

Rita uśmiechnęła się, trochę rozbawiona, lecz Tadeusz mówił zupełnie poważnie.

- Na pewno uważa mnie pani za ekscentryka, ale to prawda, synogarlica mówi o miłości i pogodzeniu, przebaczeniu, spokoju i radości. George przysłał pani wiadomość pod postacią symbolu, to o wiele bardziej oryginalne niż list, nie sądzi pani? Kiedy następnym razem wybierze się pani na klify, naturalnie przy lepszej pogodzie, proszę przyjrzeć się swojej gołębiczy i posłuchać jej głosu.

- Zrobię to - powiedziała, chcąc sprawić mu przyjemność. Tadeusz podrapał się po siwiejącej brodzie i spojrzał na nią jasnymi, załzawionymi oczami.

- Gra pan na skrzypcach? - zapytała, ponieważ już wcześniej zauważyła ten instrument, leżący na klapie fortepianu.

- Tak, gram dla ukojenia duszy. Muzyka to cudowne lekarstwo.
- Jest pan także pianistą?
- Fortepian jest stary i rozstrojony, ale jakoś to znoszę...
- Ja trochę rzeźbię - wyznała. - Marnie, niestety. Faye, wie pan, Faye Bolton, daje mi lekcje rzeźby. Jest nieprawdopodobnie utalentowana.

Twarz Tadeusza złagodniała, jakby światło w pokoju przybrało bursztynową barwę.

- Jestem przekonany, że z czasem nabierze pani doświadczenia i będzie rzeźbić równie dobrze jak ona - rzekł cicho.

- O, nie, na pewno nie! I wcale nie oczekuję, że będę aż tak dobrą rzeźbiarką jak Faye. Mówi pan, że muzyka leczy duszę. Z rzeźbieniem jest podobnie. Potrafię się w tym zatracić, zapomnieć o wszystkim, co mnie gnębi...

- Rozumiem.

- Morze także leczy i przywraca spokój. Kiedy patrzę na morze także tracę poczucie rzeczywistości.

- I wtedy, gdy czyta pani listy George'a... - W oczach Tadeusza błysnął uśmiech.

- No, tak... To głupie, ale tak właśnie jest.

Po mniej więcej półgodzinie podziękowała mu za herbatę i towarzystwo. Rozmowa z Tadeuszem sprawiła, że poczuła się znacznie lepiej, i jeszcze raz obiecała, że w czasie następnej wyprawy nad morze posłucha głosu srebrnej synogarlicy. Przed wyjściem zapytała, czy może skorzystać z toalety, i szybko pobiegła na pięterko, świadoma, że musi zdążyć na lunch do Megababci.

Kiedy otworzyła drzwi, szybkim spojrzeniem obrzuciła sypialnię gospodarza. Jej wzrok zatrzymał się na dużej rzeźbie, przedstawiającej potężnego niedźwiedzia. Rzeźba stała na parapecie nad kominkiem, gdzie poza nią nie było żadnego innego przedmiotu. Było to dziwne, bo na wszystkich innych powierzchniach tłoczyły się rozmaite drobiazgi. Rita natychmiast rozpoznała dzieło Faye, której styl był niezwykle charakterystyczny. Zaczęła się zastanawiać, co skłoniło rzeźbiarkę do rozstania się z takim arcydziełem, lecz instynkt podpowiedział jej, że nie powinna o to pytać.

Tadeusz podał jej kożuch i patrzył, jak wkłada czapkę, spod której brunatne włosy wymykały się pasmami, podobne do wyrzuconych na plażę wodorostów.

- Mam nadzieję, że kiedyś wpadnie pani na herbatę - powiedział.
- Bardzo chętnie. Może wtedy zagra pan dla mnie na skrzypcach...

- Z przyjemnością. - Uśmiechnął się szczerze.

Kiedy wyszła, przyglądał się, jak zamyka za sobą furtkę w żywopłocie. Faye mówiła o Ricie z prawdziwym podziwem i uznaniem, i miała rację. Rita była bardzo miłą, łagodną dziewczyną. Gdyby nie wpadł na nią, nigdy by jej nie poznał. Czasami nie należało chodzić z pochyloną głową, unikając spojrzeń ludzi i ukrywając się przed światem. Tadeusz zatrzasnął drzwi i sięgnął po skrzypce.

Rita wśliznęła się do domu od strony ogrodu i na palcach poszła do swego pokoju, aby jak najszybciej zapisać wszystko, co zapamiętała z listu George'a. Mały gil uwił sobie przytulne gniazdko z mchu i trawy w dzbanku, który Eddie zrobiła dla siostry w szkole. Rita uwielbiała swojego nowego przyjaciela, lubiła czuć na sobie spojrzenie jego małych czarnych oczek, kiedy bez cienia lęku obserwował ją z półki na książki. Ptak o dowolnych porach wylatywał z pokoju i wracał, ponieważ Rita zawsze zostawiała otwarte okno. Hanna często zaglądała do pokoju córki, aby popatrzeć na gila i podsunąć mu jakiś smaczny kęs, ale ptak przyjmował jedzenie tylko z ręki Rity. Hannie trudno było się z tym pogodzić, zwłaszcza że zawsze łatwo nawiązywała kontakt ze skrzydlatymi stworzeniami, zakładającymi gniazda w jej ogrodzie.

Rita postanowiła zachować stratę listu w tajemnicy. Wstydziła się, że okazała się tak niezgrabna, zdecydowała więc, że będzie pokazywać jedynie swój wisiołek, symbol miłości, spokoju i małżeńskiego szczęścia.

O dwunastej wszyscy zapakowali się do samochodu Humphreya i pojechali do Elvestree na lunch. Eddie była zachwycona srebrną synogarlicą, natomiast Maddie wyraziła swoją opinię pogardliwym prychnięciem.

- Och, jest śliczna - powiedziała obojętnie. Gdyby w oku gołębiczy osadzony był jakiś drogi kamień, na przykład mały brylant, podarunek zrobiłby na niej o wiele większe wrażenie. - Co napisał George? - zapytała.

- Wolę zachować treść listu dla siebie - odparła Rita. - Poza tym synogarlica mówi, wystarczy jej tylko posłuchać...

Maddie skrzywiła się lekko.

- Głupiejesz z miłości, moja droga. Jeżeli twoja synogarlica mówi, to ja jestem królową Anglii!

- Na szczęście nie masz szans na koronę, bo byłabyś strasznie nadętą królową - wtrąciła Eddie. - Chcę usłyszeć, co mówi synogarlica, Rito...

- Mówi o miłości, spokoju i szczęściu w małżeństwie - rzekła Rita. - George przysłał mi symbol, coś o wiele bardziej oryginalnego niż list.

- Ja także uważam, że twój wisiołek jest prześliczny - podchwyciła Hanna. - George jeszcze raz dowiódł, że jest myślącym, mądrym młodym człowiekiem.

Humphrey chrząknął i pokręcił głową, ale na szczęście tylko Hanna w pełni знаła jego sceptyczne nastawienie do związku córki z George'em Boltonem.

Gdy przyjechali do Elvestree, lekka mżawka przeistoczyła się w gęsty grad. Wiatr niósł małe kuleczki lodu, a drzewa, zachwycające bujną zielenią w lecie, teraz stały nagie i powykręcane. Szybko weszli do holu, gdzie wokół wesoło trzaskającego w wielkim kominku ognia skupiło się całe stado kotów. Siedziały dosłownie wszędzie. Pięć zwinęło się w kłębek na sofie, trzy zajęły miejsca na starej dębowej skrzyni, w której ciemnym wnętrzu gniły rakiety tenisowe Denzila, sześć lub siedem usadowiło się pod stołem na poprzecieranym w wielu miejscach perskim dywanem. Były tu koty rude, łaciate, czarne, smukłe i dumne, i wiecznie nadąsane białe. Hanna dawno przywykła do tego, że dom jej matki zawsze jest pełen tych zwierząt, lecz przy każdej wizycie odnosiła wrażenie, że ich liczba regularnie wzrasta.

Kiedy ktoś pytał panią Megalith, skąd biorą się u niej wszystkie te koty, po prostu wzruszała ramionami.

- Jestem pewna, że wiele smutnych rodzin do dziś szuka swoich kocich przyjaciół - mawiała. - Nie mam pojęcia, dlaczego i co, ale coś ciągnie koty do Elvestree. Ja tylko nie wyrzucam ich z domu, bo sumienie mi na to nie pozwala.

Serce Maksa zadrzało z tęsknoty i miłości na widok Rity, wchodzącej do salonu wraz z całą rodziną. Jej włosy były wzburzone, policzki zaróżowione od wiatru i morskiej wilgoci. Chociaż miała na sobie świeżo wyprasowaną sukienkę i czysty rozpinany sweter, wyglądała odrobinę nieporządnie. Max uśmiechnął się do siebie. Rita

zawsze sprawiała wrażenie, jakby ubierała się w pośpiechu i o czymś zapomniała... Zagrzechotał kostkami lodu w szklance i dalej spokojnie obserwował ją z sofy.

Antoinette siedziała na ławie obok swojej córki Emily, małomównej dziewczyny w wieku Eddie i Ruth. Była piękną kobietą smukłą, umalowaną delikatnie jak chińska laleczka, o błyszczących rudych włosach ułożonych w łagodne fale. Paliła papierosa w długiej hebanowej cygaretkie, którą trzymała między dworna szczupłymi palcami, zakończonymi lśniącymi bordowymi szponami, zawsze idealnie zadbanymi. Jej promienna skóra była lekko wilgotna od wody toaletowej i różanej, a oczy miały ten sam odcień szarości co oczy matki, tyle że ich wyraz był znacznie twardszy. Nie znosiła kotów z powodu wszechobecnej sierści i intensywnego odoru, jaki zostawiały we wszystkich pomieszczeniach, nie przepadała też za ptakami, które tak lubiła jej siostra Hanna.

- Wolalabym siedzieć na łące i obserwować krowy niż marnować czas na przypatrywanie się ptakom - powiedziała kiedyś. - Fruwają, to prawda, ale co z tego? George też potrafi latać, a przecież nie chcę, żeby rozbił się w moim ogrodzie...

Wypowiedź Antoinette pozbawiona była wszelkiego sensu, lecz dama ta słynęła z nonszalanckiego podejścia do logiki i prawdy. Była urodzonym kłamcą i uwielbiała się popisować. Hanna wciąż od nowa się dziwiła, że jej siostra ma drobny, zgrabny nosek, bo uważała, że powinien wydłużać się po każdym kłamstwie, tak jak nos Pinokia. Doskonale świadoma swojej urody i siły własnej osobowości, Antoinette wychowywała córkę w taki sposób, aby dziewczyna w jak największym stopniu przypominała ideał, czyli ją samą, chociaż biedna Emily ciągle podejmowała próby buntu. Emily nie odziedziczyła ani urody, ani siły charakteru matki, była za to inteligentna i dobra jak jej ojciec. Jediną osobą, która umiała skutecznie uciszyć Antoinette, była naturalnie jej matka.

Maddie uwielbiała ciotkę i pragnęła jak najbardziej się do niej upodobnić.

- Ciociu Antoinette! - wykrzyknęła na jej widok i rzuciła się naprzód, wymijając babkę oraz kuzyna Williama, aroganckiego dwudziestolatka, którego nie darzyła zbyt dużą sympatią.

Och, kochanie, z każdym dniem stajesz się piękniejsza! - Antoinette odwzajemniła uścisk siostrzenicy i obrzuciła ją

zachwyconym spojrzeniem. Od dawna uważała, że Maddie jest do niej uderzająco podobna. - Przywiozłam ci dobry lakier do paznokci i sztuczne rzęsy, które znalazłam w uroczym sklepiku na Portobello Road. Pomyślałam sobie, że kto jak kto, ale ty na pewno zrobisz z nich użytek!

Rita poczuła, jak jej żołądek kuli się ze zdenerwowania, ponieważ ciotka zawsze odnosiła się do niej z pogardliwym pobłażaniem. Dziewczyna reprezentowała wszystko, czego Antoinette szczerze nie cierpiała i nie rozumiała - miłość do przyrody i zwierząt, awersję do makijażu oraz spokój i ustepliwość, które to cechy ona interpretowała jako słabość. Gardziła słabymi ludźmi i nie wahała się im tego okazywać.

- Witaj, Rito - powiedziała cierpko, przyciskając policzek do policzka siostrzenicy, ale nawet nie starając się udawać, że ją całuje. - Słyszałam, że George znowu cię zostawił...

Rita kiwnęła głową i wymamrotała coś niedosłyszalnego. Antoinette nie mogła się oprzeć, aby jej nie dokuczyć.

- Mam nadzieję, że nie patrzyłaś w niego jak w obraz - dorzuciła przyciszonym głosem. - Mężczyźni nie mają za grosz szacunku dla zbyt uległych kobiet...

Twarz Rity oblał ciemny rumieniec upokorzenia. Bez słowa odwróciła się i usiadła obok Maksa. Usłyszała jeszcze, jak ciotka mówi do Emily, że liczy, iż jej przyszły narzeczony nigdy nie zostawi jej samej. Antoinette przywitała się z siostrą oraz Eddie i na widok przyczepionego do rękawa najmłodszej siostrzenicy Harveya rzuciła się do tyłu, jakby nagle zaatakował ją wampir.

- Zabierz tego obrzydliwego skrzydlatego szczura na dwór i utop go, bo inaczej sama wepchnę was oboje do stawu! - krzyknęła piskliwie.

Eddie, która odziedziczyła po babce skłonność do absolutnej szczerości, odpowiedziała ciotce równie niechętnym tonem.

- Szkoda, że nie jesteś choć trochę mniejsza, ciociu, bo wtedy oboje z Harveyem to ciebie z przyjemnością wrzucilibyśmy do stawu! Na pewno zatrułabyś wodę i zniechęciła lisy do napastowania kaczek Megababci!

Antoinette z przerażeniem spojrzała na siostrzenicę i mocno zaciągnęła się papierosem.

- Czy matka nie wytłumaczyła ci, jak należy odnosić się do starszych i lepszych od ciebie, moje dziecko? - wykrztusiła z trudem.

- Wytłumaczyła, ale ty nie jesteś lepsza, tylko starsza - odpaliła bez wahania Eddie.

Odwróciła się na pięcie, chwyciła Emily za rękę i razem z nią i Ruth wybiegła do holu, aby pobawić się z kotami.

- Podobno dostałaś list od George'a - odezwał się Max, kiedy Rita usiadła obok niego.

Dziewczyna uśmiechnęła się, chociaż w jej oczach wciąż malował się ból, spowodowany złościwością ciotki.

- Przysłał mi ten wisiołek - odparła cicho, pokazując Maksowi srebrną gołębicę.

Max z wysiłkiem przełknął ślinę, porażony zazdrością.

- Śliczny... - pochwalił.

Hanna zauważyła, co robi jej córka, i szybko odwróciła się do matki.

- Popatrz, mamó, George przysłał Ricie wisiołek, piękną srebrną synogarlicę, symbol miłości, spokoju i małżeńskiego szczęścia, Cudowny, prawda?

- Uroczy - zachwyciła się pani Megalith, podchodząc bliżej, aby dokładniej przyjrzeć się ozdobie.

Antoinette nie omieszkała wykorzystać okazji.

- Ach, śliczny! - oświadczyła. Potem jej szkarłatne wargi rozciągnęły się w złośliwym uśmiechu. - Coś takiego mogło przyjść do głowy wyłącznie niewiernemu mężczyźnie - dodała szeptem na tyle głośnym, aby usłyszeli ją wszyscy obecni w pokoju.

Rozdział trzynasty

Zalana łzami Rita uciekła z pokoju, Max poszedł za nią, zostawiając Hannę zeszywniałą z oburzenia i Humphreya z twarzą koloru dojrzałego pomidora.

- Koniecznie musiałaś ją zranić? - zapytał cichym, chłodnym głosem Humphrey.

Miał ogromną ochotę mocnym uderzeniem zetrzeć zadowolony uśmiezek z twarzy Antoinette.

- Och, dlaczego nikt z was nie ma ani odrobiny poczucia humoru? - westchnęła melodramatycznie.

Pani Megalith powoli zdjęła okulary i zmierzyła młodszą córkę mrocznym, poważnym spojrzeniem. Antoinette poczuła, jak włosy na jej karku jeżą się ze strachu.

- Raniecie ludzi słabszych od ciebie nie jest niczym dobrym ani godnym pochwały, moja droga - rzuciła pani Megalith. - Zanim staniesz do walki, wybierz sobie równorzędnego przeciwnika, a teraz przeproś Ritę, chyba że chcesz, bym zamknęła cię w spiżarni razem ze wszystkimi kotami i nietoperzami, jakie mieszkają w tym domu...

Antoinette została kompletnie upokorzona. Schowała urażoną dumę do kieszeni, wyszła z pokoju i ruszyła na poszukiwanie Rity lecz siostrzenica zaszyła się z Maksem w jego pokoju, starając się trzymać jak najdalej od ciotki.

- No i proszę, znowu to samo... - jęknęła Rita, siadając obok Maksa na jego łóżku. - Dlaczego zawsze muszę wypłakiwać się na twoim nieszczęsnym ramieniu? Zasługujesz na coś lepszego, naprawdę...

Max uśmiechnął się, zachwycony, że los darował mu następną okazję do intymnej rozmowy z Ritą.

- Antoinette uwielbia znęcać się nad słabszymi, ale w głębi serca jest najzwyczajszym tchórzem - powiedział.

- Nie, to ja jestem tchórzem. Powinnaś była odpłacić jej pięknym za nadobne, tak jak Eddie.

- Eddie to Eddie, a ty to ty. Jesteś wspaniała i nie powinnaś być dla siebie taka surowa... - Max spuścił oczy, ogarnięty nagłym onieśmieleniem.

Rita położyła rękę na jego kolanie.

- Bardzo mi miło, że tak myślisz - rzekła łagodnie. Chwilę wahała się, potem głośno przełknęła ślinę. - Chciałam cię o coś

zapytać... Jesteś mężczyzną, więc może będziesz umiał mi odpowiedzieć...

Max wyprostował się, zadowolony, że Rita uważa go za mężczyznę, nie za chłopca.

- Czy myślisz, że popełniłam błąd, pozwalając George'owi wyjechać?

Max kochał ją zbyt mocno, aby wystawić na ryzyko ich rozwijającą się przyjaźń i powiedzieć prawdę. Gdyby chciał być całkowicie szczerzy, musiałby wyznać, że jego zdaniem popełniła ogromny błąd. Musiałby też dodać, że ma nadzieję, iż George nigdy nie wróci do Frogal Point.

- Postąpiłaś bardzo odważnie - oświadczył, ujmując jej dłoń. - Tchórz nigdy nie zachowałby się w taki sposób. Zaufaj George'owi, przecież miłość wymaga zaufania, prawda?

- Ufam mu - odparła szybko, zawstydzona, że dała wyraz dręczącym ją wątpliwościom. - Tęsknię za nim, to dlatego przychodzą mi do głowy różne niemądre myśli...

Max oddałby pół życia, żeby teraz móc ją pocałować. Codziennie wyobrażał sobie, jak by to było, i teraz, siedząc tuż obok niej, uświadomił sobie, jak łatwo byłoby nachylić się ku niej i przycisnąć wargi do jej ust. Rita miała cudowne wargi, blad różowe i idealnie wykrojone, nieco podobne do muszli. Opanowany pożądaniem i ośmielony łagodnym wyrazem jej oczu, pochylił głowę i złożył lekki pocałunek na jej policzku. Skóra Rity była jeszcze wilgotna od łez i pachniała fiołkami. Poczul, że dziewczyna sztywnieje, i szybko się cofnął, za nic nie chcąc psuć delikatnej równowagi ich przyjaźni.

- Jesteś mi bliska jak siostra - powiedział pośpiesznie. - Może mógłbym być dla ciebie bratem, którego nigdy nie miałaś...

Nieco napiętą twarz Rity rozjaśnił łagodny uśmiech. Nieśmiało przygryzła dolną wargę.

- Oczywiście - odparła. - Zawsze chciałam mieć brata...

Zapadło długie milczenie. Max, przerażony świadomością, że o mało nie wyjawiał jej swoich prawdziwych uczuć, zaczerwienił się gwałtownie. Rita rozejrzała się po pokoju. Jej wzrok spoczął na zniszczonej zielonej książce, leżącej na małym stoliku przy łóżku. Był to niewielki tomik o mocno sfatygowanej okładce i wypadających kartkach.

- Jaka niezwykła książka... - zauważyła, z ulgą zmieniając temat.

Max wziął książkę do ręki.

- Należała do mojej matki. Tomik wierszy, które bardzo lubiła...

- Mogę spojrzeć?

- Są po niemiecku, to wybór utworów jej ukochanych poetów.

Podał jej książkę. Chciał dodać, że zawarte w tomie wiersze

o miłości zna już na pamięć, ale nie zrobił tego. Dziewczyna otworzyła książkę i przesunęła palcami po pożółkłym papierze, grubym i szorstkim jak pergamin. Zastanawiała się, czy Max czuje, jak jego matka wyciąga do niego ręce poprzez te kartki i dotyka go, czy może słyszy jej głos, szepczący pieszczotliwe słowa w chwilach, kiedy syn potrzebuje pociechy. Poruszona tą niezwykle romantyczną myślą, podniosła wzrok i zatrzymała go na wrażliwej twarzy Maksa.

- Megababcia mówi, że twoja matka była sławną aktorką. Czy była bardzo piękna?

- Tak mi się wydaje.

- Sądzę, że jesteś do niej podobny - powiedziała, wkładając książkę w jego dłoń.

Wargi Maksa lekko zadrżały. Wzruszył ramionami.

- Nie wiem... - odparł cicho.

Nie chciał przywoływać teraz z pamięci obrazu nieżyjącej matki. Czuł się lepiej, gdy jego myśli nie krążyły wokół przeszłości.

- Jesteś gotowa stawić czoło ciotce? - zapytał.

- Bardziej gotowa już nie będę! - zaśmiała się. - Chodźmy już, bo wszyscy zaczną się zastanawiać, co się z nami stało...

Eddie przez cały lunch wpatrywała się w ciotkę spod mocno ściągniętych brwi. Megababcia kazała jej zamknąć Harveya w samochodzie, lecz dziewczyna zbuntowała się i schowała nietoperza głęboko w rękawie, skąd co jakiś czas wyglądał i wydawał ostre piski, najwyraźniej skierowane do Antoinette.

Antoinette przeprosiła Ritę, ze śmiechem powtarzając kilkakrotnie, że jej uwaga była zwykłym żartem.

- Niby skąd miałabym wiedzieć, czy twój George cię zdradza, czy nie? - rzuciła lekko.

Rita wyczuwała nieszczerłość ciotki i dlatego usiadła przy drugim końcu stołu razem z Makssem, Williamem i swoim ojcem. Humphrey nigdy nie lubił szwagierki i podziwiał Davida, męża Antoinette, za to, że z nią wytrzymuje. David rzadko pojawiał się w towarzystwie, a nawet w domu, co zdaniem wielu stanowiło dowód przebiegłości,

niezbędnej do przeżycia w roli męża Antoinette. Płacił rachunki, zapewniał żonie środki do życia na wysokim poziomie i utrzymywał dyskretną kochankę w mieszkaniu w zachodniej części Londynu. To, co robił dla komórki wywiadowczej MI5, okryte było najgłębszą tajemnicą i dawało Davidowi doskonałą wymówkę, aby ocalić sporą część życia przed żoną.

U szczytu stołu siedziała Megababcia i obserwowała Antoinette zmęczonymi szarymi oczami. Zauważyła Harveya, ale nie skomentowała jego obecności, i szczerze współczuła Ricie, która mimo ładnego prezentu od George'a sprawiała wrażenie mocno przygnębionej. Pani Megalith miała złe przeczucie, które przywarło do niej jak zimny węgorz, przyprowadzając ją o dreszcz niepokoju. Coś było nie w porządku z tą synogarlicą... Starsza pani przeżuwała jagnięcą pieczeń i intensywnie myślała. Symbol miłości, to prawda, ale tu chodziło o coś więcej... Przecież gołębica jest także symbolem przebaczenia i pokoju, prawda? Co takiego Rita miałaby przebaczyć George'owi?

Po lunchu wzięła wnuczkę na stronę. - Co napisał George w liście? - zapytała.

Wyjęła okulary z kieszeni i włożyła je, ponieważ miała nadzieję, że Rita pozwoli jej przeczytać list.

- Zostawiłam go w domu - skłamała dziewczyna.

Megababcia zmarszczyła brwi i Rita natychmiast zrozumiała, że i tak nie zdoła jej oszukać.

- Czytałam go na szycie klifu - szepnęła, bojąc się, żeby ktoś jej nie podsłuchał. - Wiał mocny wiatr i wyrwał mi kartkę z ręki. Zbiegłam na plażę, żeby ją odzyskać, ale wylądowała daleko na falach... Straciłam list na zawsze...

Pani Megalith z powagą pokiwała głową.

- Ach, tak... - mruknęła. - To tłumaczy wymowę prezentu i jego symbolikę. Ciekawe...

- Co masz na myśli, babciu?

- Głupstwa, moja droga! - zaśmiała się starsza pani. - Nie martw się stratą listu. Przecież wiesz, że niedługo dostaniesz następny. A jeśli chodzi o Antoinette, to nie jest tajemnicą, że czasami potrafi się zachować w wyjątkowo podły sposób. Każdy ma paskudną stronę swojej natury, lecz w przypadku Antoinette problem polega na tym, że jej złe cechy nasilają się i zakłócają równowagę charakteru. Wkrótce

zacznie brzydnąć, bo wady zawsze uwidaczniają się także i na twarzy, i wtedy na pewno się zmieni. Jest zbyt próżna, aby tego nie zrobić, a ja jako pierwsza powiem jej, że traci urodę.

- Czytam teraz wspaniałą książkę o carach Rosji - opowiadała Antoinette wszystkim, którzy chcieli słuchać. - Cóż to za barwna historia!

Antoinette krytycznie spojrzała na książki matki, chaotycznie upchnięte na starych, mahoniowych półkach. Uważała się za intelektualistkę i manifestowała to przy każdej okazji.

- Co czytasz, Humphrey? - zagadnęła. - Zawsze trzeba mieć jakąś nową, inspirującą lekturę, nie sądzisz? Ja zwykle czytam kilka książek naraz i sięgam po którąś, w zależności od nastroju. Chętnie wracam do klasyki. Bardzo podobała mi się Anna Karenina. Większość kobiet nie może przebrnąć przez Wojnę i pokój, lecz mnie lektura tej powieści sprawiła ogromną przyjemność. Cóż, od dziecka lubiłam wyzwania... Jeżeli coś jest zbyt łatwe, szybko mnie nudzi.

Humphrey spokojnie palił cygaro. Nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w rozmowę ze szwagierką. Antoinette wcale nie interesowało, co czyta, zależało jej tylko na tym, żeby pochwalić się własną inteligencją.

- Ja także uwielbiam czytać! - zawołała Maddie, która czytała tylko w szkole, i to wyłącznie dlatego, że nie miała innego wyjścia.

Postanowiła jak najszybciej przeczytać tę Annę Kareninę, cokolwiek to było, ponieważ chciała jak najbardziej upodobnić się do ciotki.

- To świetnie, kochanie - pochwaliła ją Antoinette. - Głupie kobiety są po prostu nie do zniesienia. Można schwytać mężczyznę dzięki urodzie, ale nie da się zatrzymać go przy sobie, jeśli nie pielęgnuje się własnej inteligencji. Rozwijaj swój umysł, tak jak ja to robię, a na pewno dobrze wyjdiesz za mąż - poradziła.

Humphrey przewrócił oczami i spojrzał na zegarek.

- Hanno, na nas już czas - odezwał się do żony, która razem z Eddie przeglądała albumy ze starymi rodzinnymi fotografiami.

- Musimy już jechać? - zaprotestowała, ponieważ bardzo lubiła oglądać zdjęcia z okresu swojego dzieciństwa.

- Chyba tak - odparł Humphrey z naciskiem. - Rito, Maddie, zbierajcie się.

Hanna usłyszała ton zniecierpliwienia w jego głosie i posłusznie zamknęła album. Wstała i wyszła z mężem do holu, gdzie Megababcia na czworakach chodziła po podłodze, bawiąc się z Emily, Ruth oraz kotami.

Kiedy Humphrey i jego rodzina stali już w progu, z salonu dobiegł ich głośny wrzask.

- Dobry Boże, co się stało?! - Humphrey ruszył z powrotem do salonu.

Hanna, Rita i Maddie pobiegły za nim. Wrzask brzmiał naprawdę rozpaczliwie, zupełnie jakby ktoś znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, kiedy jednak wszyscy czworo wpadli do dużego pokoju, Humphrey i Rita parsknęli śmiechem na widok Antoinette, obleganej przez co najmniej dwadzieścia kotów. Trudno byłoby im wymyślić bardziej odpowiednią zemstę. - Odgońcie je ode mnie! - krzyczała histerycznie Antoinette. Koty drapały jej nylonowe pończochy, wbijały pazury w suknię, jeden siedział na czubku głowy, miętosząc łapami starannie ułożoną fryzurę.

Antoinette wołała na pomoc matkę, ale pani Megalith nie była w stanie powstrzymać rozwścieczonych zwierząt. Tylko Eddie, która z uśmiechem wychylała się zza pleców ojca, wiedziała, dlaczego koty zaatakowały ciotkę, ale nie miała zamiaru powierzać komukolwiek tego sekretu.

- Co zrobiłaś z tymi kotami, Eddie? - zapytał Humphrey po powrocie do domu, starając się powstrzymać rozbawienie.

- Skąd wiesz, że to ja? - Eddie rzuciła mu niewinne spojrzenie i powiesiła płaszcz w szafie.

Była zachwycona, że wreszcie wrócili do domu. Wyjęła z kredensu puszkę z ciasteczkami i otworzyła ją.

- Znam ten twój łobuzerski uśmiech - odparł Humphrey.

- Co zrobiłaś? - powtórzyła pytanie ojca Rita.

Bardzo żałowała, że sama w jakiś sposób nie dokuczyła nielubianej ciotce.

- Nic takiego - powiedziała Eddie. - Przecież nie mogłam kazać rzucić się na nią tym wszystkim kotom?

- Właśnie! - przytaknęła Hanna. - To bezsensowny pomysł, naprawdę... - Wyjęła herbatnik z ręki córki. - Jeszcze nie czas na podwieczorek, skarbie.

- Zjem tylko jeden, przysięgam! Jestem strasznie głodna, ta jagnięcina była ohydna!

- No, dobrze... - westchnęła Hanna. - Ale tylko jeden... Eddie zanurzyła rękę w puszcze i z szerokim uśmiechem wyjęła trzy owsiane herbatniczki.

- Niezależnie od tego, kto zrobił Antoinette psikusa, nie da się zaprzeczyć, że zasłużyła sobie na to - powiedział Humphrey, zabierając gazetę i idąc do salonu.

- Moim zdaniem wszyscy jesteście okropni dla cioci Antoinette. - Nadašana Maddie przygryzła dolną wargę. - Tylko ja ją lubię...

- Wszyscy ją lubimy, kochanie, ale była wyjątkowo niemiła dla Eddie i Rity - rzuciła Hanna.

- Nikt nie lubi Harveya! - oznajmiła Maddie. Eddie rzuciła jej rozwścieczone spojrzenie.

- Ona kłamie, prawda, mamo? Przecież ty lubisz Harveya...

- Oczywiście, skarbie. Na odległość.

- A Rita po prostu jest nadwrażliwa - wymamrotała Maddie. Rita przewróciła oczami i wyszła za ojcem do salonu. Maddie pobiegła na górę, żeby w skupieniu nałożyć na usta kolejną warstwę szminki i jeszcze raz przejrzeć kolorowe magazyny. Hanna odwróciła się do Eddie.

- Co zrobiłaś z tymi kotami? - zapytała cicho.

Eddie zmrużyła oczy i szybko rozejrzała się, sprawdzając, czy nikogo nie ma w pobliżu.

- Dobrze, powiem ci - wyznała. - Obiecuj mi tylko, że nie powtórzysz tego Megababci...

- Obiecuję.

- Poprosiłam je, żeby się na nią rzuciły. Hanna zmarszczyła brwi.

- Poprosiłaś je? - powtórzyła niedowierzająco.

- Tak, bardzo wyraźnie powiedziałam temu dużemu czarnemu, co mają zrobić. Wydaje mi się, że on jest ich królem, wiesz?

Hanna powoli kiwnęła głową.

- Tak myślisz?

- Tak. Zrozumiał mnie i od razu poszedł przekazać prośbę innym. Megababcia zawsze mówi, że jeżeli ktoś zada sobie trud i spróbuje porozumieć się ze zwierzętami w sposób telepatyczny, na pewno zareagują. Byłam taka wściekła na ciotkę Antoinette, że spróbowałam.

- Cóż, najwyraźniej podziałało... - rzekła Hanna.

Nie wiedziała, czy powinna wierzyć Eddie, czy nie. Dorastała ze świadomością, że jej matka jest czarownicą, lecz teraz nie była w stanie pogodzić się z faktem, że takie same zdolności może posiadać jej córka.

- Nie pozwolę, żeby ktoś bezkarnie gadał paskudne rzeczy o Harveyu - rzuciła złowrogo Eddie.

Zaskoczona Hanna drgnęła, ponieważ w chwili, gdy Eddie mówiła tym tonem, kolor jej oczu zmienił się, zupełnie jak u babki.

- Mój Boże, urodziłam czarownicę! - wykrztusiła.

Twarzyczkę Eddie rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Bardzo chciałabym być czarownicą, bo wtedy mogłabym latać. Masz miotłę, mamó?

- Nie taką, która lata - odparła Hanna, łagodnym ruchem odgarniając włosy Eddie.

- Ale pozwolisz mi spróbować?

- Jeśli chcesz... Jest w szafce w korytarzu. Może przy okazji zamiotłabyś kuchnię, co?

Eddie potrząsnęła głową i zachichotała.

- Nic z tego, wolę polatać - oświadczyła i pobiegła po miotłę.

Maddie była wściekła na Ritę. Uważała, że starsza siostra zachowuje się jak osoba dotknięta atakiem cielej miłości i robi źle, samotnie spacerując po wietrznej plaży i rezygnując z towarzystwa. Ciocia Antoinette ma rację - gdyby George naprawdę kochał Ritę, na pewno by jej teraz nie zostawił, w każdym razie nie na cały rok. Maddie wątpiła, czy George w ogóle wróci. Najprawdopodobniej zakocha się w jakiejś Argentynie, bo przecież kobiety z Ameryki Południowej słyną z urody. Rita była słaba. Powinna była powiedzieć George'owi, żeby natychmiast się z nią ożenił, i tyle, a gdyby odmówił, poszukać sobie kogoś innego. Na świecie jest mnóstwo mężczyzn, pomyślała z uśmiechem.

Sama sypiała teraz z dwoma facetami. Jednym był syn miejscowego przedsiębiorcy budowlanego, Steve Eastwood, silny, muskularny młody człowiek o gęstej jasnej czuprynie i brązowych oczach, łagodnych jak słodki krem. Dłonie miał szorstkie i pokryte odciskami, wiedział jednak, jak pieścić kobietę i nie podrapać jej. Mówił z wyraźnym prowincjonalnym akcentem, a jego uśmiech był szeroki, pewny siebie i cudownie chłopięcy. Maddie uwielbiała się z nim kochać, bo w jego ramionach czuła się krucha i kobieca. Jej drugi

kochanek, Bertie Babbindon, był bogaty, czarujący, ale potwornie nudny. Miał ulizane czarne włosy, modnie się ubierał i uważał się za playboya. Przysyłał Maddie kwiaty, dawał jej drogie prezenty i zupełnie nie umiał całować.

Maddie nigdy nie była zakochana, więc nie rozumiała, dlaczego jej siostra usycha z tęsknoty za George'em. Znała tylko pożądanie, nic więcej. Było tak do czasu, gdy we Frognał Point pojawił się Harry Weaver.

- Kto to jest ten Harry Weaver? - zapytała matkę, lekko marszcząc swój śliczny nosek. - Musimy wrócić na lunch? Chciałam spędzić cały dzień z Bertiem.

Hanna zeszywniała. Nie przepadała za Bertiem Babbindonem, który jej zdaniem był arogancki, samolubny i wulgarnie rozrzutny w czasach, kiedy ostentacyjne manifestowanie zamożności było w złym guście. Bertie w żaden sposób nie włączył się do wojennego wysiłku wszystkich Brytyjczyków - przez całą wojnę ukrywał się w rodzinnej willi w Szwajcarii i pewnie uczył się niemieckiego na wypadek, gdyby alianci przegrali. Hanna spojrzała przez okno na błyszczący w porannym słońcu śnieg, który w nocy cienką warstwą pokrył ziemię. Po trawniku spokojnie przechadzało się kilka bażantów. Ptaki rozgrzebywały śnieg z nadzieją, że uda im się znaleźć coś do jedzenia. Hanna pomyślała, że na pewno przyleciały z Elvestree, gdzie Megababcia zimą zawsze wysypywała dla nich ziarno.

- Bardzo bym chciała, żebyście były w domu na lunchu, wszystkie trzy. Harry Weaver to uroczy człowiek i nikogo tu nie zna. Kupił ten śliczny mały biały domek nad zatoką Bray.

- Czym się zajmuje? - ziewnęła Maddie. Pochwyciła spojrzenie Rity i zrobiła znużoną minę.

- Jest pisarzem.

- Wydał jakieś książki?

- Och, nie wiem, ale na pewno lubi obserwować ptaki. Dzięki temu go spotkałam.

- Co za nuda! - westchnęła Maddie. - Ptaki to ptaki i nie ma w nich nic ciekawego, ciocia Antoinette ma rację...

- Jest żonaty? - zapytała Rita.

- Rozwiedziony. Myślę, że byłoby mu miło, gdybyśmy go zaadoptowali. Jest całkiem sam na świecie, biedak.

Maddie wygodniej umościła się w fotelu i odęła wargi. Niedziela była dla niej zwyczajnym dniem, gdy tymczasem Rita najczęściej starała się mieć wtedy jak najwięcej czasu dla siebie. Minęły już dwa tygodnie od dnia, kiedy morze zabrało jej list od George'a, ciotka Antoinette tak bardzo jej dokuczyła, a Max pocałował ją w policzek. Napisała liczący cztery strony list do George'a, opowiadając mu o ciotce Antoinette i kotach, nienaturalnym zainteresowaniu Eddie czarami, swojej nowej pracy w miejskiej bibliotece i kampanii ojca, który walczył o uchronienie dziewiczych terenów leśnych poblizu Frogmal Point przed zakusami agentów nieruchomości i przedsiębiorców budowlanych. Dużym, ozdobnym charakterem pisma przywołała ich wspólne wspomnienia łagodnych letnich wieczorów, które spędzali na klifach, obserwując mewy, oraz tajemnych spotkań w jaskini. Wyznała, że tęskni za nim mocniej, niż umie to wyrazić słowami, że z radością nosi wisiołek i zaręczynowy pierścionek z brylantem, na który codziennie patrzy, aby upewniać się, że on ją kocha. Napisała też, że zamierza włożyć w dzień ślubu i wisiołek, i pierścionek, i że poprosiła Megababcie, aby pożyczyła jej swoją suknię ślubną, którą Hanna ma trochę dopasować. Tylko trochę, ponieważ Megababcia rzeczywiście musiała być bardzo szczupła, a suknia jest piękniejsza, niż Rita sobie wyobrażała, haftowana w liście winorośli, naszywana perełkami i ozdobiona koronką. Dziewczyna zapieczętowała list łzami i wysłała go z całą miłością, jaką nosiła w sercu. Miała nadzieję, że jej uczucie okaże się dość potężne, aby zapewnić jej wierność George'a.

O dziesiątej pod dom zajechał sportowy jensen Bertiego, wzbudzając popłoch trzech gołębi, walczących o skórkę od chleba na zwirowanym podjeździe. Maddie obiecała, że pojedzie z nim na przejażdżkę, pod warunkiem, że przed lunchem odwiezie ją do domu.

- Mama chce, żebym poznała jakiegoś starego miłośnika ptaków - wyjaśniła, przewracając zimnymi niebieskimi oczami i odrzucając włosy do tyłu. - Mówi, że on nikogo tu nie zna. Wcale mnie to nie dziwi - tacy ludzie zwykle są samotni. Podobno to pisarz, ale dotąd nie wydał żadnej książki, więc na pewno nie zasługuje na uwagę.

Bertie miał nadzieję zabrać Maddie na lunch do Exeter i nie krył rozczarowania.

Kiedy Harry Weaver zajechał pod dom Hanny i Humphreya zniszczonym starym samochodem, Bertie namiętnie całował i

obmacywał Maddie na tylnym siedzeniu jensena w ustronnym zaułku, mniej więcej siedem kilometrów od Frogal Point.

Hanna była wściekła. Dobrze chociaż, że Rita i Eddie nie sprawiły jej zawodu... Humphrey potrząsnął dłonią Harry'ego tak mocno, jakby znali się i przyjaźnili od dawna. Harry wywierał na ludzi właśnie taki wpływ - był serdeczny, nieco niezgrabny i pełen naturalnego, ciepłego uroku. Gdy się uśmiechał, na jego twarzy rysowały się zmarszczki i bruzdy. Miał rumianą, opaloną twarz, zupełnie jakby wciąż przebywał na świeżym powietrzu przeredzone nad czołem włosy siwiały mu na skroniach, a na czubku głowy triumfalnie sterczały w kilku kępkach. Łagodne, szare oczy były ocienione długimi, ciemnobrązowymi rzęsami, których mogłyby mu pozazdrościć wszystkie mniej hojnie obdarzone przez naturę kobiety.

Hanna powiesiła jego płaszcz, od razu zauważając, że materiał jest w kilku miejscach przeżarty przez mole i wytarty na łokciach, potem zaś zaprowadziła gościa do salonu, gdzie Eddie bawiła się z Harveyem, a Rita siedziała przed kominkiem, przeglądając gazety.

- Oto dwie z moich trzech córek - powiedziała z dumą. - Eddie ze swoim nietoperzem Harveyem, najprawdziwsze papużki nierozłączki, oraz Rita, której narzeczony przebywa teraz w Argentynie, a wcześniej służył w RAF - ie...

Harry z miłym uśmiechem uściśnął dłonie dziewcząt. Rita natychmiast go polubiła, Harry miał w sobie coś ujmującego i robił wrażenie nieco steranego życiem, co w kobietach rozbudzało instynkt opiekuńczy.

- Ach, mały nietoperz! - rzekł Harry, wyciągając rękę i wskazującym palcem głaszcząc kudłatą głowę zwierzątka. - Czy nie powinien teraz spać zimowym snem?

Oczy Eddie zabłyśły. Nikt inny nie okazał Harveyowi tyle zainteresowania.

- On nie zapada w zimowy sen - oświadczyła.

- Pytam, bo większość nietoperzy hibernuje, ale najwyraźniej twój rękaw jest tak ciepłym i przytulnym schronieniem, że Harvey woli cieszyć się nim na jawie. Czym go karmisz?

- W lecie sam poluje na muchy i inne insekty, a teraz dam mu jagody i chleb.

- Podaj mu trochę mięsa z ryby - zasugerował Harry. - Nietoperze uwielbiają ryby.

- Och na pewno spróbuję! - Eddie uśmiechnęła się szeroko z wdzięcznością. Harry usiadł na sofie i zaśmiał się cicho, kiedy Eddie zerwała z fotela i przysiadła się do niego tak blisko, że połowa kanapy pozostała wolna.

- Nie uduś naszego biednego gościa - rzucił z rozbawieniem Humphrey. - Obawiam się, że właśnie zyskał pan nową przyjaciółkę, a raczej dwoje przyjaciół!

- Nietoperze to naprawdę fascynujące stworzenia, jedyne ssaki które umieją latać. Są też bliżej spokrewnione z człowiekiem niż na przykład myszy. Proszę spojrzeć na ich łapki - mają cztery palce i kciuk, przedramiona, łokcie i ramiona... - Harry odwrócił się do Eddie. - Ich naukowa nazwa to Chiroptera, czyli „skrzydlata ręka”. Właśnie dzięki nietoperzom dochodzi do zapylenia kwitnących nocą kwiatów i to właśnie one regulują liczbę insektów, są pod tym względem genialne. Zawsze bardzo je lubiłem.

Eddie wpatrywała się w Harry'ego jak w obraz.

- Moja ciotka Antoinette nienawidzi Harveya - wyznała. - Było mu strasznie przykro, kiedy zagroziła, że wrzuci go do stawu...

Harry delikatnie poklepał ją po ramieniu.

- Musisz jej wybaczyć, na pewno po prostu trochę się go przestraszyła. Nie zna go tak dobrze jak ty, prawda?

W tej chwili na zewnątrz rozległ się dźwięk klaksonu. Hanna zerknęła na zegarek. Najwyższy czas, pomyślała z irytacją. Wszyscy spojrzeli na drzwi z uczuciem dziwnego oczekiwania.

- To moja druga córka, Maddie - Hanna uśmiechnęła się do Harry'ego. - Już wcześniej umówiła się, że spędzi przedpołudnie z przyjacielem...

Humphrey znacząco uniósł brwi. On także nie lubił Bertiego, chociaż musiał przyznać, że ten chłopak i Maddie mają ze sobą dużo wspólnego.

Maddie szybkim krokiem weszła do domu, nachmurzona i zła, ponieważ wolałaby pojechać na lunch do Exeter. Stała w progu salonu z założonymi na piersi rękami.

- Przepraszam za spóźnienie... - odezwała się niechętnie.

- Nie szkodzi, skarbie - powiedział Humphrey. - Poznaj Harry'ego Weavera, eksperta od nietoperzy...

- Nie eksperta, może zaledwie znawcę - odparł Harry, wstając, aby przywitać się z Maddie.

Był wysoki i chudy jak Trees, lecz trochę przygarbiony, jakby nie czuł się dobrze z tym wzrostem. Maddie patrzyła na niego z zaciekawieniem. Ku wielkiemu zażenowaniu dziewczyny, na policzki wypełził jej ciemny rumieniec, a serce zaczęło bić mocniej i szybciej. Potrząsnęła jego dłonią, miękką i ciepłą jak świeże ciasto, i uświadomiła sobie, że kąci jej ust jakby bez jej woli unoszą się w zupełnie nietypowym dla niej uśmiechu. Łagodne oczy Harry'ego spoczęły na jej perfekcyjnie umalowanej twarzy i ufarbowanych na rudo włosach. Podobnie jak Maddie, Harry także poczuł siłę przyciągania, wibrującą jak struna skrzypiec, i z lekkim uśmiechem powoli pokręcił głową, zaskoczony niespodziewanym urokiem tej młodej kobiety. Maddie zamrugła niepewnie, odwróciła się i podeszła do krzesła, bo nagle przestraszyła się, że drżące nogi nie utrzymają jej ciężaru. Wszyscy obecni poczuli, że atmosfera w pokoju dziwnie się zmieniła, i podświadomie usłyszeli melodię miłości, która w ułamku sekundy wypełniła cały dom, lecz nikt nie był bardziej zaskoczony od Maddie. Podniosła oczy, aby znowu spojrzeć na Harry'ego, i z zażenowaniem zorientowała się, że on wciąż patrzy na nią z takim wyrazem oczu, jakby miał przed sobą niezwykle rzadkiego, zachwycającego ptaka.

Rozdział czternasty

George jechał przez równinę, mrużąc oczy w słońcu i usiłując nie wdychać kurzu, wzbijanego przez galopującego przed nim konia Jose Antonia. Nie mógł przestać myśleć o Susan. Co za dziwny zbieg okoliczności, myślał. Czy to możliwe, że za sprawą kaprysu losu ich drogi znowu się przetną? Ujrzał przed sobą jej twarz, ale tym razem nie odsunął jej w głąb podświadomości, lecz pozwolił sobie delektować się jej widokiem. Miał nadzieję, że właściwie zrozumiał wuja i Agatha rzeczywiście przywiozła z Buenos Aires właśnie Susan, nie jakąś inną kobietę.

Popołudnie ciągnęło się bez końca, a George był zbyt roztargniony, aby dobrze pracować. Gauczowie otwarcie pokpiwali z niego, pewni, że to kobieta kryje się za jego zamyśleniem. Gestykulowali żywo, sugerując najróżniejsze akty seksualne, potem zaś rechotali głośno, z rozbawieniem trącając się łokciami. George był przystojnym mężczyzną i wydawało im się nie do pomyślenia, że nie korzysta z usług dziwki z Jesus Maria. W końcu Jose Antonio zwolnił go z obowiązków do końca dnia.

- Wracaj do domu i dotrzyмай towarzystwa kobietom. -
Uśmiechnął się do siostrzeńca żony. - Widzę, że słońce przepaliło ci mózg...

George zaprotestował. Nie chciał, żeby gauczowie uznali go za słabeusza.

- Jestem trochę zmęczony, ale nic mi nie jest - powiedział. Gdyby wiedzieli, z czym musiał radzić sobie w czasie bitwy o Anglię! Wuj klepnął go w plecy i mrugnął do niego porozumiewawczo.

- Nie mam dziś dla ciebie nic więcej do roboty, gringo. La Gorda z przyjemnością opowie ci, jak spędziła czas w Buenos. Napij się herbaty, popływaj w basenie, odpocznij. Daję ci wolne popołudnie, zasłużyłeś na nie.

George wiedział, że wcale nie zasłużył na czas wolny, ale spełnił polecenie wuja. Nauczył się już, że z Jose Antoniem nie należy dyskutować.

Zawrócił konia i pogalopował w kierunku puesto. Na miejscu rozsiodłał zwierzę, starannie wytarł je szorstką derką, uwiązał w cieniu i napił. Nogi mu drżały, zupełnie jakby pożyczył je od kogoś innego i dopiero uczył się nimi posługiwać. Kiedy niepewnym krokiem szedł do domu, modlił się w duchu, żeby kobietą, która

przyjechała do Las Dos Vizcachas, okazała się Susan, nie jakaś obca osoba.

Po paru chwilach ujrzał przed sobą dom i werandę, na której dwie kobiety piły herbatę. Tą, która siedziała na wprost, była jego ciotka - bez trudu rozpoznał ją po charakterystycznie krepłej sylwetce. Agatha siedziała nieco pochylona, opierając na brzegu stołu ręce i obfity biust. Jej towarzyszka, zwrócona bokiem w kierunku George' miała bardzo jasne, błyszczące włosy zwinięte w kok na karku i długą, smukłą szyję. Szczupłymi palcami odsunęła niewielki lok za ucho i z roztargnieniem musnęła skórę. Serce George'a na moment przestało bić. To była Susan, tak, na pewno... Kiedy zbliżył się jeszcze bardziej, zobaczył, że ma na sobie białą sukienkę w niebieskie kwiatki, i był przekonany, że czuje w powietrzu zapach konwalii, niesiony przez ciepły wiatr. Zastanawiał się, czy nie powinien się przebrać, był przecież spocony, zakurzony i brudny po pracy, lecz zanim się zdecydował, Agatha dostrzegła go i pomachała do niego. Teraz nie miał już wyjścia - musiał przywitać się z ciotką i jej gościem.

Susan odwróciła się z lekkim uśmiechem i oficjalnym gestem podała mu rękę.

- Dzień dobry - powiedziała uprzejmie. - Miło mi pana poznać. Pańska ciotka dużo mi o panu opowiadała...

George zrozumiał, że Susan udaje, iż wcale się nie znają. Ujął jej dłoń i przytrzymał odrobinę dłużej niż należało. Patrzył w jasne oczy, starając się odgadnąć jej zamiary, lecz ona szybko odwróciła wzrok.

- Najwyraźniej pani siostrzeniec czuje się tu jak w domu - odezwała się do Agathy. - Śmiało można wziąć go za gacza... - Mój mąż podziwia jego pracowitość i solidność. Mówi, że George szybko się uczy i ma poczucie humoru, a taka pochwała z jego ust to naprawdę rzadkość. Jose Antonio jest człowiekiem, którego niełatwo zadowolić. George nagle zirytował się, że kobiety rozmawiają o nim jak o nieobecny. Czuł się nieswojo, stojąc tak przed nimi i poddając się ocenie. Podniecenie minęło, ustępując miejsca bolesnemu rozczarowaniu.

- Jak minęła podróż, ciociu Agatho? - zapytał spokojnie, jakby Susan nie miała dla niego najmniejszego znaczenia.

- Nie uwierzysz, jak bardzo zmieniła się Dolores! Z dnia na dzień stała się łagodną istotą o pogodnym nastawieniu do świata.

I nawet się uśmiecha, coś niesamowitego! Mieszkam tu już prawie piętnaście lat, a nigdy nie widziałam jej uśmiechniętej.

- Może stara się nadrobić zaległości - zauważyła Susan.

- Może, zwłaszcza że sporo ma do nadrobienia! - Agatha parsknęła śmiechem. - Znalazłam Susan wędnącą w upale Buenos Aires i przyszło mi do głowy, że może miałyby ochotę spędzić z nami święta Bożego Narodzenia. Im więcej osób w domu, tym weselej, nieprawdaż?

- W grudniu Buenos Aires wydaje się nie do zniesienia - przytaknęła Susan. - A tutaj jest po prostu pięknie...

George pomyślał, że Susan stara się omijać go wzrokiem. Co jakiś czas jej oczy zatrzymywały się na nim na sekundę, lecz działa się to chyba wbrew jej woli.

- George uczy się hiszpańskiego - powiedziała Agatha. - Robi o wiele szybsze postępy niż sądziłam...

- Entuzjazm to najlepsza motywacja - uśmiechnęła się Susan. - I chyba jeździ jak gauczo...

- Myślę, że nawet kastruje jak gauczo! - prychnęła Agatha. George zacisnął zęby i włożył kapelusz. Miał dosyć tej rozmowy.

- Przepraszam, ale muszę się umyć i jeszcze przebrać - rzucił niedbale.

Jego oczy jeszcze raz spoczęły na twarzy Susan. Uśmiechnęła się do niego, lecz jej uśmiech był tak obcy i odległy, jakby zupełnie zapomniała, co łączyło ich na pokładzie „Fortuny”.

- Wykap się w basenie, mój drogi - poradziła Agatha. - A potem przyjdź i wypij z nami herbatkę.

George zamknął drzwi swojego pokoju i oparł się o ścianę, oddychając szybko i głośno jak rozwścieczony buhaj. Znowu potraktowała go jak chłopca... Doprowadzała go do szaleństwa... Gdyby byli sami, bez wahania zapytałby ją, co robi w Las Dos Vizcachas, czy przyjechała ze względu na niego, czy z jakiegoś innego powodu... Ani przez chwilę nie wierzył, że ją także zaskoczył dziwny zbieg okoliczności, o nie! Wiedziała, że on tu jest, i czekała na jego pojawienie się, poznał to po jej reakcji. Była tak samo chłodna i obojętna jak wtedy, gdy po raz pierwszy spotkali się na pokładzie statku.

Zrzucił na podłogę zakurzoną koszulę i spodnie, Agustina miała je wieczorem zabrać do prania. Owinął się w pasie ręcznikiem,

chwycił paczkę papierosów i tylnymi drzwiami wyszedł nad basen. Był tak wściekły, że nie słyszał dźwięcznego nawoływania ptaków, nie widział jasnych plam słonecznego blasku, tańczących u jego stóp na trawie, i nie czuł oszałamiającego zapachu gardenii. Tuż nad brzegiem basenu rozwiązał ręcznik i chwilę stał nieruchomo, wpatrzony w lekko falującą wodę. Popołudniowe słońce grzało jego skórę, teraz brunatną jak u gauczów, i podkreślało grę świeżo uformowanych mięśni. Postanowił pokazać Susan, że jest mężczyzną, nie chłopaczkiem.

Nagi rzucił się do niosącej cudowną ochłodę wody, która szybko obmyła go nie tylko z kurzu, ale także ze złości. Energicznie pokonał kilkanaście długości basenu, potem zaś wsparł łokcie o krawędź i utkwiał wzrok w parku. Nie miał ochoty wracać na werandę, czuł, że w obecności ciotki nie będzie w stanie porozmawiać z Susan. Nie zamierzał udawać, że się nie znają. Doszedł do wniosku, że spędzi wieczór nad basenem i w ogóle zrezygnuje z podwieczorku. Może później będzie miał więcej szczęścia i zdoła zamienić z nią parę słów przed kolacją.

Odepchnął się od brzegu i znowu zaczął pływać, to na plecach, to czałkiem, pod wodą i żabką. Był świetnym pływakiem, głównie dzięki niezliczonym letnim wieczorom, jakie spędził w morzu. W końcu, zupełnie wyczerpany, znowu oparł się na krawędzi basenu i podniósł wzrok. Drgnął zaskoczony - Susan siedziała na niewielkiej ławce i cierpliwie go obserwowała. Uśmiech, który mu posłała, był ciepły i pełen uczucia. George powoli podpłynął i zatrzymał się tuż przed nią.

- Jak długo tu jesteś? - zapytał.

- Od pewnego czasu - odparła z rozbawieniem. - Wiedziałam, że jesteś dobrym pływakiem. Dobrze zrobiłam, że nie powierzyłam ci swoich sekretów, teraz sam widzisz...

- Co zrobiłaś z ciotką Agathą?

- Dolores ją zawołała, więc pomyślałam, że trochę się przejdę, i wtedy usłyszałam, jak chlapiasz się w basenie.

- Doskonale. - George rzucił jej uśmiech, unosząc nieco wyżej prawy kącik ust, ten sam uśmiech, który co noc prześladował ją we snach, odkąd opuściła „Fortunę”. - Podaż mi ręcznik?

Podniosła się i spełniła jego prośbę. Kiedy nagi wspinał się po schodkach, nie mogła oderwać oczu od jego ciała. Skórę miał brązowozłocistą i był zbudowany jak grecki heros, tak jak

przypuszczała. Wziął ręcznik i owinał się nim w pasie, potem zaś odgarnął z czoła skrócone włosy.

Usiedli na ławce. George zapalił i podsunął Susan paczkę, lecz odmówiła.

- Chyba powinnam ci coś wyjaśnić... - zaczęła.

- Chyba tak - mruknął.

Przechyliła głowę i lekko zmarszczyła brwi.

- Przepraszam, że potraktowałam cię tak chłodno i obojętnie. Byłam zdenerwowana...

George zerknął na nią z niedowierzaniem. Zawsze wydawała się taka opanowana i spokojna...

- Poznałam twoją ciotkę na przyjęciu. Zaczęła opowiadać mi o tobie, a wtedy wykorzystałam okazję i wyreżyserowałam całą tę sytuację. - Odwróciła się i popatrzyła na niego tymi samymi smutnymi oczami, którymi tak często wpatrywała się w ocean. - Od naszego rozstania nie mogłam przestać o tobie myśleć... - dodała cicho.

Serce George'a zabiło mocniej z radości. Przeszedł go dreszcz podniecenia.

- Ja także wciąż o tobie myślałem - odparł. - Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś cię zobaczę.

Susan zaśmiała się i dotknęła jego ramienia.

- Najwyraźniej los postanowił wziąć sprawę w swoje ręce. George przykrył jej dłoń swoją i lekko ścisnął.

- Bardzo się cieszę, że tu jesteś.

Rozluźniła się, jakby pod wpływem ulgi. Zdziwił się, że potrzebowała potwierdzenia jego uczuć.

- Wydaje mi się, że twoja ciotka poczuła litość na widok mojej twarzy - rzekła. - Nie sądziłam, że ta blizna może mieć również i dobre strony...

- Lubię twoją bliznę, ponieważ stanowi część ciebie. - George patrzył, jak Susan podnosi dłoń i ostrożnie przesuwając palcami po policzku. - W moich oczach dzięki niej jesteś jeszcze piękniejsza...

Odwróciła wzrok i zamrugła niepewnie.

- Szczęśliwi ludzie noszą swoje blizny wewnątrz - westchnęła. - Tak czy inaczej, zawdzięczam jej, że jestem tu z tobą, a to niemało.

- Mamy udawać przed Agathą i Jose Antoniem, że się nie znamy? - zapytał po chwili.

Zaczerwieniła się.

- Zdaję sobie sprawę, że to absurd, ale nie wiedziałam, co robić. Zanim twoja ciotka zaprosiła mnie tutaj, udawałam, że cię nie znam, a potem było już za późno, żeby wyznać prawdę. Poza tym, gdybym powiedziała jej wcześniej, że spotkaliśmy się na pokładzie „Fortuny”, może zaczęłyby podejrzewać, że kierują mną niejasne motywy, i w ogóle by mnie nie zaprosiła, kto wie...

- Jesteś dobrą aktorką, grasz znacznie lepiej niż ja. - George się uśmiechnął.

- Tylko wtedy, gdy od tego zależy moja przyszłość.

Długą chwilę przyglądał się jej poważnie. Gdy odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy, ogarnęła go chęć, aby pogłaskać jej bliznę, lecz w tej samej chwili czar prysł i od strony domu dobiegł ich głęboki, donośny głos Agathy.

- George! Susan! Herbata wam stygnie!

Podnieśli się szybko. George zgasił papierosa w trawie i rzucił niedopałek w krzaki.

- Akt pierwszy, scena pierwsza - odezwał się wesoło, biorąc Susan za rękę.

Poszli w kierunku domu, lecz George, opanowany nagłym zniecierpliwieniem, w pewnej chwili wciągnął Susan między drzewa i namiętnie ją pocałował. Zachichotała jak młoda dziewczyna i otoczyła jego szyję ramionami, przywierając do niego całym ciałem. Odwzajemniła jego pocałunek bez cienia wahania.

- To musi mi na razie wystarczyć, ale nie sądzę, żebym wytrzymał dłużej niż godzinę! - George delikatnie pogładził jej miękki policzek.

Oparła dłoń o jego pierś i popatrzyła na niego oczami, z których zniknął smutek.

George wziął szybką kąpiel i przebrał się w czyste rzeczy, uprane i wyprasowane przez Agustinę. Kiedy wyszedł na taras, Susan już tam była, zajęta rozmową z Jose Antoniem, Agathą i dwójkiem dzieci, które niedawno wróciły ze szkoły.

- Poznałeś już Susan, gringo? - zapytał Jose Antonio.

Susan siedziała obok niego, podobna do drobnego ptaka, usadowionego w cieniu potężnego niedźwiedzia.

- Tak, już się poznaliśmy - odezwała się Susan, zwracając na George'a spojrzenie pełne roztańczonych iskierek. - Znalazłam go nad basenem...

- Mam nadzieję, że miałeś coś na sobie, mój drogi - wtrąciła Agatha. - George chętnie wskakuje nago do basenu, podobnie jak Jose Antonio, i nie przejmuje się, że czasami muszę się rumienić.

- Tym razem był całkowicie ubrany, nie martw się - powiedziała Susan, podnosząc filiżankę i pociągając łyk herbaty.

- Więc co sprowadza cię do Argentyny? - Jose Antonio ukroił sobie spory kawałek sera, który położył na krakersie. - W Ameryce nie ma przecież wojny...

- Wojnę spędziłam w Anglii - odparła spokojnie Susan. - Mieszkałam tam jako dziecko, a potem wróciłam. Mój ojciec był dyplomata.

- Jak długo zamierzasz zostać w naszym kraju?

- Nie wiem. Nie mam żadnych planów.

Jose Antonio zmarszczył brwi. Ta kobieta miała w sobie coś bardzo tajemniczego. Odpowiadała krótko, tonem, który sugerował, że nie ma ochoty mówić o sobie. Dałby wiele, żeby dowiedzieć się, skąd ma tę straszną bliznę, ale zadanie takiego pytania wprost byłoby bardzo nieuprzejme. Postanowił, że później skłoni Agathę, aby zdobyła tę informację w bardziej dyskretny sposób.

- Susan dusiła się w mieście - powiedziała Agatha. - Pomyślałam, że pobyt na świeżym powietrzu dobrze jej zrobi. Nie ma to jak życie na wsi. Możesz zabrać ją na przejażdżkę konną albo do Jesus Maria, George. Jeśli interesują cię stare kolonialne kościoły, moja droga, to tutaj na pewno nie będziesz się nudzić - kiedyś w tym regionie działali jezuici i pozostawili po sobie naprawdę ciekawe dziedzictwo.

- Och, wiem! - Susan z wyraźną ulgą przyjęła zmianę tematu rozmowy. - Mój ojciec bardzo interesował się historią i przywiózł nas do Argentyny, kiedy byliśmy dziećmi. Odwiedziliśmy wtedy Santa Catalina, Las Teresas, Alta Gracia, Colonia Caroya, Estancia La Candelaria... Z przyjemnością zobaczę te miejscowości jeszcze raz, bo niewiele pamiętam z tamtej wizyty - odwróciła się do Jose Antonia. - Będziesz mógł odstąpić mi na trochę George'a?

Jose Antonio odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Wydaje mi się, że gauczowie jakoś sobie bez niego poradzą! - Mrugnął do George'a. - Jak myślisz, gringo?

- Sam chętnie zobaczę te kolonie. Od przyjazdu nie miałem jeszcze czasu na zwiedzanie.

- Od razu zaprzagłem cię do ciężkiej pracy, co?
- Koniecznie powinniście zobaczyć sierzę - podsunęła Agatha.
- Hay pumas en las sierras - rzekł Tonito, zginając palce, aby przypominały uzbrojone w groźne pazury łapy, i złowrogo pomrukując.

- Nawet jeżeli spotkamy pumę, George obroni mnie przed nią - odpowiedziała Susan doskonałym hiszpańskim.

George spojrział na nią z podziwem.

- Lepiej popracuj nad swoim hiszpańskim, gringo. - Jose Antonio parsknął śmiechem. - Susan mówi bez cienia akcentu. - Mam nad nim pewną przewagę - zauważyła taktownie Susan. - Przez wiele lat podróżowałam po całym świecie. - Więc może znasz też włoski i francuski? - Agatha nie kryła zdumienia. Susan skinęła głową. - Ależ z ciebie szczęściara... - Agatha pokiwała głową. - No, powinnam chyba zajrzeć do Dolores, sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuje. Chodź ze mną, Jose Antonio, dobrze?

- Jeżeli zaczniesz na mnie wrzeszczeć, natychmiast odeślę ją do Buenos Aires - burknął Jose Antonio, wchodząc z żoną do domu.

Kiedy znaleźli się wewnątrz, ujął Agathę za ramię i obejrzał się, chcąc się upewnić, czy są sami.

- Skąd ma tę bliznę na twarzy, do diabła? - syknął po hiszpańsku.

Agatha pokręciła głową.

- Nie chciała mi powiedzieć.

- Ale pytałaś, tak?

- Oczywiście! Myślisz, że nie jestem ciekawa? Wyglądała na bardzo smutną, więc zrobiło mi się jej żal. Była całkiem sama w Buenos Aires. Polubiłam ją. Przez całą drogę rozmawiałyśmy, ale nic z niej nie wydusiłam, chociaż naprawdę się starałam.

- Była zameżna?

- Dlaczego tak sądzisz? - Agatha z zaciekawieniem spojrziała na męża.

- Z jej oczu można wyczytać, że została zraniona.

- Chyba nie była mężatką - odparła Agatha. - Nie nosi obrączki...

- To nic nie znaczy. Dlaczego przyjechała tutaj sama? Nie wydaje ci się to dziwne?

- Wcale nie, jeśli była tu jako dziecko. Poza tym jest niezależną kobietą o silnym charakterze, jak wiele Amerykanek. Ma pieniądze i raczej nie potrzebuje opieki.

Jose Antonio zmrużył oczy.

- Nie daj się zwieść pozorom. Cicha woda brzegi rwie...

- Może masz rację, ale ona nie chce mówić o przeszłości.

- Założyłbym się o połowę naszego majątku, że zrobił jej to mężczyzna. Wcześniej przyszło mi do głowy, że może rzuciło się na nią jakieś dzikie zwierzę, na przykład lew, ale teraz stawiam na mężczyznę.

Agatha zaśmiała się cicho.

- Najprawdopodobniej nigdy się nie dowiemy, co ją spotkało - westchnęła. - Straszna szkoda... To piękna kobieta, w dodatku jeszcze młoda. Powinna mieć męża i małe dzieci.

- Jeżeli szuka męża, to źle wybrała cel podróży. Jaki Argentyńczyk ożeniłby się z kobietą z taką twarzą?

- Niech cię diabli wezmą! - syknęła Agatha, oburzona i poruszona do żywego.

W głębi duszy musiała jednak przyznać mężowi rację. Wszyscy Argentyńczycy, których знаła, mieli obsesję na punkcie kobiecej urody i fizycznej doskonałości.

- Może wcale nie szuka męża... - mruknęła.

- Sama nie wierzysz w to, co mówisz, Gorda. Każda kobieta chce wyjść za mąż.

Agatha pokręciła głową, odwróciła się i ruszyła w kierunku schodów. Poszli do pokoju Dolores, która siedziała na łóżku ubrana w jasnoróżową koszulę nocną, obsługiwana przez Carlosa i Agustinę. Na widok Jose Antonia uśmiechnęła się nieśmiało, zupełnie jak młoda dziewczyna, która pragnie kogoś oczarować.

- Niech Bóg obdarzy pana swoim błogosławieństwem - przemówiła aksamitnym głosem.

- Cieszę się, że znowu dobrze się czujesz - odparł uprzejmie Jose Antonio.

Zauważył, że rozpuściła siwiejące włosy na ramiona. Wyglądała dość groteskowo w różowych falbankach, z koronkowym kołnierzykiem pod pomarszczoną szyją. Posłała mu bezzębny, pełen wdzięczności i czułości uśmiech.

- Pamiętam pana jako małego chłopca... - zaczęła. Agatha spojrzała na męża i lekko uniosła brwi.

- Był pan słodkim, kochanym maleństwem, nic nie zapowiadało, że wyrośnie pan na takiego potężnego mężczyznę. Pański ojciec musi być z pana bardzo dumny.

Jose Antonio nie chciał przypominać starej służącej, że jego ojciec uciekł z młodą dziewczyną i zamieszkał z nią na południu kraju, w Patagonii. - On także zająłby się mną jak własną krewną, niech mu Bóg błogosławi...

- Niczego nie potrzebujesz? - zapytał Jose Antonio, powoli wycofując się w kierunku drzwi.

- Pani jest dla mnie bardzo dobra, chociaż to kobieta o mocnym charakterze. Wiedziałam to od początku, od dnia, kiedy zaprosił ją pan do Las Dos Vizcachas, żeby poznała pańską rodzinę... - Dolores westchnęła ze wzruszeniem. - Jej także niech Bóg błogosławi... - Uśmiechnęła się przez łzy. - Mama i Ernesto czuwają nade mną, senior. Jestem tego pewna, bo gdyby nie ich ostrzeżenie, byłabym już na tamtym świecie. Jak byście sobie beze mnie poradzili, pan i senora? Bogu niech będą dzięki...

- Bogu niech będą dzięki - powtórzył Jose Antonio. Wymknął się z pokoju i szybko zbiegł na dół. Miał dosyć rozmowy z Dolores.

Kolację zjedli na dziedzińcu, pod czerwonym drzewem. Jedzenie nie było tak dobre jak to, które zwykle przygotowywała Dolores, lecz Jose Antonio miał poważne wątpliwości, czy powinien nadal ją zatrudniać.

- Zupełnie zwariowała. - Potrząsnął głową. - Wcześniej można było się z nią łatwiej dogadać...

- Ale przynajmniej nie snuje się po domu w żałobnej czerni - zauważyła Agatha.

- Nie, bo teraz ubiera się na różowo, co u kobiety w tym wieku jest po prostu okropne! - Jose Antonio skrzywił się z niesmakiem. - Musimy spojrzeć prawdzie prosto w oczy, Gorda, Dolores to wiedźma, która nagle odkryła swoją zasuszoną kobiecość, lecz nie rozumie, że jest już za późno, aby ją ożywić!

Parsknął śmiechem, ubawiony własnym dowcipem. Myśl o „zasuszonej kobiecości” Dolores skutecznie pozbawiła George'a apetytu.

Dopiero znacznie później, kiedy Pia i Tonito oraz ich rodzice udali się na spoczynek, miał szansę porozmawiać z Susan sam na sam.

Usiedli na szerokiej huśtawce na werandzie, trzymając się za ręce i obserwując, jak płomień świecy pod kloszem przyciąga ćmy i muchy. Park rozbrzmiewał łagodnym graniem cykad, a równinę i wzgórze oświetlał duży, jasny księżyc. Popijali wino, George palił papierosa. Oboje czuli, że ta noc jest pełna magii, i cieszyli się, że mogą ją przeżyć razem. Na pewien czas zapomnieli o swojej przeszłości i patrzyli sobie głęboko w oczy.

- Mam trzydzieści lat - odezwała się Susan. - Miałam prawo nazwać cię chłopcem.

George wypuścił z ust obłoczek szarego dymu.

- Nie wyglądasz na trzydzieści lat - powiedział szczerze.

- Zanim cię spotkałam, czułam się jak czterdziestolatka.

- Jakie znaczenie ma wiek? Niedawno skończyłem dwadzieścia trzy lata i nikt nawet tego nie zauważył.

- Tak to już jest, kiedy podróżujesz i spędzasz dużo czasu poza domem. Twoi bliscy powoli zapominają o tobie...

George pomyślał nagle o Ricie. Miał nadzieję, że ona nie zdoła o nim zapomnieć, więcej, był o tym głęboko przekonany. Pośpiesznie odepchnął wspomnienie, nie chcąc, aby zakłóciło cudowne chwile z Susan.

- Kiedy masz urodziny? - zapytał.

- Dwudziestego czwartego marca - zaśmiała się cicho. - Jestem Baranem.

- Co to znaczy?

- Nie wiem, nie interesuję się astrologią. Mogę powiedzieć ci, kim jestem, bez zaglądania w gwiazdy.

- Więc kim jesteś?

- Kobieta, która zakochała się w tobie. Kobieta, która kocha cię mocno, całym sercem.

George drgnął, zaskoczony jej bezpośredniością. Na statku była bardzo ostrożna, lecz teraz mówiła szczerze i otwarcie. Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Marzyłem, że usłyszę, jak wypowiesz te słowa, ale uważałem, że to marzenie nigdy się nie spełni. Co się zmieniło?

Chwilę siedziała w milczeniu, zastanawiając się, jak odpowiedzieć na to pytanie. George pragnął zapytać ją o bliźnę - wiedział, że jest czymś więcej niż tylko znakiem gwałtownego czynu,

który pozostał na skórze, zdawał sobie jednak także sprawę, że Susan zaspokoi jego ciekawość, kiedy będzie na to gotowa, nie wcześniej.

- Byłam zagubiona - odparła ostrożnie. - Nie spodziewałam się, że zakocham się w tobie. Na statku wołałam być sama, potrzebowałam samotności. I wtedy zjawiłeś się ty...

George musnął wargami jej skroń, wdychając zapach jej włosów.

- Ja także nie spodziewałem się, że zakocham się w tobie - powiedział. Wciąż nie mógł uwierzyć, że trzyma ją w ramionach, nie mógł nacieszyć się jej bliskością. - I także potrzebowałem samotności. Dlatego wyruszyłem w podróż do Argentyny...

- Skomplikowaliśmy sobie nawzajem życie, prawda?

- Nie, uprościliśmy i wzbogaciliśmy. Nie jesteś już taka smutna jak wcześniej.

- Dopiero po zejściu ze statku uświadomiłam sobie, że spotkałam kogoś wyjątkowego, ale wtedy było już za późno. Sądziłam, że straciłam cię na zawsze, lecz los podarował mi drugą szansę. Nie chcę jej zmarnować.

- Nie zmarnujesz, kochanie, nie pozwolę ci na to... Pocałował ją czule, łagodnie. Wiedział, że ktoś bardzo ją zranił, i nie chciał, by się przestraszyła. Po chwili odsunął się i ujął jej twarz między dłonie. Zajrzał w oczy, szukając w nich ukrytej prawdy. Źrenice Susan lśniły w blasku świecy, podobne do nieprzeniknionych powierzchni z ciemnego szkła. Ściągnął brwi, niepewny, co robić, i powoli wyciągnął rękę ku jej bliźnie. W pierwszej chwili się skrzywiła. Nikt nie dotykał jej twarzy od dnia, kiedy lekarze zszyli policzek. W oczach pojawił się lęk, gwałtownie cofnęła się, zupełnie jak przestraszony łąbedź, lecz George powoli potrząsnął głową i uśmiechnął się łagodnie, ze Współczuciem i zrozumieniem. Susan znieruchomiała i pozwoliła, aby jego palce delikatnie przesunęły się po nierównej powierzchni rany, która zagoiła się tylko z zewnątrz. Skóra policzka była gładka i miękka, ale przeorana obcą tkanką blizny. George zbliżył jej twarz do swojej i pocałował zraniony policzek, czując na wargach słony smak łez, którymi Susan zmywała skrywane prawie przez dwa lata emocje.

- Kto ci to zrobił? - wyszeptał, tuląc ją do piersi. - Co za drań zrobił ci taką krzywdę?

Lecz Susan nie była w stanie odpowiedzieć na jego pytanie Jeszcze nie teraz.

Rozdział piętnasty

Susan leżała w łóżku, wpatrzona w ciemność. Dookoła panowała zupełna cisza, tylko czasem w ogrodzie odzywały się cykady lub gdzieś w oddali zaszczekał pies. Pokój pachniał kwiatami gardenii i świeżo ściętą trawą, aromatami, które od dzieciństwa kojarzyły się jej z Argentyną. Pościel była gładka i miękka, łóżko wygodne, a ciemność spokojna i kojąca. Mrok stał się najlepszym przyjacielem Susan - od chwili, gdy blizna naznaczyła jej twarz, szukała w nim schronienia przed spojrzzeniami ludzi. Wiedziała, że w pokoju obok śpi George, i co jakiś czas wyteżęła słuch, by wychwycić jakiś odgłos, który potwierdziłby jego obecność za ścianą, ciche trzaśnięcie drzwiami, skrzypienie podłogi, szmer wody w łazience, cokolwiek, lecz ściany w Las Dos Vizcachas były grube i solidne. Pragnęła wejść do łóżka razem z George'em i otulić się jego siłą i pewnością siebie; świetnie zdawała sobie sprawę, że jedyną metodą na przecięcie mocnych więzów, łączących ją z przeszłością, jest stworzenie nowych wspomnień, utkanych z miłości. Kochała George'a. Kochała go od chwili, gdy zeszła z pokładu "Fortuny" ze świadomością, że pozwoliła, aby jej trudne doświadczenia oddzieliły ją od kogoś wyjątkowego, ale nie zaufała temu uczuciu. Jak mogłaby teraz położyć ufność w czyimś uczuciu, uwierzyć, że ktoś ją pokocha...

Coś poruszyło się w niej na wspomnienie tej chwili, kiedy George dotknął blizny. Przyłożyła dłoń do twarzy i przesunęła palcami po bliźnie, usiłując przekonać samą siebie, że wcale nie jest taka przerażająco duża i groteskowa, że George naprawdę musnął ją wargami. To była niezwykła chwila, nagłe wyjście na słońce po wielu miesiącach ukrywania się wśród cieni. Dobrze zrobiła, że tu przyjechała. I że mu zaufała.

Chcąc uciec przed niedawną przeszłością, wróciła myślami do dzieciństwa. Kiedy się skoncentrowała, wciąż czuła zapach matki, słodki jak zapach leśnych dzwonek na wiosnę. Pamiętała poczucie absolutnego bezpieczeństwa, gdy matka obejmowała ją i mocno przytulała do siebie, ze wszystkich stron otaczając swoją miłością. Już jako dziecko Susan przywykła do podziwu, więcej, do adoracji. Była piękna, bez skazy, wspaniała. Olśniewała ludzi na całym świecie, na przyjęciach w Waszyngtonie i na wyścigach w Paryżu, wszyscy składali hołd jej urodzie. Niewykluczone, że z czasem stała się zbyt arogancka i że blizna była karą za narcyzm. Teraz przywykła już do

pełnych ciekawości i litości spojrzeń, do komentarzy, szeptanych za jej plecami, i do małych dzieci, które wytykały ją palcami i śmiały się z niej.

Nie miała pojęcia, dlaczego to ona przykuła uwagę George'a, a nie blizna. Dlaczego pocałował ją w zeszpecony policzek, podczas gdy tyłu mężczyzn odwracało się z przerażeniem... Powoli zapadła w spokojny sen, pierwszy od wielu miesięcy. Kiedy się obudziła, niebo było bezchmurne, promieniejące jasnością.

George siedział już na werandzie i jadł śniadanie z Agathą i dziećmi. Jose Antonio wstał wcześniej, żeby wyjechać w pole razem z gauczami. Jose Antonio lubił pracować, czuć pod sobą siodło i galopować po równinie, zaganiając stada krów. Słońce spaliło jego skórę na ciemny brąz, dłonie stały się szorstkie i pokryte odciskami, ale był szczęśliwy, bo stanowił część należącej do niego ziemi i sam do niej należał. Gdyby nie był właścicielem ziemskim, równie szczęśliwy byłby jako zwykły gaucho. Umiał nawet grać na gitarze jak gauchowie, lecz Agatha nie znosiła, gdy śpiewał, i mówiła, że jego głos brzmi jak porykiwanie zarzynanego buhaja.

Na widok Susan twarz George'a rozpromieniła się w uśmiechu. Miała na sobie beżowe spodnie i białą koszulową bluzkę z krótkimi rękawami, rozpiętą pod szyją. Wyglądała na wypoczętą i zadowoloną z życia.

- Jak spałaś, Susan? - zapytała Agatha, która chlubiła się, że jej pokoje gościnne są najwygodniejsze w całej Argentynie.

Susan uśmiechnęła się i usiadła obok George'a.

- Doskonale, dziękuję, na pewno dlatego, że umieściłaś mnie w takim pięknym pokoju - odparła i odwróciła głowę, aby spojrzeć na George'a.

Jego oczy zabłyśły. Oboje cieszyli się wspólną tajemnicą. Dzieci wyczuwały wibracje nastrojów między gośćmi i zasłaniały rękami rozchichotane buzie.

- Idealny dzień na wycieczkę do Santa Catalina - rzekła Agatha. Miała na myśli stary jezuicki kościół kilka kilometrów za Jesus Maria.
- Weź półciężarówkę, George, i kosz z jedzeniem. Możecie spędzić tam cały dzień i urządzić sobie piknik. Wykorzystajcie tę okazję...

Energicznie zakołysała srebrnym dzwoneczkiem. Po chwili na werandę wyszła Agustina.

- Si senora? - zapytała, pocierając dłonie w geście posłuszeństwa.

Agatha poleciła jej przygotować piknik na dwie osoby i odprawiła niedbałym machnięciem dłoni. Kiedy Agustina odchodziła, na werandzie pojawił się Carlos z listem w ręku. Szybko zaszeptał coś do Agustiny i podał jej kopertę. Agustina odwróciła się.

- List dla senora George'a - powiedziała z wahaniem.

- Ach, wiadomości z domu! - zawołała Agatha. - Ale chyba nie od Faye... - dodała, przyglądając się kopercie. - To nie jej charakter pisma... Cóż, wygląda na to, że to od młodej kobiety, na pewno od Rity...

Susan zbladła lekko i przeniosła spojrzenie na George'a.

- George ma w Anglii narzeczoną - ciągnęła Agatha, całkowicie nieświadoma, że właśnie stworzyła krępującą dla siostrzeńca sytuację.

- Nie postawiłabym jednak ani grosza na to, że to małżeństwo rzeczywiście dojdzie do skutku... Zanim rok dobiegnie końca, George odda serce innej, jestem tego pewna...

Susan pośpiesznie zamaskowała zmieszanie pełnym napięciem uśmiechem. Agatha podała list siostrzeńcowi.

- Przeczytam później - wymamrotał, wtykając kopertę do kieszeni koszuli.

Pochwycił spojrzenie Susan i potrząsnął głową, próbując ją uspokoić. Ku jego zdziwieniu nie wyglądała na zranioną czy za-wiedzioną, chociaż właśnie tego się spodziewał.

- Tylko nie zapomnij powiedzieć mi, co dzieje się we Frogal Point - przykazała Agatha. - Lubię wiedzieć, co oni wszyscy robią i jak sobie radzą... - Odwróciła się do Pii i Tonita i przeszła na hiszpański. - Kiedy następnym razem dojdziecie do wniosku że nie macie ochoty na lunch, pomyślcie o biednych dzieciach w Anglii, dobrze? One z radością chociaż raz zjadłyby takie steki, jakie wy dostajecie codziennie...

Pia i Tonito skrzywili się wymownie. Mieli już trochę dosyć opowieści o głodnych angielskich dzieciach. Nie wyobrażali sobie, że ktoś może nie najadać się do syta.

Agatha i jej goście wrócili do rozmowy o jezuitach z Santa Catalina. Policzki Susan odzyskały normalny kolor, a George odetchnął z ulgą. Nie chciał mówić Susan o Ricie, wyobrażał sobie, że zrobi to później, we właściwym czasie i w najłagodniejszy, najmniej bolesny sposób. W głębi serca zastanawiał się, czy w ogóle mówić o narzeczonej, która mieszkała przecież na drugim końcu świata i

należała do jego przeszłości, przeszłości niemającej nic wspólnego z teraźniejszością, do życia, które zdecydował się zostawić za sobą. Susan była jego przyszłością. Szczerze współczuł Ricie, ale uważał, że jest jeszcze bardzo młoda i na pewno kogoś sobie znajdzie.

Carlos postawił kosz z jedzeniem z tyłu ciężarówki w chwili, gdy Susan stanęła w drzwiach, w słomkowym kapeluszu na głowie i z grubą książką w ręku. George usiadł za kierownicą i włączył silnik. W milczeniu pokonali podjazd, długą aleję, wysadzaną dużymi kasztanowcami, i wyjechali na zakurzoną drogę prowadzącą do Jesus Maria.

- Muszę ci coś wyjaśnić... - zaczął George.

Susan położyła rękę na jego kolanie i posłała mu pełen zrozumienia uśmiech.

- To nie jest odpowiedni moment. Opowiesz mi o Ricie, kiedy dojedziemy do Santa Catalina i rozłożymy koc w cieniu jakiegoś drzewa...

- Nie jest tak, jak myślisz... - wyjąkał niepewnie.

- Zwykle tak bywa - odparła sucho i powoli pokręciła głową.

- Masz gotową odpowiedź na wszystko. - Czuł się wyjątkowo głupio. - Jeżeli kiedyś zaskoczę cię czymś tak, że nie zareagujesz od razu, będę wiedział, że zyskałem nad tobą przewagę, choć to chyba niemożliwe.

- Jestem Amerykanką. Od dziecka uczą nas myśleć i szukać odpowiedzi.

- Ciebie nauczyli aż nazbyt dobrze... Co myślisz o ciotce Agacie?

- zapytał, zmieniając temat.

Susan zaśmiała się cicho.

- Niezwykła z nich para, naprawdę... Ona niska, krępa i bardzo zdecydowana, typowa Angielka, on szorstki, trochę gruboskórny i nadęty, lecz niepozbawiony uroku oraz poczucia humoru. Wyobrażam sobie, że Agatha doskonale sprawdziłaby się w roli dyrektorki jednej z tych zimnych angielskich szkół z internatem, ale dla niego niewątpliwie idealnym miejscem jest właśnie ranczo. Oboje są bardzo mili, chociaż żadnemu nie chciałabym wejść w drogę...

- Trudno uwierzyć, że są małżeństwem, prawda?

- Tak, zresztą ani przez chwilę nie wątpię, że on ma gdzieś na boku piękną kochankę, ostatecznie to Latynos...

- Niepodobny do nas, Anglików. Obrzuciła go baczным spojrzeniem.

- Mam nadzieję, że nie.

Wyboista droga do Santa Catalina wiodła przez gęste lasy porastające łagodne, niskie pagórki. Z gęstej mgły na horyzoncie wyłaniały się szczyty koronowanych śnieżnymi czapami gór, tu i ówdzie widać było poszarpane skalne krawędzie, dotykające nieba. George bez trudu wyobraził sobie potężne kondory, krążące wśród gór w poszukiwaniu pożywienia. Zrobiło się gorąco, więc jechali z otwartymi oknami, podziwiając krajobraz z uczuciem zadowolenia, że są w odległym miejscu, na skraju świata, gdzie dopaść ich mogą tylko najbardziej uporczywe wspomnienia.

Kościół w Santa Catalina stał dumny i imponujący, dwie dzwonnice i kopuła górowały nad starymi drzewami, które dawały cień dziedzicowi. W pobliżu nie było żywej duszy, wszędzie panował niesamowity spokój i cisza. Chwilami mieli wrażenie, że przekroczyli bramę wiodącą do osiemnastego wieku kiedy to jezuici zaczęli budować kościół w bogatym, barokowym stylu. Od tamtego czasu nie zmienił się ani budynek, ani jego otoczenie.

George zaparkował samochód w cieniu i otworzył drzwi od strony Susan, która zostawiła książkę na siedzeniu i z przyjemnością wyszła na słońce. Wziął kosz z jedzeniem i koc i zaniósł wszystko na wybrane przez nią miejsce w cieniu kościelnych murów. Niedaleko na ziemi przysiadły dwie synogarlice, zaciekawione zawartością kosza i zdecydowane pochwyć okruszki pozostałe po posiłku dwojga ludzi.

Susan oparła się o pień drzewa i z pełnym zadowolenia westchnieniem rozejrzała się po okolicy.

- Och, jak tu pięknie... - powiedziała z uśmiechem. - Jaki spokój... Kościoły zawsze otoczone są zupełnie niezmierną aurą, zauważyłeś?

- Bo one nigdy się nie zmieniają - odparł George. - Zmieniamy się tylko my i miasta, które budujemy wokół kościołów. Kościoły są ponadczasowe i chyba właśnie to sprawia, że otacza je tak niezwykła aura...

George wyciągnął się na boku i oparł głowę na dłoni. Wciąż nie mógł do końca uwierzyć, że kobieta, którą uznał za straconą na zawsze, siedzi teraz obok niego i zachowuje się tak naturalnie, jakby było to całkowicie normalne i jakby znali się od wielu, wielu lat.

- Przeczytasz ten list? - zapytała chłodno. Podniósł na nią wzrok i lekko ściągnął brwi.

- Żałuję, że go wysłała - westchnął. - Przykro mi, bo na pewno jest pełen jej nadziei i marzeń, a wszystkie zależą ode mnie...

- Opowiedz mi o niej. To przez nią przyjechałeś tutaj w poszukiwaniu samotności, prawda?

- Przepraszam, że nie powiedziałem ci wcześniej... - zaczął znowu, ale uciszyła go, parszkając cichym śmiechem.

- Nie jesteś mi nic winien - rzekła. - Poza tym, gdybyś faktycznie zamierzał wrócić do Anglii i ożenić się z nią, nie wyznałbyś, że mnie kochasz, i nie wyglądałbyś na tak nieszczęśliwego, kiedy zostawiłam cię na statku. Powiem szczerze - gdybyś naprawdę ją kochał, przyjechałbyś do Argentyny razem z nią...

- Masz całkowitą rację, jestem podłym tchórzem... - Kąciki ust George'a opadły, nadając jego twarzy wyraz ogromnego smutku.

Susan przesunęła się na kocu i położyła się obok niego. Czule dotknęła jego ramienia.

- Opowiedz mi o niej i pozwól, że ja zdecyduję, czy jesteś podłym tchórzem.

George opowiedział jej wszystko, od samego początku.

- Widzisz, jestem tchórzem, bo dla niej byłoby lepiej, gdybym zakończył tę sprawę przed wyjazdem. Taka sytuacja jest dla niej na pewno trudniejsza, czeka w Anglii na mężczyznę, który jej nie chce.

- Ale przecież los Rity nie jest ci obojętny, troszczysz się o nią, a podły tchórz z pewnością nie byłby do tego zdolny...

George spojrział Susan w oczy i nagle ogarnęła go wielka wdzięczność za jej współczucie i zrozumienie.

- Troszczę się o nią, to prawda. Nie można kochać kogoś przez całe życie i potem nagle wyłączyć to uczucie jak silnik. Nadal Kocham ją jak siostrę, tylko po prostu nie chcę się z nią ożenić.

- Więc co zrobisz?

- Muszę napisać i powiedzieć jej o tym.

- Nie obrazisz się, jeżeli coś ci poradzę?

- Jak możesz tak myśleć...

- Nie pisz jej o mnie, bo to zraniłoby ją jeszcze głębiej. Powiedz to, co przed chwilą powiedziałeś mi. Nie da się usmażyć omletu, nie tłukąc jajek. Ta wiadomość sprawi jej ból, choćbyś stawał na głowie,

żeby tego uniknąć, złagodzisz jednak cios, jeśli napiszesz, że wciąż ją kochasz, chociaż nie na tyle, żeby ją poślubić.

George zaśmiał się gorzko.

- Ciągle to odkładałem. Kiedy poznałem cię na pokładzie "Fortuny", byłem już gotowy napisać do niej i zerwać, ale potem pomyślałem, że i tak nigdy więcej cię nie zobaczę, i postanowiłem uniknąć bolesnego rozwiązania.

- Unikanie bolesnych rozwiązań niczego nie załatwia, mój drogi. Twoje wyznanie na pewno załamie Ritę, lecz ludzie wracają do równowagi, nawet wbrew sobie. Rita jest młoda, ma szansę znać - leż kogoś innego, zacząć nowe, szczęśliwe życie. Jeżeli już jej nie kochasz, uwolnij ją od zobowiązań wobec ciebie...

- Nigdy nie zraniłem nikogo w taki sposób, wszyscy zawsze uważali mnie za sympatycznego faceta... To, co teraz do siebie czuję, wcale nie jest przyjemne.

- Czasami trzeba postąpić pozornie okrutnie, jeśli chce się być dla kogoś dobrym. Czy uważasz, że nie zasługujesz na szczęście? A Rita?

George utkwiał w Susan tak intensywne spojrzenie, że szybko odwróciła głowę.

- Ty jesteś moim szczęściem - powiedział po prostu. Gdy znowu podniosła oczy, wciąż na nią patrzył.

- Prawie mnie nie znasz - szepnęła poważnie.

- Nie wiem o tobie wielu rzeczy, ale wiem, że cię Kocham, i wierzę, że we właściwym czasie opowiesz mi o sobie.

Łagodnie poklepała go po ramieniu i uśmiechnęła się, chociaż w jej oczach czaił się lęk i niepokój.

- Obejrzyjmy kościół, a potem coś zjemy - zaproponowała. - Chyba możemy zostawić tutaj rzeczy. Wygląda na to, że w pobliżu nikogo nie ma...

- Poza dwiema synogarlicami - George zaśmiał się, wstając i rozprostowując nogi.

- Zdziwiłabym się, gdyby zdołały otworzyć kosz - rzekła Susan.

Bez pośpiechu włożyła ciemne okulary i wyszła z cienia.

Weszli do kościoła, trzymając się za ręce. Wewnątrz było chłodno, powietrze pachniało minionymi wiekami i kadzidłem. Odgłos ich kroków na kamiennej posadzce odbijał się echem od murów. Mówili szeptem, chociaż w świątyni nie było nikogo.

Towarzyszyła im tylko obecność Boga w malowidłach na połączanym ołtarzu i w powietrzu, wciąż wibrującym modlitwami uwielbienia.

- Nigdy nie rozumiałam, dlaczego katolicy czują potrzebę spowiedzi - odezwała się cicho Susan, kiedy na moment przystanąłi, aby przyrzeć się konfesjonałowi z czarnego drewna.

- Konfesjonał kojarzy mi się ze zboczonymi księżmi - odparł George, odchylając czerwoną zasłonkę i zaglądając do środka.

- Nie podoba mi się pomysł, że z Bogiem można się porozumieć jedynie za pośrednictwem kapłana. W ten sposób Kościół jako instytucja utrzymuje wiernych pod kontrolą.

- Mówisz zupełnie jak pani Megalith - zaśmiał się George. - To babcia Rity. Nazywają ją Wiedźmą z Elvestree, ponieważ ma niesamowite zdolności. Twierdzi, że Bóg mieszka w domu, co tam w domu - w kuchni każdego człowieka, i że gdyby wszyscy mieli tego świadomość, nie chodziliby do kościoła...

- Starsza pani o twardym charakterze... - Susan z uśmiechem przesunęła dłonią po drewnianej poręczy nad schodkami prowadzącymi na ambonę. - Trzeba jednak przyznać, że wspólnota kościelna wywiera dobroczynny wpływ na wiele osób. Czasami dobrze jest przeżywać coś wspólnie z innymi... Ja nie należę do szczególnie towarzyskich osób, lubię żyć we własnej przestrzeni, obserwować świat z pewnej odległości, ale niektórzy czuliby się samotni, gdyby mieli rozmawiać z Bogiem wyłącznie w zaciszu swojej kuchni...

George podszedł do niej z tyłu, otoczył ją ramionami i przytulił twarz do jej karku.

- Rozmawiasz z Bogiem?

- Czasami, kiedy czuję, że jestem już na dnie. Nie wiem, kim albo czym On jest, ani czy w ogóle istnieje, lecz dobrze jest wyciągnąć do kogoś rękę...

- Och, ja nie mam najmniejszych wątpliwości, że On istnieje. Czuję Go blisko siebie, kiedy unoszę się wysoko, czuję nawet Jego oddech na karku...

Susan szybko odwróciła się twarzą do George'a.

- Musiałeś bardzo się bać - szepnęła, gładząc palcami jego policzek.

Chwył jej dłoń i zatrzymał przy swojej twarzy. - Miałem potworne sny, bałem się zasnąć - powoli potrząsnął głową, ponieważ

przed jego oczami znowu pojawiły się twarze Jamiego Cordella, Rata Bridgesa i Lorriego Hamptona. - Ale odkąd spotkałem ciebie, koszmary przestały mnie dręczyć. Uśmiechnęła się i delikatnie cofnęła rękę.

- Cieszę się, że mogłam przegonić te demony.
- Żałuję, że ja nie mogę przegonić twoich. Pokręciła głową.
- Muszę zrobić to sama - odparła. - I może w końcu mi się powiedzie, z twoją pomocą...

Kiedy wyszli, na schodach przed kościołem bawiła się grupka dzieci o brązowych buziach. Skakały, śmiały się i krzyczały, a ich głosy rozpraszały ciszę panującą dotąd dookoła świątyni. Na widok dwojga obcych jak na komendę przerwały zabawę i utkwily w nich zaciekawione spojrzenia. George wziął Susan za rękę i sprowadził ją w dół po stopniach. Wszystkie dzieciaki patrzyły na Susan z szeroko otwartymi ustami, a po chwili, zupełnie jak stado zwierzątek, które porozumiewają się bez słów, otoczyły ją kołem, wyciągając do niej ręce i usiłując dotknąć jej ubrania. George wpadł we wściekłość. Próbuąc osłaniać kobietę, wymachiwał rękami i wrzeszczał po hiszpańsku, odganiając małych natrętów, lecz wtedy, ku jego zdumieniu, Susan uśmiechnęła się, puściła jego dłoń i przykucnęła. Dzieci cofnęły się i zamilkły, jakby coś je przestraszyło.

- Ona jest aniołem - przemówiło w końcu najmłodsze.
- Prawdziwym? - zapytało szeptem inne.
- Nie jestem aniołem! - roześmiała się Susan. - No, dalej, dotknijcie ich, nie bójcie się...

Oszołomiony George patrzył, jak dzieci podchodzą i brudnymi brązowymi łapkami dotykają włosów Susan.

- Dzieci to wyjątkowe stworzenia - powiedziała, podnosząc ku niemu oczy. - Inne od wszystkich...
- Przepraszam... - wyjąkał ze zmieszaniem.
- Nie musisz przeproszać. W oczach tych dzieci moja twarz nie jest nawet w połowie tak fascynująca jak moje włosy.

Nie ulegało wątpliwości, że Susan uwielbia dzieci. Rozmawiała z nimi, głaskała po główkach, po pokrytych warstwą kurzu buziach, zapięła guziczki koszuli któregoś z chłopców, otrzepała szorty innego, użaliła się nad skaleczonym kolanem i siniakiem na czole. Kiedy pocałowała nieszczęsne kolano i czoło, aby mniej bolało, dzieci zaczęły przepychać się do niej na wyścigi, wynajdując i wymyślając

najróżniejsze cierpienia, które mogłaby uleczyć pieśczęcią. Susan starała się zadowolić wszystkie i śmiała się przy tym tak naturalnie i radośnie, że George słuchał jak zaczarowany.

Właśnie wtedy zrozumiał, że jakaś część smutku Susan bierze się z tęsknoty za własnym dzieckiem.

Długo trwało, zanim Susan oderwała się od swoich nowych przyjaciół. Dzieci czepiały się jej jak małpki, z chichotem usiłując zatrzymać ją jak najdłużej, lecz wreszcie zdołała wycofać się do cienia, gdzie wcześniej zostawili kosz z jedzeniem pod opieką dwóch synogarlic. Dzieci wróciły do swoich zabaw, chociaż co jakiś czas zerkały w kierunku Susan z wyraźną nadzieją, że jeszcze do nich podejście.

George otworzył butelkę wina i podał Susan szklaneczkę. Agustina zapakowała dla nich kanapki z pieczeniową wołową i sałatkę ziemniaczaną.

- Masz niezwykle podejście do dzieci - odezwał się George, wbijając zęby w kanapkę.

Susan posmutniała.

- Bardzo kocham dzieci...

Pociągnęła łyk wina i spojrzała w kierunku rozbrykanej grupki, która wciąż bawiła się na schodach. Uśmiechnęła się, bo zdała sobie sprawę, że pokrzykują głośniej niż przedtem i gestykują bardziej wyraziście, pragnąc przyciągnąć jej uwagę.

- Będiesz wspaniałą matką - rzekł George i natychmiast tego pożałował, ponieważ policzki Susan pokrył rumieniec, a z jej ust wyrwało się ciężkie westchnienie.

- Wypijmy za to - powiedziała, podnosząc szklaneczkę. George pomyślał, że w jej przeszłości musi kryć się nie jeden bolesny sekret, i ugryzł się w język, aby zapanować nad niecierpliwym pragnieniem ich odkrycia.

Odoczywali w cieniu, dopóki słońce nie schowało się za kościołem. Powietrze było nagrzane i łagodne, dzieci odeszły, w trawie zaczęły grać cykady. Oczy Susan były senne od wina, lecz lśniły radością. Czuła się doskonale, ale gdy zaczął zapadać zmrok, intuicyjnie wyczuła, że duszę George'a przygniatają wojenne wspomnienia.

- Ciągłe o nich myślisz, prawda? - zapytała, nie odrywając wzroku od jego twarzy.

Zrozumiał ją bez trudu.

- Tak... - odparł powoli. - Bez przerwy.

- Czujesz się winny, że ty przeżyłeś, a oni zginęli... Spojrzał na nią ciemnymi, pełnymi smutku oczami i ciężko westchnął.

- Rozsądek podpowiada mi, że w tak ryzykownej grze wygrywają tylko niektórzy. Jest to logiczne i jasne, ale ja wciąż czuję, że nie zasłużyłem na wygraną. Nie byłem najodważniejszym pilotem ani najlepszym...

- Nie było ci przeznaczone zginąć.

- Powtarzam to sobie i staram się o tym pamiętać - rzekł cicho.

- Ale mimo tego wcale nie czujesz się lepiej, tak?

- Właśnie. Poczucie winy oblepiło mnie jak glina.

- Byli młodzi jak ty, dlatego to wszystko wydaje się takie bezsensowne - szepnęła Susan.

- Lorrie miał dziewczynę, z którą zamierzał się ożenić, a Rat był jedynakiem, jego matka nie miała nikogo poza nim.

- Rat?

- To skrót od imienia Humphrey.

- Oczywiście, jak mogłam nie zgadnąć! - uśmiechnęła się lekko, żartobliwie.

- Byliśmy sobie bliscy jak bracia, lecz na końcu z całego dywizjonu został tylko Brian, no i ja. Wszyscy pozostali zginęli... - Mocno zacisnął wargi. - Nie żyją, leżą na dnie morza albo mają symboliczne groby, bo ich ciała wybuch rozszarpał na strzępy... Jamie, Rat i Lorrie... Ich imiona są wykute w moim sercu i sumieniu.

- Daj sobie trochę czasu. Czas naprawdę leczy nawet najgłębsze rany.

Chwilę patrzył na nią uważnie. Jego twarz pojaśniała, jakby słońce wbrew prawom przyrody niespodziewanie wyjrzało zza kościoła.

- Ty rzeczywiście mnie rozumiesz... - powiedział. Nachyliła się ku niemu i przykryła jego dłoń swoją.

- Trochę cię rozumiem, a to, co dla mnie niepojęte, bardzo staram się zrozumieć.

Przysunął się bliżej, objął ją i pocałował. Jej bliskość uciszała natarczywy krzyk wojny, dręczący głos sumienia i cichy, żalony szept w głębi jego serca. Szept Rity.

Rozdział szesnasty

Max nie mógł się skoncentrować. Od płomienia małej świeczki zaczął powoli zapalać osiem świec w menorze, symbolu święta Chanuka. Od dnia, gdy on i jego siostra Ruth przybyli do Elvestree, Primrose z nieugiętym uporem obchodziła wraz z nimi żydowskie święta, dbając o to, aby świętowali tak jak w Austrii, zanim Hitler zgasił duszę ich narodu.

Twarz Ruth była pełna powagi. Nigdy nie wspominała o utraconej rodzinie, lecz Max doskonale wiedział, że w takich chwilach nie może nie myśleć o rodzicach. Są wspomnienia, których czas nie jest w stanie pozbawić barw ani siły wyrazu. Okulary pani Megalith zsunęły się na czubek nosa, ponieważ pochyliła głowę, jak zwykle składając swoje liczne podbródki w grube fałdy. Jej twarz także była poważna, mimo że pod stołem koty ocierały się o jej kostki i łydki. Max wcale nie myślał o Wiedniu, gdzie jego matka zawsze skinieniem głowy dawała mu znak, że czas już zapalić świece i odmówić modlitwę, ale o Ricie. Odkąd pocałował ją w swoim pokoju, prawie co wieczór grali w szachy, czytali i recytowali wiersze lub pisali krótkie opowiadania przed kominkiem w salonie Primrose. Rita w końcu zauważyła Maksa.

Ruth obserwowała drżącą rękę brata i zastanawiała się, czy podobnie jak ona wspomina celebrację święta Chanuka w ich wiedeńskim domu, gdzie ojciec zasiadał u szczytu stołu, do którego zapraszano wujów, ciotki i dalszych krewnych. Wydawało jej się, że czuje zapach jego cygara i aromat dobrego wina. Pośpiesznie otrząsnęła się z ogarniającej ją tęsknoty i utkwiała spojrzenie błyszczących od łez oczu w świecy, którą brat właśnie zapalał.

Pani Megalith wyczuła wibracje ścierających się w pokoju emocji mrocznego smutku Ruth i pulsującego podniecenia Maksa, i mocnym szturchnięciem wyrzuciła spod stołu wyjątkowo natarczywego kota.

- No, to nauczy go moresu! - zawołała, kiedy Max w końcu zapalił ósmą świecę, i podniosła kieliszek. - Za nieobecnych bliskich i przyjaciół, żebyśmy zawsze o nich pamiętali...

Max pomyślał o Ricie, Ruth o matce, pani Megalith zaś na moment przywołała z pamięci twarz Denzila. Gdyby Denzil żył, koty nie ośmieliłyby się wtargnąć do jej domu, ponieważ wiedziałyby, że on tego nie zniesie. Poczula, jak jakiś zimny nos przywiera do jej łydki, i zdecydowanym ruchem pozbyła się drugiego natręta, tłustego

rudzielca. Ruth chciało się płakać, więc spuściła oczy i utkwiała je w talerzu parującej zupy, w milczeniu zmagając się z napierającymi na nią wspomnieniami. Pani Megalith zaczęła opowiadać o polowaniu na wyjątkowo niebezpiecznego tygrysa, w którym jej mąż wziął kiedyś udział w Indiach, a Max sięgnął po łyżkę. Ruth pomyślała, że nie wytrzyma i zaraz się rozplacze.

Właśnie wtedy Max znieruchomiał i odłożył łyżkę. Pani Megalith śmiała się gromko, malując słowami obraz Denzila, rzucającego się do ucieczki w chwili, gdy powinien był nie ruszać się z miejsca, lecz Max nie słuchał. Spojrzał w dół i zobaczył małego białego kociaka, który siedział u jego stóp i wpatrywał się w niego dużymi oczami koloru rdzawych agatów w kolczykach pani Megalith. Max podniósł wzrok na siostrę i poczuł, jak jego serce, jeszcze przed chwilą lekkie jak dobrze upieczony suflet, teraz ściska się z żalu i współczucia. Nie zastanawiając się dłużej, chwycił kociaka, wstał i podszedł do Ruth, zgarbionej nad powoli stygnącą zupą. Pani Megalith zamilkła. Patrzyła, jak Max układa białego kotka na kolanach siostry i jak zwierzątko z czułością ociera się pyszczkiem o jej policzek. Stara kobieta zrozumiała gest chłopca i spojrzała na niego ze szczerym podziwem. Kiedy znowu przeniosła spojrzenie na Ruth, kociak zjadał zupę z jej talerza, rytmicznie wysuwając różowy języczek a dziewczyna śmiała się cicho. Łzy obeschły na jej rzęsach i smutek zniknął z twarzy.

Maddie nie była w stanie myśleć o niczym i nikim poza Harrym Weaverem. Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia miłość zaatakowała ją jak choroba o gwałtownym przebiegu i, ku jej wielkiemu zdziwieniu, przyniosła z sobą najprawdziwsze cierpienie. Teraz Maddie wiedziała, przez co przechodziła Rita.

- Tak cię podziwiam! - jęczała. - Miłość to najboleśniejże przeżycie na świecie! Czuję się tak, jakby ktoś szarpał mi serce obcęgami. Tęsknię za nim całą sobą, każdym nerwem, każdym mięśniem!

- A co z Bertiem? - zapytała Rita, która niezbyt poważnie traktowała melodramatyczne wynurzenia siostry.

- Z Bertiem? - Maddie z pogardą wyrzuciła z siebie imię kochanka. - Nigdy nie kochałam Bertiego, spędzałam z nim tylko czas. Teraz spotkałam mężczyznę, z którym chcę zostać do końca

życia, a jeżeli Megababcia ma rację, to także do końca następnego życia i każdego, jakie jeszcze będzie mi dane...

- Wydawało mi się, że chcesz wyjść za gwiazdora filmowego. - Rita z trudem hamowała rozbawienie. - W najgorszym razie za Cary'ego Granta.

- Miłość uderza w najmniej spodziewanym momencie. Nie przeszkadza mi nawet to, że jest stary, ma chyba co najmniej czterdziestkę, nie sądzisz? - Maddie zmarszczyła nos. Czterdziestka była dla niej magiczną granicą podeszłego wieku.

- Mama i tata umarliby ze zmartwienia, gdyby się dowiedzieli - zauważyła Rita. - Harry jest rozwiedziony.

- Nie przypominaj mi o tym. Jest nie tylko rozwiedziony i stary, ale także biedny i nie zanoszą się, żeby miał odnieść sukces jako pisarz. Co mam zrobić?

Rita usiadła na brzegu łóżka siostry i pogłaskała ją po głowie.

- To nie jest twój jedyny problem. Masz poważną rywalkę.

Maddie rzuciła jej pełne przerażenia spojrzenie. Wyglądało na że przeszkody piętrzą się na jej drodze do szczęścia jak zwalone przez wichurę drzewa.

- Jaką rywalkę? Eddie także oddał Harry'emu swoje serce. Jest jedynym człowiekiem poza mamą i Megababcia, który zainteresował się Harveyem.

- Dzięki Bogu, że to tylko Eddie! - Maddie odetchnęła z ulgą. - Przestraszyłaś mnie, naprawdę...

- Ciesz się, że możesz widywać się z nim tak często, jak chcesz - powiedziała Rita. - Mama ciągle przesiaduje w Bray Cove, bo obserwuje stamtąd ptaki. Proponuję, żebyś na poważnie zainteresowała się ornitologią i literaturą.

Maddie usiadła na łóżku i spojrzała na Ritę błyszczącymi oczami.

- Masz rację. Zaczęłam chodzić z nią do Bray Cove i wtedy nasz romans na pewno rozkwitnie. W końcu go zdobędę, zobaczysz!

Nagle życie Maddie nabrało sensu i zyskało cel. Dziewczyna wstawała teraz wczesnym rankiem i otulona kożuchem ojca siadała w ogrodzie ze szkicownikiem i ołówkiem, rysując ptaki, przylatujące dziobać ziarno, które Hanna codziennie wysypywała im na duże tace. Miała za nic śnieg i przejmujące zimno, i nawet to, że palce grabiły jej na mrozie, zależało jej bowiem, by przekonać matkę, iż na serio podchodzi do swojego nowego hobby. Zadawała Hannie setki pytań

na temat ptaków, ich zwyczajów i szlaków migracyjnych, chciała zdobyć jak najwięcej informacji o ptakach morskich i górskich. Hanna z radością dzieliła się swoją niezwykle bogatą wiedzą, zaskoczona i szczęśliwa, że jej najtrudniejsza córka zaczyna w końcu dorastać, Maddie zaś powoli odkrywała barwny nowy świat, który przez cały czas istniał obok niej, ale którego wcześniej po prostu nie zauważała. Zanim nadeszły święta Bożego Narodzenia, dziewczyna nie tylko przekonała Hannę, ale szczerze zainteresowała się życiem ptaków.

- Zaprosiłam Harry'ego, żeby spędził z nami Boże Narodzenie w Elvestree - oznajmiła Hanna pewnego wieczoru w połowie grudnia. - Nie ma tu nikogo bliskiego, a trudno wyobrazić sobie coś gorszego niż samotne święta...

Na policzki Maddie natychmiast wypełził rumieniec podniecenia. Była tak przejęta, że nagle zabrakło jej słów.

- Doskonale, moja droga - Humphrey się ucieszył, bo zawsze chętnie rozcieńczał obecność Antontette oraz pani Megalith towarzystwem innych.

- Mama także jest zadowolona, bo jej zdaniem, im więcej gości tym weselej. Harry uwielbia zwierzęta, więc nie będzie miał nic przeciwko tym okropnym kotom. Chciałabym, żeby poczuł się wśród nas naprawdę dobrze. To taki miły człowiek... Bardzo przytulnie urządził się w Bray Cove i cieszy się, że mieszka tam tyle gatunków ptaków. I rzeczywiście, jest to prawdziwy ptasi raj, nawet zimą. - Hanna spojrzała na Maddie i uśmiechnęła się. - Musisz wybrać się tam ze mną któregoś dnia i wziąć ze sobą szkicownik...

Maddie skinęła głową i o mały włos nie zakrztusiła się potrawką mięsną.

- Ja też! - zawołała Eddie. - Harry mówił mi, że na jego strychu dosłownie roi się od nietoperzy. Harvey na pewno chętnie zaprzyjaźniłby się z nimi.

- Harry nie będzie miał nic przeciwko temu, jeżeli zjawimy się tam we trzy - odrzekła Hanna. - Myślę, że będzie mu miło...

- Chyba nigdy dotąd nie cieszył się taką popularnością i uwielbieniem ze strony dam - uśmiechnął się Humphrey. - Ty też wybierasz się do Bray Cove, Rito?

Rita bez słowa potrząsnęła głową.

- Nie możesz się już doczekać następnego listu od George'a, prawda? - ciągnął nietaktownie Humphrey. - Trochę cierpliwości, przecież dopiero niedawno dostałaś ten z prezentem...

Rita spuściła oczy, chcąc ukryć czający się w nich smutek.

- Wiem, nie mam powodu do narzekań... Zresztą George na pewno już do mnie napisał, to tylko poczta działa tak wolno...

- Właśnie - pocieszył ją Humphrey. - Nasza poczta od zakończenia wojny raczej się nie spóźnia, ale nie wiadomo, jak jest z pocztą argentyńską.

- Piszę do niego co tydzień - powiedziała cicho Rita. - Chcę, by wiedział, że o nim myślę.

- George i tak o tym wie! - zawołała jej matka. - A ty na razie masz na pociechę swój śliczny wisiołek...

Rita z przyjemnością dotknęła srebrnej synogarlicy.

- Założę się, że wkrótce dostaniesz list - dodała Hanna. - Czasami warto poczekać, kochanie, zwłaszcza jeśli chodzi o najważniejsze rzeczy w życiu.

Maddie nie mogła się doczekać Bożego Narodzenia. Postanowiła dać Harry'emu w prezencie własnoręcznie namalowany wizerunek pięknego szlamnika, brodzącego ptaka o smukłym, lekko zakrzywionym ku górze dziobie i długich, zgrabnych nogach. Latem szlamnik miał rude upierzenie, w takim samym odcieniu jak jej włosy. Pewien farmer w miasteczku ładnie oprawiał obrazy, więc Maddie zdecydowała się powierzyć mu swoje dzieło z nadzieją, że Harry powiesi obrazek nad biurkiem, przy którym pracował, i będzie myślał o niej za każdym razem, gdy spojrzy na ptaka. Eddie wymyśliła, że ofiaruje Harry'emu domek dla mieszkających na jego strychu nietoperzy, i poprosiła o pomoc Nestora, starego ogrodnika swojej babci.

Rita popołudniami najczęściej siedziała w sypialni, czytając książki i obserwując gila, który zadomowił się na półce. Codziennie też sięgała po stare listy George'a z okresu wojny i przechadzała się po klifach, z tęsknotą wpatrując się w horyzont. Nadal chodziła na lekcje rzeźby. Jeździła do Faye na rowerze, najczęściej po pracy, i nie opuszczała tych zajęć nawet przy bardzo złej pogodzie. Czuła, że jest bliżej George'a, kiedy przebywała z jego rodziną, a serdeczność, jaką wszyscy jej okazywali, pozwalała łatwiej uporać się z dręczącymi ją wątpliwościami. Rzeźbiła coraz lepiej i Faye była pod wrażeniem

robionych przez nią postępów. Matka George'a była przekonana, że tęsknota za ukochaną osobą doskonale wpływa na kreatywność, ale oczywiście nie mówiła tego Ricie. Rozumiała miłość, tęsknotę i ich znaczenie dla rozwoju duchowego. Odkąd poznała Tadeusza, jej twórczość zyskała nowy, nieziemski wymiar. Rzeźbione przez nią ptaki wydawały się naprawdę fruwać, zwierzęta oddychały, a wyrzeźbiona niedawno głowa Tadeusza, którą przechowywała zamkniętą w kredensie, była prawdziwym arcydziełem - jego oczy patrzyły na Faye z taką czułością, że serce biło jej szybciej za każdym razem, gdy spojrzała na popiersie.

*

Ranek Bożego Narodzenia przywitał świat gęstymi opadami śniegu. Maddie i Hanna wybiegły do ogrodu, aby pokruszyć lód na powierzchni wody w poidle dla ptaków, i wysypały swoim pupilom mnóstwo okruszków. Rita wstała później niż zwykle, bo w Boże Narodzenie listonosz nie roznosił poczty, a Eddie, która wciąż czekała na Świętego Mikołaja, zaraz po przebudzeniu z podnieceniem sięgnęła po ciężką pończochę, zawieszoną w nogach łóżka. Radość dziewczynki zgasła jednak w ułamku sekundy na widok martwego ciała Harveya, leżącego na podłodze niczym porzucona, zepsuta zabawka. Tuląc przyjaciela do piersi, Eddie zbiegła na dół, gdzie ojciec jak zwykle siedział przy kuchennym stole.

- On nie żyje! - jęknęła.

Humphrey spojrzał na zrozpaczoną buzię córki i w pierwszej chwili pomyślał, że Eddie mówi o Harrym Weaverze, ale kiedy jego wzrok padł na mały czarny kłębuszek, który trzymała w rozdygotanych dłoniach, wszystko stało się jasne.

- Och, moje kochanie! - zawołał, zrywając się na nogi.

Chwycił szlochającą Eddie w ramiona i usiadł z nią w fotelu na biegunach. Dziewczynka nie dała się pocieszyć, chociaż Humphrey bardzo starał się poprawić jej nastrój.

- Co ja teraz zrobię?! - powtarzała z rozpaczą.

Humphrey mógł tylko przytulić ją do piersi i głaskać rozpalone czoło. Niezbyt dobrze radził sobie w takich sytuacjach, ale czuł, że musi towarzyszyć córce w jej cierpieniu. Kiedy do kuchni weszły z ogrodu Hanna i Maddie, podniósł głowę i ze smutkiem spojrzał na żonę.

- Harvey odszedł i mieszka teraz na wielkim strychu dla nietoperzy w niebie - powiedział poważnie.

- Och, Eddie, tak mi przykro... - szepnęła Hanna, natychmiast zamieniając się miejscami z mężem i biorąc na kolana mokrą od łez dziewczynkę.

Eddie wciąż głaskała martwego nietoperza, który wyglądał jeszcze bardziej odrażająco niż za życia.

- Co ja bez niego zrobię, mamó? - skarżyła się. - Jak mam żyć?

- Musisz żyć, kochanie, bo życie toczy się dalej. I musisz być silna, ze względu na Harveya. Przecież on nie chciałby, żebyś tak nad nim płakała, prawda? Byłoby mu smutno, że rozpaczasz, a niebo ma być przecież miejscem wiecznego szczęścia...

Słyszając poruszenie na dole, Rita zeszła do kuchni z potarganymi włosami, bladą twarzą i ciemnymi cieniami pod oczami.

- Co się stało? - zapytała niespokojnie.

- Harvey nie żyje - wyjaśniła Maddie. - Eddie odchodzi od zmysłów z rozpacz, można by pomyśleć, że umarł tatuś, nie nietoperz! - dodała szeptem.

- Musimy urządzić mu odpowiedni pogrzeb. - Hanna pocałowała Eddie w czoło. - Gdzie chciałabyś go pochować?

- W ogrodzie - szlochała Eddie. - W pudełku...

- Jeżeli chcesz, wyrzeźbię dla niego mały nagrobek - zaofiarowała się Rita. - Powiesz mi, co ma przedstawiać, a ja postaram się, żeby wypadł jak najlepiej.

- Powinniśmy od razu poszukać jakiegoś ładnego pudełka, a potem zjeść śniadanie - powiedziała Hanna. - Nie możemy spóźnić się do kościoła...

Delikatnie poklepała Eddie po dłoni i wstała. Dziewczynka poszła za matką do spiżarni, skąd po chwili wyłoniła się z małym, ozdobnym pudełkiem w ręku. Z powagą umieściła w nim zwłoki Harveya.

- Chcę pochować go z moim niebieskim swetrem - oświadczyła, pociągając nosem.

Hanna oparła ręce na biodrach i westchnęła, niepewna, czy powinna ulegać takim ekstrawaganckim zachciankom.

- To chyba zupełnie niepotrzebne, kochanie... - zaczęła.

Eddie wyczuła słabość w głosie matki i natychmiast postanowiła to wykorzystać.

- Och, muszę to zrobić, mam, inaczej Harvey nigdy nie znajdzie spokoju!

- Ale ty nie masz wielu swetrów, a ten będzie na ciebie dobry jeszcze przez parę lat...

- Jestem gotowa poświęcić go dla Harveya. Przecież to tylko sweter, tymczasem Harvey był moim przyjacielem i żywą istotą!

Logika Eddie wytrąciła Hannie z ręki wszelkie argumenty.

- No, zobaczymy... - mruknęła i odwróciła się do kuchni, żeby przygotować owsiankę.

Maddie tak wystroiła się do kościoła, że wyglądała jak hollywoodzka aktorka, która przed chwilą zeszła z planu zdjęciowego. Pięknie uczesane włosy opadały na ramiona jak błyszczące zasłony, rzęsy były sztywne od tuszu, a paznokcie krwiście czerwone. Jej skóra promieniała wewnętrznym blaskiem, gładka i blada jak płatki orchidei, pokryte połyskliwą szkarłatną szminką wargi zamarły w uśmiechu, ponieważ tego dnia dziewczyna miała znowu zobaczyć Harry'ego Weavera. W holu długo stała przed lustrem poprawiając kapelusz i wygładzając oliwkowozielony kostium. Na widok córki Hanna wstrzymała oddech z zachwytem.

Humphrey zdecydował, że do kościoła pojedą samochodem. Droga rozmarzała i było bardzo ślisko, zza chmur co jakiś czas wychylało się słońce. Drzewa i krzewy lśniły, jakby ktoś udekorował je brylantami, a z dachów domów zwisały połyskujące srebrzyście sople lodu. Było przejmująco zimno, więc dziewczęta mocno przytuliły się do siebie na tylnym siedzeniu. Tylko Maddie wciąż było gorąco, a jej serce przypominało rozżarzony węgiel - wiedziała, że już niedługo zobaczy Harry'ego.

Humphrey zaparkował samochód przed kościołem i z radością zobaczył Treesa oraz Faye Boltonów, zmierzających na nabożeństwo wraz z Alice, jej mężem Geoffreyem, który niedawno wrócił z wojny, oraz dziećmi, ubranymi w eleganckie granatowe płaszczyki i kapelusze. Maddie wyglądała przez okno, niespokojnie szukając wzrokiem Harry'ego, lecz ku jej rozczarowaniu nie było go wśród tych, którzy właśnie wchodzili do kościoła.

Usiedli w ławce, pogodnie uśmiechając się do znajomych i przyjaciół. Tuż przed nimi siedziała znudzona ciotka Antoinette z mężem Davidem, który tym razem przyjechał do Frogal Point, co było prawdziwą rzadkością. Emily mrugnęła do Eddie, natomiast

William wyniośle wpatrywał się w przestrzeń, dając wyraz przekonaniu, że niepotrzebnie zaszczyca swoją obecnością tak mało ważną, prowincjonalną miejscowość. Kiedy do kościoła wszedł Harry Weaver, ubrany w nadgryziony przez mole tweedowy garnitur, prawie wszyscy odwrócili głowy, żeby przyjrzeć się niezgrabnemu przybyszowi. Maddie wyprostowała się i pomachała dłonią w rękawiczce, zapraszając go, aby usiadł z nimi. Harry był jej za to szczerze wdzięczny. Pośpiesznie przeszedł główną nawę, przygarbiony, z pochyloną głową, mocno zażenowany, że nagle znalazł się w centrum uwagi wszystkich obecnych. Skinął głową Hannie i Ricie, uśmiechnął się do Eddie i usiadł obok niej.

- Harvey nie żyje! - dramatycznie mruknęła dziewczynka.

- Strasznie mi przykro... - szepnął.

- Eddie czuje się zagubiona bez Harveya - powiedziała cicho Maddie.

- Wyobrażam sobie... Biedne dziecko...

Maddie zadrżała, czując muśnięcie jego oddechu na swojej skórze.

Kościół był pięknie udekorowany sosnowymi gałązkami i jaskrawoczerwonymi dzikimi jagodami. Wiejskie dzieci ubrały choinkę, wieszając na niej złociste bombki i malutkie figurki Świętego Mikołaja. Oświetlona blaskiem świec i promieniami słońca, wpadającymi przez okna, świątynia wyglądała wyjątkowo uroczyście i podniośle.

- Życzę wszystkim wesołych świąt! - Głos wielbnego Hammonda uciszył szmer rozmów.

Wierni usadowili się w jak najwygodniejszych pozycjach, świadomi, że nabożeństwo potrwa dość długo. Wielbny potoczył wzrokiem po zgromadzeniu i odetchnął z ulgą. Wiedźma z Elvestree nie zdecydowała się zaszczycić ich obecnością swoją i swoich kotów... Duchowny z drzeniem przypomniał sobie tamtą wiosenną niedzielę, która na zawsze wryła się w jego pamięć. Maddie przywarła do boku Harry'ego, a węgielek w jej piersi rozżarzył się jeszcze mocniej. Harry czuł się podobnie i z zakłopotaniem zdał sobie sprawę, że trzęsie mu się ręka, w której trzymał kartkę ze słowami hymnów. Nie zauważył, że Maddie wsunęła swoją kartkę do torebki - teraz miała pretekst, by zapytać go, czy może zerkać w jego kartkę, kiedy organy zaczęły grać.

Rita z trudem powstrzymywała łzy. Spojrzała na piękny profil siedzącej po drugiej stronie nawy Faye i uświadomiła sobie, że i ona tęskni za George'em. Trees śpiewał głośno, potwornie fałszując. Może on także dotkliwie odczuwał nieobecność syna, ale nie dawał tego po sobie poznać. Trees rzadko okazywał uczucia. Ostatni raz Rita widziała go zdenerwowanego jakieś dwa lata wcześniej, kiedy ktoś ukradł z farmy sadzonkę rzadko spotykanego czarnego orzechowca.

Wielebny Hammond wygłosił bardzo długie kazanie o znaczeniu świąt Bożego Narodzenia. Hanna była pewna, że niczym nie różniło się ono od zeszłorocznego, tyle że wielebny jeszcze trochę je rozbudował. Po pewnym czasie zgromadzeni zaczęli pokasływać i kręcić się w ławkach. Tylko Maddie i Harry siedzieli spokojnie, nieruchomi jak figuynki na choince i z każdą chwilą coraz bardziej świadomi tych części ciała, którymi się dotykali.

Po nabożeństwie Humphrey i Hanna złożyli życzenia przyjacielom i wsiedli całą rodziną do samochodu, aby jak najszybciej dojechać do Elvestree na świąteczny lunch. Bagażnik był pełen prezentów, starannie zapakowanych w kolorowy papier i ozdobne torebki.

- Maddie, jedź z Harrym, bo przecież on nie zna jeszcze drogi do Elvestree - zaproponował Humphrey, siadając za kierownicą.

Maddie pośpieszyła do wozu Harry'ego, lekko kołysząc się na wysokich obcasach i wypuszczając z ust obłoczki pary.

- Zaczekaj na mnie! - zawołała. - jadę z tobą!

Harry szybko pozbierał z przedniego siedzenia kartki rękopisu i stare gazety.

- Tata boi się, że nie trafisz - wyjaśniła zdyszana Maddie, sadowiąc się obok niego.

Harry uśmiechnął się, odrobinę zakłopotany, ale szczęśliwy.

- Doskonale... - powiedział.

Włączył silnik i skupił uwagę na drodze.

- Czy to twoja najnowsza książka? - Maddie wskazała na rozrzucone kartki.

- Nie - odparł Harry. - Niestety nie miałem czasu, żeby sprzątnąć w samochodzie. Zwykle zostawiam tu wszystko, co powinienem wyrzucić, ale z czym nie bardzo potrafię się rozstać...

- Co piszesz?

- Powieści.

- Są dobre?

Harry doszedł do wniosku, że bezpośredniość Maddie jest nieco krępująca.

- Tak uważają moi wydawcy.

- Jesteś sławny?

- Nie.

- A chciałbyś być znanym pisarzem?

- Nie.

- Dlaczego? - Rzuciła mu zaciekawione spojrzenie, nie mogąc zrozumieć, jak to możliwe, że nie chce zdobyć rozgłosu.

Harry uśmiechnął się pobłaźliwie. Wiedział, że tak młoda osoba nie ma pojęcia o zagrożeniach, jakie niesie sława.

- Ponieważ sławni ludzie tracą anonimowość i najczęściej także godność, nie wspominając już o zdrowym rozsądku. Nie chcę, żeby ludzie wiedzieli, kim jestem.

- Naprawdę? - zdumiała się.

- Rozumiem, że ty chcesz być sławna, prawda?

- Kiedyś chciałam zostać gwiazdą filmową, taką jak Lauren Bacall, ale teraz już nie - zapewniła go pośpiesznie Maddie.

Nie mogła przecież powiedzieć Harry'emu, że odkąd go poznała, pragnie poświęcić się obserwowaniu ptaków w Bray Cove.

- Jesteś bardzo mądra - rzekł Harry.

- Chcę malować ptaki - wyznała z dumą.

- I dobrze ci to wychodzi? - zapytał, naśladowując jej otwartość.

- Nieźle. Oczywiście muszę jeszcze sporo się nauczyć, jak mawia tata. Bardzo lubię ptaki, podobnie jak ty...

- Kocham wszystkie zwierzęta. Bray Cove to idealne miejsce dla ptaków, zresztą cały Devon wydaje się prawdziwym rezerwatem przyrody. Jestem bardzo szczęśliwy, że się tu przeprowadziłem.

- Gdzie jest twoja żona?

Harry milczał, zaskoczony, że Maddie wie o jego małżeństwie i rozwodzie.

- W Szkocji - odpowiedział po chwili.

- Dlaczego w Szkocji?

- Ponieważ wyszła za człowieka o nazwisku McInty - uśmiechnął się. - McInty ma zamek w Szkocji, a moja była żona uwielbia wielkie domy.

- Więc raczej nie spodobałoby jej się w Bray Cove, tak?

- Na pewno nie.

- Nie macie dzieci?

Harry potrząsnął głową i Maddie odetchnęła z ulgą. Nie wyobrażała sobie siebie w roli macochy. Harry spojrzał na nią kątem oka, ponieważ wydawało mu się, że w zamyśleniu wpatruje się w okno, lecz ona odwróciła się i pochwyciła jego spojrzenie, zanim zdążył odwrócić wzrok. Poczul, że krew napływa mu do policzków, i postanowił zmienić temat.

- Opowiedz mi o narzeczonym twojej siostry - poprosił.

- George jest teraz w Argentynie. Obiecał ożenić się z Ritą zaraz po powrocie, ale ja sędzę, że on nie wróci.

- Naprawdę?

- Jak mówi ciocia Antoinette, gdyby naprawdę ją kochał, nie zostawiłby jej tu samej.

- Cóż, jest w tym pewna logika - zgodził się.

- Rita jest beznadziejnie zakochana. Współczuję jej, bo wiem, co to miłość i jaki ból może sprawiać... - Maddie rzuciła Harry'emu znaczące spojrzenie i melodramatycznie westchnęła. - Ile masz lat?

Harry pokręcił głową i parsknął śmiechem.

- Jak na tak młodą osobę, zadajesz bardzo dziwne pytania - powiedział, nie kryjąc zaskoczenia.

- Czy to coś złego? - Maddie wyglądała na zranioną.

- Skądże znowu! - odparł łagodnie. - Po prostu nie spodziewałem się tego.

- Jeśli chcesz, możesz zapytać mnie o wiek, na pewno się nie obrażę. Mam dziewiętnaście lat - oznajmiła z szerokim uśmiechem, jakby oczekiwała pochwały za wielkie osiągnięcie.

- A ja trzydzieści sześć - rzekł Harry. Maddie otworzyła usta.

- Tylko trzydzieści sześć! - ucieszyła się, składając dłonie. - To wcale nie tak dużo!

- Mam nadzieję... - wymamrotał oszołomiony Harry.

- Nie, to naprawdę niedużo! Jesteś tylko... - Maddie pośpiesznie dokonała półgłosem niezbędnych obliczeń. - Jesteś tylko siedemnaście lat starszy ode mnie!

Wyprostowała się, zadowolona, że przynajmniej jedna przeszkoda na drodze do jej szczęścia okazała się wcale nie taka straszna.

Przejechali długą aleją wśród nagich, ściśniętych mrozem drzew i zaparkowali na wysypanym żwirem podjeździe przed Elvestree House. Mimo zimowej surowości krajobrazu dom emanował miłym ciepłem, a okna płonęły światłami i życiem. Słońce roztopiło piękne rysunki, które mróz nakreślił na szybach, śnieg leżał na dachu tylko w miejscach pogrążonych w głębokim cieniu. Z kominów ulatywał dym i cudowny zapach palącego się drewna natychmiast skojarzył się Harry'emu z jesiennymi sobotnimi popołudniami, kiedy ojciec podpalał w ogrodzie góry suchych liści.

Na prowadzących na ganek schodach podskakiwał gil, podrzucając okruszek chleba, i wcale nie odleciał na widok zbliżających się ludzi. Harry wszedł za Maddie do środka, przedtem jednak z podziwem przyjrzał się ogromnemu wiankowi z gałęzi świerkowych, owiniętemu czerwoną aksamitną wstążką, który zdobił drzwi do domu pani Megalith. Z salonu docierał do holu gwar ożywionych głosów oraz zapach cynamonu i pomarańczy, zmieszany z przytłaczającym aromatem perfum Antoinette. Eddie opowiadała wszystkim o śmierci Harveya i zapraszała na pogrzeb, który miał się odbyć o szóstej po południu w ogrodzie przy domu, pod jabłonią, ukochanym drzewem nietoperza, przede wszystkim ze względu na wiecznie latające wokół niego insekty. Nawet Antoinette nie śmiała źle mówić o zmarłych, zwłaszcza o Harveyu, i starając się podtrzymać świąteczny nastrój, ugryzła się w język, żeby nie zapytać Rite, co dzieje się z George'em. Ach, ta rodzinna polityka, pomyślała ze znużeniem, jakież to wszystko męczące... Jej mąż, tajemniczy David, stał przy oknie i z oburzeniem rozprawiał z Humphreym na temat okolicznych terenów, na które mieli chrapkę przedsiębiorcy budowlani.

- Co stanie się z naszą fauną i florą, pytam? - wykrzyknął przejęty Humphrey. - Bo że krajobraz zmieni się na niekorzyść, to chyba oczywiste...

- Ludzie budują teraz zupełnie bez zastanowienia - wtórował mu David. - Naturalnie, mniej zamożni muszą gdzieś mieszkać, nie przeczę, ale co zostawimy po sobie naszym potomkom, którzy przyjdą na świat za jakieś pięćdziesiąt lat...

Maddie weszła z Harrym, który garbił się i usiłował w jak najmniejszym stopniu rzucać się w oczy.

- Madeleine, chodź tutaj i pomóż mi napęłnić kieliszki - rozległ się gromki głos pani Megalith, która nalewała właśnie szampana dla gości. - Wszyscy mają ochotę się napić... Ach, pan Harry Weaver, czy tak? Bardzo się cieszę, że wreszcie mam okazję pana poznać! Wyprostuj się, drogi chłopcze, bo zrobi ci się garb! - dodała, podając Harry'emu kieliszek. - Ten rarytas stał w mojej piwnicy przez kilkanaście lat. Mój Denzil lubił robić zapasy dobrego alkoholu, ale sam za nim nie przepadał. Tym lepiej dla nas, prawda?

Harry wziął kieliszek i wyprostował się. Był o co najmniej półtorej głowy wyższy od wszystkich gości. Pani Megalith przeszła obok niego, kuśtykając, ubrana w fioletową suknię, która niczym potężny namiot opadała z jej wydatnego biustu aż do stóp. Wyglądała jak prawdziwa czarownica. Palce rąk błyszczały od pierścieni z kryształami, na dekolcie hipnotyzującym ruchem kołysał się lśniący księżycowy kamień, włosy podpięła wysoko spinkami ozdobionymi drobnymi ametystami.

Nagle zatrzymała się jak wryta, zamrugła, zdumiona mglistą wizją, która ukazała się jej przed oczami, i bardzo powoli odwróciła się, trochę bledsza niż przed chwilą.

- Dobry Boże! - zawołała cicho, patrząc na Harry'ego i Maddie. - A niechże mnie... Coś takiego...

- Dobrze się czujesz, babciu? - Rita na moment oderwała się od smutnych myśli.

- Lepiej niż kiedykolwiek. Myślałam, że tylko koty mają takie szczęście...

I pani Megalith z zadowoleniem mlasnęła wargami. Rita rzuciła jej zaskoczone spojrzenie, lecz Megababcia zbyła ją machnięciem dłoni.

- Takie tam brednie starej kobiety, która otrzymała od Boga wielki dar i wciąż nie może się temu nadziwić... - powiedziała. - Nie przejmuj się, nic mi nie jest. Nie dostałaś ostatnio listu od George'a, kochanie?

Rita z rezygnacją pokręciła głową.

- Jeszcze nie, ale na pewno już go wysłał. Nie tracę do niego zaufania, babciu.

- I bardzo dobrze, skarbie. - Pani Megalith ze współczuciem poklepała ją po ramieniu. - Ze wszystkich znanych mi osób właśnie ty najbardziej zasługujesz na szczęście... - Odwróciła się i zmrużyła

jasne oczy, uważnie przyglądając się Maddie. - Trzeba jednak przyznać, że czasami nagrodę otrzymują ci, którzy wcale na nią nie zasłużyli...

Rozdział siedemnasty

George napisał do Rity tuż przed Bożym Narodzeniem, ponieważ doszedł do wniosku, że będzie jej lżej, jeśli otrzyma list już po świętach. Nie mógł zasnąć i długo siedział na łóżku, chociaż jego ciało było znużone po całym dniu, spędzonym w polu z gauczami. Wyczuwał obecność Susan w pokoju za ścianą i podobnie jak ona nadstawiał uszu, starając się wychwycić jakikolwiek dźwięk. Godzinę wcześniej słyszał, że zamknęła drzwi, i wyobraźnia natychmiast podsunęła mu jej obraz, rozbierającej się i układającej w łóżku, może czytającej i wreszcie gaszącej światło. Pożądał jej każdym mięśniem, każdą cząstką ciała. Pragnął kochać się z nią, całować ją, głaskać, obdarzać pieścizotami i rozkoszą, lecz jeszcze bardziej chciał po prostu leżeć obok niej i przez całą noc trzymać ją w ramionach. Zastanawiał się, jak długo powinien czekać. Susan nie była niewinną dziewczyną, ale nie ulegało wątpliwości, że została potwornie zraniona. Przez swą postawę, sposób bycia i zachowanie zasługiwała na ogromny szacunek, ale on dostrzegwał w niej przede wszystkim wielką potrzebę zaufania drugiemu człowiekowi. Tylko czas i cierpliwość mogły wygnać demona przeszłości, który wciąż ją prześladował.

Oparłszy się pokusie, aby już teraz, bez chwili zwłoki zapukać do jej drzwi, usiadł przy biurku i zaczął pisać.

Kochana Rito,

To najtrudniejszy list, trudniejszego na pewno nigdy nie będę musiał napisać. Nie ma prostych, łatwych słów, jakimi można wyrazić to, co mam Ci do powiedzenia. Żałuję, że nie mogę stanąć przed Tobą i wziąć Cię za rękę. Mógłbym przytulić cię i niewykluczone, że wtedy rozstalibyśmy się jako przyjaciele, którzy mimo wszystko dobrze się rozumieją. Widzisz, nie byłem z Tobą zupełnie szczery, nie zachowałem się wobec Ciebie całkowicie uczciwie. Bałem się, że Cię zranię, co było absurdalne bo teraz muszę zadać Ci jeszcze większy ból. Nie mogę się z Tobą ożenić, chociaż nadal kocham Cię jak brat siostrę. Nie jestem już tym George'em, którego znałaś, tamten zginął gdzieś nad udręczoną wojną Anglią. Postanowiłem zostać w Argentynie na stałe. We Frogmal Point było mi zbyt ciasno i duszno, musiałem znaleźć nowe miejsce do życia. Tutaj jestem szczęśliwy. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem Ci wdzięczny za to, że czekałaś na mnie przez te wszystkie lata, kiedy Twoje wsparcie

znaczyło dla mnie więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Świadomość, że jesteś przy mnie, trzymała mnie wtedy przy życiu. Przepraszam, że Cię zawiodłem, przepraszam, że Cię zraniłem. Kiedy myślę o Twojej zasmuconej twarzy, serce pęka mi z żalu. Proszę, wybacz mi. Życzę Ci szczęścia. Jesteś młoda i piękna, i na pewno szybko znajdziesz kogoś, kto zajmie moje miejsce w Twoim sercu. Dziękuję Ci także za to, że dałaś mi wszystko, co jest w Tobie najlepsze. Chwile, które z Tobą spędziłem, byty najwspanialszą częścią mojego życia.

George

Otarł pot z czoła wierzchem dłoni i jeszcze raz przeczytał list. Długo męczył się nad niektórymi zdaniami, próbując je zmienić. Miał nadzieję, że nie był zbyt szorstki, i rozważał niektóre zwroty z punktu widzenia Rity, starając się upewnić, że zrozumie to, co chciał przez nie powiedzieć. Doskonale znał Ritę i wiedział, że ten list złamie jej serce.

Następnego dnia rano dał list Agacie razem z drugim, dla matki, w którym wyjaśnił, jaką podjął decyzję i co zrobił. Przy śniadaniu Susan zauważyła, że jego twarz była dziwnie napięta, a skóra poszarzała pod opalenizną. Natychmiast domyśliła się, co było tego przyczyną, natomiast Agatha uznała, że George cierpi z tęsknoty.

- Najlepszym na to lekarstwem jest ciężka praca - oznajmiła. - Zajmij się czymś i spróbuj o niej nie myśleć, mój drogi. Nie wytrzymasz długo z takim miękkim sercem. Najbardziej przydałaby ci się jakaś miła, ładna Argentynka, mówię ci. Nie ma sensu wciąż tęsknić za kobietą, która jest na drugim końcu świata. Miłość na dystans nigdy się nie sprawdza, możecie mi wierzyć...

George nie wyprowadził ciotki z błędu, ale pod koniec dnia, kiedy znowu został sam na sam z Susan, wreszcie mógł podzielić się swoimi obawami z kimś, kto świetnie go rozumiał.

- Czuję, że postąpiłem okrutnie... - powiedział, siadając obok niej na niewielkiej plecionej sofie na biegunach pod werandą.

Susan ujęła jego dłoń i mocno ją ścisnęła.

- Zrobiłem, jak radziłaś, i nie napisałem ani słowa o tobie - dodał.

- To dobrze - odparła cicho. - Za nic nie chciałabym być przyczyną jej rozpacz... Wiem, jak to jest, kiedy pęka ci serce...

Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

- A wiesz, jak to jest, kiedy serce znowu jest całe? - zapytał łagodnie.

- Tak mi się wydaje - odpowiedziała, nie spuszczać wzroku z jego twarzy. - I pomyśleć, że uważałam cię za niedojrzałego chłopca...

- Cieszę się, że zmieniłaś zdanie.

- Och, jestem gotowa przyznać się do błędu...

Nagle George, ogarnięty wielkim pragnieniem, zacisnął dłonie na jej ramionach i odwrócił ją twarzą do siebie.

- Nie chcę, żebyś po Bożym Narodzeniu wróciła do Buenos Aires - zaczął. - Chcę, żebyś została tutaj i wyszła za mnie.

Podświadomie spodziewał się, że Susan parsknie tym pobłażliwym śmiechem, który tak go denerwował. Wiedział, że gdyby powiedział to samo na statku, bezlitośnie by go wyśmiała, nie miał co do tego cienia wątpliwości, ale teraz nie zrobiła tego.

- Nic o mnie nie wiesz - zaprotestowała słabo.

- Więc opowiedz mi o sobie. Daję ci słowo, że żadna część twojej przeszłości nie może być na tyle zła, abym przestał cię kochać. Oczarowałaś mnie, jestem pod twoim urokiem, nie wiesz tego? Kocham wszystko, co jest tobą i z tobą się wiąże. Kocham w tobie nawet to, o czym nic nie wiem...

Susan spuściła oczy, przez jej twarz przemknął wyraz goryczy. - Opowiem ci o sobie, jeżeli przyrzekniesz, że nie będziesz się nade mną litował...

- Przyrzekam.

- Nienawidzę sentymentalnych wzruszeń - ostrzegła go. - I doskonale wiem, że wiele ludzi ma za sobą o wiele trudniejsze przeżycia...

- Przyrzekam - powtórzył.

Westchnęła ciężko i oparła głowę o sofę.

- Byłam zaręczona - zaczęła. - Z Anglikiem, który nazywał się John Haddon. Byłam w nim bez pamięci zakochana. Znaliśmy się kilka lat i z każdym rokiem kochałam go coraz bardziej. Cała ta historia musiała zakończyć się małżeństwem, to było oczywiste. Oboje pragnęliśmy być ze sobą, musieliśmy tylko zalegalizować nasz związek... - Zawahała się i utkwiała wzrok w ciemności, jakby obawiała się, że jej demony czyhają gdzieś w pobliżu, może za kępą krzewów. - Wtedy zaszłam w ciążę - podjęła spokojnie, chociaż jej głos stał się niski i przyciszony.

George współczuł jej w milczeniu. Nic dziwnego, że z takim smutkiem patrzyła na tulące się do niej dzieci w Santa Catalina.

- John był zachwycony, przyspieszyliśmy termin ślubu. - Położyła rękę na brzuchu i wykonała lekki, pieszczotliwy gest. - Czułam się fatalnie, ciągle chciało mi się spać i miałam mdłości, ale to wszystko było bez znaczenia, bo nosiłam w sobie dziecko. Matka gotowa jest wszystko znieść dla dziecka... Pewnego dnia poszłam z Johnem na pole golfowe, żeby obserwować jego grę. Nie wiem, jak to się stało, chyba był roztargniony, ale gdy wykonał zamach kijem, końcem trafił mnie w twarz...

George z najwyższym trudem ukrył przerażenie. Już chciał otoczyć Susan ramieniem, ale przypomniał sobie złożoną obietnicę i szybko opuścił rękę za jej plecami.

- Ocknęłam się w szpitalu, z połową twarzy pulsującą koszmarnym bólem. Ból to dziwna rzecz - kiedy go odczuwasz, trudno ci uwierzyć, by ktoś inny mógł go znieść i przeżyć. Tak czy inaczej, ja przeżyłam. Lekarze zszyli ranę i założyli opatrunek. Dostałam mnóstwo środków przeciwbólowych, ale mimo to cierpiałam. John był zrozpaczony, nie wiedział, co ma ze sobą zrobić, na pewno możesz to sobie wyobrazić... Miał wyrzuty sumienia, wciąż mnie przeproszał. Ja znacznie bardziej niepokoiłam się, czy nic nie stało się dziecku, ale okazało się, że wszystko jest w jak największym porządku. Oczywiście, musieliśmy odwołać, a raczej odłożyć ślub. Pamiętam, że ciągle stawiałam sobie pasjansa w szpitalnym łóżku... - Zaśmiała się gorzko. - Wreszcie zdjęli mi bandażę i stanęłam dosłownie twarzą w twarz z koszmarem, z okropnym oszpeceniem które miało mi towarzyszyć do końca życia. Widzisz, kiedyś byłam bardzo próżna, traktowałam moją urodę jako oczywistość, jako coś co mi się należało. Pełne podziwu spojrzenia sprawiały mi przyjemność... I nagle odkryłam, że wyglądam jak potwór. Uroda to krucha rzecz... Może głupio to brzmi, ale to było porównywalne do utraty nogi lub ręki... Musiałam nauczyć się żyć z tym od nowa. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo piękna kobieta wierzy w swój wygląd... Zaraz potem John zerwał nasze zaręczyny. Nie mógł pogodzić się z myślą, że będzie miał brzydką, oszpeconą żonę. George wstrzymał oddech, przerażony i wściekły.

- Drań! - syknął cicho.

- Tak, John jednak nie był człowiekiem, za jakiego go uważałam. Przeżywałam wtedy trudne chwile.

- Co stało się z dzieckiem? - zapytał łagodnie.

Aż do tej chwili Susan panowała nad sobą, lecz teraz, gdy George dotknął najwrażliwszej struny, jej głos zdrzął.

- Poroniłam... - szepnęła.

Zabrzmiało to o wiele gorzej niż wypowiedziane na głos.

- Z powodu wstrząsu po wypadku?

- Nie... - westchnęła. - Sądzę, że z powodu złamanego serca...

- Mój Boże, tak mi przykro! - jęknął George. W jego oczach zabłyśły łzy współczucia.

- Obiecałeś, że nie będziesz się nade mną litował! - zaprotestowała gniewnie, kiedy wziął ją w ramiona i przycisnął wargi do jej skroni. - Nie chcę twojej litości...

Próbowała go odepchnąć, lecz on trzymał ją mocno, aż w końcu zrezygnowała, poddając się jego sile.

- Nie lituję się nad tobą - powiedział. - Po prostu właśnie zdałem sobie sprawę, że kocham cię jeszcze mocniej, niż myślałem. Zamierzam ożenić się z tobą i dbać o ciebie do końca życia.

*

Tej nocy, po dusznym, parnym dniu, spadł ulewny deszcz. Susan narzuciła na ramiona szlafrok. Skórę miała jeszcze wilgotną no kąpieli, krew pulsowała w skroniach. Drżącą ręką pchnęła drzwi swojego pokoju i wyszła na wykładany kamiennymi płytami korytarz. Latarnie na werandzie kołysały się pod wpływem wiatru, wielkie krople deszczu mocno uderzały o szyby w holu, rzucając na białe ściany ruchome, rozmyte cienie. Susan przesunęła palcami po szyi, gdzie skóra była gorąca i miękka, wyprostowała się, odwróciła i stanęła przed drzwiami George'a. Chwilę się wahała, lecz świst szalejącej na zewnątrz wichury umocnił ją w podjętym postanowieniu. Tej nocy nie chciała być sama. Położyła dłoń na metalowej gałce i przekreśliła ją. Drzwi otworzyły się bezszelestnie i łatwo, jakby sam los sprzyjał jej zamiarom.

George leżał na plecach, do połowy nakryty prześcieradłem, którego biel podkreślała brązową opaleniznę jego atletycznego torsu. Jego zapach mieszał się w pokoju z naturalnymi zapachami farmy - aromatem mokrej trawy, eukaliptusa, jaśminu, skóry i koni. Susan wzięła głęboki oddech i lekkim krokiem podeszła do łóżka. George otworzył oczy i ujrzał ją stojącą nad sobą, spowitą w cienki, biały szlafrok, rozświetlony blaskiem księżyca. Nie powiedział ani słowa,

przesunął się tylko i odrzucił prześcieradło, aby zrobić dla niej miejsce.

Długą chwilę stała przy łóżku, ośmielona jego uśmiechem. Powoli zdjęła szlafrok, potem zaś zsunęła cienkie ramiączka nocnej koszuli i pozwoliła, aby ona także opadła na ziemię, tworząc białą plamę wokół stóp. Rozhuśtane wiatrem lampy na werandzie oświetliły nagie ciało. George ogarnął wzrokiem łagodne wzniesienia piersi, bioder i ud. Susan miała pewność, że w tym łagodnym świetle wygląda równie pięknie jak kiedyś. Powoli położyła się obok George'a, który wziął ją w ramiona, wyjął spinki z jej włosów i zanurzył w nich dłonie, każąc im splątaną chmurą opaść na ramiona. Jego pocałunek był niespieszny, badawczy i czuły. Susan bez reszty poddała się pragnieniu, które zapierało jej dech w piersiach. George ją zaskoczył. Nie śpieszył się, ponieważ chciał nacieszyć się każdym centymetrem jej ciała, ale jednocześnie okazał się zdecydowany i władczy - był mężczyzną, w którym się zakochała, nie chłopcem, z którego śmiała się na pokładzie „Fortuny”. Chłopięcy był tylko jego entuzjazm i Susan pozwoliła ogarnąć się ciepłej fali wdzięczności. Całowała go namiętnie, upojona zapachem jego rozgrzanego ciała i dotykiem. George uśmiechnął się do niej. Przepęłniała go wielka radość, bo Susan była kobietą która nie wstydziła się swego doświadczenia i umiejętności dawania rozkoszy mężczyźnie.

Wyczerpani leżeli później spokojnie, rozmawiając i ciesząc się sobą do chwili, gdy burza i ulewa ustały i pierwsze promienie słońca padły na mokre równiny i pagórki. Susan była szczęśliwa że znalazła w sobie dość odwagi, aby kochać się z innym mężczyzną. Jeszcze do niedawna wydawało jej się to niemożliwe, lecz George zredukował wszystkie jej przeżycia do takiego poziomu, że mogła bez trudu odsunąć je na bok. Nagle odkryła, że jej koszmary ustępują tak łatwo, jakby były utkane z cieniuteńkiej pajęczyny.

Rita patrzyła, jak topnieje śnieg, a wraz z nim jej nadzieje na przyszłość. List od George'a nie przyszedł ani w tygodniu po świętach, ani w następnym. Maddie rzadko bywała teraz w domu - większość czasu spędzała w Bray Cove, malując lub organizując biuro Harry'emu, wreszcie udało jej się wkroczyć w jego życie. Miłość uczyniła z niej sprawną sekretarkę, co zaskoczyło ją samą nie mniej niż jej matkę. Nie zależało jej na pensji, wystarczało jej, że jest blisko

ukochanego, ale chociaż flirtowała z nim i zachęcała go, Harry nie dopuszczał do żadnego zbliżenia.

W końcu pewnego ranka John Toppit przyniósł Ricie list od George'a. Przyjęła go ze łzami ulgi i wdzięczności, nawet zawstydzenia, że okazała się tak słaba, aby wątpić w człowieka, który wyznał jej miłość i obiecał małżeństwo. Pośpiesznie włożyła buty i nieprzemakalny płaszcz, chwyciła wielki parasol i pobiegła na klify z listem wsuniętym głęboko do kieszeni. Z pełnym radości sercem słuchała lekkiego stukania deszczu o płótno parasola i rozglądała się dookoła, po raz pierwszy od dawna dostrzegając piękno nagich, ogołoconych z liści drzew i zasnutego szarymi chmurami nieba. Z oddali dobiegał ją odgłos fal uderzających o skały, wiatr niósł słony zapach ozonu i mokrego piasku. Wysoko na klifach było bardzo wietrznie, tak jak lubiła. Usiadła pod parasolem niewielkim skalnym garbem. Tym razem trzymała kartkę mocno i ostrożnie, aby nie stracić kolejnego cennego listu. Długo przyglądała się wypisanemu ręką George'a na kopercie adresowi, potem, z uczuciem radosnego podniecenia i oczekiwania, wyjęła cieniutką kartkę, przejrzystą jak skrzydła motyla. Powoli przeczytała, co chciał jej powiedzieć, i gardło jej się ścisnęło, jakby jakaś niewidzialna ręka lodowatymi palcami usiłowała zadławić ją na śmierć. Z trudem chwytiała powietrze, starając się zrozumieć słowa George'a, ale kartka drżała jej w dłoni tak mocno, że nie była już w stanie nic przeczytać. Przed oczami miała jedynie mroczną, ponurą przyszłość, która sięgała daleko, daleko, dalej niż szare niebo i morze, zimna, pusta i zupełnie obca. Rita nie wyobrażała sobie życia bez George'a, nie wiedziała, czy i jak może bez niego istnieć.

Kiedy przeczytała list kilkanaście razy i nauczyła się go na pamięć, schowała kartkę do kieszeni i podciągnęła kolana wysoko pod brodę. George był dla niej wszystkim, kochała go mocniej niż życie. Nie widziała żadnego powodu, aby żyć dalej. Po płaczu pojawiło się puste uczucie rezygnacji i dziwny spokój. Niepokojący spokój. George odebrał jej swoją miłość - było to tak, jakby pozbawił ją dostępu do życiodajnego tlenu. Uświadomiła sobie, że nie będzie miała domu, dzieci i niedzielnych rodzinnych posiłków w kuchni pachnącej świeżo upieczonym chlebem i smakowitym gulaszem. Teraz czekała ją tylko cisza i sterylna samotność, podobna do olbrzymiej pustyni, na której nic nie może wyrosnąć.

Powoli wstała. Nogi jej drżały, ale jakoś dotarła na krawędź zbocza. Trzymała parasol w rękach, dopóki wiatr go nie wyrwał, i nawet nie spojrzała w dół, gdzie spadł na skały i podarł się na strzępy. Po prostu wypuściła go z rąk i nadal patrzyła prosto przed siebie. Zobaczyła, jak samotna mewa leci wysoko, raczej na skrzydłach wiatru niż własnych, i powoli rozpostarła ramiona. Nagle zapragnęła pofrunąć jak ona. Ptaki były wolne, niczym nie spętane. To musi być cudowne uczucie tak unosić się i opadać, pozwalać nieść się wiatrowi wysoko nad ziemią... Gdyby teraz znalazła się wśród chmur, ziemia nie mogłaby jej zranić. Byłaby zbyt wysoko i daleko, aby cokolwiek mogło ją dotknąć. Oderwana od życia i cudownie nieświadoma dotkliwych ukłuć codzienności, widziałaby zieleń pól, błękit morza, piękno lasów i rzek, a nie brzydotę odrzucenia i beznadziejność ludzkiej walki. Na co komu miłość? Była głupia, że w nią wierzyła.

Podeszła jeszcze bliżej brzegu urwiska. Nie patrzyła w dół, wciąż wpatrywała się w żeglującą na wietrze samotną mewę. Promień słońca przeniknął przez chmury i oświetlił końce skrzydeł ptaka, zapalając je jak świece. W tej właśnie chwili przed Ritą otwarło się niebo, obiecując jej ucieczkę przed rozpaczą. Pozwoliła, aby mocny podmuch uniósł jej ramiona. W górę i w dół, w górę i w dół... Czuła się jak ptak, ramiona przypominały skrzydła, lekkie, gotowe do lotu... Nie miała już nad nimi kontroli. Zamknęła oczy i poczuła drobne krople deszczu na twarzy. Ciemność niesła ukojenie. Wiatr rzucił jej włosy na policzki, przesunął nimi po wargach. Odrzuciła głowę do tyłu, zdając się na wicher, czekając, aby zabrała ją do nieba, w sam środek ciszy i zapomnienia.

Wtedy dwa ramiona otoczyły jej talię i szarpnęły do tyłu. Wyrwana ze spokoju zbliżającej się śmierci, krzyknęła i upadła na ziemię. Oślepiąca wściekłością, zaczęła wyrywać się intruzowi, który odciął jej jedyną dostępną drogę ucieczki. Potoczyli się po trawie, dysząc jak zmęczone psy. Rita usiłowała wbić paznokcie w twarz mężczyzny, szarpała jego włosy, ubranie, za wszelką cenę usiłowała oswobodzić się z jego uścisku i rzucić w dół. Z jej gardła wydobył się dziwny dźwięk, rozpaczliwe ni to zawroźnienie, ni to wycie, bardziej zwierzęce niż ludzkie. Chmury zasłoniły promień słońca i mewa zniknęła we mgle. W końcu mężczyzna, wyższy i silniejszy od niej, zdołał unieruchomić ją na ziemi. Zamrugowała szybko i nagle zorientowała się, że patrzy prosto w napiętą, podrapaną do krwi twarz

Harry'ego Weavera, który z trudem łapał oddech i ocierał z czoła pot i brud.

- Mój Boże! - wydyszał. - Co ty robisz, Rito?!

Jego głos przeniknął przez jej otepiałe zmysły i nagle pojęła, jak mało brakowało, aby dobrowolnie rzuciła się w objęcia śmierci. Zaczęła drżeć na całym ciele.

- George... - zajęczała wysokim, obcym głosem. - George...

Nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Próbowwała wciągnąć powietrze głębiej, ale mięśnie szyi i klatki piersiowej boleśnie nacięły się z przerażenia. Harry podciągnął ją do pozycji siedzącej i pchnął głowę w dół.

- Oddychaj, oddychaj... - ponaglał ją. - Spokojnie, nic ci się nie stało...

- George już mnie nie kocha! - wyrzuciła z siebie, gdy odzyskała głos.

Harry mocno przytulił ją do piersi.

- Tak mi przykro, tak mi przykro... - powtarzał. - Biedactwo... Wszystko będzie jeszcze dobrze, zobaczysz...

Jednak Rita wiedziała, że nie będzie dobrze. Przekroczyła próg piekła i tylko George mógł pomóc jej wrócić do normalnego życia.

Bray Cove znajdowało się niedaleko. Harry podniósł Ritę, objął ją w pasie i tak powoli ruszyli w kierunku jego domu. Drugą ręką trzymał parasol, który spadł na niego, kiedy z plaży obserwował mewy. Wyczuł, że na klifie dzieje się coś złego, i popędził na górę. Gdyby przybiegł kilka sekund później, Rita runęłaby w dół. Stała z szeroko rozłożonymi ramionami i odchyłoną do tyłu głową, biała jak prześcieradło, przerażająca... Harry nie miał pojęcia, o czym myślała, ale wiedział jedno - żaden mężczyzna nie zasługiwał na to, aby umarła z jego powodu.

W domu napuścił gorącej wody do wanny i zostawił Ritę w swoim pokoju, żeby się ogrzała. Była zupełnie przemoczona. Postawił czajnik na kuchni i zadzwonił do Hanny, która skontaktowała się z Humphreym i kazała mu natychmiast wracać do domu, ponieważ ich najstarsza córka próbowała popełnić samobójstwo. Eddie była w szkole, natomiast Maddie tkwiła przed lustrem w swoim pokoju, malując się przed umówionym spotkaniem z Harrym.

- Maddie, jedziemy do Bray Cove! - zawołała Hanna. Maddie usłyszała przestrach w głosie matki i natychmiast zbiegła na dół.

- Co się stało? - zapytała, przekonana, że coś złego przydarzyło się Harry'emu.

- Rita próbowała skoczyć z klifu...

Maddie zbladła gwałtownie.

- Podobno dostała list, w którym George zerwał zaręczyny. Napisał, że już jej nie kocha. Harry uratował jej życie.

- Och, Harry to prawdziwy bohater! - zachwyciła się Maddie

- Nigdy nie zdołamy mu się za to odwdziżyć - odparta matka, wychodząc prosto w deszcz.

No wreszcie, pomyślała z radością Maddie. Dadzą mnie Harry'emu jako nagrodę...

Kiedy Hanna zjawiała się w Bray Cove, skulona Rita siedziała przed kominkiem, otulona szlafrokiem Harry'ego. Wyglądała przejmująco mizernie.

- Moje kochane dziecko! - szepnęła Hanna ze wzruszeniem. Chwyliła córkę w ramiona, a ona przytuliła się do niej i zalała łzami.

- Jesteśmy ci niezmiernie wdzięczni - odezwała się Maddie, idąc za Harrym do kuchni. - Co się stało?

Harry czuł ulgę, że ma z kim porozmawiać. Hanna i Rita potrzebowały teraz trochę czasu i spokoju.

- Co napisał George? - zapytała Hanna, głęboko dotknięta widokiem załamanej córki.

Rita wyjęła kartkę z kieszeni szlafroka i podała ją matce. Hanna z ciężkim westchnieniem przebiegła list wzrokiem. Potem złożyła ją i oddała.

- Zupełnie tego nie rozumiem... - Pokręciła głową. - Jak on mógł tak cię zawieść, po tylu latach oczekiwania... - Odgarnęła mokre włosy z czoła córki i delikatnie pogłaskała ją po policzku. - Co się stało na klifie?

Oczy Rity wypełniły się łzami.

- Chciałam umrzeć... - wyznała łamiącym się głosem.

- Och, kochanie, nie powinnaś tak myśleć! Nikt nie jest wart tego, aby dla niego umrzeć! Wyjdiesz z tego i zaczniesz żyć od nowa, zobaczysz...

- Nie potrafię...

- Bo na razie jest jeszcze na to za wcześnie, ale później, kiedy otrząsniesz się z szoku, powoli dojdiesz do siebie. Wszyscy ci w tym

pomożemy, ojciec i ja, Maddie i Eddie. Kochamy cię i zadbamy o ciebie...

Rita utkwiała wzrok w płonącym na kominku ogniu.

- Zależało mi tylko na George'u - powiedziała. - Był wszystko czego pragnęłam od życia. Czekałabym na niego bez końca... Kiedy przestał mnie kochać?

- Nie wiem, to wszystko jest dla mnie niepojęte - sapnęła gniewnie Hanna. - Gdy wyruszał do Argentyny, robił wrażenie bardzo zakochanego...

Miała ochotę zabić George'a za to, że tak boleśnie skrzywdził jej dziecko.

- Powinam była odgadnąć, co się dzieje, kiedy powiedział, że chce znowu wyjechać. - Rita powoli pokiwała głową. - Ciotka Antoinette miała rację, gdyby naprawdę mnie kochał, nie zostawiłby mnie, prawda? Teraz wydaje mi się, że przestał mnie kochać latem. Czułam, że odsuwa się ode mnie, ale nie chciałam się do tego przyznać... Życie bez George'a było dla mnie niewyobrażalnym koszmarem, nie potrafiłam o tym myśleć, więc udawałam, że wszystko jest w porządku... Sądzisz, że wyjechał, żeby ode mnie uciec?

- Nie, w żadnym razie - zaprotestowała Hanna. - Chciał uciec z Frognał Point, nie od ciebie. Jestem pewna, że George sam nie wie, czego chce. Najprawdopodobniej dręczyły go wyrzuty sumienia, że poprosił, abyś na niego czekała, więc uznał, że lepiej będzie, jeżeli zwróci ci wolność...

- Nie wydaje ci się, że po prostu poznał tam inną dziewczynę? - zapytała Rita z niepokojem w oczach.

- Spędził tam dopiero parę miesięcy i naprawdę nie sądzę, aby cała ta sytuacja miała coś wspólnego z inną kobietą.

Rita wyprostowała się odrobinę.

- Może wróci po roku, tak jak planował... - szepnęła z nadzieją.

- No, właśnie, kto wie... Nie poddawaj się, kochanie. Tak czy inaczej, nie podejrzewałam, że taki z niego głupiec. Jesteś śliczną dziewczyną i ani się obejrzyysz, a już zakręci się koło ciebie ktoś inny...

- Ale ja nie chcę nikogo innego.

- Oczywiście, że nie, skarbie... - Hanna pogłaskała ją po dłoni i utkwiała spojrzenie w oknie.

Obie drgnęły, słysząc warkot podjeżdżającego samochodu Humphrey zatrzasnął drzwiczki i szybko wszedł do holu. Z wdzięcznością poklepał Harry'ego po ramieniu i zapytał, gdzie jest Rita.

- Co ci wpadło do głowy, na miłość boską?! - wykrzyknął, stając na środku pokoju, z dłońmi opartymi na biodrach.

Jego twarz była szara jak popiół, kępki siwych włosów nad uszami lśniły od deszczu.

- Wszystko jest już w porządku, mój drogi - spokojnie odezwała się Hanna. - Rozmawiałam z Ritą i doszliśmy do wniosku, że to była pomyłka...

- Pomyłka? - wykrztusił Humphrey. - A gdyby Harry'ego nie było na plaży?!

- Ale Harry był na plaży - powiedziała z naciskiem Hanna, siłąc się na cierpliwość i wzrokiem każąc mężowi wziąć się w garść. - I Ricie nic się nie stało... Musimy spojrzeć na tę sytuację z właściwej perspektywy.

Usiłowała zachować spokój, ale w głębi duszy równie dobrze jak Humphrey wiedziała, jak mało brakowało, by stracili córkę.

- Ach, ty głupia dziewczyno... - Humphrey przyklęknął obok Rity i objął ją mocno. - Śmiertelnie mnie przestraszyłaś!

- Przepraszam, tato.

- Co ci przyszło do głowy? - powtórzył. - George nie jest tego wart! Nie ulega wątpliwości, że nie jest człowiekiem, za jakiego go mieliśmy... Jesteś za dobra dla niego, do cholery!

- Zgadzam się - odezwała się Maddie z progu pokoju, gdzie stała obok Harry'ego. - George nie zasługuje na taką dziewczynę jak ty! Dzięki Bogu, że akurat byłeś na plaży, Harry! Nie wiem, jak ci dziękować, że uratowałeś Ritę...

Humphrey podniósł się z kolan.

- Maddie ma rację - rzekł. - Nie chcę myśleć, co by się stało, gdyby nie ty. Nigdy nie zdołamy ci się odwdziżyć.

Harry uśmiechnął się skromnie i spuścił oczy.

- To nic takiego... - powiedział nieśmiało. - Każdy zrobiłby to samo...

- Spójrzcie, jaki jest podrapany. - Maddie wyciągnęła rękę, aby dotknąć jego twarzy.

Krew zdążyła już zaschnąć, podobnie jak błoto, którego smugi Harry miał na policzkach, lecz jego włosy nadal były wilgotne i pełne źdźbeł trawy. W dłoniach trzymał filiżankę z herbatą, próbując ukryć ich drżenie. Przed oczami wciąż miał obraz Rity, chwiejącej się na krawędzi skalistego zbocza.

- Rita musiała walczyć jak dzika kocica... - mruknęła Maddie.

Delikatnie przesunęła palcami po policzku Harry'ego, on jednak czuł się nieswojo, odkąd znalazł się w centrum uwagi.

- Była przestraszonym, nieprzytomnym z bólu dzieckiem - wymamrotał, cofając się z zasięgu ręki Maddie.

Rita podniosła się z krzesła.

- Pójdę się przebrać - powiedziała. - Chcę jechać do domu...

Mijając Harry'ego, zmusiła się do słabego uśmiechu.

- Przepraszam, że cię podrapałam.

- Nie ma za co - odparł.

Rita powoli wyszła z pokoju. Powłóczyła nogami i poruszała się jak stara kobieta. Nie wiedziała, czy jest wdzięczna Harry'emu za uratowanie życia, czy nie. Śmierć wydawała jej się kuszącym rozwiązaniem wszystkich problemów.

Rozdział osiemnasty

Faye z ciężkim sercem przeczytała list od George'a. Od tamtej rozmowy, w czasie której George powiedział jej, że chce wyjechać z Frognał Point, obawiała się, że tak się to skończy. Miała nadzieję, że syn zabierze Ritę ze sobą do Las Dos Vizcachas, lecz najwyraźniej już wtedy zmagał się z myślą o zerwaniu, chociaż nie chciał się do tego przyznać. Teraz Faye myślała przede wszystkim o Ricie. Wiedziała, że dziewczyna będzie załamana, bo przecież George był całym jej życiem i przyszłością. Tak długo czekała na niego cierpliwie, bez słowa skargi... Faye czuła głęboki żal. Kochała Ritę jak córkę, zastanawiała się też, w jaki sposób nowa sytuacja wpłynie na przyjaźń, łączącą jej rodzinę z Hanną i Humphreyem.

Westchnęła z rezygnacją i postanowiła zadzwonić do Hanny. Może Rita także otrzymała list od George'a... Faye z pewnym lękiem podniosła słuchawkę i wybrała numer Hanny. Odetchnęła z ulgą, kiedy nikt nie odpowiedział. Na zewnątrz lało, wiatr ostro zacinał dużymi kroplami o szyby i parapety, wydawał się trząść całym domem. Faye pomyślała o Tadeuszu. Brakowało jej jego obecności i rady, ale już dawno obiecała sobie, że nie będzie dzwoniła do niego z domu, ponieważ była zdania, iż oznaczałoby to brak szacunku dla Treesa. Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Hanna prawie nigdy nie wychodziła z domu, gdy padało... Nagle Faye przyszło do głowy, że może Hanna i jej córki są w Bray Cove u Harry'ego Weavera, i postanowiła tam zadzwonić.

W głosie Harry'ego brzmiało dziwne przygnębienie. - Wyjechali do domu pięć minut temu - powiedział krótko, nie chcąc opisywać okoliczności, które sprowadziły do jego domu Ritę i jej najbliższych.

Faye bez trudu wyczuła, że stało się coś złego. Narzuciła na ramiona płaszcz przeciwdeszczowy i wybiegła w deszcz. Trees wziął półciążarówkę, musiała więc jechać samochodem, który jej mąż wyprowadzał z garażu tylko przy specjalnych okazjach. Auto było czyste i pachniało wypolerowaną skórą. Nie miała wątpliwości, że Trees zrozumie, iż w takiej sytuacji nie mogła zachować się inaczej.

Z nieba lały się strugi deszczu i wycieraczki nie nadały z czyszczeniem przedniej szyby. Jechała powoli i ostrożnie, bo drogi były kręte i wąskie, a mgła wyjątkowo gęsta. Dlatego do domu Hanny jechała dłużej niż zwykle. Miała wrażenie, że siedzi za kierownicą od paru godzin, a niespokojne myśli wciąż kłębiły się w głowie. Dobrze

choć, że George jest szczęśliwy u Agathy i Jose Antonia... W liście do matki pisał nie tylko o smutnej decyzji co do Rity, ale także o życiu w Argentynie, z którego był chyba bardzo zadowolony. Faye cieszyła się, że przynajmniej o niego nie musi się martwić.

Wreszcie koła samochodu zazgrzytały na wyźwirowanym podejździe przed domem. Faye zorientowała się, że Hanna wraz z całą rodziną musiała wrócić dosłownie przed chwilą, ponieważ okna wozu Humphreya były jeszcze zaparowane. W holu się świeciło, ciężkie drzwi na ganek stały otworem. Faye wzięła głęboki oddech i wysiadła. Jej lekkie, domowe pantofle prawie natychmiast przemokły. Pchnęła drzwi do holu i niepewnie wsunęła do środka głowę.

- Halo? - zawołała. - Jest tu ktoś?

Weszła i zamknęła za sobą drzwi. Z kuchni dobiegły ją przyciszone głosy.

- Jesteś tam, Hanno?

Rozmowa ucichła, w drzwiach kuchni stanęła blada, zatroskana Hanna.

- Och, to ty! - powiedziała, mrugając załzawionymi oczami.

- Tak mi przykro... - szepnęła Faye i objęła przyjaciółkę. - Jak się czuje Rita?

- Położyła się. Jest kompletnie załamana.

- To takie okropne... - Faye potrząsnęła głową.

Czuła się winna, bo to przecież jej syn stał się powodem tego nieszczęścia.

- Wejdz, napijemy się herbaty - zachęciła Hanna. - Właśnie o tym rozmawialiśmy...

Humphrey siedział w fotelu na biegunach obok kuchni i podniósł na Faye pełne smutku oczy. Pochylona nad stołem Maddie przygotowywała filiżankę owałtyny. Faye nie była w stanie usiąść, stanęła pod ścianą, opierając się o blat, na którym Hanna kroїła warzywa.

- Ja także dowiedziałam się dopiero dzisiaj rano - powiedziała. - Od razu pomyślałam, że Rita na pewno dostała swój list mniej więcej w tym samym czasie...

Hanna drżącą ręką nalała przyjaciółce herbaty.

- Byliśmy w Bray Cove - zaczęła cicho. - Rita próbowała rzucić się z klifu...

Faye krzyknęła i z przerażeniem zasłoniła usta dłonią.

- Dobry Boże! - jęknęła. - Jak to?!

- Harry ją uratował - odezwała się Maddie. - Gdyby nie on, Rita już by nie żyła.

- Nie mogę o tym myśleć - rzekła Hanna. - Nie rozumiem, dlaczego ją to spotkało...

- Co robiła na klifach w taką pogodę? - zapytała Faye.

Była głęboko wstrząśnięta, że decyzja George'a pchnęła dziewczynę do takiego kroku. Zdawała sobie sprawę, że Rita posiada delikatną, kruchą psychikę, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że byłaby zdolna popełnić samobójstwo.

- Wzięła ze sobą list, ponieważ chciała przeczytać go w miejscu, gdzie zwykle robili sobie pikniki - odparł Humphrey pozbawionym wyrazu głosem, nie odrywając wzroku od szklaneczki z whisky, którą wciąż trzymał w ręku. - Nie wiem, co w nią wstąpiło... - pokręcił powoli głową. - Jest taką rozsądną dziewczyną i nagle wpadło jej do głowy coś tak idiotycznego... Nie muszę ci mówić, jak nas wystraszyła...

Faye spuściła oczy.

- Tak się szczęśliwie złożyło, że Harry był wtedy na plaży i obserwował ptaki - podjęła Maddie. - Rita upuściła parasol, który spadł mu na głowę i o mało go nie zabił. Harry od razu się zorientował, że coś jest nie w porządku, pognał na górę i znalazł ją chwiejącą się na krawędzi urwiska. Mówił, że wystarczyłby jeden silniejszy podmuch wiatru, a spadłaby w dół jak liść...

Maddie z satysfakcją opowiadała o heroicznym wyczynie Harry'ego. Faye zauważyła, że w porównaniu z bladymi, oszołomionymi rodzicami ona wygląda wręcz doskonale, rumiana i ożywiona. Pomyślała, że tryskająca urodą i zdrowiem dziewczyna po prostu nie pasuje do smutnego otoczenia.

- Teraz śpi - powiedziała Hanna. - Zrobiłam jej filiżankę owałtyny, ale nie wypić. Kiedy otuliłam ją kocem, naciągnęła go sobie na głowę, schowała się przed nami. Chyba musi przespać ten szok. Nie wydaje mi się, żeby naprawdę chciała się zabić. To było wołanie o pomoc i na szczęście Harry je usłyszał...

- Strasznie mi przykro - westchnęła Faye. - Czuję się odpowiedzialna za jej dramat...

- Nie mów głupstw, moja droga - rzekła Hanna. - Ta sprawa dotyczy George'a i Rity. Nie możemy ponosić odpowiedzialności za czyny naszych dzieci.

- Nie pozwólmy, aby stanęło to między nami i zepsuło naszą przyjaźń - poprosiła Faye, powoli popijając herbatę.

- Na pewno na to nie pozwolimy - zapewniła ją Hanna. Humphrey milczał, zapatrzony w złocistą powierzchnię whisky, w której odbijała się jego twarz.

- Rita jest młoda i szybko znajdzie kogoś, kogo pokocha - oświadczyła z przekonaniem Maddie.

Hanna zmarszczyła brwi, niemile zaskoczona lekkim tonem córki.

- W tej chwili na pewno nie można jej o tym nawet wspominać - rzuciła ostro.

Maddie stłumiła ziewnięcie. Zastanawiała się, kiedy będzie mogła wymknąć się z domu i wrócić do Bray Cove.

- Zadzwońcie do mnie, gdy Rita się obudzi? - zapytała Faye. - Chciałabym się z nią zobaczyć.

- Oczywiście - Hanna wstała, żeby odprowadzić przyjaciółkę do drzwi.

- Gdybyś miała ochotę porozmawiać, będę w domu - powiedziała Faye na pożegnanie.

Czuła jednak, że Hanna nie skorzysta z jej propozycji. Milczenie Humphreya było głośnie i pełne niechęci. Objęła Hannę, której mięśnie napięły się w obronnym odruchu.

Zjechawszy z podjazdu, Faye nie skręciła na drogę prowadzącą na farmę. Pojechała w kierunku domu Tadeusza.

Po godzinie w holu pojawili się pani Megalith i pełen ostrożnego optymizmu Max, przynosząc z sobą nieodłącznie im towarzyszący zapach kotów. Max stanął krok za starszą panią, niczym posłuszny uczeń, pomagając jej zdjąć płaszcz i podając laskę. W taką pogodę pani Megalith nigdy sama nie siadała za kierownicą, a ponieważ Max bezczynnie kręcił się po domu, zatrudniła go jako szofera i po drodze opowiedziała mu o samobójczej próbie Rity.

- Mama! - wykrzyknęła Hanna.

Widok matki już dawno nie sprawił jej takiej radości. - Mój Boże, ależ mieliście dziś przeżycia! - Pani Megalith pokręciła głową i bez słowa podziękowania wzięła laskę z rąk Maksa.

- Jak to miło, że przywiozłeś mamę - zwróciła się do młodego człowieka Hanna. - Chodźmy do salonu, nie mogę już dłużej siedzieć w kuchni. Humphrey jest zrozpaczony - szepnęła matce do ucha. - Nigdy dotąd nie widziałam go w takim stanie...

Pani Megalith pokuśtykała do salonu i wygodnie usadowiła się w fotelu przy kominku.

- Witaj, babciu! - Maddie weszła do salonu z szerokim uśmiechem na starannie umalowanej twarzy. - Harry Weaver uratował Ricie życie, wiesz?

Megababcia obrzuciła ją uważnym spojrzeniem znad okularów i z dezaprobatą ściągnęła brwi.

- Słyszałam - odparła chłodno. - Przestań się tak radośnie uśmiechać, Madeleine, i przynieś mi kieliszek sherry, najlepiej duży.

Maddie spojrzała na Maksa, znacząco przewróciła oczami, ale uśmiech nie znikł z jej twarzy.

- Czego się napijesz, Max?

- Herbaty - odpowiedziała za Maksa pani Megalith i pogroziła Maddie palcem. - Nie żałuj mi sherry, dziewczyno - powtórzyła. - Maddie nigdy nie sprawiała wrażenia mądrej, ale teraz... - mruknęła, kiedy jej średnia wnuczka wyszła z pokoju.

- Nie wiem, co w nią dzisiaj wstąpiło. - Hanna z roztargnieniem potrząsnęła głową.

Pani Megalith uniosła brwi.

- Naprawdę nie wiesz? - zapytała cynicznie. - Wydaje mi się, że to miłość, moja droga.

- Miłość? - Z piersi Hanny wyrwało się ciężkie westchnienie. Chwilowo miała dość miłości i nie wyobrażała sobie, aby mogła spokojnie znieść rozterki drugiej córki.

- Tak, miłość, tuż pod twoim nosem.

- Zakochała się w Harrym? - Hanna z niedowierzaniem patrzyła na matkę. Nagle wszystkie kawałki układanki utworzyły logiczną całość. - Masz ci los... Dlaczego urodziłam trzy córki, na miłość boską?

- To najmniejsze z twoich zmartwień. Te koty zdechły z powodu Rity, nie Maddie.

- Jakie koty? - zdziwiła się Hanna.

Max natychmiast zrozumiał uwagę starszej pani i kiwnął głową, przypomniawszy sobie zły omen.

- Maddie przejdzie przez życie jak po dywanie - mruknęła pani Megalith. - Nie wiem, pod jaką gwiazdą przyszła na świat, ale nie ulega wątpliwości, że była bardzo duża i jasna...

- A Rita?

- Pod słabą, łagodnie świecącą gwiazdą, ale bez obaw, przeżyje dzięki takim jak Harry Weaver! - zaśmiała się cicho. - Gdzie ona jest?

- W swoim pokoju, śpi.

- Zaczekam, aż się obudzi. Nie wystawimy nosa na tę ulewę, chyba że będziemy musieli.

Max pragnął zobaczyć Ritę, lecz już sama świadomość jej niewidzialnej bliskości ogrzała mu serce. Przeraziła go wiadomość, że chciała skoczyć z klifu, i dałby wiele, aby powiedzieć jej, że George nie jest tego wart, bo to nie jedyny mężczyzna, który może obdarzyć ją miłością. Max kochał Ritę całym sercem, lecz ona nie dostrzegała tego, oślepiona fałszywym blaskiem uczucia George'a. To George od dawna był siłą napędową jej życia, powietrzem, którym oddychała, wiatrem, na którego skrzydłach mogła sunąć nad ziemią. Miłość Maksa była jak ciche wołanie zagłuszone przez wiatr. Gdyby tylko dała mu trochę czasu i pozwoliła, by dowiódł, że zasługuje na jej uczucie o wiele bardziej niż George...

Max miał już siedemnaście lat. Tej wiosny skończył szkołę we Frognał Point i jesienią miał wyjechać do Londynu, do czego pani Megalith szczerze go zachęcała.

- Nie możesz ciągle siedzieć w domu i być chłopcem na posyłki takiej starej wiedźmy jak ja - powtarzała. - Jesteś inteligentnym młodym człowiekiem i masz przed sobą jasną przyszłość. Gdyby twoi rodzice żyli, byłiby z ciebie dumni.

Jednak Max nie pragnął sukcesu ze względu na rodziców, ale ze względu na Ritę, uważał bowiem, że powodzenie pomoże mu ją zdobyć. Między innymi dlatego pielęgnował ambicje, których nie mógł zaspokoić we Frognał Point.

Maddie wróciła z filiżanką herbaty i dużym kieliszkiem sherry. Pani Megalith wzięła drinka i mlasnęła językiem o podniebienie.

- Dlaczego się tak wystroiłaś, młoda damo? - zwróciła się do wnuczki.

Upiła spory łyk sherry i z wyraźną przyjemnością wstrząsnęła ramionami.

- Dziewczyna musi umieć wykorzystać swoje atuty - odparła Maddie z chytrym uśmiechem.

- Nie wątpię, że ty potrafisz to perfekcyjnie. Słyszałam, że starasz się być bardzo pomocna w Bray Cove...

Maddie oblała się rumieńcem.

- Harry potrzebuje pomocy, jest bardzo chaotyczny i nie umie poradzić sobie z wieloma sprawami. Poza tym szkicuję ptaki - dodała dumnie.

- W takim stroju?

- Oczywiście, że nie, babciu! Za kogo mnie bierzesz?

- Ze względu na twoją matkę nie powinnam chyba odpowiadać na to pytanie!

- Maddie jest doskonałą sekretarką - wtrąciła Hanna. - Odkryła też w sobie talent, którego istnienia nawet nie podejrzewała.

- Strach myśleć, co to za talent - skomentowała sucho pani Megalith.

- Pięknie maluje. - Hanna uśmiechnęła się do córki. - Idź po szkicownik i pokaż go babci, skarbie.

Maddie z radością spełniła polecenie matki. Wiedziała, że jej szkice są naprawdę dobre. Pani Megalith była przyjemnie zaskoczona.

- Odziedzyczyła te zdolności po mnie - oznajmiła arogancko. - Ja także doskonale malowałam, kiedy byłam młoda...

Przerwała na widok Rity, która pojawiła się w drzwiach cicho jak duch. Maddie niechętnie zamknęła szkicownik.

- Maddie, zrób Ricie filiżankę owałtyny i dolej do niej brandy - rozkazała babka, przerażona szarym odcieniem cery najstarszej wnuczki. - Powinnaś napić się czegoś ciepłego, kochanie - powiedziała łagodnie. - Zaraz lepiej się poczujesz, zobaczysz... Usiądź przy kominku, wyglądasz na potwornie zmarzniętą...

Rita, powłócząc nogami, podeszła do kominka i przysiadła na taborecie obok babki.

- Jak się czujesz? - zapytała Hanna. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Jakbym była pusta w środku - odrzekła powoli.

- To minie, skarbie.

- Ale nie dzisiaj - odezwała się pani Megalith. - I nie jutro. Trudno jest zaleczyć złamane serce, lecz żeby proces leczenia w ogóle się rozpoczął, trzeba mówić o tym, co boli, nie zamykać się w sobie. Z

tłumienia emocji nigdy nie wynika nic dobrego, człowiek gromadzi tylko w sobie ogromną ilość negatywnej energii, która w końcu zupełnie go przytłacza...

- Nie spodziewałam się tego... - Rita odgarnęła opadające na czoło włosy. - Myślałam, że mamy zapewnioną wspólną przyszłość, więc teraz czuję się zraniona i zawiedziona. Nie mogę uwierzyć, że on mnie już nie chce...

Umilkła. Siedziała bez ruchu, z oczami wbitymi w dywan.

- Mówiłam jej, że George po prostu nie wie, czego chce od życia - przerwała milczenie Hanna.

Pani Megalith ściągnęła brwi, ponieważ miała na ten temat inne zdanie, ale na razie zachowała je dla siebie.

- Podaj mi moją torebkę, Max. - Rozkazująco wyciągnęła rękę.

Gdy Max przyniósł torebkę z holu, oparła ją na kolanie i wyjęła z niej czarną aksamitną sakiewkę, wypełnioną kryształami.

- No, właśnie to nam się teraz przyda... - mruknęła. - Chcę, żebyś nosiła ten różowy kryształ w kieszeni, kochanie. Pozostałe połóż na szafce albo stoliku koło łóżka, dobrze?

Rita przyjęła woreczek z westchnieniem ulgi, ponieważ obawiała się, że babka przyniosła ze sobą karty do tarota. Zasilona tak dużą ilością pozytywnej energii, spojrzała w okno, lecz na dworze wciąż padało. Miała wielką ochotę pójść na długi spacer, ale teraz było to niemożliwe.

Do pokoju weszła Maddie, niosąc kubek z owałtiną.

- Mam nadzieję, że nie zapomniałaś dolać brandy? - Pani Megalith wzięła kubek od Maddie i podała go Ricie. - Wypij, dobrze ci to zrobi. Musisz podtrzymać siły, bo życie to wielka seria przeszkód. Cała rzecz w tym, żeby przeskoczyć każdą z nich, a potem się nie oglądać. Po co płakać nad rozlanym mlekiem? Jeżeli zechcesz, wyjdiesz z tego znacznie silniejsza niż dotąd, moja droga. Możesz wybierać...

- Nie wydaje mi się, żebym w ogóle miała jakiś wybór - mruknęła żałośnie Rita. Pochwyciła spojrzenie Maksa i drgnęła, zaskoczona ciepłym, serdecznym wyrazem jego oczu. Odwróciła się do pani Megalith, która nie ustawała w wysiłkach, aby ją pocieszyć, i tym razem sięgnęła po zrozumiałą dla Rity analogię.

- Wyobraź sobie dwa ptaki, oba ze złamanymi skrzydłami - zaczęła, bawiąc się wisiosem z kamieniem księżycowym. - Pewnego

wiosennego ranka zostały ranione przez myśliwych. Oba uciekają i ukrywają się wśród krzaków, aby tam leczyć swoje rany, które powoli zaczynają się goić. Jeden ptak postanawia, że nie pozwoli, aby to nieszczęście zrujnowało mu życie, i mobilizując całą siłę woli, od nowa uczy się latać. Nie jest to łatwe, ptak musi ćwiczyć i ćwiczyć, i zdarza się, że nie ma już siły i nadziei, ale w końcu pozytywne nastawienie i ciężka praca przynoszą efekt i ptak wznosi się wysoko nad ziemię, wyżej niż kiedykolwiek wcześniej. Ten lot daje ptakowi wyjątkową radość, ponieważ już wie co to znaczy nie móc latać. Tymczasem drugi ptak, zbyt przerażony, aby spróbować wznieść się w powietrze, kryje się w krzakach, w mroku, tam, gdzie jest ciemno i gdzie może do woli litować się nad sobą. Nie może przewyciężyć żalu i zostawić przeszłości za sobą, więc pozwala, aby złamane skrzydło zdominowało jego życie, więcej, aby je zniszczyło i pozbawiło go rzeczy najcenniejszej ze wszystkich - wolności...

Pani Megalith zdjęła okulary i spojrzała w smutne oczy wnuczki.

- Zostałaś postrzelona przez myśliwego, moja droga. Możesz być pierwszym albo drugim ptakiem, wybór należy do ciebie. Wiem, że teraz nie jesteś w stanie podjąć decyzji, ale później, gdy przyjdzie wiosna i będziesz mogła spojrzeć na swoją sytuację z pewnej perspektywy, przemyśl to. Zapamiętaj moją historyjkę i pozwól, by cię poprowadziła. No, wypij ovaltinę z brandy, kochanie, to cię rozgrzeje i trochę uspokoi, wierz mi...

Faye wróciła po południu. Pogoda nieco się poprawiła i pani Megalith z Maksem w końcu pojechali do domu, oczywiście po dobrym lunchu. Tadeusz okazał jej zrozumienie i współczucie, dodał też siłę, biorąc ją w swoje potężne ramiona i słuchając opowieści o samobójczej próbie Rity. Był wstrząśnięty. Nawet on, tak doświadczony i mądry, nie potrafił pojąć, jak młoda, zdrowa dziewczyna może odrzucać życie tylko dlatego, że sama została odrzucona przez mężczyznę.

- W okupowanej Polsce nie przetrwałyby nawet pięciu minut - powiedział, kręcąc głową.

Po tej rozmowie Faye poczuła się dużo lepiej. Doszła do wniosku, że George miał prawo zerwać zaręczyny. Pomyślała, że w gruncie rzeczy dobrze się stało, że zranił Ritę teraz - byłoby znacznie gorzej, gdyby po dziesięciu latach małżeństwa, będąc mężem i ojcem, zaczął

żałować, że w ogóle się z nią związał. Faye rozumiała syna i postanowiła poprzeć jego decyzję mimo bólu, jaki zadał Ricie.

- Naprawdę bardzo mi przykro - odezwała się do dziewczyny, która siedziała na parapecie okna w swoim pokoju i wyglądała jak żałośnie skurczona wersja pogodnej Rity.

- To nie twoja wina - odparła Rita, nie przestając wpatrywać się w okno, za którym z nieba sączyła się teraz drobna mżawka.

- Wiem, ale jestem matką George'a i kocham was oboje.

- Myślałam, że zostaniemy rodziną...

- Ja także. Kochałabym cię jak córkę, nie jak synową, przecież wiesz...

Rita odwróciła się do niej.

- Sądzisz, że on kiedyś wróci?

- Na pewno. Nie wspominał o tym w liście, lecz wyjeżdżając, planował wrócić za rok.

- Wtedy jeszcze zamierzał wrócić do mnie... Faye wzięła Ritę za rękę.

- Kiedy wyjeżdżał, był bardzo zagubiony i nie miał pojęcia, czego chce. Wiedział tylko, że musi uciec z Frogal Point. Wydaje mi się, że męczyły go straszne wyrzuty sumienia, iż prosił cię, abyś znowu na niego czekała. George nie ufa samemu sobie i najprawdopodobniej nie chce czuć się zmuszony do powrotu, dopóki nie będzie gotowy... W Argentynie jest oderwany od domu, od ciebie i ode mnie, od swojego normalnego życia. Musisz zrozumieć, że on także cierpi. W czasie wojny stracił wielu przyjaciół i przeżył straszne chwile, które nigdy nie przestaną mu towarzyszyć. Na ranchu mojej siostry powoli wraca do zdrowia. Mam nadzieję, że po powrocie odnajdzie tę część siebie, którą stracił na wojnie.

- Nie chcę z niego rezygnować - westchnęła Rita. - Czy to słuszna decyzja?

- Powinnaś zrobić to, co sama uważasz za stosowne i dobre dla ciebie - odparła Faye.

Wiedziała, że najlepiej byłoby, gdyby Rita pozwoliła George'owi odejść, ale w oczach porzuconej dziewczyny widziała tyle żalu i rozpacz, że nie mogła się zdobyć, aby jej to powiedzieć.

Trees nie okazał się szczególnie pomocny. Nie dostrzegwał powagi sytuacji.

- O, mój Boże... - powiedział tylko, drapiąc się po głowie.

Kiedy Faye próbowała wytłumaczyć mu, że dramat Rity naruszy przyjaźń między dwoma rodzinami, zdecydowanie zaprotestował.

- Nie możemy odpowiadać za czyny George'a - rzekł. - Rodzice Rity doskonale to rozumieją.

- Oczywiście, ale dla nich George jest człowiekiem, który zranił ich córkę. To naturalne, że chcą ją osłaniać. Na ich miejscu miałabym do George'a ogromny żal.

- Co będzie, to będzie. - Trees wzruszył ramionami. - Zobaczymy.

Faye zamknęła się w swoim studiu i wyrzeźbiła brzydką, rozwścieczoną wronę z szeroko otwartym do krzyku dziobem. Rzeźba była groteskowa, ale wybitna i błyskotliwa.

Zastanawiała się, czy Rita nadal będzie przyjeżdżała do niej po pracy na lekcje rzeźby, lecz obawiała się, że ich cotygodniowe spotkania teraz się skończą.

Max stał na ganku i palił papierosa. Pani Megalith nie znosiła, gdy palił w domu. Powtarzała, że palenie zaszkodzi jego płucom, lecz on śmiał się z tego absurdalnego pomysłu. Jego zdaniem koci odór był dużo bardziej szkodliwy niż dym papierosowy. Patrzył na uśpiony ogród, nagie drzewa i gnijące liście, i myślał o Ricie i jej zamarznętym sercu, a także o swoim dzieciństwie i tej części swojego serca, którą również skuł lód cierpienia. Właśnie w taki dżdżysty dzień przyjechał kiedyś do Elvestree jako mały chłopiec. Pamiętał dojmujący ziąb, szare, ciężkie chmury i odrętwienie serca. Pamiętał, jak żegnał się z rodzicami i obejmował ich ostatni raz, chociaż wtedy jeszcze o tym nie wiedział. Powiedzieli mu, że wysyłają go na jakiś czas za granicę, ale gdy tylko sytuacja się poprawi, przyjadą po niego i po Ruth albo kogoś po nich przyślą. Oczywiście wszystko potoczyło się inaczej. Max pomyślał, że ból jest sprawą względną. Rita nie zna bólu po stracie rodziny i domu, a on nie wie, jak to jest stracić kogoś, z kim chce się zostać do końca życia. Każde cierpienie jest absolutne, totalne, wyjątkowe. Doświadczenie nauczyło go, że czas naprawdę leczy rany, nie całkowicie, ale częściowo. Stępia ostrze bólu. Max cierpiał teraz tylko wtedy, gdy próbował rozpamiętywać przeszłość zbyt szczegółowo. Niszczyły go nie obrazy, jakie przechowywał w pamięci, ale wspomnienia zapachów, dźwięków, uczuć, wszystkich tych niemożliwych do opisanie rzeczy, które określały jego dzieciństwo. Miał fotografię rodziców i jeszcze jedną, ich młodszej

siostry, Lydii. Rodzice zatrzymali przy sobie Lydię, bo była jeszcze niemowlęciem, i dziewczynka poniosła śmierć razem z tysiącami wiedeńskich Żydów. Nie dano jej szansy, aby poznała życie... Max zgasił niedopałek na mokrej kamiennej płycie, a wraz z nim myśli o swojej rodzinie i dzieciństwie.

Rozdział dziewiętnasty

Następnego dnia rano Harry zapukał do drzwi Hanny, trzymając pod pachą niewielkie kartonowe pudełko i książkę. Na dworze szalał ostry wiatr, lecz po bezchmurnym, jasnym niebie krążyły mewy, wydając żalosalne, przejmujące krzyki. Hanna była jeszcze w szlafroku - chwilę wcześniej nakarmiła ptaki i pokruszyła lód na wodzie w poidle. Pomachała do Harry'ego przez okno. Maddie uciekła z kuchni, żeby Harry nie zobaczył jej w starej nocnej koszuli i porozciąganym swetrze, a Eddie rzuciła się do kuchennych drzwi, uradowana niespodziewaną wizytą. Nawet nie przyszło jej do głowy, że Harry przyjechał specjalnie do niej; wszyscy mówili teraz prawie wyłącznie o Ricie. Jednak Eddie nie miała powodów do narzekań - przekonała matkę, że powinna pozwolić jej zostać w domu i pocieszać siostrę, więc Hanna zadzwoniła najpierw do biblioteki, w której pracowała Rita, a potem do szkoły. Zarówno kierowniczka biblioteki, jak i dyrektorka szkoły podeszły do sprawy z całkowitym zrozumieniem.

- Dzień dobry! - zawołała Eddie do Harry'ego.

Stała na palcach i wyszeptała mu na ucho, że Rita jest bardzo blada i milcząca. Harry kiwnął głową i odszepnął, że ma dla jej siostry ciekawą książkę.

- Co jest w tym pudełku? - zapytała Eddie, z zaciekawieniem przyglądając się gęsto podziurkowanej tekturze.

- Niespodzianka dla ciebie - odparł Harry. Buzię Eddie rozjaśnił promienny uśmiech.

- Dla mnie?! - W głosie dziewczynki brzmiała nuta najszczerzego niedowierzania. - Mamo, mamó, Harry przyniósł prezent dla mnie!

Harry wszedł za nią do kuchni, jak zwykle przygarbiony i zmieszany.

- Masz ochotę na filiżankę herbaty? - zaproponowała Hanna.

- Chętnie się napiję, dziękuję. Jak się czuje Rita?

- Jeszcze nie wstała - odparła Hanna ze smutkiem. - Na pewno uważa, że jest to pierwszy dzień całej reszty jej życia. Co dla niej przywiozłeś?

- Chciałbym dać Ricie książkę, jedną z moich ulubionych - Bajki La Fontaine'a...

- Bardzo to miłe z twojej strony. Rita kocha książki i lektura pozwoli jej oderwać się od rzeczywistości, przynajmniej na chwilę. Dziękuję ci...

Harry schylił się i podał pudełko Eddie. Wzięła je ostrożnie, ponieważ domyśliła się, że w środku znajduje się żywe stworzenie, i z błyszczącymi oczami powoli podniosła przykrywkę. Na widok przypatrującego się jej z wyraźnym zdenerwowaniem małego zwierzątka szeroko otworzyła usta ze zdumienia.

- Szczur! - wykrzyknęła z radością.

- Afrykański gerbil - sprostował Harry. - W samochodzie mam dużą klatkę wysypaną trocinami i torbę z karmą.

- Och, jesteś cudowny! - Eddie objęła go w pasie i wtuliła twarz w jego brzuch. - Już go kocham!

Harry poklepał ją po ramieniu i zaśmiał się cicho.

- Cieszę się, że prezent przypadł ci do gustu. Jak go nazwiesz? Eddie nie musiała się długo zastanawiać.

- Ezra Gunch - odparła z dumą.

Hanna parsknęła śmiechem. Jej nastrój wreszcie trochę się poprawił.

- Skąd wzięłaś takie imię? - Spojrzała z rozbawieniem na córkę.

- Wymyśliłam je - oznajmiła Eddie. - Zamierzałam oswoić następnego nietoperza i nadać mu to imię, ale Harveyowi chyba by się to nie spodobało, ponieważ od początku był bardzo zazdrosny. Afrykański szczur to o wiele lepsze rozwiązanie. Harvey nie byłby zazdrosny o szczura, prawda? - Naturalnie, że nie - zgodził się pośpiesznie Harry. - Ezra z radością zamieszka w twoim rękawie i będzie bawił się na podłodze w twoim pokoju. Jeżeli zechcesz, zrobimy mu wybieg na dworze, co ty na to?

- Wspaniały pomysł! - ucieszyła się Eddie, wyjmując zwierzątko z pudełka. - Ezra będzie potrzebował świeżego powietrza i ruchu!

Odwróciła się, żeby przedstawić Ezrę Maddie, która właśnie stanęła w progu, ubrana w tweedową spódnicę i sweter, z włosami porządnie wyszczotkowanymi i ustami bezwstydnie połyskującymi szkarłatną szminką.

- Co to takiego? - Maddie z obrzydzeniem zmarszczyła nos na widok stworzenia wijącego się w rękach Eddie. - Szczur?

- Prezent od Harry'ego - oświadczyła uroczyście Eddie.

- Uroczy... - Na twarzy Maddie natychmiast pojawił się łagodny uśmiech.

Posłała Harry'emu zachwycone spojrzenie spod gęstych czarnych rzęs.

- Dzień dobry...

- Dzień dobry, Maddie... - Harry zamrugał niepewnie, oszołomiony widokiem jej pięknej twarzy i zmysłowego ciała.

Natychmiast ogarnęło go onieśmienie i nie mógł już wydusić z siebie ani słowa.

Hanna podała mu herbatę i gestem zaprosiła, żeby wygodnie usiadł przy kuchennym stole. Maddie usadowiła się obok, na krześle ojca. Humphrey o świcie pojechał do pracy, nie mówiąc ani słowa. Nie uśmiechnął się nawet i nie przywitał z żoną, co było raczej niezwykle. W nocy ani na chwilę nie zmrużył oka, snując skomplikowane plany zemsty na George'u, nie mógł też przestać wyobrażać sobie, jak kruche ciało Rity spada z krawędzi klifu. Jej rozpacz sprawiała mu ból, jakiego wcześniej nigdy nie doznał. Czuł się oszukany, zlekceważony, lecz przede wszystkim bezużyteczny. Jego dziecko zostało znieważone i zniszczone, a on nie mógł nic zrobić, aby mu pomóc.

Harry pił herbatę, świadomy, że Maddie obserwuje go czujnymi, pełnymi uwodzicielskiego uroku oczami. Wiedział, że jest nim zauroczona - był skromny i nieśmiały, ale zdawał sobie sprawę, kiedy kobieta czuła do niego pociąg. Oczywiście, niewiele było kobiet, które zadały sobie trud, aby go uwieść (dokładnie dwie) lecz Harry bezbłędnie rozpoznawał to wyostżone, baczne spojrzenie i sposób, w jaki nachylały się ku niemu, zdecydowanie wysuwając do przodu piersi. Nie śmiał myśleć o związku z Maddie, która w jego oczach była zakazanym owocem, rosnącym na samym czubku drzewa, najbardziej soczystą, delikatną brzoskwinia, kusząco nabrzmiąłą i dojrzałą, lekko zarumienioną od jesiennego słońca. Była poza zasięgiem jego rąk, a on nie był gotowy poddać się pokusie i zerwać ją z gałęzi.

- Co przyniosłeś dla Rity? - zapytała Maddie, która przez otwarte drzwi pokoju usłyszała rozmowę Harry'ego z matką.

- Książkę, Bajki La Fontaine'a.

- Cudownie. Kiedy Rita skończy, z przyjemnością ją przeczytam - skłamała.

Harry miał wielką ochotę jak najszybciej wrócić do swojej książki. Pisał ją od dwóch lat, była to epicka opowieść o miłości i zdradzie, rozgrywająca się w rozdartej przez wojnę Francji. Musiał przyznać, że nie najlepiej radzi sobie z wątkiem miłosnym.

Kiedy się podniósł, Maddie oznajmiła, że będzie mu towarzyszyć. Harry wiedział, że nie zamierza malować ptaków na plaży, nie w tym stroju, a w jego gabinecie i domu nie było nic innego do roboty. Mimo to uparła się, że z nim pojedzie.

- Mogłabym przeczytać, co do tej pory napisałeś? - zagadnęła. Myśl o czytaniu napełniała ją wielkim zniechęceniem, lecz postanowiła, że tym kłopotem zajmie się na miejscu.

Harry już miał przecząco potrząsnąć głową i wyjaśnić, że napisana część książki nie nadaje się jeszcze do czytania, bo wymaga poprawek, kiedy nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł. Maddie była młoda, inteligentna i wrażliwa - a nuż pomoże mu, wyrażając szczerą opinię o powieści. W jej szczerłość nie wątpił zresztą ani przez chwilę, gdyż Maddie od początku znajomości wydawała mu się bardzo bezpośrednia...

- No, dobrze - powiedział, prostując przygarbione ramiona. - W takim razie chodźmy...

Zostawił książkę dla Rity na stole, pożegnał się z Hanną, Eddie i Ezrą Gunchem i wsiadł do samochodu razem z Maddie, która najwyraźniej postanowiła stać się najbardziej niezbędną osobą w jego życiu.

W domu rozpałił ogień na kominku, wręczył Maddie maszynopis i wskazał jej sofę. Dziewczyna niepewnie przełknęła ślinę na widok grubego pliku kartek, ale odetchnęła z ulgą, kiedy spostrzegła że Harry stosuje podwójny odstęp między wierszami. Harry nastawił płytę z muzyką Czajkowskiego, zaparzył herbatę, podał jej parujący kubek i krakersa, po czym zasiadł przy biurku i zaczął pisać, z każdą chwilą coraz bardziej zagłębiając się w świat wojny. Maddie z ogromną satysfakcją zauważyła, że obrazek przedstawiający brodzącego szlamnika, który podarowała ukochanemu na Gwiazdkę, wisi na ścianie nad biurkiem.

Przeczytała parę pierwszych wierszy, ugryzła kawałek krakersa i utkwiała wzrok w plecach pogrążonego w pracy Harry'ego. Uwielbiała jego sterczące, pierzaste włosy, szerokie ramiona i wiecznie wygniecione koszule. Biurko i krzesło w zestawieniu z jego potężną

postać wydawały się maleńkie, jak zabawki przy olbrzymie z bajki, lecz Harry był łagodny i skromny, zupełnie jakby nie zdawał sobie sprawy z własnej siły. Nie czuł na sobie jej spojrzenia, bo spokojnie pisał dalej, co jakiś czas przerywając, żeby poszukać w myśli właściwego słowa. W takich chwilach podnosił głowę i patrzył w okno, jakby tam spodziewał się znaleźć inspirację, po czym znowu zaczynał pisać, sprawnie i bardzo szybko. Ani razu nie spojrzął przez ramię...

Maddie zrozumiała w końcu, że nie ma co liczyć, iż zwróci na siebie jego uwagę, i zajęła się lekturą. Ku własnemu zaskoczeniu pod koniec trzeciej strony coraz szybciej przebiegała linijki wzrokiem, wciągając się w narrację. Harry miał lekki, przyjemny styl i znakomicie komponował historię. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że naprawdę jest w malutkim francuskim miasteczku o nazwie Masmatre - czuła dym papierosowy, zmieszany z zapachem kawy, oraz smak croissantów, słyszała cichy szmer rozmów w kawiarni. Powieść spodobała jej się tak bardzo, że niedopita herbata wystygła w kubku, a nadgryziony krakers wciąż leżał na talerzyku.

Tuż przed porą lunchu skończyła dziesięć pierwszych rozdziałów i wcale nie miała ochoty na przerwę, ale Harry powiedział, że powinni poszukać czegoś do jedzenia. Wstała więc i przeciągnęła się, zostawiając maszynopis na sofie. W spiżarni znalazła zimną pieczeń i sałatkę, a w pojemniku na pieczywo bochenek chleba. W kuchni Harry'ego poruszała się swobodniej niż on sam i teraz szybko postawiła na stole wszystko, co nadawało się do jedzenia.

- Jeżeli książka ci się nie podoba, lepiej skłám. - Harry uśmiechnął się nieśmiało, gotowy wszakże przyjąć każdą, nawet najbardziej bezwzględną krytykę.

Maddie była zadowolona, że jej opinia ma dla niego znaczenie, i długo żuła skórkę od chleba, aby utrzymać go w napięciu.

- Nie bądź zbyt brutalna, bo pisarze są bardzo wrażliwi - poprosił żartobliwie.

Pociągnęła łyk wody i usadowiła się wygodniej.

- Bardzo mi się podoba - odparła szczerze. - Mam wrażenie, że mieszkam w Masmatre i że jestem Molly Cosgrove, dziewczyną - szpiegiem, odważną bohaterką twojej powieści. Molly jest dzielna, lecz wrażliwa, kapryśna, lecz nie samolubna, piękna, ale nie w

konwencjonalny sposób... Na podstawie tej książki można by napisać znakomity scenariusz filmowy.

Harry rzucił jej pełne radości i wdzięczności spojrzenie.

- Naprawdę tak ci się podoba?

Skinęła głową. Wreszcie czuła, że jest dla niego kimś ważnym.

- Uwielbiam twój styl - oświadczyła. - Nie opisujesz zbyt wielu szczegółów, płynnie prowadzisz akcję. Umieram z ciekawości, co będzie dalej. Zostało mi jeszcze strasznie dużo do przeczytania, chyba tego nie wytrzymam... Boję się, że zdarzy się coś smutnego, bo przecież musi, prawda? Czy Molly się zakocha? I w kim? Pojawił się już w powieści?

Twarz Harry'ego rozjaśnił szeroki, zaraźliwy uśmiech.

- Nie powiem ci! Maddie zachichotała.

- Och, błagam, powiedz, kim jest jej ukochany! Mam nadzieję że to nie Klaus, ten nazista...

Harry potrząsnął głową.

- Nie wydusisz tego ze mnie.

- Odnoszę wrażenie, że między nimi coś iskrzy... - Maddie lekko wydeła wargi. - Klaus jest przystojny, zimny, pociągający, ale niebezpieczny... Tak, bardzo niebezpieczny... Jeżeli Molly wda się z nim w romans, na pewno ją zrani, a tego bym nie chciała... Och, zaraz, zaraz... Ona pójdzie z nim do łóżka, żeby zdobyć ważne informacje, tak?

Harry uniósł brwi.

- No, powiedz mi, czy tak będzie!

Nachyliła się w jego stronę, lecz tylko uśmiechnął się tajemniczo. Wtedy instynkt wziął górę nad rozsądkiem Maddie - podniecona bliskością ukochanego mężczyzny, pocałowała go namiętnie. Uśmiech zniknął z twarzy Harry'ego i jego miejsce zajął wyraz zatroskania. Długą chwilę wpatrywali się w siebie bez słowa, Maddie ze zdziwieniem, Harry z przerażeniem. Dziewczynie nagle zabrakło słów, po raz pierwszy od bardzo dawna. Czekala, pewna, że Harry albo odwzajemni pocałunek, albo każe jej wyjść. Poczula żal do siebie, że zniszczyła tak szczególną chwilę. Harry niespokojnie badał wzrokiem jej twarz, a ona próbowała odczytać z wyrazu jego oczu, o czym myśli. Słyszała ich własne oddechy, a także mocne uderzenia serc.

- Maddie... - zaczął Harry ledwo dosłyszalnym głosem.

Maddie nie zamierzała marnować okazji. Przypomniawszy sobie, że najlepszą formą obrony jest atak, położyła palec na jego wargach i powoli potrząsnęła głową. Gdy cofnęła palec, usta Harry'ego pozostały zamknięte, ale w jego oczach był lęk. Nachyliła się i po raz drugi przywarła wargami do jego ust. Rozchyliła je i językiem przejechała po dziąsłach i podniebieniu. Harry nie umiał oprzeć się tej pieśczoce. Oparł dłoń na karku Maddie i przyciągnął ją bliżej do siebie. Zaczął całować ją namiętnie, przy głośnych dźwiękach Pierwszego koncertu fortepianowego Czajkowskiego, dobiegających z salonu. Maddie drżącymi palcami pogładziła jego pokryty szorstkim zarostem policzek. W tym momencie, gdy granice rzeczywistości i literackiej fikcji prawie zupełnie się zatarły, ona była Molly Cosgrove, a on Klausem. Jednym ruchem ramienia przesunął nakrycia i resztki lunchu na drugi koniec stołu. Szklanka spadła i woda ochlapała podłogę, lecz nie zwrócili na to uwagi; wszystko, co działo się dookoła, służyło tylko wzmocnieniu dramatycznych doznań tego spotkania. Maddie z zachwytem odkryła, że Harry jest równie niecierpliwy jak ona. Nie zaniósł jej do sypialni, jak czasami to sobie wyobrażała ani na sofę przed kominkiem, ale postanowił kochać się z nią na kuchennym stole. Pod wpływem pożądania Harry Weaver stał się innym człowiekiem, idealnym kochankiem, często opisywanym w książkach, lecz niezwykle rzadko spotykanym w świecie rzeczywistym. Był władczy, wrażliwy, rozpalony, namiętny i zmysłowy. Sprawił, że Hank Weston, Steve Eastwood i Bertie Babbindon wydali się Maddie marnymi amatorami. W porównaniu z Harrym byli niezdarni, niezgrabni i niedoświadczeni jak chłopcy z podstawówki. Zdecydowany, lecz delikatny dotyk Harry'ego mówił wyraźnie, że jest mężczyzną, który doskonale wie, jak zadowolić kobietę. Maddie przeżyła się pod nim i jęczała jak bezwstydna dziwka, która wreszcie przeżywa orgazm po wielu latach udawania.

Potem długo leżeli przytuleni, skapani w pocie i soku zakazanego owocu, który zerwali i zjedli. Maddie westchnęła głęboko, szczęśliwa i zupełnie nieświadoma, że serce jej kochanka pełne jest wyrzutów sumienia.

- Dzień dobry, panno Hogmier! - powiedział wielebny Hammond, zaglądając do sklepiku, aby wysłać paczkę do mieszkającego w Nottingham szwagra. - Piękny ranek, prawda?

- Cudowny - zgodziła się panna Hogmier. - Należy mieć nadzieję, że Rita Fairweather nie wybiera się dzisiaj na klify...

Uczyniwszy tę prowokacyjną uwagę, panna Hogmier uniosła wyskubane brwi. Wielebny powoli skinął głową.

- Właśnie... - rzekł ostrożnie, jakby obawiał się, że ktoś go usłyszy.

- Żeby próbować odebrać sobie życie z powodu mężczyzny! - parsknęła panna Hogmier. - Coś takiego!

Sama nigdy nie kochała i nie była kochana, więc podobna myśl była jej najzupełniej obca.

- Biedna Rita... - westchnął wielebny Hammond. - Taka młoda a jej marzenia już legły w gruzach! Co za cios... Mimo wszystko nie wierzę, że naprawdę chciała się zabić.

Panna Hogmier przewróciła oczami, zgorazona naiwnością duchownego.

- Oczywiście, że chciała. Chwiała się na samej krawędzi urwiska, tylko ułamki sekundy dzieliły ją od śmierci. Gdyby nie Harry Weaver, już by nie żyła, jej roztrzaskane ciało leżałoby na skałach. Proszę sobie tylko wyobrazić ten przerażający widok...

- Rita jest bardzo rozsądną, opanowaną dziewczyną. Jestem pewny, że to tragiczna pomyłka...

Wielebny Hammond odsunął się, ponieważ drzwi się otworzyły, a zawieszony nad nimi dzwonek zabrzączał lekko. Zmarszczył brwi - żaden klient nie wszedł do sklepu... Sekundę później spuścił wzrok i dostrzegł dużego czarnego kota, który niespiesznie wsunął się do środka. Zadrżał na wspomnienie pani Megalith i szybko podniósł oczy. Twarz panny Hogmier wykrzywił grymas przerażenia.

- Ani słowa... - syknęła do wstrząśniętego wielebnego. - Szpiedzy Wiedźmy z Elvestree są wszędzie, w całym miasteczku, i bez przerwy nas obserwują...

Elwyn Hammond wypadł na zewnątrz, zapomniawszy o nadaniu paczki.

Ritę obudził głos matki, stojącej w progu pokoju.

- Kochanie, Max przyszedł, aby się z tobą zobaczyć!

Dziewczyna zamrugła w jasnym słonecznym świetle, wpadającym do pokoju przez przerwę między zasłonami, i na chwilę ogarnęła ją radość, że ranek jest taki piękny, zaraz jednak przypomniała sobie o liście George'a i znowu pogrzyżała się w smutku.

- Czego chce? - jęknęła, przecierając jeszcze opuchnięte od płaczu powieki.

- Przyjechał z Elvestree na rowerze i mówi, że chciałby zabrać cię na spacer.

Rita wolałaby zostać w łóżku, ponieważ sen był jedyną drogą do zapomnienia, lecz niechętnie zwlokła się z łóżka i poszła do łazienki. Nie wyczuła, że wizyta Maksa została zaaranżowana przez panią Megalith, która w imieniu całej rodziny poprosiła go, aby nie pozwolił Ricie samej spacerować po klifach. Max chętnie spełnił tę prośbę i natychmiast wybrał się w drogę. Pani Megalith nie miała pojęcia, że on przy tej okazji realizuje swój własny cel. Pragnął spędzać z dziewczyną jak najwięcej czasu i uważał, że bardziej niż ktokolwiek inny może służyć jej radą w nieszczęściu, ponieważ sam także był nieszczęśliwie zakochany.

Rita skrzywiła się, widząc w lustrze odbicie zapuchniętej, bladej twarzy z sinożółtymi cieniami pod oczami. Wyglądała groteskowo. Umyła się zimną wodą, co wprawdzie w niewielkim tylko stopniu poprawiło sytuację, ale za to zdołało ją obudzić. Przeciągnęła szczotką po splątanych włosach, szybko doszła do wniosku, że w tej chwili i tak nie ułoży sobie pięknej fryzury, i związała je z tyłu, nieświadomie podkreślając smutek i rezygnację, malujące się na twarzy. Potem wrzuciła na siebie jakieś rzeczy, nawet im się nie przyglądając - po co miała się starać, skoro George już jej nie chciał...

Kiedy zobaczyła zarumienionego od zimnego wiatru Maksa, który czekał na nią w kuchni, uśmiechnięty serdecznie, jej nastrój trochę się poprawił. Matka podała jej kubek z herbatą i zachęciła, aby zjadła owsiankę, którą ugotowała specjalnie dla niej.

- Dodaj trochę miodu, kochanie! Babcia wczoraj przywiozła świeży słoik z Elvestree, nie żałuj sobie, miód jest pyszny i zdrowy.

Hanna obserwowała córkę czujnie niczym szykującą się do polowania sowa i wyszła z kuchni dopiero wtedy, kiedy Rita bez entuzjazmu wzięła do ust pierwszą łyżkę ciepłej owsianki.

- Pomyślałem, że w taki dzień może zechcesz przejść się po plaży - odezwał się Max. - Wczesnie rano widziałem przy ujściu dwie warzęchy białe - dodał, wiedząc, że możliwość zobaczenia tych rzadkich ptaków na pewno ją ucieszy.

- Naprawdę?

- Tak. Zgarniały dziobami drobne ryby. Chyba były zadowolone, bo co jakiś czas wydawały taki dziwny odgłos, jakby pomruk czy chrząknięcie. Primrose mówi, że w tych stronach spotyka się je niezwykle rzadko.

- Ale w Elvestree kryje się jakaś magia - zauważyła Hanna, która znowu zajrzała do kuchni. - Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby któregoś dnia przyleciały tu pingwiny z Galapagos...

Gdy Rita ku zadowoleniu matki skończyła śniadanie, oboje z Maksem wyruszyli w kierunku klifów. Piękna pogoda doskonale wpływała na psychikę i Rita odkryła, że chociaż nadal jest nieszczęśliwa, to słońce i cudowny błękit nieba jednak rozpały w niej małą iskierkę radości. Nie obawiała się klifów, wręcz przeciwnie, nadal pociągały ją swym surowym pięknem. Spacerowali po szczycie skał, ale Max postarał się, to on szedł od strony morza. Trochę ją to rozbawiło, udała jednak, że niczego nie zauważa. Kilka razy spojrzała w dół, na piętrzące się na brzegu plaży ostre skały i wyobraziła sobie, jaki spotkałby ją los, gdyby Harry Weaver nie zjawił się we właściwym momencie.

Porośniętą trawą ścieżką zeszli na plażę i usiedli na skałach pod klifami, żeby popatrzeć na ptaki i posłuchać kojącego szumu morza. Rita bawiła się srebrnym wisiorkiem, który George przysłał jej przed miesiącem.

- Jakaś część mojego serca domaga się, abym rzuciła tę synogarlicę w fale - powiedziała ze smutkiem. - Ale ja jeszcze nie potrafię się z nią rozstać...

Max wziął do ręki leżącą na kamieniu muszlę i zaczął obracać ją w palcach.

- Trudno jest wykreślić czyjąś obecność z życia, zwłaszcza jeżeli była tak znacząca...

- George był moim życiem - odparła z naciskiem. - Nie mogę uwierzyć w to, co się stało, chociaż wiem, że to nie sen i nie gra wyobraźni...

- Z czasem łatwiej ci będzie to przyjąć.

- Na pewno. - Podniosła głowę, pozwalając, aby lodowaty wiatr pieścił jej policzki. - Wydaje mi się, że George umarł, nie ma jednak ciała, nad którym mogłabym płakać.

Max siedział nieruchomo, zapatrzony w morze. Czuł, jak znowu ogarnia go znajomy zapach dzieciństwa, wypływa z topniejącej powoli głębi serca.

- Ale George wróci - powiedział. - On żyje i masz szansę, aby pewnego dnia porozmawiać z nim o tym, co się wydarzyło. Kiedyś rana przestanie boleć.

- Myślę, że zniosłabym to lepiej, gdyby zginął na wojnie. Śmierć to nie to samo co odrzucenie.

- Czasami bywa gorsza niż odrzucenie - mruknął Max. Rzucił muszlę na piasek i sięgnął po drugą. - Ci, których kochamy, odchodzą i nie zabierają nas ze sobą...

Rita spojrzała na niego ze zdziwieniem i nagle uświadomiła sobie, że Max nie mówi już o niej.

- Jednak takie rany także leczy czas, prawda? - zapytała łagodnie.

Max drgnął, wyrwany z zamyślenia, i utkwiał spojrzenie w jej twarzy.

- Czas leczy wszystkie rany, to jedyna prawda, jakiej nauczyło mnie doświadczenie. Pewnego dnia będziesz musiała zdjąć ten wisiołek. Zamknij go wtedy w szkatułce, żeby nie rzucał ci się w oczy i nie przypominał o tym, co straciłaś. To działa, możesz mi wierzyć. Dopiero kiedy rana zupełnie się zablizni, będziesz mogła wspominać przeszłość z nostalgią, lecz bez bólu.

- Megababcia mówi, że powinnam o tym rozmawiać. - Rita z westchnieniem wsunęła wisiołek pod sweter.

- I ma rację, bo dzięki temu także poczujesz się lepiej. Nie oczekuj tylko, że stanie się to z dnia na dzień.

- Rzadko wspominasz o swojej rodzinie - zauważyła cicho.

- Wiesz, że Ruth i ja mieliśmy małą siostrzyczkę?

- Nie, nie miałam o tym pojęcia...

- Mała Lydia... Nie pamiętam jej zbyt dokładnie, była jeszcze niemowlęciem, gdy wyjechaliśmy, czasami czuję jednak jej zapach, zapach jej pokoju, delikatny i ciepły, trochę jak gorące mleko...

- Czy ona...

- Tak, ona także zginęła w obozie. - Max przeniósł spojrzenie na piasek i skupił je na małym skorupiaku, z trudem wędrującym przez płytką kałużę. - Mam szczęście, że Ruth przyjechała tu razem ze mną...

- Rozmawiasz z nią o tym? - zapytała Rita.

Ani się spostrzegła, że rodzinna tragedia Maksa oderwała jej myśli od własnego nieszczęścia.

- Nie, Ruth boi się wspominać. - Podniósł wzrok i popatrzył na Ritę. - Ale rozmawiam z tobą...

Uśmiechnęła się lekko. - Możemy pomóc sobie nawzajem - powiedziała, ujmując jego dłoń. - Wyznaczmy sobie taką sekretną misję, co ty na to?

- Chciałbym tam kiedyś wrócić.

- Do Wiednia?

- Tak. Do teatru, który zbudował mój ojciec. Czasami śnię o nim, widzę go jako ogromny gmach, wiem jednak, że ten obraz jest zniekształcony, bo zachował się w pamięci małego chłopca. Tak czy inaczej, było to piękne miejsce, pełne złocistych lamp i mięsistego, szkarłatnego aksamitu, jak pałac króla z bajki... Pewnego dnia będę bogaty i wtedy go odkupię.

- Może ożenisz się z aktorką, tak jak twój ojciec, i twoja żona zaśpiewa na deskach odzyskanego teatru...

- Może... - zaśmiał się.

Oczami wyobraźni widział, jak pokazuje Ricie teatr swoich rodziców.

Stadko mew przeleciało tuż nad ich głowami. Ostonili oczy dłońmi, aby dokładniej przyjrzeć się ptakom. Szybowały wysoko i schodziły niżej, bawiąc się z wiatrem, następnie wylądowały na piasku i zaczęły szukać pożywienia, porozumiewając się krzykliwym nawoływaniem. Widok mew przyniósł im pociechę, przypominając, że wprawdzie ludzie się zmieniają, lecz istnieją także rzeczy i zjawiska niezmiennie.

Rozdział dwudziesty

Harry był zrozpaczony i pełen niesmaku do siebie. Wykorzystał młodą dziewczynę, w ogóle nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Nie miało znaczenia, że w dziedzinie seksu Maddie miała całkiem spore doświadczenie, bo niezależnie od wszystkiego była dziewiętnastolatką, natomiast Harry rozwodnikiem w średnim wieku, który powinien wykazać się większą rozwagą. Udręczony poczuciem własnej głupoty, wycofał się z życia jak żółw w głąb skorupy, mając nadzieję, że problem zniknie sam i nie trzeba będzie stawiać mu czoła.

Maddie wyszła z domu ukochanego nieprzytomna z radości. Harry ją kochał. Pobiorą się i będą szczęśliwi do końca życia. On będzie pisał książki, a ona zajmie się ich redakcją i wychowywaniem dzieci, a popołudniami będą się kochali w swoim przytulnym domku w Bray Cove. Czekają ją jednak rozczarowanie, ponieważ Harry nie zadzwonił, a gdy ona sama zatelefonowała do niego wieczorem, wydawał się dziwnie roztargniony i wymamrotał tylko parę słów.

- Popołudnie było cudowne... - zamruczała Maddie. Harry głośno przełknął ślinę.

- Wpadnę jutro i przygotuję ci lunch, a potem spędzimy razem całe popołudnie - szepnęła, bojąc się, że rodzice podsłuchają jej rozmowę.

- Powiniennem poświęcić teraz więcej czasu książce - wymamrotał Harry. - Muszę dotrzymać terminu...

Maddie zdziwiła się, że jej ukochany nagle zaczął się jąkać. Wrażliwa kobieta natychmiast by się zorientowała, że Harry gorączkowo broni się przed zaangażowaniem w poważny związek, i z godnością wykonałaby odwrót, lecz Maddie po prostu nic nie zauważyła.

- Mogę ci pomóc - oświadczyła. - Dzisiaj byłeś wdzięczny, że przeczytałam fragment książki. Gdy ty będziesz pisał, ja zrobię coś dobrego na lunch, a potem przeczytam, co napisałeś, i powiem ci, co o tym myślę.

- To naprawdę bardzo miło z twojej strony...

- Doskonale, w takim razie zobaczymy się jutro. Nie mogę się już doczekać, kochany...

Kiedy odłożyła słuchawkę, Harry bezradnie ukrył twarz w dłoniach. Zupełnie nie wiedział, co ma teraz zrobić.

W nocy niespokojnie przewracał się z boku na bok. Okazał się słaby i nieodpowiedzialny. Jutro będzie musiał ponieść konsekwencje swego czynu i powiedzieć Maddie, że popełnił błąd. Długo mamrotał sam do siebie, prowadząc wyimaginowane rozmowy z dziewczyną, a gdy to nie przyniosło ulgi, zaczął przekonywać siebie, że to, co go w niej pociąga, ogranicza się do seksu, a to przecież nie jest najważniejsze. Myślał o byłej żonie i o pomyłce, jaką popełnił w ocenie jej charakteru. Nie radził sobie z kobietami, nie rozumiał ich i bardzo się bał, że znowu się pomyli. Przewrócił się na drugi bok i dokonał ponurej oceny swojego życia. Był trzydziestokilkuletnim, łysiejącym rozwodnikiem, niespełnionym pisarzem, który wciąż starał się stworzyć dobrą książkę, nie miał grosza przy duszy ani szczęścia, więc co właściwie mógł zaproponować młodej dziewczynie, takiej jak Maddie? Co ona w nim zobaczyła, na miłość boską? Nie było nic dziwnego w tym, że Maddie spodobała się jemu, ale co może znaczyć jej zachowanie? Może jakiś złośliwy troll rzucił na nią czar i zasłonił jej oczy...

Następnego dnia Maddie wyruszyła do Bray Cove w pełnym słońcu. Lekki mróz pokrył ziemię szronem, przeistaczając cały świat w niebieskawy, wspaniały obraz. Piękno krajobrazu zapierało dech w piersiach i Maddie, zwykle zbyt skupiona na sobie, aby zwrócić uwagę na otoczenie, rozglądała się dookoła z prawdziwym zachwytem. Wyobraziła sobie nieśmiały uśmiech Harry'ego i z czułością myślała o jego łagodnej twarzy i dobrych, wrażliwych oczach. Jacy zdziwieni będą jej najbliżsi, kiedy odkryją, że Maddie zakochała się właśnie w Harrym Weaverze... Harry nie był bogaty ani uderzająco przystojny, jak George, ale Maddie kochała go i teraz, gdy zaznała fizycznej miłości w jego ramionach, jej uczucie jeszcze zyskało na sile. Poznała zupełnie innego Harry'ego. Harry'ego, którego nie znał nikt poza nią.

Kiedy dotarła do Bray Cove, otworzyła drzwi i przebiegła przez hol do salonu. Błady, niespokojny Harry siedział przygarbiony nad maszyną, na której tego ranka zdołał napisać najwyżej dwa zdania. Z szerokim uśmiechem zarzuciła mu ramiona na szyję i głośno cmoknęła w policzek.

- Jak czuje się dzisiaj mój kochany skarb? - zapytała, muskając wargami jego szyję.

Dopiero po chwili zorientowała się, że ciało Harry'ego jest dziwnie sztywne i napięte.

- Co się stało? - zajrzała mu w twarz. - O co chodzi? Westchnął ciężko i podniósł oczy. Ogarnęły go wątpliwości, bo widok jej pięknej twarzy i figury wprowadził go w rodzaj hipnotycznego transu. Wciągnął w nozdrza kobiecy zapach jej ciała i poczuł, jak włosy na jego karku jeżą się ze zdenerwowania. W milczeniu skarcił się za słabość, oderwał wzrok od Maddie i przystąpił do rzeczy.

- To, co zrobiliśmy wczoraj, było błędem - zaczął niepewnie. Maddie znieruchomiała. Potem potrząsnęła głową, ściągnęła brwi i spróbowała się uśmiechnąć, lecz jej drżące wargi otworzyły się jak do krzyku.

- Było cudownie... - ciągnął Harry. - To znaczy, ty byłaś cudowna, ale to był błąd.

- Jaki błąd? - jęknęła.

- Jesteś bardzo młoda...

- Bardzo młoda? - powtórzyła, rozkładając ramiona, niczym kondor potężne skrzydła. - Młoda? Ale chyba nie o tym myślałeś, kiedy kochałeś się ze mną na stole w kuchni, prawda?

- Nie powinienem był...

- Trochę za późno na wyrzuty sumienia!

- Nie żałuję tego, to znaczy... To znaczy, nie o to mi chodzi... Było cudownie, naprawdę, ale...

- Chodziło ci tylko o seks, tak? I teraz, kiedy już mnie miałeś, nie chcesz mnie?

- Nie, to nie tak!

Maddie oparła dłonie na biodrach. Jej twarz poczerwieniała, przybierając prawie ten sam odcień, jaki miały jej włosy. Harry nie mógł oprzeć się wrażeniu, że dziewczyna wygląda jeszcze piękniej niż zwykle, co czyniło zadanie, jakie sobie postawił, nieomal niewykonalnym. Zapragnął znowu ją całować i smakować słony pot na jej skórze, wiedział jednak, że nie wolno mu tego zrobić, chociaż w tej chwili argumenty przemawiające za wstrzeźliwością wydały mu się dziwnie słabe i nieistotne.

- Nie do wiary! - krzyknęła ze złością. - Myślałam, że jesteś inny! Myślałam, że jesteś wyjątkowy, ale to nieprawda! Jesteś żaloszny i słaby! Zasługuję na kogoś lepszego!

I zanim Harry zdążył zaprotestować, wypadła z jego domu i życia, zostawiając go w stanie znacznie większego zagubienia niż zwykle.

Zima powoli odchodziła, ustępując miejsca wiosnie, powierzchnia wody w poidle dla ptaków w ogrodzie Hanny zamarzała coraz rzadziej, a złamane serce Rity zaczęło się goić. Max odłożył przeprowadzkę do Londynu, doszedł bowiem do wniosku, że jego kariera może zaczekać, natomiast Rita nie. Razem chodzili po klifach, spacerowali po plaży i urządzali sobie pikniki na piasku, czytali wiersze, opowiadali różne historie i śmiali się głośno. Wiatr niósł ich śmiech i łączył go z beztroskim jazgotem mew. Rita nigdy nie zaglądała do małej jaskini, która była miejscem jej spotkań z George'em, nie mogła się na to zdobyć. W jaskini wciąż żyły wspomnienia, przerażająco żywe, barwne i szczegółowe. Max słuchał, kiedy mówiła o George'u, i czasami, szczególnie o zachodzie słońca, gdy jego dystans i chłód topniały razem z blaskiem chowającego się za horyzontem słońca, opowiadał jej o swoim dzieciństwie.

Rita znowu zaczęła przyjeżdżać na lekcje rzeźby do Faye. Przyjaźń obu rodzin, o którą Faye tak się obawiała, nie doznała uszczerbku, przynajmniej pozornie. Trees miał rację, ale nie pysznił się tym i nie powtarzał: „A nie mówiłem...” Uznał, że słusznie przeszedł do porządku nad czymś, co okazało się tylko niewielką przeszkodą na ścieżce jego życia. Tylko Humphrey wciąż był smutny i niespokojny, lecz nikomu nie zwierzał się ze swoich uczuć.

Maddie bezustannie chodziła nadąsana i niezadowolona. Zamknęła szkicownik i ołówki w szufladzie i przestała towarzyszyć matce w wycieczkach do Bray Cove. Kiedy jaskółki wróciły, powitała je przekleństwami. Po co w ogóle zainteresowała się ptakami? Ku rozczarowaniu Hanny i Humphreya, samochód Bertiego znowu podjeżdżał pod ich dom, a przez szybę w kuchni często zaglądała jego arogancka, ozdobiona głupim, pustym uśmiechem twarz. Maddie pozwalała mu się całować w zatoczce pod Frognał Point, ale jej serce skuł twardy lód.

Rita wyczuwała, że zachowanie siostry ma wiele wspólnego z Harrym Weaverem, nie śmiała jednak wymieniać jego imienia. Wiedziała, że jeżeli duma Maddie została zraniona, dziewczyna nie zechce o tym rozmawiać, przyglądała się więc tylko, jak siostra snuje się po domu, podobna do rozwścieczonego kota, i nawet nie

pomyślała, że po raz pierwszy w życiu obie mają ze sobą coś wspólnego.

Na początku kwietnia Faye dostała kolejny list od George'a. Tym razem starannie złożyła kartkę papieru i ze smutną rezygnacją przyjęła do wiadomości, że przyjaźń z rodziną Hanny nie przetrwa nowego ciosu. Czuła, że gdy nowina, którą otrzymała, dotrze do kuchni jej przyjaciółki, nic już nie da się zrobić.

George postanowił się ożenić. Jego narzeczona miała na imię Susan i była Amerykanką - poznał ją na pokładzie statku, którym płynął do Argentyny. Był w niej głęboko zakochany. Faye od razu poczuła antypatię do Susan i obciążyła ją winą za całą sytuację. Jej zdaniem to Susan uwiodła George'a i odebrała go Ricie. Dopiero rozmowa z Tadeuszem uświadomiła jej, że się myli.

- Wszyscy posiadamy wolną wolę - rzekł Tadeusz, siadając obok Faye na ławeczce w swoim ogrodzie.

Ziemia znowu oddychała pełną piersią i rodziła życie, dni stawały się coraz dłuższe i cieplejsze. Narcyzy i zawilce zwieszały śliczne główki nad zieloną trawą, a nad krzewami tańczyła para jaskółek, radośnie obwieszczając wszem wobec swój powrót i długo oczekiwane przybycie wiosny.

- Jak mam powiedzieć Ricie, że George zakochał się w tej Amerykance zaledwie parę dni po wyjeździe z Anglii?

- Dlaczego uważasz, że powinnaś to opowiadać? - zapytał Tadeusz, ujmując jej zziębniętą dłoń między swoje, ciepłe i silne.

- Bo jestem przekonana, że ma prawo wiedzieć.

Tadeusz wzruszył potężnymi ramionami i odchrząknął.

- Nie musisz kłamać, wystarczy, jeżeli nie powiesz jej całej prawdy...

- Że George żeni się z inną? Nie wyobrażasz sobie, jaka jestem na niego wściekła! Nie dość, że zerwał zaręczyny? Ta wiadomość zupełnie ją załamie!

- Nie złość się na syna, każdy ma prawo kochać, kogo chce. George nie był związany z Ritą przysięgą małżeńską, nie miał wobec niej zobowiązań w oczach Boga, tylko w oczach rodziny Fairweather. Lepiej jest kochać uczciwie niż tak, jak my to robimy...

Faye przyglądała się, jak jaskółki znikają za płotem. Wiatr porwał ich piosenkę.

- Dobrze chociaż, że żeni się z kobietą, która mu odpowiada - westchnęła Faye, lekko ściskając rękę Tadeusza. - W każdym razie mam nadzieję, że tak jest...

- Ludzie się zmieniają. George czego innego pragnął jako chłopiec i czego innego szuka teraz, jako mężczyzna. Rita odpowiadała mu, kiedy był młodszy, potem może po prostu wyrósł z miłości do niej. Nie wiń go za to, nie potępiaj. Nie chciałabyś przecież, żeby popełnił błąd, prawda? Nie sądzę, by bardziej zależało ci na przyjaźni Hanny niż na szczęściu własnego syna...

- Oczywiście, że nie! - odparła szybko. - Chciałabym tylko, żeby wszyscy byli szczęśliwi...

- Życie nie jest takie proste i przyjemne. Nikt nie powiedział, że przez cały czas mamy być szczęśliwi. Nasza droga przez ten świat najeżona jest problemami i im szybciej zdamy sobie z tego sprawę, tym większe mamy szanse na osiągnięcie spokoju. Ci, którzy mają zbyt wysokie wymagania, nigdy nie są zadowoleni.

- Więc co mam zrobić? - zapytała, kładąc głowę na jego ramieniu.

- Porozmawiaj z Hanną i powiedz, że George żeni się z Amerykanką, którą poznał w Argentynie. Nic więcej nie musi wiedzieć. Potem zostaw ją samą, daj jej szansę spokojnie przetrwać nowinę. Jeżeli Hanna pozwoli, żeby decyzja George'a stała między wami, to trudno, nic na to nie poradzisz. Daj się unieść prądowi, bo walka z nim tylko cię zmęczy.

- Dzięki Bogu, że mam ciebie! - szepnęła Faye. - Dlaczego wszyscy wyrządzamy tyle zła w imię miłości?

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie. - Tadeusz z uśmiechem pokręcił głową.

Faye oparła rower o ścianę domu Hanny i przez furtkę weszła do ogrodu. Wiedziała, że nie ma co pukać do drzwi - w taki dzień Hanna na pewno była na dworze, zajęta swoimi ptakami i roślinami. Ponieważ w szkołach właśnie zaczęła się przerwa semestralna, Faye znalazła Eddie pochłoniętą zabawą z Ezrą Gunchem w wybiegu, który Harry wybudował dla szczura na trawniku.

- Witaj, Faye! - zawołała Eddie ze śmiechem, patrząc, jak Ezra znika w tekturowej tubce, którą wyciągnęła z nie do końca zużytej rolki papieru toaletowego. - Uczę go akrobatycznych sztuczek - wyjaśniła, kiedy kobieta podeszła, żeby zobaczyć, co ją tak bawi.

- I świetnie ci idzie - odparła Faye napiętym głosem, tak zdenerwowana, że wszystkie jej mięśnie lekko drżały. - Gdzie mama?

- Przesadza groszek w ogródku warzywnym. - Eddie podniosła tubkę i Ezra zeskoczył na jej dłoń. - Słodki, prawda? Bardzo się do siebie przywiązaliśmy. Kiedy zabrałam go na grób Harveya, obsiusiał go. Chyba nie ma zbyt wielkiego szacunku dla zmarłych...

Faye uśmiechnęła się lekko, mimo wszystko trochę rozbawiona beztroską gadaniną Eddie, a potem wzięła głęboki oddech i ruszyła przez trawnik w kierunku starej drewnianej furtki w ogrodowym murze.

Hanna i Rita pracowały po dwóch stronach bambusowej siatki, przesadzając groszek i pogodnie rozmawiając. Hanna usłyszała kroki Faye i podniosła wzrok.

- Co za miła niespodzianka! - uśmiechnęła się.

- Piękny dzień, prawda? - odezwała się Faye.

Starła się jak najbardziej odwlec straszny moment.

- Nareszcie! Nie wiem dlaczego, ale miałam wrażenie, że w tym roku zima ciągnie się bez końca...

Rita dostrzegła napięcie w twarzy Faye i przerwała pracę.

- Dostałam list od George'a. - Faye założyła ramiona na piersi.

Spojrzała na dziewczynę i przepaszająco pokręciła głową. Hanna przestała kopać, jej uśmiech zniknął.

- George się żeni - powiedziała Faye, przerywając nieznośną, pełną wyczekiwania ciszę.

Policzki Rity najpierw oblały się rumieńcem, a zaraz potem zbladły. Hanna z niedowierzaniem wpatrywała się w przyjaciółkę.

- Żeni się? - powtórzyła powoli. - Z kim?

- Z Amerykanką, którą tam poznał.

- Jak ma na imię? - zapytała Rita.

Faye drgnęła, zaskoczona pytaniem, które wydało jej się nieco dziwne w tej sytuacji.

- Susan - odparła.

Rita zaczęła płakać. Hanna rzuciła szpadel na ziemię i szybko przeszła na drugą stronę siatki, aby pocieszyć córkę. Faye stała nieruchomo, nie wiedząc, co zrobić z rękami, i patrząc na nie ze smutkiem. Chciała odejść, ale bała się, że byłoby to nieuprzejme.

- Strasznie mi przykro... - powiedziała. - Nie miałam pojęcia o jego planach, podobnie jak wy. Nie przyszło mi do głowy, że poznał tam jakąś kobietę, bo farma Agathy leży niemal na odludziu...

Hanna przytuliła szlochającą córkę do piersi, szepcząc czułe, pocieszające słowa. Eddie wbiegła do ogródka z Ezrą Gunchem uczepionym jej ramienia. Na widok klęczących na mokrej ziemi matki i siostry zmarszczyła brwi i rzuciła Faye oskarżycielskie spojrzenie.

- Co znowu zrobił George? - zapytała.

Faye głośno przełknęła ślinę. Zdziwiło ją, że wciąż jeszcze bardzo dziecinna, rozbrykana Eddie potrafi przybrać tak chłodny, pełen potępienia ton.

- Żeni się - odpowiedziała.

Eddie poderwała dłonie do twarzy w geście przerażenia.

- Jak on śmie! - wykrzyknęła z oburzeniem, zdejmując Ezrę z ramienia i chowając go do rękawa. - Przecież dopiero co był zakochany w Ricie! Co za świnią!

- Lepiej już pójdę... - Faye zaczęła wycofywać się ku furtce. - Naprawdę bardzo mi przykro, że tak się stało...

Ani Hanna, ani Rita nie zwracały na nią najmniejszej uwagi, tylko Eddie patrzyła na Faye takim wzrokiem, jakby to ona ponosiła winę za zdradę George'a.

- Idę na spacer po plaży - powiedziała po długiej chwili Rita, odrywając twarz od miękkich piersi matki.

Hanna rzuciła jej zaniepokojone spojrzenie.

- Pójdę z tobą - zaproponowała, pośpiesznie podnosząc się z ziemi.

- Nie, chcę być sama - odparła Rita, lecz nagle dostrzegła nagi strach w oczach matki i lekko uśmiechnęła się drżącymi wargami. - Nie rzucę się z klifu, obiecuję.

Jej zapewnienie nie przekonało Hanny.

- Och, wydaje mi się, że nie powinnaś być sama w takiej chwili, kochanie...

- Nic mi nie będzie - powiedziała Rita. - Jestem po prostu wściekła. Rozzłoszczeni ludzie nie popełniają samobójstwa.

- Jeżeli masz ochotę, możesz zabrać Ezrę - odezwała się Eddie. - Nie będziesz musiała z nim rozmawiać, ale jego obecność na pewno cię pocieszy...

Hanna położyła rękę na ramieniu Eddie.

- Dziękuję, skarbie. - Rita potrząsnęła głową. - Ezra będzie bardziej zadowolony, jeśli zostanie z tobą. Nie wybieram się na klify, mam, pójść na plażę.

- No, dobrze... - zgodziła się Hanna niechętnie. - Tylko nie zrób czegoś głupiego...

Rita szybkim krokiem ruszyła przed siebie. Przez ostatnich kilka miesięcy wciąż podtrzymywała płomyk nadziei, że George jednak wróci po roku do Frogal Point i do niej, tak jak planował. Był to słaby płomyk i czuła, że nie powinna podsycać go marzeniami i pragnieniami, ale wydawało jej się, że na razie nie może go zgasić. Teraz okazało się jednak, że George zakochał się w innej, i płomyk zgasł sam, a serce dziewczyny pograżyło się w ciemności.

Zarośniętą ścieżką zeszła na plażę i przystanąła na chwilę, zbierając się na odwagę, aby skrócić w lewo, do jaskini, w której spędzili razem tyle czasu. Powoli ruszyła w tamtą stronę, z każdym krokiem wspominając George'a. Kiedy dotarła na miejsce, zatrzymała się. Nie wiedziała, czy wejść do środka, i bała się, co tam zastanie.

W końcu zdołała stłumić lęk. Gdy oczy przywykły do ciemności, ze zdziwieniem spostrzegła, że jaskinia jest zupełnie pusta. Nie było tu ani duchów, ani złowrogich cieni, ani tańczących pod ścianami demonów, tylko jej własne wspomnienia. Usiadła na suchym piasku naprzeciwko wejścia, skrzyżowała nogi i zasłuchiwała się w hipnotyczny odgłos uderzających o brzeg fal. Zaczęła bawić się wiszącą między jej piersiami srebrną gołębicą. Długo pocierała wisiołek kciukiem i palcem wskazującym, zastanawiając się, czy wystarczy jej odwagi, by go zdjąć i rzucić w morze. Nie było żadnego powodu, aby nadal go nosiła - synogarlica mogła tylko przypominać jej o George'u i obietnicach, jakie złożyli sobie właśnie w tej jaskini.

Z westchnieniem odpięła wisiołek i położyła go na dłoni. Patrzyła na niego przez łyż. Porwany przez wiatr list był znakiem, teraz nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Tadeusz powiedział jej, że gołębica jest symbolem nie tylko szczęścia w małżeństwie, ale też przebaczenia. Pomyślała nagle, że może George wiedział o tym, wybierając dla niej prezent. Cóż, nie była w stanie wybaczyć mu zdrady... Czuła, jak nienawiść wsącza się w jej duszę niczym gorąca smoła, ciężka i kleista. Zawstydziała się tego uczucia, ale na razie nie umiała go odepchnąć. Wyszła z jaskini, przystanąła tuż przy linii wody i rzuciła wisiołek daleko w fale. Pochłonęły go cicho.

Spojrzała na pierścionek z brylantem, symbol obietnicy małżeństwa. Codziennie patrzyła na niego i słyszała, jak George mówi, że pierścionek ma jej przypominać o jego wielkiej miłości... Zdjęła go i przełożyła na trzeci palec prawej dłoni. Z jakiegoś powodu nie mogła się z nim rozstać. Postanowiła, że pośle go na dno morza dopiero wtedy, gdy zgaśnie ostatni promyk nadziei.

Wracając do domu przez wioskę, postanowiła odwiedzić Tadeusza. Ostatni raz widziała go w dniu, kiedy straciła list od George'a. Wtedy okazał się źródłem cennej mądrości. Chwilę wahała się przed małą furtką, prawie niewidoczną w bujnym żywopłocie. Tadeusz pewnie uzna, że jest głupia, bo znowu płacze z powodu George'a... Powinna była wpaść do niego po tamtej rozmowie, choćby po to, aby pokazać mu, że nie zawsze tylko płacze i rozpacza... W końcu pokonała jednak obawy, zachęcona wspomnieniem jego ciepłego, przytulnego domu, i pchnęła furtkę.

Zapukała do drzwi raz, potem drugi, a gdy pozostały zamknięte, rozejrzała się dookoła. Pod oświetloną blaskiem słońca ścianą stał rower, więc pomyślała, że Tadeusz musi być w domu, i obeszła budynek, aby zajrzeć do ogrodu. Dzień był naprawdę piękny i wydawało się bardzo prawdopodobne, że gospodarz wygrzewa się w słońcu. Kiedy odsunęła gałęzie krzewu rododendronu, aby przejść dalej, ujrzała Tadeusza, siedzącego na ławce i obejmującego ramieniem drobną kobietę o bardzo jasnych, prawie białych włosach, której głowa spoczywała na jego ramieniu. Ponieważ siedzieli plecami do niej, postanowiła nie zakłócać im niewątpliwie intymnych chwil. Odwróciła się i na palcach ruszyła w stronę furtki, ale ciekawość okazała się silniejsza. Ostrożnie podkraśniała się bliżej, żeby przyjrzeć się towarzysze Tadeusza, i z przerażeniem odkryła, że jest to Faye. Zasłoniła usta dłonią, aby stłumić okrzyk, i szybko wybiegła za ogrodzenie, modląc się, by jej nie zauważyli.

Kiedy znalazła się już na zewnątrz, przystanęła pod żywopłotem i zakryła twarz drżącymi rękami. Serce waliło jej jak szalone ze strachu i wściekłości. Nigdy dotąd nie widziała Faye z rozpuszczonymi włosami. Matka George'a wyglądała jak młoda dziewczyna, piękna młoda dziewczyna... Ze współczuciem pomyślała o Treesie, który ciężko harował na farmie, gdy jego żona romansowała z Tadeuszem Waliszewskim. Nic dziwnego, że w jego sypialni stała rzeźba Faye, jedno z jej arcydzieł... Czy George wiedział, że jego matka jest

cudzołożnicą? Może skłonność do zdrady jest dziedziczna, może George miał ją we krwi... Piękny przykład, nie ma co, pomyślała gorzko. I to właśnie Faye! Pobiegła do domu, oślepią złością i rozczarowaniem, i zamknęła się w swoim pokoju.

Zdecydowała, że nigdy nie zdradzi nikomu, co widziała w ogrodzie Tadeusza, ale tego dnia straciła wszelką wiarę w miłość. Zawsze uważała, że Trees i Faye są jednym z najszczęśliwszych małżeństw na świecie, jej idealistyczne wyobrażenia o małżeństwie zrodziły się na podstawie obserwacji związku nie tylko jej własnych rodziców, ale też rodziców George'a. Teraz czuła się zdradzona nie tylko przez ukochanego, ale i przez jego matkę. George i Faye zniszczyli wszystko, w co wierzyła.

Pani Megalith stała na środku ogrodu obok Nestora, swojego starego ogrodnika, i laską pokazywała mu, co i gdzie powinno wyrosnąć.

- Tam są czerwone polne maki, fioletowa werbena i fiołki! - oznajmiła, z radością myśląc o pięknych, niewymagających szczególnej pielęgnacji kwiatach. - Będą pięknie wyglądały...

Nestor, przygięty do ziemi ciężarem wieku i dominującej osobowości pani Megalith, pokuśtykał ku wskazanym grządkom i jeszcze bardziej pochylił się nad małymi roślinkami, które już wyglądały z ziemi.

- Teraz trudno to sobie wyobrazić, pani M., ale kiedy zakwitną, ogród zapłonie kolorami!

Nestor mówił powoli, z wyraźnym lokalnym akcentem i nawet pani Megalith czasami z trudem go rozumiała.

- Będzie tu pani miała prawdziwą tęczę - dodał pogodnie. - Jesienią pozbyłem się chwastów, szczególnie firletek, i dzięki temu Zrobiło się więcej miejsca dla maków. Wiem, jak pani lubi te kwiatki, pani M.

- Rzeczywiście, masz rację, mój drogi. - Pokuśtykała za ogrodnikiem, z aprobatą przyglądając się grządkom, które późną wiosną i latem miały pokryć się najpiękniejszymi kwiatami.

Kochała Elvestree. Dorastała właśnie tutaj, w domu, który kupił jej dziadek. Mieszkańcy Frognał Point chcieli wierzyć, że to za sprawą jej niezwykłych zdolności przybywają tu egzotyczne ptaki i dorodne zwierzęta, rodzą się rzadkie owoce i wspaniałe warzywa, lecz pani Megalith знаła prawdę - magia tkwiła w tym domku na długo

przed jej narodzeniem i stanowiła jego część, tak samo jak cegły, z których został wzniesiony. Nestor także o tym wiedział, bo pracował dla jej rodziców, a jego ojciec dla jej dziadków. Nie dziwiły go ani rozmiary ziemniaków, ani obfitość fasolki, szparagów i kapusty. Nie podnosił brwi, kiedy ogród przez całe lato i sporą część jesieni rodził karczochy, rabarbar i oberżyny, przywykł też do widoku rosnących w szklarniach winogron i bananów. Gdy większość Brytyjczyków musiało zadowalać się śliwkami i jabłkami, Nestor z radością zajadał się z rodziną brzoskwiniami i pomarańczami, które dostawał od pani Megalith, a kiedy jego żona wychwalała magiczne zdolności Wiedźmy z Elvestree, kręcił głową, ponieważ doskonale pamiętał, jak dawno temu jego ojciec przynosił do domu niespotykane w Wielkiej Brytanii egzotyczne owoce liczi.

Pani Megalith była dumna z historii swojej posiadłości. Dom pochodził z siedemnastego wieku, lecz ogród był znacznie starszy. Otoczony murem warzywniak założono w tym miejscu przed sześciuset laty. Legenda mówiła, że kiedyś należał do klasztoru i że mnisi używali ziemię samymi tylko modlitwami. Pani Megalith traktowała te opowieści z przymrużeniem oka - uważała, że pod mnisimi habitami najprawdopodobniej kryli się prawdziwi czarodzieje, i to łakomi czarodzieje.

Podniosła głowę i głęboko wciągnęła powietrze. Słodki, żyzny zapach wiosny znowu powrócił i przyroda budziła się do życia. Czuła też zapach rzeki i słyszała głosy żerujących na plaży ptaków, walczących o kawałki rybiego mięsa i drobne skorupiaki.

Nagle Nestor schylił się i rozgarnął kupkę zeszłorocznych liści.

- Co my tu mamy? - zawołał, odsuwając się nieco, żeby zrobić miejsce dla pani Megalith.

- Co tam jest? - zapytała.

- Chyba jakiś przeklęty kocur rzucił się na jedną z tych pani ukochanych jaskółek...

Twarz starszej pani pociemniała z oburzenia.

- Jaskółka? Żyje?

- Wydaje mi się, że tak, ale ledwo, ledwo, biedactwo...

- Daj mi spojrzeć! - Odsunęła ogrodnika i pochyliła się nad rannym ptakiem. - Dobry Boże! Idź po Maksa, najlepiej od razu!

Nestor pośpieszył do domu, wołając Maksa, ten po chwili wybiegł na zewnątrz i po wymownych ruchach pani Megalith zorientował się, że stało się coś złego.

- Nie mogę jej podnieść, bo nie schylę się tak nisko - powiedziała. - Weź ją do ręki, tylko bardzo ostrożnie, żeby się nie przestraszyła. Wyobraź sobie, że to skorupka jajka...

Max uśmiechnął się pobłaźliwie i delikatnie podniósł ptaka. Kiedy wziął drżące stworzenie między dwie dłonie, pani Megalith ruszyła przez trawnik.

- Chodź ze mną, ty też, Nestorze. Musicie mi pomóc. Odchuchamy to biedne maleństwo, żeby nie wiem co...

Obaj mężczyźni ruszyli za nią. Ruth robiła sobie właśnie kanapkę z pastą marmite, kiedy cała procesja wtargnęła do kuchni.

- Ruth, daj mi jakieś tekturowe pudełko i wyłóż je sianem z szopy! - zarządziła pani Megalith.

Ruth spojrzała na brata, ale ponieważ była przyzwyczajona do wykonywania poleceń starszej pani, usłuchała od razu.

Pani Megalith wetknęła okulary na czubek nosa i wzięła ptaka w miękkie, pulchne jak świeże ciasto dłonie.

- Przynieś szkatułkę z moimi kryształami - zwróciła się do Maksa. - Nestorze, będzie mi potrzebna strzykawka z apteczki i szklanka wody. Myślę, że jaskółka ma tylko złamane skrzydło, lecz nie ulega wątpliwości, że długo nie jadła i nie piła.

Nestor natychmiast pokuśtykał do szafy na półpiętrze, w której pani Megalith przechowywała leki i środki opatrunkowe. Ruth wróciła z pudełkiem po sznurowanych półbutach, które Megababcia kupiła jej do szkoły; starannie wyłożyła je miękkim sianem i zrobiła kilka małych otworów w przykrywce, na wypadek, gdyby jaskółka potrzebowała całkowitego spokoju. Starsza pani ułożyła ptaka na przygotowanym posłaniu, a kiedy Max przyniósł szkatułkę, wyjęła z niej kamienie, które rzekomo sprzyjały procesowi gojenia się ran. Potem napoiła rannego wodą ze strzykawki i unieruchomiła złamane skrzydełko, podkładając pod nie mały patyk i mocno przywiązując do ciała.

- Przeżyje? - zapytała Ruth, zaglądając do pudełka.

- Przeżyje, biedulka. To jest ona, panienka... Gdybym wiedziała, które kocisko zrobiło jej taką krzywdę, skreśliłabym draniowi kark!

Rozdział dwudziesty pierwszy

Wielebny Hammond ogarnął spojrzeniem wszystkich zgromadzonych. W ławkach widział te same twarze tych samych ludzi co zwykle, ubranych tak, jak w każdą niedzielę, lecz wyczuwał pewną subtelną zmianę w atmosferze, i to zmianę na gorsze. W kościele było jakby chłodniej i nie miało to nic wspólnego ze świeżą morską bryzą, która wpadała do środka przez otwarte okna, ani z faktem, że panna Hogmier spadła ze schodów i dotkliwie stłukła sobie kość ogonową, przez co teraz grała na organach z taką agresją, jakby chciała zasugerować, że wszystkiemu winien jest nieszczęsny instrument, nie schody czy jej nieuwaga. Wielebny słyszał od swojej żony, której panna Hogmier powtórzyła podsłuchaną w piekarni wiadomość, jaką Hanna podzieliła się z jej siostrą, że George Bolton zamierza ożenić się z kobietą imieniem Cybil. Była to niezwykle skomplikowana sytuacja, którą niewątpliwie z wielkim zainteresowaniem omawiano w każdym sklepie i w każdej kuchni w promieniu piętnastu kilometrów.

Duchowny z rozczarowaniem spostrzegł, że rodzina Fairweather siedzi po jednej stronie głównej nawy, natomiast Boltonowie po drugiej, przy czym członkowie obu rodzin starają się na siebie nie patrzeć. Aura przyjaźni znikła, a pośrodku wyrósł mur wzajemnych pretensji i wyrzutów sumienia. Wszyscy pozostali wierni także zdawali sobie sprawę z istnienia tego muru, lecz nikt nie śmiał nawet o nim wspomnieć. Twarz Humphreya była szara i mizerna, natomiast Hanna ukrywała opuchnięte powieki pod rondem kapelusza. Rita miała zaczerwienione od łez oczy, lecz wydawało się, że panujący w kościele spokój przynosi jej ulgę. Nie miała odwagi zerknąć na Faye, niewierną Faye, ale była pewna, że na twarzy matki George'a maluje się zgoła anielska niewinność. Eddie bawiła się z Ezrą Gunchem; wcześniej przekonała matkę, że musi zabrać go ze sobą do kościoła, ponieważ jej ulubieniec jest bardzo wrażliwym stworzeniem, wyczuwa napięcie w domu i także wymaga pocieszenia. Policzki Maddie płonęły mocnym rumieńcem, ponieważ od rana wciąż przypominała sobie ostatnią rozmowę z Harrym i była wściekła. Faye nerwowo okręcała pierścionek wokół palca, natomiast Alice i Geoffrey sprawiali wrażenie głęboko zamyślonych. Nawet ich dzieci zachowywały się w ławce dziwnie cicho i spokojnie. Trees wciąż trwał w przekonaniu, że każdy uprawia w życiu własne poletko i dlatego nie należy wtrącać się w sprawy innych, nawet swoich dzieci.

Spokojnie patrzył na kapłana i czekał na rozpoczęcie nabożeństwa, pewny, że cała sprawa została rozdmuchana przez kobiety z obu rodzin i że Humphrey wzniesie się ponad wszelkie nieporozumienia, nie odmawiając mu swojej przyjaźni. Wszystko to burza w szklance wody, myślał Trees.

Wielebny Hammond postanowił stawić czoło sytuacji i uznał, że Bóg chce, aby właśnie on zjednoczył obie rodziny, tak wyraźnie potrzebujące duchowego przewodnictwa. Pogratulował sobie w myśli, że przygotował tak inspirujące kazanie o przebaczeniu i miłości, nie zdawał sobie jednak sprawy, że Humphrey i Hanna są zbyt mocno zranieni, aby wybaczyć, a Rita i Maddie rozgoryczone i w pełni świadome, ile zła może wyrządzić miłość. Po zakończeniu nabożeństwa Humphrey tylko mruknął coś pod nosem, mijając Treesa, Hanna zaś pośpiesznie wyszła za mężem. Trees chwilę stał nieruchomo w ławce, zmieszany i niepewny, następnie podał Faye ramię i powoli wyszedł na zewnątrz, nerwowo mrużąc oczy w ostrym słonecznym blasku. Teraz nie mógł już zaprzeczyć, że Faye miała rację - zachowanie George'a faktycznie rozdzieliło obie rodziny.

Rita stała przy drzwiach kościoła, czekając na Eddie, która szukała pod ławkami Ezry Guncha. Na widok Faye i Treesa cofnęła się i przyłgnęła do muru z nadzieją, że przejdą obok i nie zauważą jej, lecz matka George'a dostrzegła ten manewr. Sytuacja była trudna, ale Faye postanowiła podjąć próbę zawarcia pokoju.

- Dzień dobry... - odezwała się łagodnie. - Jak się czujesz?

Rita zarumieniła się i spojrzała w głąb kościoła, szukając wzrokiem Eddie.

- Dobrze, dziękuję.

Eddie na czworakach zaglądała pod obrus na ołtarzu i usiłowała wywabić stamtąd Ezrę, który znalazł na podłodze kawałek starej hostii.

- Nie przyjeżdżasz ostatnio na lekcje - zauważyła Faye.

- Teraz to trochę skomplikowane...

- Rozumiem, oczywiście. Nie powinnaś jednak zaniedbywać talentu, kochanie. Byłaby to wielka szkoda, bo naprawdę jesteś uzdolniona.

- Ostatnio do późna pracuję - wyjaśniła niepewnie Rita i zaraz zaczerwieniła się jeszcze mocniej, ponieważ wszyscy wiedzieli, że biblioteka jest czynna tylko do szóstej.

- Cóż, jeżeli jednak zdecydujesz się któregoś dnia przyjechać, z przyjemnością z tobą popracuję. - Faye serdecznie dotknęła ramienia dziewczyny.

Kiedy Rita nie zareagowała, skinęła głową i odeszła razem z Treesem, starannie ukrywając rozczarowanie. Rita przygarbiła się, z jej piersi wyrwało się ciężkie westchnienie. Uśmiechnięta Eddie wyszła wreszcie z kościoła, wyciągnąwszy gerbila spod ołtarza.

- Co za żarłoczny szcur! - poskarżyła się, kiedy szły ścieżką do domu. - Daję mu dużo jedzenia, a on jest wiecznie głodny...

Faye czuła smutek, że Rita nie chce już z nią rzeźbić i że łącząca ich wszystkich od lat więź nagle pękła. Przekonana, że nikt nie wie o jej związku z Tadeuszem, nawet nie pomyślała, że chłód Rity może być spowodowany odkryciem tej tajemnicy.

- Atmosfera w kościele była tak gęsta, że można by ją pokroić nożem - powiedziała panna Hogmier do wielebnego Hammonda, kiedy wszyscy wierni opuścili już kościół.

Szła przez nawę, wsparta na lasce, krzywiąc się co parę kroków i wydymając nozdrza, z których wysuwały się wtedy gęste czarne włoski, podobne do miniaturowych szczotek do czyszczenia kominów.

- O, mój Boże... - westchnął wielebny, patrząc, jak Rita i Eddie znikają za rogiem. - Zrobiłem, co w mojej mocy, aby przekazać im wszystkim, jak powinien zachować się w takiej sytuacji prawdziwy uczeń Chrystusa... Mogę tylko mieć nadzieję, że ziarno padło na żyzną glebę.

- Te dwie rodziny rozdzieliła przepaść, której nie da się zasypać - burknęła ze złośliwą satysfakcją panna Hogmier. - A tymczasem młody George siedzi sobie w Argentynie, nieświadomy, ile złego narobił.

- Myślę, że rzeczywiście nie ma pojęcia, ile osób przez niego cierpi...

- Moim zdaniem, po prostu nic go to nie obchodzi - sapnęła. Ostrożnie osunęła się na ławkę i jęknęła głucho, gdy jej kontuzjowana kość ogonowa zetknęła się z twardym siedzeniem. - Zawsze mi się wydawało, że to straszny egoista!

- Biedna Rita... Dokładnie rok temu witała szczęśliwie powracającego z wojny narzeczonego i cieszyła się z przyjęcia na jego cześć...

- I po co było je urządzać? - prychnęła panna Hogmier. - Ten chłopak od urodzenia myślał wyłącznie o sobie. Jest zbyt przystojny i przez to nadmiernie pewny siebie, oto cały problem.

- Rita szybko znajdzie sobie kogoś innego, jest przecież młoda i ładna.

- Ale ich rodziny nigdy nie odnowią dawnej przyjaźni. Dla Boltonów może to i lepiej, ostatecznie Rita jest przecież wnuczką Wiedźmy z Elvestree... - Podejrzliwie rozejrzała się dookoła. - Mam nadzieję, że w pobliżu nie widać żadnych kotów?

Wielebny Hammond szybko spojrzął na ołtarz i skrzywił się na wspomnienie dnia, kiedy to pani Megalith sprowadziła koty do kościoła, żeby uniemożliwić mu odprawienie nabożeństwa.

- Jeżeli się zjawia, wyrzucę je! - oznajmił odważnie.

- To chyba nie do końca zgodne z nauką Chrystusa, co? - Spojrzała na duchownego z wyraźnym podziwem.

- Przecież Chrystus wyrzucił kupców ze świątyni! Te koty to wysłannicy pogańskiego świata, więc jeśli je tu znowu zobaczę, bez chwili zastanowienia wyrzucę je tak, jak zrobił to Chrystus.

- Dzielny z pana człowiek! - Panna Hogmier z trudem dźwignęła się z ławki. - No, pójdę już chyba do domu. Nie mam nikogo, kto by się mną zajął, ale nie skarzę się. Będę cierpieć w milczeniu, bo co innego mogę zrobić? Jestem starą panną, a społeczeństwo niechętnie patrzy na samotne kobiety. Rita Fairweather powinna szybko poszukać sobie następnego narzeczonego, bo inaczej skończy jak ja...

- Miałyby szczęście, gdyby tak się stało - powiedział serdecznie wielebny Hammond. - Jest pani kobietą wielkiej wiary, a tego należy życzyć każdemu...

Panna Hogmier mlasnęła językiem o podniebienie i przyjęła komplement najzupełniej obojętnie. Duchowny obserwował, jak utykając, wychodzi na słońce, mrużąc oczy niczym porażona blaskiem dnia wampirzyca. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w porównaniu z panną Hogmier pani Megalith wygląda na dobrą wróżkę.

Wróciwszy do domu, Hanna przebrała się w domowy strój i zajęła przygotowywaniem lunchu. Z westchnieniem wyjrzała przez okno. Brakowało jej rozmów z Faye. Doskonale wiedziała, że nie powinna obciążać przyjaciółki winą za to, iż jej syn zakochał się w innej kobiecie, ale nie mogła się przemóc, by niechęci, jaką czuła do George'a, nie przenosić na całą jego rodzinę. Czuła, że Faye ma coś

wspólnego ze zdradą George'a, i nie potrafiła pozbyć się tego absurdalnego przekonania. Faye na pewno miała do niej o to żal, lecz Hanna po prostu nie była teraz w stanie wzbudzić w sercu przebaczenia.

Rita siedziała na parapecie okna w swoim pokoju i patrzyła na chodzące po trawniku gołębie. W ciągu ostatnich kilku miesięcy Frogmal Point bardzo się zmieniło, a ona obawiała się zmian i nie znosiła ich. Cała jej starannie zaplanowana przyszłość legła w gruzach i nie miała pojęcia, jak teraz sprawy się ułożą. Nawet Maddie nie była sobą. Wydawała się dziwnie odległa i wiecznie zamyślona, jakby się obawiała, że szczerza rozmowa zmusi ją do ujawnienia sekretów, którymi nie miała ochoty z nikim się dzielić.

Pewnego sobotniego wieczoru Maddie wróciła z przejażdżki w towarzystwie Bertiego i zdecydowanym krokiem weszła do pokoju Rity, która właśnie pisała wiersze. Na widok bladej jak ściana twarzy siostry odłożyła pióro, szybko wstała i objęła Maddie.

- Co się stało? - zapytała, kiedy Maddie przestała wylewać łzy w jej bluzkę.

Siostra zamaszystym ruchem zmiotła leżące na łóżku ubrania na podłogę i usiadła.

- Przespałam się z Harrym, a potem on mnie rzucił - wyznała, ocierając łzy wierzchem dłoni.

Rita wyjęła chusteczkę do nosa z szuflady komody i podała ją Maddie, która ostrożnie osuszyła umalowane oczy.

- Widziałaś się z nim ostatnio? - Rita siadła obok siostry i otoczyła ją ramieniem.

Maddie pociągnęła nosem i dramatycznie westchnęła.

- Nie - powiedziała. - I wcale nie chcę go widzieć... Jestem na niego wściekła, to wszystko.

- Jesteś też zraniona...

- Trochę. Był pierwszym mężczyzną, w którym chyba naprawdę się zakochałam...

Rita nigdy nie widziała siostry w stanie tak wielkiego zagubienia.

- Jak to się stało? - zapytała łagodnie.

- Uwiodłam go i było cudownie! - Oczy Maddie na chwilę zabłysły dawnym światłem. - Po prostu cudownie... Ale on uważa, że jestem dla niego za młoda.

- Za młoda? - powtórzyła niepewnie Rita. - I tylko o to mu chodzi?

- Wykorzystał moje ciało, a potem mnie porzucił...

- To niemożliwe, kochanie! Ja nie oddałam się George'owi, a też mnie zostawił... Może gdybym się z nim przespała, nie odszedłby z inną, kto wie... Powinnam była wtedy posłuchać twojej rady.

- Nie wydaje ci się, że Harry się mną znudził? - Skądże, Harry nie jest taki! To dobry, łagodny człowiek, nie żaden pozbawiony sumienia drań. Co jeszcze ci powiedział? - Nie chciałam słuchać, co ma mi do powiedzenia - przyznała

Maddie.

- Wpadłaś w furję i wybiegłaś, tak? - Rita dobrze знаła młodszą siostrę. - I zaraz zaczęłaś znowu spotykać się z Bertiem?

- Byłam wściekła - Maddie rozłożyła ręce. - Potrzebowałam kogoś...

Rita się zamyśliła. Po chwili wstała i podeszła do okna.

- Spójrz na to z punktu widzenia Harry'ego - odezwała się. - Jest dużo starszy od ciebie, rozwiedziony i niezbyt zamożny. Może czuje się winny, że cię wykorzystał, a nie ma ci nic do zaoferowania. Zauważyłam, jak on na ciebie patrzy. Wydaje mi się, że powinnaś była wytłumaczyć mu wszystko cierpliwie i spokojnie. Teraz Harry na pewno cierpi tak samo jak ty...

Maddie prychnęła z niedowierzaniem.

- Mocno w to wątpię! Harry siedzi z nosem w tej swojej przeklętej książce i wcale nie cierpi!

- Porozmawiaj z nim. Masz więcej pewności siebie niż on.

- Zastanowię się nad tym. - Wstała. - Czasami mówisz całkiem mądre rzeczy, wiesz? Szkoda, że ta mądrość nie pomogła ci ułożyć sobie życia z George'em...

Ale wzięła pod uwagę radę siostry. Pomyślała, że jeżeli Harry uważa się za niegodnego jej miłości, będzie musiała przekonać go, że jest inaczej. Oczywiście za najmocniejszy argument uważała swoją seksualność.

Podjąwszy decyzję o odzyskaniu Harry'ego, usiadła przy toalecie i przystąpiła do starannego nakładania makijażu. Miała cudownie jasną, świetlistą cerę i szeroko rozstawione, kocie oczy, które były przedmiotem zazdrości wszystkich dziewcząt, jakie знаła. Krytycznie przyjrzała się swemu odbiciu i pomyślała, że skoro parę miesięcy

temu bez wielkiego trudu uwiodła Harry'ego, to i teraz powinna osiągnąć nie tylko ten cel, ale też przekonać go o swojej dojrzałości. Jaka była głupia, że wycofała się bez walki... Było to do niej zupełnie niepodobne, zareagowała jak naiwna, pełna pychy dziewczyna, która nigdy nie zaznała bólu odrzucenia.

Nakładając róż i szminkę, wyobraziła sobie, że maluje się przed walką niczym indiański wojownik.

Włożyła lekką sukienkę i na rowerze pojechała do Bray Cove. Mimo pewności, że wygląda znakomicie, mocno się denerwowała. Nie widziała Harry'ego od paru miesięcy i nie miała pojęcia, czego może się spodziewać. Nie zniosłaby następnego upokorzenia. Co będzie, jeżeli jej plan zawiedzie i Harry znowu ją odrzuci? Skrzywiła się na samą myśl o takiej katastrofie i szybko zepchnęła ją do podświadomości.

Zostawiła rower oparty o drzewo przed domem i podkrađła się pod okno gabinetu Harry'ego. Było tak, jak myślała - Harry siedział nad maszyną do pisania, usiłując skończyć książkę, która miała przynieść mu sławę i pieniądze. Do oczu Maddie napłynęły piekące łzy. Harry posiwiał, zmizerniał i wyglądał na bardziej zaniedbanego niż kiedyś. W pokoju panował potworny bałagan, książki i papiery leżały na podłodze, wszystkie sprzęty pokryte były warstwą kurzu. Nagle odwrócił się w stronę okna, jakby instynkt podpowiedział mu, że ktoś go obserwuje. Na widok promiennej twarzy Maddie podskoczył ze zdziwienia, otworzył usta i głośno wykrzyknął jej imię. Z miejsca, gdzie siedział, mogła wydać mu się złudzeniem optycznym, zwłaszcza że słońce jasno świeciło za jej głową. Podniósł rękę, prosząc gestem, aby się nie ruszała, i zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło.

Serce Maddie skakało jak oszalałe ze zdenerwowania, lecz reakcja Harry'ego była co najmniej zachęcająca. Parę sekund później drzwi domku otworzyły się z hukiem i Harry wypadł z za rogu.

- To naprawdę ty?! - zawołał.

Nie wyglądał na spragnionego ostrych wrażeń uwodziciela, który wykorzystuje kobiety, a potem je porzuca. Maddie zdała sobie sprawę, że pochopnie go osądziła, i natychmiast zajęła się naprawianiem błędu.

- Och, Harry, kocham cię! - powiedziała, rzucając mu się w ramiona. - Nie obchodzi mnie, że jesteś stary i biedny, w moich oczach nie brak ci niczego...

Harry był głęboko wzruszony, chociaż nie wiedział, czy powinien się obrazić, czy uznać jej typowo niedbałą uwagę za komplement. Objął dziewczynę i wtulił nos w jej włosy, ciepłe i pachnące kwiatami. Kiedy odsunęła się, żeby na niego spojrzeć, popatrzył na nią z chłopięcym uśmiechem.

- Jestem też rozwodnikiem, mizantropem i rzadko chodzę do kościoła - zaczął.

Maddie z radością zauważyła, że jego blade policzki zaczęły powoli odzyskiwać normalny kolor.

- Nie wątpię, że bez trudu dodasz jeszcze kilka wad do tej listy - ciągnął.

- I tak nie ma to najmniejszego znaczenia - roześmiała się. - Kocham cię takim, jakim jesteś!

- A ja okazałem się kompletnym osłem, gruboskórnym draniem. Przepraszam, że cię zraniłem...

Położyła palec na jego wargach, dokładnie tak, jak wtedy, gdy pocałowała go pierwszy raz, lecz teraz to Harry przejął kontrolę nad sytuacją i namiętnie pocałował Maddie.

W połowie sierpnia Max powiedział Ricie, że wyjeżdża z Frogmal Point. Słońce grzało mocno, co było prawdziwą rozkoszą po wielu deszczowych dniach. Trees miał spore kłopoty ze żniwami, ponieważ musiał czekać, aż ziemia przynajmniej trochę obeschnie, żeby zabrać się do koszenia zboża, ale teraz cała przyroda dosłownie tryskała życiem. Umyte deszczem liście lśniły na drzewach, których gałęzie uginały się pod ciężarem ptaków, kwiaty odwracały głowy do słońca i zachwycaly świeżymi kolorami, a wiatr był rześki i pachnący. Max leżał obok Rity na trawniku za domem w Elvestree, obserwując, jak uratowana przez panią Megalith jaskółka, już prawie zdrowa, lecz jeszcze niezdolna do lotu, skacze po trawie i łapie muchy. Koty spały w domu, ale Max czuwał, gotów w każdej chwili bronić ulubienicę wszystkich domowników przed amatorami łatwej zdobyczy.

- Kiedy wyjeżdżasz? - zapytała Rita, nie kryjąc zaskoczenia.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy przyzwyczała się do towarzystwa Maksa i zaczęła uważać to za rzecz oczywistą. Maddie

spędzała teraz większość dnia w Bray Cove, więc Rita znalazła w Maksie przyjaciela i powiernika.

- Pierwszego września - odparł, szukając w jej twarzy oznak smutku i rozczarowania.

- Gdzie się zatrzymasz?

- U twojej ciotecznej babki Hazel, siostry Primrose. Hazel ma dom w pobliżu Oxford Street, co bardzo mi odpowiada, bo podejmuję pracę w redakcji BBC...

- W BBC? - Rita rzuciła mu spojrzenie pełne uznania. - Nic o tym nie mówiłeś...

Żartobliwie szturchnęła Maksa łokciem w bok.

- Nie byłem pewny, czy to wypali. Wysłałem podanie dawno temu, ale oni długo zwlekali z decyzją - skłamał. W rzeczywistości sam ryzykował, odkładając wyjazd ze względu na Ritę. - Powiedziałbym ci, gdybym nie miał wątpliwości, ale nie chciałem zapeszyć...

- Co tam będziesz robił?

- Najprawdopodobniej herbatę! - zaśmiał się. - Nie mam zielonego pojęcia, wiem tylko, że mogę robić wszystko, byle wykorzystać tę szansę.

- Będzie mi ciebie brakowało... - Uśmiechnęła się trochę żałośnie.

Serce Maksa załopotało, jakby chciało poderwać się do lotu.

- Ja też będę za tobą tęsknił, ale przecież nie wyjeżdżam na zawsze, co jakiś czas tu zajrzę. Nie sądzisz chyba, że długo wytrzymałbym z dala od Elvestree, prawda?

- Megababcia nie będzie mogła znaleźć sobie miejsca w domu, zresztą Ruth także...

- Ruth tak zaprzyjaźniła się z Eddie, że nie odczuje mojej nieobecności. Chciała nawet kupić sobie gerbila, takiego jak Ezra Gunch, ale Primrose powiedziała jej, że koty dopadną go w pięć minut. Ruth przyznała jej rację, więc teraz musi się zadowolić zabawą ze szcurem Eddie.

- Znajdziesz chwilę, żeby zadzwonić do mnie od czasu do czasu?

- Będę dzwonił i pisał.

- Jesteś odważny, że decydujesz się na wyjazd do Londynu...

- Wojna już się skończyła i czeka mnie co najwyżej walka ze smogiem. Podobno londyńska mgła jest nie do wytrzymania.

- Gęsta jak owsianka! - zażartowała Rita.
- Właśnie. Wcale mi się nie śpieszy, żeby to sprawdzać, bo nawet w najlepszych warunkach miewam kłopoty ze znalezieniem drogi.
- Czy mi się wydaje, czy dom Hazel naprawdę został uszkodzony przez bombę?
- Primrose mówi, że bomba spadła na dach, ale dom jakoś wytrzymał i Hazel również, chociaż zakrawa to na cud.
- Jestem z ciebie naprawdę dumna... - Z jej piersi wyrwało się lekkie westchnienie. - Na pewno osiągniesz coś w życiu... Twój rodzice także byliby z ciebie dumni.
- Jaskółka nieźle sobie radzi, prawda? - odezwał się Max po chwili milczenia.

Ritę zdziwiła ta niespodziewana zmiana tematu, ale uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Któregoś dnia może nawet znowu wzbije się w powietrze...
 - Jeżeli będzie miała dość silną wolę, zrobi wszystko, co zechce.
- Max spojrzał Ricie prosto w oczy.

Dziewczyna przypomniała sobie opowiedzianą przez Megababcie historijkę o dwóch rannych ptakach i poczuła, że się rumieni.

- Myślę, że dzięki tobie poderwie się do lotu - odparła i wygodnie ułożyła się na plecach, żeby słońce mogło ogrzać jej twarz.

Harry zauważył, że wraz z Maddie wróciły jego siły twórcze. Nie przesiadywał już godzinami nad maszyną, bezmyślnie wpatrzony w czystą kartkę, lecz pracował tak intensywnie i wydajnie, jak nigdy wcześniej. Ledwo mógł nadażyć z przelewaniem myśli na papier, a Maddie już czekała, żeby zabrać nowy rozdział do przeczytania w rozświetlonym ogrodzie. Wieczorami, kiedy cienie późnego lata tańczyły na trawniku wraz z poruszonymi wiatrem liśćmi, szedł z Maddie do sypialni i kochał się z nią aż do zmierzchu.

Pod koniec września książka była gotowa. Aby uczcić to wydarzenie, Harry zaprosił Maddie do teatru, a potem na kolację w małej spokojnej restauracyjce, przez której okna widać było morze.

- Wydaje mi się, że ta książka będzie bestsellerem - powiedział.

Maddie uśmiechnęła się pobłaźliwie. Harry mówił o swojej powieści niemal bez przerwy, co trochę ją nużyło, ale za każdym razem, kiedy ogarniało ją zniecierpliwienie, przypominała sobie, jakie ma szczęście, że w ogóle zdołała go odzyskać.

- Nie napisałbym jej bez ciebie - ciągnął Harry.

Gdy patrzył na jej promienną twarz, okoloną gęstymi, lśniący mi włosami, serce mu drżało.

- Nawet nie wiesz, jaką przyjemność sprawiła mi praca z tobą powiedziała szczerze Maddie. - Tworzymy doskonały zespół.

- W czasie naszej „zimnej wojny” nie byłem w stanie napisać nawet jednej strony. Nic nie było takie, jak należy. Mój styl był sztywny i dziwaczny, sposób formułowania myśli niejasny, postaciom brakowało życia. Kiedy wróciłaś, wszystko zmieniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Dałaś mi inspirację i pewność siebie, kochanie. Zawdzięczam ci wszystko. Nie zostawiaj mnie nigdy więcej...

- Więc nigdy więcej nie mów mi, że jestem dla ciebie za młoda - uśmiechnęła się.

- Nie jesteś za młoda, ale z pewnością za dobra, żeby żyć w taki sposób.

Maddie zbladła.

- W jaki sposób? - zapytała, walcząc z okropnym uczuciem deja vu.

- Kochamy się, a ty potem ukradkiem wracasz do domu. To niedobrze.

- Ależ, Harry...

Harry z uśmiechem ujął jej dłoń.

- Najwyższy czas, żebym zrobił z ciebie uczciwą kobietę - oznajmił.

Serce Maddie na chwilę przestało bić.

- Czy to są oświadczenia? - W jej głosie brzmiał ton nieśmiałej nadziei.

- Przyjmiesz je?

- Co takiego? Oświadczenia takiego biednego rozwodnika jak ty?

- W jej oczach zabłyśły łzy. - Oczywiście, że je przyjmuję, kochany! - Parsknęła śmiechem i wierzchem dłoni wytarła mokre policzki. - Jak mogłeś pomyśleć, że nie zechcę za ciebie wyjść?

*

Kiedy Maddie i Harry ogłosili swoje zaręczyny, Humphrey i Hanna nie kryli radości zabarwionej odrobiną zdziwienia, lecz w obliczu kryzysu, jaki przeżywała Rita, przyjęli przyszłego zięcia z otwartymi ramionami i uczcili okazję butelką szampana z obfitej piwniczki pani Megalith. Oboje darzyli Harry'ego szczerą sympatią i

czuli ulgę, że ambicje Maddie ograniczyły się teraz do spokojnego życia w Bray Cove. Eddie cieszyła się, że ona i Ruth zostaną druhnami, i zamierzała uszyć malutką marynarkę dla Ezry Guncha, który miał przez całą ceremonię siedzieć dumnie na jej ramieniu, dokładnie tak, jak go nauczyła. Wielebny Hammond klasnął w ręce na myśl o ślubie i natychmiast zaczął układać długą mowę, prosząc Boga o natchnienie. Gdy pani Megalith zaproponowała Maddie swoją suknię ślubną, ta skrzywiła się lekko i parsknęła śmiechem na myśl, że mogłaby włożyć jeden ze słynnych „namiotów” Megababci, ale kiedy poszła z matką i Ritą do Elvestree, aby przymierzyć kreację, spotkało ją miłe zaskoczenie.

- Suknia jest w moim pokoju - oświadczyła pani Megalith, siadając na sofie w otoczeniu żywej narzuty z kotów. - Idź na górę z matką, a my z Ritą zaczekamy tu na twoje wielkie wejście...

Starsza pani trzymała w ręku kieliszek z sherry, a na jej kolanach spoczywało puzderko z wyblakłego czerwonego aksamitu. Rita przysiadła na taborecie przed pustym kominkiem - pogoda była na tyle łagodna, że pani Megalith nie kazała rozpaścić ognia. Dziewczyna ze smutkiem raz po raz zerknęła na babkę, zastanawiając się, czy ona wyczuwa jej przygnębienie, lecz starsza pani była zbyt zajęta zbliżającym się ślubem Maddie, aby zwrócić uwagę na nastrój najstarszej wnuczki. Czy nie przychodzi jej do głowy, że to ja powinnam być w centrum tych wszystkich przygotowań, pomyślała Rita. Gdyby George nie wyjechał do Argentyny, to ona przymierzałaby tego dnia suknię babki. Bo ona miała włożyć ją pierwsza. Ale Megababcia najwyraźniej zupełnie o tym zapomniała. Wszyscy o tym zapomnieli... Rita poczuła, jak znajoma nienawiść podnosi głowę i zaczyna wic się w jej brzuchu, podobna do śliskiej czarnej żmii, potem zaś powoli wkrada się do jej serca i pożera miłość, w zamian wypływając z siebie zazdrość i zimną niechęć. Jednak tym razem Rita wcale nie próbowała spychać tych uczuć w podświadomość. Kiedy Maddie stanęła w progu salonu zachwycająco piękna w sukni z jedwabiu i koronki koloru kości słoniowej, jakby stworzonej specjalnie dla niej, Rita całkowicie poddała się działaniu mrocznej bestii. Z goryczą patrzyła, jak siostra przechadza się po pokoju, prezentując wdzięcznie wyprostowane plecy i długą, smukłą szyję. Zmysłowe ciało Maddie przykryła tak cudownie skromna i kobieca suknia, że przyszła panna młoda wyglądałaby na istotę nie z

tego świata, gdyby na jej twarzy nie gościł uśmiech pełen ziemskiej dumy. Maddie zdawała sobie sprawę, że suknia podkreśla niezwykle atrakcyjną krągłość jej piersi i bioder. Podekscytowana swoim nowym wizerunkiem, przedarła się przez tłum kotów, aby ucałować babkę.

- To wspaniała suknia, babciu! - powiedziała. - Bardzo mi się podoba, dziękuję ci!

Pani Megalith serdecznie objęła wnuczkę.

- Jestem z ciebie dumna, Madeleine - oświadczyła. - Jeśli mam być szczerą, to zawsze uważałam cię za niepoważną flirtiarę, ale teraz nie mam wątpliwości, że będziesz dobrą żoną oraz matką, i to szybciej, niż sądzisz. Okazałaś się rozsądną dziewczyną, co bardzo mnie cieszy.

Maddie zamrugła ze zdumienia. Nie pamiętała już nawet, kiedy Megababcia ostatni raz ją pochwaliła, całkiem niewykluczone zresztą, że właśnie teraz zrobiła to po raz pierwszy. Starsza pani zawsze uwielbiała Ritę i kochała Eddie, która potrafiła ją rozbawić, natomiast ona nieodmiennie ściągała na siebie jej dezaprobatę.

- Wydaje mi się, że to będzie bardzo pasowało do sukni... - Babka podała Maddie czerwone puzderko.

Dziewczyna szybko podniosła wieczko.

- Kolczyki z brylantami i perłami! - zawołała z zachwytem. - Dla mnie?

- Dla ciebie, w prezencie ode mnie. Należały do mojej babki, a ona podarowała mi je przed moim ślubem... Włożyłam je do tej samej sukni, którą masz na sobie, moja droga...

Megababcia ujęła kolczyki i ostrożnie wpięła je w uszy Maddie, która natychmiast pobiegła do dużego lustra nad kominkiem, aby podziwiać swoje odbicie. Rita przyglądała się temu bezradnie, czując się tak, jakby znalazła się w środku koszmarnego snu. To przecież ona powinna nosić te kolczyki...

Tego samego dnia wieczorem, kiedy zaczęła już żałować, że mimo wszystko nie uleciała razem z tamtą jaskółką do nieba, zadzwonił do niej Max z Londynu. Tak się ucieszyła, że uczucie przygnębienia ustąpiło, a jego miejsce zajęła świadomość, że jednak ktoś kocha ją i myśli o niej.

- Wszystko w porządku? - zapytał Max.

- Tak... - odparła smutnym głosem.

- Nieprawda. Wiem, co przeżywasz. To powinien być twój ślub.

- Och, ty mnie naprawdę rozumiesz...
- Martwię się o ciebie. Robi mi się niedobrze ze zdenerwowania na myśl, że siedzisz tam sama i nie masz z kim szczerze porozmawiać. Czy całe Frogmal Point oszalało na punkcie ślubu Maddie?
- Tak.
- Na pewno okropnie się czujesz...
- Tak, ale nikt tego nie zauważa, nawet mama. Nagle wszyscy myślą wyłącznie o Maddie, mama zaprosiła na ślub nawet Faye i Treesa. Chyba zawarli coś w rodzaju rozejmu. Oczywiście ich przyjaźń już nigdy nie będzie taka jak dawniej, ale znowu rozmawiają...
- I to cię boli?
- Tak - odparła, nie do końca pewna, czy powinna się do tego przyznawać.
- Przecież Faye i Trees nie są niczemu winni, nie możesz obarczać ich odpowiedzialnością za zło, które wyrządził ci George!
- Rita nie odpowiedziała. Max przerwał milczenie, ponieważ każda minuta rozmowy sporo kosztowała, a on nie miał zbyt dużo pieniędzy.
- To naprawdę okropne, że wasze rodziny cierpią przez George'a, który tak cię zawiódł - rzekł. - Kiedy wróci, wszyscy razem powinni skrócić mu kark.
- Chciałabym ci o czymś powiedzieć, ale przyrzeknij, że nikomu nie powtórzysz...
- Przyrzekam. - Zaczął się gorączkowo zastanawiać, o co może chodzić, bo głos Rity brzmiał bardzo poważnie.
- Widziałam Faye w ramionach Tadeusza Waliszewskiego...
- Co? Tego starego człowieka z wioski?
- Tak.
- Jesteś pewna?
- Tak. Miała rozpuszczone włosy i wyglądała pięknie, jak młoda dziewczyna. Teraz nie jestem w stanie spojrzeć jej w twarz, taką czuję do niej pogardę. Myślisz, że niewierność jest dziedziczna?
- Max zaśmiał się cicho.
- Nie.
- Jesteś zaszokowany?
- Zaskoczony, ale nie zaszokowany - odparł szczerze. - To nie moja sprawa. Ty także powinnaś przestać o tym myśleć. Nie możesz

pozwolić, aby niewierność Faye zniszczyła twoją wiarę w miłość. Każdy człowiek jest inny.

- Wydaje mi się, że już nigdy nikogo nie pokocham... Tym razem Max zwlekał z odpowiedzią. Rita westchnęła.

- Nikomu nie ufam - dodała.

- Pewnego dnia zjawi się ktoś, kto pokocha cię tak mocno, że nie będziesz mogła wątpić w jego uczucie.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Jestem przekonany, że tak się stanie. Uwierz mi.

- Kiedy? - zapytała. W sercu Maksu natychmiast zapaliła się isierka nadziei.

- Kiedy tego zapragniesz - odparł z wewnętrznym drżeniem.

Zdawał sobie sprawę, jak niewiele brakowało, by wyznał jej miłość. Jednak Rita była pewna, że zawsze będzie kochała George'a, a Max wiedział, że dopóki to się nie zmieni, w jej sercu nie będzie miejsca na miłość do innego mężczyzny.

Rozdział dwudziesty drugi

Był piękny, słoneczny dzień, wprost wymarzony na ślub. Jesienny wiatr łagodnie owiewał okolicę, lecz słońce nadal mocno grzało, jakby nie chciało poddać się nieuniknionej zmianie pór roku. Agatha z radością poświęciła się organizacji ślubu i weselnego przyjęcia, dowodząc armią służby niczym energiczny generał. Przed domem ustawiono kilka rzędów białych krzeseł, uformowano też kwietną pergolę, pod którą George i Susan mieli złożyć małżeńską przysięgę. Ojciec O'Bridie, irlandzki ksiądz z Dublina, który przez ostatnie pięćdziesiąt osiem lat pełnił posługę kapłańską w Buenos Aires, zgodził się odprawić ceremonię, chociaż ani panna młoda, ani pan młody nie byli katolikami. Ojciec O'Bridie miał słabość do alkoholu i zachęcony obietnicą dobrego trunku zgodziłby się połączyć węzłem małżeńskim kogokolwiek, oczywiście pod warunkiem, że utwierdziłoby to wiarę w Jedyne Boga. Agatha zaplanowała ślub na rano, w nadziei, że stary Irlandczyk nie zdąży się wcześniej upić. Dolores i Agustina przez dwa tygodnie zastanawiały się, jakie desery przygotować na lunch, który z każdym dniem coraz bardziej przypominał bankiet. Gauczowie zarznąli trzy krowy na barbecue. Agatha rozesłała zaproszenia do wszystkich przyjaciół, których było naprawdę dużo, wiedziała też, że zaproszeni przywiozą swoich przyjaciół i że na przyjęciu zjawią się także nieoczekiwani goście, bo taki zwyczaj panował w Argentynie. Susan podała jej nazwiska osób, które chciała widzieć na swoim ślubie, natomiast George nie miał tu jeszcze żadnych znajomych.

Agatha i Jose Antonio oniemieli ze zdziwienia, kiedy George i Susan poinformowali ich o swoich planach. Agatha nie oczekiwała, że siostrzeniec wróci do Anglii i ożeni się z Ritą, ale nie przyszło jej do głowy, że mógłby zakochać się w Susan - był niezwykle przystojnym młodym mężczyzną, Susan zaś była... Cóż, Susan była dość nieszczęśliwie oszpecona. Agatha rozumiałaby go lepiej, gdyby stracił głowę i serce dla jakiejś ślicznej Argentynki. Jose Antonio poklepał George'a po plecach z takim rozmachem, że ten prawie się zakrztusił. Wreszcie pojawił niechęć młodego człowieka do nawiązania znajomości z którąś z dziewczyn w Jesus Maria i z ulgą stwierdził, że siostrzeniec żony jest normalnym, zdrowym mężczyzną. Susan była pełną energii, inteligentną kobietą, posiadała chłodny urok i stanowiła dla Jose Antonia taką samą tajemnicę, jak w dniu, kiedy ją poznał. Ani on, ani

jego żona nadal nie wiedzieli, jaka tajemnica wiąże się z jej bliźną. Jose Antonio nie potrafił w pełni docenić jasnej, północnej urody Susan i jej smukłej, prawie chłopięcej figury, ponieważ gustował w krągłych kobietach, rozumiał jednak, jak atrakcyjna może być dla mężczyzny starsza od niego, pewna siebie kobieta. Nie miał cienia wątpliwości, że Susan jest równie sprawną organizatorką jak Agatha, okazała się jednak na tyle mądra i wyrozumiała, że pozwoliła zająć się wszystkim dyszącej chęcią działania Agacie. Jose Antonio wyremontował i przygotował dla młodych znajdujący się na terenie jego majątku śliczny biały domek z oszałamiającym widokiem na równiny i wzgórze. George chciał nadal pracować na farmie, a Susan bynajmniej nie ciągnęło do miasta. Pokochała spokojne życie na wsi i łagodnych, cichych ludzi, z którymi miała do czynienia.

Tonito i Pia uwielbiali Susan, ona odwzajemniała ich uczucia i prawie codziennie jeździła z nimi konno lub wymyślała gry i zabawy dla nich i ich przyjaciół. Już pierwszego dnia jej pobytu na ranchu zapytali ją, dlaczego połowa jej twarzy jest „zepsuta”, a ona z uśmiechem odpowiedziała, że została poraniona przez lwa w Afryce. Dzieci zrobiły wielkie oczy i natychmiast zasypały Susan kolejnymi pytaniami, zaciekawione, wręcz zafascynowane myślą o tak krwawym wydarzeniu. Czy lew chciał ją pożreć? W jaki sposób zdołała uciec? Czy bardzo się bała? Odpowiadała na wszystkie pytania cierpliwie i z wielkim poczuciem humoru, żałując, że uwagi dorosłych nie da się równie łatwo odwrócić. Czasami George widział, jak obserwowała dzieci ze smutnym, czułym uśmiechem - brał ją wtedy za rękę i lekko ścisnął. Nie musiał nic mówić, a ona nie czuła się w obowiązku niczego wyjaśniać, ponieważ doskonale rozumieli się bez słów. Pragnienie posiadania dzieci trzepotało w piersi Susan niczym mały, uwięziony w klatce koliber o kruchych, rozedrganych skrzydełkach. Kładła dłoń na sercu, aby je uspokoić, i powtarzała sobie, że musi być cierpliwa, potem przenosiła spojrzenie na George'a i nadzieja zapalała się w jej oczach, które na wszystkich poza nim patrzyły chłodno i z dystansem.

Teraz siedziała przed lustrem, ubrana w prostą suknię koloru kości słoniowej, czekając, aż fryzjer skończy upinać jej włosy na czubku głowy. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie postąpiła głupio, wybierając sukienkę, a nie kostium, który może byłby bardziej odpowiedni dla kobiety w jej wieku. Czuła się nieswojo w roli panny

młodej. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jest w jakiś sposób skażona, ponieważ była już wcześniej zaręczona i nosiła dziecko. Chwilami przychodziło jej do głowy, że jest zwyczajnie zbyt dojrzała na taki dziewczęcy ślub. Ceremonia ślubu cywilnego była o wiele mniej skomplikowana - nikt nie obrzucał ich konfetti, a jej za całą ozdobę wystarczył bukiet kwiatów. Byli więc już małżonkami w oczach prawa, lecz George nalegał, aby przysięgli sobie miłość przed Bogiem, bo dla niego było to w gruncie rzeczy ważniejsze.

Susan usłyszała dobiegające z dołu ożywione głosy i domyśliła się, że przyjechał ojciec O'Bridie.

- Chwała niech będzie Panu, że podarował młodej parze tak piękny, słoneczny ranek! - wykrzyknął kapłan z wyraźnym irlandzkim akcentem. Chociaż spędził w Argentynie większą część życia, wciąż fatalnie mówił po hiszpańsku. - Język Boga jest uniwersalny i rozumiały dla wszystkich - odpowiadał na pytania tych, którzy chcieli się dowiedzieć, jak to możliwe, że po tylu latach nie nauczył się języka obowiązującego w kraju, gdzie mieszkał i pracował. - A słowa miłości we wszystkich językach brzmią tak samo - dodawał świątobliwym tonem.

Jednak bez znajomości języka trudno było kupić jedzenie i pisać listy, więc ojciec O'Bridie wiele razy musiał prosić przyjaciół, aby pomogli mu w tłumaczeniu najprostszych zwrotów. Na szczęście dzisiaj nie czekały go żadne komplikacje tego rodzaju - gospodarze spodziewali się, że odprawi ceremonię po angielsku, tak jak zawsze odprawiał msze i nabożeństwa w małym irlandzkim kościółku pod wezwaniem Wszystkich Świętych w Buenos Aires, ponieważ większość obecnych doskonale władała angielskim lub wręcz pochodziła z Wielkiej Brytanii. Ojciec O'Bridie postanowił, że łyknie sobie kieliszeczek i wygłosi kazanie, które na zawsze utkwi im w pamięci. Jak większość duchownych, także i stary Irlandczyk uwielbiał dźwięk własnego głosu.

George wyszedł na zewnątrz, aby porozmawiać z przybywającymi gośćmi. Miał na sobie lekki garnitur, lecz mimo tego cieszył się z chłodnego wiatru, ponieważ było mu gorąco ze zdenerwowania. Znał niewiele osób, ale wszyscy uśmiechali się do niego i próbowali zamienić z nim chociaż parę słów - ceremonie ślubne zawsze wydobywały z ludzi ich najlepsze cechy. George od paru tygodni w ogóle nie myślał o Ricie, lecz teraz przywołał z

pamięci jej twarz. Frogmal Point wydawało mu się tak odległe, że chwilami wątpił, czy faktycznie istniało. Cieszył się, że nie bierze ślubu z Susan w rodzinnej wiosce - wyobrażał sobie ogólne podniecenie i zamieszanie, jakie towarzyszyłoby ślubowi jego i Rity, pompatyczne kazanie wielebnego Hammonda i rozradowane twarze znających go od dziecka sąsiadów. Był szczęśliwy, że znajduje się w Argentynie i że nikt z jego najbliższych nie przyjechał na wesele, najbardziej zaś cieszyło go, że to Susan przygotowuje się teraz, aby złożyć przed Bogiem przysięgę, iż będzie kochać go aż do śmierci. Popatrzył na ciotkę Agathę, imponującą w pięknej błękitnej sukni, i nagle ogarnęło go uczucie szczerzej wdzięczności, że przyjęła do swego domu znękanego wojną rozbitka i uratowała go przed bezsensowną egzystencją w nadmorskiej wiosce, gdzie dusił się od pierwszego dnia po powrocie. Gdyby nie ciotka Agatha, niewykluczone, że nigdy nie spotkałby powtórnie Susan. Pomyślał, że koniecznie musi podziękować jej za wszystko w swojej mowie.

Goście powoli zajmowali miejsca, a kwartet, który ciotka Agatha wynajęła w Jesus Maria, zaczął grać. Mocno zarumieniona twarz ojca O'Bridie przybrała wyraz powagi i uduchowienia, kiedy przeszedł u boku George'a między rzędami ławek do ołtarza, gdzie mieli czekać na pannę młodą. Ernesto, jeden z gauczów, którego George poprosił, aby był jego drużbą, stanął obok pana młodego i rzucił mu porozumiewawczy uśmiech.

- Powodzenia, gringo! - szepnął. - Gdy żeniłem się z Martą, była smukła jak ołówek... Kto mógł przewidzieć, że roztyje się jak krowa?

Ernesto lekko wzruszył ramionami i odwrócił się do kapłana, który obserwował, jak Susan powoli idzie przez trawnik, za nią zaś kroczą uroczyście odświętnie ubrani Pia i Tonito.

Serce George'a na chwilę przestało bić na widok ukochanej. Wyglądała dziwnie krucho obok niedźwiedziowatego Jose Antonia, który zgodził się poprowadzić ją do ołtarza, zupełnie jak zachwycająca prostotą i smukłością lilia obok potężnego drzewa. George miał wrażenie, że jego narzeczona płynie nad ziemią. Blask słońca podkreślał elegancką barwę sukni, wiatr poruszał wpiętymi we włosy kwiatami. Szła wyprostowana, z wysoko podniesioną głową, ale jej uśmiech był nieśmiały, prawie zawstydzony. Mocno ścisnęła w rękę bukiet i patrzyła prosto przed siebie, podczas gdy Jose Antonio szeroko uśmiechał się do mijanych przyjaciół i znajomych. Grany

przez zespół utwór muzyczny zabrzmiał melodramatycznym crescendo, gdy George i Susan spojrzeli sobie w oczy z całkowitym zrozumieniem, starając się powstrzymać rozbawienie. Stanęli przed ojcem O'Bridie. George czuł wyraźną nutę zapachu konwalii w perfumach Susan, wyjątkowy, niepowtarzalny aromat jej skóry i myślał o chwili, gdy po raz pierwszy pocałował ją na pokładzie „Fortuny”.

Muzyka ucichła, a wraz z nią szmer rozmów za plecami młodej pary. Ojciec O'Bridie wzniosł ku górze przekrwione oczy i zaczął mówić. Agatha odetchnęła z ulgą, że wypił tylko jeden kieliszek whisky, chociaż worki pod jego oczami były nabrzmiące i niebieskawosine.

- Zebraliśmy się tu dzisiaj przed obliczem Boga, aby być świadkami przysięgi małżeńskiej złożonej przez tego mężczyznę i tę kobietę. Podkreślam słowo „świadkami”, gdyż właśnie temu zadaniu służy obecność was wszystkich, moi drodzy. Naturalnie przybyliście tu także po to, aby świętować i delektować się doskonałymi potrawami i napojami... - Duchowny łakomie oblizał wargi. - Byłem w kuchni i możecie mi wierzyć, że czekają tam wspaniałe przysmaki, mus dulce de leche, lody i beziki...

Susan lekko ścisnęła dłoń George'a. Oboje czuli na karkach powiew wzbierającej wściekłości Agathy.

- Wracajmy jednak do najważniejszej sprawy - podjął ojciec O'Bridie. - Tak, zgromadziliście się tutaj jako świadkowie ślubu George'a i Susan, i za chwilę usłyszycie, jak przysięgają sobie, że będą się kochać i szanować, dopóki śmierć ich nie rozłączy...

Kapłan otworzył stary, zniszczony modlitewnik, który trzymał w rękach, i zaczął czytać. Agatha mogła znowu odetchnąć.

Mimo melodramatycznej muzyki, kiczowatego charakteru ogrodowej „kaplicy” z baldachimem z kwiatów i białymi ławkami oraz nieco podejrzanego entuzjazmu ojca O'Bridie, George i Susan byli głęboko poruszeni ceremonią i z ogromną powagą złożyli przysięgę małżeńską. Nie miało dla nich znaczenia, że z całego tłumu świadków znali zaledwie parę osób, ponieważ kiedy przed Bogiem składali obietnicę wiecznej miłości, i tak nie widzieli nikogo poza sobą.

Zniecierpliwiona Agatha pomyślała, że nie da ojcu O'Bridie ani kropli alkoholu więcej, bo nie dość, że chwiał się jak na pokładzie

miotanego falami galeonu, to jeszcze mówił i mówił bez końca i bez sensu, zmiękła jednak trochę, kiedy zobaczyła, jak Susan i George uszczęśliwieni rozmawiają z gośćmi i chwalą Pię oraz Tonita za doskonały występ. Nagle uświadomiła sobie, że ojciec O'Bridie odegrał już swoją rolę, i to chyba jednak nie najgorzej, więc teraz mógł się upić do nieprzytomności, jeżeli takie miał życzenie.

Zupełnie zapomniała o nieszczęsnym księdzu, szczęśliwych młodych małżonkach i nawet własnych dzieciach na widok Dolores, która pojawiła się przed domem z tacą empanadas, ubrana w suknię z różowego szyfonu, podobną do tych, jakie wkładały prostytutki z Jesus Maria, aby zadowolić klientów o szczególnie wyrafinowanej wyobraźni. Przez przezroczysty materiał dokładnie widać było obszerne białe majtasy starej służącej. Agatha wpadła w popłoch, że Dolores też się upiła.

- Gdzie twój uniform? - zapytała nerwowo.

Dolores uśmiechnęła się umalowanymi wargami i spojrzała na Agathę spod posklejanych tuszem rzęs.

- Pomyślałam, że sprawię seniorowi George'owi przyjemność, jeśli ładnie ubiorę się na jego ślub - odparła z dumą.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że wszyscy widzą twoje majtki? - warknęła Agatha.

- Naprawdę? - Kąciki różowych ust Dolores uniosły się w dziwnym uśmiešku.

Agatha drgnęła, zdumiona aroganckim tonem służącej.

- To nie jest odpowiedni strój - powiedziała twardo. - Bądź tak uprzejma i jak najszybciej przebierz się w uniform...

Zanim Dolores zdążyła odpowiedzieć, obok obu kobiet wyrósł jak spod ziemi ojciec O'Bridie. Spojrzenie jego zapuchniętych oczek o pożądanym wyrazie skupiło się na różowym zjawisku, które w jego obecnym stanie kojarzyło mu się z Wenus Botticellego.

- Bogu niech będą dzięki! - wykrzyknął, zataczając się do tyłu, a potem do przodu, wciąż na pokładzie nieistniejącego galeonu.

Agatha doznała nagłego olśnienia.

- Agustina i pozostałe dziewczęta na pewno poradzą sobie z podaniem lunchu - zwróciła się do pokojówki. - Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś zaopiekowała się ojcem O'Bridie, bo wydaje mi się, że słońce trochę mu zaszkodziło... Zaprowadź go do ogrodu za

domem i daj mu dużo wody do picia, dobrze? Nie chciałabym, żeby się odwodnił...

Dolores rozpoznała łakomy błysk w oczach starego duchownego i bez wahania zdecydowała się spełnić prośbę Agathy. Podała jej tacę z empanadas, ujęła ojca O'Bridie za ramię i poprowadziła go w kierunku domu.

Z piersi Agathy wyrwało się westchnienie ulgi.

- Zdaje mi się, że upiekłam dwie pieczenie przy jednym ogniu... - mruknęła do siebie.

Ugryzła kawałek empanada i z rozkoszą przymknęła oczy. Dobrze, że mimo swoich dziwactw Dolores nadal potrafiła świetnie gotować...

Śmiech Jose Antonia zagłuszył łagodny szmer rozmów. Odrzucił głowę do tyłu i ryczał ze śmiechu, niewątpliwie ubawiony jakimś własnym niewybrednym żartem, ale urok jego osobowości był tak wielki, że wszyscy śmiali się razem z nim. Goście wychwalali urodę panny młodej, potem zaś szeptem wypytywali się nawzajem, skąd wzięła się szpecąca ją blizna. Tonito i Pia, którzy podsłuchali te rozmowy, natychmiast opowiedzieli historię o lwie.

- Mało brakowało, a byłby ją pożarł! Susan mówi, że przestraszyła się dopiero później, bo dopóki była w paszczy lwa, czuła tylko zaskoczenie. Gdyby nie pewien myśliwy, który zastrzelił bestię, lew zjadłby ją na kolację!

Opowieść była tak wstrząsająca, że goście po prostu w nią uwierzyli. Teraz patrzyli na Susan nie z litością, której tak nie znosiła, ale ze szczerym podziwem. Jej blizna stała się oznaką bohaterstwa.

Nagle rozległo się głośne ujadanie Bestie i Woostera. Agatha i Jose Antonio natychmiast spojrzeli w stronę domu, ponieważ psy czekały bardzo rzadko. George zmarszczył brwi i wziął Susan za rękę, lecz pozostali goście nadal spokojnie pili wino i jedli empanadas, nieświadomi, że dzieje się coś niepokojącego. Zza rogu domu wyłonił się ogrodnik Gonzalo, z kapeluszem w ręku szybkim krokiem zbliżył się do Agathy i uklonił się jej.

- Kto przyjechał? - zapytała, czując, jak po jej plecach przebiega zimny dreszcz.

- Senora Velasco - odparł Gonzalo zatrwożonym głosem. Agatha zeszywniała i zwróciła się w stronę męża, który z nachmurzoną twarzą przedzierał się ku niej przez tłum gości.

- Przyjechała twoja matka - ze złością oświadczyła Agatha. - Nie widzieliśmy jej od kilku lat, a teraz nagle zjawia się w dzień ślubu George'a, oczywiście nieproszona... To po prostu niewybaczalne!

Gonzalo odsunął się na bok z nadzieją, że państwo sami zajmą się gościem. Nie miał najmniejszej ochoty wracać do poirytowanej starszej damy w samochodzie. Agatha okazała ogrodnikowi wyjątkową wyrozumiałość, odprawiła go rzadko używanym w stosunku do służby „dziękuję” i utkwiała twarde spojrzenie w twarzy męża.

- Nie zamierzam się nią zajmować - powiedziała. - Ostatecznie to twoja matka, nie moja.

Jose Antonio nie zaprotestował, lecz wziął głęboki oddech, zupełnie jak smok, który zbiera siły, aby zionąć ogniem, odwrócił się i ruszył w stronę domu.

Senora Velasco siedziała na tylnym siedzeniu samochodu i anemicznie machała bogato haftowanym hiszpańskim wachlarzem. Ubrana była na czarno, jak zwykle od czasu rozwodu z ojcem Jose Antonia, nie z powodu żałoby po rozbitym małżeństwie, ale żeby zrobić na złość byłemu mężowi, który nie znosił, gdy kobiety nosiły czerń. Bardzo wysoka i koścista, miała szpakowate włosy, równo obcięte na wysokości ucha, z surową grzywką sięgającą brwi, wyraźnie rysujących się nad dziwnie gadzimi oczami i dużym orlim nosem. Jej wargi były wąskie, ściągnięte w nieprzyjemnym grymasie, a pokrywająca je szkarłatna szminka szokująco kontrastowała z białą jak prześcieradło skórą. Poruszała wachlarzem coraz szybciej, podczas gdy szofer, łudzaco podobny do wielkiej ropuchy, postukiwał palcami o kierownicę.

- Przestań! - rzuciła rozkazująco.

Palce mężczyzny znieruchomiały i poruszyły się dopiero wtedy, gdy przy oknie pojawił się Jose Antonio z Agathą, która mimo wszystko postanowiła mu towarzyszyć.

- Nie spodziewaliśmy się ciebie, mamó - odezwał się Jose Antonio, starając się zapanować nad wściekłością.

- Och, kiedyż ty wreszcie dorośniesz?! Uważasz, że nie mogę przyjechać w odwiedziny do syna, jeżeli mam na to ochotę?!

- Mamy tu przyjęcie weselne... - zaczął Jose Antonio.

- Doskonale! - syknęła senora Velasco. - Pozbyłeś się już Agathy?

Agatha zacisnęła pięści.

- Jeżeli zamierzasz być nieuprzejma, odeślę cię z powrotem do Buenos Aires! - zagroził Jose Antonio.

- Straciłeś poczucie humoru, synu? Ja mam za sobą ciężkie życie, a mimo tego jeszcze potrafię się śmiać. To był tylko żart... Witaj, Agatho, cieszę się, że cię widzę!

Agatha nie uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Czyje to wesele? - indagowała senora.

- George'a Boltona, siostrzeńca Agathy, który przyjechał do nas z Anglii.

- Ach, tak... Nie siedź beczynnie, Blanco, bo zaraz się tu ugotuję!

Szofer z trudem wydobył się z samochodu i obszedł go dookoła, aby otworzyć tylne drzwi. Senora Velasco powoli wysiadła. Jej kości były stare i kruche, a mięśnie przykurczone, nic więc dziwnego, że bolało ją całe ciało.

- Przyjechałam, żeby tu umrzeć - oznajmiła obojętnym tonem, biorąc laskę z ręki zlanego potem Blanco.

- Świetny pomysł! - odparował jej syn.

Senora się uśmiechnęła. Jej wargi rozciągnęły się w wąziuteńką linijkę czerwieni.

- Więc jednak nie straciłeś poczucia humoru, w każdym razie nie do końca... No, ale nie czas na żarty, naprawdę przyjechałam się z wami pożegnać...

Jose Antonio ściągnął brwi i zmierzył matkę czujnym spojrzeniem, nie wiedząc, jak ma zareagować.

- Nie zamierzam dramatyzować, bo nie znoszę hysterii - ciągnęła.

- Odejdę spokojnie, nie robiąc nikomu kłopotu. Możesz pochować mnie w ogrodzie, pod tym eukaliptusem, gdzie zwykle siadywałam, żeby się wypłakać, kiedy twój ojciec pokładał się w Jesus Maria z innymi kobietami...

Agatha przewróciła oczami.

- Może jednak zjesz przygotowany przez Dolores lunch, zanim zdecydujesz się odejść? - zapytała.

Pomyślała, że irytująca staruszka zostanie teraz u nich na wiele miesięcy.

- Nigdy nie sądziłam, że Dolores mnie przeżyje... - westchnęła senora Velasco.

- Jeszcze cię nie przeżyła - zauważył Jose Antonio.

- Ale przeżyje... Cóż, cieszę się, że na koniec spróbuję jeszcze jej słynnych empanadas...

- Zrobiła ich całe mnóstwo - powiedziała Agatha, która chciała wrócić już do gości.

- Chętnie poznani młodą parę. - W zamyśleniu pokiwała głową. - Zaczynają wspólne życie, gdy tymczasem ja kończę swój pobyt na tym padole łez... Zastanawiające, prawda? Czy ksiądz jeszcze tu jest? Powiedzcie mu, żeby na razie nie wracał do domu, możecie przecież za jednym zamachem urządzić pogrzeb...

Powoli obeszli dom. Senora Velasco przy każdym kroku krzywiła się i jęczała, odepchnęła jednak rękę syna, gdy ten próbował ująć ją pod ramię.

- Będiesz mnie trzymał, kiedy umrę! - warknęła. - Dopóki żyję, zamierzam chodzić o własnych siłach. Nie jestem kaleką, mój drogi...

Goście rozstąpili się przed nią, czując odór śmierci w wydobywającym się z jej ust powietrzu. Przeszła między nimi, nie uśmiechając się do nikogo. W końcu Jose Antonio zatrzymał się przed George'em i Susan, którzy rozmawiali z Pią i Tonitem. Dzieci cofnęły się, przerażone widokiem brzydkiej starej kobiety, która natychmiast skojarzyła im się z czarownicą z bajki, i schowały się za spódnicą panny młodej, skąd co jakiś czas rzucały trwożliwe spojrzenia na przybyłą. Senora Velasco podniosła oczy i skupiła spojrzenie na George'u.

- Co za przystojny młody człowiek! - powiedziała doskonałym angielskim. - Kim jest szczęśliwa panna młoda?

Odwróciła się do Susan i zamrugnęła ze zdziwienia.

- Dobry Boże, co stało się z twoją twarzą, dziewczyno?! - wykrzyknęła z brutalną szczerością.

Przez tłum gości przebiegł szmer oburzenia. Susan wyprostowała się, lecz lodowaty uśmiech ani na chwilę nie znikł z jej twarzy. Czowała, jak kryjące się za nią dzieci zbierają siły, aby stanąć w jej obronie i opowiedzieć historię o lwie.

- Byłam w Afryce i zostałam zaatakowana przez lwa - odparła nonszalancko.

- Przez lwa? - powtórzyła zbita z tropu staruszka.

- Przez bardzo dużego lwa. Gdyby nie przewodnik, który trzymał w rękę gotową do strzału broń, ta ogromna bestia pożarłaby mnie na

kolację. - Susan pochwyciła spojrzenie George'a i uśmiechnęła się triumfalnie.

Senora Velasco odwróciła się do syna.

- Zaprowadź mnie do mojego pokoju, podróż bardzo mnie zmęczyła. I przynieś mi talerz empanadas! A jeśli chodzi o ciebie, dziewczyno, to powinnaś nosić tę bliznę z taką dumą, jak order za odwagę! Jak order za odwagę, moja droga!

Patrząc za powoli oddalającą się starszą panią, Susan zdała sobie nagle sprawę, że oto bez trudu pokonała kolejną przeszkodę. Blizna nie stanowiła już dla niej problemu. Przesunęła palcami po policzku. Senora Velasco miała rację - Susan powinna przestać wstydzić się swego wyglądu i zacząć chodzić z wysoko podniesioną głową. Młoda kobieta pochyliła się i serdecznie uściskała dzieci. Pia i Tonito nie mieli pojęcia, że ich przyjaciółka bez słów dziękuje im za historię o lwie. Gdyby nie ich niewinne pytania, nigdy by jej nie wymyśliła.

Rozdział dwudziesty trzeci

Dużo później, kiedy ostatni goście udali się na spoczynek i małe lampiony, które Agatha kazała porozwieszać w ogrodzie, rozświetliły gęstą ciemność, George i Susan poszli do swojego pokoju, znużeni niekończącymi się rozmowami i tańcami. Następnego dnia mieli wyjechać do Mar del Plata - przyjaciel Jose Antonia udostępnił im swój stojący nad samym brzegiem morza dom. Planowali spędzić tam parę tygodni, a potem wrócić do Las Dos Vizcachas i normalnego życia.

Na piętrze Jose Antonio zapukał do drzwi pokoju matki. Nie odpowiedziała, co wydało mu się dziwne, ponieważ spodziewał się usłyszeć wydany ostrym tonem rozkaz, żeby zostawić ją w spokoju albo wejść. Przez szparę pod drzwiami sączył się ciężki odór śmierci. Jose Antonio skrzywił się z obrzydzeniem. Nagle przyszło mu do głowy, że może matka tym razem rzeczywiście dotrzymała słowa i umarła. Ostrożnie wszedł do środka. Światło małej lampki na nocnym stoliku wydobywało z mroku woskowe rysy starej kobiety. Leżała na plecach, z ustami otwartymi w niemym krzyku. Jose Antonio niechętnie zbliżył się do łóżka. Nie czuł nic, ani smutku, ani ulgi. Nawet w dzieciństwie nie darzył matki szczególnie gorącym uczuciem, trudno powiedzieć, aby w ogóle był do niej przywiązany. Nagle zauważył do połowy zjedzony empanada, który wciąż ścisnęła w dłoni, i pianę w kącikach warg Musiała się zadławić słynnym przysmakiem Dolores. Przez głowę Jose Antonio przemknęła myśl, że może gdyby nie była tak łakoma, żyłaby jeszcze kilka lat.

Agatha weszła do sypialni teściowej i przykryła zwłoki prześcieradłem. Czowała, że powinna podwiązać dolną szczękę, żeby zamknąć groteskowo rozdziawione usta, ale nie mogła się na to zdobyć. Wystarczy, że musiała patrzeć na to okropne, martwe ciało... Otworzyła okno i zapaliła świecę, nie tyle z szacunku, co z chęci pozbycia się nieznośnego smrodu, potem zaś szybko wyszła z pokoju, wstrząsając się ze strachu na myśl o tym, że mogłaby zobaczyć ducha senory Velasco.

Jose Antonio i Agatha w milczeniu rozebrali się i weszli do łóżka. Nagle Agatha przypomniała sobie o Dolores i ojcu O'Bridie, których nie widziała od południa, kiedy to wysłała ich do ogrodu.

- Jose Antonio... - szepnęła tak cicho, jakby bała się, że śmierć wciąż czai się w pobliżu.

- O co chodzi, Gorda? - wymamrotał niewyraźnie. - Staram się zasnąć...

- W południe wysłałam ojca O'Bridie i Dolores do ogrodu, i później już ich nie widziałam, a ty?

Jose Antonio się zaśmiał.

- Ja także nie...

- Co mam zrobić?

- Nic, zostaw ich w spokoju. Kiedy ojciec O'Bridie ocknie się rano, przerazi się, jeśli Dolores nadal z nim jest...

- Może zostawiła go, gdy zasnął, i poszła do swojego pokoju - powiedziała Agatha z nadzieją w głosie.

- Może, ale to trochę dziwne, że nie pomogła dziewczętom sprzątnąć..

- O, mój Boże! - jęknęła Agatha. - Ta kobieta nie jest przy zdrowych zmysłach, słowo daję! Nie wydaje ci się, że lepiej by było ją zwolnić?

- W żadnym razie! - Jose Antonio parsknął śmiechem. - Robi stanowczo zbyt dobre empanadas!

- Jednym z nich udławiła się twoja matka - poważnie przypomniała mu Agatha.

- Otóż to! - odparł Jose Antonio i przewrócił się na drugi bok. - Dolores zostaje z nami!

Następnego ranka George i Susan pojawili się na werandzie zarumienieni i uśmiechnięci. Agatha i Jose Antonio jedli już śniadanie razem z dziećmi, które na widok młodej pary z radosnym piskiem poderwały się z krzeseł. Agatha, która uważała, że przed dziećmi nie należy ukrywać prawdy o śmierci, powiedziała im o odejściu babki i z zaskoczeniem zmarszczyła brwi, kiedy Pia i Tonito zgodnie westchnęli z ulgą i powiedzieli szczerze, że senora Velasco była potwornie stara i brzydka. George i Susan okazali zmarłej więcej szacunku, chociaż żadnemu z nich nie przyszło do głowy nic miłego, co mogliby o niej powiedzieć.

- Babcia nadal jest w domu - oznajmił Tonito, którego oczy błyszczały z podniecenia.

- Jej ciało spoczywa w pokoju na górze - dodała niewyraźnie Pia, przetykając kęs francuskiego rogalika. - Pochowamy ją w ogrodzie, żeby robaki mogły zjeść całe zwłoki...

Agatha miała już interweniować, kiedy w drzwiach stanął blady ojciec O'Bridie.

- Dzień dobry księdzu! - przemówił Tonito, doskonale imitując irlandzki akcent, i parsknął śmiechem.

Ojciec O'Bridie poruszał się niepewnie, a jego oczy były jeszcze bardziej zaczerwienione niż poprzedniego dnia.

- Dobrze się ojciec czuje? - zagadnęła Agatha, badając twarz przybyłego uważnym spojrzeniem. - Wczoraj był ojciec w nie najlepszym stanie, pewnie z powodu upału...

- Och, tak! My, Irlandczycy, źle znosimy tak mocne słońce. - Duchowny nalał sobie filiżankę mocnej kawy, wsypał do niej trzy łyżeczki cukru i wypił.

- Mam nadzieję, że Dolores dobrze się ojcem zaopiekowała... - drażyla Agatha.

- Tak, tak, oczywiście! Bardzo dziękuję!

- Dziś rano w ogóle się nie pojawiła, więc biedna Agustina musiała sama przygotować śniadanie. - Agatha dołała księdzu kawy. - Kiedy zje ojciec śniadanie, będziemy musieli prosić go o jeszcze jedną przysługę...

Ojciec O'Bridie podniósł wzrok, wyraźnie zaniepokojony.

- W pokoju na piętrze znajduje się ciało matki Jose Antonia Biedaczka umarła w nocy, zakrztusiła się, jedząc empanada...

- Jedząc empanada? - Stary Irlandczyk pośpiesznie się przeżegnał.

- Tak jest, specjalność Dolores...

- Dzwoniliśmy już do lekarza, ale dziś jest niedziela, więc nieszczęsny człowiek chciałby spokojnie zjeść śniadanie - dodał Jose Antonio. - Powiedziałem mu, żeby się nie śpieszył, bo przecież moja matka nigdzie się nie wybiera, prawda?

- Jej dusza znalazła już schronienie u Boga - rzekł ojciec O'Bridie, wielce zadowolony ze zmiany tematu.

- Nie wiadomo tylko, czy Bóg zdoła z nią wytrzymać - burknęła Agatha.

- Bóg kocha wszystkie istoty, które stworzył - skomentował pobożnie duchowny.

Agatha prychnęła niedowierzająco.

- A jak czują się dzisiaj państwo Boltonowie? - zagadnął ksiądz, zwracając się do George'a i Susan, którzy słuchali w milczeniu,

z dumieniem, że tyle wydarzeń miało miejsce w dniu ich ślubu, zupełnie bez ich udziału i wiedzy.

W tym momencie na taras wyszła Dolores, niosąc duży owalny półmisek ze świeżo upieczonymi pasztecikami. Znowu ubrana była na czarno, a włosy ściągnęła w ciasny koczek na karku. Nie uśmiechała się i nie patrzyła na księdza. Przywitawszy się, postawiła półmisek na środku stołu i wyprostowała się z godnością. Wszyscy przyglądali jej się ze zdziwieniem.

- Dobrze się czujesz? - odezwała się wreszcie Agatha. Dolores skinęła głową.

- Ile osób będzie na lunchu? - zapytała, nerwowo zacierając ręce.

- Senor George i senora Susan wyjeżdżają o jedenastej, więc będziemy tylko my i ojciec O'Bridie...

Duchowny z brzękiem postawił filiżankę na spodeczku.

- Obawiam się, że przed lunchem będę musiał opuścić państwa dom. - Uśmiechnął się sztywno. - Praca dla Boga nie może czekać...

- Oczywiście - odparła Agatha. - Każę Gonzalowi odwieźć ojca na stację.

Dopiero wtedy Dolores spojrzała na księdza. Przez chwilę przy stole panowała dwuznaczna cisza, wreszcie stara panna westchnęła ciężko, opuściła ręce i odezwała się po hiszpańsku, głosem nabrzmiałym od emocji.

- Jestem pobożną kobietą, padre O'Bridie...

Wszystko wskazywało na to, że Irlandczyk zrozumiał, o co jej chodzi, bo uniósł prawą rękę i wykonał znak krzyża nad głową Dolores.

- Niech Bóg panią błogosławi i przebaczy pani jej winy tak, jak przebacza tym, którzy zawinili przeciwko pani...

Dolores potrząsnęła głową i zmarszczyła brwi. Nie rozumiała ani słowa. Gdy Agatha szybko przetłumaczyła słowa księdza, służąca znowu wyprostowała się dumnie i z pogardliwym prychnięciem weszła do domu.

Jose Antonio zaśmiał się i posmarował bułeczkę masłem. Dolores najwyraźniej wróciła już do równowagi, więc wszystko było w porządku. Agatha miała na ten temat inne zdanie - wiedziała, że dopóki w jej domu znajduje się rozkładające się ciało teściowej, nic nie jest w porządku.

Niedługo potem Susan i George wyruszyli w drogę do Mar del Plata, a Gonzalo odwiózł na stację ojca O'Bridie. Dolores dąsała się w kuchni, podobnie jak przez ostatnie czterdzieści lat, Agustina zaś zaczęła nakrywać stół do lunchu. Jose Antonio zajął się organizowaniem pogrzebu matki, ponieważ Agatha nie chciała mieć z tym nic wspólnego i schroniła się w swojej sypialni, skarżąc się na ból głowy. Pia i Tonito z zafascynowaniem podglądali, jak zwłoki babki zostają złożone w trumnie, którą następnie zaplombowano. Tego samego dnia wieczorem ogrodnik wykopał dziurę w ziemi pod wskazanym przez zmarłą eukaliptusem, a duchowny z Jesus Maria odczytał krótką modlitwę nad grobem. W przeciwieństwie do ojca O'Bridie ten ksiądz był ortodoksyjnym katolikiem i traktował swoje obowiązki bardzo poważnie. Agatha, którą nadal bolała głowa, była poruszona jego pokorą i gorliwą pobożnością. Czują, że wiara znowu budzi się w jej sercu, i z pochyloną głową szczerze modliła się za teściową. Kiedy po zakończeniu skromnej ceremonii Pia i Tonito próbowali zabrać psy na spacer, zwierzęta nie usłuchały - z podkulonymi ogonami i położonymi po sobie uszami pobiegły do domu. Nie lubiły senory Velasco za jej życia i nawet po śmierci budziła w nich niepokój.

Susan i George delectowali się samotnością we dwoje, cudowną ciszą i spokojem. Piękny biały bungalow rzeczywiście stał nad samym morzem, a wąska piaszczysta ścieżka prowadziła wprost z małego ogródka na pustą plażę. Jesień zagościła tu już na stałe, wysuszając liście na drzewach i kwiaty na trawnikach, lecz mimo to wszędzie rozbrzmiewał śpiew ptaków i granie cykad. Od morza ciągnął zimny wiatr, więc wieczorami musieli rozpalać ogień w kominku i blask roztańczonych płomieni nadawał wnętrzu bardzo romantyczny wygląd. Zapach morskiej soli, dymu i wyjątkowy aromat jesieni napełniały ich serca dziwną tęsknotą. Spacerowali po plaży, patrząc, jak zachodzące słońce różowi powierzchnię wody, i wspominali, że kiedyś w podobny sposób spędzali czas w Urugwaju. Wtedy George boleśnie odczuł odmowę Susan, teraz mieli przed sobą całe życie, aby kochać się i poznawać.

Pewnego popołudnia, kiedy Susan leżała na tarasie i czytała książkę, George sam zszedł na plażę. Nagle opadły go wspomnienia Frognał Point, tak żywe, że wyraźnie czuł zapach ozonu i słyszał żałosne krzyki szybujących wraz z wiatrem mew. Usiadł na piasku,

oparł łokcie na kolanach i utkwiał wzrok w oceanie. Od wielu miesięcy prawie w ogóle nie myślał o domu, uczucie szczęścia przesłoniło przeszłość grubą zasłoną, lecz teraz, słuchając szumu załamujących się przy plaży fal i czując piasek między palcami stóp, przypomniał sobie o Ricie.

Pomyślał o Hannie i ptakach, które karmiła w swoim ogrodzie, a także o Megababci i jej sakiewce z kryształami, i zaśmiał się serdecznie. Wspominał matkę, jej miłość do sztuki i muzyki, oraz ojca, który niewiele mówił i darzył orzechowe drzewa takim uczuciem, jakie powinien był ofiarować żonie. Geoffrey wrócił już z wojny... George zaczął się zastanawiać, czy mąż jego siostry także zmienił się pod wpływem wojennych przeżyć. Czy dręczyły go wyrzuty sumienia? Czy Alice rozumiała Geoffreya tak jak Susan jego?

George nie miał już nocnych koszmarów, ale często myślał o zabitych przyjaciółach. Czasami widział ich w dziwnych formacjach chmur na niebie lub w odbiciu obłoku mgły w jeziorze. Jamie Cordell, Rat Bridges, Lorrie Hampton... Jego obowiązkiem było zachować pamięć o nich i znosić głos sumienia, który wciąż podpowiadał mu, że on także powinien był zginąć. Co by robili, gdyby przeżyli wojnę? Już coraz rzadziej śnił na jawie o potyczkach wśród chmur, niebezpieczeństwie, adrenalinie, strachu, poczuciu przynależności i braterstwa, a kiedy otrząsał się ze wspomnień, rozglądał się dookoła i dziękował Bogu, że żyje i dotyka nogami ziemi.

Podniósł wzrok, zobaczył zmierzającą ku niemu Susan i pomachał do niej. Miała na sobie długi kremowy rozpinany sweter, którym otuliła się, aby nie czuć powiewów ostrego wiatru, a włosy falami opadały jej na ramiona. Usiadła obok niego.

- O czym myślałaś?

- Wspominałem.

- Więc wspomnienia znalazły cię i tutaj, tak?

- Chyba tak...

- To nieuniknione - powiedziała z lekkim uśmiechem. -

Wspomnienia zawsze nas odnajdują, nie można ukryć się przed nimi raz na zawsze...

George pocałował ją w skroń.

- Cieszę się, że jestem tu z tobą - rzekł. - To jedyne miejsce na świecie, gdzie teraz chcę być...

- A ja cieszę się, że to słyszę.
- Wszystko przez ten odgłos fal, uderzających o plażę, i bezmiar oceanu...
- Przypominają ci Frogmal Point?
- Tak.
- Nadal niepokoisz się o Ritę? - zapytała po chwili milczenia.
- Myślę o niej, tak, ale nie niepokoję się. Jestem pewny, że postąpiłem właściwie.
- To dobrze.
- Nie wiem, dlaczego nagle ogarnęła mnie tęsknota. Nie za ludźmi, ale za miejscem...
- Kiedyś musisz mnie tam zabrać. - Przytuliła się do jego boku. - Bardzo chciałabym poznać twoją rodzinę i zobaczyć farmę, na której dorastałeś. To typowe angielskie gospodarstwo, prawda?

Zaśmiał się cicho.

- Och, na pewno zachwyciłabyś się wybrzeżem Devonu, tamtejszym krajobrazem, który przypomina patchwork uszyty z małych zielonych pól! Między tymi polami biegną wąskie, wijące się ścieżki, obramowane wysokimi, gęstymi żywopłotami. W lesie nad Elvestree...

- Gdzie mieszka Wiedźma... - wtrąciła Susan.

- Tak, nad Elvestree, gdzie mieszka Wiedźma, dzwonki rosną tak gęsto, że porośnięte nimi polany przypominają jeziora. Zapach kwiatów jest oszałamiający. Wszędzie mnóstwo ptaków, bo Hanna, matka Rity, oraz jej matka, Wiedźma z Elvestree, dożywają je przez całą zimę. Czasami wiatr jest tak mocny, że kiedy idzie się szczytem klifu, trzeba uważać, by nie zdmuchnął. W dole na plaży piasek jest gruby i ziarnisty. Kiedy w dzieciństwie budowaliśmy z niego zamki, trzymał się sztywno jak cement, oczywiście dopóki fale nie zmyły naszych budowli. Nieco dalej od brzegu znajduje się mnóstwo skalnych zagłębień, w których zbiera się woda. Zawsze pełno jest w nich krabów i innych skorupiaków. Często zbieraliśmy muszle i wymienialiśmy je w szkole. Sama wioska jest urocza, z malutkim sklepikiem, szkołą i starym kościołem. Po świeże mięso i ryby jeździmy do miasta. Dzieci traktują takie sprawy jako oczywistość, coś, co im się należy, ale kiedy zwiedziłem trochę świata, zrozumiałem, jakie miałem szczęście, dorastając w tak prostych warunkach...

- Brzmi wspaniale - westchnęła Susan. - Nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę twoją wioskę.

- Pojedziemy tam kiedyś razem z naszymi dziećmi, żebyś mógł nauczyć je wszystkiego, co sam robiłem...

Susan uśmiechnęła się z rozczeniem, wyobrażając sobie dzieci George'a i swoje.

- Wybierzemy się na piknik w wietrzny dzień i będziemy jeść kanapki z piaskiem w środku - dodał z entuzjazmem.

- Wyobrażam sobie, jaki to przysmak!

- Nawet kiedy zapakuje się je bardzo szczelnie, piasek i tak jakoś dostaje się pod papier - George się roześmiał. - Ale dzięki temu kanapki są naprawdę chrupiące!

- Mówisz, że dusiłeś się we Frogmal Point, lecz w gruncie rzeczy kochasz to miejsce...

- Wiem. Muszę tylko pobyć trochę z dala od Devonu, to wszystko. Frogmal Point na pewno się nie zmieni, będzie czekać na mnie, kiedy zechcę tam wrócić.

Po dwóch tygodniach młodzi wrócili do Las Dos Vizcachas i zamieszkali w białym domu z zielonym dachem i cienistą werandą. Susan zajęła się sadzeniem pnących roślin pod ścianami i zakładaniem okiennic, a George pracą na farmie. Agatha „wypożyczyła” Susan łagodnego Gonzalo, który znał wszystkie tajemnice przyrody, poradziła jej też, aby zatrudniła do sprzątania Marcelę, młodą kuzynkę Agustiny. Jose Antonio przysłał kilku gauczów, którzy pomalowali ściany domu i naprawili przeciekający dach. Susan urządziła wnętrze skromnie i ze smakiem. Niektóre meble zamówiła u rzemieślników z Jesus Maria, wykorzystwała też wszystkie prezenty ślubne, przede wszystkim piękną porcelanę i pościel, za które oboje z George'em byli szczerze wdzięczni gościom. Susan bardzo cieszyła się swoim nowym domem. Był chłodny, lecz przytulny, elegancki, ale nie ekstrawagancki, a z okien rozciągał się cudowny widok na dalekie, przesłonięte niebieskawą mgiełką wzgórza. Najważniejsze było jednak to, że sama umeblowała dom, w którym było dość miejsca dla niej, George'a oraz gromadki dzieci. Nie potrafiła wyobrazić sobie lepszego miejsca do wychowania dzieci - powietrze było tu krystalicznie czyste, równina piękna i bezpieczna, a farma duża i pełna zwierząt. Na dzieci czekały kucyki, psy, z którymi można było bawić się bez końca, i preriowe zające, skaczące wśród wysokiej

trawy. Ranczo Las Dos Vizcachas wydawało się prawdziwym rajem dla dzieci. Susan miała nadzieję, że niedługo urodzi im się maleństwo. Na myśl o tym serce znowu biło jej szybciej, podobne do strwożonego kolibra, który macha skrzydełkami, usiłując wyrwać się na wolność.

Niepostrzeżenie minęło piętnaście miesięcy. Zima była ostra i ponura, wichury nawiedzały równiny, przyginając do ziemi wysokie trawy i zapędzając zające do norek. Susan zapalała ogień w kominku i otulała się ciepłymi swetrami i kurtkami. Każdego miesiąca czekała na oznaki ciąży i w tajemnicy roniła łzy rozczarowania. George często się z nią kochał. Podziwiał piękno jej ciała, a migoczący w kominku ogień przeistaczał ich sypialnię w romantyczny zakątek pośrodku równiny. Wiatr wył i postukiwał oknami, a oni kochali się w przytulnym cieple swego małżeńskiego łóżka.

Czasami w ciągu dnia, kiedy George był w pracy, Susan zaglądała do małych pokoików i wyobrażała sobie, jak urządzi je dla swoich dzieci. Myślała o drewnianym łóżeczku, karuzeli ze zwierzątkami wygrywającej kołysanki i o zasłonach z grubego materiału, które rano chroniłyby wnętrze przed dostępem jasnych promieni słońca. Pragnęła mieć dziecko, które mogłaby obdarzyć miłością i którym mogłaby się opiekować, i tęsknota ta powoli zaczęła ją dławić. Tonito i Pia, których obecność kiedyś kołało poczucie niespełnienia, teraz przypominali jej o tym, czego jej brakowało. Przyglądała się ich zabawom i pozwalała, aby tulili się do niej niczym małe niedźwiadki, musiała jednak starannie skrywać swój ból, co bynajmniej nie było łatwe.

Któregoś dnia wieczorem, gdy leżała w objęciach George'a, słuchając jego opowieści o Frogal Point, nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Był podstępny i najprawdopodobniej nierozsądny, biorąc pod uwagę okoliczności, ale ona była gotowa na wszystko.

- Opowiedz mi o Wiedźmie z Elvestree, kochany - powiedziała.

George zaśmiał się i Susan poczuła, jak śmiech wibruje w głębi jego klatki piersiowej, na której oparła policzek.

- O sławnej pani Megalith... - mruknął.

- Czy ona naprawdę ma magiczną moc?

- Nie wiem, nie można jednak zaprzeczyć, że w Elvestree dzieją się różne dziwne rzeczy. Ignorowanie tego byłoby zwykłą głupotą.

- Jakie rzeczy? - Susan poczuła, jak krople potu zbierają się u nasady jej nosa.

Bała się, że George odgadnie powód jej zainteresowania.

- Pani Megalith jest uzdrowicielką... - George ściągnął brwi, usiłując przypomnieć sobie krążące w wiosce historie. - Podobno wyleczyła brata wielebnego Hammonda, który chorował na raka, i dokonała tego, dysponując tylko fotografią, a więc na odległość. Ten człowiek mieszka w Bristolu i był wtedy zbyt słaby, żeby do niej przyjechać, dlatego poprosiła go o zdjęcie. Nie wiem, czy przypisać to szczęściu, czy zbiegowi okoliczności, ale on żyje do dziś i ma się całkiem nieźle, w każdym razie tak słyszałem. Wielebny Hammond nie przyjął do wiadomości, że pani Megalith uleczyła jego brata, lecz od tamtej pory strasznie się jej boi. Jej działania podważają chyba jego wiarę, chociaż w gruncie rzeczy jest to nielogiczne, bo przecież sam Chrystus był uzdrowicielem, prawda?

- I zrobiła to poprzez zdjęcie? - Susan nie zamierzała dopuścić, aby George zmienił temat rozmowy.

- Tak, niczego więcej nie potrzebowała. Często robi takie rzeczy. Rita mówiła mi, że na ścianach jednego pokoju w domu babki wisi mnóstwo zdjęć, pod którymi staruszka pali świece, żeby pomóc potrzebującym na odległość. Pani Megalith była kiedyś w Indiach i przywiozła stamtąd dziwne zwyczaje. Twierdzi na przykład, że każdy człowiek ma pole energetyczne, które można zobaczyć na fotografii. Ze słów Rity wynikało, że jej babcia ma sporo sukcesów. Wyleczyła Hannę z bólów kręgosłupa, spowodowanych chyba ciągłym schylaniem się przy pracy w ogrodzie i obserwacji ptaków, mojej matce pomogła pozbyć się bólu ręki, a ojcu zwalczać astmę. Mój staruszek zawsze bardzo źle się czuje w czasie zbiorów, bo wtedy wszędzie jest mnóstwo pyłu i kurzu. Ojciec nie może się nachwalić pani Megalith, częściowo chyba dlatego, że ona jedna naprawdę interesuje się jego ukochanymi orzechami...

- Lubię, kiedy mówisz o ojcu. Jesteście sobie bliscy? - Dopiero teraz Susan odwróciła uwagę George'a od osoby, która najbardziej ją interesowała.

- Na tyle, na ile to możliwe. Mój ojciec jest człowiekiem, który żyje we własnym świecie. Właściwie nie znam go dobrze... Niewiele mówi, ale jeśli sądzić po zmarszczkach na jego twarzy, która trochę przypomina pień orzecha, dużo myśli i czuje. Bardzo go kocham...

Susan nie słuchała zbyt uważnie, lecz George niczego nie podejrzewał.

Następnego ranka napisała list do pani Megalith, dołączając swoją najlepszą fotografię oraz szczerą, gorącą prośbę o pomoc w założeniu rodziny.

Rozdział dwudziesty czwarty

Pani Megalith z zainteresowaniem i pewnym zaskoczeniem przeczytała list Susan. Młoda kobieta musiała być zdesperowana, skoro odważyła się skontaktować z babką porzuconej narzeczonej George'a. Naturalnie Susan prosiła o dyskrecję, czym pani Megalith poczuła się odrobinę urażona, zawsze szanowała bowiem prywatność swoich klientów niezależnie od tego, czy zależało im na zachowaniu tajemnicy, czy nie. Poszła do pokoju, w którym przechowywała świece, kryształy i talizmany, usadowiła się w skórzanym fotelu, zamknęła oczy i położyła obie dłonie na zdjęciu. Oczami wyobraźni ujrzała żonę George'a tak wyraźnie, jakby stała tuż przed nią. Jej długie włosy były rozpuszczone, inaczej niż na fotografii, i gęstą falą opadały na kark i ramiona; oczy wydawały się chłodne, lecz w głębi ciała kryła się dobra, pełna miłości dusza, której tęsknota za dzieckiem zaczęła odbierać życiową energię. Pani Megalith czuła jej cierpienie i blokadę sił witalnych, wywołaną sporą ilością negatywnych wibracji. Gdyby Susan umiała pozbyć się tych szkodliwych emocji, bez trudu poczęłaby dziecko.

Wiedźma z Elvestree zobaczyła też przerażającą bliznę, szpecącą sławną kiedyś z urody twarz, a także przyczynę jej powstania i poronienia pierwszego dziecka. Już miała odłożyć fotografię, gdy nagle jakaś siła obdarzyła ją wizją przyszłości - George i Susan mieli na stałe przeprowadzić się do Frogal Point z powodu okoliczności, nad którymi nie posiadali żadnej kontroli.

Pani Megalith zrobiła dla zdjęcia miejsce na stole pod oknem i położyła na nim kilka starannie wybranych kryształowych dysków: ametyst tuż nad głową, hematyt między stopami i różowy kwarc w okolicy brzucha. Potem zapaliła świecę, znowu zamknęła oczy i wezwała na pomoc swoich duchowych pomocników.

- Pragnę poświęcić ten czas na leczenie Susan Bolton - powiedziała czystym, zdecydowanym głosem. - Niech zostanie uwolniona od całej negatywnej energii i niech poczne dziecko, którego tak pragnie...

Usiadła wygodniej i skupiła myśli na kobiecie, którą poślubił George. Losy Susan, George'a i Rity były ze sobą mocno splecione, chociaż oni jeszcze o tym nie wiedzieli. Nigdy nie uwolnią się od siebie do końca. Starsza pani przypomniawszy sobie historię o dwóch zranionych ptakach, którą opowiedziała wnuczce. Jeśli Susan była

jednym z nich, naznaczonym okropną blizną, to istniała szansa, że po poczęciu dziecka nauczy się znowu latać.

I tak się stało. Tuż przed Nowym Rokiem Susan dowiedziała się, że jest w ciąży. List do Wiedźmy z Elvestree wysłała z uczuciem całkowitego zaufania i okazało się, że instynkt ją nie zawiódł. Raz czy dwa obudziła się w środku nocy, czując dziwne pieczenie i mrowienie w brzuchu, zupełnie jakby był wypełniony gorącym budyniem. Nie było to nieprzyjemne, ale dość niezwykle i Susan zastanawiała się, czy obdarzona magicznymi umiejętnościami babka Rity ma z tym coś wspólnego.

Nie mówiła nikomu o ciąży, dopóki nie zyskała całkowitej pewności. George zauważył, że żona nie czuje się zbyt dobrze, ale milczał, udając, że nie dostrzega jej porannych mdłości i utraty apetytu. Wreszcie po upływie dwóch miesięcy przywitała go w progu z twarzą płonąącą z podniecenia.

- Będziemy mieli dziecko! - zawołała radośnie, wyciągając do niego ramiona.

George'a ogarnęło uczucie wielkiego szczęścia. Teraz w oczach Susan błyszczała nadzieja, nie pełne znużenia rozczarowanie.

Chwyił ją za ręce i porwał do tańca dookoła tarasu. Ciepłe wieczorne słońce wciąż grzało równinę, a oni wirowali wśród długich cieni i pasm złocistego światła, pewni, że czeka ich niekończąca się radość.

- Wydawało mi się, że czujesz się trochę nieswojo - powiedział George, stawiając żonę na ziemi.

Oboje dyszeli ze zmęczenia.

- Wiem, ale nie chciałam zapeszyć... - Susan ze łzami w oczach położyła dłoń na brzuchu. - Dlatego nic ci nie powiedziałam. Jestem taka szczęśliwa, kochany...

George objął ją i mocno przytulił do piersi.

- Teraz musisz na siebie bardzo uważać - ostrzegł. - Koniec z szorowaniem podłogi, przyjmujemy Marcelę do pracy na cały dzień. Nie pozwolę, żebyś się przemęczała, powinnaś myśleć przede wszystkim o dziecku.

- O dziecku... - Susan westchnęła z zadowoleniem. - Tylko pomyśl, najdroższy, niedługo zostaniesz ojcem!

Teraz to George zarumienił się aż po korzonki włosów.

- Urządzeniem pokoju dziecka zajmę się później - ciągnęła Susan. - Zamówimy łóżeczko u tego miłego stolarza z Jesus Maria, który zrobił dla nas meble. Och, jestem tak podekscytowana, że nie wiem, co mam ze sobą zrobić...

- Ale ja wiem! - powiedział George, prowadząc ją w stronę ławki. - Powinnaś odpocząć.

Susan usiadła i znowu poczuła, jak w jej klatce piersiowej coraz szybciej poruszają się skrzydła uwięzionego kolibra.

- Cięża to nie choroba - zaprotestowała, chociaż dobrze wiedziała, że George ma rację. Nic na świecie nie było tak ważne, jak dziecko, które nosiła.

Charles Henry Bolton przyszedł na świat dwudziestego czwartego października tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku, z tym samym entuzjazmem, który miał mu towarzyszyć przez całe życie. Był żywiołowym, pogodnym dzieckiem o błękitnych jak lód oczach matki i uśmiechu ojca. Zanim skończył rok, jego gęste jasne włosy skręciły się w loczki i gdyby nie krępa, solidna sylwetka, można by wziąć go za dziewczynkę. Susan namalowała pociągi i samoloty na ścianach jego sypialni i wstawiła tam karuzelę z drewnianymi zwierzątkami, o której marzyła na długo przed jego poczęciem. Szybko doszła do siebie po porodzie i zaczęła karmić dziecko piersią w tak naturalny sposób, jakby robiła to nie po raz pierwszy. Charlie, jak nazywali go rodzice, kochał matkę z intensywnością, dzięki której nawet chłodny kolor jego oczu stawał się jakby cieplejszy. Gdy zaczął siadać, a potem podnosić się na nóżki, obejmował ją mocno i przywierał do niej jak biały niedźwiadek. Piszczął żałośnie, kiedy wychodziła z pokoju, i pełzł za nią na czworakach tak szybko, że George mówił, iż właściwie wcale nie musi uczyć się chodzić.

Po raz pierwszy patrząc na nowo narodzonego synka, George doznał dziwnego olśnienia. Oniemiały z przejęcia i wzruszenia, wpatrywał się w maleńkie stworzenie, które było częścią jego i Susan, a jednocześnie oddzielnym nieznanym człowiekiem. Dziecko zamrugało oczkami, których nie mogło jeszcze skupić na jednym punkcie, i George nagle pojął, że ta istota przybyła na świat z nieba i zamieszkała na krótko w ciele Susan po to, aby potem rozpocząć własną drogę przez Ziemię. Zrozumiał, że pewnego dnia Charles dorośnie i nie będzie już potrzebował rodziców. Oni umrą, lecz on

będzie żył dalej i może spłodzi własnych potomków, całkowicie niezależny od niego i Susan. Nigdy wcześniej George nie był tak świadomy, że czas mija, a wieczna rzeka życia płynie dalej. W Charliem dane mu było ujrzeć własną nieśmiertelność. Nawet gdyby nie wierzył w życie po śmierci, od tej pory nie miałby wątpliwości, że jego życie znajdzie kontynuację w istnieniu syna. Myślał także o przyjaciółach, którzy stracili życie w czasie wojny, i szczerze żałował, że nie żyli dość długo, aby doświadczyć takiej cudownej radości i zdumienia.

W wieku dwóch lat Charlie umiał już jeździć na kucu. Susan, która wtedy była w ciąży z drugim dzieckiem, prowadziła konika za uzdę po farmie, a siedzący na grzbiecie zwierzęcia Charlie głośno nalegał, żeby dała mu wodze do rączek. Niedługo potem gauczowie zaczęli zabierać go na przejażdżki po równinie; sadzali dziecko przed sobą, jedną ręką mocno przyciskając je do brzucha, aby nie spadło. Chłopiec uwielbiał te wycieczki i piszczał z radości, domagając się szybszej jazdy. Najmłodszy z gauczów, ciemnoskóry chłopak o wąskich, nieco egzotycznych oczach, które stały się powodem nadania mu przydomku El Chino, często przyjeżdżał po Charliego wieczorami, już po kolacji, i kłusował z nim niespiesznie, płosząc preriowe zające i ptaki. Czasami Jose Antonio zabierał chłopca do puesto, gdzie razem słuchali, jak gauczowie śpiewali tęskne pieśni, a El Flaco akompaniował im na gitarze. Jose Antonio, któremu nie wolno było śpiewać w domu, tu nucił z entuzjazmem, chociaż potwornie fałszował, a Charlie tańczył dookoła ogniska jak mały Indianin. George z dumą obserwował syna. Robił dla niego samolociki z papieru, które razem puszczała, i pomagał mu wspinać się na żylaste drzewo ombu. Opowiadał chłopcu o zamieszkujących równiny i góry zwierzętach, a Susan kupowała synkowi farby, aby mógł je malować. Faye, uradowana wiadomością o następnym wnuku, przysłała Charliemu całą paczkę z książkami, natomiast Trees zasadził dla niego orzechowe drzewo, do którego pnia przybił plaketkę z wygrawerowanym imieniem i datą urodzin. Oczywiście ani Faye, ani Trees, nauczeni przykrym doświadczeniem, nie wspomnieli ani słowem o wnuku Hannie i Humphreyowi.

Żadne z nich nie podejrzewało, że we Frogal Point ktoś jeszcze wie o synu George'a, a już z pewnością nigdy nie przyszłoby im do głowy, że osobą tą jest pani Megalith. Parę dni po urodzeniu Charlesa

Susan wysłała do niej list z serdecznym podziękowaniem, a ona bardzo się ucieszyła, że mogła pomóc młodej kobiecie. Starła się leczyć ludzi od wielu lat i zawsze czuła głęboką radość, gdy udało jej się uwolnić kogoś od cierpienia. Przyglądając się fotografii Susan, spostrzegła, że przerażająca tęsknota opuściła młodą matkę na zawsze. Zraniony ptak nauczył się latać wyżej i szybciej niż poprzednio, więc pani Megalith mogła sobie pogratulować. Ogromnie żałowała, że Rita nie potrafi zapomnieć o przeszłości. Dziewczyna wciąż rozczulała się nad swoim losem, zupełnie jakby wcale nie zamierzała zrobić kroku naprzód. Pani Megalith powoli zaczynała mieć dość wiecznie nieszczęśliwej wnuczki, coraz mocniej zamykającej się w sobie z uporem godnym osła, którego Maddie i Harry kupili dla swojego synka. Jaki mężczyzna zechce choćby spojrzeć na to chodzące morze smutku?

Pani Megalith nienawidziła inercji. Życie było takie, jakim człowiek pozwalał mu być, trzeba było wziąć je za rogi i zмагаć się z nim.

- Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają - powtarzała sobie, z rosnącym zniechęceniem myśląc o Ricie. - I ja także...

Niedługo po narodzeniu Avy Faye do Las Dos Vizcachas przyleciał małym, prywatnym samolotem przyjaciel Jose Antonia z Teksasu. Ku wielkiemu podnieceni Charliego samolot okrążył całą farmę, a on wraz z rodzicami, ciotecznią babką Agathą, dziadkiem Jose Antoniem oraz kuzynami Pią i Tonitem machał mu z ziemi. Dolores opuściła kuchnię i stanęła na zielonej trawie, podobna do czarnej wrony, osłaniając oczy od słońca. Gonzalo, Carlos, Agustina i Marcela pobiegli do parku, aby lepiej przyjrzeć się niezwyklej maszynie, ignorując pełne irytacji uwagi Dolores, która pokrzykiwała, że nikt tu nie ma czasu na gapienie się na samoloty. Udali, że jej nie słyszą. Ostatnio coraz częściej żalowali, że irlandzki ksiądz wpędził ją w czarny nastrój, którym usiłowała ukarać nie tylko siebie, ale także innych, najpewniej za to, że jej reputacja została narażona na szwank.

Samolot kilkakrotnie okrążył ranczo i wszyscy mieli okazję zobaczyć, jak Bobby Chadwin, malutki z tej odległości, macha do nich przez okienko. Od chwili demobilizacji George nigdy nie był tak blisko samolotu. Poczł, jak jego dłonie robią się lepkie od potu, nie wiedział jednak, czy przyczyną tego zjawiska jest strach, czy podniecenie. Jakaś część jego duszy pragnęła wzbić się w górę i

słyszeć tylko ryk wiatru, wibrujący warkot silnika i niezwykle podniebną ciszę, lecz inna część natychmiast przypomniała sobie powietrzne bitwy, czarny dym ulatujący ze spadającej spirali w morze maszyny, zapach kordytu, uderzenie adrenaliny i piekące od potu oczy. Doskonale pamiętał, że w tamtych chwilach przeistaczał się w maszynę do zabijania i myślał wyłącznie o tym, aby pozbawić wroga życia. Ta część jego natury obawiała się lotu, bo istota, którą wtedy był, nadal tam czyhała, wśród cieni między życiem i śmiercią, wysoko w górze, gdzie ciemne chmury gromadziły się, aby przesłonić słońce. George nie chciał tam wracać.

Bobby Chadwin wylądował i podtoczył się do oczekującego go małego tłumu, a następnie otworzył drzwiczki i z triumfalnym wyrazem twarzy wyskoczył z kabiny.

- Co za widoki! - zawołał. - Specjalnie zwlekałem z lądowaniem, żeby przyjrzeć się farmie. Twoje gospodarstwo nieźle wygląda, Jose Antonio!

Susan uśmiechnęła się, bo Bobby wymawiał imię „Jose” jak „Josie”, z wyraźnym teksańskim akcentem. Gdy Jose Antonio poklepał przyjaciela po plecach i objął go, pomyślała, że obaj do złudzenia przypominają dwa potężne niedźwiedzie, kudłate i trochę szorstkie w obejściu, lecz mimo to czarujące i pogodne. Bobby ucałował dłoń Agathy i zwichrzył dzieciom czupryny. Dopiero wtedy dostrzegł małego Charliego, jasnowłosego i ślicznego jak putto z obrazu Rafaela.

- Chciałbyś polecieć moją maszyną? - zapytał.

Pia i Tonito natychmiast wykrzyknęli, że oni są gotowi polecieć w każdej chwili, natomiast Charlie był zbyt zajęty, aby odpowiedzieć, ponieważ dorośli podawali go sobie z rąk do rąk. Susan przeraziła się myśli, że jej mały synek mógłby wznieść się w górę, daleko od niej, miała jednak nadzieję, że Teksańczyk zapomni o swojej propozycji.

Zjedli lunch na werandzie domu Jose Antonia i Agathy. Ava spała w swoim wózekku w cieniu. Po lunchu Pia i Tonito uparli się, żeby Bobby zabrał ich na chociażby krótką wyprawę samolotem, natomiast Susan bezskutecznie próbowała odwrócić uwagę Charliego, obiecując mu naleśniki z dulce de leche na podwieczorek. Jej wysiłki skazane były na niepowodzenie, ponieważ Charlie starał się we wszystkim naśladować starszych kuzynów.

- Ja też chcę lecieć, mamó - oświadczył twardo. - Mogę, tatusiu?

Susan spojrzała na George'a i natychmiast dostrzegła lęk w jego oczach, mylnie wzięła go jednak za bliźniacze odbicie własnych obaw.

- Wydaje mi się, że Charlie jest jeszcze za mały, naprawdę... - powiedziała, głaszcząc kręcone włosy synka.

- Daj spokój, zrób mu przyjemność! - wtrąciła się Agatha. Była tak oczarowana przystojnym Teksaszczykiem, że nie wyczuła zastrzeżeń Susan.

- Błagam! - jęknął Charlie. - Mam już prawie pięć lat!

- Możesz bezpiecznie oddać się w moje ręce - zaśmiał się Bobby, porozumiewawczo mrugając do Charliego.

- Nikt nie zna się tu na lataniu samolotem lepiej od George'a - obwieściła z dumą Agatha. - W czasie wojny latał myśliwcami i to dzięki jego odwadze odnieśliśmy zwycięstwo nad Hitlerem...

George poruszył się niespokojnie.

- Może ty też polecisz? - zaproponował Jose Antonio, wycierając serwetką kąciki warg i brodę, mocno zatłuszczone po jedzeniu, na które rzucił się z prawdziwym entuzjazmem. - Zabrałbyś ze sobą całą trójkę dzieci. - Zaśmiał się i sięgnął po wykałaczkę. - Mnie nic nie zmusiłoby, żeby wznieść się w powietrze. Jestem człowiekiem, który lubi trzymać się ziemi...

- Z przyjemnością pokażę ci moją damę, George - rzekł Bobby, mając na myśli swój samolot. - To prawdziwy honor lecieć z lotnikiem o takim doświadczeniu...

George zrozumiał, że nie ma wyjścia. Musiał polecieć albo stracić twarz.

Pili kawę, gdy tymczasem dzieci bawiły się dookoła stołu i co minutę pytały Bobby'ego, kiedy wreszcie polecą.

- Ja także chcę obejrzeć twoją damę - oznajmił Tonito ku wielkiemu rozbawieniu dorosłych.

W końcu Teksaszczyk odstawił filiżankę na spodeczek, chwycił Charliego pod pachy i posadził go sobie na ramionach. Ruszyli przez park w kierunku pola, na którym wylądował. Susan splotła palce z palcami George'a i szepnęła, żeby uważał na siebie i syna.

- Potrzebuję was obu... - powiedziała, nie kryjąc przestrochu.

George mocniej ścisnął rękę żony, aby dodać jej odwagi, chociaż było mu zimno ze zdenerwowania.

Bobby długo i z dumą pokazywał George'owi samolot oraz stanowiące jego wyposażenie najnowsze gadzety. George zauważył, że Amerykanin poklepuje swoją maszynę w taki sam sposób, w jaki kiedyś on poklepywał spitfire'a, na którym latał. Ogarnęła go fala nostalgii i ostrożnie przesunął dłonią po skrzydle. Bobby mocno przypiął dzieci pasami do tylnego siedzenia, a potem gestem zachęcił George'a, by usiadł z przodu. George wziął głęboki oddech, skinął głową z pewnością siebie, której wcale nie czuł, i wskoczył do kabiny. Widok tarcz, wskazówek i steru przypomniał mu pierwszy samodzielny lot w maszynie tiger moth. Większość pilotów miała problemy z sadzaniem tego samolotu na ziemi, ale u George'a wszystkie możliwe trudności splotły się w jedną, bardzo poważną. Pośpiesznie zepchnął to wspomnienie w głąb podświadomości, lecz nieprzyjemne uczucie pozostało.

Czuł się nagi bez maski tlenowej, gogli i hełmu, zbyt lekki bez ciężkiego spadochronu i kamizelki ratunkowej z wizerunkiem Mae West. Miał na sobie tylko koszulę, spodnie i przewiewne płócienne buty. Siedzące z tyłu dzieci umilkły, z podnieceniem wyglądając przez szyby. George szybko otarł spływające mu po czole strumyczki potu - w żadnym razie nie chciał, aby Bobby zauważył jego przestach. Suchym językiem przejechał po równie suchych wargach i poczuł, jak gardło zaciska mu się z przerażenia. Samolot zadygotał lekko, a potem zaś, nabierając prędkości, zaczął grzechotać jak pełne metalowych narzędzi pudełko. Do nozdrzy George'a dotarł zapach spalin, ślina nagle wypełniła jego usta, gdzieś z okolic żołądka napłynął gorzki smak żółci. Usiłował skoncentrować się na rytmie oddechu, gotów zrobić wszystko, byle tylko nie zwymiotować. Był już prawie pewny, że nie wytrzyma i zawstydzi swojego syna, gdy samolot przestał dygotać i gładko wzniósł się w powietrze. Ziemia uciekła w dół, za oknami pojawiło się niebo, dużo bardziej błękitne niż to nad Anglią, nawet w letni dzień. George patrzył na maleńkie drzewa, zabudowania i szeroką, płaską równinę, ograniczoną na horyzoncie wysokimi górami, podobnymi do ogromnych fal na wzburzonym morzu. Jego zdenerwowanie zniknęło w jednej chwili, wystarczyło, że znowu znalazł się blisko spokojnego, błękitnego nieba. Słuchał cichego warkotu silnika i bicia własnego serca, które przypominało mu, że jest śmiertelny. Mroczne cienie i wspomnienie śmierci rozwiały się, a

młody lotnik, który kiedyś pragnął krwi wroga, po prostu przestał istnieć.

Bobby spojrział na niego i uśmiechnął się.

- Wspaniałe uczucie, co? - powiedział do mikrofonu.

- Najwspanialsze na świecie - odparł George.

CZEŚĆ II

Rozdział dwudziesty piąty

Frognal Point 1963

Faye siedziała spokojnie, słuchając, jak Tadeusz gra na skrzypcach. Na zewnątrz popołudniowe słońce zakryły ciemne chmury, z wściekłością przetaczające się po niebie. Jesienny wiatr szarpał parapetami i framugami okien, zupełnie jakby próbował dostać się do domu, gdzie płonący na kominku ogień napełniał niewielki salon miłym ciepłem. Faye zadrżała, nie z zimna, lecz na myśl, że będzie musiała w taką pogodę wracać na farmę.

Patrząc na Tadeusza, który miał teraz siedemdziesiąt osiem lat, długą posiwiąłą brodę i niezmienione mimo upływu czasu, głęboko osadzone oczy, zrozumiała nagle, że kocha go bardziej niż kiedykolwiek. Zrosli się i splekli jak rosnące obok siebie gałęzie drzewa - miniona dekada umocniła ich romans, nie pozbawiając go płaszcza tajemnicy. Tadeusz zamknął oczy, ponieważ znał nuty utworu na pamięć i często go grywał. Melancholijna melodia przypominała mu o przeżytych w Polsce latach oraz wszystkim, co kochał i stracił wraz z wybuchem wojny.

Faye także przymknęła powieki. Na twarzy czuła ciepło ognia, po wewnętrznej stronie jej powiek przemykały cienie tańczących Płomieni. Muzyka budziła w niej smutek. George już od dawna był za granicą i w chwilach, gdy Faye nie próbowała się oszukiwać, mocno wątpiła, czy w ogóle wróci do domu. Codziennie myślała o synu i życiu, jakie sobie stworzył na końcu świata. Ona i Trees odwiedzili go dwukrotnie, ostatni raz przed ponad pięcioma laty. Poznali dwoje swoich wnucząt, Charliego i Avę, i spędzili trzy tygodnie w domu Agathy i Jose Antonia. Faye zawsze z radością wracała do wspomnień z obu tych wypraw, lecz czas mijał tak szybko że teraz, mając sześćdziesiąt cztery lata, Faye niepokoiła się, że nigdy już nie zobaczy syna i jego rodziny. Zdawała też sobie sprawę że, jeżeli okoliczności się nie zmienią, pozostanie dla swoich wnuków prawie obcą osobą.

Hanna odsunęła się od niej. Faye widywała teraz ją i Humphreya tylko w kościele i czasami w sklepie. Nigdy nie pytali, co dzieje się z George'em. Może gdyby Rita wyszła za mąż, byliby w stanie zostawić przeszłość za sobą i wybaczyć, lecz Rita miała już trzydzieści sześć lat, nadal była panną i prowadziła coraz bardziej ekscentryczne życie w wynajętym domku po drugiej stronie Bray Cove. Podobnie jak matka, wysypywała ziarno dla ptaków i całymi godzinami

przesiadwała w ogrodzie, oswajając swoich skrzydlatych przyjaciół. Faye słyszała, że do pięknego, dzikiego ogrodu Rity przychodziły rozmaite zwierzęta, od jeży po zające, i swobodnie bawiły się wśród krzaków janowca i bzu. Kiedy Rita nie przebywała w ogrodzie lub na plaży, prowadziła miejską bibliotekę, gdzie pracowała od ponad dziesięciu lat, poświęcając całą energię na organizowanie wieczorków dla czytelników z udziałem pisarzy, z którymi kontaktował ją Max, oraz warsztatów poetyckich z emerytowanym profesorem Oksfordu, który niedawno przeprowadził się do Frogmal Point. Nie umawiała się na randki i nie przywiązywała najmniejszej wagi do swojego wyglądu - jej długie włosy zwykle tworzyły splątaną chmurę, a ubrania były luźne i powiewne. Mimo chaotycznego stylu życia zachowała naturalną urodę - bladą, wciąż młodzieńczą cerę i wyraziste, nieotoczone siateczką zmarszczek oczy o niezwykłym odcieniu brązu. Wydawało się, że pędzący czas nie odciska swego piętna na Ricie. Młoda kobieta nigdy więcej nie przyjechała do Faye na lekcje rzeźby, lecz matka George'a wiedziała, że teraz rzeźbi sama. W bibliotece stała dramatyczna rzeźba zrywającej się do lotu czapli, a właścicielka znajdującego się w mieście sklepu dla plastyków powiedziała Faye, że Rita często przyjeżdża do niej po glinę i inne materiały.

Maddie zachowywała się wobec Boltonów tak samo przyjaźnie, jak zawsze. Jej uroda osiągnęła teraz szczytową fazę rozkwitu - szczęście przydało jej oczom blasku, a macierzyństwo sprawiło, że cera jaśniała łagodnie. Urodziła troje dzieci: w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku Freddiego, dwa lata później Daisy, zaś osiemnaście miesięcy po narodzinach pierwszej córki drugą, małą Elsbeth. Faye wiedziała od Maddie, że Rita kocha siostrzeńca i siostrzenice jak własne dzieci i bardzo często wpada do Bray Cove, aby opowiadać im o ptakach, skorupiakach i innych morskich stworzeniach. Wypływała razem z nimi małą łódką i razem łapali kraby, homary oraz pstrągi, a o zmierzchu rozpalali ognisko na plaży i śpiewali piosenki przy nieco niepewnym akompaniamencie gitary, na której grała Rita. Rita i Maddie zabierały dzieci na pikniki, podobne do tych, jakie zapamiętały z własnego dzieciństwa, i jadły zapiaszczone kanapki, obserwując, jak dzieci rysują na plaży szlak dla poszukiwaczy skarbów, co kiedyś było specjalnością George'a. Dla Maddie życie było sielanką. Harry opublikował książkę, która spotkała się z przychylnymi opiniami krytyki, zyskała wielką

popularność i została przetłumaczona na piętnaście języków. Zarobił dużo pieniędzy, ale ani on, ani jego żona nie pragnęli zmiany stylu życia czy choćby większego domu - czuli się zupełnie szczęśliwi z tym, co już mieli.

Eddie zaskoczyła wszystkich, podejmując studia na Wydziale Zoologii uniwersytetu w Bristolu, a kilka lat po zrobieniu dyplomu, podczas pracy w rezerwacie dla zwierząt w Afryce, poznała biologa, za którego w niedługim czasie wyszła za mąż. Hanna znała teraz ból rozstania z dzieckiem nie gorzej niż Faye, lecz nigdy o tym ze sobą nie rozmawiały. Eddie zapuściła korzenie w Afryce, wśród dzikich zwierząt, i niewiele wskazywało na to, aby miała kiedyś wrócić do Frogmal Point, gdzie nie było przecież ani lwów, ani gepardów. Hanna była dumna z córki i starała się nie okazywać smutku, jaki czuła po jej wyjeździe.

Faye otworzyła oczy w chwili, gdy błyskawica, która nagle rozdarła niebo, wypełniła pokój białym, fosforyzującym światłem, i wyprostowała się gwałtownie. Z granatowych chmur runęła na ziemię ulewa. Tadeusz przestał grać i odłożył skrzypce. Spojrzeli na siebie, zaskoczeni złowrogą siłą burzy. Faye wstała.

- Powinam wracać - powiedziała niespokojnie. - Trees będzie się martwił...

- Nie możesz jechać do domu w taką burzę, to ryzykowne. Faye się zawahała.

- Trudno, zaczekam, aż trochę przejdzie - rzekła. - Zagrzmiało tuż nad nami, chyba gdzieś w pobliżu uderzył piorun...

- To nie potrwa długo - Tadeusz podszedł do okna. - Popatrzmy razem na niebo, dobrze?

Na dworze zapadła ciemność. Kolejna błyskawica na chwilę rozświetliła ogród srebrzystym ogniem. Faye wzięła Tadeusza za rękę.

- Piękne... - odezwała się cicho. - Kiedy byłam dzieckiem, ojciec powiedział mi, że grzmi wtedy, gdy chmury zderzają się ze sobą... Jeszcze do niedawna byłam przekonana, że tak właśnie jest, bo wydawało mi się to całkowicie logiczne...

Tadeusz się zaśmiał.

- Dzieci wierzą we wszystko, co im się powie, szkoda tylko, że później dorośli często zapominają wyjaśnić im, jak jest naprawdę. Sam czasami śmieję się na wspomnienie rzeczy, w które wierzyłem jako dziecko, a nawet jako młody mężczyzna.

- Dorośli opowiadają dzieciom dziwne historie, starając się oswoić je z pewnymi rzeczami i zjawiskami.

- Albo przestraszyć, żeby nie zrobiły sobie krzywdy i nie szukały nieodpowiednich wrażeń...

- Tęsknię za George'em - wyznała nagle.

Tadeusz objął ją potężnym ramieniem i przytulił do boku.

- Wiem... - odparł pełnym napięcia głosem. On także wiedział, czym jest tęsknota za dziećmi. - Dzieci należą do Boga, który tylko na pewien czas powierza je naszej opiece, lecz świadomość tego stanu rzeczy niczego nie ułatwia, prawda?

- Miłość to bolesne uczucie - szepnęła Faye, wtulając twarz w jego koszulę. - Miłość do ciebie również...

Tadeusz ujął jej twarz w swoje silne dłonie i kciukami pogłaskał jej policzki.

- Ale przecież tylko cierpienie pozwala nam doświadczać radości - rzekł z uśmiechem.

Łza drżała na jego rzęsach jak kropla rosy na pajęczynie.

Kiedy burza ucichła, Faye pojechała do domu. Usiłowała skupić się na prowadzeniu samochodu, ale potrafiła myśleć wyłącznie o Tadeuszu. Gdyby tak Trees nagle zniknął, pomyślała nielojalnie. Wtedy mogłabym spędzić resztę moich dni u boku Tadeusza... Była potrzebna Tadeuszowi, natomiast Trees szukał szczęścia wśród swoich drzew.

Zatrzymała się na podjeździe i chowając głowę w ramionach, pobiegła do domu, rozchlapując wielkie kałuże i omijając skupiska mokrych liści, którymi wciąż mocny wiatr rzucał o ściany budynków. Wpadła do środka, zawołała Treesa, a gdy odpowiedziała jej cisza, doszła do wniosku, że mąż zasnął, czytając gazetę przy kominku w małym salonie. Postawiła czajnik na fajercie i wyjęła z kredensu dwa kubki. W kuchni było cicho i ciemno, jak w mrocznej jaskini. Faye zaparzyła herbatę i poszła z kubkami do salonu, lecz tam także nikogo nie było.

- Trees! - zawołała głośno, ze zdziwieniem marszcząc brwi. Wydawało jej się niemożliwe, żeby w taką pogodę wyszedł na dwór, było jednak oczywiste, że w domu go nie ma. Usiadła w fotelu i wypila herbatę, zastanawiając się, gdzie Trees mógł się podziać. Nagle drgnęła, uderzona pewną myślą. Było całkiem prawdopodobne,

że nawet w takie popołudnie mąż zajmował się swoimi ukochanymi orzechami.

- Do diabła z tymi cholernymi drzewami! - syknęła.

Była wściekła, że ona tu martwi się o męża, a on spokojnie spędza czas wśród orzechów. Możliwe, że burza powaliła któreś drzewo i Trees uznał, że musi coś z tym zrobić.

Postanowiła sprawdzić, czy jej przypuszczenia są słuszne. Włożyła płaszcz i poszła na koniec ogrodu, gdzie na troskliwie nawożonej przez Treesa ziemi rosły drzewa orzechowe rozmaitej wielkości. Znowu głośno zawołała męża i znowu nikt nie odpowiedział. Strach powoli zaciskał palce na gardle Faye.

- Trees! - krzyknęła rozpaczliwie.

Cisza. Nagle niedaleko przed sobą Faye ujrzała obraz straszliwego zniszczenia. Gruba gałąź potężnego drzewa, niewątpliwie trafiona piorunem, runęła na ziemię obok grobu suki Mildred. Faye z trudem przełknęła ślinę i podniosła drżącą dłoń do ust. Kiedy podeszła bliżej, dostrzegła dwie obute stopy, brązowe spodnie i nieruchome ciało swego męża, którego głowa spoczywała obok kamienia z wykutym imieniem jego ukochanego psa. Faye w jednej chwili znalazła się przy nim i rzuciła się na kolana. Przycisnęła ucho do piersi Treesa, całym sercem modląc się, aby dane jej było usłyszeć bicie serca, ale Trees już odszedł. Upadając, musiał uderzyć głową o kamień i to stało się przyczyną jego śmierci. Faye otoczyła go ramionami i rozplakała się cicho. Miała nadzieję, że śmierć zabrała go szybko i bezboleśnie, serce ścisnęło jej się na myśl, że może wzywał pomocy, kiedy ona cieszyła się bliskością kochanka.

Wiadomość o śmierci Treesa błyskawicznie rozniosła się po całym Frogmal Point. Parę minut po odjeździe karetki pogotowia, która zabrała zwłoki, pod domem na farmie zatrzymał się samochód Hanny. Faye była tak zrozpaczona i zagubiona, że Hanna natychmiast zapomniała o własnych żalach i mocno objęła dawną przyjaciółkę.

- Tak mi przykro... - powiedziała załamującym się głosem.

Nagle, w obliczu śmierci, zdała sobie sprawę, że wrogość, która je rozdzieliła, była niska i małoduszna. Obie kobiety stały długą chwilę objęte na deszczu i wietrze, a potem weszły do ciepłego, lecz pustego i milczącego domu.

Faye osunęła się na krzesło, a Hanna postawiła czajnik na kuchence i oparła się o nią, zakładając ramiona na piersi.

- Nie mogę w to uwierzyć... - powiedziała. - Co on tam robił przy takiej pogodzie?

Faye podniosła zaczerwienione oczy i westchnęła.

- To przez te jego przeklęte drzewa... - odrzekła z gorzkim śmiechem.

Nie mogła pogodzić się z myślą, że obsesja Treesa w końcu pozbawiła go życia.

- Aż tak bardzo kochał swoje orzechy? - Hanna z niedowierzaniem pokręciła głową.

W kuchni zapadło milczenie. Hanna wyjęła z kredensu dwie filiżanki i dwie łyżeczki z szuflady. Wargi Faye zbieleły i zaczęły drżeć.

- Nie było mnie w domu... - szepnęła.

- Gdzie byłaś?

- Pojechałam do wioski zobaczyć się z Tadeuszem. - Z tym starym Polakiem? - Hanna ściągnęła brwi. Nie miała pojęcia, że Faye zna Waliszewskiego. Faye kiwnęła głową.

- Zamówił u mnie rzeźbę, niedźwiedzia. Skończyłam ją, więc zawiozłam mu ją i przesiedziałam tam parę godzin. To fascynujący mężczyzna. Gdybym wiedziała... - Spuściła głowę, porażona wstydem, że kłamstwo przychodzi jej tak łatwo.

Hanna zmrużyła oczy. Czuła, że Faye nie mówi jej całej prawdy.

- Może Trees mnie wołał - podjęła Faye z rozpaczą. - Może wcale nie umarł od razu... Nie mogę znieść myśli, że wzywał pomocy, podczas gdy ja piłam herbatę z Tadeuszem...

Hanna odwróciła się i nalała wrzątku do imbryka.

- Nie zadręczaj się - powiedziała kojąco. - I tak nie zdołalabyś mu pomóc. Teraz Trees przebywa już w lepszym świecie...

Napełniła filiżanki świeżo zaparzoną herbatą i usiadła przy stole naprzeciwko Faye. Dopiero wtedy zauważyła, że przyjaciółka ma rozpuszczone włosy. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziała ją tak uczesaną.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytała, pociągając łyk herbaty. Faye tępo wpatrywała się w filiżankę.

- George będzie musiał wrócić do domu i zająć się farmą. Nie dam sobie rady sama.

Hanna zeszywniała.

- Myślisz, że on wróci? Przecież urządził się w Argentynie...

- Wróci. - Faye mimo wszystko uśmiechnęła się na myśl o spotkaniu z synem. - Planował przecież, że wyjedzie tylko na rok, żeby nauczyć się czegoś więcej o uprawie ziemi, a potem wróci i będzie pracował razem z ojcem, ale wszystko potoczyło się inaczej, niż sądziliśmy... - Błagalnie spojrzała Hannie w oczy. - Nie chcieliśmy, żeby coś takiego spotkało Ritę, wierz mi... Pragnęłam, żeby George wrócił i zamieszkał tutaj razem z nią. Serce pękało mi z żalu, że znowu wyjeżdża, tak szybko po powrocie z wojny... Kocham Ritę jak własną córkę, a teraz w ogóle jej nie widuję, tylko Maddie czasami opowiada mi, co się z nią dzieje...

- To już przeszłość - rzekła Hanna.

- Wiem. Wojna skończyła się osiemnaście lat temu, jesteśmy już stare... Kto by pomyślał, prawda? Nie wyobrażałam sobie, że dożyję sześćdziesiątych czwartych urodzin, a Trees miał prawie siedemdziesiątkę... Mamy lata sześćdziesiąte, na miłość boską! - Faye wzruszyła ramionami. - Najwyższy czas, żeby George wrócił do domu i wziął na siebie obowiązki Treesa. Na pewno nie będzie się wahał. Kochał ojca, będzie zrozpaczony, kiedy dowie się o jego śmierci.

- Czy George ma dzieci? - cicho zapytała Hanna.

Myślała teraz tylko o tym, jak Rita zareaguje na wiadomość o powrocie George'a.

- Dwoje - odparła Faye. - Chłopca i dziewczynkę. Hanna wzięła głęboki oddech.

- To miło - powiedziała. - Wnuki są prawdziwym błogosławieństwem...

- Żałuję, że nie mogłam patrzeć, jak dorastają... - szepnęła Faye. - Trees nigdy już ich nie zobaczy...

Hanna wróciła do domu mocno przygnębiona. Szczerze zasmuciła ją śmierć Treesa i świadomość, że pozwoliła, aby jej przyjaźń z Faye osłabła, lecz najgłębszy niepokój obudziła w niej perspektywa powrotu George'a. Wciąż zastanawiała się, jak przyjmie to Rita. Nie mogła zrozumieć, dlaczego najstarsza córka nie wyszła za kogoś innego. Sytuacja byłaby znacznie mniej skomplikowana, gdyby Rita miała własną rodzinę. Tak czy inaczej, Rita wydawała się dość zadowolona z życia. Dużo pracowała i często spotykała się z Maksem, który okazał się wyjątkowo lojalnym przyjacielem. Max mieszkał w Londynie i odnosił sukcesy jako reżyser i producent. Matka ciągle opowiadała, jak błyskotliwy jest jej wychowanek i jaką zyskuje sławę.

Ostatnio Max rozszerzył swoje działania na telewizję, lecz Hannie zupełnie to nie imponowało - nie potrzebowała telewizji, wystarczało jej radio. Znacznie ważniejszy od kariery Maksa był dla niej fakt, że młody człowiek umiał pobudzić Ritę do śmiechu. Tylko w jego towarzystwie zanosila się szczerym, gardłowym śmiechem, przy czym oczy zachodziły jej łzami, a policzki powlekały się rumieńcem. W tych ulotnych chwilach Hanna widziała potencjał córki i wyobrażała sobie, jaka mogłaby być szczęśliwa, gdyby dokonała innego wyboru. Czasami miała wrażenie, że Max wyprowadzał z ukrycia na słońce młodą kobietę, którą George skazał na wieczny smutek. Kiedy Max był w pobliżu, Rita zachowywała się tak, jakby George nigdy nie istniał. Oczywiście, pewnego dnia Max spotka jakąś miłą dziewczynę, ożeni się z nią i nie będzie już miał czasu dla przyjaciółki. Cóż, był przystojnym, atrakcyjnym człowiekiem sukcesu... Gdyby między nim i Ritą istniała chociażby odrobina napięcia seksualnego, niewątpliwie ich przyjaźń już dawno zyskałaby inny charakter...

Kiedy pani Megalith usłyszała o śmierci Treesa, ciężko opadła na krzesło i zapatrzyła się przed siebie, zupełnie jakby znalazła się w transie. Koty zebrały się dookoła jej stóp, wyczuwając smutek, a jeden odważny kocur ostrożnie wdrapał się na kolana i potarł pyszczkiem o jej ramię, lecz ona wydawała się ich nie widzieć. Była jedną z niewielu osób, które rozumiały Treesa, i kochała go jak drogiego, bliskiego przyjaciela. Potrafili godzinami rozmawiać o drzewach orzechowych i Trees często radził się pani Megalith, jak najlepiej je pielęgnować. Nikt nie wiedział, że zakopywał w ziemi kryształ i przynosił do Elvestree niektóre sadzonki, aby w tamtejszej szklarni nabrały sił do dalszego rozwoju. W towarzystwie pani Megalith budziła się w nim pewność siebie, dzięki której mógł elokwentnie wypowiadać się na najrozmaitsze tematy. Chociaż nigdy nie zwierzył jej się ze swoich obaw wprost, Wiedźma z Elvestree zdawała sobie sprawę, że Trees lękał się, iż Faye ma kochankę. To właśnie ten strach popchnął go do obsesyjnego zainteresowania orzechami. W oczach Treesa tylko drzewa były wierne i godne zaufania, i tylko one odrywały go od pustej rzeczywistości jego małżeńskiego życia. W miarę jak Faye coraz bardziej się od niego odsuwała, Trees obdarzał orzechy miłością i uwagą, które powinien był ofiarować żonie, za co one odwzajemniały się doskonałym rozwojem.

Z piersi pani Megalith wyrwało się ciężkie westchnienie. Wiedziała, że będzie jej bardzo brakowało Treesa, podobnie jak jego ukochanym drzewom.

Wieczorem Hanna pojechała do Bray Cove, aby przekazać smutną wiadomość Maddie i Harry'emu. Zastała ich w domu, razem z dziećmi i Ritą, odkryła też, że wiedzą już o wszystkim.

- Zupełnie przypadkiem wpadłam w mieście na wielebnego Hammonda, który powiedział mi, co się stało... - rzekła Maddie. - Smutne, co? Z drugiej strony Treesa nie był już młodzieniaszkiem miał na karku siedemdziesiątkę...

- To jeszcze nie starość - mruknęła Hanna. - Wasz ojciec także niedługo skończy siedemdziesiąt lat.

- Jak znosi to Faye? - zapytał Harry. - Miałem dużo szacunku dla Treesa...

Hanna westchnęła i zerknęła na Ritę.

- Jest strasznie przybita - odparła.

Zdawała sobie sprawę, że będzie musiała powiedzieć córce o powrocie George'a.

- Wielebny Hammond mówił, że Faye znalazła Treesa pod drzewem - odezwała się Maddie. - Co za ironia, prawda?

- Rzeczywiście znalazła go wśród jego drzew, ale najbardziej przygnębia ją myśl, że nie było jej w pobliżu, gdy to się stało...

- Gdzie była? - Rita podniosła głowę.

- Musiała zawieźć zamówioną rzeźbę do domu Tadeusza Wali szewskiego, tego starego Polaka, który mieszka w małym domku w wiosce.

- Naprawdę? - W głosie Rity zabrzmiała nagle wroga nuta. - Więc gdy Treesa leżał na ziemi i umierał, jego żona była z innym mężczyzną?

Hanna wyprostowała się i obrzuciła córkę zaskoczonym spojrzeniem.

- Twoje insynuacje są po prostu obraźliwe! - zawołała. - Nigdy nie widziałam jej tak głęboko zrozpaczonej! Była blada jak ściana, oczy miała czerwone od łez. Siedziała, trzymając go w ramionach, aż do przyjazdu karetki pogotowia. Alice mówi, że pielęgniarze musieli siłą oderwać ją od ciała...

- Och, co za okropność! - westchnęła Maddie. Na policzki Rity wypełził ciemny rumieniec.

- Zastałam Faye z rozpuszczonymi, wilgotnymi od deszczu włosami - ciągnęła Hanna. - Ostatni raz widziałam ją taką chyba trzydzieści lat temu...

Rita spojrzała na matkę.

- Ja też widziałam ją kiedyś z rozpuszczonymi włosami - powiedziała z wystudiowaną obojętnością.

Hanna pytająco uniosła brwi.

- Tak... - Rita pokiwała głową. - Po wyjeździe George'a Tadeusz okazał mi dużo serca i któregoś dnia wpadłam, żeby go odwiedzić, ale siedział wtedy z Faye w ogrodzie, więc wycofałam się niepostrzeżenie. Właśnie wtedy miała rozpuszczone włosy...

W pokoju zapanowało milczenie. Nawet Maddie nie odezwała się ani słowem, wszyscy patrzyli po sobie z uczuciem całkowitego zaskoczenia. Nigdy nie podejrzewali Faye o romans. W końcu Hanna wzięła głęboki oddech i postanowiła poruszyć jedyny temat, który mógł zniechęcić Ritę do dalszych wynurzeń na temat Faye. - George wraca do domu, żeby zająć się farmą - powiedziała. Usta jej córki otworzyły się w bezgłośnym krzyku.

Rozdział dwudziesty szósty

Kiedy chłopiec z poczty w Jesus Maria przyjechał z telegramem, George był na równinie. Susan odebrała depeszę, pełna złych przeczuć. Instynkt podpowiadał jej, że chodzi o złe wiadomości. Koperta była gruba i oficjalna, i Susan pomyślała, że wygląda na taką, w której zamyka się informację o śmierci kogoś bliskiego. Miała ochotę otworzyć ją i sama, delikatnie i ze współczuciem, przekazać George'owi smutną wiadomość, ale nie uległa pokusie, ponieważ szanowała prywatność męża.

Telegram leżał na stole w salonie i Susan za każdym razem mijała go z dziwnym uczuciem nieuchronności przeznaczenia, zupełnie jakby koperta zawierała coś, co może raz na zawsze zmienić ich plany na przyszłość. Po południu Charlie i Ava wrócili ze szkoły z informacją, że w następnym tygodniu mają wystąpić w sztuce i będą potrzebowali odpowiednich kostiumów, więc Susan zaczęła się zastanawiać, jak przygotować stroje. Dzieci rzuciły torby na podłogę, uściskały matkę i pobiegły w kierunku puesto, gdzie El Chino czekał już na nie z dwoma kucykami o błyszczącej sierści i pomysłem wycieczki na równinę, na której widać już było dotyk ciepłej dłoni wiosny. Susan długą chwilę patrzyła w ślad za nimi, nie mogąc otrząsnąć się z lęku. Jeżeli zgodnie z jej podejrzeniami telegram przyniósł złe wieści, życie Charliego i Avy także będzie musiało się zmienić.

Pod wieczór George wrócił do domu po całym dniu ciężkiej pracy, zakurzony i zmęczony. Ava wybiegła mu na spotkanie i otoczyła go w pasie ramionami, a Susan zagryzła wargę i podała mężowi depeszę.

- Co to? - zapytał, gładząc rozradowaną buzię córki.

- Telegram, przyszedł dziś rano.

- I nie otworzyłaś go? - George spojrział na żonę z nieukrywanym zdumieniem.

- Jest zaadresowany do ciebie - odparła. - Dzieci, idźcie posprzątać w pokojach i przebierzcie się do kolacji...

Charlie i Ava jęknęli zgodnie, ponieważ nie mogli zrozumieć, dlaczego Marcela nie sprząta po nich, tak jak robiły to pokojówki w domach ich przyjaciół i znajomych. Kiedy wyszli, George rozdarł kopertę i z rozpaczą przeczytał krótką wiadomość. Susan nie

spuszczała wzroku z jego twarzy i natychmiast się zorientowała, że jej przeczucie było słuszne.

- Mój ojciec nie żyje... - powiedział George.

Czuł, jak serce ściska mu się z bólu. Susan objęła go i pozwoliła, aby jego smutek przeniknął do jej serca. Nie miała cienia wątpliwości, że niedługo wyjadą z Argentyny i zbudują nowe życie w Anglii. Zawsze wiedziała, że zapewne kiedyś podejmą taką decyzję, ale teraz, postawiona wobec konieczności wyjazdu, poczuła strach. Dobrze chociaż, że dzieci potraktują to jako wspaniałą przygodę, pomyślała. Na pewno pokochają morze, piasek, skały i jaskinie, lecz ona będzie musiała stawić czoło nie tylko przeszłości George'a, ale i własnym demonom, które tam pozostawiła.

George usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

- Nie pożegnałem się z nim jak należy - rzekł głucho. - Ostatni raz widziałem go pięć lat temu, a teraz nigdy go już nie zobaczę... - Z niedowierzaniem potarł twarz. Nie mógł uwierzyć, że ojciec naprawdę nie żyje, bo zawsze wydawał się zdrowy, sprawny i silny jak orzech. - Nie był jeszcze stary... Mama na pewno jest nieprzytomna z rozpaczy. Trzeba, żebyśmy wrócili...

Susan przełknęła ślinę.

- Oczywiście - powiedziała, zaskoczona spokojem, jaki brzmiał w jej głosie.

- Nie masz nic przeciwko temu? - zapytał.

Spojrzała w jego pełne smutku oczy i poczuła, jak jej własny niepokój znika w obliczu współczucia dla jego cierpienia. Pocałowała go w skroń.

- Nie mam nic przeciwko temu, kochany. Mój dom jest tam gdzie jesteś ty. Jakoś to będzie, powoli przyzwyczaimy się do innego życia. Nauczysz dzieci, jak łapać kraby i jeść kanapki z piaskiem... Życie to przygoda. Będziemy szczęśliwi, dopóki będziemy razem, jestem o tym przekonana.

- Jesteś niezwykłą kobietą, najdroższa. Nie masz pojęcia, jak bardzo cię podziwiam.

Susan przeczesła palcami jego zakurzone włosy.

- Och, jednak wiem coś na ten temat... - odparła.

Dzieci były bardzo podekscytowane wyjazdem do Anglii. George spróbował przedstawić im Frognał Point jako pełne uroku, fascynujące miejsce, a Susan zachęcała je własnym entuzjazmem.

Charlie z zachwytem myślał o wielogodzinnej podróży samolotem. Jednak dla Susan i George'a wyprawa ta wiązała się z niepewnością i obawami. Jose Antonio i Agatha nie kryli smutku. W ciągu minionych lat George stał się im bliski jak syn, a jego dzieci były dla nich ukochanymi wnukami. Wiedzieli, że bez wesołego śmiechu i energii Charliego oraz Avy rancho będzie dziwnie spokojne, a wieczory długie i puste. Agatha powtarzała sobie, że George zamierzał przecież spędzić u nich tylko rok, tymczasem został na ponad dziesięć lat, lecz Jose Antonio nie był w stanie pojąć, dlaczego nie mogą pojechać do Anglii na parę miesięcy, żeby pocieszyć Faye, a potem wrócić do Argentyny.

- Przywykli do życia na ranchu z nami - pomrukiwał gniewnie. - Ich domem jest Las Dos Vizcachas, tak samo jak naszym...

Kiedy Jose Antonio cierpiał, dawał temu wyraz w wybuchach złości, ale nawet jego wściekłość nie odmieniła decyzji Susan i George'a. Z wielkim żalem spakowali rzeczy, a wraz z nimi wspomnienia, które na zawsze miały pozostać niezatarte i dobre. Susan poszła na ostatni, samotny spacer przez pola. Ostatni raz patrzyła na miejsce, gdzie nauczyła się od nowa kochać. Teraz stała na progu stawiającego nowe wyzwania świata i mogła tylko mieć nadzieję, że Frogmal Point przyjmie ją jak swoją i przebaczy George'owi porzucenie.

Ostatniego dnia przed wyjazdem zjedli kolację z Jose Antoniem i Agathą, a potem usiedli na stojącej na werandzie sofie, podobnie jak wiele lat wcześniej, gdy Susan właśnie przyjechała do Las Dos Vizcachas. Powietrze było łagodne jak balsam. Oddychali zapachami argentyńskiej wsi, zapachem eukaliptusa i jaśminu, świeżo ściętej trawy i janowca, i przyrzekli sobie, że nie zapomną żadnej z tych rzeczy, które nauczyli się traktować jako oczywiste i pewne. Dookoła latarni fruwały ćmy, a w sennym parku grały cykady.

- Byliśmy tu bardzo szczęśliwi, prawda? - odezwał się George z żalem w głosie. - To prawdziwa sielanka... Powinienem cieszyć się, że wracam do Frogmal Point, ale wcale nie czuję radości. Mój dom jest tutaj.

Susan ujęła jego dłoń i delikatnie pogłaskała ją kciukiem.

- Prawdopodobnie na miejscu uznasz, że nic się tam nie zmieniło... - powiedziała.

- Tylko ojca nie ma... - George zaciągnął się papierosem, usiłując sobie wyobrazić, jak wygląda farma bez Treesa. - Wciąż wydaje mi się to niemożliwe... Ojciec był domem. Teraz wszystko będzie mniejsze, niepełne, w jakiś sposób opuszczone... Tata był małomówny, ale wypełniał dom swoją obecnością. Na zawsze zapamiętałem, jak w wysokich butach i czapce chodzi po farmie z Mildred u boku... Kochał wieś, przyrodę, drzewa i ptaki, i zaraził mnie swoją miłością do nich. Był mądry. Najczęściej myślał, co chyba doprowadzało do frustracji mamę, która jest ciepłą, pełną życia kobietą... Mimo to bardzo go kochała, podobnie jak my wszyscy...

- Twój ojciec był wyjątkowym człowiekiem. Naprawdę cieszę się, że go znałam. Polubiłam go razem z jego ekscentrycznymi pomysłami na życie...

George się uśmiechnął.

- Nie cierpiał wydawać pieniędzy. Mama mówiła, że w czasie wojny prowadził handel wymienny - jajka za kartki na ubrania, kurczaki za ryby, warchlaki za owoce z magicznych szklarni pani Megalith. Połowę ogromnego pola przeznaczył na ogród warzywny, więc niczego im nie brakowało. Podczas gdy większość Brytyjczyków cierpiała z powodu okropnych ograniczeń, tata produkował własne pieczywo, masło, mleko, sery, śmietanę i jaja. Kiedy wróciłem z Francji, wszyscy wyglądali lepiej i zdrowiej niż przed wojną, wierz mi. Wszędzie jeździł półciężarówką, bo benzyna do pojazdów niezbędnych w gospodarstwach rolnych nie była racjonowana. Był pełnym inicjatywy i energii człowiekiem chociaż mama złościła się, że podstawia wiadra pod dziury w dachu i w amatorski sposób naprawia wszystko, co może. Serce go bolało, kiedy miał płacić za wykonanie jakiejś usługi, wolał robić wszystko sam. Na pewno mama płacze teraz nad tymi nieszczęsnymi wiadrami, bo przywołują wspomnienia o ojcu. Myślę, że zrozumiała, jak bardzo kochała jego dziwactwa. Może nawet pielęgnuje jego ukochane drzewa...

- Jeżeli ona ich nie pielęgnuje, to ty się nimi zajmiesz - szepnęła Susan, opierając głowę na jego ramieniu.

- W głębi duszy zawsze wiedziałem, że po śmierci taty przejmę farmę, ale nigdy nie myślałem, że stanie się to tak szybko. Powiem ci prawdę, kochanie - trochę boję się powrotu...

- Wiem - odparła spokojnie, aby nie dorzucać swoich obaw do jego własnych. - Ale teraz jesteś ze mną, masz dzieci, rodzinę. Skup

się na wszystkim, co kochasz we Frognał Point, myśl o morzu, plaży, farmie, na której dorastałeś. Teraz ty będziesz nią zarządzał. Nie mógłbyś przecież bez końca siedzieć tutaj, na ranczu Jose Antonia, mimo że Las Dos Vizcachas jest ci bardzo bliskie... Ktoś taki jak ty powinien prowadzić własny biznes, sam być sobie szefem. Przyszedł czas, żebyśmy stąd wyjechali, kochany...

- Ale rozstanie z Agathą i Jose Antoniem nie jest łatwe, prawda?

- Zawsze możemy tu wrócić - odrzekła Susan.

Chciała dodać George'owi odwagi, choć w głębi duszy dobrze wiedziała, że nie wrócą już do Argentyny.

Następnego dnia rano Dolores przypaliła grzanki, ugotowała na twardo jajka dla Jose Antonia, który zawsze jadał je na miękko, i zaparzyła za słabą kawę. Pia i Tonito skarżyli się, że rogaliki smakują węglem drzewnym, i nawet Agatha musiała przyznać, że do kawy podano skwaśniałe mleko. W końcu nieszczęsna służąca pojawiła się na tarasie, załamując ręce i ocierając zapłakaną twarz fartuchem.

- Nie mogę dziś pracować - oznajmiła dramatycznie. - Źle się czuję.

Poleciała Agustinie i Carlosowi, aby posprząтали po niewątpliwie najgorszym śniadaniu, jakie kiedykolwiek jedli mieszkańcy Las Dos Vizcachas. Agatha i Jose Antonio popatrzyli na siebie z niedowierzaniem. Dolores nigdy nie okazała, że lubi George'a, lecz nie ulegało wątpliwości, że jego wyjazd zupełnie ją rozstroił.

George, Susan i dzieci przyszli się pożegnać już po śniadaniu. Mieli przy sobie tylko podręczny bagaż, ponieważ większość rzeczy wysłali już wcześniej statkiem. Agatha uściskała ich mocno, usiłując pokonać wzruszenie poczuciem humoru. Pia rozplakała się rozpaczliwie. Nie wyobrażała sobie życia na ranczu bez Susan, którą kochała prawie równie mocno jak własną matkę. Tonitowi kilka razy zadrżała dolna warga, wiedział jednak, że młody mężczyzna nie może się rozczulać, więc wyprostował się i podniósł wysoko głowę, próbując naśladować ojca. Tonito nie zdawał sobie jednak sprawy, że Jose Antonio w głębi duszy przeżywa rozstanie równie boleśnie jak cała jego rodzina, a może nawet bardziej. Myślał o tym, że pory roku będą przychodzić i odchodzić, cykl życia nadal będzie się powtarzał, lecz jego własny świat zmieni się raz na zawsze wraz z wyjazdem George'a i jego rodziny. Z wielką energią poklepywał wszystkich po plecach i jak z rękawa sypał marnymi dowcipami, ale gdy samochód

zniknął w oddali, pozostawiając za sobą tylko chmurę kurzu i pełne smutku milczenie, osiodłał konia i aż do nocy jeździł po równinie.

Wszyscy wiedzieli, że pani Megalith nie lubi kościoła - mieszkańcy Frogmal Point doskonale pamiętali, jak zjawiała się w świątyni w towarzystwie kotów - lecz pogrzeb Treesa potraktowała w sposób wyjątkowy. Nie spóźniła się, aby efektownie przekuścić główną nawę do ławki i w ten sposób skupić na sobie uwagę zgromadzonych, starała się nie stukać zbyt mocno laską o podłogę i po raz pierwszy w życiu wystąpiła w czerni od stóp do głów. W towarzystwie Maksa, przystojnego i eleganckiego w szytym na miarę garniturze z Savile Row, oraz Ruth w całkowitym milczeniu usiadła w ławce za Hanną, Humphreym i Ritą. Tylko jej wisior z kamieniem księżycowym połyskiwał w świetle, jakby zbierał energię do jakichś czarodziejskich sztuczek.

Kościół pełny był wieńców z jagód, owoców i gałęzi z barwnymi jesiennymi liśćmi. Na trumnie, długiej i wąskiej, podobnie jak sam Treese, ustawiono koszyk z orzechami z pierwszego drzewa, jakie zasadził. Wielebny Hammond stał przed ołtarzem, nieco wylupiastymi oczami rozglądając się dyskretnie po nawie w poszukiwaniu kotów. Dostrzegł panią Megalith i zadrżał, bo chociaż wydała mu się niezwykle spokojna, w czerni bardziej wyglądała na czarownicę niż w jakimkolwiek innym kolorze. Jednak tego dnia pani Megalith nie zamierzała sprawiać nikomu żadnych problemów. Kochała Treesa i przyszła się z nim pożegnać, chociaż zdawała sobie sprawę, że niedługo sama do niego dołączy.

Faye żałowała, że George nie mógł zdażyć na pogrzeb. Siedziała w pierwszej ławce razem z Alice, Geoffreyem i wnukami i wpatrywała się w trumnę. Wyobrażała sobie spoczywającego w niej Treesa, ubranego w ulubione brązowe spodnie, niebieską koszulę i czapkę. Miała ochotę włożyć mu wysokie buty, w których codziennie chodził po polach, ale doszła do wniosku, że byłoby niestosowne, gdyby stanął przed Stwórcą w zabłoconym obuwiu. Sama zebrała orzechy z drzewa, które Treese zasadził zaraz po ich ślubie. Teraz rzymski orzech o fioletowych liściach miał piętnaście metrów wysokości. Po śmierci Treesa nosiła się z myślą, aby ściąć wszystkie orzechy, uznała jednak, że nie ma sensu gniewać się na drzewo, które przyczyniło się do jego odejścia; wiedziała też dobrze, że gdyby Treese mógł wybierać, na pewno zdecydowałby się na taką właśnie śmierć.

Ukłękła i pogрузzyła się w modlitwie. W przeciwieństwie do pani Megalith, Faye zawsze czuła, że jest bliżej Boga w Jego domu. Była przekonana, że Bóg chętniej wysłucha jej modlitwy, jeżeli wypowie ją w kościele. Teraz dziękowała Stwórcy za życie Treesa i jego miłość, gorąco prosiła też, aby wybaczył jej grzech cudzołóstwa. Po jej policzkach płynęły łzy, ale tylko Rita, Hanna i Maddie podejrzewały, że ich przyczyną jest poczucie winy.

Max wyraźnie czuł zapach fiołków. Żadna kobieta poza Ritą nie pachniała tak pięknie... Siedziała tuż przed nim, a spod małego czarnego kapelusza spływały ciężką falą splecione włosy. Nadal nosiła zaręczynowy pierścionek George'a, przełożyła go tylko na trzeci palec prawej ręki. Max po prostu nie potrafił uwierzyć, że kobieta może tak długo i kurczowo trzymać się wspomnienia o mężczyźnie. Rita była potwornie uparta, ale powinna była już dawno zmienić nastawienie do życia. Max wiedział, że George wraca na farmę z żoną i dziećmi, i miał nadzieję, że kiedy Rita zobaczy byłego narzeczonego, wreszcie zostawi przeszłość za sobą. Czy nie zdawała sobie sprawy, że on, Max, kocha ją całym sercem?

Max zajmował się teraz produkcją nie tylko programów radiowych, ale także telewizyjnych. Posiadał wyjątkową zdolność przewidywania, co może zdobyć popularność, i najczęściej nieomylnie oceniał ludzi. Piał się po drabinie sukcesu szybciej niż ktokolwiek mógł sobie wyobrazić i zarabiał dużo więcej, niż umiał wydać. Ciężko na to wszystko pracował, lecz nie dla siebie. Robił to dla Ruth i Rity, dwóch najważniejszych kobiet w jego życiu. Wierzył, że Rita kiedyś go w końcu pokocha, a wtedy on zabierze ją do Wiednia i pokaże jej Teatr Cesarski, który dawno temu ojciec zbudował specjalnie dla matki. Zajrzę za kurtynę i Max przywoła do życia historie, które kiedyś opowiadał Ricie na plaży, także tę o dziwce bez jednej nogi, która uwiodła perskiego szacha, oraz o dziewczętach z chóru, chętnie przytulających małego Maksa do swoich skąpo osłoniętych piersi.

Podczas gdy Max tęsknił za jej spojrzeniem, Rita myślała o George'u. Patrzyła na Faye i nic nie mogła na to poradzić, że wciąż czuła się osobiście urażona jej podwójnym życiem. Niewinny i niczego nieświadomy Trees leżał w drewnianej skrzyni, podczas gdy jego żona jak przykładowa wdowa wylewała nieszczerą, krokodylę łzy... Złość Rity przyćmiło jednak uczucie niepokoju, bo przecież

George miał lada chwila przybyć z Argentyny wraz z żoną i dziećmi, z rodziną, którą powinien był założyć z nią, a nie z inną kobietą... Czuła, jak w jej sercu budzi się nienawiść. Wstydziła się, że w domu Bożym poddaje się tak niskim uczuciom, ale nie umiała ich przezwyciężyć. Spojrzała na pierścionek z brylantem, który błyszczał na jej palcu, i uznała, że jego wierny blask zawiera w sobie nikły promień nadziei. George powiedział jej kiedyś, że chce, aby myślała o jego miłości za każdym razem, kiedy popatrzy na pierścionek...

W czasie kazania pani Megalith zamknęła oczy i natychmiast wyczuła dyskretną obecność Treesa. Stał przy ołtarzu z założonymi na piersi ramionami i rozmawiał ze swoim ojcem. Starsza pani bynajmniej nie była tym zdziwiona czy zgorszona, bo i ona uważała, że wielebny Hammond wygłasza potwornie nudną, pompatyczną homilię. Najbardziej rozbawiło ją, że Treese mówił szybko i elokwentnie. Nie słyszała jego słów, wiedziała jednak, że rozprawia z ożywieniem i wyraźnym zadowoleniem. Za życia nigdy nie był tak rozmowny, nawet gdy wdawał się w rozmowę o swoich ukochanych orzechach. Nadrabia stracony czas, pomyślała ze wzruszeniem i otarła łzę. Kiedy Max otoczył ją ramieniem, skrzywiła się, zażenowana, że przyłapano ją na słabości, potem otworzyła jednak oczy i spojrzała na wychowanka z czułością i wdzięcznością. Max odpowiedział dyskretnym uśmiechem. Podobnie jak tamtej pamiętnej nocy po przyjeździe do Anglii, także i teraz poczuł od niej zagarniającą go falę bezwarunkowej macierzyńskiej miłości.

Maddie zawsze była egoistką, obserwowała więc poruszonych i głęboko zasmuconych bliskich Treesa z emocjonalnym dystansem. Lubiła Treesa, ale nie był to człowiek, do którego łatwo można się zbliżyć i przywiązać. Rita miała powód do smutku, ponieważ pracowała ze zmarłym i o mały włos nie została jego synową, lecz w oczach Maddie niczym nie zasłużył na specjalne zainteresowanie. Kiedyś był najlepszym przyjacielem jej ojca, później George zerwał tę więź. Maddie nawet nie przyszło do głowy, że mogłaby zaangażować się w spór między obiema rodzinami, miała zresztą własną rodzinę i o niej musiała myśleć. Współczuła siostrze, ale od tamtego czasu minęło już kilkanaście lat i Maddie dawno straciła cierpliwość do Rity i jej cierpień. Jeżeli Rita miała ochotę niezmiennie użalać się nad sobą, to Maddie nie zamierzała jej w tym przeszkadzać, postanowiła jednak, że nie dopuści, aby nieszczęście siostry zdominowało jej własne życie

tak jak życie ich matki. Od czasu do czasu na drodze Rity stawali rozmaici mężczyźni, lecz wszyscy szybko odchodzili, zniechęceni jej obojętnością. Tylko Max pozostał przy niej, niezmiennie wierny. Często dzwonił, odwiedzał ją, kiedy tylko miał odrobinę wolnego czasu, i znał wszystkie jej tajemnice, w każdym razie Maddie była przekonana, że tak właśnie jest. Nie potrafiła pojąć, dlaczego Rita nie wyszła za Maksa, który był bogaty, energiczny, utalentowany i na dodatek przystojny. Czas wyostrzył rysy, nakreślił kilka interesujących zmarszczek i bruzd na twarzy i nadal jej wyraz mądrości i doświadczenia. Jego oczy wydawały się teraz ciemniejsze, mniej niewinne, a linia włosów trochę się już cofnęła. Maddie nie miała cienia wątpliwości, że jeżeli Rita nie wykorzysta szansy, Max znajdzie sobie inną kobietę i ożeni się z nią. Gdyby przynajmniej pozbyła się wreszcie tego zaręczynowego pierścionka... Maddie liczyła, że po przyjeździe George'a do Frogal Point siostra zrozumie, iż jej fantazje nigdy się nie spełnią, i rzuci ten żałośnie skromny brylancik w morskie fale.

Faye siedziała w swoim studiu i rzeźbiła, słuchając Symfonii alpejskiej, ulubionego utworu Tadeusza. Czowała się bardzo samotna. Bez Treesa dom był nieznośnie cichy. Gdy żył, czowała jego obecność, nawet kiedy nie przebywali w tym samym pokoju. Jego towarzystwo było ciepłe i przytulne jak wełniany koc... Dopiero teraz Faye rozumiała, jak bardzo kochała męża. Nie było to namiętne uczucie, jakim darzyła Tadeusza, lecz głęboka, szczerza miłość. Trees był dobry i godny zaufania. Żałowała, że nie zrobiła większego wysiłku, by go zrozumieć. Miała świadomość, że ostatecznie to ona pozwoliła mu odsunąć się i głębiej wejść w świat drzew.

Wiedziała też, że teraz trudniej będzie jej widywać się z Tadeuszem. Była wdową i żałobę uważała za bardziej oczywisty obowiązek niż wcześniej wierność. Nie mogła ryzykować, że ktoś zobaczy ją z innym mężczyzną, kiedy mąż jeszcze nie ostygł w grobie. Nagle pomyślała, że zrobiłaby wszystko, aby cofnąć czas do tamtego lata, kiedy George wrócił do domu z wojny i był szczęśliwy z Ritą, i kiedy Trees i Mildred stanowili niezmienną część farmy oraz jej życia.

Rozdział dwudziesty siódmy

Kiedy Susan, George i dzieci wysiedli z pociągu na malutkiej stacyjce w Devonie, wszystko dookoła spowite było gęstą, szarą mgłą. Z Argentyny wyjechali wiosną, a tu znaleźli się w samym środku angielskiej jesieni. Od wybrzeża ciągnął ostry, nieprzyjemny wiatr i tylko najbardziej odważne mewy odważyły się z nim zmierzyć. Charlie i Ava otulili się płaszczami i z rozczarowaniem patrzyli na swój nowy świat. Na szynach leżały mokre liście, światło latarni na peronie z trudem przenikało mgłę. Zmęczeni podróżą, niechętnie przyjmowali zimną rzeczywistość swojej sytuacji. Była dopiero czwarta po południu, a już zapadał zmrok. Nasiąkłe wilgocią ubrania skutecznie gasiły płomień optymizmu.

Faye i Alice czekały na stacji, żeby ich powitać. Serce George'a skurczyło się boleśnie, kiedy zobaczył, jak bardzo postarzała się matka. Sprawiała wrażenie drobniejszej i bardziej kruchej, podobna do sadzonki, która po wycięciu osłaniającego ją drzewa wystawiona została na powiewy ostrego wiatru. Gdy objęła syna, do oczu napłynęły jej łzy. George przypomniał sobie dzień powrotu z wojny. Faye pachniała wciąż tak samo, jej policzek był jak zawsze miękki i delikatny. Nie musieli nic mówić. W końcu Faye oswobodziła się z objęć syna i serdecznie przywitała Susan i dzieci, zadziwiona, że wnuki tak szybko urosły. Potem George przedstawił swoją rodzinę siostrze i wszyscy z pewnym trudem zajęli miejsca w terenowym samochodzie, który Trees kupił na krótko przed śmiercią.

- Jaka szkoda, że mamy dziś taki ponury dzień - powiedziała Faye, wyczuwając nie najlepszy nastrój dzieci. - Mgła utrzymuje się już od tygodnia. No, na szczęście zaraz będziemy w domu i rozgrzejecie się...

- Chciałem, żeby oglądali krajobrazy przez okno wagonu, ale nic nie było widać - rzekł George, który siedział z przodu obok matki.

Odwrócił się i uśmiechnął do siedzącej na kolanach matki Avy. Dobrze, że dziewczynka była dość drobna jak na swoje dziesięć lat, bo inaczej nie zmieściliby się w samochodzie.

- Dzieci są po prostu zmęczone. - Susan pocałowała córkę w głowę. - Mamy za sobą długą podróż.

- Chyba nawet Charliemu znudziły się samoloty, przynajmniej na razie - dodał George.

Miał nadzieję, że wywoła uśmiech syna, lecz Charlie wciąż patrzył przed siebie nieprzytomnym wzrokiem.

- Jak tam Johnnie i Jane? - George zwrócił się do siostry, postanawiając zmienić temat.

- Johnnie studiuje na uniwersytecie w Exeter, a Jane właśnie skończyła szkołę średnią i ma nadzieję dostać się na studia w Bristolu - odparła Alice.

- Jak ten czas leci! - zawołał George. - Mam wrażenie, że nie dalej jak wczoraj byli jeszcze dziećmi...

- Długo nie było cię w domu - zauważyła Alice, lecz w jej głosie nie można było doszukać się choćby cienia wyrzutu.

- Mam nadzieję, że farma się nie zmieniła.

Faye z uśmiechem potrząsnęła głową, zadowolona, że syn jest przywiązany do swoich wspomnień.

- I farma, i Frogmal Point są dokładnie takie same, jak przed twoim wyjazdem.

- Oczywiście, zobaczysz kilka nowych domów i nowych twarzy, ale żadna z rzeczy, które kochałeś, nie uległa zmianie. Postaraliśmy się o to, prawda, Alice?

Po przyjeździe na miejsce Faye podała herbatę, ciasto, ciasteczka i kanapki. Posiłek zjedli przed kominkiem w salonie. George wziął do ust kawałek ciasta i od razu przypomniał sobie biszkopt który Faye upiekła na jego powitanie przed osiemnastu laty Uśmiechnął się do siebie. Jakoś nie mógł uwierzyć, że i to ciasto jest dziełem jego matki... Dzieci pochłaniały je z wielkim apetytem, spragnione nowości, i po chwili zaczęły rozmawiać ze sobą przyciszonymi głosami.

Susan natychmiast znalazła się pod urokiem domu, bardzo angielskiego i przytulnego, choć urządzonego w nieco chaotyczny sposób. Zauważyła nuty i książki leżące na wieku fortepianu, beztrąsko rozsiane na wszystkich stolikach, a nawet na podłodze. Teraz, gdy widziała Faye w jej domu, mogła ją lepiej zrozumieć. Nawet ona, która znała Treasa bardzo słabo, słyszała głuche echo, jakim odbijała się jego nieobecność, miała też uczucie, że Faye czuje się bez męża bardzo samotna i jakby niekompletna, chociaż stara się to ukryć.

Kiedy głód został zaspokojony i wszyscy się ogrzali, dźwięki muzyki klasycznej pomogły przybyłym odzyskać dobry nastrój.

W jakiś czas potem George zapytał matkę, jak umarł ojciec. Faye zaczerwieniła się i spuściła oczy, a ręka, w której trzymała filiżankę z herbatą, zaczęła drżeć, aż musiała postawić filiżankę i spodeczek na stole, gdy wyznała synowi, że nie było jej przy mężu w chwili jego śmierci.

- Gdzie wtedy byłaś? - zapytał George.

Faye zareagowała tak, jakby usłyszała w jego głosie nutę wyrzutu.

- Byłam w wiosce, musiałam kogoś odwiedzić - odparła szybko.

George nie powziąłby żadnych podejrzeń, gdyby nie mocny rumieniec na policzkach Faye. Nagle pamięć podsunęła mu obraz matki, wyjeżdżającej na rowerze z farmy w środku nocy. Nigdy nie zadał jej pytania, dokąd wtedy pojechała, nie miał też pojęcia, dlaczego akurat teraz, po tak długim czasie, wrócił pamięcią do tamtego epizodu.

- Kiedy wróciłam do domu, nie mogłam go znaleźć - podjęła Faye. - W końcu zorientowałam się, że stało się coś złego. Wybiegłam do ogrodu i zobaczyłam go leżącego na ziemi. Był już martwy. Ogluszyła go gałąź, która odłamała się od drzewa, i upadając, uderzył głową o kamień na grobie Mildred...

- A pogrzeb? - odezwał się po chwili George, który wciąż nie mógł sobie wybaczyć, że nie zdążył na czas wrócić do domu.

- Wielebny Hammond odprawił nabożeństwo dla przyjaciół i rodziny - odparła Faye.

Jej twarz odzyskała już naturalny kolor.

- Nie wyrzucaj sobie, że nie zdążyłeś - powiedziała ciepło Alice.

- Tata na pewno by to zrozumiał...

- Wiem. - George uśmiechnął się z rezygnacją. - Żałuję tylko, że nie pożegnałem się z nim...

- Wszyscy tego żałujemy - westchnęła Faye.

- Jutro rano pójdę na cmentarz. - George ujął dłoń Susan, wdzięczny za jej obecność. - Mam nadzieję, że mgła trochę się podniesie i będę mógł pokazać tobie i dzieciom Frogal Point...

- Już się na to cieszę... - Susan lekko ścisnęła mu rękę.

- Chciałabym zobaczyć kraby! - wtrąciła Ava, wyraźnie pogodniejsza po smacznym posiłku.

- Nawet jeżeli będzie zimno, wybierzemy się na piknik na plaży - powiedział George. - Pokażę wam zagłębienia w skałach, gdzie żyją

kraby i inne skorupiaki, i narysuję dla was na piasku szlak poszukiwaczy skarbów...

Dzieci uśmiechnęły się z zadowoleniem. Doskonale pamiętały ekscytujące historie z czasów dzieciństwa ojca, które często opowiadał im na dobranoc.

- Tyle słyszałam o kanapkach z piaskiem, że chętnie spróbuję tego specjału - rzekła Susan, szczęśliwa, że przygnębienie dzieci zniknęło bez śladu.

- Och, koniecznie! - zawołała Faye. - Te kanapki są częścią Frognał Point, nie sposób wyobrazić sobie, by piknik na plaży mógł się bez nich obejść!

Po kolacji, kiedy dzieci poszły spać, George i Susan usiedli na tarasie, pod granatowym, lśniącym od gwiazd niebem. Było zimno, więc opatuleni w ciepłe płaszcze przytulili się do siebie. George zapalił papierosa, zupełnie jak wiele lat wcześniej, kiedy jako młody mężczyzna próbował się odnaleźć w powojennym świecie. Kamienne płyty były mokre i śliskie, zasypane liśćmi i drobnymi gałązkami. Z pobliskiego drzewa niosło się niskie pohukiwanie wyruszającej na polowanie sowy. George nie mógł otrząsnąć się z nostalgicznych wspomnień. Zapach gnijących liści i hodowanych na farmie zwierząt przywodził mu na myśl lata dzieciństwa, nawet krzyk sowy był taki sam. Jego dom był wciąż taki sam, a raczej byłby taki sam, gdyby nie odejście ojca. Patrząc na ogród i rozciągające się daleko, ginące w ciemności pola, zastanawiał się, czy duch Treesa przechadza się wśród drzew, które tak kochał. Może był tuż obok, na tarasie, i obserwował ich wszystkich z ciepłym rozbawieniem... Może towarzyszyła mu Mildred... A może pani Megalith myliła się i życie po śmierci nie istniało... George przygarnął Susan mocniej do siebie i siedzieli w milczeniu, zapatrzeni i zasłuchani. Susan poznawała miejsce, które teraz miało stać się jej domem, a George chłonał echa i obrazy przeszłości.

Wciąż nie mógł się przyzwyczaić do myśli, że farma istnieje nadal bez Treesa. Dom sprawiał wrażenie opuszczonego, jakby i jego duch także stąd odszedł, pozostawiając tylko cegły i łączące je spoiwo. Tej nocy George leżał w łóżku, słuchając znajomego skrzypienia podłogi, oddychając zapachem dymu z kominka i wspominając. Gdyby nie obecność Susan i dzieci, czułby się jak chłopiec, którego ciało nagle urosło i przestało mieścić się w starym

łóżku, jak mężczyzna bawiący się w domku dla lalek. Odszedł stąd, założył dom gdzie indziej, a teraz oto wrócił i odkrył, jak bardzo oddalił się od tego miejsca. Czuł, że trudno mu będzie przyzwyczać się do nowego życia. Kiedy zamknął oczy, ujrzał twarze przyjaciół, którzy zginęli podczas wojny, ponieważ wracając, przerzucił pomost między terażniejszością i przeszłością. Demony nie opuściły go raz na zawsze, na pewien czas straciły go tylko z oczu na ogromnej argentyńskiej równinie.

Dzień wstał pogodny i piękny, zupełnie inny niż poprzedni. Na idealnie czystym niebie nie było ani jednej chmurki, mewy znowu ścigały się nad morzem, a wiatr niósł daleko ich przenikliwe krzyki. Susan wyjrzała przez okno i jej serce przepelniła radość. Ogród błyszczał, jakby ktoś obsypał go brylantami, słońce rozświetlało krople rosy na trawie i liściach roślin, zapalając wszystkie kolory tęczy. Po paru minutach do sypialni wpadły dzieci. Ava wskoczyła na łóżko, żeby obudzić ojca, i zanosła się radosnym chichotem, kiedy przewrócił się na plecy i uwięził ją w obręczy ramion, pomrukując jak wielki niedźwiedź. Charlie przyglądał się temu z rozbawieniem, zbyt dorosły, aby przyłączyć się do tak dziecinnej zabawy, chociaż w głębi serca miał na to wielką ochotę. Susan patrzyła na nich z czułością, nie mogąc się nadziwić zdumiewającej łatwości, z jaką dzieci błyskawicznie przystosowywały się do nowych warunków.

Faye nie znosiła spać sama. W czasie całego małżeńskiego życia nie spędziła chyba ani jednej nocy z dala od Treesa. Raz czy dwa wykradła się w nocy do Tadeusza, lecz zawsze budziła się u boku męża, tymczasem teraz, gdy otwierała oczy, ogarniało ją uczucie pustki i bezsensu. Tęskniła za ciepłą obecnością Treesa w łóżku, za szumem płynącej z kranu wody w łazience, kiedy mył zęby i się golił, za świadomością, że nie jest sama. Tego ranka przez chwilę leżała nieruchomo, zmagając się z przygnębieniem, które dręczyło ją od dnia śmierci męża, ale po chwili przypomniała sobie, że w domu jest George z rodziną, i smutek ustąpił miejsca pełnemu optymizmowi oczekiwaniu. Szybko odsunęła zasłony i ubrała się, aby przygotować dla nich śniadanie.

Już z daleka dobiegł ją panujący w kuchni przyjemny gwar. W domu Faye od lat nie było nikogo, kim mogłaby się naprawdę zaopiekować; odkąd dzieci dorosły i wyprowadziły się, poświęciła się rzeźbie, hobby, które wymagało wielu godzin pracy w samotności.

Teraz znowu miała rodzinę, dla której mogła gotować, prac i sprzątać. Wiedziała, że Susan nie jest osobą, z którą można się szybko zżyć. Jej synowa była wyniosła i ostrożna, co niewątpliwie miało związek z bliźnią, jaką nosiła na twarzy, lecz wnuki od razu podbiły jej serce. Nie miała wątpliwości, że chętnie będą bawić się w tych samych miejscach, gdzie kiedyś spędzali mnóstwo czasu George i Alice, później zaś Johnnie i Jane. Liczyła, że pokochają farmę i żyjące na niej zwierzęta, a ona nauczy ich grać na fortepianie i rzeźbić w glinie. Nie musi się już obawiać samotnych wieczorów. Nawet jeżeli cała czwórka zgodnie z początkowym planem po pewnym czasie przeprowadzi się do jednego z domków na farmie, Faye nadal będzie miała rodzinę w pobliżu, jej wielkie marzenie wreszcie się spełni.

Po śniadaniu George pojechał z Susan i dziećmi do Frogal Point. Charlie i Ava siedzieli z nosami przyciśniętymi do szyb uważnie przyglądając się okolicy. W pewnej chwili musieli zaczekać, aż przez drogę przejdzie spore stado łaciatych krów, które stary mężczyzna z kijem w ręku prowadził do obory na południowe dojenie. Natychmiast poznał George'a i z szacunkiem dotknął palcem daszka czapki. George opuścił okno i wdał się w krótką rozmowę ze staruszką, który mówił z tak silnym miejscowym akcentem, że Susan prawie nic nie rozumiała.

W wiosce panował senny spokój. Minęli sklep, gdzie panna Hogmier czekała na plotki jak sęp na padlinę, i pub, w którym George wieczorami umawiał się na piwo i grę w rzucanie strzałkami do tarczy. Po wojnie grono jego znajomych zmalało - ci, którym udało się przeżyć, byli równie rozczarowani i cynicznie nastawieni do życia jak on, ponieważ ich młodość bezpowrotnie minęła, a perspektywy na przyszłość były niepewne. George zastanawiał się, co działo się z nimi w czasie jego pobytu w Argentynie. Niektórzy na pewno znaleźli sobie żony, spłodzili dzieci i odnaleźli sens życia, przynajmniej w pewnym stopniu... Wciąż widział tych młodych mężczyzn, jak stoją, oparci o barową ladę i wpatrzeni w szklanki z piwem, jakby właśnie w nich mieli nadzieję znaleźć odpowiedzi na dręczące ich pytania i wątpliwości. Minęli kilka ładnych, niewielkich domków i parę rezydencji, ukrytych za żywopłotami i kępami drzew. Kościół znajdował się na drugim krańcu wioski, niski, przysadzisty i bardzo stary. George pamiętał nabożeństwa, na które chodził z rodzicami i Alice w niedziele, ubrany w najporządniejsze rzeczy. Kobiety zawsze

wkładały eleganckie kapelusze i rękawiczki, gdyż uczestnictwo w niedzielnym nabożeństwie miało także wymiar towarzyskiego spotkania. Matka George'a zwykle długo stała pod kościołem, gadając z Hanną, a w tym czasie on i Rita skakali przez płyty nagrobne, oczywiście ku wielkiemu niezadowoleniu wielebnego Hammonda. Przypomniawszy sobie, jak już po wojnie pani Megalith niespodziewanie zjawiała się w kościele, i postanowił opowiedzieć o tym dzieciom, które zawsze z zafascynowaniem słuchały o Wiedźmie z Elvestree i jej magicznych kotach.

- Poznamy Wiedźmę? - zapytał Charlie, nachylając się do przodu między siedzeniami.

- Naturalnie - odparł George. - Pani Megalith to żywa legenda...

Susan lekko uśmiechnęła się do siebie. Nikt nie wiedział, że właśnie ona miała za co dziękować Wiedźmie z Elvestree i nie mogła się już doczekać, kiedy to zrobi.

- Czy ona lata na miotle? - dopytywała się Ava.

- Na pewno, ale tylko w nocy.

Susan żartobliwie uderzyła go w kolano.

- Jesteś niemożliwy, kochanie! - skarciła go ze śmiechem. - Pomyśl, co powiedzą dzieci, kiedy ją poznają...

George zaśmiał się cicho.

- Chętnie to usłyszę.

Susan potrząsnęła głową, a George zajął się opowiadaniem kolejnych niesamowitych historyjek o pani Megalith.

George zaparkował samochód przed kościołem. Na cmentarzu panowała cisza, nie było tu żywej duszy. Grób Treesa był świeży i nadal przykryty kwiatami. George umilkł, kiedy stanął nad wzniesieniem ziemi. Jego wzrok spoczął na szarym nagrobnym kamieniu i nagle fakt śmierci ojca dotarł do niego w całej swej ostrości. Zrobiło mu się słabo, więc kilka razy odetchnął głęboko, żeby nie stracić przytomności. Nie mógł oderwać oczu od wykutego w kamieniu napisu. „Trees Bolton”. Nie Edmund Anthony Bolton, lecz Trees, bo przecież właśnie pod tym przydomkiem znali go wszyscy w okolicy. Susan bez słowa ujęła dłoń męża. Długo stali w milczeniu, podczas gdy Charlie i Ava biegali po małym cmentarzu jak rozbawione psiaki, najwyraźniej nie czując szacunku dla spoczywających tu zmarłych.

- Nie mogę uwierzyć, że ojciec jest tutaj... - odezwał się George.

- Nie mogę uwierzyć, że już go nie ma na świecie...

- Wiem, kochany - szepnęła Susan. - Dopiero widok grobu w pełni uświadamia nam, co się stało, prawda?

- Taki właśnie jest koniec drogi nas wszystkich...

- Wszyscy obrócimy się w proch, ale ty masz przed sobą jeszcze wiele lat życia. Nie popadaj w przygnębienie, najdroższy.

- Chciałbym zostać z nim sam, dobrze? Może zabrałabyś dzieci do sklepu i kupiła im coś słodkiego?

Susan posłała mu pełen zrozumienia uśmiech.

- Zostań tu, jak długo zechcesz. Przejdziemy się trochę, korzystając z pięknej pogody, a przy okazji zwiedzimy naszą wioskę.

Kiedy dotarli do sklepu, Charlie i Ava wpadli w zachwyt na widok dużego, kudłatego psa, przywiązanego do skrzynki na listy więc Susan sama weszła do środka. Sklep był znacznie większy niż można się było spodziewać, ze stojakiem na gazety i magazyny tuż pod oknem. Za ladą stała panna Hogmier w wykrochmalonym różowym fartuchu, strzegąc półek zastawionych wysokimi słojami pełnymi słodyczy. Zmierzyła Susan nieprzyzwoicie zaciekawionym spojrzeniem i kiedy jej oczy zatrzymały się na bliźnie, otworzyła usta z przerażenia. Susan nie mogła nie zauważyć reakcji właścicielki sklepu i przywitała ją bardzo chłodno. Panna Hogmier nadeła się, dotykając podbródkiem pomarszczonej szyi, i znacząco chrząknęła. Susan nie miała najmniejszej ochoty na wymianę okolicznościowych uprzejmości i zaczęła spacerować między regałami, uważnie przyglądając się wystawionym na nich towarom, których część była jej zupełnie nieznaną.

Szybko zauważyła, że nie jest w sklepie sama. Po przeciwnej stronie przechadzała się młoda kobieta o długich, splątanych włosach, które opadały jej na twarz. Susan doszła do wniosku, że to na pewno ona jest właścicielką czekającego na zewnątrz psa.

Nagle rozzwonił się umieszczony nad drzwiami dzwoneczek i do sklepu wpadły dzieci.

- Popatrz tylko na te słodycze! - zawołała Ava, nie kryjąc podziwu.

- Chciałbym kilka tych dużych czerwonych. - Charlie wskazał słój stojący bezpośrednio za panną Hogmier.

- To są cukierki o smaku truskawkowym - wyjaśniła panna Hogmier.

Zerknęła na Susan i prychnęła pod nosem. Nie miała wątpliwości, że to ona jest matką nowych klientów, ponieważ wszyscy troje mówili z dziwnym akcentem. Kobieta z pewnością była Amerykanką, lecz akcent dzieci trudno było zlokalizować.

- Skąd jesteście? - zapytała.

- Z Argentyny - oznajmił dumnie Charlie. - Ale teraz będziemy mieszkać tutaj...

Panna Hogmier otworzyła szeroko oczy, jak osoba nagle wyrwana z głębokiego snu.

- W takim razie na pewno jesteście dziećmi George'a Boltona! - powiedziała powoli i oparła się o ladę, żeby przyjrzeć im się z bliska.

Charlie od razu zauważył czarne włosy wystające z jej nozdrzy jak nogi dużych pajaków i skrzywił się z niesmakiem. Kiedy Susan podeszła i poprosiła, by wybrali sobie jakieś słodczyce, za jej plecami pojawiła się druga klientka z koszem pełnym zakupów.

- Dzieci George'a Boltona! - powtórzyła panna Hogmier głośno i z naciskiem.

Rozległ się brzęk. To młoda kobieta upuściła kosz, którego zawartość rozsypała się po podłodze.

- Och, przepraszam... - powiedziała Susan, ponieważ wydawało jej się, że potrąciła nieznajomą.

Tamta wymamrotała coś niewyraźnie i przyklękła, żeby pozbierać swoje rzeczy. Charlie i Ava schylili się, aby jej pomóc.

- Dobrze, że nic się nie stłukło - rzekł Charlie, podnosząc puszkę z fasolką.

- Dziękuję... - odezwała się cicho kobieta.

Uśmiechała się nerwowo, lecz w jej oczach malowało się przerażenie.

- Niech pani zapłaci pierwsza, proszę bardzo - powiedziała Susan uprzejmie. - Moje dzieci jeszcze nie zdecydowały, co chcą...

Nieznajoma wyraźnie nie mogła się doczekać, kiedy panna Hogmier skończy podliczać należną kwotę. Wreszcie zapłaciła, chwyciła brązowe torby z zakupami i pośpiesznie wyszła, zegnając się nieśmiałym „dziękuję”, rzuconym zza zasłony włosów.

- To była Rita Fairweather... - panna Hogmier utkwiała oskarżycielskie spojrzenie w twarzy Susan.

Żona George'a dopiero teraz pojęła zdenerwowanie młodej kobiety, udała jednak, że nazwisko to nic jej nie mówi, i dalej spokojnie wybierała wraz z dziećmi cukierki.

- No, zdecydujcie się w końcu - zachęciła je po chwili, pragnąc jak najszybciej opuścić sklep. - Charlie, weź torebkę tych truskawkowych, a Ava gryłażowych, wtedy będziecie mogli wymieniać się smakami...

- Po wyjeździe George'a Boltona biedaczka nigdy nie odzyskała równowagi ducha - ciągnęła panna Hogmier ponurym tonem. - Teraz mieszka sama, tylko z tym psem, w domu po drugiej stronie Bray Cove. Już w dzieciństwie różniła się od swoich rówieśniczek, ale skłonność do ekscentryczności to jeszcze nie przestępstwo, prawda? Na pewno nie jest jej łatwo patrzeć na rodzoną siostrę, która ma troje dzieci i kochającego męża... Prawdę mówiąc, nie sądziliśmy, że Maddie wyjdzie za kogoś takiego jak Harry Weaver... Taka z niej była piękna, ambitna dziewczyna, ale cóż... Najgorszy los spotkał jednak Ritę, dobrą, niewinną Ritę... Próbowwała się zabić, kiedy George się ożenił, biedactwo... Mało brakowało, a rzuciłaby się z klifu... Nigdy nie przyszła do siebie po tym ciosie...

- Poproszę torebkę cukierków truskawkowych i drugą gryłażowych. - Susan zmierzyła starą pannę lodowatym wzrokiem.

Panna Hogmier prychnęła niechętnie, ale odwróciła się i zdjęła dwa słoje z półki. Posapywała przy tym głośno, żeby okazać Susan, jak bardzo się dla niej trudzi.

- Na pewno doznała wstrząsu, kiedy nagle zobaczyła tu panią i dzieci. - Zapakowała cukierki i wyciągnęła rękę po pieniądze. - Widziała już George'a?

Susan lekko wydeła wargi, zaskoczona jej bezczelną śmiałością.

- Wydaje mi się, że to nie pani sprawa - odparła krótko, odliczając monety i kładąc je na otwartej dłoni panny Hogmier.

Potem wręczyła słodczyce dzieciom i szybko wyszła z nimi ze sklepu.

Rozdział dwudziesty ósmy

Rita szła alejką tak szybko, jak pozwalały jej na to zdrętwiałe nogi, ciągnąc na smyczy Tarkę, złocistą retrieverkę.

Susan była piękna. Nawet w tej krótkiej, nieprzyjemnej i pełnej zażenowania chwili Rita wyczuła otaczającą tamtą kobietę aurę spokoju i dostrzegła prostą elegancję jej stroju i mowy. W jej obecności poczuła się niezgrabna, zaniedbana i po prostu gorsza. Była zbyt zdenerwowana i przejęta, aby dojrzeć bliźnę.

Z trudem dźwigając torbę z zakupami, która z każdą chwilą wydawała się przybierać na wadze, Rita szła uliczką pod górę, ciężko dysząc i czując, jak krew pulsuje jej w skroniach. Słyszała, że George wraca do domu, ale nikt nie wiedział, kiedy dokładnie ma przyjechać. Przypadkowe spotkanie z jego żoną mocno nią wstrząsnęło. Jego dzieci były tak duże, że poczuła się stara. Gdyby wyszła za George'a, najprawdopodobniej także miałyby teraz dzieci w tym wieku... Nie wyszła jednak za niego i często uświadamiała sobie, że na pewno nigdy nie urodzi dziecka.

Skoro Susan i dzieci byli w sklepie, to może i George znajdował się gdzieś w pobliżu. Pomyślała, że zapewne poszedł na cmentarz, by pomodlić się przy grobie ojca. Zbliżając się do cmentarza wyczuła jego obecność, zanim jeszcze jej oczy spoczęły na mężczyźnie, który przez większą część życia był dla niej najważniejszy na świecie. Zatrzymała się za murem cmentarza, za pnem smukłego drzewa, żeby na niego popatrzeć. Jego wysoka postać pochylona była nad grobem ojca. Był szerszy w ramionach niż Trees, ale i tak bardzo do niego podobny - w taki sam sposób garbił się i pochylał głowę. Ritę zapiekły oczy, gardło ścisnęło się z żalu. Tarka zrozumiała, że z jej panią dzieje się coś złego, i cicho zaskomlała.

W tej chwili George podniósł głowę i zwrócił oczy w kierunku Rity. W jednej chwili minionych siedemnaście lat zniknęło i George sięgnął po jej serce tak samo jak zawsze, jak w czasach, kiedy byli sobie najbliżsi. Zadrżała. Jej stopy stały na ziemi, lecz czuła się tak, jakby lada chwila miała ulecieć w powietrze. Mało brakowało, a pomachałyby do George'a. Zamarła, wstrzymała oddech. Zobaczyła Susan idącą alejką wraz z dziećmi i rozczarowanie pozbawiło ją sił. Skuliła się, cofnęła głębiej za drzewo i stała się niedostrzegalnym cieniem. Dobiegly ją okrzyki dzieci, biegnących do ojca. Susan szła spokojnie, głęboko zamyślona. George udał, że zatacza się do tyłu pod

ciężarem ciała dziewczynki, która rzuciła się mu na szyję, a kiedy Susan dołączyła do nich, objął ją w pasie i pocałował w skroń, tak samo, jak dawno temu całował Ritę.

Dławiąc się łzami, pobiegła do domu matki, przed którym zostawiła samochód. W tej chwili nie wyobrażała sobie, aby mogła usiąść do lunchu z całą rodziną. Pytania, ciekawość, źle skrywana litość - lepiej było unikać tego wszystkiego. Potrzebowała samotności. Położyła zakupy na siedzeniu obok kierowcy, wrzuciła wsteczny bieg i szybko wyjechała na drogę. Nie dostrzegła gołębi na dachu, wygrzewających się w cudownym słońcu i nie poświęciła nawet sekundy, aby spojrzeć na lśniący złocistymi odcieniami jesieni ogród. Świat, który teraz widziała, był ponury, zamglony i szary. George i Susan przesłonili słońce.

Mrużąc zażawione oczy, pojechała do swojego małego domku i z płaczem pobiegła na plażę. Usiadła na kamieniu, otaczając ramionami kolana. Okręcając zaręczynowy pierścionek na palcu, myślała o przyrzeczeniu, jakie złożyli sobie w jaskini w dniu wyjazdu George'a do Argentyny. Powiedział jej wtedy, że chce, aby widok pierścionka przy każdym spojrzeniu przypominał jej o jego miłości. Teraz już jej nie kochał, ale jego słowa nadal rozbrzmiewały słabym echem w ciągu wszystkich minionych lat.

Po wyjściu z cmentarza George zawiózł rodzinę na piknik na plaży. Doszedł do wniosku, że jego matka miała rację - Frogmal point rzeczywiście się nie zmieniło. Wioska nadal wyglądała i pachniała tak samo. Kiedy stanął na klifie, ogarnęła go nagle fala nostalgii. Dzieci zbiegły ścieżką na plażę, a za nimi podążyła Susan z kocami. George ruszył za nią z koszem pełnym jedzenia i napojów, dodatkowo obciążony licznymi wspomnieniami. Susan zauważyła, że mąż pograżył się w myślach, i poszła na spacer z dziećmi, żeby dać mu trochę czasu na przemyślenie rozmaitych spraw. George rozłożył koce, przycisnął rogi kamieniami, ponieważ wiatr był dość mocny, i nalał sobie kieliszek wina. Usiadł w tym samym zacisznym miejscu, gdzie jego rodzina i rodzina Rity zwykle urządzała pikniki, i z drżeniem zaczął wspominać. Obrazy przeszłości odnalazły go bez trudu na plaży, która widziała jego dziecięce zabawy i namiętne pocałunki, jakie wymieniał z Ritą. Wpatrywał się w morze, lecz wśród rytmicznie uderzających o brzeg fal wciąż widział twarz Rity, jej oczy koloru ciepłego brązu i wiecznie splątane loki. Po raz tysięczny serce

ściskało mu się na myśl, że zadał jej ból. Zastanawiał się, czy Rita nadal mieszka we Frogal Point, czy wyprowadziła się z rodzinnej wioski. Może założyła rodzinę, urodziła dzieci, kto wie... Nie miał odwagi, aby zapytać o to matkę.

Po powrocie Susan i dzieci George z trudem usunął wspomnienia w głąb podświadomości i pokazał Avie i Charliemu pełne wody skaliste rozpadliny, w których ukrywały się wojownicze kraby. Dzieci z radością zanurzały dłonie w wodzie, chwytając miękkie wodorosty i szorstkie trawy. Potem George zbudował z nimi wielki zamek z piasku, a Susan i Ava przystroiliły go zebranych na plaży muszelkami. Razem wykopali fosę i łączący ją z morzem kanał, i po lunchu, kiedy morze zaczęło zagarniać coraz większe połacie plaży, przyglądali się, jak woda powoli skrada się w kierunku ich zamczyska. Dzieci, którym bardzo przypadł do gustu posiłek złożony ze smacznych kanapek i czekolady, z zapalem walczyły z żywiołem o swoją budowlę. Budowały tamy, mury i całą sieć tuneli, aby woda nie zniszczyła zamku, lecz wraz z nadejściem wieczoru morze okazało się niepokonane i pożarło go w całości.

- Jeżeli chcecie, jutro zbudujemy nowy - obiecał George.

- Może babcia będzie miała ochotę wybrać się z nami na plażę - zasugerowała taktownie Susan.

George wziął ją za rękę.

- Doskonały pomysł, zaprosimy też Alice. Jutro rano chciałbym pokazać dzieciakom farmę, więc moglibyśmy przyjechać tutaj wczesnym popołudniem i zabrać z sobą podwieczorek, co wy na to?

Uradowane dzieci pobiegły do ścieżki, przeskakując wzgórki piasku i płosząc mewy, które z dzikim krzykiem podrywały się w powietrze.

Susan spakowała rzeczy, zastanawiając się, czy nie powinna powiedzieć George'owi o spotkaniu z Ritą w sklepie. Teraz było już na to trochę za późno, mógłby pomyśleć, że celowo przemilczała tę sprawę.

- Cudownie spędziliśmy dzień, kochany. - Zamknęła kosz i wzięła koce od męża.

George uśmiechnął się do niej i skinął głową.

- Zapomniałem już, jak pięknie jest nad morzem - odparł z westchnieniem, ogarniając wzrokiem plażę. - Dla dzieci to prawdziwa

sielanka... Dopiero teraz uświadamiam sobie, że dorastałem w niezwykłym miejscu. Było nam tu jak w raju...

- Potrafię to sobie wyobrazić.

- Dziwnie się czuję, kiedy patrzę na Charliego i Ave, bo przypominają mi Alice i mnie samego. Tak samo jak oni biegaliśmy po plaży i zanurzaliśmy palce w tych małych skalnych basenach...

- Będą to robić, dopóki jakiś krab ich nie uszczypnie - zaśmiała się Susan.

- Dzieci szybko przyzwyczajają się do nowych warunków i za jakiś czas Argentyna stanie się dla nich tylko ciepłym wspomnieniem, do którego zawsze będą mogli sięgnąć. Nam będzie znacznie trudniej...

Susan objęła go i wspięła się na palce, żeby musnąć wargami jego policzek.

- Ale w końcu my także przywykniemy do Frognał Point. Przeprowadzałam się w życiu tyle razy, że straciłam już rachubę.. Kiedy przeniesiemy się do własnego domu, wszystko jakoś się ułoży, zobaczysz. Opuści nas poczucie, że nie mamy żadnych korzeni... - I kiedy zacznę pracować - dodał George, który doskonale wiedział, jak wielką pociechę można znaleźć w ciężkiej pracy. - Ojciec byłby zadowolony, że jesteśmy tutaj i w razie czego zaopiekujemy się mamą. On nigdy się nie zastanawiał nad możliwością opuszczenia Frognał Point, dla niego wszystko, co kochał, znajdowało się właśnie tutaj... Mam nadzieję, że my też znajdziemy tu radość życia...

Kiedy zmierzali w kierunku ścieżki, George nie zdołał się powstrzymać i spojrzał na porośniętą wysoką morską trawą skałę, za którą kryło się wejście do małej jaskini. Nagle ogarnęło go zaniepokojenie, czy jej wnętrze wciąż wygląda tak samo. Przez głowę przemknęła mu myśl, że może w wilgotnej ciemności wspomnienia są silniejsze niż gdziekolwiek indziej. Odwrócił się do Susan i już miał zaproponować, żeby zajrzeli do jaskini, ale intuicja podpowiedziała mu, że robi lepiej, zachowując pewne sprawy dla siebie. Susan zrezygnowała z wielu rzeczy, decydując się na przeprowadzkę do Frognał Point, więc w żadnym razie nie powinien pokazywać jej miejsca, w którym wciąż żywa była obecność Rity. Postanowił, że któregoś dnia wieczorem przyjdzie tu sam, zapali papierosa i posłucha ech przeszłości.

Faye wykorzystała nieobecność George'a i Susan, aby odwiedzić Tadeusza. Zaparkowała land - rovera w górnej części alejki i pieszo

pokonała niewielką odległość, dzielącą ją od jego domu, aby nie budzić niczyich podejrzeń. Tadeusz stał przy drzwiach, zupełnie jakby czekał tam na nią od dnia śmierci Treesa. Objął ją bez słowa, a potem wprowadził do środka, gdzie płonący w kominku ogień rzucał radosne cienie na ściany. Faye po raz pierwszy rozplakała się bez poczucia winy i wstydu, ponieważ w objęciach Tadeusza wreszcie mogła zrzucić z siebie przygniatający ją ciężar. Nie czuła się już samotna, a tępy ból w sercu malał wraz z każdą łagodną pieszczotą i każdym czułym słowem. Stare oczy Tadeusza patrzyły na nią z całkowitym zrozumieniem i Faye nagle pojęła, że mimo wszystkich wysiłków nigdy nie mogłaby wyrzec się ukochanego. Tadeusz był częścią jej ciała w nie mniejszym stopniu niż podstawowe organy, których działanie utrzymywało jej organizm przy życiu.

Następnego dnia zajęła swoje miejsce w kościelnej ławce z podniesioną głową. Nadal nosiła żalobę, ale jej serce płonęło bezwstydnym szkarłatem. Uśmiechała się lekko, bo czuła, jak miłość Tadeusza ogarnia ją całą niczym ogień. Nikt jednak nie przyglądał się Faye, ponieważ wszyscy wpatrywali się w George'a i kobietę, dla której porzucił Ritę. Spojrzenia mieszkańców Frogmal Point pełne były ciekawości, czemu nie należało się dziwić, lecz Faye, która na chwilę oderwała się od myśli o Tadeuszu, uświadomiła sobie, że w powietrzu wyczuwa się niechęć. Miała nadzieję, że George niczego nie zauważył, ale była to nadzieja złudna gdyż zgromadzeni w kościele ludzie aż wychylali się z ławek, aby przyjrzeć się Susan. Faye skupiła uwagę na Hannie i Humphreyu, i zaczęła się zastanawiać, czy teraz, po powrocie George'a, wszystkie ich pretensje i żale znowu odżyją. Zauważyła, że Rita nie przyjechała. Hanna co jakiś czas niespokojnie zerknęła na puste miejsce w rodzinnej ławce. Rita nigdy nie opuszczała niedzielного nabożeństwa. Maddie i Harry siedzieli obok trojga swoich dzieci, które nie spuszczały wzroku z Charliego i Avy. Kiedy Charlie pochwycił spojrzenie Daisy, dziewczynka uśmiechnęła się do niego szeroko, co zupełnie go rozbroiło. Czternastoletnia Daisy, mniejsza kopia Maddie, była aż zbyt świadoma, jaką przewagę nad innymi dziewczętami daje jej ładna buzia, długie rude włosy i błyszczące niebieskie oczy. Charlie, który w mgnieniu oka znalazł się pod wpływem jej wielkiego uroku, z zażenowaniem utkwiał wzrok w otwartym modlitewniku. Miał

nadzieję, że po zakończeniu nabożeństwa nie będzie musiał rozmawiać z tą śliczną dziewczynką...

George zajęty rozglądaniem się za Ritą nie zauważył ani zaciekawionych spojrzeń, ani wyczuwalnej w kościele niechęci. Doszedł do wniosku, że gdyby nadal mieszkała we Frognał Point, na pewno przyszłaby do kościoła, i ta myśl napełniła go nieoczekiwanym smutkiem. Kiedy Maddie uśmiechnęła się do niego serdecznie, odpowiedział jej z prawdziwą wdzięcznością. Wielebny Hammond bardzo się postarzał - coraz częściej się powtarzał i gubił wątek. Panna Hogmier niechętnie zrezygnowała z obowiązku gry na organach, ale artretyzm w końcu ją pokonał. Pogrzeb Treesa był jej ostatnim występem. Teraz siedziała w pierwszej ławce, nieustannie demonstrując swoją pobożność. Wstawiała i klękała chwilę przed wszystkimi pozostałymi uczestnikami nabożeństwa, pragnąc pokazać, że najlepiej orientuje się we wszystkim, co dzieje się w kościele. Śpiewała głośniejsze niż Hanna, która nigdy nie oszczędzała gardła, i fałszowała tak wyraźnie, że w pewnej chwili Charlie i Ava zaczęli chichotać razem z Freddiem, Daisy i Elsbeth, nagle połączeni więzią wspólnej wesołości.

Susan, która aż zbyt dobrze zdawała sobie sprawę z wymierzonej w nią antypatii, z wysoko podniesioną głową pogardliwie odpowiadała na zaciekawione spojrzenia. Czuła się zagubiona i niepewna, bo przecież ostatnie siedemnaście lat spędziła na argentyńskim ranczu, gdzie wszyscy ją znali i nie zwracali najmniejszej uwagi na bliźnę, tymczasem tutaj nie wiedziała nawet, czy ludzie patrzą na nią z powodu jej twarzy, czy też chcą wiedzieć, jak wygląda nierządniczka, która ukradła ich chłopca. Niezależnie od tego, jak było naprawdę, natarczywe spojrzenia mieszkańców Frognał Point uważała za obraźliwe i niegrzeczne. Odetchnęła dopiero wtedy, gdy wszyscy odwrócili wzrok, zaskoczeni i pokonani wyrazem dumnej nieustępliwości, malującym się na jej twarzy.

Po nabożeństwie, kiedy George zmierzał już do wyjścia, Maddie przepchnęła się przez tłum, aby go uściskać.

- Witaj w domu! - zawołała, całując go serdecznie. - Widzę, że nasze dzieci już się zaprzyjaźniły - dodała, poklepując po głowie najmłodszą córkę, dwunastoletnią Elsbeth.

George odwrócił się i zobaczył, jak Charlie i Ava oddalają się z grupką innych dzieci.

- Jestem pewna, że będą się świetnie bawić - ciągnęła Maddie. - Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że w końcu jednak przyjechaliście!

Susan uśmiechnęła się z ulgą, ucieszona nieoczekiwaną serdecznością i szczerością Maddie. Zauważyła, że kiedy szli środkiem nawy, ludzie rozstępowali się, jakby bali się, że zarazi ich jakąś chorobą. Nagle poczuła czyjaś dłoń na swoim ramieniu, odwróciła się i zobaczyła wysoką kobietę o siwiejących rudych włosach.

- Pozwoli pani, że się przedstawię - odezwała się kobieta z uśmiechem, który uniósł do góry kąciki jej pełnych, pięknych warg. - Mam na imię Antoinette i jestem... Och, to trochę skomplikowane, ponieważ nie jestem spokrewniona z George'em, ale mało brakowało, a zostałabym jego ciotką przez małżeństwo, oczywiście zanim pani pojawiła się w jego życiu... Chciałabym bardzo serdecznie powitać panią we Frogmal Point. - Antoinette wyciągnęła smukłą, zadbaną dłoń, utkwiała w twarzy Susan spojrzenie kocich oczu i konfidencko zniżyła głos. - Nie jest to miejscowość, w której wiele się dzieje, dlatego sporo czasu spędzam w moim domu w Londynie, ale Frogmal Point ma specyficzny, wiejski urok. Kiedy ludzie trochę się z panią oswoją, na pewno przyjmą panią z otwartymi ramionami. Rita cieszy się ogromną sympatią większości mieszkańców, więc mają za złe George'owi, że porzucił ją dla pani, ja jednak uważam, że ona była dla niego zbyt niedojrzała... Jeżeli zacznie pani dokuczać samotność, proszę koniecznie do mnie wpaść, mieszkam naprawdę niedaleko... Podała Susan białą wizytówkę z jasnoniebieskim wydrukiem.

- Dziękuję, Antoinette - odparła chłodno Susan, na której przesłodzony urok starszej kobiety nie zrobił najmniejszego wrażenia.

Antoinette wyszła na słońce, zadowolona, że zaprzyjaźniła się z żoną George'a. Wszyscy tyle mówili o Susan, ale nikt nie wiedział, skąd wzięła się na jej twarzy ta straszna blizna. Antoinette postawiła sobie za punkt honoru, aby jak najszybciej odkryć tę tajemnicę. Biedne stworzenie, pomyślała złośliwie. Uroda jest tak cennym darem losu...

Susan dołączyła do George'a, który wciąż rozmawiał z Maddie oraz Harrym. W pewnej chwili pochwyciła spojrzenie Hanny, która zastanawiała się, czy podejść i przywitać się z George'em i jego żoną, czy też nie. Hanna z jednej strony miała serdecznie dosyć

nierozsądnego postępowania Rity, a z drugiej mimo wszystko czuła się związana matczyną lojalnością. Zbliżyła się dopiero wtedy, gdy George spojrzął na nią i w jego twarzy rozpoznała chłopca, którego dawno temu dobrze знаła. Nagle zrobiło jej się go żal - powrót do pełnego wspomnień Frognał Point z pewnością nie był dla niego łatwy.

- Dzień dobry, George... - powiedziała, kładąc na moment dłoń na jego ramieniu. - Witaj w domu... Szczerze ci współczuję powodu śmierci ojca, jego odejście to naprawdę wielka strata, zresztą nie tylko dla ciebie...

George poczuł ogromną ulgę, że Hanna nie ma do niego pretensji. Pragnął zapytać ją o Ritę, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Nie miał pojęcia, jak przełamać mur milczenia - nikt nie wspominał przy nim o Ricie, zupełnie jakby przestała istnieć.

- Słyszałam, że macie zamieszkać w mniejszym domu na farmie - ciągnęła Hanna, usiłując zachowywać się zupełnie naturalnie.

- Tak, będę czuł się trochę dziwnie, patrząc z boku na dom, w którym dorastałem, ale z czasem przywyknę. - Uśmiechnął się.

- Masz urocze dzieci. Widzę, że już zaprzyjaźniły się z moimi wnukami.

- Ile masz wnucząt?

- Tę trójkę i dwoje dzieci Eddie, która mieszka w Południowej Afryce...

- Zawsze uwielbiała zwierzęta - zauważył George.

- Otóż to! - Hanna się zaśmiała. - Okazało się jednak, że z chwilą, gdy zobaczyła lwa, przestała interesować się nietoperzami...

George niecierpliwie czekał, co powie dalej.

- Jeśli chodzi o Ritę, to... - zaczęła Hanna.

W tej samej chwili Susan pożegnała się z Maddie i Harrym, i odwróciła do męża, pragnąc włączyć się do prowadzonej przez niego rozmowy. Gdy Hanna zawiesiła głos, rozczarowany George wstrzymał oddech. Dałby wiele, żeby Hanna skończyła zdanie i zaspokoila jego ciekawość. Jeśli chodzi o Ritę, to co, pomyślał z bezradnym zniecierpliwieniem. Umarła? Urodziła czwórkę dzieci? Wyjechała na stałe? Ale szybko się opanował i otoczył Susan ramieniem.

- Pozwól, że przedstawię ci moją żonę, Susan - powiedział do Hanny.

Hanna zbladła i cofnęła się o krok.

- Dzień dobry... - wykrztusiła niepewnie.

Zaraz potem zakończyła rozmowę i odeszła. Susan spojrzała na George'a.

- To matka Rity, tak?

Kiwnął głową.

- Przykro mi, że nadal nie pogodziła się z sytuacją. Kochany muszę ci coś wyznać...

Była już gotowa opowiedzieć George'owi o spotkaniu z Ritą w sklepie, kiedy z tyłu podeszli do nich wielebny Hammond i panna Hogmier, niczym para wiejskich urzędników, którzy z wielkim poczuciem odpowiedzialności witają wszystkich, którzy odwiedzają ich miejscowość.

- My już się poznałyśmy - rzuciła panna Hogmier, patrząc na Susan.

Żona George'a poczuła, jak nagle ogarnia ją fala złości.

- Widziałyśmy się tylko przelotnie, w sklepie - odparła z wymuszoną uprzejmością.

- Ale mnie jeszcze pani nie zna - wtrącił wielebny Hammond, wyciągając do niej dużą, spoconą dłoń.

Susan uścisnęła ją z uczuciem głębokiej niechęci.

- Bardzo miłe nabożeństwo - powiedziała, pragnąc odwrócić uwagę panny Hogmier od ich pierwszego spotkania.

- Dziękuję, cieszę się, że odniosła pani takie wrażenie. Prowadzę tę parafię od wielu lat, więc mam pewne doświadczenie, ale zawsze miło jest dowiedzieć się z ust innych, że człowiek dobrze wykonuje swoją pracę. Znam George'a od dziecka. Ach, jak ten czas leci... Od ilu lat jestem we Frogal Point, June? - zwrócił się do panny Hogmier.

Staruszka zmarszczyła brwi.

- Pamięć mnie zawodzi... - poskarżyła się zrzędlwym głosem. - Chyba od czterdziestu, Elwynie... Cóż, nie dość, że tracę sprawność stawów, to jeszcze ta sama przypadłość dotyka mój umysł...

- Już jako małe dziecko przychodziłem po zakupy do pani sklepu - powiedział George, starając się sprawić jej przyjemność.

- Tak jest. - Panna Hogmier pokiwała głową. - Wszystkich klientów znam z imienia i nazwiska, tak, tak... We Frogal Point mieszka mnóstwo dobrych ludzi i większość z nich docenia to, co dla nich robię...

Utkwiła twarde, świdrujące spojrzenie w twarzy Susan.

- Cieszę się, że mogliśmy chwilę porozmawiać. - George zrobił krok do tyłu. - Musimy już wracać na lunch...

Panna Hogmier chwyciła go za rękaw marynarki. Susan wstrzymała oddech.

- A co będzie z Ritą? - zapytała stara kobieta. - Kiedy zobaczyła twoją żonę, zakupy wypadły jej z rąk. Gdy zerwałeś zaręczyny, biedaczka strasznie to przeżyła i do dziś nie doszła do siebie... Mieszka sama, całkiem na uboczu. Ja jedna wiem, jak to jest, kiedy nie ma się nikogo naprawdę bliskiego... Kto by pomyślał, że Rita skończy jako stara panna! Byłam pewna, że to wyłącznie mój przywilej...

George wziął Susan za rękę.

- Ależ tak, z pewnością - powiedział. - Rita jest zbyt wielkoduszna, aby panią go pozbawić, proszę się nie niepokoić...

Uśmiechnął się tak czarująco, że panna Hogmier nie wiedziała, czy przyjąć jego słowa jako pochlebstwo, czy obrazę. Niespodziewanie zbita z tropu, poprawiła językiem sztuczną szczękę i z rozczarowaniem pokręciła głową.

- Właśnie miałam ci o tym powiedzieć, kochanie - odezwała się Susan, kiedy szli ścieżką przez łąkę, na której końcu ich dzieci bawiły się z Freddie, Daisy i Elsbeth.

- Przecież to nie ma najmniejszego znaczenia! Cóż to za potworna stara plotkara...

Oboje roześmiali się, chociaż George czuł się tak, jakby panna Hogmier przed chwilą wymierzyła mu mocny cios prosto w splot słoneczny.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Tej nocy George ostrożnie podniósł się z łóżka, zostawiając w nim mocno śpiącą Susan, i na palcach zszedł po schodach. Zdjął z wieszaka starą kurtkę ojca i zarzucił na ramiona. Materiał wciąż pachniał jego ojcem, mieszanką kurzu, wiatru i własnego zapachu Treesa. George wziął ze stołu w kuchni papierosy i zapalniczkę i wyszedł na taras. Ku swemu zaskoczeniu ujrzał skuloną na jednym z wilgotnych ogrodowych krzeseł matkę, która trzymała w obu dłoniach parujący kubek z mlekiem. Jej palce świeciły przejrzystą bielą w fosforyzującym blasku księżyca. Kiedy George stanął w progu, podniosła wzrok, w którym nie było ani odrobiny zdumienia. W przeszłości często spotykali się tutaj w środku nocy, bo nie mogli zasnąć lub otrząsnąć się z nocnego koszmaru.

- Wszystko w porządku? - zapytała Faye, gdy przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej.

Oparł łokcie na kolanach i ciężko westchnął.

- Opowiedz mi o Ricie - poprosił, wtykając papierosa między wargi i błyskając płomieniem zapalniczki.

- Nie mówiłam ci o niej wcześniej, żebyś nie miał wyrzutów sumienia.

- I tak je mam - odparł George. - Chcę wiedzieć, co się z nią dzieje. Nadal jest dla mnie bliską osobą...

Dmuchał obłokiem dymu jak łagodny smok. Bał się przyznać, jak bardzo Rita jest mu bliska, nawet sam przed sobą.

- Rita nie wróciła do równowagi po zerwaniu zaręczyn, taka jest przykra prawda...

George patrzył na ogród, zasypany liśćmi, które szeleściły na wietrze i tu i ówdzie połyskiwały w świetle księżyca.

- Susan widziała ją w sklepie. Rita tak się zdenerwowała, że upuściła torbę z zakupami, w każdym razie tak utrzymuje panna Hogmier.

- Nie wierzysz chyba we wszystko, co gada ta stara plotkara...

- Czy Rita rzeczywiście mieszka sama?

- Cóż, ma psa...

- Gdzie mieszka? - zapytał po chwili milczenia.

- Po drugiej stronie Bray Cove. Pracuje w bibliotece.

- Nadal? - George był wstrząśnięty, że Rita pozwoliła, aby w jej życiu zapanowała kompletna stagnacja.

- Tak, tyle że teraz jest kierowniczką. Widzisz, ona nie obnosi się ze swoim nieszczęściem, wręcz odwrotnie, jest bardzo aktywna i zajmuje się organizowaniem rozmaitych imprez kulturalnych. Przez Maksa poznała wielu interesujących autorów i często zaprasza ich do Frognał Point. Max ma mnóstwo znajomości, nawet sobie nie wyobrażasz. Świetnie sobie radzi. I pomyśleć, że przyjechał tu jako osierocone dziecko, bez grosza przy duszy... Zrobił prawdziwą karierę w radiu, a teraz został reżyserem i producentem telewizyjnym. To bardzo utalentowany młody człowiek, najlepszy produkt eksportowy Frognał Point...

George poczuł wyraźne ukłucie zazdrości. Więc mały Max dorósł i odniósł wielki sukces...

- Ożenił się?

- Nie, chociaż czasopisma ciągle publikują jego zdjęcia z ładnymi dziewczynami. Myślę jednak, że z czasem znajdzie sobie kogoś i założy rodzinę. Uchodźcy noszą w sobie głęboko zranione dusze, mój drogi... - Westchnęła. Myślała o Tadeuszu i jego tragicznej przeszłości. - Potrzebują wyjątkowych kobiet. Mam nadzieję, że Max znajdzie szczęście, bo z pewnością na to zasługuje. Bardzo dużo robi dla ludzi.

George postanowił skłonić matkę, aby wróciła do poprzedniego tematu.

- Czy Rita wciąż rzeźbi?

- Tak. Muszę przyznać, że jest naprawdę dobra. Nie sądziłam że ma taki talent, ale nieszczęście potrafi wydobyć z człowieka niezwykle zdolności... - Pomyślała, że sama wie o tym najlepiej bo jej najlepsze prace zainspirowane zostały tęsknotą za Tadeuszem i śmiercią Treesa.

- Dlaczego nie przyszła do kościoła? - zapytał George. - Dawniej nigdy nie opuszczała niedzielnych nabożeństw...

Faye napiła się mleka.

- Sądzę, że nie chciała się z tobą zobaczyć - odparła powoli.

- Tak myślisz? - George popatrzył na nią z wyrazem bólu w oczach.

- Może gdybyś wrócił sam... Ale jest inaczej i nie powinieneś się dziwić, że nie chce widzieć ciebie z Susan. Nie zapominaj, że ona wciąż cierpi.

- Wciąż cierpi? Po tych wszystkich latach? - Z niedowierzaniem potrząsnął głową.

Nie spodziewał się, że Rita tak długo pozostanie mu wierna. Przypomniawszy sobie słowa panny Hogmier i serce ścisnęło mu się z bólu, lecz zaraz potem ogarnęło go uczucie satysfakcji, że mimo upływu czasu Rita nigdy nie przestała do niego należeć.

Faye położyła rękę na jego ramieniu i nagle drgnęła, ponieważ znajomy dotyk i zapach kurtki Treesa obudził w jej sercu głęboki żal.

- Zostaw ją w spokoju - poradziła cicho. - Tak będzie lepiej...

- Nie mam wyboru... - westchnął, chociaż w głębi serca wcale nie zamierzał usłuchać matki. - Dlaczego siedzisz tutaj, mamó? Tęsknisz za tatą?

- Włożyłeś jego kurtkę... - szepnęła, lekko gładząc futrzany kołnierz. - Nie wyrzuciłam żadnej jego rzeczy. Gdyby coś było ci potrzebne, bierz, synku.

- Jeszcze na to za wcześnie, nie czułbym się z tym dobrze. Czy zgodzisz się, żebym zajął się jego orzechami?

- Oczywiście - uśmiechnęła się - sama chętnie bym to zrobiła, ale nie wiem, jak...

- Ojciec kochał te drzewa.

- I jedno z nich go zabiło. Wiesz, coraz częściej brakuje mi jego towarzystwa. Tak naprawdę doceniamy ludzi dopiero wtedy, kiedy od nas odchodzą... Zdarzało się, że oboje z ojcem nie rozmawialiśmy przez kilka dni, ale ja zawsze czułam przy sobie jego ciepłą obecność i nigdy nie dokuczała mi samotność, chociaż czasami byłam sama. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Niezupełnie. - George uśmiechnął się lekko.

Faye pragnęła powiedzieć mu o Tadeuszu i o tym, jak przebywanie z kochankiem dawało jej satysfakcję w tych sferach życia, które całkowicie lekceważył Trees, ale nie zdobyła się na szczerość.

- Czasami nie potrafiłam oprzeć się wrażeniu, że twój ojciec kochał te głupie drzewa mocniej niż mnie. Wyobrażasz sobie, że kobieta może być zazdrosna o drzewa? Teraz to wszystko wydaje mi się po prostu śmieszne...

- Nieprawda, to wcale nie jest śmieszne. - George pokręcił głową.

Nagle pamięć podsunęła mu obraz Faye, jadącej gdzieś na rowerze w środku nocy. Chciał zapytać ją, gdzie wtedy była, ale powstrzymał się, czując, że powinien poczekać, aż matka sama powierzy mu swoją tajemnicę.

- Pod koniec jego życia chodziliśmy po domu jak para duchów i prawie w ogóle nie odzywaliśmy się do siebie. Teraz żałuję, że nie zrobiłam większego wysiłku, aby do niego dotrzeć...

- Nie żałuj, mam. Tata wiedział, że go kochałaś.

- Mam nadzieję... Gdybym była przy nim w chwili jego śmierci, powiedziałabym mu o tym, ale...

- Gdzie wtedy byłaś? - zapytał nagle, wyczuwając głęboki niepokój matki.

Zawahała się, potarła dłonią szyję i postawiła kubek na ogrodowym stole. George odniósł wrażenie, że ziemia zadygotała pod jego stopami.

- Skończyłam rzeźbę na zamówienie pewnego starego człowieka z wioski i zawiozłam mu ją do domu...

Zapanowało długie milczenie. George powoli poskładał fragmenty układanki.

- Jak on się nazywa?

Wstrzymała oddech. Wiedziała, że syn odkrył jej tajemnicę.

- Tadeusz Waliszewski.

George skinął głową. To nazwisko nie było mu obce, chociaż nigdy nie poznał Tadeusza osobiście, podobnie jak większość mieszkańców Frognał Point.

- Jesteś w nim zakochana, prawda?

Faye znieruchomiała.

- Tak - szepnęła wreszcie.

Teraz wszystko było już jasne. George zrozumiał, że trwałość małżeństwa jego rodziców okazała się iluzoryczna. Kiedy był dzieckiem, wydawało mu się, że łącząca ich więź jest mocna, nierozzerwalna, lecz dziś, jako dorosły mężczyzna, dobrze widział pęknięcia, które pojawiły się na ogniwach. Nie winił matki za to, że szukała miłości gdzie indziej. Jak mógłby ją sądzić, kimże był, żeby ją potępiać... Sam popełnił podobny grzech. Jego matka kochała Treesa i Tadeusza... George zaczynał już pojmować, że można kochać dwie osoby jednocześnie, z zupełnie odmiennych przyczyn i na różne sposoby. Kochał Susan, a jednak, od chwili powrotu do Frognał Point,

ta część jego serca, która od lat pozostawała w uśpieniu, powoli budziła się do życia.

Minęło kilka tygodni. George był coraz bardziej zajęty nadzorowaniem farmy i prowadzeniem interesów; musiał uczyć się wielu rzeczy, ponieważ od zakończenia wojny dużo się zmieniło. Od wczesnego ranka chodził po farmie w roboczych niebieskich spodniach na szelkach, z rękami i włosami pokrytymi warstwą kurzu, i z tęsknotą wspominał pracę na ranczu Jose Antonia i ciotki Agathy. Jeździł land - roverem, razem z Cyrilem sprawdzając stan pól i od nowa zapoznając się z posiadłością, którą odziedziczył. Nie bał się żadnej pracy. Siadał za kierownicą ciągnika, zamiatał podłogi, naprawiał zepsute sprzęty i maszyny, karmił zwierzęta i zmieniał im ściółkę. Często wracał myślami do lat, kiedy jako młody chłopak pracował u boku ojca, i szczerze żałował, że nie było go na farmie, gdy Trees kupił nowoczesny kombajn zbożowy firmy Massey Ferguson.

- Był z niego bardzo dumny - powiedział mu Cyril, gładząc zieloną metalową obudowę maszyny, jakby miał przed sobą posłuszne zwierzę. - Młóci ziarno jak szalony, pracuje za dwunastu ludzi. Pan Trees zawsze się uśmiechał, kiedy siadał za kierownicą tego cacuszka...

Dzieci poszły do szkoły. Codziennie rano wybiegały z domu, żeby po drodze spotkać się z Freddie, Daisy oraz Elsbeth, i wyglądało na to, że wcale nie tęsknią za słoneczną równiną Cordoby. Przeprowadzkę najgorzej zniosła Susan, która czuła się obco we Frogmal Point. Wrogość, jaką wyczuła wokół siebie w kościele, towarzyszyła jej także na farmie. Faye i Alice dokładały wysiłków, aby okazać jej sympatię, lecz Susan wciąż miała wrażenie, że obserwuje je przez grubą tafłę szkła. Nie pasowała do tego wilgotnego, wietrznego wybrzeża. Nie lubiła żeglować, bo kołysanie łodzi przyprawiało ją o mdłości, i nienawidziła zimna. Pikniki na plaży szybko straciły dla niej cały urok. Piasek dostawał się nie tylko do kanapek, ale także pod ubranie i drażnił skórę. Tęskniła za Agathą i Jose Antoniem, których serdeczność ogrzewała jej serce w takim samym stopniu jak gorące argentyńskie słońce.

W końcu z Buenos Aires dotarł transport mebli George'a i Susan, i cała czwórka mogła przeprowadzić się do mniejszego domu. Susan myślała początkowo, że kiedy zajmie się urządzaniem własnych

kątów, łatwiej jej będzie zaakceptować nowe miejsce i styl życia, więc z uczuciem nieprzyjemnego deja vu szorowała podłogi, malowała ściany i szyła zasłony na maszynie Alice. Nie miała czasu rozmyślać o Ricie. Nikt nie wymieniał imienia dawnej narzeczonej George'a, nigdy też więcej nie spotkała jej w wiosce. Z czasem ukryła mroczne cienie swojego nowego życia pod meblami i dywanami, którymi przykryła podłogę, przekształcając nieco zaniedbany budynek w ciepły i elegancko urządzony dom.

Pewnego wieczoru, kiedy Susan zabrała dzieci na wizytę do pani Megalith, George wykorzystał okazję i wybrał się na samotny spacer po klifach. Poszedł do jaskini, która była dla niego symbolem wszystkiego, co kiedyś kochał i porzucił. Spędził tam niezwykle, czarowne godziny. Zachodzące słońce barwiło niebo i pola na głęboki, ostry odcień różu, morze falowało jak tafla roztopionej miedzi. Ogarnięty nostalgią, niespiesznie szedł w kierunku skał, przez które kiedyś przenosił Ritę. Kipiała w nich wtedy radość życia i żadne nie podejrzewało, że ich uczucie umrze razem z latem.

Czuł, że tamten okres jest jak zamknięty rozdział. Może kiedyś podzieli się z dziećmi swoimi przeżyciami z okresu wojny, może kiedyś Charlie zacznie obserwować ptaki i zapragnie nauczyć się latać, tak jak on wiele lat temu, a może ich zainteresowania zawsze będą całkowicie odmienne, kto wie... George nie oczekiwał, aby Charlie i Ava żyli jego życiem.

Przeskoczył przez pas mokrego piasku między skałami i wejściem do jaskini. Widok szerokiego pęknięcia w skale dawno temu zawsze przyprawiał go o szybkie bicie serca, lecz teraz sprawiało ono smutne wrażenie, wyglądało na zaniedbane i zarośnięte. Wnętrze jaskini było ciemne, zimne i puste. Kiedyś powietrze pachniało tu Ritą, nawet wtedy, gdy George był sam. W tamtym czasie czuł jej obecność tak wyraźnie i mocno, jakby ciepło jej ciała nasyciło skalne ściany, jakby cała jaskinia oddychała, ale teraz miał wrażenie, że jest tu nieproszonym gościem. Dobre duchy, które dawniej zamieszkiwały jaskinię, spakowały się i odeszły.

George pragnął zobaczyć Ritę. Chciał porozmawiać o przeszłości, przeprosić ją, powiedzieć, że nigdy nie zamierzał jej zranić. Kochał i szanował Susan, która doskonale go rozumiała i była równorzędną partnerką w udanym związku, jaki wspólnie stworzyli, lecz

równocześnie tęsknił za chłopcem, którym kiedyś był, i za Ritą, nieodłączną towarzyszką tamtego młodego człowieka.

Rozejrzył się dookoła, wspominając intymne chwile, do których celowo nie wracał przez ponad piętnaście lat. Teraz obrazy przeszłości opadły go ze wszystkich stron, odbierając poczucie perspektywy i dystansu. Pamiętał smak ust Rity, miękką niewinność jej skóry, kiedy przesuwał dłonią po jej udzie, oraz dźwięczny śmiech, z jakim odrzucała głowę do tyłu, poddając białą szyję jego pocałunkom. Poczłł aromat fiołków, połączony z zapachem morskich wodorostów, i nagle jego duszę rozdarła głęboka, natarczywa tęsknota.

W pewnej chwili dostrzegł jakiś błyszczący przedmiot, prawie całkowicie zagrzebany w piasku, który fala przyływu niosła pod tylną ścianę jaskini. Podniósł się, czubkiem buta rozgarnął piasek i schylił się. Natychmiast poznał srebrną gołębicę, którą kupił dla Rity na pokładzie statku „Fortuna”.

Powoli ruszył w stronę ścieżki prowadzącej na klify. Wisiorek palił mu dłoń. Nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego związane z Ritą wspomnienia tak go dręczyły. Zdecydował się zerwać zaręczyny, poślubić Susan i rozpocząć nowe życie na drugim końcu świata, i nigdy nie żałował, że to uczynił, lecz teraz, odkąd wrócił do Frogal Point, wciąż tęsknił za Ritą.

Pani Megalith ze zdziwieniem odebrała telefon od Susan. Żona George'a rozmawiała z nią nieco sztywno, miała jednak melodyjny, miły głos i akcent, który zupełnie nie pasował do zwyczajnej wioski w Devonie, i właśnie to obudziło ciekawość starszej pani.

Kiedy Susan przyjechała z dziećmi do Elvestree, pani Megalith, w płaszczu i wysokich butach, brodziła wśród suchych liści w ogrodzie. Susan kilka razy nacisnęła dzwonek przy bramie, a gdy nikt nie odpowiedział, obesła dom dookoła. Ogród przypominał jedną wielką egzotyczną ptaszarnię. Ptaki unosiły się w powietrzu, furkocząc skrzydłami, połyskującymi w bursztynowym świetle ostatnich promieni słońca, siedziały na ziemi, skubiąc liście, skakały po trawie i wesoło ćwierkały do siebie. Dzień przygasał, otaczając drzewa intensywną, różową poświatą i malując liście niezwykłym odcieniem głębokiej czerwieni. Nawet Charlie i Ava przystanęli, oszołomieni niezwykłym widokiem.

- Ona naprawdę jest czarownicą... - mruknął Charlie do siostry.

- Ciii... - skarciła go matka, bojąc się, że starsza pani usłyszy niegrzeczną uwagę i się obrazi. - Tata tylko żartował, to nieprawda - dodała.

Charlie przewrócił oczami.

Gdy pani Megalith przemówiła, wszyscy troje podskoczyli nerwowo jak przestraszone owce.

- Ach, to pani, Susan! Czy to nie wspaniały widok? Proszę tylko popatrzeć! - zawołała, kuśtykając ku nim z pomocą laski. - Uwielbiam tę porę dnia! Cudownie jest przyglądać się, jak pierzaste stworzenia przygotowują się do snu...

Susan miała wrażenie, że ptaki wcale nie szykują się jeszcze do snu, ale uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

- Cieszę się, że wreszcie mogę poznać panią osobiście - powiedziała. - A to moje dzieci, Charlie i Ava.

- Zawsze bardzo się cieszę, kiedy sprawy układają się zgodnie z planem - oznajmiła pani Megalith głębokim głosem. Poklepał Charliego po głowie, a oczy Avy rozszerzyły się na widok kryształów, lśniących na jej starych, pomarszczonych palcach. - Udał nam się ten przystojny młody człowiek...

Susan roześmiała się, widząc przerażenie, malujące się na twarzy Charliego. Zamarł bez ruchu i trwał tak, dopóki pani Megalith nie oderwała dłoni od jego głowy, a potem przeczesał palcami włosy, najwyraźniej tknięty obawą, że coś w nich pozostawiła.

- Ma pani piękny ogród - zachwyciła się szczerze Susan. - I niesamowity widok na ujście rzeki...

- To jedno z błogosławieństw, jakimi obdarzył mnie los, a w moim wieku człowiek zaczyna wszystkie je doceniać. Czy już przyzwyczailiście się do Frognał Point? - Powoli ruszyła w kierunku domu.

Ava i Charlie, zwykle tak rozbiegani, teraz szli za starszą panią jak druhna i paż za panną młodą.

- Jeżeli to może być jakimś pocieszeniem, powiem wam, że ja też nie pochodzę z Frognał Point, a jednak spędziłam tu większą część życia i jestem szczęśliwa - dodała.

- Staramy się zapuścić korzenie - powiedziała Susan. - Dzieci poszły do szkoły i zawarły pierwsze przyjaźnie, głównie z pani wnukami...

Pani Megalith uniosła brwi i zaczęła się zastanawiać, jak zareaguje na to Rita.

- Przystosowanie do nowych warunków trochę jednak potrwa, zwłaszcza w przypadku George'a - ciągnęła Susan. - Frogmal Point jest jego domem, ale w Argentynie był naprawdę bardzo szczęśliwy.

- George zawsze miał barwną osobowość, jeśli dobrze pamiętam.
- Pani Megalith otworzyła drzwi do zimowego ogrodu.

Z doniczek zwieszały się pędy egzotycznych roślin, po ścianach pięła się winorośl, tworząc na suficie ciasną plątaninę, do złudzenia przypominającą korzenie wielkiego drzewa. Goście poszli za starszą panią korytarzem do salonu, gdzie w kominku, nad którym stało mnóstwo zdjęć w pięknych ramkach, wesoło trzaskał ogień.

Susan od razu podeszła do kominka i zaczęła przyglądać się zdjęciom, na których uwieczniono przede wszystkim dzieci, wnuki i prawnuki gospodyni.

- Ma pani dużą rodzinę.

Dostrzegła duże zdjęcie Antoinette i od razu zrozumiała, co ta ostatnia miała na myśli, mówiąc, że mało brakowało, by George stał się członkiem jej rodziny.

- Czasami trudno mi z nimi wszystkimi wytrzymać, podobnie jak Królikowi z jego krewnymi i znajomymi. Nie miała pani okazji poznać Maksa, prawda? - Oczy pani Megalith przybrały nagle jaśniejszy odcień błękitu.

Susan potrząsnęła głową.

- Max to naprawdę niezwykle człowiek, nie tylko przystojny, ale także utalentowany. Ogromnie utalentowany...

Susan pozwoliła jej snuć opowieść o wychowanku, a sama wyłowiła spośród licznych fotografii zdjęcie Rity. Z długimi, splątanymi włosami i złocistymi oczami wyglądała na beztroską i szczęśliwą. Susan zaczęła się zastanawiać, czy ona też zmarnowałaby sobie życie z powodu Johna Haddona, gdyby na jej drodze nie stanął George.

- Mojej wnuczki także pani nie zna? - zagadnęła pani Megalith, gestem zachęcając Charliego i Avę, aby usiedli. - W głowie zaczyna mi się kręcić, kiedy patrzę na dzieci, które nie mogą znaleźć sobie miejsca. Możecie wyjść do holu i pobawić się z kotami, moi drodzy. Kociska będą zachwycone, bo ja nie poświęcam im dużo uwagi...

Charlie i Ava w milczeniu opuścili pokój.

- Spotkałam ją w sklepie, ale nie zostałyśmy sobie przedstawione - ostrożnie odparła Susan.

- Powinna pani dziękować Bogu, że nie wydrapała pani oczu! - prychnęła pani Megalith.

Susan przysiadła na krawędzi ustawionego przy kominku metalowego parawaniku.

- Myślę, że nasze ścieżki już się raczej nie skrzyżują - powiedziała. - Poślubiłam przecież mężczyznę, którego kochała...

- Moja droga, ona wierzy, że nadal go kocha, ale gdyby go teraz zobaczyła, może wreszcie zdałaby sobie sprawę, że tym uczuciem obdarzyła zupełnie innego mężczyznę. Ludzie się zmieniają i dam sobie rękę uciąć, że George nie jest już tym samym George'em, z którym dorastała. Rzeczywistość bywa czasami trudna, ale Rita rzadko ma kontakt ze światem realnym. Muszę powiedzieć, że nie potrafię rozgryźć tej dziewczyny, chociaż posiadam zdolności paranormalne...

- Ma pani rację, George jest teraz zupełnie innym człowiekiem - odrzekła Susan spiętym głosem.

- Jako dzieci byli nierozłączni. - Pani Megalith nie dostrzegła, że Susan wolałaby nie rozmawiać o Ricie. - Ale George został głęboko zraniony przez wojnę, a nasza Rita po prostu padła ofiarą tego kataklizmu. Hitler ponosi winę za tyle nieszczęść... Max także jest ofiarą wojny, lecz jakże inną... Jego tragedia to tragedia całej Europy, gdzie naziści pozbawili życia miliony ludzi. George uważa, że jego cierpienie było wielkie, ale przecież nie stracił całej rodziny w obozie koncentracyjnym, a właśnie to spotkało Maksa...

- Każde cierpienie jest rzeczą względną - powiedziała Susan, której nie podobały się sugestie starszej pani. - George stracił przyjaciół i widział przerażające rzeczy. Te przeżycia prześladują go do dziś...

- Ma szczęście, że znalazł panią.

- Rozumiem go.

- Oczywiście, moja droga. - Palce pani Megalith zamknęły się wokół księżycowego kamienia. - Ostatecznie nie jest aż tak bardzo skomplikowany, prawda?

W tym momencie do salonu wrócili Charlie i Ava. Oboje uśmiechali się i porozumiewawczo tręcali łokciami.

- Czy pani jest czarownicą? - zapytał Charlie. Susan drgnęła, przerażona i zażenowana.

- Jak możesz, Charlie! - krzyknęła.

Pani Megalith spokojnie patrzyła na chłopca.

- Tak, jestem - odparła z całkowitą powagą. Ava cofnęła się, wyraźnie przestraszona.

- Rzuca pani czary? - drażył Charlie.

Susan próbowała interweniować, ale starsza pani powstrzymała ją ruchem dłoni. Od lat nie bawiła się tak dobrze.

- Tak.

- Jakie?

Pani Megalith nachyliła się ku Charliemu.

- Pamiętasz te ptaki w ogrodzie? - zapytała tajemniczym szeptem.

Kiwnął głową.

- Kiedyś wszystkie były wygadanyimi chłopcami, takimi jak ty...

- Odwróciła się z uśmiechem do Susan. - Proszę powiedzieć mężowi, że jeżeli opowiada bzdury, to musi się liczyć z konsekwencjami...

Przez całą drogę do domu Charlie powtarzał, że nie uwierzył starszej pani. Ava kpiła z naiwności i łatwowierności brata, natomiast Susan prowadziła w milczeniu, nie przestając myśleć o Ricie. Wciąż miała przed oczami jasną, lekko zaróżowioną twarz młodej kobiety, której widok przypominał jej, że chociaż chciałyby zostać przyjęta do małej społeczności Frogmal Point, to raczej nie może na to liczyć. Niepokoiło ją także odkrycie nieznanego oblicza człowieka, który był jej mężem. Ten nieznajomy lubił te same rzeczy co Rita i stanowił część Frogmal Point, wioski, do której ona sama zupełnie nie pasowała.

Tego wieczoru zabrała się do sprzątanía sypialni. George brał kąpiel, śpiewając ulubione piosenki gauczów Jose Antonia. Kiedy Susan wieszała jego spodnie w szafie, w kieszeni coś zabrzęczało. Wsunęła rękę do środka i wyjęła srebrny wisiołek, którego nigdy wcześniej nie widziała. Serce zabiło jej mocniej i nagle zezłościła się, że ma tak mało pewności siebie. Gdyby coś takiego zdarzyło się w Argentynie, na pewno wcale by ją to nie zdenerwowało. Szybko odzyskała panowanie nad sobą i weszła do łazienki. Twarz George'a pokryta była kremem do golenia. Spojrzał na nią wyczekująco, a

wtedy ona wyciągnęła przed siebie dłoń, z której zwisała znaleziona ozdoba.

- Co to jest? - zapytała, starając się powstrzymać drżenie głosu.

- Znalazłem ten wisiołek w jaskini na plaży - odparł niewinnie.

- Naprawdę?

- Tak, był prawie zupełnie zagrzebany w piasku. Pomyślałem że może ci się spodoba.

Susan spojrzała na srebrną ozdobę i wyprostowała się. Podejrzanie nadal tkwiło w jej sercu.

- Jak to miło z twojej strony, kochany... - powiedziała, uważniej przyglądając się wisiorkowi. - Musiała go zgubić jakaś dziewczyna. To gołębnica, symbol odpowiedni dla młodej osoby, nie sądzisz? W dodatku takiej, która kocha ptaki... - Rzuciła George'owi lodowate spojrzenie. - Dam go Avie.

Wróciła do pokoju i położyła wisiołek na toalecie. Nie była do końca pewna, czy nie zareagowała zbyt mocno.

George przeciągnął żyłką po policzku. Nagle drgnął i skrzywił się lekko, gdy ostrze przecięło skórę. Siedział nieruchomo i patrzył, jak krew powoli kapie do wody.

Rozdział trzydziesty

Tygodnie mijały. Nadeszła zima, niosąc z sobą zimną mgłę i przejmujące wiatry. Ava z dumą nosiła wisiołek na krótszym łańcuszku, który kupiła jej Susan. George raz napomknął, że srebrna ozdoba bardzo mu się podoba, i więcej o niej nie wspominał, Susan natomiast ostro skarciła samą siebie za skłonność do pochopnych wniosków. Rozpoczęły się ferie i Charlie i Ava spędzali dużo czasu z dziećmi Maddie, bawiąc się na farmie i budując obozowiska w lesie. Ku zaskoczeniu Susan, Maddie została jej przyjaciółką. W przeciwieństwie do większości mieszkańców Frognał Point, nie miała do Susan żadnych pretensji, chociaż właśnie ona mogła czuć do niej uzasadnioną antypatię. Dla Maddie nie miało znaczenia, że Susan zabrała serce mężczyzny, którego kochała jej siostra. Nigdy nie rozmawiały o Ricie i po pewnym czasie Susan przestała o niej myśleć. Odkryła, że wiele ją z Maddie łączy. Obie miały bezpośrednią naturę i skłonność do pewnego wyrafinowania, którą Maddie odziedziczyła nie wiadomo po kim. Nie przepadały za plażowymi sportami i rozrywkami, które tak lubili George i Rita, lubiły natomiast siedzieć przy herbacie i spokojnie rozmawiać. Często zaśmiewały się do łez, kiedy Maddie opowiadała Susan rozmaite historie o okropnej panie Hogmier i ekscentrycznej pani Megalith. Obie uważały, że wielebny Hammond jest potwornym nudziarzem, i zerkały na siebie porozumiewawczo, kiedy w czasie kazania duchowny gubił wątek i zaczynał się powtarzać.

George nie był w stanie zapomnieć o Ricie. Co tydzień dostrzegał jej nieobecność w kościele i przyłapywał się na tym, że zawsze szuka jej wzrokiem, kiedy spaceruje po plaży lub wspina się na skałki z dziećmi. Siła wyobraźni sprawiła, że Rita stawała się dla niego coraz ważniejsza, a Frognał Point wydawało mu się bez niej dziwnie okaleczone. Nie zauważył, że w jego małżeńskie życie powoli wkrada się chłód. Susan poświęcała teraz większość czasu dzieciom, a on chodził po plaży i szukał swojej przeszłości.

Zobaczył Ritę w sobotę przed świętami Bożego Narodzenia, kiedy obie rodziny wybrały się nad morze. Popołudnie było nieprzyjemnie zimne - słońce robiło, co mogło, aby roztopić cienką warstwę śniegu, który spadł w nocy, lecz temperatura utrzymywała się w okolicach zera. George pobiegł do przodu z Charliem, żeby pomóc mu kierować tańczącym na wietrze latawcem. Zachwycony Charlie

zawołał do matki, chcąc zwrócić jej uwagę na swoje zmagania, więc Susan przerwała rozmowę z Harrym i Maddie. Ale wkrótce George i Charlie odbiegli zbyt daleko, aby mogła się z nimi porozumieć, i stali się dwoma małutkimi sylwetkami na tle pochmurnego nieba.

W końcu, kiedy byli już blisko zatoczki, nad którą znajdowała się jaskinia, wiatr wyszarpnął George'owi sznurek z dłoni. Przyglądał się bezradnie, jak latawiec triumfalnie szybuje coraz wyżej i wyżej, po to tylko, aby nagle runąć w dół, prosto na skały. George i Charlie położyli się na brzuchach na krawędzi skały i spojrzeli w dół. George bezskutecznie usiłował dosięgnąć zaplątany o ostry kamień sznurek.

- Przepraszam, Charlie - pokręcił głową. - Lepiej zaczekajmy na Harry'ego, może on wpadnie na jakiś pomysł.

W tej samej chwili jego uwagę zwrócił jakiś ruch na plaży. Wstrzymał oddech i zmrużył oczy. Kobieta znajdowała się za daleko, żeby mógł zobaczyć jej twarz, ale nie miał cienia wątpliwości, że to Rita.

Powoli podniósł się z ziemi.

- Pobiegnij do nich i powiedz, że straciliśmy latawiec.

Charlie bez wahania spełnił polecenie ojca, zostawiając go samego. Teraz George mógł w spokoju przyglądać się, jak jego dawna ukochana idzie w jego kierunku, prowadząc dużego, kudłatego psa o złocistej sierści. Kiedy zbliżyła się, zauważył, że jej długie włosy wyrrywają się spod naciągniętej nisko na czoło wełnianej czapki. Ubrana w beżowy płaszcz i wysokie gumowce, szła niespiesznie, z rękami wsuniętymi głęboko w kieszenie.

Miotany wiatrem i niespodziewanym potokiem wspomnień, George patrzył na nią z góry, wiedząc, że za chwilę podniesie wzrok i zobaczy go. Chciał zbiec ścieżką na plażę, tak jak robił to dawniej, i porozmawiać z nią, ale Susan i pozostali byli już blisko, poganiani przez podekscytowanego Charliego. George włożył ręce do kieszeni i przygarbił się. Kiedy tak obserwował Ritę, ogarnął go wielki smutek. Dość wyraźnie widział już jej pozbawioną wszelkiego wyrazu twarz, zaczerwieniony nos i białą jak śnieg skórę. Wydawało mu się, że przeżyta tragedia obdarzyła ją wielką urodą, której w rzeczywistości nie posiadała, i jego serce zabiło mocniej na myśl o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby nie jego niewierność. Podświadomie widział w Ricie romantyczną bohaterkę, spowitą aurą niezwykłego uroku, który niewątpliwie rozwiłby się, gdyby miał szansę z nią porozmawiać.

Zgodnie z jego oczekiwaniami Rita podniosła wzrok i nagle stanęła jak wryta. Tylko włosy tańczyły dookoła jej głowy na wietrze, nie bacząc na widok, który zmroził krew w żyłach młodej kobiety. Można było odnieść wrażenie, że nagła cisza okryła grubym płaszczem małą zatokę, gdzie wspomnienia połączyły się z teraźniejszością. Pies biegał po plaży, szczekając na fale i szukające pożywienia ptaki. Potem Rita podniosła dłoń i ten ruch sprawił, że czar prysnął.

George odwrócił się i spostrzegł, że Susan, Maddie, Harry i dzieci są już bardzo blisko.

- Gdzie się podział ten latawiec? - zapytała Susan. - Nie przejmuj się, skarbie, kupimy ci nowy...

Gdy spojrzała w dół, w pierwszej chwili zobaczyła tylko leżący na skałach latawiec, którego długi ogon do złudzenia przypominał uśpionego węża, lecz zaraz potem dostrzegła stojącą na plaży i patrzącą w górę kobietę. Minęła długa chwila, zanim Rita włożyła ręce do kieszeni i poszła dalej. Nie podniosła więcej wzroku patrzyła prosto przed siebie, nie chcąc dać żonie George'a satysfakcji oglądania jej cierpienia. Susan natychmiast poznała Ritę ale udała, że jej nie widzi.

- Myślę, że gdybyście razem z Harrym przytrzymali Charliego za kostki nóg, udałoby mu się podnieść latawiec - rzuciła niedbale, chociaż czuła się tak, jakby ktoś wymierzył jej mocny cios w splot słoneczny.

Charliemu udało się podnieść latawiec i znowu go puścić, lecz George nie odzyskał już dobrego nastroju. Pograżył się w zamyśleniu, z którego nie mogła go wyrwać nawet żona. Patrząc na jego nachmurzoną twarz, Susan szczerze żałowała, że podjęli decyzję o przeprowadzce do Frogmal Point. W Argentynie byli tacy szczęśliwi...

Nogi Rity drżały tak mocno, że z trudem szła dalej. George widział ją i nie potrafił oderwać od niej oczu. Długo patrzyli sobie w oczy i Rita mogłaby przysiąc, że nawet z tak dużej odległości dostrzegła na jego twarzy wyraz żalu. Czuła, że pojawienie się Susan nieprzyjemnie go zaskoczyło, chyba nawet rozczarowało. Może chciał z nią porozmawiać... Może gdyby byli sami, zbiegłby na plażę wąską ścieżką i objął ją mocno, tak jak dawniej. Może wziąłby ją w ramiona i powiedział, że popełnił błąd i od osiemnastu lat wciąż tego żałuje, że przeprasza... Rita kilka razy okręciła na palcu pierścionek z brylantem.

Z najdalszego, prawie całkowicie zapomnianego zakątka serca napłynęły cichutko szeptane słowa, że George nadal ją kocha.

Nagle ogarnęło ją pragnienie, aby pobiec przed siebie z szeroko rozpostartymi ramionami. Ostrożnie obejrzała się, lecz w miejscu, gdzie przed paroma chwilami stał George, nie było już nikogo. Tylko wysokie trawy kołysały się na tle nieba, podkreślając nieobecność człowieka, którego kochała. Przepelniona młodzieńczą energią, rozłożyła ramiona i pobiegła. Roześmiała się, kiedy Tarka zaniósł się radosnym ujadaniem. Pies machał ogonem, raz po raz zabiegając Ricie drogę, a ptaki uciekały na boki i wzbijały się w powietrze. Rita była w tak doskonałym nastroju, że wydawało jej się, iż sama także lada chwila oderwie się od ziemi i pofrunie razem ze swoimi skrzydlatymi przyjaciółmi.

*

Tego wieczoru Susan była bardzo przygnębiona. Pragnęła jednego - aby jak najszybciej spakowali się i wyruszyli w drogę powrotną do Argentyny.

Kiedy otworzyła lodówkę, odkryła, że nie ma ani odrobiny mleka. George siedział w pokoju i czytał gazetę, a Charlie i Ava grali w szachy przed kominkiem, słuchając płyty Jimmy'ego Hendriksa. Susan wiedziała, że sklep jest już zamknięty, a mleczarz przyjedzie dopiero koło siódmej rano, postanowiła zatem pójść do Faye i pożyczyć trochę.

Otworzyła drzwi dużego domu i ruszyła w kierunku dobiegających z salonu głosów. Odezwałaby się głośno, gdyby nagle nie usłyszała swojego imienia, wypowiedzianego przez Alice. Przystanęła i wstrzymała oddech, ponieważ uświadomiła sobie, że Faye i Alice rozmawiają właśnie o niej.

- ...Susan jest bardzo miła, ale trochę chłodna - powiedziała Alice.

- Ale George jest z nią szczęśliwy, a to najważniejsze - odparła Faye.

Zapadła cisza, którą po chwili przerwała Alice.

- Nie wygląda na szczęśliwego. Myślę, że byłby szczęśliwszy, gdyby ożenił się z Ritą. George dorósł w przekonaniu, że dostanie wszystko, czego zapagnie. Zawsze był gotowy zrezygnować z tego, co dobre, ponieważ miał nadzieję, że zaraz na horyzoncie pojawi się coś jeszcze lepszego...

- Teraz jest inaczej, kochanie - rzekła Faye. - George naprawdę jest szczęśliwy z Susan. Dała mu wspaniałe dzieci i poczucie stabilizacji. Zgadza się, że ona nie należy do najserdeczniejszych osób, ale może zachowuje się tak dlatego, że jeszcze nie przyzwyczała się do życia w Anglii. Mieszkała w słonecznym, gorącym kraju, a teraz przeprowadziła się tutaj, do zimnego, wilgotnego Devonu.

- Susan do nas zwyczajnie nie pasuje. Na początku próbowała interesować się tym, co George, ale teraz rzadko mu towarzyszy. Wiele razy spotykałam go na plaży i zawsze był sam. Wydaje mi się, że ona przestała się starać...

- To nie zbrodnia, moja droga. Ja też nie starałam się kochać głupich drzew waszego ojca, a on nie podzielał mojej pasji rzeźbienia.

- To zupełnie co innego, mamó. Nie mówię o hobby, lecz o stylu życia. George jest morzem, plażą, klifami, ptakami... On kocha ludzi, ona najwyraźniej nie. Zauważyłaś, jak po nabożeństwie nigdy nie zatrzymuje się, żeby zamienić z kimś choćby parę słów, zupełnie jakby uważała się za lepszą od innych? Przypomina mi Antoinette...

Susan poczuła, że nie wytrzyma w tym domu ani chwili dłużej. Ze łzami w oczach na palcach wróciła do drzwi i wybiegła w wietrzną noc. Zimne powietrze ochłodziło jej rozplamione policzki i uciszyło dziko galopujące serce. A więc taką mają o niej opinię... Uważają, że George byłby bardziej szczęśliwy, gdyby ożenił się z Ritą... Zagryzła wargi. Może George także podzielał to zdanie, kto wie...

Nagle zrozumiała, że ma dosyć usuwania się na bok i udawania, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Kiedy weszła do kuchni, George właśnie brał herbatnika z puszki. Na widok jej poszarzałej twarzy wieczko wypadło mu z ręki.

- Co się stało? - zapytał, prawie pewny, że coś złego przydarzyło się matce.

- Musimy porozmawiać - powiedziała zdecydowanym tonem. George poszedł za nią na górę, zastanawiając się, co wywołało jej gniew. Zamknął za sobą drzwi sypialni, żeby dzieci ich nie słyszały.

- Co się dzieje?

Susan odwróciła się twarzą do niego i założyła ręce na piersiach. Na jej bladych policzkach wykwitły dwie małe czerwone gwiazdy.

- Przed chwilą słyszałam rozmowę twojej matki i Alice.

- O czym?
- O mnie.
- Co mówiły?
- Że byłbyś szczęśliwszy, gdybyś ożenił się z Ritą.

George opuścił sztywno wyprostowane ramiona i zaśmiał się cicho.

- I ty im uwierzyłaś?
- Widziałam, jak na nią dzisiaj patrzyłeś. Nie jestem ślepa.
- Rita mieszka tutaj, kochanie. Od czasu do czasu mogę się na nią natknąć, to wręcz nieuniknione...

- Nie chodzi mi o to, że ją widziałeś, ale o to, w jaki sposób na nią patrzyłeś. Czy ty nadal ją kochasz?

- Oczywiście, że nie! - odparł takim tonem, jakby cała ta rozmowa wydawała mu się śmieszna. - Kocham ciebie...

- Mimo tego, że do was nie pasuję?
- Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytał ze zdumieniem.
- Takie jest zdanie twojej matki.
- Ale nie moje, na miłość boską!
- Nie wiem, jak to się stało, ale twoje demony prześladują teraz mnie! - wybuchnęła.

George podszedł do niej szybko i chwycił ją w ramiona. Nie opierała się.

- Dopiero tu przyjechaliśmy, kochanie - szepnął jej do ucha. - Przecież wiedziałaś, że nie będzie lekko... Dla mnie to też nie jest łatwe. Dręczą mnie wspomnienia o wojnie, nie o Ricie.

- Byliśmy tacy szczęśliwi w Argentynie... - powiedziała, mocno obejmując go w pasie ramionami. - Wiele bym dała, żeby tam wrócić...

- Dajmy sobie trochę czasu, kochanie. Wkrótce wszystko jakoś się ułoży, dam ci słowo.

Następnego dnia rano George poszedł do tej części ogrodu, gdzie jego ojciec sadził swoje ukochane orzechy. Pomyślał, że może wśród tych drzew poczuje bliskość Treesa. Jeżeli można było wierzyć pani Megalith, to ojciec wciąż tam był, oddzielony od świata tylko niewidzialnym murem wibracji. Pamięć podsunęła George'owi obraz ojca, wysokiego, bardzo szczupłego mężczyzny w tweedowej czapce i długich butach. Ujrzał Treesa w otoczeniu swoich utraconych w

czasie wojny przyjaciół - Jamiego Cordella, Rata Bridgesa i Lorriego Hamptona.

George włożył ręce do kieszeni i przygarbił się lekko pod uderzeniem ostrego wiatru od morza. Nagle jego uwagę przykuła mała szara plakietka u stóp młodego drzewa. Schylił się, aby odczytać wypisane na niej słowa. Charles Bolton, 24 października 1949 roku. Ojciec nigdy nie wspominał, że zasadził drzewo z okazji narodzin wnuka. George przykucnął, dotknął plakietki i poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Bardzo tęsknił za ojcem. Tęsknił też za chłopcem, którym kiedyś był. Zaraz potem pomyślał o Ricie i zrozumiał, że za nią także tęskni.

Max nie mógł się już doczekać powrotu do Frogmal Point na święta Bożego Narodzenia. Gwiazdka w Elvestree zawsze była szczególnym wydarzeniem, chociaż on i Ruth nie obchodzili tego święta jako uroczystości religijnej. Pani Megalith szanowała żydowskie korzenie swoich wychowanków i na samym początku ich pobytu w Elvestree uzupełniła wiadomości na temat świąt, które obchodzili w Austrii. Stosując zdobyte informacje w praktyce, dekorowała owocami ich domek do zabawy z okazji święta Sukkot, zapalała świece w piątkowy wieczór, starannie ukrywała prezenty na święto Chanuka i zgodnie z Prawem stawiała w oknie menorę. Nigdy nie zabierała ich do kościoła i zdarzało się, że urządzała zaimprovizowaną synagogę w swoim salonie. Max i Ruth po raz pierwszy poszli do synagogi w Anglii dopiero jakiś czas po wojnie, kiedy mieli po kilkanaście lat i pani Megalith zabrała ich ze sobą w odwiedziny do mieszkającej w Londynie siostry. Cały sobotni ranek przesiedziała w synagodze Bevis Marks, słuchając modlitw w nieznanym sobie języku, a wszystko po to, by Max i Ruth mogli pozostać wierni religii swoich rodziców. Właśnie wtedy Ruth po raz pierwszy rozplakała się z tęsknoty za domem. Ceremonia religijna i charakterystyczny dźwięk hebrajskiego przypomniały jej dzieciństwo i szlochała w pociągu przez całą drogę do Devonu. Maksowi także chciało się płakać, wiedział jednak, że musi być silny ze względu na siostrę, zacisnął więc mocno pięści i z trudem odepchnął wzruszające skojarzenia, które sprawiały, że łzy napływały mu do oczu. Po powrocie do Elvestree wypełnił bolesną pustkę w duszy, czytając wiersze z ukochanego tomiku matki. Słowa, które kiedyś sama czytała mu na dobranoc, przerwały jednak tamę, jaką zwykle odgradzał się od

wspomnień, i Max z bólem wrócił myślami do ostatnich chwil spędzonych w Wiedniu, w rodzinnym domu. Pamiętał, że matka przygotowała dla nich kolację przed długą podróżą do Anglii. Ojciec siedział przy stole z poważną twarzą, otoczony charakterystycznym zapachem tytoniu. Od dawna w domu wszyscy dorośli rozmawiali głównie o wojnie, lecz tego wieczoru starali się poruszać inne tematy. Nikt nie był wtedy w stanie przewidzieć przerażającego losu, jaki miał się stać udziałem jego rodziców, ani tego, jak zakończy się podróż Maksa i Ruth do Anglii. Nieświadoma niczego Lydia spokojnie spała w swoim łóżeczku na piętrze. Niewielkie walizki dzieci były już spakowane i czekały przy drzwiach, pełne ciepłych ubrań i nadziei. Max widział, jak białe dłonie matki drżały, gdy nalewała mu zupę z dużej wazy, i poczuł, że w gardle tworzy mu się twarda, dławiąca kula. Czy matka wiedziała już wtedy, że nigdy więcej ich nie zobaczy? Że nie będzie jej przy nich, gdy będą dorastali? Trudno było mu wyobrazić sobie jej ból. Starła się ukryć niepokój pod pełnym napięciem uśmiechem, nie potrafiła jednak opanować drżenia tych smukłych białych dłoni. Serce Maksa wypełnił lęk i przerażające uczucie nagłego oderwania od wszystkiego, co było mu bliskie i drogie. Następnego dnia rano wsiadł do pociągu razem z Ruth i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w ponury zimowy krajobraz za oknem, usiłując za wszelką cenę zapamiętać barwy i majestatyczny wygląd Teatru Cesarskiego, fotele obite szkarłatnym aksamitem, złociste lampy, zapach farby i perfum, dźwięk głośnych rozmów, skrzypienie mebli, pokrzykiwania ubranych w futra i koronki aktorek. Wyobrażał sobie, że ukrył się w łożu ojca i przygląda się próbom, ukryty przed ludzkim wzrokiem za wysokim parapetem, bezpieczny w ciepłej mgłę znajomych rzeczy i zdarzeń...

Boże Narodzenie zawsze było bardzo przyjemne. Te cudowne święta w ogóle nie kojarzyły się Maksowi i Ruth z utraconą w czasie wojny rodziną ani z dzieciństwem, którego tak brutalnie zostali pozbawieni. Boże Narodzenie było pełne blasku, pachniało świeżą choinką i niosło nowe wspomnienia. Dla Maksa Gwiazdka oznaczała jednak przede wszystkim czas spędzany z Ritą, czas, na który czekał o wiele bardziej niecierpliwie niż na jakikolwiek prezent. Tego roku miały to być wyjątkowe święta, ponieważ postanowił poprosić ją o rękę.

Był pewny, że potrafi ją uszczęśliwić, szczególnie teraz, kiedy zdobył pozycję, sławę i dość pieniędzy, aby zaspokoić potrzeby i ambicje nawet najbardziej wymagających pod względem finansowym i rozrzutnych kobiet. Oczywiście Rita nie należała do nich, jej upodobania były proste i nieskomplikowane. Max chciał kupić dla niej i dla siebie dom nad morzem, jak najbliżej Frognał Point, i mieć z nią dzieci. Mieszkając nad morzem, Rita będzie mogła do woli obserwować ptaki i biegać po plaży. Pragnął też zabrać ją do Wiednia i pokazać zbudowany przez jego ojca teatr, który kiedyś miał nadzieję odkupić. Marzył, że przed rozpoczęciem premierowego spektaklu będą stali w loży, trzymając się za ręce, i będą przyglądać się, jak tłum strumieniem wlewa się na salę. W tej samej loży, z której kiedyś pierwszy występ matki oglądał ich ojciec...

Max wiedział, że nie jest Ricie obojętny. Wyczuwał to w przerwach między zdaniem, kiedy na chwilę przestawali się śmiać i patrzyli na siebie z czułością, nie był jednak całkowicie pewny, czy Rita kocha go w taki sam sposób jak on ją. Miał nadzieję, że tak jest, lecz nie miał pewności. Oczywiście uważał, że małżeństwo to coś znacznie więcej niż namiętne uczucie, trwały związek oznaczał także stabilizację, rodzinę i czułość... Podczas jego ostatnich kilku wizyt we Frognał Point Rita sprawiała wrażenie o wiele bardziej szczęśliwej i zadowolonej, i w ogóle nie wspominała o George'u. Ostatnim razem długo rozmawiali, popijając wino, potem zaś wybrali się na spacer po plaży w świetle księżyca. Z dziecinnym podnieceniem biegali po piasku, śmiali się i żartowali. Max nigdy nie powiedział Ricie, że ją kocha, nie zdobył się na to, lecz czas uciekał, a oni stawali się coraz starsi. Nie mógł dłużej czekać.

Wyruszył do Devonu nowym mg. Z przyjemnością siedział za kierownicą sportowego wozu i pędził na spotkanie przeznaczenia, którym miał być początek życia z ukochaną kobietą. Chociaż było bardzo zimno, jechał z opuszczonym dachem, w ciepłym płaszczu, wełnianej czapce i rękawicach na kozuchu, otulony długim szalem. Lubił czuć na twarzy ostre uderzenia wiatru, który kąsał jego skórę drobnymi, ostrymi zębami, i rozglądał się dookoła przez niemodne już gogle z zachwytem i zaciekawieniem człowieka z miasta. Niebo było bladoniebieskie, bezchmurne, a słońce nie szczędziło wysiłku, aby ogrzać zamarznęte pola. Serce Maksa biło radością, śpiewał głośno puszczane w radiu piosenki i uśmiechał się do siebie. Kiedy skręcił na

podjazd w Elvestree, wyłączył muzykę i głęboko odetchnął cudownym zapachem domu. Wyobrażenia podsunęła mu obraz przyjęcia z okazji zaręczyn z Ritą - ogień płonący w kominkach Elvestree, smak szampana z piwniczki Denzila, pani Megalith, jak zwykle spowita w aksamitną szatę i jedwabne szale, połyskująca kryształami... Świat szedł naprzód, lecz Elvestree nie ulegało powiewom mody i wpływowi mijającego czasu.

Zaparkował samochód na podjeździe i szybko wszedł do środka frontowymi drzwiami, ozdobionymi wieńcem z sosnowych gałązek i czerwonych jagód. Potykając się o koty, dotarł do salonu, skąd napływały fale zapachu płonącego drewna i kuszące dźwięki muzyki. Gdy stanął w progu, pani Megalith zerwała się od stolika, na którym leżały karty, i wyciągnęła do niego ramiona.

- Ach, mój kochany chłopcze! - zawołała z radością. - Albo wstałeś o świcie, albo pędziłeś jak wiatr, prawda?

- Jedno i drugie - odparł, otaczając ramionami jej masywne ciało.

Pachniała naftaliną i cynamonem, mieszanką, która w jego sercu budziła wspomnienia równie przyjemne jak aromat trzaskającego w kominku drewna. Po chwili pani Megalith cofnęła się, zmierzyła wychowanka uważnym spojrzeniem i z aprobatą pociągnęła nosem. Wyrósł na wyjątkowo przystojnego i dzielnego młodego człowieka, pomyślała z dumą.

- Gdzie jest Ruth? - zapytał, nalewając sobie kieliszek wina.

- W kuchni, przygotowuje lunch. Ostatnio jest strasznie ponura i blada, chyba za dużo pracuje...

Pani Megalith opadła na fotel i zsunęła okulary na czubek nosa. Ruth nadal mieszkała w Elvestree, utrzymując się z gotowania dla mieszkających w okolicy rodzin.

- Historie, które czasami opowiada, są po prostu niesamowite - ciągnęła, sięgając po gazetę. - Niektórzy ludzie, dla których pracuje, to niewyobrażalni ekscentrycy!

Max uniósł brwi i uśmiechnął się szeroko, bo przecież trudno byłoby znaleźć osobę bardziej ekscentryczną od niej. Miał wrażenie, że od czasu wojny nie postarzała się nawet odrobinę. Jak zawsze chodziła z laską i skarżyła się na efekty kontuzji, doznanej w czasie pobytu w domu swojej mieszkającej w Londynie siostry, na który spadła bomba, ale jej niesprawność fizyczna była złudna. Możliwe, że jej włosy posiwiały, lecz nadal były gęste i lśniące, a skóra gładka jak

u znacznie młodszej kobiety. Podobnie jak dom i ogród znajdowała się pod wpływem tajemniczej magii, i Max miał nadzieję, że przeżyje jego samego i wszystkich swoich bliskich.

- Nalej mi sherry - powiedziała, zerkając na niego z domyślnym błyskiem w jasnych, podobnych do kamienia księżycowego oczach. Prawie nic nie było w stanie umknąć jej uwagi. - Dlaczego wyglądasz jak kocur, który dorwał się do śmietanki?

Max pragnął się zwierzyć, że zamierza poprosić Ritę o rękę, ale nie chciał psuć niespodzianki. Skoro nie była pewna, co wprawiło go w tak doskonały nastrój, to przynajmniej raz miał szansę ją zaskoczyć.

- Po prostu cieszę się, że przyjechałem do domu - odrzekł. Prychnęła cicho i powątpiewająco uniosła brwi.

- Jak zawsze tajemniczy... - mruknęła, biorąc z jego ręki kieliszek sherry.

Max usiadł naprzeciwko niej i przeciągnął się.

- Najwyższy czas, żebyś znalazł jakąś dziewczynę, na którą będziesz mógł wydawać te swoje pieniądze - odezwała się starsza pani.

Chłopak parsknął śmiechem.

- Problem w tym, że dziewczyny nie rosną na drzewach...

- Czasami nie trzeba daleko szukać, mój drogi.

Zmrużył oczy. Miał wrażenie, że pani Megalith już wyczuła jego intencje. Czyżby Rita z nią rozmawiała? Może wiedziała coś o uczuciach wnuczki... Postanowił zaatakować.

- Jak tam Rita?

Pani Megalith postawiła kieliszek na stoliku i powoli zdjęła okulary.

- Jest zadowolona z życia, oczywiście dzięki tobie.

- Co masz na myśli? - wstrzymał oddech.

- Jest szczęśliwa. Pomogłeś jej przekształcić tę nudną pracę w bibliotecę w naprawdę interesujące zajęcie, zachęciłeś do czytania ciekawych książek i zawierania znajomości z fascynującymi ludźmi. Jest zajęta, jej życie ma cel. Wydaje mi się, że widziała George'a z Susan i wreszcie pojęła, że musi żyć własnym życiem. Mam szczerą nadzieję, że skończyła z tym wiecznym uzalaniem się nad sobą. Wygląda doskonale i chodzi takim lekkim krokiem, mówię ci... Najwyższy czas!

Max pociągnął łyk wina, starając się opanować drzenie rąk. Słowa Primrose dodały mu odwagi. Przyjaźń jego i Rity powinna przeistoczyć się w głębszy, poważniejszy związek, było to naturalne...

- Wpadnę do niej wieczorem - powiedział.

- Rita spędza Boże Narodzenie w Bray Cove, żeby nacieszyć się dziećmi - wyjaśniła pani Megalith. - Zaczekaj do jutra, mój drogi. Wszyscy przyjadą tu na uroczysty lunch. Ruth wybrała najbardziej tłustego indyka, jakiego udało jej się znaleźć...

- Więc dzisiaj Rita spędza wigilijny wieczór z Maddie i Harrym... - westchnął z rozczarowaniem.

- Tak. A wiesz, zapaliłam z Ruth menorę. Trudno jest zrezygnować ze starych przyzwyczajzeń! - zaśmiała się. - Pamiętasz, jak opowiadałam wam o niegodziwym królu Antiochu, który usiłował zmusić Żydów, aby przestali oddawać cześć swojemu Bogu?

- Tak. Pamiętam też, jak robiliśmy gwiazdki z folii i wieszaliśmy je na nitkach pod sufitem...

- Oboje uwielbialiście szukać prezentów. Pewnego dnia będziesz robił to wszystko z własnymi dziećmi, żeby wiedziały, jakie są ich korzenie...

Max uśmiechnął się na tę myśl. Wyobraził sobie dom podobny do Elvestree, z ogniem huczącym w kominku i Ritą, siedzącą w otoczeniu dzieci. Tyle lat na nią czekał, mógł więc poczekać jeszcze jeden dzień... Poprosi ją o rękę jutro.

Wieczorem Ruth i Max wybrali się na spacer po ogrodzie. Księżyc mocno świecił na usianym gwiazdami niebie, a ujście rzeki lśniło w jego blasku jak wyszywana brylantami suknia, rozłożona na piaskowym łożu. Max palił papierosa i żałował, że nie ma przy nim Rity, ponieważ była to wyjątkowo romantyczna noc. Ruth wyznała mu, że zakochała się w młodym studencie medycyny, lecz Max nie umiał podzielić się z nią swoją tajemnicą. Od dawna pielęgnował ją w głębi serca i teraz nie wyobrażał sobie, aby mógł się otworzyć, dopóki nie miał do powiedzenia nic konkretnego.

- Wiesz, że gdyby Lydia żyła, miałyby teraz dwadzieścia sześć lat? - odezwała się nagle Ruth.

Max przystanął i utkwiał w niej pełne zaskoczenia spojrzenie. Ruth po raz pierwszy zdradziła chęć rozmowy o siostrze, nie wspomniała o niej nawet po modlitwie w synagodze Bevis Marks w Londynie.

- Żałuję, że jej nie pamiętam - powiedziała. - Wiele bym dała, żeby móc sobie przypomnieć, jak wyglądała...

- Ja też jej nie pamiętam.

- Czasami strasznie się boję, bo nie mogę przypomnieć sobie mamy i taty, nie potrafię przywołać z pamięci ich twarzy... Próbuję, ale widzę tylko mgłę... Wtedy muszę popatrzeć na tę fotografię, starą i wyblakłą... To zdjęcie jest wszystkim, co mi zostało. Wspomnienia coraz bardziej się zacierają...

Max otoczył Ruth ramieniem i musnął wargami jej skroń. Przez cały dzień prawie się nie odzywała, lecz ani pani Megalith, ani on nie zwrócili na to uwagi. Zawsze była raczej milczącą, zamkniętą w sobie osobą, która nie zwierzała się nikomu ze swoich przeżyć.

- Dlaczego mówisz o tym właśnie teraz? - zapytał.

Odwróciła ku niemu twarz, oczy lśniły w jasnym świetle księżycy. Przez chwilę się wahała, wyraźnie spięta, lecz zaraz szybko otarła spływającą po policzku łzę.

- Ponieważ spodziewam się dziecka i chciałabym, żeby mama była przy mnie - powiedziała drżącym głosem.

Max wziął ją w ramiona i mocno przytulił.

- Jesteś w ciąży? - spytał ze zdumieniem.

- Tak, i czuję się strasznie samotna...

- Nie jesteś sama, na miłość boską... Masz przecież mnie.

- Wiem, ale...

- Czy ojciec dziecka jest z tobą? Bo jeżeli nie, to ja...

- Tak! - odparła pośpiesznie, słysząc gniew w głosie brata i czerpiąc z tego poczucie większej pewności siebie. - Kochamy się i chcemy być razem.

- Ożeni się z tobą?

- Chce, żebyśmy wzięli ślub, ale nie ma grosza przy duszy. Jeszcze nie zrobił dyplomu i mieszka z rodzicami... - Ruth pociągnęła nosem i podniosła głowę.

Max był przerażony zaniedbaniem, jakiego dopuścił się wobec siostry. Był tak zajęty Ritą, że nie zauważył, co dzieje się z Ruth. Teraz wstydził się swego egoizmu i postanowił wynagrodzić Ruth chwilę osamotnienia.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

- Mówię ci teraz.

- Jesteś najbliższą osobą, jaką mam - powiedział. - Chyba wiesz, że zaopiekuję się tobą...

Ruth uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i otarła oczy.

- Nigdy niczego ci nie zabraknie, obiecuję.

- Jesteś dla mnie bardzo dobry...

- Jesteśmy rodziną. To, co należy do mnie, jest również twoje. -

Wsunął ciemny lok Ruth za jej ucho. - Czy to dobry człowiek?

- Najlepszy - odparła bez wahania.

- Więc wyjdź za niego i udawaj, że Primrose wcześniej przekazała ci pieniądze, które miałaś po niej odziedziczyć, albo coś w tym rodzaju. Nie mów mu przypadkiem, że dostajesz pieniądze ode mnie, bo to mogłoby zranić jego dumę.

Ruth zarzuciła mu ręce na szyję.

- Dziękuję, braciszku... - szepnęła, wtulając twarz w jego szalik.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że wszystkie jej problemy zostały rozwiązane w jednej jedynej rozmowie.

- Proszę cię tylko o jedno - powiedział Max zdecydowanym tonem. - Nigdy więcej nie wahaj się zwrócić do mnie o pomoc, rozumiesz? Ojciec przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, że nie wezwałaś mnie, kiedy byłem ci potrzebny...

- Obiecuję! - rzekła radośnie.

Oboje czuli, że będą to najwspanialsze święta w ich życiu. Objęci zawrócili w kierunku domu. Ruth opowiedziała Maksowi o Samuelu Kahanie i o tym, jak poznała go w któryś weekend wiosną, gdy przygotowywała dania na przyjęcie w domu jego rodziców. Max myślał, że ich rodzice byliby szczęśliwi, gdyby wiedzieli, że Ruth ma zostać żoną przystojnego młodego doktora żydowskiego pochodzenia.

Gdy mijali okno salonu, oboje zatrzymali się nagle, zaskoczeni zdumiewającym widokiem. Pani Megalith prowadziła ożywioną rozmowę z samą sobą. Śmiała się, gestykulowała, z dezaprobatą marszczyła brwi i uśmiechała się zalotnie, jakby był przy niej ktoś, kto zasłużył na jej podziw.

- W twojej piwniczce zostało jeszcze mnóstwo butelek, kochany Denzilu - oświadczyła z uśmiechem. - Pamiętasz ten szampan z dwudziestego ósmego roku? Ach, to dopiero była okazja...

Potem odchyliła głowę do tyłu i zaśmiała się głośno w odpowiedzi na słowa Denzila. Westchnęła cicho, nie odrywając oczu

od miejsca, gdzie musiał stać duch jej zmarłego męża. Ruth zerknęła na Maksa i zachichotała cicho.

- Chodźmy - rzekł Max, biorąc ją za rękę - chyba będzie lepiej, gdy wejdziemy tylnymi drzwiami, nie sądzisz?

Rozdział trzydziesty pierwszy

Następnego ranka Max obudził się z uczuciem radosnego podniecenia. Od pierwszej chwili towarzyszyła mu myśl, że może tego właśnie dnia Rita zgodzi się zostać jego żoną. Nie pozwolił, aby zdenerwowanie zepsuło mu tak piękny ranek, nie zamierzał też zastanawiać się, co będzie, jeżeli Rita odrzuci oświadczyzny. Wziął prysznic, ubrał się i zszedł do kuchni, gdzie czekały na niego pani Megalith i Ruth. Ruth smażyła jajka na patelni, a jej policzki były uroczo zaróżowione. Jej wesołość okazała się zaraźliwa i wkrótce wszyscy troje śmiali się do łez. Tylko Max wiedział, dlaczego jego siostra je za dwoje i ciągle sięga do miseczki z oliwkami.

Kiedy zobaczył Ritę, od razu uderzyła go zmiana w jej wyglądzie. Była tak promienna jak wiele lat temu, gdy zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Policzki miała rumiane jak śliwki z Elvestree, oczy ciemnozłociste i lśniące jak sherry pani Megalith. Posłała mu szeroki, pogodny uśmiech, a on poczuł, jak żołądek kurczy się z podniecenia, zupełnie jak w chwilach, gdy ze zbyt dużą prędkością przejeżdżał przez chwiejny mostek niedaleko Frognał Point. Rita uściskała go serdecznie, a on głęboko odetchnął znajomym aromatem fiołków, którymi zawsze pachniała jej skóra.

- Wyglądasz pięknie - powiedział, mierząc ją pełnym podziwu spojrzeniem.

- Dziękuję.

- Pójdiesz ze mną na spacer po lunchu? Chcę dowiedzieć się, co ostatnio porabiałaś, bo mam wrażenie, że nie rozmawialiśmy od wieków...

- Oczywiście! - uśmiechnęła się. - Możemy zabrać Tarkę. Musiałam zostawić ją w samochodzie, ponieważ nie znosi kotów Megababci.

- Wyobrażam sobie, że one odwzajemniają to uczucie...

- Ty także wyglądasz doskonale - zauważyła Rita, patrząc w błękitne jak niezapominajki oczy Maksa.

- Mam ci dużo do powiedzenia. Chciałbym zostać z tobą sam...

- Później... - szepnęła, zabawnie marszcząc nos. - Ja też mam ci dużo do powiedzenia...

Uśmiechnęli się do siebie jak starzy przyjaciele.

Maddie i Harry częstowali się drinkami, a Freddie, Daisy i Elsbeth pobiegli do stojącej w rogu pokoju choinki, udekorowanej

staroświeckimi bombkami, czerwonymi i złotymi kokardami i aksamitnymi figurkami, dużo starszymi od samej pani Megalith. Pod drzewkiem leżały stosy zapakowanych w kolorowy papier prezentów, przyniesionych przez wszystkich gości. Dzieci natychmiast zaczęły szukać przeznaczonych dla nich podarunków, lecz posłusznie przestały, gdy Rita powiedziała im, by poczekały, aż Megababcia uzna, że nadszedł odpowiedni moment. Ciotka Antoinette i David przywieźli ze sklepu Harrodsa torby pełne ekstrawaganckich prezentów, opakowanych przez sprzedawców w błyszczący czerwony papier. Zaraz za nimi weszli William ze swoją zarozumiałą, elegancką żoną i małymi dziećmi oraz Emily z nudnym mężem adwokatem i wrzeszczącym na całe gardło niemowlęciem. Antoinette natychmiast poleciła córce, aby zabrała dziecko na górę - jej zdaniem tak małe i kłopotliwe istoty powinny przebywać jak najdalej od dorosłych, żeby nie zakłócały im spokoju. David ucieszył się na widok Humphreya i Hanny, którzy w holu odkładali płaszcze na drzemiących na sofie kotach, i natychmiast poszedł z przyjacielem do małego salonu, aby przy cygarze i szklaneczce whisky podyskutować z nim o rządzie Macmillana.

Hanna ucałowała wnuki i wręczyła Elsbeth bukiet z ptasich piór, które zebrała w ogrodzie. Podobnie jak jej rodzice, Elsbeth uwielbiała ptaki i znała nazwy i cechy charakterystyczne wszystkich lokalnych gatunków. Hanna pomyślała nagle o przebywającej w dalekiej Afryce Eddie i serce zakłuło ją z tęsknoty. Bardzo pragnęła, aby Eddie przyjechała na święta do rodziny. Była bardzo przywiązana do najmłodszej córki, która zrzędzeniem losu zamieszkała na drugim końcu świata. Czasami żałowała nawet, że Eddie nie jest prawdziwą czarownicą, bo wtedy mogłaby przylecieć do Anglii na miotle, przynajmniej na jeden dzień.

Usiadła obok siostry, ale nie podzieliła się z nią swoimi przeżyciami. Antoinette wychwalała właśnie pod niebiosa synową, którą najwyraźniej uważała za doskonałe odbicie samej siebie.

- William zawsze miał świetny gust, jeżeli chodzi o kobiety - oznajmiła z dumą. - Stawiałam mu w tej mierze wysokie wymagania i już myślałam, że z nikim nie zdecyduje się związać, ale w osobie Caroline znalazł nie tylko prezencję i klasę, lecz także inteligencję. Ciągle powtarzam, że kobieta podbija serce mężczyzny dzięki

urodzie, ale zatrzymać może je wyłącznie za sprawą błyskotliwego umysłu... Caroline jest bardzo mądrą, inteligentną dziewczyną.

Przede wszystkim jest ponura i niesympatyczna, pomyślała Hanna. Nigdy w życiu nie widziałam tak nadętej, wiecznie niezadowolonej twarzy. Oczywiście sama Antoinette także nigdy nie uśmiechała się szczerze i spontanicznie, ściągała tylko wargi, jakby coś ją bolało, i przybierała sztuczne miny. Hanna zauważyła, że jej siostra ma mocniej utapirowane i bardziej rude włosy niż poprzednio, a wargi pokryte są szkarłatną szminką, która podkreśla zmarszczki i plamy na skórze. Antoinette była zwyczajnie za stara, żeby nosić aż tak mocny makijaż.

Pani Megalith siedziała w fotelu, dostojna jak monarchini, i z niesmakiem rozglądała się po pokoju. Dzieci były zbyt hałaśliwe i rozpuszczone. Antoinette za dużo paliła i wyglądała po prostu śmiesznie, bo wciąż starała się nadażyć za modą, która nie zawsze podsuwała właściwe wzory dla osoby w jej wieku. Hanna była dosłownie oblepiona piórami, ponieważ całe dni spędzała w gołębniku, który Humphrey zainstalował, żeby choć trochę zrekompensować jej nieobecność Eddie, natomiast William i jego milkliwa żona nawet nie próbowali włączyć się do ogólnej rozmowy, tylko tkwili pod ścianą, pijąc szampana i patrząc na wszystkich z niebotycznej wysokości swoich ego. Maddie z zapartym tchem chłoneła słowa ciotki, a Harry patrzył na nią oczami pełnymi miłości, co w jego wieku było raczej śmieszne. Rita tryskała radością, co naturalnie było wspaniałe, ale nie ulegało wątpliwości, że wkrótce Antoinette rzuci pod jej adresem jakąś złośliwą uwagę i doprowadzi ją do łez. Ruth przygotowywała w kuchni potrawy i słuchała radia - pani Megalith nie widziała powodu, aby się o nią martwić. Czuła też, że może całkowicie polegać na talencie kulinarnym wychowanki, co było wielką ulgą, ponieważ uważała, że w jej wieku jedzenie jest jedną z największych życiowych przyjemności.

Jej twarz złagodniała dopiero wtedy, gdy spojrzała na Maksa. Chwilę przyglądała mu się z nieudolnie skrywanym zachwytem, potem zaś przeniosła wzrok na Emily, która nie potrafiła się na niczym skupić, ponieważ z góry dobiegał przyciszony płacz jej dziecka.

- Dlaczego nie wyszłaś za kogoś takiego jak Max? - zapytała wnuczkę. - To jest naprawdę ktoś, prawdziwy mężczyzna...

Emily wciąż nie mogła się przyzwyczaić do często nietaktownych komentarzy babki.

- Bo Max jest tylko jeden i wcale mnie nie chciał - odparła urażonym głosem.

- Jest bardzo utalentowany, bardzo... Zawsze tak było. Dostrzegłam jego zdolności, kiedy był jeszcze małym chłopcem, i starałam się je pielęgnować. Roślina rośnie i rozwija się tylko wtedy, gdy ją podlewasz. Popatrz tylko, na jakiego wspaniałego człowieka wyrósł, częściowo dzięki moim staraniom... Pielęgnacja umiejętności to najważniejsza rzecz, moja droga. Pamiętaj o tym, wychowując... Jak on ma na imię?

- Guy - odrzekła smętnie Emily.

- Pamiętaj o tym, wychowując Guya. Guy... Cóż za idiotyczne imię! - Pani Megalith cmoknęła ze zniecierpliwieniem. - Nie jest jeszcze za późno, żeby je zmienić. Może na Denzil, po dziadku? Twój dziadek był cudownym mężczyzną, wierz mi. Jest pewna szansa, że jego imię da dziecku charakter...

Emily nie miała dość siły, aby prowadzić dyskusję z babką, więc wybrała najłatwiejsze wyjście i uciekła z pokoju, mówiąc, że musi sprawdzić, czy z dzieckiem wszystko w porządku. Pani Megalith ledwo zauważyła zniknięcie wnuczki, ponieważ jej uwaga skoncentrowana była na Maksie. Kiedy Rita zapytała, czy można już rozdawać prezenty, Megabacia otrząsnęła się z zamyślenia i prychnęła z dezaprobatą.

- W moich czasach każdy dostawał tylko jeden prezent, a i to było uważane za luksus, tymczasem dziś Boże Narodzenie kojarzy się ludziom wyłącznie z podarkami... To idealny przykład zdominowania naszego życia przez konsumpcję. Rozdaj prezenty, moja droga, albo lepiej zachęć dzieci, żeby same się tym zajęły, może przynajmniej w ten sposób nauczą się, że czasem przyjemnie jest dawać, nie tylko dostawać... Jeżeli usłyszę, że któreś dziecko jęczy, iż nie dostało prezentu, na jaki liczyło, spalę wszystkie podarunki, daję słowo!

Pani Megalith pochwyciła spojrzenie Maksa i mrugnęła do niego. Wstał ze swojego miejsca i z uśmiechem usiadł obok niej na sofie.

- Zniesiesz to jakoś do końca? - zapytał szeptem, nalewając jej kieliszek sherry.

Zaśmiała się i położyła pulchną dłoń na jego kolanie.

- Jako jedyny z obecnych przejmujesz się tym, co się ze mną dzieje - powiedziała.

- Wiem przecież, że w głębi serca nie znosisz tych świąt.

- O wiele lepiej bawiłam się, kiedy tylko we troje obchodziliśmy święto Chanuka... - westchnęła z żalem.

- Boże Narodzenie przekształciło się w narodowe święto zakupów, dlatego nie lubisz tego wszystkiego, prawda?

Spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

- Masz całkowitą rację, mój drogi. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że mogłabym gnać do przodu razem z całym stadem baranów...

- Ale twoja rodzina czerpie z tego święta mnóstwo radości - mruknął, patrząc, jak dzieci z rozjaśnionymi buziami pośpiesznie rozdają prezenty.

- Dzisiaj dzieci są rozpieszczone, zepsute. Cóż, ja przeżyłam dwie wojny, a one ani jednej...

- Nie możesz oczekiwać, że zrozumieją nasze doświadczenia bo to zwyczajnie niemożliwe. Możemy tylko się starać, by uczyć je, że rodzina, miłość, lojalność i szacunek to rzeczy znacznie ważniejsze od przedmiotów.

Pani Megalith długą chwilę patrzyła mu prosto w oczy.

- Chyba wiesz, że jesteś mi droższy od całej rodziny? - odezwała się nagle. - Kiedy umrę, odziedziczysz wszystko, co mam.

- Nie mów mi o śmierci, Primrose. - Max spoważniał. - Jestem pewny, że przeżyjesz nas wszystkich...

- Nie - stanowczo potrząsnęła głową. - Kochasz Elvestree i rozumiesz je, wiem o tym. Jesteś dla mnie synem, którego nigdy nie miałam. Chcę, żebyś miał tego świadomość, czułam, że muszę powiedzieć ci o tym, zanim odejdę.

- Nie śpiesz się tak! - Max spróbował ją rozweselić. - Najpierw musisz wyprawić mi wesele...

Parsknęła śmiechem.

- Oczywiście, mój chłopcze! - zawołała. - Nie próbuj tylko ożenić się z dziewczyną, która nie jest cię warta, bo będziesz miał ze mną do czynienia!

Kiedy goście otworzyli prezenty i wypili szampana, Ruth oznajmiła, że lunch jest już gotowy. Otworzyła drzwi do jadalni i uśmiechnęła się z dumą, gdy wszyscy zaczęli się zachwycać świąteczną dekoracją stołów, którą stanowiły świąteczne ciasteczka,

zapakowane w kolorowy, błyszczący papier czekoladki i świerkowe gałązki. Zapaliła świece i przygasiła lampy, a wtedy cały pokój zajaśniał złocistym blaskiem. Z kuchni napływał cudowny aromat pieczonego indyka. Ruth razem z Maddie i Ritą poszły tam, żeby przynieść gorące dania, Humphrey zajął się nalewaniem wina, a pani Megalith odetchnęła z ulgą, widząc, że Ruth umieściła karteczkę z jej imieniem między krzesłami Maksa i Davida. Dzieci wyglądały przez okno, pełne nadziei, że z zaciągniętego chmurami nieba zaczną sypać śnieg.

W końcu wszyscy usiedli, pełni radości, że mogą być razem w ten wspaniały dzień. Nawet pani Megalith potoczyła po obecnych pogodniejszym spojrzeniem, a kiedy przełknęła pierwszy kęs smakowitego indyka, wzniosła toast za zdrowie Ruth, za całą rodzinę i przyszłość.

- Pragnę też jeszcze raz, podobnie jak co roku, życzyć powodzenia moim żydowskim wychowankom - dodała. - Nie zapominajmy, że Bóg jest jeden i w Jego oczach wszyscy jesteśmy tacy sami. Za Maksa i Ruth oraz tych wszystkich, którzy są przy nich duchem...

Po lunchu Rita i Max wymknęli się na spacer. Ubrani w ciepłe płaszcze i czapki, rozgrzani ciepłą atmosferą, panującą w domu pani Megalith, poszli przez ogród w kierunku plaży. Tarka, zachwycona, że wreszcie wypuszczono ją z samochodu, pędziła po piaszczystym zboczu z wysoko uniesionym ogonem, którym kręciła młynka niczym śmigło helikoptera. Max i Rita rozmawiali o lunchu i śmiali się z różnych rozmów, zwłaszcza z ciotki Antoinette, której skłonność do kłamstwa przybrała nowy wymiar.

- To choroba - skomentował krótko Max.

- Wiem, to naprawdę okropne. Nie mam pojęcia, jak wuj David z nią wytrzymuje...

- Nigdy nie ma go w domu. Chyba zauważyłaś, że nawet dzisiaj aż do lunchu siedział z twoim ojcem w małym salonie. Myślę, że on jej po prostu nie lubi.

- Niektórzy ludzie trzymają się razem z przyzwyczajenia albo ze strachu przed problemami, jakie może przynieść separacja - powiedziała Ruth. - Wyobrażasz sobie, jakie urządziłaby mu piekło, gdyby oświadczył, że zamierza odejść?

- David na pewno uważa, że gra nie jest warta świeczki, i tyle.

Szli teraz pod górę, z nieba coraz gęściej padały płatki śniegu, podobne do drobnych ptasich piórek, czepiających się ubrania Hanny. Rita odrzuciła głowę do tyłu i spróbowała złapać kilka w otwarte usta.

- Nie najadłaś się? - zażartował Max.

- Im więcej jem, tym bardziej jestem głodna! - Roześmiała się, ruszając biegiem razem z głośno ujadającą Tarką. - Ach, jak wspaniale! Kocham śnieg!

Max pobiegł za nią, chwycił ją za rękę i nagle, nie umiając zapanować nad uczuciem, odwrócił ją twarzą do siebie i przytulił.

- A ja kocham ciebie!

Rita utkwiała w nim szeroko otwarte, lśniące oczy.

- Kocham cię... - powtórzył Max.

- Nie... - westchnęła, z twarzą pociemniałą od niepokoju.

- Nic nie mów, wysłuchaj mnie najpierw... - Max mocno ujął obie jej dłonie.

Były ciepłe, lecz szorstkie i spierzchnięte od częstego kontaktu z wilgotną gliną. Obłoczki oddechu wydobywały się z jej ust i powoli rozpląwały w lodowatym powietrzu. Płatki śniegu sypały się z ciemnej chmury jak z rozprutej poduszki, rzeka zamarła w ciężkiej ciszy.

- Kocham cię od dawna, od chwili, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Kocham w tobie wszystko... Wiem, że miałaś nadzieję wyjść za George'a i że twoje marzenia legły w gruzach, kiedy wyjechał do Argentyny, ale jestem przekonany, że mógłbym cię uszczęśliwić. Jeżeli zgodzisz się mnie poślubić, będę najszczęśliwszym człowiekiem na świecie...

Rita obserwowała go uważnie, wyraźnie zdenerwowana. Przygryzła wargę, pośpiesznie starając się obmyślić jakąś odpowiedź. Zdawała sobie sprawę, że Max kocha ją jak przyjaciółkę, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że uczucie to może być głębsze i bardziej namiętne. Teraz jej serce skurczyło się z lęku, że sprawi mu zawód i najprawdopodobniej zniechęci go do siebie raz na zawsze. Nie chciała go stracić.

- Och, Max, nikt nigdy nie powiedział mi nic równie miłego... - zaczęła załamującym się głosem.

- Mówię szczerze. Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę, że wreszcie ci o tym powiedziałem. Przez tyle lat trzymałem to w tajemnicy...

- Nie mogę za ciebie wyjść - powiedziała po prostu.
- Dlaczego? - Miał wrażenie, że zaraz przestanie oddychać.
- Ponieważ moje serce zawsze będzie należało do George'a.

Max zamarł. Wydawało mu się, że całe lata nadziei, którą tak starannie pielęgnował, w jednej sekundzie rozpadły się w proch.

- Daj spokój, Rito! - wykrzyknął bezradnie. - George jest mężem Susan, ma teraz rodzinę! Nie możesz bez końca żyć przeszłością. Wspomnienia nie dadzą ci szczęścia, rodziny ani życia, którym mogłabyś się cieszyć!

Opuściła ręce i ukryła je w kieszeniach.

- Widziałam go w zeszłym tygodniu.
- I co?

- Stał wysoko na klifie, a ja spacerowałam po plaży z Tarką. Przez parę chwil był sam i długo patrzyliśmy na siebie...

- Patrzyliście na siebie? - Max nie mógł się w tym dopatrzeć niczego nadzwyczajnego. - To wszystko?

- Tak. Kiedy przystanęłam i odpowiedziałam na jego spojrzenie, nie odwrócił wzroku. Patrzył na mnie. Wiem, że żałuje, iż mnie stracił, czułam to... - Przycisnęła pięść do serca.

- Wyobraziłaś to sobie, na miłość boską!

- Nie. Znam George'a od dziecka, wiem, co myśli...

- Więc dlaczego nie zszedł do ciebie i nie powiedział ci tego zamiast się przyglądać?!

- Bo była z nim Susan.

- Nie wygląda mi to na zachowanie mężczyzny, który czuje, że ożenił się z niewłaściwą kobietą! - Max nie miał pojęcia, jak zmusić Ritę do spojrzenia prawdzie prosto w oczy.

- Wiem, że czujesz się zraniony... Kocham cię jak przyjaciela, najdroższego, najlepszego przyjaciela, ale jak mogłabym wyjść za ciebie, skoro moje serce należy do innego?

- George cię nie kocha! Dlaczego nie potrafisz tego zrozumieć?!

- Max uderzył się w czoło pięścią.

Rita zacisnęła wargi.

- Posłuchaj, przecież to wyłącznie moja sprawa, kogo kocham i dlaczego... - zaczęła.

- Ale lata mijają, twoje życie mija i za jakiś czas ockniesz się jako zgorzkniała, bezdietna stara kobieta! Nie mogę patrzeć, jak się marnujesz... Mamy tylko jedno, jedyne życie!

Pomyślał o Lydii, której odebrano ten cenny dar. Rita nie pojmowała, co odpycha od siebie obiema rękami... Poczuł, jak gardło ściska mu wściekłość i żal.

- Na co liczysz?! - krzyknął. - Że George porzuci Susan i ożeni się z tobą? Nie uznajesz rozwodów, podobnie jak ja! Nawet gdyby cię kochał, to jak mógłby spojrzeć sobie w oczy i nadal czuć do siebie szacunek ze świadomością, że zostawił żonę i dzieci?! Naprawdę chcesz, żeby to zrobił? Właśnie na tym ci zależy? Chcesz zniszczyć życie Susan, dzieci i samego George'a?!

Zapadła cisza. Rita powoli przetrawiała jego słowa. Patrzyli na siebie, pełni gniewu, rozczarowani i zawiedzeni. Wiedziała, że ich przyjaźń już nigdy nie będzie taka sama, lecz w tej chwili była zbyt mocno urażona, aby się tym przejmować.

- Przykro mi - powiedziała sztywno. - Widzę, że mnie nie rozumiesz, zresztą nie ty jeden... Kocham George'a, nie przestanę go kochać do końca życia...

Max spuścił głowę, do żywego dotknięty jej wyznaniem.

- Masz rację, nie rozumiem cię! Pewnego dnia obudzisz się i zrozumiesz, że dzisiaj popełniłaś poważny błąd, każąc mi odejść. Daję ci szansę na szczęście, ale ty wolisz zostać w swoim ciemnym świecie iluzji. Skoro taka jest twoja decyzja, nic nie mogę na to poradzić. Nie mogę ci pomóc, ale nie mogę też dłużej być twoim przyjacielem. Muszę nauczyć się żyć bez ciebie.

Zawrócił w kierunku domu i szybko zniknął we mgle, która teraz napływała od morza. Rita długo za nim patrzyła. Jakaś część serca podpowiadała jej, żeby pobiec za nim, jedynym przyjacielem, jakiego miała, ale inna, uparta, pełna złości, ta sama, która przyłgnęła do George'a niczym pnącze, powstrzymała ją w ostatniej chwili. Spojrzała na pierścionek z małym brylantem, który lśnił na jej palcu, i poczuła ukłucie niepewności. Nie była do końca przekonana, czy podjęła właściwą decyzję.

Max nie pamiętał już, kiedy ostatni raz płakał. Wiele razy płacz ściskał mu gardło, ale zawsze musiał być silny ze względu na Ruth. Jednak tym razem nie chodziło o Ruth czy ich rodziców i małą siostrzyczkę, którzy zginęli w obozie koncentracyjnym, tym razem Max płakał nad Ritą i nad sobą. Pochylił głowę, wtulił twarz głęboko w kołnierz i płakał, wiedząc, że w gęstej mgle i tak nikt go nie zobaczy. Wrócił do domu i bez słowa przeszedł obok dzieci, które

prawie go nie zauważyły, ponieważ bardzo śpieszyło im się, żeby skończyć bałwana, zanim skradająca się przez ogród mgła przesłoni cały trawnik.

Spakował torbę i po minucie był gotowy do drogi. Napisał do pani Megalith kartkę, wyjaśniając, z jakiego powodu zdecydował się tak nagle wyjechać, usiadł za kierownicą i wyruszył do Londynu.

Rozdział trzydziesty drugi

Kiedy pani Megalith przeczytała wiadomość od Maksa, w zamyśleniu ściągnęła brwi i potrząsnęła głową.

- To nie w porządku... - wymamrotała, zdejmując okulary i wpatrując się w białą mgłę i śnieg, cicho sypiący za oknem.

Jeszcze raz przeczytała krótki list i ze zniecierpliwieniem odęła wargi.

- Głupia dziewczyna! - westchnęła.

Nie była w stanie zrozumieć wnuczki. Podniosła się, chwyciła laskę i zaczęła powoli spacerować po pokoju. Max i Rita byli w jej oczach naturalnymi partnerami, zawsze tworzyli doskonałą parę. Jak Rita mogła stawiać miłość do mężczyzny, którego nie miała szans zdobyć, nad małżeństwo z Maksem... Najbardziej irytowało ją to, że nie mogła pomóc swemu wychowankowi. Miała wielką ochotę potrząsnąć wnuczką z całej siły, ale wiedziała, że nie wolno jej wtrącać się w tę sprawę. Przeznaczenie miało inne plany i pani Megalith nie wątpiła, że jakakolwiek interwencja byłaby błędem.

Po powrocie do Elvestree Rita z wyrazu twarzy babki odgadła, że starsza pani wie, co się wydarzyło. Nie była zaskoczona wyjazdem Maksa do Londynu, chociaż bardzo ją to zasmuciło. Nie mogąc znieść dezaprobaty, niezrozumienia i litości, które malowały się w oczach pani Megalith, zaczęła sprzątać porzrzucone wszędzie opakowania po prezentach i ukryła ból pod maską sztucznej energii i wesołości. Odetchnęła z ulgą, kiedy Maddie i Harry postanowili wyjechać zaraz po podwieczorku. Dzieci były zmęczone, a śnieg sypał coraz gęściej, co mogło znacznie utrudnić jazdę.

Max wrócił do Londynu, gdzie czekał go Nowy Rok i niewesoła przyszłość. Bez reszty poświęcił się pracy - wychodził z domu wczesnym rankiem i siedział w biurze do późnego wieczoru. Boleśnie tęsknił za Ritą, ale był rozgoryczony i zły. Miał wielu przyjaciół i bogate życie towarzyskie, prawie codziennie chodził na przyjęcia, koktajle, do teatru, opery i baletu. Zaproszenia na rozmaite imprezy piętrzyły się na parapecie nad kominkiem, a jednak nigdy wcześniej nie czuł się aż tak samotny. Przyjaciele często przedstawiali go pięknym kobietom, zdarzało się także, że zafascynowane nim dziewczęta same zaczynały rozmowę z nadzieją nawiązania bliższej znajomości. Max mógł bez większego trudu zdobyć każdą z nich, lecz wciąż zależało mu tylko na Ricie.

- Mam wszystko i nic - mawiał, kiedy znajomi z podziwem wyrażali się o jego sukcesach i bogactwie.

Nikt nie rozumiał, co miał na myśli.

Natychmiast po powrocie z Elvestree do Londynu przelał pieniądze na konto siostry. Obsypał ją dobrami materialnymi, ponieważ teraz była dla niego wszystkim. Kupił jej także ładny dom we Frogmal Point, z dużym ogrodem, starą szopą i stawem, po którym pływały kaczkę. Ruth wprowadziła się tam zaraz po ślubie z Samuelem Kahanem. Ceremonia odbyła się w biurze magistrackim w Exeter, potem pani Megalith wydała na cześć młodej pary skromne przyjęcie, na które nie zaprosiła Rity. Max cieszył się szczęściem siostry i czuł, że ich rodzice byłiby dumni i z niego, i z Ruth, ale czasami ogarniała go gorzka zazdrość, bo Ruth miała wszystko, o czym marzył dla siebie.

Ruth często dzwoniła do brata. Wiedziała o odmowie Rity, lecz nie śmiała o niej wspominać, ponieważ Max wyraźnie stronił od rozmów o swoich sprawach osobistych. Nie miała pojęcia, jak mu pomóc, więc po prostu wspierała go stałą obecnością. Panią Megalith smuciło, że Max nie przyjeżdża już do Elvestree tak często jak dawniej. Rozumiała, że przebywanie w pobliżu Rity może być dla niego bolesne, niemniej bardzo za nim tęskniła. Miała za złe Ricie, że zraniła Maksa, i dlatego starała się jak najrzadziej z nią widywać. Kiedy już musiała spotkać się z wnuczką, traktowała ją oschle i chłodno, co sprawiało, że Rita czuła się jeszcze bardziej wyobcowana i niezrozumiana niż dotąd.

Rita tęskniła za Makssem mocniej, niż się spodziewała. W jej sercu wytworzyła się pusta przestrzeń, której nikt poza nim nie mógł wypełnić. Znowu zajęła się rzeźbieniem, uciekając w ten sposób od rzeczywistości. Dawniej nadawała kształt martwej glinie, aby podtrzymać więzi z Faye i pośrednio z George'em, teraz natomiast rzeźbiła, by złagodzić ból po stracie przyjaciela. Kiedy wiosna coraz bardziej zdecydowanie usuwała zimową biel i malowała krajobraz świeżymi kolorami, cień nieobecności Maksa zaczął powoli przesłaniać wspomnienia o George'u i jego obecność we Frogmal Point, ale ona nie zdołała tego dostrzec.

Wielebny Hammond już dawno zauważył, że Rita przestała przychodzić do kościoła. Wiedział, że powodem tej zmiany jest przyjazd George'a i Susan, uważał to jednak za słabą wymówkę. Czuł,

że jako rzecznik Boga ma obowiązek pouczyć Ritę o potrzebie przebaczenia bliźnim i sprowadzić ją z powrotem na dobrą drogę. Po nabożeństwie w dniu Bożego Narodzenia, kiedy nieobecność Rity wyjątkowo rzucała się w oczy, postanowił ją odwiedzić. Panna Hogmier niezwłocznie poinformowała go o najnowszym wydarzeniu.

- Ten młody Żyd poprosił ją o rękę - prychnęła, kiedy zajrzał do sklepu, żeby kupić herbatę ekspresową dla żony.

- Max?! - wykrzyknął wielebny ze zdziwieniem.

Panna Hogmier założyła ręce na piersi i z namaszczeniem pokiwała głową.

- A ona mu odmówiła...

- Mam wrażenie, że była to głupia decyzja... - mruknął duchowny.

- Ja myślę! Taka dziewczyna jak Rita powinna być wdzięczna losowi za najdrobniejsze dary. Robi się coraz starsza, nie młodsza, więc lepszy on niż nikt.

- Może ktoś powinien z nią spokojnie porozmawiać... Przykro myśleć, że Rita zestarzeje się w samotności, chociaż naturalnie w gruncie rzeczy nie ma w tym nic złego - dokończył pośpiesznie, zauważywszy, że czarne włosy wystające z nosa panny Hogmier, zaczynają gniewnie drgać.

- Chyba nawet Bóg nie jest w stanie zmusić ją do zmiany zdania!
- prychnęła panna Hogmier. - To strasznie uparta dziewczucha!

- Jedna z zagubionych owieczek, droga pani, biedna, zagubiona owieczka... Czuję, że muszę wskazać jej drogę do domu.

- Niech pan robi, co chce, ale proszę nie mówić, że pana nie ostrzegałam. Ta dziewczyna czasami ma język jak brzytwa, zupełnie jak jej babka... - Panna Hogmier rozejrzała się po sklepie w poszukiwaniu kotów i zniżyła głos. - Najwyższy czas, żeby stara wiedźma wreszcie stanęła przed obliczem Stwórcy i zabrała ze sobą swoich szpiegów...

Wielebny Hammond dość długo czekał na odpowiedni moment, aby porozmawiać z Ritą. Sposobność nadarzyła się dopiero latem, mniej więcej w dwa tygodnie po tym, jak Ruth Kahan urodziła różowiotką dziewczyneczkę, której nadała imię Mitzi, po swojej matce. Duchowny poważnie się zatroskał, kiedy panna Hogmier, jak zwykle doskonale poinformowana, powiedziała mu, że Rita rzuciła pracę w bibliotece, aby całkowicie poświęcić się rzeźbiarstwu.

- Włoczy się z grupą bogatych gówniarzy w modnie obszarpanych ciuchach, którzy na lato rozbili obóz na plaży. - Panna Hogmier z dezaprobatą wydeła wargi. - Jak nic sprowadzą ją na złą drogę... To przez nich uważa, że już nie musi pracować, zupełnie jakby dobry Bóg miał obowiązek zrzucić jej mannę z nieba. Wszyscy oni przesiadują przy ogniskach, śpiewają i grają na gitarach. Nie wiem, dlaczego Rita ubiera się w te dziwaczne sukienki, naszywane koralikami... Jej matka na pewno straciła już nadzieję, że zdoła namówić ją, by zrobiła coś z tymi wiecznie rozczochranymi włosami, które sięgają jej już prawie do pasa. W czasach mojej młodości kobiety bardziej dbały o swój wygląd, zresztą ja sama do dzisiaj nawijam włosy na wałki przed snem i nie wychodzę na ulicę bez lekkiego makijażu. Wystraszyłabym swoich klientów, gdybym nie starała się wyglądać jak człowiek...

Wielebny Hammond pojechał w górę wybrzeża, za Bray Cove, nad zatokę, gdzie Rita mieszkała w małym domku na brzegu morza. Zamierzał namówić ją, aby jeszcze raz otworzyła swoje serce przed Bogiem. Na fotelu obok siebie położył Biblię w twardej okładce z nieco wyblakłymi pozłacanymi literami i postrzępioną wstążeczką wsuniętą między kartki, z których chciał przeczytać Ricie kilka fragmentów.

Był ciepły letni dzień. Na tle błękitnego nieba szybowały mewy o skrzydłach wyłoconych słońcem. Wielebny Hammond czuł obecność Boga w niezwyklej urodzie poranka i nie miał cienia wątpliwości, że Pan towarzyszy mu w tej bardzo ważnej misji. Ze wszystkich zajęć proboszcza właśnie to lubił najbardziej. Uwielbiał udzielać ślubów, zresztą pogrzeby także stanowiły istotną część cyklu życia religijnego, ale indywidualne spotkania z wiernymi dawały mu największą satysfakcję.

Gdy wjechał na podjazd, przyjemnie zaskoczył go wygląd domu Rity. Po frontowej ścianie piał się klematis, niżej krzewiły się białe róże i janowiec, a po obu stronach drzwi stały duże donice z lawendą. Duchowny odetchnął głęboko, delektując się słodkimi aromatami lata, i zapukał do drzwi. Rita nie usłyszała go, ponieważ była w ogrodzie, zajęta wyrywaniem chwastów. Wielebny Hammond zaczekał chwilę, wsunął Biblię głębiej pod pachę i zdecydowanym krokiem udał się na tył domu. Na jego widok Rita podniosła się i zmarszczyła brwi pod szerokim rondem kapelusza. Ogarnął ją lęk. Duchowny nigdy nie

odwiedzał jej w tym domu, doszła więc do wniosku, że widocznie ktoś umarł.

- Ach, moja droga, jakże się cieszę, że cię widzę! - odezwał się wielebny, idąc ku niej po trawie.

- Co się stało? - zapytała niespokojnie.

- Nic, nic, wszystko w jak najlepszym porządku... - Staruszek ogarnął ogród uważnym spojrzeniem. - Cóż to za urocze miejsce...

- Dziękuję, jestem do niego przywiązana...

- Przylatuje tu dużo ptaków, prawda? - popatrzył na rozstawione w ustronnym zakątku tace do wysypywania pokarmu.

- Nie tak dużo jak do Elvestree, ale sporo. Od czasu do czasu w jakimś krzewie zagnieździ się słowik, no i oczywiście mieszka tu mnóstwo jaskółek...

- Wspaniale...

Rita obrzuciła wielebnego zaciekawionym spojrzeniem. Wiele by dała, żeby powiedział, o co mu chodzi, i pozwolił jej wrócić do pielienia grządek.

- Przyjechałem z tobą porozmawiać - zaczął pompatycznie, spodziewając się, że młoda kobieta pośpiesznie okaże mu wdzięczność. - Podobno zrezygnowałaś z pracy w bibliotece i postanowiłaś zająć się rzeźbieniem, czy tak?

- Tak... - Zastanawiała się, czy to możliwe, że wielebny Hammond odwiedził ją, aby porozmawiać o rzeźbiarstwie, ale szybko doszła do wniosku, że ma w stosunku do staruszka za duże oczekiwania.

- Cóż, chyba wiesz, co robisz...

- Chyba wiem - odparła chłodno. - Czy to o tym chciał pan ze mną porozmawiać?

- Może usiądziemy? - zaproponował.

Rita zaprowadziła go na niewielki taras z ławą i stołem z tekowego drewna.

- Może podać coś do picia? - zagadnęła z rezygnacją, świadoma, że staruszek nieprędko ją pożegna.

- Szklankę wody, jeżeli można. Czeka nas upalny dzień, nie sądzisz?

Gdy wróciła z dzbankiem i dwoma szklankami, wielebny Hammond czytał Biblię przez grube, okrągłe szkła, wsparte na czubku nosa.

- Czerpię wielką siłę ze Słowa Bożego - powiedział, patrząc na nią poważnie.

- Taki ma pan zawód - uśmiechnęła się.

Bawiło ją, że staruszek stara się odwlec chwilę ostatecznego wyjaśnienia celu swojej wizyty.

- Nie trzeba mieć tak głębokiej wiedzy o Biblii jak moja, żeby znaleźć w niej zachętę do dobrego, uczciwego życia. Zauważyłem, że przestałaś chodzić do kościoła, moja droga. Chciałabyś o tym porozmawiać?

- Niekoniecznie.

Duchowny przełknął odrobinę wody i w myśli poprosił Boga o pomoc. Ta zbłąkana owieczka sprawiała wrażenie upartej jak osioł.

- Dawniej nigdy nie opuszczałaś niedzielnych nabożeństw. W kościele zostało po tobie puste miejsce, wszyscy to czujemy...

- Bardzo wątpię - odparła zimno.

- Bóg mieszkał w twoim sercu... - Spojrzał na nią znad okularów, zupełnie jak nauczyciel.

- Och, On nadal tam mieszka! Moja babcia twierdzi, że Bóg jest wszędzie i że nie trzeba chodzić do kościoła, żeby z nim rozmawiać.

Wielebny Hammond zeszywniał na wzmiankę o pani Megalith.

- Twoja babka ma rację, oczywiście - rzekł pośpiesznie. - Bóg naprawdę jest wszędzie, ja mam jednak uczucie, że unikasz nabożeństw nie z powodu kryzysu wiary, ale obecności George'a Boltona i jego żony, Susan...

Rita zamknęła oczy i ze zniecierpliwieniem potrząsnęła głową.

- Dowiedział się pan tego od naszej dobrej panny Hogmier, czy tak? - zapytała twardym głosem.

- Nie, nie, skądże znowu! - zaprzeczył gwałtownie wielebny, jednocześnie prosząc Boga, aby wybaczył mu kłamstwo.

- Panna Hogmier miała rację. Nie chodzę do kościoła, ponieważ nie mam ochoty patrzeć na George'a z Susan. Wiem, że to bardzo małoduszne, ale daleko mi do świętości... Jestem marną grzesznicą, to wszystko.

- Bóg uczy, że powinniśmy przebaczać bliźnim.

- Nie jestem jeszcze gotowa przebaczyć.

- Nie od razu Rzym zbudowano...

- Mnie zajmie to całe życie.

- Musisz jednak od czegoś zacząć, moja droga...

- Zacznę, gdy będę gotowa. Wielebny Hammond podrapał się po głowie.

- W takim razie pozwól, że zostawię tę Biblię. Zamierzałem przeczytać ci z niej kilka fragmentów, ale właśnie przypomniałem sobie, że jestem z kimś umówiony...

- Na pewno chce mi ją pan zostawić? To piękna, stara księga... - Rita wzięła Biblię do ręki i przesunęła palcami po skórzanej okładce, szorstkiej i podniszczonej.

- Na pewno. Tobie będzie potrzebna bardziej niż mnie, bo człowiek mojego fachu ma wiele wydań Biblii... Zwrócisz mi kiedyś, gdy poczujesz, że już jej nie potrzebujesz.

Rita westchnęła. Miała wyrzuty sumienia, że zbyt ostro i nieuprzejmie potraktowała staruszkę, który w gruncie rzeczy był dobrym człowiekiem.

- Bardzo to miło z pana strony - powiedziała szczerze. - Od czasu do czasu będę przychodzić do kościoła - dodała po chwili zdecydowanym tonem.

Twarz wielebnego rozjaśnił promienny uśmiech, gdy w milczeniu dziękował Bogu za Jego potężne tchnienie. Pożegnali się i Rita chwilę patrzyła, jak duchowny odjeżdża, a potem weszła do domu, położyła Biblię na stole w saloniku i natychmiast o niej zapomniała.

W niedzielę dotrzymała słowa i pojechała do kościoła. Świadoma, że George na pewno tam będzie, spędziła dużo czasu przed lustrem. Starannie uczesała włosy, przypomniała sobie rady Maddie, jak nakładać delikatny makijaż, a na koniec wybrała najładniejszą letnią sukienkę.

Kiedy zaparkowała pod kościołem, nerwy miała w strzępach. Chwilę siedziała bez ruchu, patrząc na wchodzących do środka ludzi, przerażona, że jeśli znajdzie się twarzą w twarz z George'em, nie będzie wiedziała, jak się zachować i co powiedzieć. Wreszcie dostrzegła swoich rodziców z Maddie i dziećmi, szybko wysiadła z samochodu i podeszła do nich. Ich zdumienie było aż zbyt oczywiste. Humphrey trochę za mocno poklepał córkę po plecach, a Hanna zaczęła namawiać ją na wspólny lunch, kusząc biszkoptem z karmelem i możliwością poobserwowania muchołówki. Maddie zostawiła Harry'ego w domu, ponieważ niedawno rozpoczął pracę nad nową książką, co znaczyło, że całymi godzinami pisał w gabinecie lub spacerował po ogrodzie, pogrążony w myślach. Daisy rozglądała się

za Charliem, który stał się jej najbliższym przyjacielem, Freddie dąsał się, bo nie znosił nudnych kazań wielebnego Hammonda, zaś Elsbeth poprawiała świeżo zebrane ptasie piórka na kapelusiku. Rita poczuła radość, że jest razem z nimi wszystkimi, i przyływ nowej energii i siły.

- Dobrze, że wreszcie trochę się umalowałaś - powiedziała Maddie z aprobatą, kiedy zajęli miejsca w ławce. - Wyglądasz świetnie, nie jesteś już taka blada i smutna...

- Nigdy nie jestem blada i smutna! - zaprotestowała Rita.

- Ależ jesteś! Cała ta sprawa z George'em to zwyczajna strata czasu...

Rita z rozdrażnieniem wzruszyła ramionami i otworzyła śpiewnik z hymnami.

- Powinnaś była wyjść za Maksa - dorzuciła Maddie.

- Skąd o tym wiesz? - zdziwiła się Rita, która nikomu nie mówiła o oświadczeniach Maksa.

- Megababcia powiedziała mamie...

- Typowe!

- Jesteś głupia jak but! - syknęła Maddie.

- Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy, dobrze? Maddie nagle chwyciła siostrę za ramię.

- Spójrz, idą George i Susan! Wiesz, że Daisy podkochuje się w Charliem? Historia czasami rzeczywiście lubi się powtarzać...

Rita odwróciła się i ujrzała George'a i Susan pośpiesznie zmierzających środkiem nawy do swojej ławki. Trochę się spóźnili i wielebny Hammond ze zniecierpliwieniem postukiwał już podszwą o podłogę.

Susan dostrzegła Maddie i uśmiechnęła się. Zaraz potem zobaczyła siedzącą obok niej Ritę i drgnęła, zaskoczona i poruszona. Ku jej zdziwieniu twarz Rity zyskała subtelne piękno i w niczym nie przypominała szarej twarzy młodej kobiety, którą Susan niecały rok wcześniej spotkała w sklepie, ani pulchnej dziewczynki, która uśmiechała się z fotografii stojącej w salonie pani Megalith. Jej skóra jaśniała, gęste, błyszczące włosy ciężkimi lokami opadały na plecy, ostro zarysowane kości policzkowe podkreślały piękny kształt oczu. Wyraźnie schudła, lecz jej nagle objawiona uroda miała więcej wspólnego z psychiką niż z cechami fizycznymi. Susan szybko

przeniosła spojrzenie na męża, ale on zajęty był szukaniem wolnego miejsca i nie spostrzegł byłej narzeczonej.

Rita czuła się tak, jakby oczy wszystkich zgromadzonych utkwione były w jej twarzy i wszyscy niecierpliwie wyczekiwali na jej reakcję. Siedziała nieruchomo, chociaż duże krople potu zebrały się na skórze pod jej kolanami i pod pachami. Wielebny Hammond zaczekał, aż George i jego rodzina zajmą miejsca, i dopiero wtedy rozpoczął nabożeństwo. Boltonowie usiedli po drugiej stronie nawy, kilka ławek przed Ritą, która mogła ich spokojnie obserwować.

George miał teraz czterdzieści dwa lata i wciąż gęstą, ciemną czuprynę, choć jego kręcone włosy siwiały na skroniach i nieco przerzedziły się z przodu. Był szerszy w ramionach i wyraźnie cięższy w pasie. Już dawno przestał być szczupłym bohaterem bitwy o Anglię, chociaż nadal był przystojny i atrakcyjny. Rita spojrzała na Susan. Piękne jasne włosy, zwinięte w kok tuż nad długą, białą szyją, przypominały jej Faye, a pojedynczy sznur pereł na szyi, szykowna, prosta suknia i kapelusz świadczyły o wyrafinowanej elegancji, o jakiej Rita nie mogła nawet marzyć. Zauważyła bliznę, przecinającą policzek żony George'a, lecz czas zasklepił okropną ranę i sprawił, że w znacznie mniejszym stopniu rzucała się w oczy. Rita uznała, że blizna nie umniejsza urody Susan, i westchnęła ciężko, z zazdrością. Susan miała wszystko, czego ona pragnęła. Poczła się nagle tak, jakby patrzyła na kogoś, kto żyje jej życiem. Susan była od niej piękniejsza, bardziej elegancka i fascynująca, i odgrywała rolę żony i matki o wiele lepiej, niż mogłaby to zrobić ona.

Rita nie wyczuwała zażenowania Susan ani wrogości, jaka ją otaczała, nie pozwalając stać się prawdziwym członkiem małej społeczności. Nigdy nie przyszłoby jej też do głowy, że mieszkańcy Frogmal Point darzą Susan niechęcią z poczucia lojalności wobec niej, jednej z nich, gdy tymczasem Amerykanka uzurpuje sobie prawa, które bynajmniej jej się nie należą. George zobaczył Ritę dopiero w chwili, gdy podeszła do ołtarza, aby przyjąć komunię, i wyraz całkowitego zaskoczenia na jego twarzy sprawił, że nagle zadrżały jej kolana.

George zbladł, jego skóra przybrała odcień wosku. Czas nie odebrał Ricie urody, wręcz przeciwnie, dodał jej barw. Nie była tragiczną istotą, o której opowiadała mu matka, lecz pewną siebie dziewczyną z jego marzeń, dziewczyną, która biegła po plaży z

szeroko rozpostartymi ramionami, goniąc szybujące z wiatrem ptaki. Patrzył bezradnie, jak lekkim krokiem idzie w jego stronę i mija go. Była blisko, na wyciągnięcie ręki, a jednocześnie daleko, on zaś nie mógł się ruszyć, musiał stać w kolejce do ołtarza, czując za plecami obecność Susan i dzieci. Rita szybko opanowała wzruszenie i wyprostowała się. Przez chwilę miała wrażenie, że nagle znalazła się w stanie zawieszenia. Czas zwolnił, może nawet się zatrzymał, a ona poruszała się jak w zwolnionym tempie. Kiedy podeszła bliżej, dostrzegła w twarzy George'a coś, co dziwnie ją zaniepokoiło. Coś obcego, nieznanego. Szukała wzrokiem pełnego życia i odwagi młodego człowieka, którego kochała, ale nie mogła go znaleźć. Nie było go, zniknął.

Wróciła na miejsce i usiadła obok Maddie, która ujęła jej dłoń i ścisnęła mocno, pragnąc okazać jej wsparcie, które nagle okazało się niepotrzebne. Idąc do swojej ławki, George rzucił jej przelotne spojrzenie, lecz zaraz pośpiesznie odwrócił wzrok. Podążająca za nim Susan nie patrzyła w kierunku Maddie. Nie chciała widzieć Rity i nie chciała się zastanawiać nad spojrzeniem, jakim młoda kobieta obdarzyła jej męża. Powtarzała sobie, że nie ma powodu, aby czuć się niepewnie. George dokonał wyboru wiele lat temu i zawsze byli ze sobą bardzo szczęśliwi. Jeżeli nawet widok Rity budził w nim niepokój, to wyłącznie dlatego, że miał wyrzuty sumienia z powodu jej rzucającej się w oczy samotności.

Po zakończeniu nabożeństwa zgromadzeni szybko ruszyli w kierunku drzwi i George stracił Ritę z oczu. Pragnął z nią porozmawiać, bo sądził, że dzięki temu mógłby odzyskać spokój. Wreszcie zobaczył czubek jej głowy tuż przy drzwiach, obok kasztanoworudej głowy Maddie, i zaczął przepychać się między rozplotkowanymi sąsiadami. Susan nie spuszczała z niego oczu. Wiedziała, co się z nim dzieje, i usiłowała przekonać samą siebie, że rzeczywiście byłoby dobrze, gdyby George porozmawiał z byłą narzeczoną. Może ta rozmowa raz na zawsze uwolniłaby ją od ducha porzuconej, nieszczęśliwej Rity... Zauważyła, że Charlie rozmawia już z Daisy na trawniku przed kościołem, stojąc obok jej matki i dziadków, natomiast Ava biegnie w kierunku Elsbeth wykonującej piruety na jakiejś płycie nagrobnej.

Zniecierpliwiony George miał ochotę odepchnąć ludzi na bok. W końcu powoli przemierzający się tłum wylał się na dziedziniec

przed kościołem i George stanął na ganku, mrużąc oczy przed słońcem i gorączkowo szukając wzrokiem Rity. Susan zobaczyła, jak na twarzy męża pojawia się wyraz bolesnego rozczarowania. Nagle jego uwagę przyciągnął warkot silnika samochodu stojącego po drugiej stronie dziedzińca. Siedząca za kierownicą Rita właśnie próbowała wyjechać tyłem na drogę. Susan podeszła do męża, ale nie wzięła go za rękę, co niewątpliwie zrobiłaby jeszcze niedawno. Oboje w milczeniu patrzyli na powoli wyjeżdżający samochód. Oboje widzieli, jak Rita odwraca się i spogląda na nich. Jej oczy spoczęły na George'u na długą, długą chwilę. A potem odjechała.

Rozdział trzydziesty trzeci

Rita siedziała na plaży obok Pepper, jednej z młodych artystek, które spędziły tu całe lato, częściowo w pomarańczowym volkswagenie, a częściowo w rozbitym obok samochodu namiocie. Był początek września. Bursztynowy blask zachodzącego słońca wydawał się jeszcze piękniejszy i bardziej kuszący widziany poprzez dym, powoli sączący się ze skrzyta. Ciche dźwięki gitary rozbrzmiewały w zatoce, niesione lekkim, chłodnym wiatrem, pachnącym nadchodzącą jesienią. Przyjaciele Pepper rozpalali ognisko po drugiej stronie plaży i przygotowywali kolację. Rita bardzo polubiła ich wszystkich, szczególnie Pepper, której pogodna, spokojna natura przypominała jej ją samą z dawnych, dawnych czasów przed powrotem George'a z wojny.

Teraz jej myśli krążyły jednak nie wokół George'a, ale Maksa, którego brakowało jej tak dotkliwie, jak niespodziewanie amputowanej części ciała. Najbardziej dręczyło ją to, że ich przyjaźń zakończyła się w tak wrogiej atmosferze. Oboje krzyczeli na siebie, powiedzieli sobie bolesne rzeczy i okazali się zbyt dumni i uparci, aby wyciągnąć rękę. Rita dałaby wszystko, żeby Max zadzwonił do niej i przeprosił za swoje zachowanie tamtego dnia. Wiele razy wyobrażała sobie tę rozmowę i zastanawiała się, co mu powie, nie miała jednak jeszcze odwagi, aby przyznać się do swoich najgłębiej skrywanych uczuć.

- Myślisz o Maksie, prawda? - zagadnęła Pepper swoim arystokratycznym głosem.

Naprawdę miała na imię Petruska i była córką ekscentrycznego szkockiego hrabiego, który porzucił swoją nudną angielską żonę dla sławnej rosyjskiej tancerki, poznanej w Moskwie w okresie międzywojennym. Petruska, czyli Pepper, była owocem tego związku. Dziewczyna miała więcej pieniędzy, niż mogłaby wydać, i rodziców znacznie żywiej zainteresowanych sobą nawzajem niż córką.

- Dlaczego po prostu nie zadzwonisz do niego i nie przeprosisz? - zapytała, odgarniając do tyłu długie, rude włosy.

- To on powinien mnie przeprosić! - oburzyła się Rita. Poglaskała Tarkę, która drzemała obok niej, i zaciągnęła się skrzytem. - Ostatecznie to on odszedł i zostawił mnie samą...

- Jedno z was musi szybko podjąć odpowiednie kroki, inaczej zostaniesz samotną, rozczarowaną życiem starą panną!

- Wcale nie jestem samotna, przecież mam was.
- My niedługo wyjedziemy.
- Wyjedziecie?
- Nie oczekiwałaś chyba, że zostaniemy tu na zawsze, co? Rita była wstrząśnięta.

- Myślałam, że podoba się wam tutaj...
- Podoba nam się tutaj latem, kiedy jest ciepło i słonecznie, ale teraz z każdym dniem robi się coraz zimniej. Zastanawiam się, czy nie rozpocząć studiów w jakiejś akademii sztuk pięknych. Lubię malować. Matka chciałaby, żebym została tancerką, tak jak ona, ale na szczęście mam za duże stopy. Nie jestem drobniutka i filigranowa, odziedziczyłam budowę po tacie. Może pojedę do Florencji, kto wie...

- Będzie mi ciebie brakowało - powiedziała szczerze Rita. Pepper stała się jej przyjaciółką, zawsze mogła jej się zwierzyć i zapytać o zdanie. Było to tym łatwiejsze, że Pepper nie miała nic wspólnego z Frognał Point.

- Jedź ze mną do Florencji - zaproponowała dziewczyna. - Nauczysz się rzeźbić u prawdziwych mistrzów, pooddychasz atmosferą najwspanialszych dzieł sztuki na świecie...

Rita uśmiechnęła się lekko. Bawiło ją, że Pepper uważa iż wszyscy mają równie dużo pieniędzy jak ona. Tymczasem rzeczywistość znacznie odbiegała od wyobrażeń jej młodej przyjaciółki - odkąd Rita zrezygnowała z pracy w bibliotece, często miewała poważne kłopoty z opłaceniem podstawowych rachunków.

- Nie mogłabym zostawić Tarki.
- Zabierz ją ze sobą. Florencja to miasto miłości, patrząc na przystojnych Włochów, szybko zapomnisz o George'u i Maksie.

- Sęk w tym, że ja wcale nie chcę zapomnieć. Podoba mi się życie we Frognał Point, lubię swoje wspomnienia i kocham rodzinę. Gdyby tylko Max nie zepsuł tego wszystkiego swoimi oświadczeniami...

- Max na pewno już dawno pogodził się z twoją odmową, przecież wiesz, jacy niestali są mężczyźni! - prychnęła Pepper. - Archie skacze z kwiatka na kwiatek jak jakiś oszalały motylek... - Zachichotała na myśl o swoim przyjacielu, który co wieczór wyruszał do miasta w poszukiwaniu świeżej krwi. - Biedak też musi już wracać, bo w październiku rozpoczyna nowy semestr w Oksfordzie... Jeśli

chodzi o sprawy sercowe, to ja nie chcę ani chłopaka, ani męża. Oni tylko komplikują życie...

- Miłość wszystko komplikuje. - Rita pokiwała głową. - I pomyśleć tylko, że gdy ja przez cały ten czas byłam pewna, że jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, on kochał się we mnie... Nigdy nie patrzyłam na niego w ten sposób, a teraz okazuje się, że zламаłam mu serce...

- I George'owi także - dorzuciła Pepper. Rita westchnęła.

- George'a kocham właściwie od dziecka... A może tylko tak mi się wydawało?

- Jak to? - Pepper zdusiła skręta obcasem i zagrzebała go w piasku.

Rita zmrużyła oczy i osłoniła je przed blaskiem zachodzącego słońca.

- Może Max miał rację...

- Co ci powiedział?

- Że przez wszystkie te lata kochałam kogoś, kto już od dawna nie istnieje.

*

Jesień wkroczyła do Frogal Point z wichurami i sztormami i mała grupka przyjaciół Rity spakowała namioty i śpiwory, wracając do swoich zajęć i bogatych, uprzywilejowanych domów. Zimowe miesiące były mroczne i nieprzyjemne. Rita często myślała o Maksie i podnosiła słuchawkę, aby do niego zadzwonić, ale zawsze w ostatniej chwili traciła odwagę. Nie widziała więcej George'a, ponieważ Susan przekonała go, że lepiej będzie, jeżeli zaczną jeździć na nabożeństwa do sąsiedniej parafii. Powoli George przestał zajmować myśli Rity. Parę razy odwiedziła ich jaskinię i poczuła tam ciepłe tchnienie jego obecności, jakby on także szukał w tym szczególnym miejscu pociechy, jaką dają wspomnienia. Teraz gorzko - słodki smak tych wspomnień wydawał się jej dziwnie słaby, prawie niewyczuwalny, bo zdążyła już zrozumieć, że nie przywoła do życia ani dawno minionych dni, ani George'a, którego kochała. Max miał rację.

Święta Bożego Narodzenia były wilgotne i nijakie. Max nie przyjechał do Elvestree, więc pani Megalith była bardziej rozdrażniona niż zwykle i otwarcie obwiniła Ritę za nieobecność wychowanka, a ona nie potrafiła wytłumaczyć babce, że tęskni za Maksem także. Elvestree bez Maksa było puste i zimne, pozbawione

magicznej, niezwyklej atmosfery. Śnieg spadł długo po świętach, w styczniu.

Rita skupiła się na rzeźbieniu, samotnym zajęciu, które całkowicie odizolowało ją od zewnętrznego świata. Początkowo pani Megalith pomagała jej, od czasu do czasu kupując jakąś rzeźbę, a Hanna ciągle zamawiała figurki ptaków, lecz rzeczywistość okazała się trudna i Rita z trudem wiązała koniec z końcem.

Wiosną pani Megalith straciła cierpliwość do nierozważnej wnuczki i doszła do wniosku, że nie będzie dłużej patronować jej twórczej pracy, Hanna także uznała, że ma już za dużo ptasich rzeźb, a okolicznościowe zamówienia z biblioteki ustały. Rzeźby Rity były pełne uroku, ale przedstawiały niewielką wartość dla ludzi, którzy nie znali artystki. Powoli zaczęło ogarniać ją poczucie beznadziei. Zdawała sobie sprawę, że postąpiła głupio, rezygnując z pracy w bibliotece, lecz od czasu kłótni z Maksem straciła cały zapał do organizowania spotkań z pisarzami. Max dobrze znał to środowisko i kontaktował ją ze wszystkimi autorami. Kiedy sama próbowała pisać i dzwonić do wydawców, nikt nie zdradzał najmniejszego zainteresowania jej małą biblioteką, a niektórzy traktowali ją wyjątkowo nieuprzejmie. Zmiana zajęcia była niezłym pomysłem, ale nie dawała pieniędzy. Zastanawiała się, czy Max tęskni za nią tak samo jak ona za nim, czy też po prostu wykreślił ją ze swego życia i poszedł dalej. Co jakiś czas czytała o nim w gazetach i magazynach, czasami też opowiadała o nim Ruth, która często odwiedzała ją z małą Mitzi.

Szczyście Ruth było zupełnie oczywiste. Córeczka była dla niej źródłem nieustannej radości, a mąż darzył ją prawdziwą miłością. Oboje promienieli radością i spokojem, i Rita nic nie mogła poradzić na to, że bardzo im zazdrości.

Max radził sobie z zawodem i bólem w inny sposób. Całkowicie zatracił się w pachnących ciałach pięknych kobiet. Zapraszał je do swojego londyńskiego domu przy Cheyne Walk i uprawiał z nimi seks, szukając w każdej wyjątkowego, niepowtarzalnego rysu charakteru, lecz rano budził się rozczarowany i zniechęcony, ponieważ wszystkie kobiety okazywały się takie same - zewnątrznie piękne, lecz puste w środku. Myślał o Ricie i powoli tracił nadzieję, że uda mu się znaleźć kogoś, z kim zechce żyć. Pragnął mieć dzieci i często wspominał Lydię, której odebrano szansę przeżycia choćby

paru lat. Lydia była pyłkiem na wietrze, ziarnem, które nie zdążyło opaść na ziemię, lecz on za wszelką cenę chciał założyć dom i kontynuować cykl życia. Uważał, że tylko w ten sposób zapewni nieśmiertelność sobie i swojej rodzinie.

W tajemnicy wciąż marzył o odkupieniu Teatru Cesarskiego, zupełnie jakby dzięki temu posunięciu mógł odzyskać świat, który stracił jako mały chłopiec. Często wyobrażał sobie, że siedzi w prywatnej łoży swego ojca razem z Ritą, a aktorka niezrównanej urody odtwarza na scenie rolę, którą kiedyś grała jego matka. Zdawał sobie sprawę, że te marzenia są dziecinne, że jakaś część jego samego, część, która nigdy nie dorosła, buduje zamki z piasku, ale nigdy nie wybrał się do Wiednia. Bał się, że w ogóle nie pozna miasta, w którym spędził szczęśliwe lata dzieciństwa.

Kiedy Max poznał Delfine Bonville, zachwycił się jej pogodnym, łagodnym usposobieniem i pomyślał, że mógłby ją pokochać. Była elegancką, dwudziestoparoletnią Francuzką, której rodzice zaraz po wojnie przeprowadzili się do Londynu. Pracowała jako sekretarka w ambasadzie Francji i codziennie wieczorem zabierała z sobą do domu torbę pełną pogniecionych kartek papieru, ponieważ wstydziła się wyrzucać do kosza dowody błędów które popełniała. Była naiwna i entuzjastycznie nastawiona do życia, a przy tym czarująca. Maksowi szczególnie podobały się jej ciemnobrązowe oczy i krótkie, sztywnie obcięte na pazia kasztanowe włosy. Nowa znajoma pod żadnym względem nie przypominała mu Rity. Drobnutka i kobieca do szpiku kości, kojarzyła się raczej z figlarną sroką, z zachwytem chwytającą wszystko, co błyszczący. Nie miał cienia wątpliwości, że dziewczyna jest pod wrażeniem jego pozycji, sławy i bogactwa, był jednak także pierwszym mężczyzną, który wiedział, jak doprowadzić ją do rozkoszy. Większość angielskich kochanków, jakich przed nim miała, traktowało seks jako swoisty sport, jak mecz tenisa, w którym zwycięzcą jest ten, kto pierwszy osiągnie orgazm. Max bardzo się od nich różnił. Był zmysłowy, ciepły i potrafił ciągnąć grę wstępną w nieskończoność. Godzinami cieszył się pięknym ciałem Delfine oraz jej typowo francuskim zamiłowaniem do uprawiania seksu, umiał też śmiać się razem z nią.

Kupował jej biżuterię, fascynujące naszyjniki, kolczyki i bransolety, którymi co wieczór bawiła się przed snem jak dziecko lalkami. Przymierzała pierścionki, przybierała rozmaite pozy przed

lustrem, przykładała do siebie śliczne suknie, które od niego dostawała. Max był oczarowany jej dziecinną radością i czerpał przyjemność z jej zadowolenia. Lubił rozpieszczać Delfine. Zabierał ją na romantyczne weekendy do Paryża, Wiednia, a nawet do Maroka, kupował wszystko, co przypadło jej do gustu. Obsypywał Delfine kosztownymi podarunkami, ponieważ nie mógł dać jej miłości, bo w jego sercu wciąż królowała Rita. Ani na chwilę nie przestał żałować, że tak zlekceważyła jego serce i propozycję.

Gdy Rita w końcu schowała dumę do kieszeni i postanowiła wykonać pierwszy ruch, jej nadzieje legły w gruzach, ponieważ pani Megalith z typowym dla siebie brakiem delikatności oznajmiła, że Max się zakochał.

- To Francuzka - oświadczyła z dumą. - Bardzo ładna i urocza. Max mówi, że jeszcze nigdy nie był taki szczęśliwy.

Rita była wstrząśnięta swoją reakcją. Wpadła w rozpacz i nie mogła się z niej otrząsnąć. Wreszcie dotarło do niej, że przez swoją bezsensowną obsesję na punkcie George'a na zawsze straciła Maksa.

Miesiące mijały, lecz Rita zauważała upływ czasu tylko poprzez zmiany pór roku. Ogarniało ją coraz głębsze przygnębienie. Nie wyobrażała sobie, aby mogła wrócić do biblioteki, nie chciała przyznać się, że poniosła porażkę, zresztą praca w domu bardzo jej odpowiadała. Jeżeli miała ochotę, mogła cały dzień rzeźbić w szlafroku i z potarganymi włosami, dom dawał jej też wielkie poczucie bezpieczeństwa, bo tu nikt nie kiwał głową nad jej upadkiem. I właśnie w tym najgorszym okresie pewnego zimowego dnia do jej drzwi zapukał nieznajomy.

Przelewała w kuchni skondensowane mleko do garnka, w którym robiła śmietankowe krówki dla dzieci Maddie. Tarka zerwała się z posłania i zniosła pełnym podniecenia ujadaniem. Rita natychmiast się zirytowała, bo jak zwykle była nieuczesana, w szlafroku i kapciach. Miała nadzieję, że jej gość to ktoś znajomy, przy kim nie będzie musiała przejmować się swoim wyglądem. Kiedy otworzyła drzwi i zobaczyła stojącego na progu starszego mężczyznę, zaczerwieniła się ze wstydu.

- Przepraszam, że nachodzę panią bez uprzedzenia... - przemówił głębokim, miłym głosem.

Pospiesznie otuliła się szlafrokiem i odgarnęła włosy do tyłu.

- Nic nie szkodzi - powiedziała. - W czym mogę panu pomóc? - zapytała, ogarniając spojrzeniem elegancki garnitur przybysza, jego granatowy kaszmirowy płaszcz i filcowy kapelusz.

- To pani jest tą uzdolnioną rzeźbiarką z biblioteki, prawda? - zagadnął z uśmiechem.

Wyprostowała się i popatrzyła na mężczyznę z zainteresowaniem.

- Nazywam się Benjamin Bradley - przedstawił się, wyciągając do niej rękę.

- Rita Fairweather... - Potrząsnęła jego dłonią. - Proszę do środka...

Zamknęła drzwi i zaprowadziła gościa do kuchni. Tarka poszła za nimi, z zaciekawieniem obwąchując buty mężczyzny i przyjaźnie machając ogonem.

- Czy mogę zaproponować panu coś do picia?

Żałowała, że nie poświęciła trochę czasu na sprzątnięcie kuchni, która wyglądała jak plaża po przyplywie.

- Filizankę herbaty, jeżeli można - odparł, robiąc na stole miejsce na swoją teczkę.

Postawiła czajnik na gazie i rozejrzała się za czystą filizanką i spodeczkiem.

- Proszę siadać... Przepraszam za bałagan, ale...

- Jest pani artystką. Pracy twórczej zwykle towarzyszy chaos.

- Jest pan zbyt uprzejmy... Nie zdążyłam się nawet ubrać, chociaż nie jest już wcześnie...

- Po prostu korzysta pani z luksusu pracy w domu. Co pani gotuje? Cudownie pachnie...

- Krówki dla moich siostrzenic i siostrzeńca. Bardzo je lubią.

- Nie ma pani własnych dzieci?

- Nie jestem mężatką.

- Na pewno nie z braku propozycji... - Mężczyzna uśmiechnął się ciepło.

Poczuła, że znowu się czerwieni. Jej gość zdjął płaszcz i kapelusz i przysunął sobie krzesło.

- Proszę chwileczkę poczekać - powiedziała Rita. - Zaraz wrócę... Kiedy po paru minutach wróciła do kuchni, ubrana w spodnie, sweter i z włosami ściągniętymi w koński ogon, znalazła Tarkę siedzącą u stóp pana Bradleya i ocierającą się pyskiem o jego spodnie.

- Widzę, że ma pan nową przyjaciółkę - zauważyła z uśmiechem.
- Tarka nie wszystkich darzy taką sympatią.

- Pochlebia mi to. - Mężczyzna pogłaskał psa po złotawej głowie. Rita napełniła filiżankę i nalała mleka do dzbanuszka, starając się zrobić na gościu dobre wrażenie. Usiadła naprzeciwko niego i pytająco uniosła brwi.

- Widział pan moje prace? - zapytała z nadzieją.

Benjamin Bradley skinął głową i wyspał do herbaty łyżeczkę cukru.

- Widziałem i jestem pod wrażeniem. Czapla, która stoi w bibliotece, to najzupełniej doskonała rzeźba.

- Naprawdę? - Rita z niedowierzaniem zmarszczyła nos.

- Myślę, że ma pani wielki talent i potencjał...

- Tak naprawdę to tylko hobby. Nie robię na tym pieniędzy.

- A powinna pani! - Pociągnął łyk herbaty i uśmiechnął się z wyraźną przyjemnością, przy czym jego siwe, krzaczaste brwi zbiegły się nad nosem w prostą linię. - Ach, nie ma to jak filiżanka dobrej gorącej herbaty...

- Nie rzeźbię dla zarobku, ale dlatego, że bardzo to lubię - powiedziała Rita, starając się nie myśleć o piętrzących się na jej biurku rachunkach.

- Chciałbym przedstawić pani pewną propozycję. Widzi pani, jestem właścicielem małego sklepu z upominkami w Londynie i zawsze szukam nowych talentów. Chętnie zawrę z panią umowę na określoną liczbę rzeźb, jeżeli uzna to pani za korzystne...

Rita patrzyła na niego ze zdumieniem.

- To chyba zbyt wspaniałe, aby było prawdziwe... - rzekła cicho.

- Jeśli nie jest pani zainteresowana, zrozumiem... - zaczął mężczyzna.

- Nie, nie, nie o to chodzi! - przerwała mu Rita. - Taka umowa to dla mnie wspaniała szansa. Ile rzeźb chciałby pan zamówić?

- Na razie mogę wziąć kilka i sprawdzić, jak będą się sprzedawały. Na tej samej zasadzie współpracuję z malarzem, który sprzedaje w moim sklepie trzydzieści parę obrazów rocznie...

Rita przygryzła dolną wargę.

- Ile mógłby mi pan zapłacić? - zapytała.

Starła się robić wrażenie osoby, która ma już pewne doświadczenie w biznesie.

- Na początek sto funtów za rzeźbę, potem odpowiednio więcej, jeżeli będzie na nie popyt.

- Sto funtów za sztukę?

- Czy to za mało? - W głosie pana Bradleya zabrzmiała nuta zażenowania.

- To więcej, niż się spodziewałam...

Na twarzy mężczyzny znowu pojawił się uśmiech.

- Ceny w Londynie poważnie różnią się od tych na prowincji. Ludzie, którzy mieszkają w wielkim mieście, mają więcej pieniędzy i są gotowi więcej wydawać. Pani prace są naprawdę doskonałe, proszę mi wierzyć, ale jeżeli wycenimy je za nisko, klienci nie zwrócą na nie uwagi.

Rita nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Dała panu Bradleyowi trzy rzeźby, które szczególnie przypadły mu do gustu, i obiecała, że w ciągu miesiąca przyśle następne. Mężczyzna otworzył dużą czarną teczkę i wyjął z niej trzysta funtów w dwudziestofuntowych banknotach. Rita nigdy nie widziała tylu pieniędzy naraz i z szacunkiem wzięła do ręki spory plik. Po południu wybrała się na długi spacer po plaży, podekscytowana celem, który niespodziewanie pojawił się w jej życiu. Kiedy wróciła do domu, zadzwoniła do Maddie i przekazała jej dobrą wiadomość. Maddie nie kryła poruszenia.

- To wiele lepsze od gnicia w tej nudnej bibliotece! - zawołała. - Rzeźbienie jest przecież dużo bardziej seksowne. Teraz potrzeba ci jeszcze kochanka i już będziesz kobietą spełnioną...

Rita zignorowała tę ostatnią uwagę i wprosiła się do siostry na herbatę.

- Przyniosę świeże krówki dla dzieci - oświadczyła. - Zrobiłam je dziś przed południem.

- Świetnie! - ucieszyła się Maddie. - Dzieciaki zaprosiły przyjaciół ze szkoły, więc wszyscy będą zachwyceni. Ja mam tylko kanapki z pastą marmite i wafelki.

Rita ukryła pieniądze pod obłuzowaną deską w podłodze sypialni i pojechała do miasta po zakupy. Kobieta ze sklepu dla plastyków nie wytrzymała i spytała, co jest przyczyną jej doskonałego nastroju.

- Zaczęłam sprzedawać swoje prace w sklepie z upominkami w Londynie - wyjaśniła z dumą Rita. - Będę mogła umieszczać tam mniej więcej czterdzieści rzeźb rocznie!

- Nieźle się pani przy tym napracuje. - Sprzedawczyni pokiwała głową, wyraźnie przejęta.

Nie mogła się już doczekać, kiedy opowie Faye Bolton o nagłej odmianie losu Rity.

Po południu Rita zabrała Tarkę i pieszo wyruszyła z nią do Bray Cove. Poszły ścieżką wzdłuż brzegu, z przyjemnością obserwując pokryte drobnymi białymi grzywami morze. Powietrze pachniało solą i ozonem, ostry, zimny wiatr gnał szare chmury po niebie. Rita szła lekkim, sprężystym krokiem. Wreszcie promień światła rozjaśnił mroki jej smutnej duszy.

Kiedy dotarła do domu siostry, dzieci grały w ogrodzie w futbol pustą puszką po fasolce. Elsbeth pomachała ciotce z zaimprovizowanej bramki, którą właśnie atakował Freddie. Dziewczynka miała na głowie wysoki, spiczasty kapelusz czarownicy i starą czarną pelerynę, znaną w skrzyni z kostiumami. Maddie siedziała przy kuchennym stole, popijała kawę i czytała gazetę.

- Elsbeth jest bardzo podobna do Eddie, nie sądzisz? - odezwała się Rita, wieszając płaszcz w przedpokoju i zdejmując kalosze.

- Ma na sobie pelerynę Eddie - zaśmiała się Maddie. - Nasza siostra także zawsze chciała być czarownicą, pamiętasz?

- Oczywiście. Historia naprawdę lubi się powtarzać, co? Maddie kiwnęła głową i uniosła brwi.

- Z pewnością. Kiedy patrzę na Daisy i Charliego Boltona, myślę o tobie i George'u. Ci dwoje są nierozłączni, podobnie jak kiedyś ty i George...

Rita rzuciła jej szybkie spojrzenie.

- Czy Charlie tu jest?

- Tak. - Maddie podniosła się, żeby postawić czajnik na fajerce. Zauważyła zmieszanie siostry i prychnęła ze zniecierpliwieniem. - Na miłość boską, nie zamierzasz chyba przejmować się obecnością Charliego?! Nie jest nawet trochę podobny do ojca, to skóra zdarta żywcem z matki...

- Nie przejmuję się - Rita sięgnęła do szafki po filiżankę.

- Gratuluję ci tego zlecenia, moja droga. To najlepszy dowód, że nie mam zielonego pojęcia o sztuce.

- O co ci chodzi?

- Moim zdaniem czapla, którą zrobiłaś dla biblioteki, jest okropna!

- Naprawdę?

- Tak. Najbardziej podobają mi się twoje rzeźby dzieci. Są pełne uroku, chociaż trochę prymitywne. Cóż, moja orientacja w tej dziedzinie jest po prostu żadna...

- Benjamin Bradley uważa, że uda mu się sprzedać koło czterdziestu moich rzeźb rocznie - powiedziała Rita, starając się nie okazywać, że uwagi siostry trochę ją uraziły.

- Życzę mu powodzenia. Na pewno dobrze zna rynek, a jeżeli nie, to już jego problem. Najważniejsze, żeby ci regularnie płacił.

Rita szybko zmieniła temat i zapytała o najnowszą książkę Harry'ego.

- To historia nieodwzajemnionej miłości - odparła Maddie. - Główna bohaterka jest uderzająco podobna do ciebie i ma podobne przeżycia. Powinniśmy zapłacić ci za ten wątek. Dobrze, że teraz będziesz bogata i nie upomnisz się o należność...

Zanim Rita zdążyła odpowiedzieć, kuchenne drzwi się otworzyły i do domu wpadły zziębnięte dzieci. Zrzuciły wierzchnie okrycia i zostawiły je na podłodze. Elsbeth podbiegła do Rity i uściskała ją.

- Jestem czarownicą - oznajmiła. - Szkoda, że nie naprawdę, bo wtedy mogłabym zamienić Freddiego w ropuchę. Całe popołudnie stałam na bramce.

- Bo po prostu masz pecha! - rzucił jej brat, siadając przy stole. - Jest jeszcze ciasto czekoladowe, mamó?

- Rita zrobiła dla was krówki. - Maddie z uśmiechem postawiła duży talerz ze słodyczami pośrodku stołu.

- Och, cudnie! - uradował się Freddie. - Możesz nas dalej odwiedzać, ciociu Rito! Siadaj tutaj, Charlie, i spróbuj pysznych krówek naszej cioci!

Charlie zajął miejsce na ławie pod ścianą obok Freddiego. Rita widziała go kilka razy w sklepie i raz w kościele, ale nigdy nie miała okazji bliżej przyjrzeć się chłopcu. Maddie miała słuszość, Charlie rzeczywiście bardzo przypominał matkę, lecz kiedy się uśmiechał, dokładnie widać było podobieństwo do George'a.

- Daisy, podaj mi śmietankę! - polecił Freddie, przekładając spory kawałek krówki na swój talerz.

- Czyżby twój ostatni niewolnik skonał z przepracowania? - zapytała chłodno Daisy. - Sam sobie podaj śmietankę!

- Elsbeth! - rozkazującym tonem odezwał się Freddie.

Młodsza siostra z ciężkim westchnieniem otworzyła lodówkę. Wyjęła biały kartonik, wygrzebała z pojemnika na warzywa pół konserwowego ogórka i wrzuciła do śmietanki, potem zaś z obojętną miną podała opakowanie bratu i usiadła obok Avy, która w milczeniu żuła swoją porcję krówki. Daisy zmrużyła oczy. Zawsze wiedziała, kiedy Elsbeth coś knuje. Freddie bez słowa podziękowania połał sobie krówkę śmietanką, a ponieważ ani na chwilę nie przestał gadać z Charliem, nie zauważył, że na jego talerz wypadł też kawałek konserwowego ogórka. Daisy z trudem stłumiła chichot i lekko kopnęła Charliego w kostkę. Gdy chłopak odwrócił się do niej, wzrokiem wskazała talerz brata. Po chwili Freddie nabrał na łyżeczkę dużą porcję złocistej, cieknącej krówki razem z niespodziewanym dodatkiem. Gdy wbił zęby w kwaśny ogórek, wrzasnął z obrzydzeniem i wypluł wszystko na świeży obrus. Maddie przewróciła oczami i bezradnie potrząsnęła głową.

- Jeżeli Frogal Point nie doprowadzi mnie do szaleństwa, na pewno uda się to moim dzieciom - powiedziała z kwaśnym uśmiechem.

Rita uważnie przyglądała się Avie. Milcząca, wyraźnie nieśmiała dziewczynka miała szare oczy o wrażliwym wyrazie, podobnie jak ojciec, i długie, bardzo jasne włosy matki. Rita usiłowała wyobrazić sobie, jak wyglądałyby jej dzieci, gdyby wyszła za George'a. Z zamyślenia wyrwał ją widok wisiora na szyi Avy. Ze zdumieniem spostrzegła, że jest to chyba ta sama gołębicą, którą kiedyś rzuciła w morskie fale.

- Masz śliczny wisiołek, Avo - zagadnęła, nie mogąc opanować ciekawości. - Od kogo go dostałaś?

Ava dotknęła srebrnej synogarlicy smukłymi białymi palcami.

- Od mamy - odparta. - Ale to tata znalazł ją w jaskini na plaży...

Rita miała wrażenie, że ktoś nagle wymierzył jej mocny cios w brzuch.

- Jest naprawdę piękny... - powiedziała słabym głosem.

- Dziękuję. Miałam szczęście, bo mama go nie chciała...

Rite ogarnął gniew na myśl, że Susan mogłaby nosić jej wisiołek. Nie miała pojęcia, dlaczego George nie zatrzymał srebrnej ozdoby - oddanie jej Susan uznała po prostu za bezmyślne. Przecież kiedyś ten symbol miał wielkie znaczenie dla nich obojga... Próbowwała zadać Avie jeszcze kilka pytań na temat rodziców, ale dziewczynka

odpowiadała monosylabami, więc Rita się poddała i usiadła obok Maddie, która znowu zajęła się przeglądaniem czasopism. Nagle poczuła, że nie ma tu dla niej miejsca, że w tym domu nigdy nie będzie u siebie. Drgnęła, gdy jej ręki dotknęła mała, klejąca się dłoń. Obok niej stała ubrana w strój czarownicy Elsbeth i patrzyła na nią z wielką sympatią.

- Pobawisz się ze mną, ciociu? Serce Rity zmiało w jednej chwili.

- Z przyjemnością, kochanie. Wyjdźmy na dwór, co ty na to? Siadziemy sobie w ciemności na skałach i opowiem ci o czarownicach, prawdziwych czarownicach, takich jak twoja prababcia - rzekła, wstając i idąc z dziewczynką do drzwi.

Maddie nawet nie podniosła wzroku znad barwnych fotografii, a pozostałe dzieci były zbyt zajęte pochłanianiem krówek, aby zauważyć, że ciocia Rita zamierza snuć w świetle księżyca opowieści, które przecież wszystkie tak bardzo lubiły.

Max ostatecznie zrezygnował z myśli o związku z Ritą, uznał, że nie może dłużej żyć niespełnionymi marzeniami, i oświadczył się Delfine, która była zbyt młoda i zaślepiona blaskiem swojej biżuterii, aby zauważyć, że narzeczony kocha inną. Przyjęła oświadczyny Maksa i wprowadziła się do jego domu.

- Wszystko, co moje, będzie należało do ciebie - powiedział Max. - W tym domu jest jednak jeden pokój, do którego klucz mam tylko ja. Pokój jest zawsze zamknięty, ponieważ nie chcę się nim z nikim dzielić, i mam nadzieję, że uszanujesz moje życzenie. Wszystkie pozostałe pokoje są twoje...

Delfine zapewniła go, że przyjmuje to do wiadomości. Była bardzo szczęśliwa i tajemniczy pokój nic ją nie obchodził. Wkrótce miała zostać żoną Maksa, panią de Guinzberg, i tylko to się dla niej liczyło.

Kiedy Rita usłyszała od babki o zaręczynach Maksa, ogarnęło ją głębokie przygnębienie. Najwyraźniej całkowicie wyrzucił ją ze swoich myśli, skoro nie powiedział jej o tym sam. Czowała się zdradzona i porzucona. Znowu codziennie spacerowała po klifach z Tarką, wspominając, jak kiedyś o mała nie rzuciła się ze skały po zdradzie George'a. Wydawało jej się, że tamta historia rozegrała się bardzo dawno, w innej erze, w czasach, gdy była inną dziewczyną. Nagle uświadomiła sobie, że życie wszystkich ludzi wciąż się toczy,

zupełnie jak wody wielkiej rzeki. Tylko jej życie podobne było do zarośniętego gnijącymi wodorostami stawu... Poczwała, że ma tego dosyć.

Rozdział trzydziesty czwarty

Minęły już prawie trzy lata od śmierci Treesa i Faye miała dosyć żałoby. Starannie skrywane i krótkie wizyty w domu Tadeusza przestały jej wystarczać. George był zajęty farmą i dziećmi, Alice także miała własne życie, a Faye? Faye rzeźbiła w swoim studiu i cieszyła się towarzystwem wnuków, ale teraz, gdy nie miała nikogo, kim mogłaby się opiekować, czuła się dziwnie niespełniona. Pragnęła zająć się Tadeuszem, który był stary i potrzebował jej obecności. Chciała przygotowywać mu posiłki, prac i prasować ubrania, dotrzymywać mu towarzystwa, w długie zimowe wieczory siadać z nim przy kominku i rozmawiać o książkach, które czytali, i muzyce, którą kochali. Marzyła o tym, żeby słuchać jego gry na skrzypcach i akompaniować mu na fortepianie, dzieląc z nim te przepełnione melancholią chwile, gdy wspomnienia budziły się w jego sercu. Kochała go i ukradkowe spotkania już jej nie wystarczały.

Faye dobiegała siedemdziesiątki i nie przejmowała się już, co pomyśla o niej inni. Hanna mogła do woli wyrażać dezaprobatę dla jej zachowania, panna Hogmier plotkować z wielebnym Hammondem i jego żoną, cały kościół mógł się zatrząść na wieść o jej romansie, ale dla Faye wszystko to nie miało już najmniejszego znaczenia. Wolność przychodzi wtedy, kiedy nie dbasz o to, co powiedzą inni, myślała, pakując swoje rzeczy. Wreszcie będę żyła dla siebie.

Wieczorem, kiedy George wpadł na herbatę po pracy, walizki Faye stały w holu.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał, czekając, aż Faye wyjmie grzanki z piekarnika.

- Przeprowadzam się do Tadeusza Waliszewskiego - odparła spokojnie.

George usiadł i potarł brodę.

- Co będzie z domem? - zagadnął, ponieważ nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Dom należy do ciebie, kochanie. Trees zostawił ci farmę i dom, przecież wiesz.

- Dlaczego Tadeusz nie może zamieszkać tutaj?

Faye postawiła talerz z grzankami na stole i przysunęła sobie krzesło.

- Bo to był dom twojego ojca - powiedziała. - Żyje w nim zbyt wiele wspomnień związanych z Treesem, żebym mogła być tu szczęśliwa z innym mężczyzną.

- Mówiłaś już Alice?

- Nie. Tylko tobie.

- Ludzie zaczną zadawać pytania... Jesteś na to przygotowana, prawda? - George pomyślał o Susan i wrogości, z jaką wciąż się spotykała, tylko dlatego, że nie pochodziła z Frognał Point.

Nie chciał, aby to samo przydarzyło się matce.

- Bardziej przygotowana już nie będę. Kochałam twojego ojca i odbyłam po nim żałobę, ale od jego śmierci minęły już trzy lata. Przeżyłam bez niego trzy święta Bożego Narodzenia... Nie chcę marnować więcej czasu. Życie jest krótkie, mam przed sobą już niewiele lat i pragnę je spędzić z człowiekiem, który mnie kocha. Nie potrafię żyć bez miłości, George.

- Nikt nie powinien żyć bez miłości - przytaknął poważnie, myśląc o Ricie.

- Max poprosił ją o rękę. - Faye spojrzała synowi w oczy, bez trudu odgadując jego myśli. - Wiedziałaś o tym?

- Max oświadczył się Ricie? - Fala drapieżnej zaborczości, która nagle ogarnęła go i zupełnie zaskoczyła. - Chyba nie zgodziła się zostać jego żoną? Chodzi mi o to, że nigdy nie pomyślałbym... Nigdy nie wyobrażałem sobie, że mogliby stanowić parę...

- Odmówiła mu. - Faye patrzyła, jak zazdrość plami policzki syna krwawą czerwienią.

George zaczął ogryzać skórkę przy kciuku, zawstydzony uczuciem ogromnej ulgi.

- Widziałeś ją?

- Tylko z daleka. - Spuścił wzrok i zabrał się do smarowania grzanki masłem.

- Rozumiem...

Faye długą chwilę przyglądała się jedzącemu synowi.

- To zabawne, że można mieszkać w odległości paru kilometrów od siebie i nigdy się nie spotkać - powiedziała w końcu.

George ze wszystkich sił usiłował wyrzucić Ritę ze swego serca, nie był jednak w stanie zdławić męczącej go tęsknoty. Czuł, że dopóki mieszka we Frognał Point, wśród wspomnień z okresu dzieciństwa i wczesnej młodości, nigdy się od niej nie uwolni. Duch jej postaci

będzie wciąż ukazywał mu się na skałach, w jaskini i na plaży, a on będzie jej szukał wzrokiem na klifach, z mieszaniną lęku i tęsknoty w sercu. Rita była częścią tego miejsca, podobnie jak ptaki i on sam. Nie mógł tego dłużej znieść. Oszołomiony dziwnym podnieceniem, nie zastanawiał się nad uczuciami żony i myślał tylko o Ricie. Wiedział, że musi z nią porozmawiać.

Z sercem w gardle pojechał w górę wybrzeża. Jesienne liście wzbijały się w powietrze za przejeżdżającym samochodem, a słońce złociło ich brzegi i połyskiwało na rudawych plamach. George opuścił okno i z przyjemnością wystawił twarz na podmuchy chłodnego wiatru. Był zdenerwowany, mięśnie brzucha miał mocno napięte. Czuł się tak, jak w kokpicie samolotu, kiedy w każdej chwili mógł go zaatakować niemiecki myśliwiec. Perspektywa ponownego spotkania z Ritą była niemal równie przerażająca.

Gdy podjechał pod jej domek, długą chwilę siedział w samochodzie, zastanawiając się, co powie, i starając się przewidzieć jej reakcję.

Wciąż ogryzał skórę wokół kciuka, która teraz piekła i krwawiła. Ręce miał teraz szorstkie i spracowane, nie tak gładkie i szczupłe jak dłonie pilota, którym kiedyś był. Zerknął w lusterko i nagle zauważył zmarszczki wokół oczu, pełniejsze niż dawniej policzki, zaczerwienioną skórę, coraz bardziej przerzedzające się włosy. Nie był już młodym mężczyzną, w którym Rita zakochała się wiele lat temu, a i ona na pewno nie była tamtą dziewczyną... Z westchnieniem wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwiczki. Miał tak silne wyrzuty sumienia, jakby już dopuścił się zdrady.

Szybkim krokiem pokonał krótki podjazd, wysadzany wysokimi kasztanowcami, które roniły liście i lśniące, brunatnorude kasztany, i podszedł do domu. Kiedy tak stał przed drzwiami Rity, miał świadomość, że następne chwile albo raz na zawsze zamkną przeszłość i opieczętują ją, albo otworzą przejście do minionych lat, wpędzając go w jeszcze większe zagubienie. Czuł się jak gracz, który zaraz postawi cały majątek na jeden numer. Miał nadzieję, że spotkanie z Ritą okaże się mniej wstrząsające, niż sądził. Wziął głęboki oddech, wyprostował się i nacisnął dzwonek. W domu panowała kompletna cisza, słyszał tylko rozpaczliwe bicie swego serca. Zadzwoił jeszcze raz. Przypomniawszy sobie, że Rita ma psa, zaczął więc nasłuchiwać stukania pazurów o podłogę po drugiej

stronie drzwi, ale nic nie usłyszał. Jego zdenerwowanie przerodziło się w nieprzyjemną frustrację. Rity nie było w domu. George miał poważne wątpliwości, czy kiedykolwiek zdobędzie się jeszcze na odwagę, aby do niej przyjechać. Minęło parę minut, zanim niechętnie zdecydował się odjechać.

Zamierzał już wrócić do samochodu, kiedy ciekawość skłoniła go do szybkiego rozejrzenia się dookoła domu. Jaką kobietą była teraz Rita? Posiadłość stanowi podobno odbicie osoby, która ją zamieszkuje, pomyślał, zawracając ku małej furtce w płocie. Ogród przyjemnie go zaskoczył - był dużo większy, niż można by sądzić po domku. Trawnik łagodnie schodził w kierunku plaży, w oddali widać było grzywiaste fale i nisko krążące mewy. George schował ręce do kieszeni i spojrzał na rozkołysaną w łagodnym świetle jesiennego popołudnia zatokę. Kierowany instynktem, ruszył w dół wydeptaną ścieżką. Piasek był wilgotny, bo przyływ dopiero się cofał, pozostawiając ptakom mnóstwo małych drobnych skorupiaków. Słony wiatr przeczesał włosy George'a delikatnie i miękko jak dłoń ukochanej kobiety, i jego serce wezbrało wielką tęsknotą za przeszłością. Myślał o Ricie. Przywołał też twarze Jamiego Cordella, Rata Bridgesa i Lorriego Hamptona, i twarze przyjaciół nakładały się na twarz byłej narzeczonej, niewyraźne i nieco zamglone. Oszołomiony hipnotycznym rytmem morza, rozpostarł ramiona niczym potężny orzeł i pobiegł przed siebie plażą. Im dłużej biegł, tym większa ogarniała go beztroska i w końcu roześmiał się głośno, rozbawiony absurdalnością tej sytuacji. I wtedy nagle, w tej krótkiej chwili radości, odnalazł chłopca, który dawno temu dorastał we Frogal Point. Odnalazł go w sobie, w głębi swojej pogodnej, roześmianej duszy i zrozumiał, że musi odnaleźć także i dziewczynę, która dorastała tu razem z nim.

Szybko zawrócił do ogrodu. Czuł zapach Rity w aromacie kwiatów i w błyszczącej od rosy trawie. Postanowił, że zaczeka na nią i powie, iż nadal ją kocha i popełnił błąd, zostawiając ją samą.

Po lewej stronie ciągnął się stary, kruszejący mur. Niska, zniszczona furtka stała otworem. George podszedł bliżej, z przyjemnością myśląc, że ten dziwny, nieco zaniedbany dom i dziki ogród stanowią doskonale odbicie natury Rity, i zajrzał na drugą stronę. Wyciągnięta na trawie obok śpiącego psa leżała Rita. Dzieliła ich spora odległość, więc nie mogła go zauważyć, leżała zresztą za

siatką, osłaniającą krzaki malin przed ptakami. Ręce wyciągnęła daleko przed siebie i najwyraźniej starała się oswoić parę wróbli, kusząc je jakimś przysmakiem. Malutkie ptaki podskakiwały dookoła dłoni, wciąż jeszcze niepewne, czy mogą jej zaufać. Pies był już stary, jego pysk prawie zupełnie posiwiiał, a głęboki sen nie pozwolił mu wyczuć obecności George'a przy furtce, który cofnął się gwałtownie, nagle ogarnięty przerażeniem, że Rita mogłaby go zobaczyć.

Starając się oddychać jak najciszej, opanował wzburzenie i niczym szpieg znowu zerknął przez mur. Rita wyglądała pięknie w złocistym, bursztynowym świetle. Jej twarz była blada i skupiona, dokładnie taka, jaką zapamiętał. Nic nie wskazywało na to, aby się postarzała. Włosy wciąż miała długie i potargane, ciało kształtne, ubrana była jak zwykle niedbale. Przypomnił sobie, że nawet kiedy próbowała ubrać się elegancko, nic z tego nie wychodziło. Przechylił głowę na bok, zapomniał o zdenerwowaniu i z radością chłonął wzrokiem rozgrywającą się przed nim sielankową scenę. Jego dusza przywoływała wspomnienia i napełniała serce miłością.

Lekki wiatr zaszeleścił wyschniętymi liśćmi malin, odgarniając włosy Rity z czoła i odsłaniając jeden jej policzek, połowę twarzy, którą George tak często pieścił pocałunkami i czułym dotykiem palców. Tej samej twarzy, na której czasami czuł słony smak morza i łez. Ile razy trzymał w ramionach to ciało? Wydawało mu się, że wszystko to wydarzyło się kilka dni temu. Czuł ciepło jej skóry, solidną pewność miłości, bezgraniczny entuzjizm młodości. Zapomniał o niej, porzucił ją...

W pewnej chwili, gdy lekko przekręciła rękę, słońce błysnęło na jej palcu. Natychmiast rozpoznał pierścionek z brylantem i poczuł, jak nagle ogarnia go duma. Zatrzymała pierścionek, który podarował jej przed wyjazdem. W jednej chwili powróciło wspomnienie przyrzeczeń, które sobie złożyli, niemal usłyszał szmer dawno wypowiedzianych słów. Prosił ją wtedy, aby przypominała sobie o jego miłości za każdym razem, gdy spojrzy na pierścionek, a ona odparła, że jemu o jej uczuciu i wierności przypominać ma widok księżycy na niebie...

Wróble zaczęły ostrożnie skubać okruszki z jej dłoni. George przylgnął do muru, czując, jak po plecach spływa mu strużka zimnego potu. Przysiągł przed Bogiem, że będzie zawsze kochał Susan. Jeżeli ulegnie pożądaniu, na pewno straci wszystko. Serce mocno

załomotało mu w klatce piersiowej. Przygnieciony wyrzutami sumienia i żalem, chwiejnym krokiem ruszył przez trawnik w kierunku podjazdu, gotów za wszelką cenę uciec, nim Rita go zobaczy. Czy można kochać dwie kobiety? Myśl o stracie Susan napełniła go przerażeniem, wręcz zgrozą. Myśl o spotkaniu z Ritą budziła teraz lęk i rozpacz.

Wyszedł na drogę i pośpiesznie wsiadł do samochodu. Kiedy włączył silnik, w lusterku wstecznym zobaczył, jak złocista retrieverka pędem wypada na podjazd. Odjechał, nie oglądając się za siebie.

- Ty głupi psie! - zawołała Rita, kiedy Tarka wróciła do ogrodu. - Co tam takiego zobaczyłaś? - Poklepała sukę po miękkim futrze i pokręciła głową. - Starzejesz się, wiesz? Kto to widział, żeby tak uganiać się za duchami?

Była zadowolona, że ptaki ośmieliły się jeść z jej dłoni. To od matki nauczyła się je oswajać. Pomyślała, że kiedyś Maddie naprawdę pięknie malowała ptaki, i jaka to wielka szkoda, że znowu uciekła w świat kolorowych czasopism i filmów. Weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi, nieświadoma, że George był bardzo blisko i jak mało brakowało, aby jej marzenia się spełniły.

Wracając na farmę, George uświadomił sobie, że być może nigdy więcej nie zobaczy Rity. Jak mówiła jego matka, można mieszkać bardzo blisko i nigdy się nie spotkać, niewykluczone więc, że on przeżyje resztę swoich dni we Frogmal Point i nie natknie się na Ritę. Zdawał sobie sprawę, że dla dobra Susan i ich małżeństwa Rita musi przestać dla niego istnieć.

Susan bez pośpiechu przygotowywała kolację. Przywykła już do życia w dużym domu na farmie. Faye zabrała wszystkie swoje książki i manuskrypty, fotografie i bibeloty, ale pokoje nadal pełne były starych rodzinnych przedmiotów i sprzętów. Susan nosiła się z zamiarem przeprowadzenia całkowitej zmiany umeblowania. Gust Faye był w najlepszym razie ekscentryczny, w najgorszym po prostu fatalny. Zdaniem Susan, nawet ślepiec wybrałby lepsze, bardziej eleganckie rzeczy. Bardzo jej zależało, aby dom Faye i Treesa stał się domem jej rodziny. W tej chwili czuła się tu jeszcze trochę jak gość i nie chciała pozbywać się czegokolwiek, by nie urazić teściowej. George kochał swój dom, ponieważ przypominał mu dzieciństwo,

rozumiał jednak jej potrzebę stworzenia miejsca, w którym mogłaby czuć się dobrze i swobodnie.

Z zamyślenia wyrwał ją warkot silnika. Wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak George podjeżdża pod dom i wyłącza silnik. Kiedy wysiadł z samochodu, spostrzegła, że wygląda inaczej niż zwykle. Policzki miał zarumienione, włosy lekko potargane. Sprawiał wrażenie młodszego i bardzo przypominał chłopaka, którego przed laty poznała na pokładzie statku „Fortuna”. Natychmiast zaczęła się zastanawiać, gdzie był. I z kim.

George stanął w progu i spojrzał na Susan, opartą o kuchenny blat. Wyglądała staro, była mizerna i blada, w kącikach ust miała zmarszczki, które ściągały je w dół i nadawały jej twarzy wyraz smutku. Dziwne, że nie zauważył tego wcześniej... Oboje patrzyli na siebie ostrożnie, w milczeniu. W kuchni unosił się aromat przygotowanej przez Susan zapiekanki. Nigdy nie była dobrą kucharką. W Argentynie mieli Marcelę. W Argentynie byli szczęśliwi...

Susan wpatrywała się w twarz męża zimnymi, nieprzyjaznymi oczami.

- Masz romans? - zapytała chłodno.

Jej pytanie zaskoczyło go nie tylko otwartością, ale także agresywnością. Oczy George'a rozszerzyły się ze zdumienia. Ich chłopięcy, beztroski wyraz zniknął, młody człowiek z „Fortuny” ustąpił miejsca dojrzałemu mężczyźnie.

- Nie - odparł zdecydowanym tonem.

- Gdzie byłeś?

- Na plaży.

- Sam?

- Nigdy nie mówiłaś, że chciałabyś pójść ze mną...

- Bo nigdy mi tego nie zaproponowałeś. - Serce Susan ścisnęło się z bólu, kiedy uświadomiła sobie, jak daleko George się od niej odsunął.

Doskonale wiedziała, że nie była to wyłącznie jego wina - to ona pozwoliła mu stworzyć ten dystans.

- Więc proszę cię o to teraz - uśmiechnął się z nadzieją. - Pójdiesz ze mną na plażę, żebyśmy mogli razem popatrzeć na zachód słońca?

Susan z trudem powstrzymała łzy. Nie znosiła uzalać się nad sobą i okazywać słabość, nienawidziła też, gdy robili to inni. Odwróciła się, żeby wyjąć zapiekanek z piecyka, bo przecież mogłaby spalić się na węgiel w czasie ich nieobecności, ale też ukryć zaczerwienione oczy.

- Bardzo chętnie - odparła.

Nigdy więcej nie rozmawiali o Ricie. Jej duch powoli przestał prześladować ich związek i poszukał schronienia w jaskini, na plaży i na smaganych wichrem szczytach klifów, gdzie razem z ptakami słuchał szeptu i krzyku morza. George wyczuwał obecność byłej narzeczonej w czasie samotnych spacerów brzegiem morza, na które czasami się wybierał, nie pozwalał jednak, aby wspomnienia zakłócały życie jego rodziny, i nigdy nie okazywał że zdarza mu się za czymś tęsknić. Podjął decyzję i pozostał jej wierny.

- Myśli pan, że Faye spotykała się z Tadeuszem Waliszewskim w czasie małżeństwa z Treesem? - zapytała panna Hogmier, opierając się o ladę.

Nieszczęsny duchowny doskonale czuł bijący od niej odór nieświeżego potu. Panna Hogmier mówiła głośnym, syczącym szeptem, chociaż w sklepie nie było poza nimi żywej duszy.

- Nie do nas należy osądzanie Faye - odparł z wyrzutem. - Jej mąż odszedł już do Boga, nie ma więc nic złego w tym, że pokochała innego mężczyznę.

Panna Hogmier zmrużyła powieki i wykrzywiła wąskie wargi w zgorzkniałym uśmiechu.

- Słyszałam, że była z nim, kiedy Trees konał w samotności - zasyczała. - Ale nie powiem, od kogo...

- To prawda. Zawiozła Waliszewskiemu zamówioną przez niego rzeźbę.

- To ona tak twierdzi... - Panna Hogmier wyprostowała się i założyła ręce na piersi. - Jeśli pan chce wiedzieć, to już od pogrzebu Treesa aż paliła się, żeby przeprowadzić się do tego Polaka. Faye sądzi, że nikt się nie domyśli, jak to było naprawdę, ale mnie nie oszuka... Dobrze, że nie jestem plotkarą, wręcz przeciwnie, zawsze uważałam, że trzeba pozwolić ludziom żyć tak, jak chcą...

- Faye nie zwierza się nikomu ze swoich przeżyć. - Wielebny postukał palcem w koszyk z zakupami, mając nadzieję, że panna Hogmier wreszcie zajmie się podliczaniem należności.

Stara kobieta powoli pokiwała głową.

- Cicha woda brzegi rwie! - prychnęła. - Co młodzi mają o tym wszystkim myśleć? Powinniśmy świecić im przykładem. Nic dziwnego, że George ożenił się z Amerykanką, skoro jego własna matka uciekła z Polakiem!

- Wszyscy jesteśmy dziećmi jedyne Boga - rzucił z irytacją duchowny. Nie miał już cierpliwości do panny Hogmier. - Policzyła pani, ile jestem winien?

- Spiesz się wielebnemu, co? Cóż, ostatnio nikt nie ma czasu zamienić paru słów z biedną starą panną... Wszyscy gdzieś pędzą jak szaleni. Nie żebym narzekała, skądże znowu... Jestem pokorną kobietą. Staraj się przejść przez życie w pokorze ducha, powtarzała mi matka. Nie oczekuję wiele, wystarczy okazać mi odrobinę dobroci... Ludzie potrafią być teraz tacy nieprzyjemni, prawda?

Powykręcanyimi przez artretyzm palcami otworzyła czerwony notes i małutkimi cyferkami zapisała w nim należność.

Wielebny Hammond wyszedł ze sklepu, czując się bardzo nieswojo. Jeżeli Faye rzeczywiście zdradziła męża, popełniła śmiertelny grzech, który mógł zaciążyć na losie jej duszy. Duchowny postanowił złożyć jej wizytę. Droga do nieba prowadzi przez żal za grzechy, a jego obowiązkiem było dopilnować, aby do rajy dotarły wszystkie owieczki z jego parafii, także Faye Bolton.

Rozdział trzydziesty piąty

Minęły dwa lata, a Max ciągle znajdował jakiś pretekst, żeby uniknąć ustalenia daty ślubu. Początkowo Delfine nie miała mu tego za złe i wcale się nie skarżyła. Z satysfakcją obnosiła na palcu duży pierścień zaręczynowy z trzema brylantami i zmieniała wystrój domu, nie oszczędzając pieniędzy Maksa. Nigdy nie spróbowała otworzyć drzwi do tajemniczego pokoju narzeczonego. Zbyt pochłaniały ją zakupy, lunche z przyjaciółmi, udział w spotkaniach ekskluzywnych komitetów charytatywnych i towarzyszenie Maksowi w czasie biznesowych podróży, szczególnie tych do egzotycznych krajów. Rola przyszłej pani de Guinzberg bardzo jej odpowiadała, więc z bezwstydną próżnością pozowała fotografom na przyjęciach i udzielała krótkich wywiadów prasie. Max czerpał przyjemność z radości Delfine i wciąż obsypywał ją nowymi prezentami. Śmiał się, kiedy pani Megalith nazywała jego narzeczoną ozdobną szkatułką, ale zawsze poważniał, kiedy opowiadała mu o Ricie.

- Jej rzeźby świetnie sprzedają się w Londynie - informowała go przez telefon. - Dało jej to poczucie niezależności i sukcesu. Może wreszcie pozbyłbyś się tej idiotki i jeszcze raz poprosił ją o rękę?

- Ona mnie nie chce, Primrose. Sama powiedziała, że nigdy nie przestanie kochać George'a.

Pani Megalith głośno cmoknęła językiem o podniebienie.

- Kobiętę najczęściej zdobywa się nieustępliwością, kochany chłopcze. Po co ci ten koszmarny pudel, na miłość boską?

- Bardzo lubię Delfine. Dzięki niej jestem szczęśliwy.

- Delfine to rozpieszczone dziecko. Zaczekaj, aż przeistoczy się w rozpieszczoną kobietę, a wtedy zrozumiesz, co to za nieszczęście...

- Nie bądź taka cyniczna. Delfine jest czarująca, wszyscy ją uwielbiają.

- Poza tobą - rzekła zimno pani Megalith.

Max postanowił zmienić temat. Czy Primrose naprawdę nie rozumiała, ile kosztuje go każda rozmowa na temat Rity?

- Jak się czuje Ruth? - zapytał.

- Trochę już widać, że jest w ciąży. Dobrze znosi swój stan.

- To doskonale!

Na chwilę znowu nawiedziło go dawne pragnienie, aby stworzyć nowe życie i w ten sposób zapewnić ciągłość istnienia rodzinie, którą wojna tak okropnie okaleczyła. Nigdy nie opowiadał Delfine o

nękających go przejmujących snach o malutkiej siostrzyczce, która nie miała szansy dorosnąć. Tylko Rita знаła najciemniejsze zakątki jego serca i drzemiące tam cienie.

- Dzięki tobie jest szczęśliwa i wolna od troski o byt. Dobry z ciebie chłopak, mój drogi.

Max zaśmiał się cicho.

- Pieniądze mają dla mnie niewielkie znaczenie, przecież wiesz - rzekł. - Jeśli jestem w stanie pomóc, to jakże mógłbym tego nie zrobić...

Starsza pani dobrze wiedziała, że Max chciałby także zadbać o Ritę.

- Gdyby Rita za ciebie wyszła, nie musiałaby tak ciężko pracować - zauważyła, wracając do poprzedniego tematu.

- To była jej decyzja, nie moja.

- Och, oboje jesteście tacy głupi... Sami utrudniacie sobie życie, naprawdę! Tak czy inaczej, dzięki Bogu za pana Bradleya, oby jak najdłużej cieszył się dobrym zdrowiem...

Gdy Max odłożył słuchawkę, ogarnęło go przygnębienie, chociaż zwykle rozmowa z Primrose sprawiała mu ogromną radość. Wiedział, że ona myli się co do Rity. Dopóki George żyje, Rita nie znajdzie w sercu miejsca dla niego, Maksa, najważniejsze jednak było to, że wcale nie chciał zostać kimś w rodzaju zastępcy George'a Boltona... Kiedy sekretarka próbowała połączyć go ze współpracownikiem, warknął na nią bez powodu. Postanowił, że po przerwie na lunch przyniesie jej kwiaty i przeprosi za swoje zachowanie.

Ale ku jego wielkiej irytacji po pewnym czasie okazało się, że pani Megalith jak zwykle miała rację. Delfine z każdym miesiącem stawała się coraz mniej urocza. Dojrzewając, pozbywała się wszystkich cech, które tak u niej lubił, odrzucała je jak ubrania, z których zdążyła już wyrosnąć. Stopniowo jego prezenty zaczęły robić na niej coraz mniejsze wrażenie, hotele, w których się zatrzymywali, okazywały się nie dość luksusowe, przyjęcia były nudne, akcje organizacji charytatywnych, dzięki którym wypłynęła na szerokie wody w modnym towarzystwie, czasochłonne, nieciekawe i nużące. Wcześniej przypominała radosnego szczeniaka, który cieszył się każdą pieszczotą i uśmiechem pana, teraz domagała się, aby Max poświęcał jej coraz więcej uwagi, a kiedy nie spełniał żądań, nie kryła rozczarowania i nalegała, żeby wreszcie ustalili datę ślubu.

Delfine wyczuwała jakąś niewidzialną obecność, kogoś, kto odgradzał ją od narzeczonego. Nie chciała odwiedzać Elvestree nie tylko ze względu na słabo skrywaną antypatię ze strony pani Megalith, ale także dlatego, że właśnie tam uczucie obecności trzeciej osoby, nieustannie zagrażającej ich związkowi, wyraźnie się nasilało. Max nigdy nie mówił Delfine, że ją kocha. Powtarzał, że ją lubi, uwielbia, że jest nią zachwycony, lecz nigdy nie wyznał jej miłości. Początkowo nie zwróciła na to uwagi. Był taki hojny, taki dobry... Nigdy nie przypuszczała, że taki mężczyzna zechce się z nią związać. Pochlebiał jej każdy jego uśmiech i gest, ale teraz, po dwóch latach wspólnego życia, przywykła do jego bogactwa i sławy. Pragnęła go, ale nie potrafiła go zdobyć, bo ktoś stał jej na drodze. Była przekonana, że tajemnica kryje się za zamkniętymi drzwiami jedyne go pokoju w domu Maksa, do którego nie miała wstępu. Pewnego ponurego zimowego dnia do Maksa zadzwoniła Ruth.

- Primrose umiera i chce cię widzieć - powiedziała ciężkim od smutku głosem.

Max zostawił gospodyni wiadomość dla Delfine i ruszył w drogę do Devonu. Kiedy przyjechał do Elvestree, dom sprawiał wrażenie ogołoconego z wszelkiego uroku, zimnego, zupełnie jakby część otaczającej go magii także umierała. Zrozpaczony, wszedł do holu, gdzie czekała na niego Ruth.

- Dzięki Bogu, że już jesteś... - jęknęła, padając w jego ramiona. - Primrose nie dożyje wieczoru...

Uściskał ją czule i pognął po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Szybkim krokiem przeszedł przez korytarz i zatrzymał się w progu sypialni Primrose. Ruth podążyła za nim, ogryzając paznokcie i walcząc z łzami. Max rozejrzał się po pokoju i z przerażeniem zobaczył, że na wszystkich meblach i sprzętach siedzą koty, wpatrzone w wielkie łoże dużymi, mądrymi oczami. Pani Megalith spoczywała oparta na białych poduszkach. Jej twarz była szara jak niebo za oknem, a oczy błyszczały rzadko okazywanym uczuciem.

- Chodź do mnie, chłopcze - powiedziała, wyciągając do Maksa drżącą rękę. Miała na sobie fioletowy szlafrok, ale na jej palcach nie dostrzegł ani jednego pierścienia. Tylko kamień księżycowy jak zwykle kołysał się na biuście. - Z tobą też chcę pomówić, Ruth - dodała słabym głosem.

Ruth podeszła do łóżka z drugiej strony i zepchnęła dwa koty na podłogę, żeby usiąść na brzegu.

- Mój czas dobiegł końca. Denzil i Trees już czekają w świetle dusz na mnie z butelką najlepszego szampana, który po tamtej stronie na pewno smakuje jeszcze lepiej niż tutaj... - Zaśmiała się krótko, zaraz jednak zakrztusiła się śliną i z trudem złapała oddech. - Jesteście moimi dziećmi - powiedziała z powagą. - Kocham was oboje mocniej niż którąkolwiek z moich córek i wcale się tego nie wstydzę! Pokochałam was od razu, gdy przybyliście do mojego domu, przerażeni i zrozpaczeni. Mój kochany chłopcze... - Z westchnieniem pogładziła policzek Maksa. - Dobry z ciebie człowiek. Nie rezygnuj z Rity, ona cię potrzebuje. Nie potrafi ci tego okazać, bo to głupia dziewczyna, ale co z tego...

- Zaopiekuję się nią, przyrzekam - odparł Max, całując jej rękę.

- Wiem, mój drogi, i dlatego zostawiam ci ten dom. Czas pokaże, że nie jestem aż tak zwariowana, jak wszyscy sądzą. Nic nie robię bez powodu... - Odwróciła się do Ruth. - Max dopilnuje, żeby nigdy niczego ci nie brakowało, kochanie. Jesteś dobrą mamusią, moja mała dziewczynko... Urodzisz duże, pogodne, pełne uroku dziecko. Zostawiam ci ten kamień. - Przykryła dłonią księżycowy kamień. - Prawie nigdy go nie zdejmowałam... Bóg jeden wie, co zrobicie z tymi wszystkimi kotami, ale jakoś będziecie musieli sobie poradzić... Zadbajcie, żeby Eddie i Elsbeth podzieliły się moimi skarbami, dobrze? - Miała na myśli swoje karty do tarota, kryształy i inne magiczne przedmioty. - Wszystkie wskazówki są w liście, który zostawiłam na tym stole...

Kiedy znowu zwróciła się do Maksa, w jej głosie zabrzmiała zdecydowana, prawie rzeńska nuta.

- Nie chcę żadnego pogrzebu. Niech Bóg broni, żeby ten nadęty stary Hammond miał wypowiadać nade mną ostatnie słowa... Chcę, żebyście poddali moje zwłoki kremacji i rozsypali prochy w ogrodzie. To ciało dobrze mi służyło i chcę, żeby traktowano je z szacunkiem. Nie płaczcie i nie rozczulajcie się, bo ja przecież nie odchodzę. Eddie i Elsbeth będą mnie widywały, bo odziedziczyły mój dar. Całe szczęście, że Antoinette nie wzięła go po mnie, bo gdyby wiedziała, że tamten świat naprawdę istnieje, nie miałabym żadnej radości ze straszenia tej okropnej dziewczyny... - Nagle podniosła wzrok i ze zniecierpliwieniem potrząsnęła głową. - Jeszcze nie, Denzil... Muszę

im jeszcze o czymś powiedzieć... - ujęła dłonie obojga wychowanków i mocno je ścisnęła. - Nie wszystko zostało stracone...

Jednak zanim zdążyła dokończyć zdanie, jej duch uleciał z ciała. Walczyła chwilę, zdecydowana powiedzieć wszystko, co miała do powiedzenia, ale śmierć nie chciała czekać.

- Obca osoba zwróci się do was o pomoc... - wykrztusiła jeszcze i odeszła, wydając typowe dla siebie pełne irytacji prychnięcie.

- Umarła - powiedziała Ruth, nachylając się, aby zamknąć jej oczy.

- Co też miała na myśli? - mruknął Max, przyciskając wargi do dłoni zmarłej.

- Nie mam pojęcia. - Ruth otarła łzy rękawem swetra. - Świat wydaje się bardzo pusty bez niej, prawda?

Skinał poważnie głową.

- Trudno mi uwierzyć, że była ludzką istotą... - szepnął.

- Co zrobimy z kotami?

- To nie jest teraz najważniejsze. Musimy przede wszystkim zawiadomić Hannę i Antoinette, Maddie...

- I Ritę?

- I Ritę.

Ruth rzuciła mu pełne współczucia spojrzenie.

- Pojedź do niej - poradziła. - Od tamtego Bożego Narodzenia minęło sporo czasu. Życie jest zbyt krótkie, żeby tak je marnować...

Max zaparkował samochód przed domkiem Rity i z ulgą spostrzegł ulatujący z komina dym, znak, że ją zastał. Ogarnął wzrokiem zmrożone tchnieniem lodowatego wiatru drzewa i białawe słońce, słabo świecące z bladego nieba. Poczuł, jak jego serce ogrzewa się w ciepłe niezliczonych dobrych wspomnień, związanych z tym miejscem. Pamięć podsunęła mu obraz przytulnej kuchni Rity, zapach kawy i wrażenie ogólnego bałaganu. Uśmiechnął się lekko, chociaż jego wargi drgały nerwowo.

Wysiadł i zatrzasnął drzwiczki. Usłyszał głośnie szczekanie Tarki, potem kroki Rity, śpieszącej do drzwi. Na widok jego smutnej twarzy zaczerwieniła się, zaskoczona i niepewna, jak ma zareagować. Była wściekła, że ani razu nie odezwał się do niej od tamtego nieszczęsnego dnia, że nie zawiadomił nawet o swoich zaręczynach, ale jego smutne oczy i przygarbione ramiona sprawiły, że jej serce zadrżało. Z rezygnacją pokręciła głową.

- Tęskniłem za tobą - odezwał się Max, wkładając ręce do kieszeni i spuszczać wzrok. - Przepraszam cię... Okazałem się marnym przyjacielem.

- Ja też za tobą tęskniłam - odparła miękko. - Chociaż byłam na ciebie strasznie zła, możesz mi wierzyć...

Długo patrzyli na siebie w milczeniu. Policzek Maksa zaczął drgać w oczekiwaniu na wybuch gniewu Rity, ale jej wargi rozciągnęły się w uśmiechu. Max odetchnął.

- Za długo byliśmy przyjaciółmi, żeby rozdzieliły nas jakieś tam oświadczyzny - powiedział, podchodząc do niej i biorąc ją w ramiona.

Nadal pachniała fiołkami.

- Ależ byliśmy głupi! - Objęła go mocno i położyła głowę na jego ramieniu. Czowała się tak, jakby po długiej nieobecności wreszcie wróciła do domu. - Cieszę się, że przyjechałeś... - Odsunęła się lekko i zajrzała mu w twarz, smutną mimo uśmiechu. - Co się stało? - zapytała niespokojnie.

Razem weszli do holu, gdzie Tarka, podniecona, obwąchiwała spodnie Maksa.

- Przynoszę ci smutną wiadomość - powiedział. - Twoja babcia umarła dziś rano...

Rita długą chwilę w milczeniu przetrawiała jego słowa. Jej żal został złagodzony wdzięcznością, bo nie ulegało wątpliwości, że to właśnie śmierć Primrose stała się okazją do ich ponownego spotkania.

- Byłam bardzo przywiązana do tej starej czarownicy... - przemówiła wreszcie. - Megababcia zawsze okazywała mi dużo serca... Chodźmy, wstawię wodę na herbatę.

Max poszedł za nią do kuchni, gdzie dawniej tak często siadali przy stole i dzielili się sekretami. Dobrze znany zapach krówek, świeżego chleba i kawy sprawił, że poczuł, jak ostatnie lata powoli odchodzą. Zdjął palto i usiadł na swoim zwykłym miejscu. Oboje milczeli. Przyglądał się, jak Rita nastawia czajnik z wodą, wyjmując kubki z kredensu i szuka czystych łyżeczek. Nie należała do osób, które się zmieniają, podobnie jak jej babka. Jej skóra wciąż była bardzo jasna i piegowata jak indycze jajo, włosy splątane, tylko oczy straciły niewinność i teraz były pełne cieni. Można by ją wziąć za dziecko morza, pomyślał i nagle rozpaczliwie zapragnął przytulić ją do siebie.

Odwróciła się i pochwyciła jego spojrzenie. Z nieśmiałym uśmiechem postawiła na stole kubki z gorącą herbatą.

- Byłeś przy niej w chwili śmierci? - zapytała, przysuwając sobie krzesło.

- Tak, byliśmy przy niej oboje, Ruth i ja - odparł.

Uczucie osamotnienia, które go ogarnęło, wydawało się ściągać w dół całą jego twarz. Ze współczuciem lekko pogładziła go po rękę.

- Tak mi przykro... - szepnęła. - Wiem, że była dla ciebie jak matka...

- Była stara i przeżyła wiele pięknych, dobrych chwil... Rozumiem, że kiedyś musiała odejść, ale będzie mi jej brakowało... - Oczy Maksa zabłyśły, kiedy w powietrzu rozszedł się nagle otaczający zawsze panią Megalith zapach naftaliny i cynamonu, zupełnie jakby starsza pani stanęła tuż za nim. - Była jedynym ogniwem, jakie łączyło nas z przeszłością. Teraz wydaje mi się, że jakaś część mnie odeszła razem z nią. Ale nie można ciągle patrzeć wstecz... Wczorajszy dzień to w końcu tylko wspomnienia. Rzeczywiste jest to, co dzieje się dzisiaj, a każda chwila jest cenna i wyjątkowa. To wszystko stało się tak nagle... Nie przypuszczałem, że Primrose umrze.

- Nie powinniśmy się smucić, ale cieszyć się, że żyła i była z nami...

- Masz rację. Primrose nie chciałaby, żebyśmy użalali się nad sobą dlatego, że odeszła.

- Trudno mi wyobrazić sobie, że odeszła zupełnie spokojnie... - Rita uśmiechnęła się lekko.

- Powiedziała, że Denzil już na nią czeka, ale pozwoliła, żeby jej przerwał. Wydaje mi się, że musiał siłą przeciągnąć ją na tamten świat.

- To do niej podobne! - Zaśmiała się cicho, z czułością. - Mam nadzieję, że przed odejściem przebaczyła mi, że ją zawiodłam. W ostatnich latach raczej nie mogłyśmy się dogadać.

- Mówiła mi, że teraz sprzedajesz swoje rzeźby w Londynie.

- Tak. Poznałam cudownego starszego pana, który kupuje ode mnie mniej więcej trzydzieści rzeźb rocznie do swojego sklepu. Jest to tak duże zamówienie, że ledwo nadążam. Nie mam pojęcia, kto chce kupować moje prace...

- Jesteś bardzo utalentowana, nie mów o sobie z takim lekceważeniem...

- Tak czy inaczej, mam z tego pieniądze na życie i opłacenie rachunków. Nigdy nie sądziłam, że uda mi się zarobić na rzeźbie. Myślałam już, że będę musiała wrócić do biblioteki.

- Nie chciałbym, żebyś dalej siedziała w tym dusznym, pełnym kurzu miejscu. Cieszę się, że tworzysz ciekawe rzeczy, to naprawdę dobre dla duszy... - Przechylił głowę i ogarnął twarz Rity tak gorącym spojrzeniem, że serce zabiło jej mocniej. - Wyglądasz doskonale, jak spełniona, zadowolona z życia osoba.

- Bo czuję się dobrze i rzeczywiście jestem zadowolona - powiedziała z naciskiem. - Zwłaszcza teraz, kiedy wróciłeś...

Teraz Max zaczerwienił się aż po korzonki włosów.

- Bez ciebie czułam się strasznie samotna. To stare, banalne powiedzenie okazało się prawdziwe - ludzi docenia się w pełni dopiero wtedy, gdy nie ma ich przy nas.

- Nie zostawię cię więcej samej, przyrzekam.

- Co teraz zrobisz? Cieszę się, że Megababcia zostawiła ci Elvestree. Kochasz to miejsce bardziej niż ktokolwiek inny. Ja też je kocham, ale teraz, kiedy znowu jesteśmy przyjaciółmi, będę mogła cię tam często odwiedzać.

- Nie wiem, kiedy przyjadę tu na dłużej - rzekł Max. - Muszę najpierw rozmówić się z Delfine, ona nienawidzi Elvestree...

Imię narzeczonej Maksa wdarło się w ich rozmowę jak fałszywy dźwięk, Rita poczuła się jak zwierzę, którego terytorium jest zagrożone. Zupełnie zapomniała o Delfine... Ostrożnie cofnęła rękę.

- Jedno jest pewne - ciągnął Max. - Będę spędzał tutaj dużo więcej czasu niż w ostatnich latach. Elvestree to dom, który potrzebuje ludzi, zresztą, kto będzie karmił te tłumy kotów...

Rita odzyskała panowanie nad sobą. Cieszyło ją, że Max najwyraźniej także uważa, iż Delfine nie powinna mieszkać w Elvestree. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i zabawnie zmarszczyła nos.

- Najlepiej udawajmy, że Megababcia zapisała koty Antoinette! - parsknęła śmiechem.

Kiedy Max wrócił do Elvestree, po kotach nie było śladu. Ruth zajęła się organizowaniem kremacji, ciało pani Megalith zostało już

zabrane i cały dom stał się nagle dziwnie pusty, jakby jego duch także uleciał. Ruth była równie zaskoczona jak Max.

- Gdzie one wszystkie się podziały? - zawołała, wznosząc ręce do góry.

W tym samym czasie na pobliskiej plebanii zadzwonił telefon. Wielebny Hammond podniósł słuchawkę i usłyszał skrzekliwy głos panny Hogmier, która krzyczała coś przeraźliwie.

- Proszę się uspokoić, nic nie rozumiem... - wybełkotał z zakłopotaniem duchowny.

- One są wszędzie! - jęknęła panna Hogmier. - Wszędzie! Robią potworny bałagan w moim sklepie!

- Kto? - zapytał zaniepokojony Hammond. - Czy mam wezwać policję?

- Koty! Koty tej wiedźmy!

- Koty pani Megalith? Jest pani pewna?

- Musi pan tu przyjść z wiatrówką, natychmiast! Niszczą wszystko, zaraz oszaleją! Żeby coś takiego przydarzyło się mnie, właśnie mnie, biednej kobiecie bez męża, bez żadnej opieki! Nikogo nie obchodzi nieszczęście starej panny! - Głos panny Hogmier wibrował w słuchawce.

- Zaraz przyjdę, ale najpierw zadzwonię do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami...

- Nie bądź głupcem, Elwyn! - zaskrzeczała panna Hogmier. - Przyjdź i powystrzelaj te potwory!

Kiedy jednak wielebny Hammond wyjrzał przez okno, z przerażeniem ujrzał co najmniej dwadzieścia kotów, bawiących się w jego własnym ogrodzie i tarzających się w trawie. W zamyśleniu podrapał się brodę. Wszystko wskazywało na to, że pani Megalith wreszcie porzuciła ten smętny padół.

Delfine nie była zadowolona, że Max pojechał do Devonu bez niej. Nienawidziła Frogmal Point, ale wołała, żeby sam tam nie jeździł. Długo spacerowała po salonie, zastanawiając się, co robić. Myślała o tym czymś, co odgradzało ją od Maksa, a także o pokoju za zamkniętymi drzwiami, w którym na pewno mogłaby znaleźć odpowiedzi na wszystkie pytania. Rozgoryczona brakiem zaufania ze strony Maksa, zaczęła szukać klucza. Postanowiła szybko rozejrzeć się po pokoju i znowu go zamknąć - w ten sposób Max nigdy się nie domyśli, że tam była. Kiedy grzebała w szufladach, na dole rozległ się

dzwonek. Gospodyni poszła do domu, ponieważ miała paskudną gripę, więc Delfine musiała sama otworzyć drzwi. Parsknęła ze zniecierpliwieniem i szybko zeszła na dół, energicznie stukając wysokimi obcasami.

- Tak? - Spojrzała niechętnie na stojącego na schodach na zimnym wietrze starszego mężczyznę w garniturze i płaszczu.

Był wysoki, trochę się garbił. W rękach trzymał dużą paczkę.

- Nazywam się Benjamin Bradley. Czy mam przyjemność z panią tego domu?

- Tak. To dla mnie?

- Dla pana de Guinzberga.

- Co to takiego?

Pan Bradley zamaskował wahanie uprzejmym uśmiechem.

- Czy pan de Guinzberg jest w domu?

- Nie! - W jej głosie brzmiało rozdrażnienie.

- W takim razie przyjdę kiedy indziej. Delfine podejrzliwie zmrużyła oczy.

- Nie trzeba - powiedziała, biorąc z jego rąk pakunek. - Dopilnuję, żeby dostał tę paczkę.

Pan Bradley zmarszczył brwi, ale nic nie mógł zrobić. Bezradnie patrzył, jak młoda kobieta zamyka mu drzwi przed nosem, potem odwrócił się i zszedł na chodnik. Czuł, że popełnił błąd. Zwykle oddawał paczki gospodyni i miał nadzieję, że pan de Guinzberg nie będzie miał mu za złe, że tym razem stało się inaczej. Max de Guinzberg świetnie płacił, a pan Bradley potrzebował pieniędzy. Kto inny zatrudniłby emerytowanego lokaja w tym wieku?

Delfine niecierpliwie rozdarła papier i znalazła wewnątrz rzeźbę przedstawiającą śpiące dziecko, prymitywną, ale naprawdę piękną. Przesunęła palcami po łagodnych liniach ciała dziecka, zwiniętego w kłębek jak kociak, z małą piąstką zaciśniętą wokół kawałka materiału. Jej wściekłość przeminęła w jednej chwili, ustępując miejsca współczuciu. Figurka miała w sobie coś, co sprawiło, że oczy Delfine napełniły się łzami - rzeźbiony wizerunek dziecka był niewinny, kruchy i w dziwny sposób nietykalny. Nagle ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Może Max kupił rzeźbę dla niej, chciał zrobić jej niespodziankę... Rozprostowała podarty papier i spróbowała ponownie zapakować rzeźbę.

Położyła paczkę na stole w holu i wróciła do poszukiwań klucza. Nie znalazła go, więc postanowiła podważyć zamek. Bez rezultatu wypróbowała kilka narzędzi, nie chciała jednak zrezygnować, bo jej ciekawość rosła wraz z irytacją. Powiedziała sobie, że wejdzie do tego pokoju, nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobi. Wreszcie, ku jej wielkiej radości, zamek puścił. Podniosła się z kolan i długo stała z ręką na klamce, mimo wszystko wahając się, czy ją nacisnąć. Teraz, kiedy okazało się, że może wejść do środka, zaczęła się zastanawiać, czy wewnątrz nie kryje się coś przerażającego. Może Max był mordercą i ukrywał tam zwłoki swoich ofiar? Co będzie, jeżeli się dowie, że ona odkryła jego tajemnicę? Może ją także zabije... Drżąc, lecz zdeterminowana uchyliła drzwi i przez szparę zajrzała do środka. W pokoju panował półmrok, ponieważ żaluzje były opuszczone. Namacała włącznik światła i przekreśliła go. To, co ujrzała, sprawiło, że jej usta otworzyły się ze zdziwienia. Ściany zabudowane były półkami, a na nich stały rzeźby, jedna obok drugiej, od prymitywnych po naprawdę bardzo interesujące. Nie ulegało wątpliwości, że wszystkie wyszły spod dłuta tej samej osoby, która wyrzeźbiła śpiące dziecko.

Pokój był zakurzony i zaniedbany, ale Delfine wyczuła unoszący się w powietrzu zapach miłości równie bezbłędnie, jak doświadczony kiper dobre wino. Uważnie przyjrzała się rzeźbom, wśród których było dużo figurek ptaków. Ptaki w locie, z szeroko rozpostartymi skrzydłami, ptaki na ziemi, wydziobujące pożywienie pomiędzy ziaren piasku. Delfine była dość bystra, aby się zorientować, że scenerią dla modeli było wybrzeże, ponieważ nie brakowało tu mew, ryb i dzieci z małymi siatkami. Podejrzewała, że rzeźbiarka pochodzi z Devonu. Poznała kobiecą rękę i nie wątpiła, że to właśnie autorka zgromadzonych tutaj rzeźb, chociaż obecna tylko duchem, nie pozwoliła jej zawładnąć sercem Maksa. Nie wiedziała, dlaczego jej narzeczony zbierał te rzeźby. Skryty dotąd za zamkniętymi drzwiami pokój odpowiadał na wiele pytań, ale zmuszał do postawienia nowych.

Gdy Max przyjechał do Londynu kilka dni później, znalazł paczkę w holu i drzwi pokoju zamknięte, a także Delfine, siedzącą na schodach i czekającą na niego. Z wyrazu jej twarzy natychmiast się domyślił, że jest zmęczona własnym gniewem. Szybko przeniósł

wzrok na pakunek i zorientował się, że papier jest pognieciony i w kilku miejscach rozdarty.

- Byłaś w moim pokoju, prawda? - odezwał się cicho, stawiając torbę na podłodze i zdejmując palto.

- Kim ona jest? - Delfine podniosła się i wyprostowała. - Tylko mnie nie okłamuj, dobrze? Kobieta, która rzeźbi te okropieństwa, jest tą, którą kochasz. Zawsze ją kochałeś. Dlaczego jesteś ze mną, skoro nie czujesz do mnie miłości? Te rzeźby nie są nawet dobre, wiesz? Szczerze mówiąc, są fatalne! - Wzięła zamach i z całej siły uderzyła Maksa w twarz. Cofnął się, ale kiedy na nią spojrzał, w jego oczach wyczytała tylko smutek. - Gardzę tobą za to, że mnie wykorzystałeś - ciągnęła, coraz bardziej podnosząc głos. - Kim ona jest? Żądam odpowiedzi! Mam prawo do odpowiedzi!

Gdy Delfine wpadała w złość, jej francuski akcent stawał się bardzo wyraźny. Max westchnął z rezygnacją i z kieszeni na piersi wyjął klucz. Przeszedł przez hol i otworzył drzwi do tajemniczego pokoju. Podążyła za nim.

- Nie zamierzam cię okłamywać - rzekł spokojnie, włączając światło. - Ta kobieta ma na imię Rita i mieszka we Frogna Point, tam, gdzie dorastałem. Jest wnuczką pani Megalith, która adoptowała mnie i Ruth, kiedy na początku wojny uciekliśmy z Austrii. Kocham ją. Rzeczywiście, zawsze ją kochałem, ale ona nie kocha mnie...

- Więc kupujesz wszystkie jej rzeźby! - prychnęła pogardliwie. - To żałosne!

- Kupuję jej rzeźby, ponieważ ma problemy finansowe. Wiedziałem, że nie przyjmie ode mnie pieniędzy, więc wysłałem do niej człowieka, który udaje właściciela sklepu z pamiątkami, zainteresowanego jej pracami. W ten sposób jej pomagam.

- Sądysz, że ci uwierzę?

- Nie mam powodu kłamać.

- Od jak dawna kupujesz te szkaradzieństwa?

- Nie pamiętam dokładnie, ale chyba od jakichś trzech lat. To nie ma znaczenia, moja droga. Będę je kupował, dopóki starczy mi miejsca.

- Od dawna podejrzewałam, że kochasz inną kobietę. Wyjaśnij mi teraz, dlaczego właściwie jesteś ze mną...

- Ponieważ bardzo cię lubię. Potrafisz mnie rozbawić i twoje towarzystwo sprawia mi przyjemność. Czy na początku nie byliśmy szczęśliwi?

- Teraz jest już na wszystko za późno! Nigdy mnie nie kochałeś! Jeżeli nawet kiedyś byliśmy szczęśliwi, to nie mogę sobie tego przypomnieć, bo zniszczyłeś moje wspomnienia! - Zaczęła płakać. - Odchodzę!

- Delfine!

- Nie, teraz ty mnie posłuchaj! Chcę znaleźć mężczyznę, który mnie pokocha! Nigdy nie byłam druga w kolejce, nigdy nie ustępowałam nikomu miejsca i teraz też nie zamierzam tego robić!

Max w milczeniu patrzył, jak Delfine pakuje swoje rzeczy, wychodzi i wsiada do taksówki. Czuł smutek, ale przede wszystkim wielką ulgę.

I tak Max wrócił do Elvestree. Wprowadził się do czarodziejskiego domu pani Megalith, niepewny, czy po jej odejściu dom będzie taki jak dawniej. Wiedział, że małżeństwo, w którym znalazłby szczęście, i śmiech dzieci szybko przywróciłyby dawną atmosferę, ale on nie mógł obdarzyć Elvestree ani jednym, ani drugim, chociaż bardzo mu na tym zależało. Pierwszej nocy myślał o Lydii i płakał, kiedy ciemność ukryła jego rozpacz przed wszystkimi z wyjątkiem mieszkających w domu duchów. Za wszelką cenę pragnął przypomnieć sobie jej twarz, ale to było niemożliwe, bo w ogóle nie pamiętał małej siostrzyczki. Chciał zadzwonić do Rity, lecz było już po północy. I właśnie wtedy, gdy ogarnął go lęk, zaczął się bać, że wewnętrzna pustka, jaką nosił w sobie, pochłonie go bez reszty, spłynęło na niego uczucie ciepła i miłości, podobne do tego, jakiego doświadczył wiele lat temu, pierwszej nocy po przybyciu do Elvestree. Zaraz potem poczuł, jak ktoś troskliwie otula go kocem i serdecznie całuje w czoło. Nie ośmielił się otworzyć oczu, by nie obudzić się ze snu, chociaż w głębi duszy doskonale wiedział, że wcale nie śpi. Kiedy w powietrzu rozszedł się znajomy zapach naftaliny i cynamonu, Max zrozumiał, że nie jest sam.

Rozdział trzydziesty szósty

W następnych miesiącach Max doglądał interesów Elvestree i co jakiś czas jeździł do Londynu na biznesowe spotkania. Nie zaniedbywał także swoich zainteresowań kulturalnych, zapraszając do magicznego domu pani Megalith zagranicznych polityków, znanych pisarzy, artystów i kompozytorów z całego świata. Sponsorował wystawy, kupił wydawnictwo, któremu nadał nazwę Guinzberg & Megalith, i nadal nadzorował prace założonej przez siebie organizacji charytatywnej, działającej na rzecz Żydów. Starał się nie marnować czasu także i dlatego, aby nie koncentrować się zbyt na swoim pustym życiu prywatnym. Miał też jedną ambicję, która wciąż tliła się na dnie jego zranionej, niespokojnej duszy - chciał odkupić Teatr Cesarski w Wiedniu, choćby po to, by poczuć zapach piżma i perfum, który zapamiętał z dzieciństwa, i posłuchać echa dawno niesłyszanych głosów, mogących wypełnić pustą, rozbrzmiewającą tylko milczeniem przestrzeń w jego sercu.

Bez dominującej osobowości Primrose Elvestree nie było już takie samo. Dom opuściły nie tylko koty, ale i magia. Egzotyczne rośliny zwiędły, warzywa przestały tak znakomicie rosnąć, a wiosna przychodziła o zwykłej porze, wcale nie wcześniej niż gdzie indziej. Niespotykane w Anglii gatunki ptaków nie zbaczały już z kursu, aby spędzić lato w ogrodzie Elvestree, tylko jaskółki jak dawniej gnieździły się tuż pod dachem, nad oknem salonu. Max niczego nie zmieniał w domu ani wokół niego. Szkatułkę z kryształami i innymi magicznymi przedmiotami przekazał Elsbeth oraz Hannie, która miała przesłać połowę rzeczy Eddie, ale poza tym nie ruszał niczego. Mimo tego aura domu wyraźnie się zmieniła.

- Jak to możliwe, że jedna kobieta odcisnęła tak mocne piętno na domu? - powiedział do Rity pewnego dnia w środku lata. - Elvestree jest nadal piękne, ale przestało być wyjątkowe i magiczne. Nic nie smakuje tak samo jak za życia Primrose, nic nie rośnie tak okazale, nawet ptaki są tu teraz takie same jak w całym Devonie...

- Przecież tak naprawdę nie masz powodów do niezadowolenia - odparła Rita, popijając nalewką z czarnego bzu, który rzeczywiście smakował inaczej niż ten, który robiła pani Megalith. - Większość ludzi byłoby zachwyconych urodą Elvestree, możesz mi wierzyć.

Popatrzyła na starannie przystrzyżony trawnik, wysypane świeżym żwirem ścieżki i dalej, w kierunku plaży, gdzie kiedyś

pokłóciła się z Maksem w śnieżny dzień, i zdziwiła się, jak duża część jej wspomnień narodziła się właśnie tutaj.

- Wierzę ci, ale ci ludzie nie wiedzieliby, jak było tu wcześniej...

- Megababcia była czarownicą, a ty jesteś normalnym człowiekiem! - Rita roześmiała się, potrząsając głową.

- Czy dom naprawdę może stać się odbiciem natury osoby, która w nim mieszka? - zapytał niepewnie.

- Jestem o tym przekonana. Ty także odcisniesz piętno na Elvestree, podobnie jak kiedyś Megababcia, i wtedy ten dom będzie nie mniej wyjątkowy niż dawniej, tyle że w inny sposób.

Max bardzo chciał zapytać Ritę o George'a, ale wiedział, że nie powinien tego robić. Nie ulegało wątpliwości, że dla nich obojga jest to wciąż drażliwy temat. Był pewny, że Rita nadal kocha byłego narzeczonego i że szanse na to, aby jej uczucie wygasło, są niewielkie. Ich przyjaźń była taka sama jak dawniej, ale Rita nie rozmawiała już z nim o swojej miłości. Sprawiała wrażenie zadowolonej z życia, lecz Max miał potrzeby fizyczne, które wymagały spełnienia. Zdawał sobie sprawę, że nie zdobędzie kobiety, której pragnął, więc przy okazji każdego pobytu w Londynie brał sobie kochankę. Były to pozbawione wszelkiego znaczenia spotkania, służyły jednak zasadniczemu celowi i pozwalały Maksowi zachować zdrowe zmysły. Usiłował pogodzić się z platoniczną naturą swego związku z Ritą, ale pragnienie posiadania rodziny często doprowadzało go do rozpacz. Czasami myślał, że gdyby zdecydowała się wyjść za niego, byłby nawet gotowy zrezygnować z jej uczucia. Mogłaby nadal kochać George'a, jeśli tego właśnie pragnęła, on zadowoliliby się małżeństwem opartym na przyjaźni, bliskości i zaufaniu. Mogliby zamieszkać w Elvestree i założyć tam rodzinę - Rita kochała przecież dom Primrose tak samo jak on, dla niej to też było szczególne miejsce. Jednak nie ośmielił się ponownie oświadczyć Ricie. Raz popełnił już ten błąd i teraz uważał, że dopóki Rita nosi pierścionek George'a, należy do niego.

Pewnego niedzielного wieczoru, kiedy siedział w gabinecie, patrząc na padający za oknem śnieg i myśląc o tamtym nieszczęsnym dniu, w którym pokłócił się z Ritą, z nieprzyjemnych wspomnień wyrwało go głośne pukanie do drzwi. Odstawił kieliszek z brandy i poszedł do holu, gdzie ogień huczał w kominku tak samo wesoło jak za życia Primrose, chociaż dym nie pachniał już tak cudownie.

Otworzył drzwi i ujrzał stojącą na progu biednie ubraną młodą dziewczynę z malutkim dzieckiem na ręku.

- Proszę do środka! - powiedział energicznie, ujmując ją za ramię. - Przeziębili się pani na śmierć, na miłość boską!

Weszła do holu i rozejrzała się dookoła dużymi, przestraszonymi oczami. Uderzającą bladość jej twarzy podkreślał bardzo jasny, prawie biały odcień włosów i zsiniałe z zimna wargi. Wyglądała na szesnastolatkę, z całą pewnością nie na matkę dziecka, które spało w jej ramionach, otulone jej kurtką.

- Coś się stało? - zapytał Max, pewny, że samochód dziewczyny zepsuł się na pobliskiej drodze albo może straciła orientację w zasypanym śniegiem krajobrazie.

- Tak - odparła, pociągając nosem. - Czy pan jest Maksem de Guinzberg?

- Owszem. Przepraszam, że pani przerywam, ale zupełnie pani przemokła. Może zdejmie pani płaszcz, dobrze? Zaraz przyniosę szlafrok, żeby miała się pani czym przykryć...

- Dziękuję... - odrzekła z wyraźnym niemieckim akcentem.

Max, zaintrygowany, szybko poszedł po ręcznik i szlafrok. Kiedy wrócił, dziewczyna stała przed kominkiem w swetrze i spodniach. Bez słowa podała mu dziecko i wytarła włosy ręcznikiem, potem zaś włożyła szlafrok, cudownie ciepły, ponieważ Max zawsze wieszał go tuż obok gorących rur centralnego ogrzewania w swojej garderobie.

Popatrzył na pogrążone we śnie dziecko i poczuł, jak serce ściska mu się z żalu. Pamięć niespodziewanie podsunęła obraz twarzy małej siostrzyczki. Właśnie teraz, gdy wpatrywał się w uśpione maleństwo, przypomniał sobie, jak kiedyś trzymał Lydię na rękach. Zamrugał ze wzruszenia, wstrząśnięty wspomnieniem ślicznej buzi.

- Jak ma na imię? - zapytał.

- Mitzi - odrzekła dziewczyna.

Obrzucił ją szybkim, zaskoczonym spojrzeniem.

- Tak miała na imię moja babka - ciągnęła. - Moja babka, a pańska matka, panie de Guinzberg...

- Kim pani jest? - zapytał powoli Max.

- Nazywam się Rebecca. Moją matką była Lydia, pańska siostra.

Max usiadł na starym skórzanym fotelu przy kominku. A więc to o tym próbowała mnie uprzedzić Primrose, pomyślał. Nie wszystko zostało stracone...

- Ale moja siostra zginęła w obozie koncentracyjnym razem z naszymi rodzicami... - powiedział w osłupieniu, oddając jej dziecko.

- Nie, nie zginęła. - Rebecca potrząsnęła głową. - Kiedy rodzice wysłali pana i Ruth do Anglii, wielkoduszna sąsiadka zaproponowała, że zaopiekuje się Lydią, dopóki rozpętany wokół Żydów koszmar nie dobiegnie końca. Niemcy zabrali pańskich rodziców, ale dziecko ocalało. Lydia, moja matka, dorosła w domu tych dobrych ludzi. Pod koniec wojny adoptowali ją i aby uchronić dziewczynkę przed świadomością okropnego losu, jaki spotkał jej rodzinę, nigdy nie powiedzieli, kim naprawdę jest. Kilka lat temu umarła na raka, do końca wierząc, że nazywa się Lydia Steiner.

- Nic nie wiedziała? - Max nie potrafił uwierzyć, że przez wszystkie te lata, kiedy on i Ruth byli przekonani o jej śmierci, ona żyła i mieszkała w Austrii.

- Przybrani rodzice mieli ogromne wyrzuty sumienia, ale dopiero tuż przed jej śmiercią zdradzili tajemnicę, którą tak długo skrywali. Dali jej wtedy zdjęcia i kilka drobiazgów, które zostawiła jej matka...

- Ma je pani przy sobie?

- Tak.

- Gdzie? - Max spojrzał na przemoczony płaszcz, który zostawiła w holu.

Dziewczyna spuściła wzrok.

- Zostawiłam rzeczy przed domem...

- W śniegu?

- Nie byłam pewna, czy zechce pan ze mną porozmawiać. Max wyszedł na zewnątrz i po chwili przyniósł brązową skórzaną walizkę, którą na ganku starannie otrzepał ze śniegu.

- Jak pani tutaj dotarła?

- Pociągiem, a potem taksówką.

- Odważna z pani dziewczyna. - Uśmiechnął się lekko, bez cienia złośliwości.

- Postawiłam wszystko na jedną kartę. Poza panem nie mam nikogo, do kogo mogłabym zwrócić się o pomoc...

- A pani mąż?

- Nie mam męża. - Zarumieniła się gwałtownie.

- Rozumiem...

- Mój chłopak zostawił mnie, kiedy zaszłam w ciążę...

Max pomyślał o Ruth. Jak niewiele brakowało, aby także i ona znalazła się w podobnej sytuacji... I co za niezwykle zbieg okoliczności, że i ona, i Rebecca nadały swoim córeczkom imię Mitzi.

- Przyjechała pani aż z Austrii?

- Tak.

- Proszę pokazać mi te zdjęcia. - Max chciał mieć całkowitą pewność, że dziewczyna jest osobą, za którą się podaje.

Rebecca nachyliła się nad walizką i otworzyła ją. Widać było, że starannie spakowała rzeczy, porządnie składając skromne ubrania, spod których teraz wyjęła zniszczone pudełko z grubej tektury. Położyła je na stole i uniosła wieczko. Wewnątrz znajdowało się kilkanaście zdjęć Maksa i Ruth z okresu dzieciństwa, zdjęcia małej Lydii i Lydii jako dorastającej dziewczyny, a wreszcie kobiety. Max drżącą ze wzruszenia ręką wyjął je z pudełka i zaczął oglądać.

- To moja mama zaraz po moim przyjściu na świat. - Rebecca wskazała czarno - białą fotografię, przedstawiającą ładną młodą kobietę, trzymającą na rękach niemowlę uderzająco podobne do Mitzi.

- Bardzo za nią tęsknię...

- Co stało się z twoim ojcem? - Nieświadomie zwrócił się do dziewczyny po imieniu.

- Małżeństwo mojej matki nie należało do szczęśliwych. Miała ciężkie życie. Ojciec zostawił ją dla innej kobiety, którą poślubił po śmierci mamy. Moi rodzice nigdy się nie rozwiedli, ale nie utrzymuję żadnych stosunków z ojcem.

- Jesteś jedynaczką?

- Tak. Nie ośmieliłabym się zawracać panu głowy, panie de Guinzberg, gdyby nie moja sytuacja... Nie mam pieniędzy, a dziecko wymaga opieki... - Głos dziewczyny się załamał, po jej policzkach popłynęły łzy.

- Rebecco... - Max podszedł do niej i otoczył ją ramieniem. - Nie masz pojęcia, jaki jestem szczęśliwy, że mnie znalazłaś... Chyba sam los cię tutaj przyprowadził. Jesteś córką mojej siostry, wszystkim, co mi po niej zostało...

- Nigdy nie zamierzałam pana szukać... - zaczęła cicho.

- Nic nie szkodzi, nie musisz się tłumaczyć - przerwał jej. - Sama jesteś jeszcze dzieckiem. Jesteś za młoda, żeby samodzielnie wychowywać Mitzi. Dotarliście do domu, ty i ona. Jesteście tu bezpieczne, obiecuję, że będę się wami opiekował. - Zamknął

tekturowe pudełko i wyciągnął rękę do dziewczyny. - Chodźmy do kuchni, zrobię ci coś do jedzenia. Na pewno jesteś bardzo głodna. Co jada Mitzi?

- Karmię ją jeszcze sama, panie de Guinzberg. - Rebecca weszła za nim do kuchni.

- Mów do mnie Max, moja droga. Jestem przecież twoim wujem...

Rebecca znowu się rozplakała, co obudziło Mitzi.

Max zajął się przygotowaniem omletu, a w tym czasie Rebecca dyskretnie nakarmiła Mitzi. Potem opowiedziała mu o swojej matce. Max chciał wiedzieć wszystko, pragnął dowiedzieć się nawet tego, jak pachniała skóra Lydii.

- Zawsze otaczał ją zapach róż. - Rebecca się uśmiechnęła. - Jako dziecko często bawiłam się jej włosami. Wiązałam je, zaplatałam, myłam... Miała przepiękne, gęste włosy, takie jak ty. Ja odziedziczyłam włosy po ojcu. On także jest blondynem, ale ma rzadsze włosy.

- Moje także nie są już tak gęste jak kiedyś, ale to kwestia wieku.
- Max odwrócił się, żeby na nią popatrzeć.

Teraz, kiedy przestała płakać, jej uroda po prostu rozkwitła. Była piękną dziewczyną. Jej oczy miały dokładnie ten sam mocny odcień błękitu co oczy Maksa, najbardziej niebieski z niebieskich, a szeroki, czarujący uśmiech czynił jej twarz podobną do twarzy babki Mitzi, sławnej wiedeńskiej piękności.

Rebecca dosłownie rzuciła się na omlet, a w czasie, gdy jadła, Max z rosnącą ciekawością przeglądał zawartość tekturowego pudełka. Była tam złota gwiazda Dawida na łańcuszku, wysadzana brylantami broszka w kształcie motyla, która należała do ich matki, notes ojca z zapisanymi mocnym charakterem pisma modlitwami, stara Biblia w czarnej oprawie i złoty sygnet. Uśmiechnął się na widok starego programu teatralnego z imieniem i nazwiskiem matki na pierwszej stronie. Nie ulegało wątpliwości, że rodzice w pośpiechu próbowali zebrać i ukryć jak najwięcej pamiątek, świadomi, że mogą nigdy nie wrócić. Max ze ściśniętym gardłem ostrożnie brał do ręki kolejne przedmioty. Rebecca była zbyt młoda, aby pojąć, iż te rzeczy miały dla niego znaczenie relikwii.

Kiedy zainstalował ją w sypialni, w której oboje z Ruth spędzili pierwszą noc po przybyciu do Elvestree przed ponad trzydziestu laty,

natychmiast zadzwonił do siostry. Ruth nie mogła uwierzyć, że Rebecca rzeczywiście jest ich siostrzenicą.

- Jesteś pewny, że to nie oszustka? - zapytała.

- Absolutnie. Jest nawet do nas podobna.

- Jak Lydia mogłaby mieć szesnastoletnią córkę?

- Znaczy to tylko, że urodziła ją, mając osiemnaście lat - odparł Max. - Takie rzeczy zdarzają się dość często.

- To niewiarygodne!

- Wiem, wszystko to razem jest po prostu zdumiewające. Rebecca sama wygląda jeszcze na dziecko, a jednak przyjechała tu z własną małą córeczką, i to aż z Austrii. To bystra, porządna dziewczyna, wystarczy zobaczyć, jak ma zapakowaną walizkę. Musisz przyjechać tu jutro, jak najwcześniej. Te fotografie są niesamowite...

- Nie do wiary, że Lydia przeżyła - powiedziała cicho Ruth. - A my przez cały ten czas myśleliśmy, że zginęła...

- Nigdy nie przestanę żałować, że nie zdążyliśmy się z nią spotkać. Dobrze chociaż, że mam szansę zaopiekować się jej dzieckiem. Przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić...

- Jesteś bardzo dobrym człowiekiem, braciszku.

- Nie, kochanie. Pojawienie się Rebeki i Mitzi to prawdziwe błogosławieństwo.

Max mówił prawdę. Nagle odkrył, że wreszcie nie czuje się okaleczony. Wreszcie zniknęła pustka w jego duszy. Teraz miał przed sobą cel o wiele ważniejszy od wszystkich przedsięwzięć biznesowych.

Kiedy następnego dnia Max rozsunął zasłony, z wielkim zdziwieniem zobaczył parę śnieżnych gęsi, stojących na środku trawnika. Zamrugał raz i drugi, lecz ptaki nadal tkwiły tam, gdzie poprzednio - ich białe pióra błyszcząły w słońcu, krótkie czarne dzioby były pięknie wysklepione.

- Wydawało mi się, że mieszkają w Kanadzie... - wymamrotał, przypominając sobie opowiadanie Paula Gallico pod tytułem Śnieżna gęś.

Potrząsnął głową i szybko się ubrał. Z lekkim uśmiechem myślał o wydarzeniach poprzedniego wieczoru. Jak nagle zmieniło się jego życie, dosłownie w jednej chwili... Nowy dzień wydał mu się obiecująco piękny.

Gdy zszedł na dół, poczuł, że zapach drewna, ulatujący z jeszcze ciepłego popiołu w kominku, jest taki sam jak za życia Primrose. Poczł nagle, że dom odzyskał dawną aurę.

Lekkim krokiem wszedł do kuchni. Pani Gunter, kucharka, miała przyjść później, aby przygotować lunch i kolację - do chwili jej przybycia Max miał kuchnię dla siebie. Natychmiast zabrał się do robienia kawy, grzanek i owsianki, wycisnął sok z owoców i usmażył jajka. Wszystko to robił z myślą o Rebecce, ponieważ nie wiedział, na co będzie miała ochotę, a bardzo chciał sprawić jej przyjemność.

Kiedy dziewczyna zeszła na dół, wyglądała zupełnie inaczej niż poprzedniego dnia. Umyła włosy, nałożyła delikatny makijaż i ubrała się w dzinsy oraz jasnobłękitny sweter. Sprawiała wrażenie nieco starszej i uśmiechała się pogodnie. W ramionach trzymała Mitzi, która z wyraźnym zaciekawieniem rozglądała się dookoła.

- To wszystko dla mnie? - zapytała Rebecca, z niedowierzaniem patrząc na zastawiony stół.

- Nie wiedziałem, co lubisz. - Max lekko wzruszył ramionami.

- Dziękuję! - zaśmiała się cicho i dźwięcznie. - Nie mam pojęcia, od czego zacząć...

- Może dałabyś mi na chwilę Mitzi? Chyba nie będzie miała nic przeciwko temu, a ty spokojnie zjesz śniadanie.

- Na pewno chcesz ją potrzymać?

- Oczywiście, przecież to moja cioteczna wnuczka...

- Nie jesteś typowym mężczyzną, prawda?

- Nie mam własnych dzieci - odparł ze smutkiem, biorąc od Rebeki córeczkę.

Mitzi spokojnie ułożyła się w jego ramionach i spróbowała poklepać go po brodzie małą, pulchną rączką.

- Wczoraj wieczorem powiedziałaś, że dotarłam do domu, ale nie wiem, czy... - zaczęła niespokojnie Rebecca.

- Naprawdę jesteś tu u siebie. Należysz do rodziny, ten dom jest także twój.

- Nie wiem, jak ci dziękować...

- Nie musisz, moja droga. Widzisz, dorosłem w przekonaniu, że moja siostra nie żyje, myśl o jej śmierci dręczyła mnie przez długie lata. Gdybyś wczoraj wieczorem nie przyjechała tutaj, nigdy nie poznałbym prawdy i umarłbym jako głęboko nieszczęśliwy człowiek, tymczasem teraz będę mógł odejść z tego świata pogodzony z życiem,

bo wiem, że urodziła ciebie i zdążyła przeżyć wiele pięknych chwil. Ty i Mitzi jesteście śladem, jaki pozostawiła na ziemi, jej przyszłością, a także moją. - Spojrzał na zamyśloną twarz dziewczyny. - Rozumiesz mnie?

- Chyba tak... - odparła powoli.

- Nawet jeżeli teraz nie do końca pojmujesz, o co mi chodzi, kiedyś na pewno zrozumiesz. Jedz śniadanie, bo niedługo przyjedzie moja siostra Ruth, która bardzo chce cię zobaczyć i poznać, a później chyba powinniśmy wybrać się na zakupy. Biedna Mitzi nie ma przecież łóżeczka!

Ruth na powitanie uściskała brata i spontanicznie objęła Rebecę. Długo wpatrywała się w twarz siostrzenicy pełnymi łez oczami, nie wiedząc, co powiedzieć. W rysach dziewczyny rozpoznała swoją matkę, Maksa, nawet siebie samą. Żadne wyjaśnienia i potwierdzenia nie były jej już potrzebne. Wiedziała, że Rebecca należy do rodziny, wyczuła to sercem. Wreszcie mogła mówić o przeszłości. We troje spacerowali po ogrodzie, opowiadając sobie rozmaite historie, rozbudzając wspomnienia i zadając pytania, na które mogła odpowiedzieć Rebecca. Ruth i Max na zmianę nosili Mitzi, oprowadzali siostrzenicę po jej nowym domu i pogodnie patrzyli w przyszłość, ponieważ demony przeszłości odeszły, przestraszone niewinnością dziewczyny. Pili kawę i płakali nad fotografiami. Rebecca wspominała matkę, a Ruth i Max nareszcie byli w stanie rozmawiać o swojej matce.

Kiedy Rita przyjechała na lunch, od razu wyczuła, że stało się coś niezwykłego.

- Czujesz, że dom jest teraz inny, prawda? - Uśmiechnęła się do Maksa. - Pachnie inaczej...

- Tak, wiem.

- Pachnie dymem, drewnem, ciepłem, zupełnie jak dawniej...

- Widziałaś śnieżne gęsi?

- Przyleciały? - zawołała z podnieceniem.

- Para. Rano wyjrzałem przez okno, a one stały na trawniku.

- Przecież tędy nie prowadzą ich szlaki!

- Ale są tutaj, w Elvestree.

- To cudowne... - westchnęła.

- Nie aż tak cudowne jak przyjazd Rebeki.

- To prawda... - Z czułością położyła dłoń na jego ramieniu. - Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że jesteś szczęśliwy...

Rita szczerze żałowała, że nie może cofnąć czasu. Była już po czterdziestce i raczej nie mogła mieć nadziei, że urodzi jeszcze dziecko. George stał się dla niej wyblakłym wspomnieniem, przejrzystym jak obłok dymu i równie ulotnym. W zamyśleniu bawiła się zaręczynowym pierścieniem i zastanawiała, jak będzie wyglądała jej przyszłość teraz, kiedy Max ma rodzinę. Kiedyś ją kochał... Jak na ironię dopiero niedawno zrozumiała, że odwzajemnia to uczucie. Nie spadło to na nią nagle, lecz dokonało się powoli, stopniowo, tak, że prawie nie zauważyła zachodzących w jej sercu zmian. Długo nie śmiała spojrzeć prawdzie w oczy, ale teraz, gdy życie Maksa nagle obrało inny kurs, uświadomiła sobie, że ona zostaje z tyłu i że bardzo jej się to nie podoba.

Dawna magia w pełni wróciła do Elvestree wiosną, kiedy Rebecca i Mitzi na dobre się tam zadomowiły. Kwiaty znowu były większe i piękniejsze niż gdziekolwiek indziej, rzadkie warzywa i owoce obrodziły, zaskakując ogrodników, przybyło mnóstwo ptaków, aby budować gniazda wśród gałęzi potężnych, wyniosłych drzew, które od wieków czuwały nad tym tajemniczym zakątkiem Anglii. U ujścia rzeki widziano pliszki, maskonury, tkacze, a nawet albatrosa. Dom znowu rozbrzmiewał śmiechem, a Rebecca i Ruth z radością patrzyły na swoje dzieci, bawiące się na trawniku. Rebecca była otwartą, serdeczną osobą i często zapraszała na podwieczorki mamy innych maluchów. Max z przyjemnością słuchał brzęku naczyń i gwaru rozmów, bo Rebecca stała mu się bliska jak córka, a ona też widziała w nim raczej ojca niż wuja. Rita obserwowała ich z narastającą zazdrością. Pokochała Rebekeę i Mitzi, ale smuciło ją, że uwaga Maksa nie jest już skoncentrowana wyłącznie na niej. Przestał obserwować ją z taką tęsknotą jak dawniej. Wciąż wracała myślami do tamtego zimowego dnia, kiedy odrzuciła jego oświadczenia, i zastanawiała się, czy zdążył już zapomnieć, że ją kocha.

I właśnie wtedy, wśród tej wielkiej radości, George doznał udaru. Hanna dowiedziała się o tym od Faye i przekazała wiadomość Ricie, którą ogarnęło ogromne przygnębienie. Pragnęła odwiedzić George'a w szpitalu, ale wiedziała, że jej wizyta nie jest pożądana, a w jego stanie mogła wyrządzić więcej złego niż dobrego. Codziennie pytała

matkę, czy nie słyszała nic nowego, lecz nadchodzące ze szpitala wieści nie były zbyt pocieszające.

George ugiął się pod ciężarem lat, chociaż nie był starym człowiekiem. Może zniszczyły go traumatyczne przeżycia wojenne, może późniejsze napięcia, a może tajemnicza siła miłości, bo George kochał, chyba zbyt mocno i głęboko.

Rozdział trzydziesty siódmy

Susan siedziała na plaży i płakała. Rzadko pozwalała sobie na łzy, ale tutaj, w objęciach zmroku, czuła się całkowicie bezpieczna. Patrzyła, jak jej szczęście znika w mgłę na horyzoncie, tam, gdzie morze i niebo tworzą bramę, przez którą przechodzi się do innego życia. Patrzyła tak, jakby George już nie żył. Był pełen energii i witalności, silny jak dąb, był jej siłą i skałą, na której mogła się oprzeć, a teraz leżał przykuty do łóżka, nieruchomy i niemy, zupełnie jak starzec, chociaż miał dopiero czterdzieści siedem lat.

Nieszczęście przyszło nagle, bez ostrzeżenia. George był na farmie i pracował, kiedy poczuł ból, ściskający mu głowę jak żelazne imadło. Jeden z robotników przybiegł do domu, do Susan, która była wtedy w ogrodzie z Charliem, przystojnym dwudziestolatkiem, po uszy zakochanym w Daisy Weaver. Zadzwonili po karetkę, która przewiozła George'a do szpitala w Exeter. Podobnie jak jego ojciec, Charlie wykazał się odpowiedzialnością i rozwagą, ale Susan była zbyt zrozpaczona, by to dostrzec. Teraz George przebywał w domu opieki Yew Tree, gdzie zajmowali się nim lekarze i rehabilitanci, znacznie lepiej przygotowani do takich zadań niż Susan. Serce jej pękało, kiedy widziała go w takim stanie, bo doskonale zdawała sobie sprawę, że musi czuć się okropnie, jak niedźwiedź bez pazurów albo lew bez zębów. Jakaś część George'a już odeszła, a część jej samej podążała za nim.

Zapra gnęła, aby szum lizających brzeg fal koił jej udęczoną duszę - ten szum miał własny rytm, podobnie jak muzyka. Pozwoliła, aby jej umysł zagłębił się w uliczki przeszłości, wróciła myślami do dnia, kiedy poznała George'a na pokładzie „Fortuny”. Pamiętała, jak chłodno go wtedy potraktowała i jak później na plaży w Urugwaju w jej ciele obudziło się coś znacznie potężniejszego i bardziej prymitywnego niż przyjaźń. Uśmiechnęła się lekko, wspominając, jak nie potrafiła mu zaufać, jemu, który okazał się sensem jej istnienia. Z jaką przebiegłością postarała się później, aby Agatha zaprosiła ją na ranczo w Cordobie... Byli tam tacy szczęśliwi... Przypomniała sobie, jak George pierwszy raz pocałował ją w przecięty blizną policzek, i natychmiast się rozplakała, ponieważ wiedziała, że może już nigdy nie poczuje dotyku jego warg na skórze. To George nauczył ją akceptować i kochać samą siebie i odwzajemniać miłość.

Przegalopował przez jej smutną duszę jak rycerz na białym koniu i pokonał wszystkie demony.

A jego własny demon? Czy zdołał go zabić, czy raczej padł jego ofiarą? Może przeszłość, która tak go dręczyła, zwinęła się na dnie serca jak jadowity wąż, który tylko czeka na odpowiednią chwilę, by zaatakować... Może wspomnienia z okresu wojny i związane z Ritą wyrzuty sumienia w końcu go pokonały... Może nadal kochał Ritę i ta siłą zdławiona, niespełniona miłość zatrzymała cały jego organizm... Cóż, teraz to wszystko nie miało już większego znaczenia. Miłość George'a i Susan przetrwała, chociaż Frogal Point i jego duchy pozbawiły ją początkowej intensywności.

Susan siedziała na plaży, dopóki ciemność nie objęła jej chłodnymi ramionami, a na niebie pojawiły się gwiazdy i zamrugały do niej pocieszająco. Morze wciąż w równym rytmie uderzało o skały, lekki wiatr muskał jej twarz. Czuła, że jest częścią przyrody, jak leżąca na plaży muszla czy przyczajony w piasku krab, i nagle zrozumiała, że Bóg jednak istnieje i że to Jego głos dociera do niej w szeleście wiatru. Ten głos mówił, że wszystko w życiu ma swój cel i że nic nie jest przypadkowe. George wypełnił swoje przeznaczenie, jego choroba przyszła wtedy, kiedy miała przyjść. Susan odetchnęła z ulgą, ponieważ wreszcie pojęła, że walka z losem nie ma sensu. Wszystko działo się poza jej kontrolą, to nie ona decydowała, co się z nią stanie. Musiała po prostu poddać się sile wyższej i modlić się. Zaczęła modlitwę od razu, błagając Boga o miłosierdzie i łaskę, bo nie wiedziała, jak ma żyć dalej bez George'a. Dawno zapomniała, jak to jest być samodzielną, i uzależniła się od jego miłości.

Na pogrążonej w ciemności plaży po raz pierwszy uświadomiła sobie, że teraz naprawdę należy do Frogal Point. Ku swemu zaskoczeniu właśnie tutaj zbudowała dom pełen wspomnień i uczuć, dom wsparty na solidnym fundamencie. Wiedziała, że Frogal Point nigdy nie stanie się jej miejscem na ziemi - ślady jej stóp na piasku były wciąż świeże, podczas gdy George odcisnął tu swoje jako mały chłopiec - ale widziała je, były wyraźne i biegły tuż obok śladów męża. Codziennie patrzyła na swego syna i Daisy z nadzieją, że pewnego dnia pobiorą się i będą pokazywać swoim dzieciom ptaki morskie i inne stworzenia, dokładnie tak samo, jak kiedyś robili to George oraz Maddie. Cieszyła się przyjaźnią Avy i Elsbeth, świadoma, że ta więź będzie podtrzymywać jej córkę przez całe życie.

Mimo jej obaw, dzieci stały się częścią Frognał Point, podobnie jak wcześniej ich ojciec, i ta mała wioska zrodziła uczucie przywiązania także i w jej duszy.

Kiedy wróciła do domu, Charlie i Ava czekali na nią w kuchni. Ava przygotowała kolację, natomiast Charlie całą godzinę rozmawiał z Daisy przez telefon. Oboje spojrzeli na mokrą od łez twarz matki i prawie jej nie poznali. W ostatnich tygodniach Susan bardzo schudła. Każde odwiedziny w domu opieki wyciskały z niej jakąś część energii, ale dzieci nie rozumiały jej miłości. Charlie i Ava byli jeszcze zbyt młodzi. Ale Charlie zamierzał poślubić Daisy. Swoją rozpacz i poczucie bezradności, wywołane chorobą ojca, ukrył na dnie serca, znajdując ucieczkę przed rzeczywistością w białym ciele Daisy. Spotykali się w tajemniczej jaskini na plaży, do której wejście odkryli przypadkiem, ponieważ było zasłonięte wysoką trawą. Ava wiedziała o tych spotkaniach od Elsbeth, która czasami podglądała młodych kochanków.

Susan była wdzięczna dzieciom za wsparcie, jakiego jej udzielały. Ava robiła zakupy i dbała, aby na stole zawsze było coś smacznego, Charlie woził matkę do domu opieki, żeby nie musiała jeździć sama, i siedział na tarasie, paląc papierosy, kiedy ona spędzała czas z mężem, wspominając, dzieląc się z nim nowinami o dzieciach albo po prostu mu czytając. George najbardziej lubił opowiadania Oscara Wilde'a i Maupassanta. Patrzył na Susan smutnymi oczami, a ona napinała mięśnie twarzy, siłą przywołując pogodny uśmiech, chociaż jej serce pragnęło zapaść w wieczny sen.

Teraz Charlie i Ava patrzyli, jak matka wchodzi do kuchni. Jej policzki były zaczerwienione od wiatru, a sięgające ramion włosy potargane.

- Masz ochotę na kieliszek wina, mamo? - zapytał Charlie.

- Chętnie, dziękuję ci - odparta. - Coś cudownie pachnie - dodała, spoglądając na córkę.

- Pieczony kurczak z warzywami. Przygotowałam też ziemniaki, specjalnie dla Charliego, bo przy tak intensywnym wysiłku fizycznym będzie musiał mieć dużo siły... - Ava uśmiechnęła się szeroko.

Starła się sprawić, aby atmosfera w domu stała się pogodniejsza, i dlatego pozwoliła sobie zażartować z zajęć, którym jej brat oddawał się w jaskini.

Susan lekko zmarszczyła brwi, była jednak zbyt wyczerpana, aby dociekać, o co chodzi. Charlie i Ava stale sobie dogryzali, a ona najczęściej nie zwracała na to uwagi. Kiedy syn podał jej kieliszek dobrze schłodzonego chardonnay, ciężko opadła na krzesło. Mimo obecności dzieci czuła się bardzo samotna. Ava i Charlie mieli przed sobą przyszłość pełną miłości i spełnienia, natomiast jej serce powoli konało w domu opieki Yew Tree. Wiedziała, że nigdy więcej nie pokocha mężczyzny.

Po kolacji Charlie oświadczył, że pragnie ożenić się z Daisy, ale czuje, że nie powinien prosić ją o rękę, dopóki stan zdrowia ojca nie ulegnie poprawie.

- Robisz błąd - powiedziała Susan. - Ojciec na pewno bardzo się ucieszy. Właśnie teraz potrzebuje dobrych wiadomości...

W oczach Charliego zabłysło podniecenie i Susan uświadomiła sobie, że chociaż jej dzieci tęsknią za ojcem i szczerze martwią się jego chorobą, to muszą myśleć o własnym życiu. Zazdrościła im młodości. Och, gdyby tak mogła zacząć żyć od nowa, z George'em... Czy postępowałyby inaczej? Czy zdecydowałyby, że powinni zostać w Las Dos Vizcachas? Patrząc na szczęście dzieci wiedziała, że decyzja o przeprowadzce do Frogal Point była słuszna, chociaż dla niej niewątpliwie bardzo trudna.

Następny dzień był pogodny i ciepły. Sierpniowe słońce grzało z większą siłą niż przez całe lato. Charlie i Ava pojechali razem z matką do ojca. Oboje chcieli go zobaczyć - Charlie nie mógł się doczekać, kiedy powie mu o swoich zamiarach wobec Daisy, Ava zaś przez parę ostatnich dni nie odwiedzała George'a. Jechali w milczeniu, patrząc, jak słoneczne promienie rozświetlają fale i szerokimi pasmami wędrują po plaży. George siedział w fotelu na kółkach na tarasie, z którego roztaczał się piękny widok na cichą, piaszczystą zatokę i ciemnoniebieskie morze. Na jego otulonych kocem kolanach leżały notatnik i pióro, bo z ich pomocą porozumiewał się teraz z otoczeniem. Na widok rodziny uśmiechnął się, unosząc w górę jeden kącik warg, co teraz, po wylewie, było bardziej widoczne niż wcześniej. Susan pomyślała, że jego oczy błyszczą niezwykle radością, i jej serce wypełniła nadzieja. Może nowy przypływ optymizmu obudzi siły witalne George'a i przyspieszy jego rekonwalescencję, kto wie... Czule pocałowała męża w policzek i

ujęła jego dłoń, czując, jak w jego bezużytecznym ciele serce bije wielką miłością.

Nie miała pojęcia, co spowodowało zmianę, jaka w nim zaszła, ale zrozumiała, że George zaakceptował swój stan. Radość życia otaczała go niczym ciepła aureola światła.

- Zamierzam poprosić Daisy, żeby za mnie wyszła - powiedział Charlie, chcąc jak najszybciej przekazać ojcu nowinę.

Dzieci są mało spostrzegawcze, pomyślała Susan. Przemiana duchowa George'a była dla niej tak wyraźna i oczywista, jakby nagle zaczął mówić, tymczasem Charlie był zainteresowany tylko własnymi sprawami. George zachęcająco mrugnął do syna i drżącą ręką napisał na kartce: „Mam nadzieję, że się zgodzi”. Charlie zaśmiał się, przekonany, że właśnie tak będzie. George dostrzegł podobieństwo między sytuacją swoją i syna, lecz na szczęście Charlie nie musiał walczyć na wojnie, która wykoślawiłaby jego system wartości i wywarła destrukcyjny wpływ na umysł. George miał przecucie, że Charlie i Daisy będą żyć we Frogal Point życiem, które było przeznaczone jemu i Ricie, i że zaznają prawdziwego szczęścia.

- Chciałbym wziąć ślub w kościele we Frogal Point - ciągnął Charlie.

- Dzięki Bogu, że wielebny Hammond nie wygłasza tam już swoich kazań - powiedziała Susan. Zniżyła głos, ponieważ duchowny także od pewnego czasu mieszkał w domu opieki Yew Tree. - Zawsze robił na mnie wrażenie dość aroganckiego człowieka. Młody proboszcz jest dużo bardziej sympatyczny...

George uśmiechnął się lekko i powoli skinął głową.

- Możesz być moją druhną - Charlie rzucił siostrze złośliwe spojrzenie.

- Za żadne skarby świata! - zachichotała Ava.

- W takim razie zapłacę ci, żebyś siedziała cicho jak mysz pod miotłą - syknął Charlie.

- Charlie i Daisy znaleźli jaskinię na plaży... - Ava nachyliła się do ucha ojca i sugestywnie uniosła brwi.

- Zamknij się, mała!

- Tatę to rozbawiło, głupku! - rzuciła dziewczyna, robiąc zabawną minę.

Na chwilę oczy George'a wypełniły łzy. A więc znaleźli tajemniczą jaskinię i odcisnęli na miękkim piasku ślady swojej

własnej miłości... Ogarnął go łagodny smutek, jakby przyływ wkradł się do groty i zmył ślady stóp jego i Rity, ślady, które miały tam pozostać na zawsze. Wkrótce na ich miejscu pojawią się nowe ślady i nowe wspomnienia, wspomnienia innych ludzi. Życie było jak morze...

Niedługo potem Charlie i Ava poszli na spacer po plaży, zostawiając rodziców samych. Susan usiadła obok George'a. Długo patrzyła w ślad za dziećmi, mocno ściskając jego rękę.

- Mam wrażenie, że czujesz się dziś lepiej, kochany... Wiem, jakie to okropne, że nie możesz się odezwać, ale z czasem wszystko wróci do normy. Pokonasz te słabości dzięki sile ducha, jestem tego pewna... - Odwróciła się i spojrzała mu w oczy, teraz zamglone i smutne. Serce ścisnęło jej się z bólu na widok jego bezradności. - Wszyscy tak bardzo cię kochamy... - powiedziała, zdumiona, że z jej ust wydobył się tylko cichy szept.

George zamrugał, na jego długich rzęsach zawisła łza. Otarła ją z czułością, nachyliła się i pocałowała go. Chwilę wpatrywał się w jej twarz, a potem sięgnął po notatnik. „Nie zasłużyłem na ciebie”, napisał.

- To nieprawda! - zaprotestowała, przytulając policzek do jego twarzy. - Zasłużyłeś na całą miłość, jaką noszę w sercu!

George utkwiał wzrok w bezmiernym oceanie. Nigdy nie widział aż tak błękitnego nieba. Fale lśniły i połyskiwały w słońcu. Miał wrażenie, że coś ciągnie go ku wodzie, jakby instynkt podpowiadał mu, że powinien obmyć w nim swoje zniszczone ciało. Ogarnęło go pragnienie, aby zerwać się z fotela i pobiec przez plażę, ale był sparaliżowany, uwięziony w klatce z bezużytecznego ciała i kości. Nagle zobaczył jakąś postać, biegnącą ku niemu z rozpostartymi ramionami. Włosy miała splątane jak morskie wodorosty, śmiech podobny do wołania mewy, wiatr niósł ją na swoich skrzydłach, pozwalając bez trudu biec po piasku. Ubrana była w cienką letnią sukienkę i rozpinany sweter, a jej piegowata twarz promieniała radością. Próbował zawołać: „Rita! Rita!”, ale jego głos zablokowany był gdzieś w głębi klatki piersiowej, tam, gdzie serce mocno biło z tęsknoty i pragnienia. Udało mu się tylko lekko unieść rękę, miał jednak nadzieję, że Rita zauważy ten gest i zorientuje się, że ją woła. Zaczęła machać do niego, dając mu do zrozumienia, żeby podążył za nią. Czy nie wiedziała, że nie jest w stanie się ruszyć? Jej ręce powoli

falowały w powietrzu, twarz rozjaśnił szeroki, zachęcający uśmiech. George próbował potrząsnąć głową, powiedzieć jej, że jest kaleką, lecz wtedy okazało się, że siła jego woli jest potężniejsza od fizycznego oporu, jaki stawiało ciało. Płynnym ruchem uniósł się z fotela, zostawiając w nim zdruzgotane, pomięte niczym znoszona rzecz ciało. Z uczuciem niewypowiedzianej ulgi popłynął nad trawnikiem, a potem nad plażą i dalej, dalej, tam, skąd Rita machała do niego energicznie i radośnie. Jego kończyny poruszały się z taką lekkością i łatwością, jakby były utkane z promieni słonecznych. Duszę wypełniła mu niezwykła radość. Płynął ku wielkiemu, wspaniałemu światłu, które wołało go do siebie, i nagle zobaczył ich wszystkich, o twarzach promieniejących młodością i zadowoleniem. Byli tam i czekali, aby powitać go w domu - Jamie Cordell, Rat Bridges, Lorrie Hampton, Trees, jego ojciec i wielu, wielu innych.

Rita nigdy nie zajrzała do Biblii, którą zostawił jej wielebny Hammond. Zapomniała o niej i przez wiele lat nie pamiętała nawet, że Pismo Święte leży na małym stoliku w kącie pokoju. Aż do teraz. Wzięła księgę do ręki i delikatnie pogładziła skórzaną oprawę. Duchowny starał się jej pomóc. Wszyscy chcieli jej pomóc, a ona nic nie rozumiała. Za bardzo bała się kolejnych rozczarowań i nie chciała zrobić kroku do przodu. Rozczarowania przeszłości były jej dobrze znane. Przywykła do swojego małego domku i samotnego życia, ale teraz, kiedy Rebecca odmieniła przeszłość Maksa, wszystko się zmieniło. Odkryła, że ona także chce stać się częścią tych zmian.

Wsiadła do samochodu i pojechała do Elvestree. Max pracował w gabinecie. Kiedy stanęła w drzwiach, uśmiechnięta i promienna, przechylił głowę na bok i lekko zmarszczył brwi.

- Zjesz ze mną lunch? - zapytała.

- Co się stało? - odpowiedział pytaniem, zaskoczony zmianą, jaka zaszła w jej twarzy.

Wyglądała młodziej, jakby zrzuciła starą skórę. Serce Maksa zadrżało boleśnie. Po wszystkich tych latach wciąż jednym uśmiechem wprawiała go w bezbrzeżny zachwyt, taką miała nad nim władzę...

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała.

- Dokąd chcesz pojechać?

- Najpierw do domu opieki Yew Tree. Powinnam oddać tę Biblię wielebnemu Hammondowi, który tam teraz mieszka. To niedaleko,

możemy wziąć taksówkę, a później wybrać się do jakiegoś pubu. Już dawno nigdzie nie byliśmy...

Max był zbyt zaciekawiony, aby nie skorzystać z tej propozycji.

- Powiem tylko Rebecce...

Do Yew Tree pojechali samochodem Maksa.

- Dlaczego akurat teraz chcesz oddać mu Biblię? - zagadnął.

- Pożyczył mi ją wiele lat temu, więc chyba czas zwrócić zwłaszcza że jest to bardzo piękne, stare wydanie.

- Dlaczego ci ją pożyczył?

- Uznał, że jestem jedną z zagubionych owieczek, bo przestałam chodzić do kościoła.

- I co?

- Chcesz wiedzieć, czy znowu zaczęłam chodzić na nabożeństwa? Tak, ale nigdy nie sięgnęłam po jego Biblię.

- Czasami dziwię się, że nigdy nie próbował nawrócić mnie i Ruth...

- Nie, wy oboje byliście dla niego straceni. Wielebny Hammond nie lubił przegrywać, dlatego wolał atakować takie na wpół zbłąkane owieczki jak ja. Czuł, że ma szansę sprowadzić je na właściwą drogę. Megababci także nigdy nie nawracał, bo wiedział, że czekałaby go całkowita porażka.

- Co znaczy, że nie był pozbawiony inteligencji... - uśmiechnął się Max.

Ogarnęło go dziwne zdenerwowanie, chociaż zupełnie nie wiedział, z jakiego powodu. Miał wrażenie, że oboje znowu są bardzo młodymi ludźmi, więc czym prędzej skoncentrował się na ostrożnej jeździe.

Przejechali przez białą bramę, wysadzany sosnami podjazd i zatrzymali się przed imponującym budynkiem w wiktoriańskim stylu, kiedyś prywatną rezydencją miejscowego milionera. Max wszedł z Ritą do holu, gdzie za biurkiem z ciemnego drewna siedziała recepcjonistka. Przez otwarte francuskie okno widać było morze. Max dotknął lekko ramienia Rity i powiedział, że zaczeka na nią na tarasie.

- To nie potrwa długo... - rzuciła, odwracając się do młodej dziewczyny w pielęgniarskim stroju.

- Chciałabym zobaczyć się z wielbnym Hammondem. Nazywam się Rita Fairweather.

Pielęgniarka skinęła głową i ukazała w uśmiechu duże zęby.

- Oczywiście... Pierwsze piętro, pokój numer czternaście. Proszę skręcić w prawo i pójść prosto, schody są przy końcu korytarza.

Drewniana podłoga pachniała pastą. Deski lśniły czystością, na ścianach wisiały obrazy o tematyce marynistycznej. Schody cicho skrzypiały pod stopami Rity, przywodząc jej na myśl farmę Boltonów, chociaż te były szersze, bardziej imponujące, a na podeście znajdowało się ogromne okno. Kiedy zapukała do drzwi pokoju wielebnego Hammonda, okazało się, że gdzieś wyszedł. Chwilę czekała w korytarzu, wreszcie postanowiła skreślić parę zdań na kartce i zostawić list razem z Biblią na łóżku duchownego.

„Przykro mi, że pana nie zastałam. Jak sam pan powiedział, nie od razu Rzym zbudowano. Dopiero teraz gotowa jestem położyć pierwszy kamień. Z serdecznymi podziękowaniami, Rita”.

Spojrzała na pierścionek z brylantem, który teraz lśnił chyba trochę słabiej niż dawniej. Nie wiedziała, dlaczego nosiła go tak długo, chociaż już dawno stracił dla niej wszelkie znaczenie. Musiała zrobić jeszcze jedną rzecz.

Lekkim krokiem szła przed siebie korytarzem, zbyt zamyślona, aby we właściwym momencie dostrzec poważną młodą kobietę, idącą naprzeciwko niej z tekturowym pudełkiem w rękach. Wpadła na nią i wytrąciła jej pudełko z dłoni. Dziewczyna szybko uklękła na podłodze.

- Strasznie panią przepraszam! - zawołała z przerażeniem Rita. - Zamyśliłam się, to dlatego...

Przerwała, ponieważ rozpoznała Avę. Dziewczyna zamrugła niepewnie. Wiedziała, że gdzieś już widziała tę kobietę, ale nie mogła sobie przypomnieć, gdzie i kiedy.

- Jestem Rita Fairweather... Ava Bolton, prawda? Co tutaj robisz?

- Wczoraj umarł mój ojciec. Przyszłam zabrać jego rzeczy...

- George umarł? - Rita powtórzyła z niedowierzaniem, powoli kręcąc głową. - Przecież był jeszcze młody...

- Zabił go drugi wylew.

Zapadło milczenie. Rita powoli przetrawiała tę wiadomość. George nie żyje? Odszedł na zawsze?

- Bardzo ci współczuję... - wyjąkała, pomagając Avie pozbierać rozsypane drobiazgi.

- Dziękuję - odrzekła Ava. - Wszystko to stało się nagle, ale teraz ojciec jest już w lepszym świecie. Naprawdę w to wierzę.

- Ja także - odparła Rita.

Podniosła z podłogi dwie książki i pióro. Była zdumiona, ponieważ jej smutek był przytłumiony, jakby wyblakły. Nagle dotarło do niej, że George, którego kiedyś kochała, zmarł dawno temu i ona zdążyła go już opłakać.

W tej samej chwili zauważyła małą czarno - białą fotografię, którą dała mu na początku wojny, starannie zamkniętą w kopercie z przezroczystej folii. Usiadła i długo patrzyła na zdjęcie, zaskoczona jego widokiem.

- Kto to jest? - zapytała.

- Nie wiem - odrzekła Ava, zamykając pudełko. - Chyba ktoś, kto był dla niego bardzo ważny. Znalazłam to zdjęcie w kieszonce jednej z jego koszul. Musiał często nosić je przy sobie...

Rita uśmiechnęła się i oddała fotografię dziewczynie. Ava skinęła głową, podziękowała i ruszyła w dół po schodach, lekko postukując obcasami.

A więc naprawdę ją kochał... Tak jak obiecał, aż do śmierci nosił jej zdjęcie, tyle że teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Przed dziesięciu laty jej serce oszalałoby ze wzruszenia, lecz młoda kobieta, którą wtedy była, dawno przestała istnieć. Wyrosła już z jej skóry. Chwilę okręcała na palcu pierścioneł, a potem szybko zeszła do holu.

Znalazła Maksa na tarasie, z papierosem w ustach. Bez słowa wzięła go za rękę i poprowadziła ścieżką na plażę. Szedł za nią, zastanawiając się, dlaczego na policzkach ma rumieniec, a w oczach blask, którego od tak dawna nie widział. Kiedy dotarli na sam brzeg, tam gdzie fale lizwały piasek, odwróciła się do niego, spojrzała mu w oczy i powoli zdjęła pierścioneł z palca.

- Powinnam była zrobić to dawno temu - powiedziała i rzuciła złoty krążek daleko w morze.

Oboje patrzyli, jak z cichym, prawie niedosłyszalnym pluśnięciem wpada do wody i znika. Max nie miał pojęcia, co powiedzieć. Serce biło mu jak szalone, ale nie śmiał budzić w nim nadziei.

- Kiedyś poprosiłeś mnie, żebym za ciebie wyszła... - zaczęła Rita.

Przerwała. Może właściwa chwila już minęła? Może Max przestał widzieć w niej kobietę, której pragnął? Nie była już młoda i ładna jak dawniej, a on miał teraz Rebeccę i Mitzi. Na szczęście Max nie potrzebował większej zachęty. Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją tak, jak chciał to zrobić od ponad trzydziestu lat. Zamknęła oczy, aby powstrzymać łzy, i zarzuciła mu ramiona na szyję, odwzajemniając pocałunek.

Po długiej chwili Max podniósł głowę i delikatnie przesunął palcami po jej policzku. Miał jej tyle do powiedzenia, ale nie mógł znaleźć słów, które wyraziłyby jego uczucia, więc tylko patrzył na nią z miłością. Przycisnęła usta do jego dłoni.

- Chcę się z tobą zestarzeć, kochany. Chciałabym pójść z tobą na plażę, we mgle i w śniegu, i powiedzieć ci, jak mocno cię kocham, żeby wymazać z twojej pamięci tamten zimowy dzień, kiedy o mało nie straciłam cię na zawsze. Chcę dzielić z tobą wszystko - twoją przyszłość i przeszłość... - W jej oczach zalśniły łzy. - Zabierz mnie do Wiednia i pokaż mi Teatr Cesarski, gdzie twoja matka występowała specjalnie dla twojego ojca... Może pewnego dnia będzie twój, a razem z nim wszystkie żyjące w nim wspomnienia...

Max długo patrzył na nią, czekając, aż znajome zapachy dzieciństwa znowu napłyną z głębi jego serca, ale nic takiego się nie stało.

- Nie - powiedział w końcu, a jego spojrzenie było tak przejmujące, że Rita z trudem je wytrzymała. - Wiedeń mojego dzieciństwa przestał już istnieć. Zniszczyli go dawno temu i teraz nawet moje duchy nie przechadzają się już jego ulicami... - Otoczył ją w tali ramieniem i wziął za rękę. Obejmował ją tak, jakby zaraz mieli zatańczyć walca, chociaż wcześniej sądził, że zapomniał kroków tego tańca. - Wracajmy do domu, kochanie. Razem zbudujemy nasz własny Wiedeń.